

John Crowley

SAMOTNIE

Ægipt

KSIĘGA PIERWSZA

przełożył *Konrad Walewski*

przedmową opatrzył *Andrzej Sapkowski*

SOLARIS

Stawiguda 2008



Samotnie

Tyt. oryg. *The Solitudes*

Copyright © 1987, 2007 by John Crowley

Na okładce wykorzystano fragment Dyptyku z Wilton
oraz niezatytułowanego asamblażu Josepha Cornella

ISBN 978-83-89951-00-7

Opracowanie graficzne *Tomasz Maroński*

Redakcja *Iwona Michałowska*

Korekta *Bogdan Szyma*

Skład *Tadeusz Meszko*

Wydawnictwo powstało
przy wsparciu finansowym
Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Wydanie I

SOLARIS

11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

Tel./fax 089 5413117

e-mail: agencja@solrisnet.pl

Sprzedaż wysyłkowa:

www.solarisnet.pl

Spis treści

<u>Spis treści.....</u>	<u>3</u>
<u>WIĘCEJ NIŻ JEDNA HISTORIA ŚWIATA.....</u>	<u>5</u>
<u>NOTA ODAUTORSKA.....</u>	<u>12</u>
<u>PROLOG.....</u>	<u>13</u>
<u>W NIEBIE.....</u>	<u>13</u>
<u>PROLOG.....</u>	<u>17</u>
<u>NA ZIEMI.....</u>	<u>17</u>
<u>I.....</u>	<u>22</u>
<u>VITA.....</u>	<u>22</u>
<u>1.....</u>	<u>23</u>
<u>2.....</u>	<u>40</u>
<u>3.....</u>	<u>57</u>
<u>4.....</u>	<u>75</u>
<u>5.....</u>	<u>93</u>
<u>6.....</u>	<u>106</u>
<u>7.....</u>	<u>121</u>
<u>8.....</u>	<u>135</u>
<u>II.....</u>	<u>154</u>
<u>LACRUM.....</u>	<u>154</u>
<u>1.....</u>	<u>155</u>
<u>2.....</u>	<u>173</u>
<u>3.....</u>	<u>184</u>

<u>4.....</u>	<u>196</u>
<u>5.....</u>	<u>210</u>
<u>6.....</u>	<u>227</u>
<u>7.....</u>	<u>245</u>
<u>8.....</u>	<u>260</u>
<u>9.....</u>	<u>276</u>
<u>III.....</u>	<u>287</u>
<u>FRATRES.....</u>	<u>287</u>
<u>1.....</u>	<u>288</u>
<u>2.....</u>	<u>299</u>
<u>3.....</u>	<u>312</u>
<u>4.....</u>	<u>324</u>
<u>5.....</u>	<u>330</u>
<u>6.....</u>	<u>347</u>
<u>7.....</u>	<u>355</u>
<u>8.....</u>	<u>370</u>
<u>9.....</u>	<u>381</u>
<u>10.....</u>	<u>390</u>

WIĘCEJ NIŻ JEDNA HISTORIA ŚWIATA

Romowie zjawili się w świecie kultury zachodniej w początkach wieku piętnastego. Przybyli z Półwyspu Indyjskiego, z Dekkanu, skąd poprzez Persję, Armenię i Bałkan dotarli w roku 1416 do Czech, gdzie się, jak podają Stare *letopisy českè*, po zemi toulali a okradali lidi. W tym samym mniej więcej czasie musieli pojawić się w Polsce, później w Niemczech, wreszcie we Francji, by, jak pisze Huizinga, stanąć w roku 1427 pod murami Paryża. W krajach, które przemierzyli przedtem, nazywano ich „Cyganami”, podobno - tak chce słownik Lindego - od mezopotamskiej miejscowości Syngara. Ponieważ jednak pod Paryżem sami ogłosili się „przybyszami z Egiptu”, Francuzi ochrzcili ich „Egipcjanami” (egyptiens, skąd potem poszły nazwy gitans, gitanes i gypsies). Owi „Egipcjanie” znali magię. Umieeli czarować. Wróżyć. Wieszczyć. Czytać przeszłość i przepowiadać przyszłość. Romowie-Cyganie dysponowali nadprzyrodzonymi mocami. Bo ich ojczyznę wcale nie był Egipt.

Był nią Ægipt.

*

Dziwny zbieg okoliczności powoduje, iż Pierce Moffett, historyk, pracownik uniwersytecki, trafia do miasteczka Blackbury Jambs w Faraway Hills w stanie Nowy Jork. Blackbury Jambs w Faraway Hills to miejsce dziwne i tajemnicze. To idylliczna

pastoralna utopia, wyłoniona z typowych dla New Age utopijnych marzeń o Erze Wodnika. Blackbury Jambs to miejsce nieskażone, miejsce harmonii, miejsce, w którym *all things are right*, gdzie woda jeszcze czysta i trawa wciąż jeszcze zielona. To oaza i azyl spowolnionego, niespiesznego spokoju, kontrastowe przeciwieństwo neurotycznie rozpędzonych, zdyszanych, wciąż za czymś goniących miast. Miejsce tętniące pradawną magią. Miejsce kultu. *Locus terribilis*. Miejsce, które jakże bardzo przypomina nam Małe, duże. Faraway Hills, Wzgórza Hen Daleko, są równie symboliczne jak Edgewood, Las Na Skraju. I niosą podobne przesłanie. „Let nature be your teacher”, by zacytować Williama Wordswortha, poetę przesiąkniętego neoplatońskimi ideałami i neoplatońską estetyką.

Zgorzkniały, rozczarowany do poprzedniego miejsca zamieszkania, do poprzedniej pracy, do kolegów, do przyjaciół, do kobiet i do życia w ogóle, Pierce Moffett odnajduje się w tym hippisowskim po trosze raj, wśród mistyków, astrolożek i pasterzy-filozofów, gdzie na bukolicznych łąkach i w gajach nad Rzeką urządza się pikniki, na których popija się księżycówkę i ekstatycznie płąsa nago na trawie w oparach marihuany, w najlepszej, iście neopogańskiej tradycji i stylu New Age i Wicca.

Pojawia się tam - rzecz jasna - anima, kobieta z twarzą jak u figurki egipskiego kota. Tak naprawdę, to są dwie kobiety, ale to się okaże później. Pierce Moffett zapuszcza korzenie w dziwnym

Blackbury Jambs, osmotycznie spaja się z tym miejscem. Może wreszcie oddać się tu swej pasji.

Pasją Pierce'a Moffetta jest historia świata. Ale nie ta zwykła. Ta druga. Sekretna.

Albowiem istnieje więcej niż jedna historia świata.

*

W pastoralnym Blackbury Jambs pojawia się - z przeszłości - cień. Dawny lokalny *genius loci*. Nieżyjący już pisarz Fellowes Kraft, autor powieści historycznych. Teksty Krafta poruszają to wszystko, co do tej pory grało w duszy Pierce'a Moffetta. To znaczy: młody Will Shakespeare w drodze do wielkości. John Dee, angielski mag, astrolog, wróżbita i krystalomanta czasów elżbietańskich, opętany ideą nawiązania kontaktu z aniołami. Giordano Bruno, tragiczny bohater swobodnej myśli, opętany żądzą poznania tajemnicy bytu i świata. Oni wszyscy, każdy z nich, odkryli Ægipt, tajemniczy paralelny świat magii.. Ægipt, będący obsesją i ideą fixe Pierce'a Moffetta.

*

Albowiem świat ma więcej niż jedną historię. Zanim nauka nadała światu znaną nam formę, zanim Wiek Rozumu popchnął cywilizację na inny tor, *universum* było we władaniu innych sił, sił dziwnych i potężnych. Istniały Moce, z których wyemanowały i przetrwały w naszej pamięci czary, magia i magowie. Kraina Ægipt,

antyświat, z którym nasze nowoczesne, racjonalne i materialistyczne społeczeństwo kontakt utraciło. Lub niemal utraciło. *Ægipt*, skąd przybyli biegli w arkanach magicznych Cyganie. Gdzie znano każdą magię, gdzie, oprócz nauk znanych dziś, studiowano jeszcze megetologię i stratoarytmetykę. Gdzie bóstwem był Pantomorf, Wszechkształt - jakżeż zbliżony do neoplatońskiej Jedni. Gdzie Mojżeszowi rzeczywiście wyrastały z czoła rogi, takie, z jakimi wyrzeźbił go Michał Anioł. *Ægipt*, skąd trafiły do naszego universum hieroglify, arytmancja, okultyzm, Atlantyda, Graal, żydowska Kabała, Invisible College, manuskrypt Voynicha i Zakon Złotego Brzasku. Skąd przybył Hermes Trismegistos i wszelkie nauki, od niego właśnie, Hermesa Trzykroć Wielkiego, nazwane hermetycznymi. *Ægipt*, skąd przybyli Orfeusz, Zaratustra, Szymon Mag, Merlin, Rajmund Lull, Roger Bacon, Paracelsus, Sędziwój, doktor Faust, Giovanni Pico della Mirandola, Korneliusz Agryppa, Jakub Boehme, Robert Fludd, Eliphas Levi, Cagliostro, Nostradamus, hrabia Saint-Germain, Madame Blavatsky i Aleister Crowley. Hieronim Bosch. Johann Trithemius, autor *Steganografii*. Skąd wywodzą się korzenie Iluminatów, różokrzyżowców, wolnomularstwa i Ojców Założycieli, skąd symbol piramidy i górującego nad nią „mistycznego oka” zawędrował na Wielką Pieczęć Stanów Zjednoczonych i na dolarowe banknoty. Skąd „egipskie” parafernalia trafiły do libretta *Czarodziejskiego fletu* Mozarta, a ezoteryczne i neoplatońskie idee do twórczości Goethe'go, Wordswortha, Coleridge'a, Keatsa i Shelleya.

Skąd przybył do doktora Johna Dee tajemniczy Edward Talbot, a.k.a. Kelley, a.k.a. Kelly.

Ægipt.

Nie istnieje wyłącznie jedna historia świata.

*

John Crowley urodził się 1 grudnia 1942 w Presque Isle w stanie Maine, tam bowiem stacjonował jego ojciec, lekarz wojskowy, kapitan Army Air Corps, później przemianowanego na United States Air Force (USAF). Równy tydzień po narodzinach, jak pamiętamy, Japończycy zbombardowali Pearl Harbour. Ojciec noworodka dokądś tam sobie więc pojechał służyć ojczyźnie, przez co przyszły pisarz spędził najwcześniejsze dzieciństwo w kompani całkowicie damskiej, z matką i siostrami. Śladów tej feministycznej traumy doszukiwano się później w różnych miejscach twórczości Crowleya.

Po wojnie rodzina wciąż przemieszczała się po Stanach, wreszcie, zaliczywszy Vermont i Kentucky, Crowleyowie osiedli w Indianie, tutaj młody John uczęszczał do high school, a w roku 1960 podjął studia na Indiana University. W high school miały miejsce pierwsze „doszufladowe” próby pisarskie Crowleya - wynikłe z jego wielkiej fascynacji Szekspirem wierszowane tragedie oraz powieść historyczna osadzona w realiach Wojny Dwóch Róż. Do tej ostatniej jeszcze wrócimy.

Studia ukończył Crowley w roku 1964 jako Bachelor of Arts w zakresie angielskiego oraz fotografiki, tą ostatnią dziedziną bardzo się na uniwerku pasjonował. Oprócz kilku podjętych raczej bez przekonania prób poetyckich zupełnie zaniechał pisanania.

Powędrowawszy zaraz po studiach do Nowego Jorku, Crowley miał się różnych zajęć, koncentrujących się jednak głównie wokół filmu i fotografiki. O pisaniu nie myślał nadal. To, że wreszcie chwycił za pióro, zawdzięczamy - jakoby - marihuanie, którą w sporych ilościach przyszył autor bestsellerów zwykł był podówczas palić. Pamiętajmy, co to były za czasy, owe niezapomniane lata sześćdziesiąte - rhythm & blues, Era Wodnika, Wietnam, dzieci-kwiaty, make love not war, niepokoje na uniwersyteckich kampusach, *We Shall Overcome*, Timothy Leary, Allen Ginsberg, Helter Skelter, Woodstock, Watergate, *Lucy in the Sky with Diamonds*, *Purple Haze*, *I Can Get No Satisfaction...*

The Times They Are A' Changin'...

They were.

Na skutki nie trzeba było długo czekać: z kłębow dymu palonej przez Johna trawki zrodziła się hippisowska w filozofii powieść *Learning to Live With It: a Meditation on the Human Race*. Żadne wydawnictwo jej nie wzięło. Crowleyowi spodobało się jednak pisanie, był pełen entuzjazmu. Zaczął czytać dużo SF, zwłaszcza ze

słynnej serii Ace Specials. Przypomnę, że była to seria kierowanego przez Donalda A. Wollheima wydawnictwa Ace Books. W czasach, o których mówimy, gdy redaktorem odpowiedzialnym za Ace Specials był Terry Carr, w serii po raz pierwszy ukazały się drukiem takie między innymi „specjały” jak *Lewa ręka ciemności* Ursuli K. Le Guin, *Neuromancer* Williama Gibsona, *The Wild Shore* Kima Stanleya Robinsona, *Past Master* R. A. Lafferty'ego, *Green Eyes* Luciusa Sheparda czy *In the Drift* Michaela Swanwicka. Trzeba więc stwierdzić, że Crowley uczył się SF z dobrych podręczników.

W tym też czasie powstały idee i rozpoczęły się przygotowania do *Małe, duże* i *Ægypt*. Żadnej z tych słynnych potem książek nie było jednak sądzone być prawdziwym debiutem Crowleya. Zaszczytu tego dostąpiła opublikowana w roku 1975 *The Deep*. Wydana przez Doubleday książka była - uwaga - przeróbką wyciągniętej z szuflady wspomnianej wcześniej licealnej powieści historycznej. Nawrócony na SF Crowley przemaalował rzecz na stuprocentową fantastykę, ale nawiązania do Wojny Dwóch Róż pozostawił.

Wciąż pracując nad *Małe, duże*, Crowley zdołał napisać i wydać w roku 1976 *Beasts*, podobnie jak *The Deep* czystą gatunkowo SF - tytułowe „bestie”, to poddane biologicznym transformacjom zwierzęta. Mając już nazwisko, Crowley mocno przeredagował i powtórnie zaoferował wydawnictwu *Learning to Live With It*. Książkę, z tytułem zmienionym na *późne lato* (Engine Sumer),

wydało Doubleday w roku 1979. Powieść zdobyła nagrodę Johna W. Campbella (The John W. Campbell Jr. Memorial Award, przyznawaną przez Centrum Studiów na Science Fiction na Kansas University).

Wreszcie przyszedł czas na *finis* koronujący *opus*. I na hit. W roku 1981 w wydawnictwie Bantam ukazała się drukiem Małe, duże, rzucając świecik SF na kolana. Książka zgarnęła entuzjastyczne recenzje - Thomas M. Disch, dla przykładu, określił ją jako „the greatest fantasy novel ever”, entuzjastycznie wypowiadała się Ursula K. Le Guin, chwalił znany krytyk literacki Harold Bloom. Zebrała też niezły pakiet nagród: World Fantasy Award, Mythopoeic Fantasy Award, nominacje do Nebuli i Hugo, drugie miejsce w plebiscycie magazynu „Locus”, plus poczesne pozycje na niemal wszystkich „listach wszech czasów”, regularnie ogłaszanych przez różne instytucje.

W roku 1987 wydawnictwo Bantam wydało *Ægypt*. Choć mało kto wówczas o tym wiedział, była to pierwsza część zamierzonej tetralogii, a pierwotny tytuł miał brzmieć *The Solitudes - Samotnie*. Dopiero po siedmiu latach, w 1994, ukazała się druga część cyklu, *Miłość i sen*, w roku 2000 część trzecia, *Demonomania*. Wreszcie, wiosną roku 2007, wyczekiwana z utęsknieniem przez wiernych czytelników część czwarta i ostatnia - *Endless Things (Rzeczy nieskończone)*.

John Crowley niezmiernie rzadko zajmuje się krótką formą. Trzy opowiadania i novellę zawiera zbiór *Novelty* (Doubleday 1989). Novella, zatytułowana „Great Work of Time”, przyniosła autorowi powtórnie World Fantasy Award i drugą nominację do Nebuli, a w roku 1991 została wydana jako oddzielna pozycja książkowa. Siedem napisanych w okresie 1978-1993 opowiadań mieści zbiór *Antiquities: Seven Stories*, wydany w roku 1993 w oficynie Incunabula.

W trakcie prac nad cyklem „ægijskim” Crowley zdołał jeszcze wydać powieść *The Translator* (2002). A w czerwcu 2005 Lord Byrons Novel: *The Evening Land*.

John Crowley jest od roku 1984 żonaty, żona ma na imię Laurie. Mają dwie córki bliźniaczki, które przyszły na świat - ciekawostka - 14 lutego 1987, w tym samym dniu, gdy pisarz otrzymał pierwsze autorskie egzemplarze *Ægyptu*. Wciąż pracując nad powieściami, Crowley wykłada w Yale, okazjonalnie pisuje też recenzje dla „The Washington Post” i „New York Timesa”. Jest laureatem niezwykle prestiżowej nagrody przyznawanej pisarzom przez American Academy of Arts and Letters.

*

Wielopłaszczyznowa *Samotnie* (i następujące po niej tomy tetralogii) to w gruncie rzeczy opowieść o inicjacji. O *rite de passage*. Można, używając terminologii Karla Gustava Junga, nazwać tę książkę opowieścią o misterium indywiduacji, o *spiritual quest*,

podróży w głąb własnej jaźni, o samookreśleniu. Jung jest tu całkiem na miejscu i całkiem nieprzypadkowo. Nie o kim innym, a o Jungu mówi się, że otworzył podwoje psychoanalizy dla ezoteryki i hermetyzmu - z czegoż bowiem, jeśli nie z nauk ezoterycznych i hermetycznych płyną Jungowskie archetypy, prawzorcy, ukryte w „nieświadomości zbiorowej” i z nieświadomości tej emanujące.

Wpływy Junga są w twórczości Crowleya wyraźne i nie do zanegowania. W *Samotnie* znajdziemy zarówno nieświadomość zbiorową jak i wszystkie podstawowe archetypy. Pierce to ego, przechodząca inicjację jaźń, łącząca świadomość i nieświadomość w procesie integracji i doskonalenia. Rosie Rasmussen to anima, odmiennopłciowa część psyche, upragniony pierwiastek żeński, obezwładniające piękno, Sophia gnostyków. Spofford, „best looking man here”, to animus, czyli animy odpowiednik męski. Fellowes Kraft to Cień, wypierany z psyche „ciemny brat”, antypersona, potwór, Minotaur w mrokach Labiryntu. Tajemniczy, z oblicza przypominający grecką statuę Beau Brachman to Mędrzec, pośredniczący między widzialnym a niewidzialnym szaman, mistrz obrzędu inicjacji. Astrolożka Val, „zażywna kobieta odziana w szeroką niczym pałatka suknię”, to Wielka Matka, przewodniczka, orędowniczka i doradczyni.

Freud nawoływał Junga, by ten zaprzestał „żeglowania po mętnych wodach okultyzmu”. Jung nie posłuchał. I bardzo dobrze.

*

Ægipt to gnoza. Rozumiana jako rozwój, indywiduacja przez inicjację. Rozumiana jako wybawienie, katharsis, osiągalne tylko poprzez poznanie prawd ukrytych i sekretów. Pojmowana jako skok w ciemność, po to, by odnaleźć światło, które, lubo niewidzialne, jest zawsze obecne. To epifania: przejawienie się ukrytego poprzez zagadkowe. Poprzez wizję, sen, fantazję. I mit.

To penetracja historii przez mitopoeię. Przez hermetyzm. Afirmacja istnienia historii podświadomej i niewidzialnej, biegnącej równolegle do naszej. To są tezy Dame Frances Yates (1899-1981), pani profesor z University of London. Przywołanej przez Johna Crowleya w poprzedzającej *Samotnie* nocy odautorskiej.

*

David Pringle, umieszczając *Samotnie* (obok *Małe, duże*) na liście stu najlepszych powieści fantasy wszech czasów, podkreśla walory obu książek, którymi, obok niewątpliwej oryginalności i świeżości spojrzenia, są liryzm i piękno języka. Nic dodać, nic ująć - tylko się zgodzić. I postawić Crowleya w jednym szeregu i na jednej półce z innymi książkami, w których gnoza, tajemnica, hermetyzm, moce tajemne, alternatywna historia świata - czyli to, o czym tak lubimy czytać - łączą się zgrabnie ze spokojnym pięknem frazy, z urodą i elegancją ważonych jak na wadze alchemika zdań. Na jednej półce stanąć zatem winny *Małe, duże*, cykl powieściowy *Ægipt* Johna Crowleya, *Mag* Johna Fowlesa, *49 idzie pod młotek* Thomasa

Pynchona, *Wahadło Foucaulta* Umberta Eco, *Dzieci północy* Salmana Rusdhiego i *Klub Dumas* Artura Pérez-Reverte. Po któraś z tych książek warto sięgnąć, gdy dokuczy nam Weltschmerz i egzystencjalny angst. Gdy zapagniemy fantazji i tajemnicy, czując na policzku - że zacytuję jedną z moich ulubionych fraz z *Samotnie*, „a sudden draft of hereness and nowness”. Wtedy warto poczytać o historii.

A świat nie posiada wyłącznie jednej.

I bardzo dobrze, że tak jest.

Andrzej Sapkowski

NOTA ODAUTORSKA

Niniejsza książka, znacznie bardziej niż większość książek, skonstruowana jest z innych tekstów. Przeto jej twórca pragnie potwierdzić ów ogromny dług, jaki zaciągnął u tych autorów, których prace splądrował w stopniu największym, a przy tym wyrazić przeprosiny za to, do jakich celów wykorzystał ich dzieła, a byli to: Joseph Campbell, Elizabeth L. Eisenstein, Mircea Eliade, Peter French, Hans Jonas, Frank E. oraz Fritzie P. Manuel, Giorgio di Santillana, Stephen Schoenbaum, Wayne Shumaker, Keith Thomas, Lynn Thorndike, D. P. Walker, a nade wszystko świętej pamięci Dame Frances Yates, z której bogatego dorobku naukowego niniejsza fantazja została zaczerpnięta w stopniu najznaczniejszym.

Posłużyłem się również spekulacjami Johna Michella i Katherine Maltwood, Roberta Gravesa, Lois Rose oraz Richarda Deacona. Opierałem się na przekładzie *Hermetica* autorstwa Waltera Scotta, opatrzonym jego przypisami, a w przypadku *Soledades Luisa de Góngory* na przekładzie Gilberta F. Cunninghama.

Niemniej jednak to, co znajduje się dalej, stanowi jedynie wytwór fikcji literackiej, zaś wymienianych, poszukiwanych, czytanych i cytowanych w niej książek nie należy uznawać za bardziej rzeczywiste niż ludzie i miejsca, miasta, miasteczka, drogi, postacie historyczne, gwiazdy, kamienie oraz róże, które jakoby zawiera.

PROLOG

W NIEBIE

W zwierciadle były anioły: dwa, cztery, sześć, wiele, a każdy z nich ustawiał się na swoim miejscu w rzędzie niczym radny miejski podczas parady burmistrza Londynu. Żaden nie był odziany w biel; niektóre miały na swych rozpuszczonych włosach przepaski bądź wieńce z kwiecica i zielonego listowia. Ich spojrzenia były osobiwie radosne. Wciskały się jeden obok drugiego, wciąż czyniąc miejsce dla kolejnych, brały się pod ręce bądź łączyły dłonie za plecami, śmiejąc się i kierując swe spojrzenia ku górze, ku dwóm przyglądającym im się śmiertelnikom. Imię każdego z nich zaczynało się na literę „A”.

„Spójrz!”- wykrzyknął pierwszy z owych dwóch mężczyzn. - „Posłuchaj!”.

„Niczego nie widzę” - stwierdził drugi, starszy, który nierzadko spędzał samotnie bezowocne godziny nad ową kryształową kulą; bezowocne, mimo iż poprzedzone długą modlitwą oraz wzmożonym skupieniem. - „Niczego nie widzę. Niczego nie słyszę”.

„Annael. I Annachor. I Anilos. I Agobel” - wyrecytował młodszy. - „Boże, strzeż nas i uchron nas od wszelkiego nieszczęścia”.

Zwierciadło, w które spoglądali, było kulą z kwarcu wielkości pięści o barwie moleskinu, zaś spoglądający w nie krystalomanta zbliżył się doń tak bardzo, iż z zezem w oczach niemal ugodził je

nosem. Uniósł nad nim dłonie, osłaniając je tak, jak osłania się płomień świecy, by opanować jego drżenie.

Nie minął kwadrans, odkąd rozpoczęli pracę ze zwierciadłem, gdy objawiła się pierwsza istota. Ich ciche modlitwy oraz inwokacje osłabły, a przez jakiś czas jedynym dźwiękiem, jaki dawał się słyszeć, było pobrząkiwanie okiennych szprosów w silnym marcowym wietrze, który przepelniał noc. Kiedy młodszy z nich, klęczący nad zwierciadłem pan Talbot, począł drzeć, jak gdyby ogarnęło go zimno, drugi objął go uspokajająco ramieniem; a gdy dreszcze nie ustały, podniósł się, żeby rozniecić ogień. Wówczas krystalomanta rzekł: *Spójrz. Oto jeden. A oto następny.*

Dr Dee - ów starszy mężczyzna, do którego należało zwierciadło - odwrócił się od ognia. Uczuł gwałtowny dreszcz, włoski zjeżyły mu się na karku a fala ciepła rozlała się w okolicach mostka. Nie ruszał się, spoglądał ku miejscu, w którym płomień świecy lśnił podwójnie - ku powierzchni zwierciadła i w jego odmęty. Poczował w komnacie tchnienie wiatru, który wiał na zewnątrz, i usłyszał jego ciche pogwizdy w kominie. Ale niczego ani nikogo nie ujrzał w swym szarym szkle.

„Powiesz mi” - oznajmił łagodnie - „a ja spiszę twe słowa”.

Odłożył pogrzebacz, chwycił stare pióro i umoczył je. U góry stronicy pospiesznie zanotował datę: 8 marca 1582 roku. I czekał, szeroko otwartymi oczyma wpatrując się przez okrągłe, oprawione na czarno okulary, na to, co zostanie mu objawione. W uszach dudniło mu bicie własnego serca. Nigdy przedtem żaden duch nie pojawił się

w jego zwierciadle tak rychło. On sam nigdy nie widział przywoływanych istot, ale przywykł już do siedzenia bądź klęczenia w modlitwie obok swych mediów, czy też krystalomantów, przez godzinę lub dwie, nim dało się dostrzec jakieś dwuznaczne mignięcie. Lub zgoła nic.

Nie tej nocy, nie dziś. W całym domu - jak gdyby marcowy wiatr z zewnątrz przeniknął właśnie do wnętrza i tułał się po pokojach - dała się słyszeć seria stuknięć, uderzeń i puknięć; w bibliotece karty otwartych ksiąg poczęły się przewracać. W sypialni żona doktora Dee obudziła się, po czym odciągnęła na boki kotary łoża, by się przekonać, że świeca, którą zostawiła płonąca dla męża, dopaliła się i zgasła.

Wówczas wiatr i hałasy ustały, zaś nad domem i miastem zawisła chwila bezruchu (nad Londynem, a także nad całą Anglią - martwa, bezwietrzna cisza niczym wstrzymany oddech, chwila martwoty tak gwałtowna i całkowita, że w Richmond obudziła się królowa i wyjrzała przez okno, by ujrzeć wpatrujące się w nią oblicze księżycy). Młody mężczyzna zatrzymał uniesione dłonie nad zwierciadłem, po czym głosem łagodnym, acz zdecydowanym, ledwie nieco głośniejszym niż skrobanie pióra doktora, począł mówić.

„Oto Annael” - oznajmił. - „Annael, który twierdzi, że jest odpowiedzialny przed tym zwierciadłem. Miłosierdzie boże niech będzie z nami”.

„Annael” - powtórzył doktor Dee i zapisał. - „Tak”.

„Annael, który jest ojcem Michała oraz Uriela. Annael jest Tym, Który Objasnia Dzieło Boże. Musi odpowiedzieć na każde postawione mu pytanie”.

„Tak. Ten, Który Objasnia”.

„Spójrz teraz. Patrz, jak rozpina swe szaty i wskazuje swą pierś. Boże, dopomóż nam i uchron nas od wszelkiego nieszczęścia. Na jego piersi widnieje zwierciadło; w zwierciadle okno, okno, które wygląda jak to tutaj”.

„Ledwie nadażam z pisaniem”.

„W oknie małe, uzbrojone dziecko, jak gdyby mała żołniereczka. Ona też niesie zwierciadło, kulę, nie taką jak ta, ale podobną. A w tej kuli... „

„W kuli” - powtórzył doktor Dee. Uniósł wzrok sponad chwiejnych, spisywanych w pośpiechu notatek, którymi zapełnił już połowę kartki. - „W kuli...”

„Boże, Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje. Jezu Chryste, synu jednorodzony, Panie nasz, miej litość nad nami. Właśnie zbliża się coś znacznie większego”.

Krystalomanta nie widział już ani nie słyszał, ale sam znajdował się we wnętrzu niewielkiej kuli, którą śmiejące się małe dziecko wyciągało przed siebie, a którą wypełniała przestrzeń tak niezmierną, iż cały legion Michałów nie zdołałby jej wypełnić. W tę właśnie przestrzeń jego patrząca dusza została wciągnięta z niewyobrażalną prędkością. Ścisnęło go w gardle, zadźwięczało w uszach. Pomknął bezradnie, jak gdyby ześlizgiwał się z urwiska. Nie

było tam nic prócz nicości. A z owej niezmierzonej pustki dźwięczącej - nieskończonej przestrzeni w jednej chwili większej niż cały wszechświat, acz tkwiącej w jego jądrze - coś poczęło się wydobywać, powstawać w przejmującej agonii niczym kropla. Niemożliwością było, aby cokolwiek mogło być mniejsze bądź odleglejsze od tej kropli nicości, tego nasienia światła; kiedy poczęło wędrować na zewnątrz, eon po eonie, stawało się tylko nieco większe. W końcu jednak zalążki wszechświata poczęły gromadzić się wokół niego w następstwie jego własnej niestrudzonej podróży i kropla stała się ciężka, stała się krzykiem, krzyk literą, litera dzieckiem.

Zjawił się poprzez splątane firmamenty i przez następujące po sobie mroczne nieboskłony, rozsuwane na boki niczym zasłony. Zdumione gwiazdy odwróciły wzrok na dźwięk wykrzycanego przezeń hasła i rozstały się, aby go przepuścić. Młody, jurny, z opadającymi z tyłu rozpuszczonymi włosami i płomiennym spojrzeniem, wkroczył na granice ósmego kręgu i stanął tam niczym na zatłoczonym nabrzeżu.

W drogę, w drogę. Zawędrował już tak daleko, iż przestrzeń, z której wyruszył, przestrzeń większa niż byt, malała w nim, była li tylko nasionkiem, kroplą. Zapomniał każde z haseł w chwili, gdy je wypowiedział. Został odziany w swą podróż niczym w szaty, ciężkie i ciepłe. Po upływie kolejnych eonów, po niewiarygodnych przygodach, jał zapominać, nierozsądek, starość, statkiem i pociągiem i samolotem nareszcie dotrze do... Dokąd? Z kim miał mówić? Dla kogo była ta litera, kogo miał obudzić ten krzyk?

Wsiadając na statek wciąż jeszcze to wiedział. Wstąpił na pokład: zgromadzony na nabrzeżu tłum rozstąpił się przed nim z pomrukiem. Postawił stopę na pokładzie, dłońmi schwycił liny. Żeglował pod znakiem Raka, wymalowanym na wydętym grotzagli; nareszcie pojawiły się dwa światła na noku rei, czy były to Kastor i Polluks? *Spes proxima*: daleko, hen, daleko, pewna planeta niczym kula z agatu obracała się w przestworzach.

PROLOG

NA ZIEMI

Zmówiona w porze pójścia do łóżka modlitwa do anioła stróża nieodmiennie wystarczała, by jego kuzynka Hildy obudziła się o takiej godzinie, o jakiej potrzebowała wstać - tak przynajmniej twierdziła. Utrzymywała, że prosi o to, by obudzić się o szóstej, siódmej bądź siódmej trzydzieści, po czym zasypia, mając w myślach cyferblat zegara ze wskazówkami ustawionymi dokładnie na tej godzinie, a kiedy otwiera oczy, ukazuje jej się taki właśnie widok.

On sam nie potrafił tego dokonać. Nie był przy tym pewien, czy wierzy, że potrafi to Hildy, jakkolwiek nie był w stanie owej umiejętności zakwestionować. Być może - podobnie jak stąpający po wodzie Piotr - mógłby korzystać z metody Hildy jedynie wówczas, gdyby miał w sobie dość wiary, ale jej nie miał. A jeśli zasnąłby, spóźniłby się na mszę, co byłoby nieobliczalne w skutkach; ksiądz musiałby zapewne zwrócić się do wiernych ze swym smętnym żabim obliczem i spytać, czy ktoś potrafi służyć do mszy. A wówczas jakiś odziany w robocze ubranie mężczyzna podszedłby, podciągnął nogawki spodni i ukląkł na niższym stopniu, w miejscu, na którym to on powinien się znajdować.

Toteż wybudzał się na dźwięk stojącego na czterech nóżkach mosiężnego budzika, posiadającego na szczycie dzwonek, w który na przemian uderzały dwa młoteczki, jak gdyby okładały go po głowie.

Zegar czynił tyle hałasu, iż pierwsze chwile jego dzwonienia nie przypominały nawet dźwięku, lecz coś zgoła innego, jakowyś kataklizm, on zaś, nim dotarło do niego, co się dzieje - drący się wniebogłosy budzik, który maszeruje na swych nóżkach po blacie komody - budził się i siadał. Na drugim łóżku jego kuzynka, Ptasia, przewracała się jedynie pod kołdrą i po chwili, gdy tylko wyłączał budzik, znów była nieruchoma.

Nie spał, lecz był niezdolny podnieść się z łóżka. Włączył znajdującą się przy nim lampkę nocną; posiadała ukazujący mglisty krajobraz klosz oraz przezroczystą zewnętrzną osłonkę, na której znajdował się obrazek pociągu. Pod lampką grzbietem do góry spoczywała książka otwarta poprzedniego wieczoru. Sięgnął po nią. Niemal zawsze czas pomiędzy przebudzeniem a przymusem wstania z łóżka wypełniał lekturą książki, którą odkładał przed zaśnięciem. Miał dziesięć lat.

Nierzadko w późniejszym życiu Giordano Bruno będzie wspominał swoje dzieciństwo w Noli z rozrzewnieniem. Wielokrotnie pojawia się ono w jego dziele: neapolitańskie słońce nad jego złotymi polami i winnicami, które okrywają zbocza góry Cicala; te kukułki, te arbuzy, ten smak mangiaguerry, regionalnego gęstego, czarnego wina. Nola była miastem starożytnym, położonym pomiędzy Wezuwuszem a Cicalą; w szesnastym

stuleciu wciąż można było oglądać jego rzymskie ruiny, świątynię, teatr, niewielkie sanktuaria tajemniczego pochodzenia. Na początku tego wieku przybył do Noli Ambrosius Leo, aby sporządzić mapę miasteczka, jego krętych murów, jego dwunastu wież, a także, by zgłębić owe geometrie, na podstawie których, podobnie jak wszystkie starożytne miasta, było ono, jak wierzył Leo, wzniesione.

Bruno dorastał na przedmieściach Cicali, w jednym z czterech czy pięciu domów zbudowanych jeden obok drugiego za wiekowym murem miasta. Jego ojciec, Gioan, był starym wiarusem, ubogim, lecz dumnym, który żył z renty i uprawiał działkę ogrodową. Miał w zwyczaju zabierać syna na wyprawy na zbocze góry. Bruno przypomniał sobie, jak stary Wezuwiusz, widziany z zielonych stoków Cicali, zdawał się nagi i posępny, lecz kiedy wspięli się na niego, okazało się, iż jest równie zielony, tak samo uprawiany, zaś winorośl równie słodka. A kiedy o zmierzchu wraz z ojcem spoglądali w kierunku Cicali z miejsca, do którego zaszli, to ona zdawała się kamienna i opuszczona.

Podczas procesu Bruno przyznał, że to wówczas odkrył, iż wzrok może mamić. W gruncie rzeczy

odkrył wtedy coś znacznie bardziej zasadniczego dla swej późniejszej myśli, a mianowicie Względność.

Teraz pociąg na kloszu, rozgrzany przez żarówkę, począł z wielkim mozołem posuwać się naprzód poprzez ów mglisty krajobraz. Zegar pokazywał późną godzinę. Msza zaczynała się o szóstej czterdzieści pięć rano każdego dnia powszedniego, zaś on służył codziennie przez tydzień; po zakończeniu służby w najwcześniejszej mszy niedzielnej ktoś inny przejmie jego codzienne obowiązki, a on będzie służył wyłącznie w niedziele, wspinając się po drabinie mszalnych godzin aż do śpiewanej mszy o jedenastej. A następnie znów rozpocznie tydzień mrocznych świtów.

System ten był charakterystyczny dla położonego w dolinie maleńkiego drewnianego kościółka, obmyślony przez proboszcza po to, by jak najefektywniej zorganizować pomoc jedyńych pięciu czy sześciu ministrantów, jakimi dysponował. Wszelako dla samych chłopców posiadał on moc prawa naturalnego: niczym przebieg samej mszy, wyjaśnił proboszcz, nieskuteczny dopóty, dopóki nie zostało wypowiedziane każde słowo.

Był chłopcem, który widywał duchy w bukowych i wawrzynowych zagajnikach, lecz potrafił też siedzieć cierpliwie u stóp ojca Teofila z Noli, który wpajał weń łacinę oraz prawa logiki, jak również opowiadał mu o tym, że świat jest okrągły. W swoich dialogach

Bruno nadaje niekiedy rzecznikowi swojej własnej filozofii imię owego księdza: Teofilo. W *De monade*, swym ostatnim poemacie po łacinie, pisze: *Dawno temu w czasach mego chłopięctwa rozgorzała walka.*

Nim włożył tenisówki, dzinsy oraz dwie flanelowe koszule jedna na drugą i wyruszył w długą, mroczną podróż przez cały dom do kuchni, jego matka zdążyła już się w niej zjawić i nalać mu mleka. Wymienili tylko kilka nieodzownych słów, oboje wciąż jeszcze nazbyt senni, by przełamać rutynę zdawkowych pytań i odpowiedzi. Był świadom tego, że matka ma proboszczowi za złe jego uporczywe zapewnienia, iż dziesięcioletni chłopiec jest wystarczająco dorosły, żeby wstać i udać się na mszę o tej godzinie. W tych stronach, utrzymywał proboszcz, dziesięcioletni chłopcy są już o tej porze na nogach, a co więcej, pracują, i to bardzo ciężko. Niemniej jednak jego matka uważała, choć nie wypowiadała tego na głos, że proboszcza zdradzają jego własne słowa. Pracują!

Przy świetle kuchennej lampy dzień zdawał się nocą, lecz kiedy wyszedł na zewnątrz, na niebie znać było łagodny blask, zaś droga wiodąca pomiędzy ciemnymi żywopłotami w dół zbocza była już widoczna. Był ósmy marca 1952 roku. Z rozległej werandy mógł dostrzec kolejne wzgórze po drugiej stronie doliny - szare, bezlistne i na pozór martwe. Mimo to wiedział, że mieszkają tam ludzie; w ogródkach przed domem hodowali żonkile, a w tej chwili orali i siali,

rozpalali ogień w kominkach. Kościoła nie było widać, ale wznosił się tam, w cieniu wzgórza. Z kościoła zaś nie było widać werandy, na której stał.

Względność.

Zastanawiał się, czy proboszcz zna prawa logiki tak dobrze jak łacinę. Prawa logiki! Przestrzeń przeciągłych spółgłosek tego wyrażenia miała dlań osobliwie bogaty posmak. Proboszcz uczył go wyłącznie łaciny mszalnej, którą miał zapamiętywać fonetycznie. *Introibo ad altere Dei.*

Wszak wiedział, że ziemia jest okrągła; nikt nie musiał mu tego mówić.

W dolinie za miastem pociąg z węglem, który spoczywał nieruchomo całą noc, karawana jednakowych mrocznych stworów, ruszył z przeciągłym szarpnięciem. Miał chyba ze sto wagonów. Nieraz zdarzało mu się liczyć wagony pociągów dłuższych od tego. Załadowywano je w składnicy na terenie kopalni - umieszczenie ładunku w całym pociągu trwało godzinami, podobnie jak podróż z miasta i doliny ku miejscu przeznaczenia. Ciągająca go lokomotywa sapała ciężko i wolno, niczym starzec wspinający się krok po kroku pod górę: Raz. Raz. Raz. Raz.

Jego trasa wiodła w dół, do głównej drogi nad strumieniem, która biegła do miasta, mijała kościół i ciągnęła się dalej. Rozmyślając o posepnych psach świtu, ruszył, wciskając dłonie w utyłane kieszenie kurtki, wszak dobrze mu znane, lecz jakby nienależące do niego. *Nie jestem stąd*, pomyślał: a ponieważ była to prawda, myśl ta

zdawała się wyjaśniać owo kurczenie się ułomnej żywotności w jego wnętrzu, wynikłe z przenikliwego półmroku, drogi, czarnego pociągu i jego dymu. *Nie jestem stąd; pochodzę z jakiegoś innego miejsca.* Droga wydawał się dłuższa niż kiedykolwiek za dnia; u stóp wzgórza świat wciąż pogrążony był w mroku, a brzask odległy.

I

VITA

1

Gdyby kiedykolwiek jakaś moc zdolna spełnić trzy życzenia miała objawić się Pierce'owi Moffettowi - ona, on bądź to (dobra wróżka, dzin, osobliwie wygrawerowany pierścień) - nie zastałaby go zupełnie nieprzygotowanym, lecz również nie całkiem gotowym.

Kiedyś, dawno temu, nie wydawało mu się to żadną trudnością: po prostu wystarczyłoby wykorzystać trzecie życzenie, aby otrzymać kolejne trzy i tak dalej, *ad infinitum*. Kiedyś, dawno temu, nie miał też żadnych skrupułów co do wypowiedzania życzeń, których skutkiem byłyby przerażające wynaturzenia wszechświatów jego oraz cudzych: żeby mógł zamienić się z kimś głowami na jeden dzień, żeby Brytyjczycy wygrali wojnę o niepodległość (jako dziecko był zapamiętałym anglofilem), żeby ocean wysechł po to, by mógł obejrzeć ze swego brzegu bajeczne góry i doliny, wyższe i głębsze niż jakiegokolwiek z tych znajdujących się na lądzie, które, jak wyczytał, leżą w jego odmętach.

Rzecz jasna, dysponując nieskończonym ciągiem życzeń, teoretycznie mógłby naprawić szkody, jakie poczynił. Lecz w miarę dorastania coraz bardziej tracił wiarę we własną mądrość i moc, które pozwoliłyby mu na doprowadzenie wszystkiego do ładu. A wyciągnąwszy naukę z tuzinów opowieści ku przestrodze, jakie czytał, opowieści o fatalnie wykorzystanych życzeniach i takich, które

podstępnie obróciły się przeciw ich autorom, błędnie wypowiedzianych bądź nieroztropnie sformułowanych życzeniach wtrącających chciwców, ludzi bezmyślnych oraz głupców w otchłanie przez nich samych stworzone, jał rozważać pytanie bardziej wnikliwie. Małpia łapka: sprowadź mojego martwego syna - i jakaś odrażająca postać zjawia się u drzwi. Dobrze: zrób no mnie martini. No i Midas - pierwszy i najstraszniejszy przykład ze wszystkich. Pierce doszedł do wniosku, że to nie owe moce, które spełniały życzenia, pragnęły naszej zguby, czy nawet udzielenia nam lekcji moralności - wszak są one wyłącznie zmuszone przez rozmaite okoliczności do tego, by czynić tak, jak im nakażemy, ni mniej, ni więcej. Midas nie dostał nauczki w kwestii fałszywych bądź prawdziwych wartości; ów demon, który spełnił jego życzenie, nie miał o nich pojęcia, nie pojmował, czemu Midas życzy sobie własnej zguby, i mało go to obchodziło. Życzenie zostało spełnione, Midas objął swoją żonę - być może przez chwilę demon był nawet zdumiony rozpaczą Midasa, lecz nie będąc istotą ludzką, a wyłącznie mocą, nie głowił się nad tym zanadto i oddalił się do innych mądrych bądź głupich posiadaczy życzeń.

Pozbawione wyobraźni, wyjątkowo niemądre z ludzkiego punktu widzenia, silne dzieci zdolne bezmyślnie niweczyć naturalną kolej rzeczy niczym zabawki, a przy tym łamać ludzkie serca, które były nieroztropne na tyle, by nie zdawać sobie sprawy z tego, jak bardzo kochają i owej naturalnej kolei rzeczy potrzebują - z podobnymi mocami należy się obchodzić ostrożnie. Pierce Moffett,

odkrywając w sobie w miarę dorastania skłonności do ostrożności, a nawet trwożliwości, mającej wpływ na choćby i najbardziej impulsywną i chciwą naturę, rozumiał, iż musiałyby wszystko skrupulatnie zaplanować, żeby ująć bez szwanku z tym, czego pragnął.

Okazało się, że istnieje tak wiele aspektów problemu, które należałoby rozważyć - nawet wówczas, gdyby odsunąć na bok jego zmieniające się zachcianki - iż będąc już człowiekiem dojrzałym, wykładowcą akademickim, historykiem, wciąż jeszcze nie doprowadził do końca swych rachub. W owych bezużytecznych, pustych przestrzeniach czasu, które zaśmiecają każde życie, w poczekalniach lub strefach oczekiwania bądź - jak tego właśnie sierpniowego poranka - gdy siedział wyglądając przez przyciemnioną szybę okna dalekobieżnego autokaru, często przyłapywał się na tym, że roztrząsa możliwości, negocjując podchwytliwe dwuznaczności wyrażen, wygładzając swe zdania.

Istniało zaledwie kilka rzeczy, które Pierce lubił mniej niż długie podróże autokarowe. W ogóle nie lubił przemieszczania się, kiedy zaś zmuszony był do podróży, starał się wybrać środek najszybszy, acz najbardziej dokuczliwy (samolot), bądź najbardziej rekreacyjny, o największej liczbie chwil wytchnienia i udogodnień (pociąg). Autokar był owym ubogim trzecim, uciążliwym, ciągnącym się w nieskończoność i nieposiadającym przy tym żadnych udogodnień. (Samochód, najczęściej wybierany przez podróżnych, nie wchodził w rachubę: Pierce nigdy nie nauczył się prowadzić). A jego pogarda i

wstręt do autokarów odpłacane były zazwyczaj tym, w jaki sposób był przez nie traktowany: jeśli nie był zmuszony wyczekiwać godzinami w obmierzłych terminalach na połączenie, wpychano go pomiędzy cierpiące na częste kolki niemowlęta bądź usadzano obok łgarzy o nieświeżym oddechu, którzy nachylali mu się do ucha, po czym spali na jego ramieniu - sytuacje, których nie sposób było uniknąć. Tym razem jednak spróbował wyjść owej przykrej konieczności naprzeciw; mając wyznaczone spotkanie w mieście Conurbana - chodziło o ofertę pracy w Kolegium Piotra Ramusa - zdecydował się jechać powolnym, niezatłoczonym autobusem lokalnym, by podróż przez Faraway Hills odbyć niespiesznie, popatrzeć na miejsca znane mu od dawna z nazwy, lecz mimo to mniej lub bardziej nierzeczywiste; wyrwać się na wieś przynajmniej na jeden dzień, zdecydowanie bowiem potrzebował odpoczynku. I rzeczywiście, gdy autobus zjechał z autostrady i poniósł go ku krainie lata, odniósł wrażenie, iż podjął słuszną decyzję; naraz poczuł się zdolny do tego, by zrzucić z siebie za sprawą samego przemieszczania się ów stan ducha, który stał się krępujący i pozbawiony smaku, i wejść w inny, bądź wiele innych, niczym owe ukazujące mu się w tej chwili jedna po drugiej scenki, z których każda zdawała się progiem szczęśliwych możliwości.

Podniósł się z siedzenia, a ze swej płóciennej torby wydobył książkę, którą zabrał ze sobą, by jej lekturą umilić sobie czas (była to *Soledades* pióra Luisa de Góngory w nowym przekładzie; miał ją zrecenzować dla niewielkiego kwartalnika), i jął przeciskać się ku tylnej części autokaru, gdzie wolno było palić. Otworzył książkę, lecz

na nią nie spojrzął; wyjrzał na zewnątrz ku sierpniowej bujności - ocienionym trawnikom, których właściciele zajęci byli podlewaniem ich, dzieciom chlapiącym się w jasnych plastikowych brodzikach, psom oddychającym ciężko na chłodnych werandach. W pewnej chwili na przedmieściach autokar przystanął, rozważając możliwości proponowane przez wysoki zielony znak: New York City, ale właśnie stamtąd nadjechali; Conurbana, której Pierce nie miał na razie ochoty kontemplować; Faraways. Z pełną zadumy zmianą biegów wybrali Faraway Hills, a gdy autokar, po serii płynnych uniesień, nabral wysokości, Pierce uznał, iż owe wzgórza, naprzód zielone, potem błękitne, a dalej tak nikłe, że niemal stapiały się z bladym horyzontem, były właśnie tymi, o których informował znak¹.

Skręcił papierosa i zapalił go.

Pierwsze dwa z jego trzech życzeń (bo oczywiście będą to trzy życzenia, Pierce przestudiował triady, które gromadzą się wszędzie w mitologii północy - skąd najprawdopodobniej miała nadejść jego fortuna - i posiadał własną koncepcję co do tego, dlaczego musiały być trzy, nie zaś więcej lub mniej) przez jakiś czas istniały w swej obecnej formie. Wydawało mu się, że są niepodważalne, niezachwiane i niezawodne, proponował je nawet innym, niczym wzory umów prawnych.

Przede wszystkim życzył sobie zarówno umysłowego, jak i fizycznego zdrowia na całe życie i przez całe życie oraz bezpieczeństwa dla siebie oraz tych, których kocha, a przy tym, by żadna prośba w kolejnym życzeniu nie mogła tego uchylić. Coś w

¹ Faraway Hills (ang.) - odległe, dalekie wzgórza (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

rodzaju życzenia łączonego, lecz mimo wszystko będącego absolutnie koniecznym środkiem ostrożności.

W dalszej kolejności życzył sobie dochodu, nie uciążliwie wielkiego, lecz wystarczającego, bezpiecznego od fluktuacji życia gospodarczego, niewymagającego niemal żadnej uwagi z jego strony a przy tym niewypaczającego jego życia zawodowego: zwycięski kupon loteryjny wraz z jakąś ostrożną poradą inwestycyjną byłby lepszym rozwiązaniem niż, powiedzmy, książka, którą mógłby napisać, a która jakimś magicznym sposobem przebiłaby się na listę bestsellerów, czemu towarzyszyłby cały ten zgiełk związany z występami w programach typu talk-show oraz udzielaniem wywiadów - coś okropnego. Gdyby bowiem nawet czerpał jakąś przyjemność z tego typu sławy i fortuny, zostałaby ona zniweczona przez wiedzę, iż jest nieprawdziwa - byłoby to niczym sprzedawanie duszy diabłu, co z definicji przynosi opłakane skutki. Nie, pragnął czegoś znacznie bardziej neutralnego.

Co pozostawiało jeszcze jedno, trzecie życzenie, nie do pary, życzenie samotne. Pierce wzdrygnął się na myśl o tym, co też by się z nim stało, gdyby ta czy inna młodzieńcza wersja owego życzenia została spełniona. W późniejszych okresach życia zmarnowałby je na wydobywanie się z kłopotów i tarapatów, z których i tak zdołał się wydobyć bez pomocy życzenia. I nawet gdyby w chwili obecnej potrafił zdecydować, czego chce, czego ostatecznie nigdy nie udało mu się dokonać, potrzebowałby mądrości, odwagi i rozsądku; kryło się tu bowiem niebezpieczeństwo a przy tym szansa na osobiwą

szczęśliwość. Trzecie życzenie było tym właśnie życzeniem z całej triady, które zmieniało świat, w jego umyśle zaś było ono obwarowane wszelkiego rodzaju ograniczeniami, zakazami, imperatywami, zarówno moralnymi, jak i kategorycznymi, ponieważ, przynajmniej dla Pierce'a Moffetta, cała zabawa nie miała sensu dopóty, dopóki nie można było wziąć pod uwagę wszelkich konsekwencji jakiegokolwiek tymczasowego trzeciego życzenia; dopóki nie mógł sobie wyobrazić, z wielką i prawdziwą wyrazistością, jak by to było, gdyby życzenie zostało spełnione.

Pokój na świecie i tym podobne wielkie altruizmy już dawno wykluczył jako nienadające się do przeprowadzenia lub, co gorsza, tkwiące na dnie solipsystycznych złudzeń w rodzaju Midasa, tyle że altruistycznych zamiast egoistycznych: awers tej samej fałszywej monety. Nikt nie był na tyle mądry, by przewidzieć skutki narzucenia światu podobnych abstrakcji. Nie istniał sposób na to, by dowiedzieć się, jakich przemian w ludzkiej naturze oraz życiu potrzeba, ażeby zrealizować podobny zamysł, a jak uczyli go zakonnicy w szkole St. Guinefort, jeśli pragniesz celu, musisz aksjomatycznie zapragnąć środków. Jeśli istniała jakakolwiek siła na tyle potężna, by przekształcić cały wielki świat w to, czego dusza zapragnie, Pierce w żadnym wypadku nie miał ochoty się z nią zmierzyć. Bynajmniej. Bez względu na to, jaki los zgotowały człowiekowi trzy życzenia - komiczny, tragiczny bądź słodki - był to jego los, podobnie jak same życzenia. Świat należało zostawić w spokoju, by wypowiedział sobie własne.

Władza. Rzecz jasna, każde życzenie stanowiło poniekąd pragnienie władzy, władzy nad zwyczajnymi okolicznościami życiowymi, którym podlega człowiek. Lecz istniała inna kwestia niż wyłącznie pragnienie władzy w nieco węższym sensie - poddanie innych swej woli, uczynienie swoich wrogów swoim podnóżkiem. Cała ta rozległa przestrzeń ludzkiego pożądania była w jakiś sposób obca Pierce'owi, władza nigdy bowiem nie pojawiała się w jego marzeniach, jakoś nigdy nie potrafił sobie wyobrazić nazbyt wyraźnie jakiegokolwiek innej władzy w swoich rękach prócz wyłącznie takiej, która mogłaby zostać wykorzystana przeciw niemu. W tej kwestii wolność od władzy stanowiła jego jedyne prawdziwe życzenie, zaś życzenia negatywne zawsze wydawały mu się nikczemnością.

Przyszło mu na myśl (podobnie jak żonie rybaka ze znanej bajki), że ciekawie byłoby zostać papieżem. Tak się bowiem składało, iż miał kilka pomysłów co do prawa naturalnego, liturgii oraz hermeneutyki; pomyślał przy tym, że piastujący to stanowisko człowiek o znacznej wrażliwości historycznej mógłby, w miarę swych skromnych możliwości, uczynić sporo dobrego, wyłożyć wolę bożą i narzucić ją mocą dekretu, ukrócić ciągnące się przepychanki stające pomiędzy *Sanctissimus* a wykonaniem Jego woli. Lecz owo zadowolenie nigdy nie zrekompensowałoby okropnej nudy oficjalnego stanowiska; tak czy owak władze kościelne najprawdopodobniej nie były na tyle wrażliwe na bulle oraz encykliki,

na ile powinny bądź na ile bywały w przeszłości. Któż to mógł wiedzieć.

Miłość. Pierce Moffett doświadczył w miłości zarówno szczęścia, jak i nieszczęścia, co zresztą stanowiło jeden z powodów, dla których w tej chwili znajdował się w autokarze przemierzającym Faraway Hills. W taki czy inny sposób miłość pochłaniała zasadniczą część jego marzeń i nie bardziej niż jakikolwiek inny mężczyzna nie potrafił oprzeć się pokusie igrania z myślami o hipnotycznej władzy, nieodpartym uroku, świecie jako jego haremie bądź, wprost przeciwnie, o jednej jedynej istocie doskonałej, stworzonej całkowicie dla jego potrzeb, takiej, jakie samotni nauczyciele akademicy z ekshibicjonistycznym rozmachem opisywali w działach z ogłoszeniami towarzyskimi pewnych prenumerowanych przez Pierce'a czasopism. Nie, wykorzystanie trzeciego życzenia do tego, by zawładnąć czyimś sercem, nie miało sensu. Było zgoła czymś niewłaściwym. Co gorsza, nie zadziałałoby. Albowiem, Pierce jasno zdawał sobie z tego sprawę, nie istnieje większa radość niż ta, jaką daje odkrycie, iż zostaje się dobrowolnie wybranym przez przedmiot własnego pożądania, nie istnieje żadna radość, która mogłaby się z nią równać. Zdumiewające spełnienie, jakie daje owa nieoczekiwana pewność, jak gdyby sokół zdecydował się sfrunąć z nieba i przysiąść na jego przegubie, wciąż dziki, wciąż wolny, lecz należący do niego. Któż potrafiłby, któż zdołałby wymusić coś podobnego? Niedostępne serca dziewcząt na telefon, zgaszone oblicza zdobyczy ostatniej szansy; będąc wystarczająco pijanym lub odurzonym narkotykami

Pierce potrafiłby udawać przez godzinę bądź przez jedną noc. Ale na tym koniec.

I gdyby wówczas sokoły wzbiły się w powietrze, zdecydowane wzlecieć, tak jak uprzednio zdecydowały się wylądować, i gdyby on nie zdołał zrozumieć dlaczego - wszak naprzód nie rozumiał, czemu wylądowały - byłoby to, musiałyby być, czymś oczywistym, jeśli ktoś nade wszystko zamierzał obdarzać je miłością. Szlachetne sokoły, łaskawie niełaskawe.

Chalkokrotos.

Życzę sobie, pomyślał, życzę sobie, życzę sobie...

Chalkokrotos, „pobrząkująca brązem” - gdzie wpadł na ów epitet należący do jakiejś bogini? *Chalkokrotos* na jej brązowe włosy i pobrząkiwanie jej bransoletek pewnej nocy. *Chalkokrotos* na jej oręż i skrzydła.

Dobry Boże, pomyślał i, krzyżując nogi, począł przeglądać książkę. Rzucił niedopałek na podłogę pomiędzy znajdujące się na niej śmietnisko petów i pouczył sam siebie, że być może marzycielstwo nie jest tym, czemu powinien się oddawać w tej właśnie chwili, w tym tygodniu, tego lata. Wyrzwał przez okno, ale dzień przestał już napływać ku niemu, a raczej to on przestał odpływać ku dniowi. Po raz pierwszy od chwili, kiedy powziął decyzję o tej wycieczce, poczuł, że nie tyle podróżuje, ile ucieka, zaś to, od czego ucieka, pochłonęło całą jego uwagę.

Będąc chłopcem, wyjeżdżając z zacisza swego domu w Kentucky na wschód oraz na północ do Nowego Jorku, gdzie mieszkał jego ojciec, widywał znaki kierujące podróżnych ku Faraway Hills, przez które obecnie przejeżdżał, choć ogromny nash, w którym tłoczyli się jego krewni, nigdy nie udał się w kierunku wskazywanym przez strzałki.

Za kierownicą auta siedział wuj Sam (wuj Sam, który żywo przypominał Wujka Sama ubranego w czerwień, biel i granat, z wyjątkiem koziej bródki oraz brązowego lub szarego garnituru bądź wymiętej kory, jakie nosił podczas owych letnich podróży), obok niego zaś siedziała matka Pierce'a z mapą w dłoni, aby go pilotować, a tuż przy niej, w ustalonej kolejności, jedno z dzieci: Pierce bądź któreś z czwórki Sama. Reszta toczyła walkę o miejsce na długiej kanapie, jaką stanowiło tylne siedzenie.

Choć z trudem, nash mieścił ich wszystkich. Nabrzmiące boki oraz wydatny tył jego kształtu przypominającego przedpotopowego kolosa wydymały się, jak się zdawało, od nadmiaru pasażerów i bagażu. Sam nazywał swój wóz Ciężarną Lochą. Był to pierwszy samochód, jaki Pierce dobrze poznał; wspomnienie woni jego szarej tapicerki oraz miękkich w dotyku uchwytów dla pasażerów wciąż nieodmiennie oznaczało dla niego Samochód. W owych długich podróżach było coś pokutnego, czego nie miał nigdy zapomnieć, i mimo iż nie miał nic przeciwko nashowi, wyrażenie „przyjemność jazdy” miało już do końca życia pozostać dla niego oksymoronem.

Opuszczając uległe erozji i sprawiające wrażenie niedokończonych lasy i wzgórza Kentucky, przemierzali niczym

nieróżniącą się okolicę, choć niekiedy w promieniach słońca ujawniały się w dalszej perspektywie pofałdowane wzgórza, które oznaczały Pensylwanię, i jechali dalej. A potem, za sprawą rytuału, jakim był przejazd wiodący przez szeroką bramę oraz nabycie podłużnego biletu, wjeżdżali na nowiutką Autostradę Stanu Pensylwania i na jej szerokim grzbiecie unoszeni byli ku krainie tyleż nowej, co i dawnej, krainie, która w jednej i tej samej chwili była Historią oraz lśniącą, czystą Teraźniejszością. Historia i błękitno-zielone pejzaże wolnej, nowo odkrytej, nieograniczonej i żyznej krainy, oznaczającej dla niego nie Kentucky, lecz Amerykę z jego szkolnych czytanek, zawierały się dlań nie tylko w pofałdowanych wzgórzach, które przemierzali, kołysząc się, ale w świergocie pensylwańskich nazw na jego języku i w myślach - Allegheny i Susquehanna, Schuylkill i Valley Forge, Brandywine i Tuscarora. Nigdy nie mieli ujrzeć choćby skrawka Brandywine i miejsc jemu podobnych, niczego z wyjątkiem znajdujących się w ich pobliżu restauracji przy autostradzie, czystych, jednakowych, nasłonecznionych lokali o identycznych menu, identycznych lizakach i kelnerkach - w gruncie rzeczy nie były one wcale identyczne, każdy z nich bowiem nosił na swej kamiennej fasadzie jedną z owych uroczych nazw. Pierce roztrząsał różnicę między Downingtown a Crystal Spring, kiedy zasiadali wokół długiego stołu, jedząc na śniadanie egzotyczne potrawy, których nie mieli w domu - sok pomidorowy (u nich wyłącznie i nieodmiennie pomarańczowy) lub

parówki w kształcie małych kotlecików, bądź parówki duńskie, a nawet owsiankę dla Sama, który jako jedyny delectował się nią.

A potem ruszali w dalszą drogę przez krainę lasów i pól uprawnych, która zdawała się słabo zaludniona i wciąż jeszcze niezbadana (owa iluzja towarzysząca podróży autostradą, że okolica jest pusta, a nawet prastara, była bardziej intensywna w czasach, gdy samochody po raz pierwszy opuściły stare, obsadzone billboardami, mocno uczęszczane drogi na rzecz nowo powstałych skrótów), i - co najlepsze - przez pasmo tuneli, których przepięknie murowane wjazdy wyłaniały się nieoczekiwanie sprawiając imponujące wrażenie: wszystkie dzieci wymawiały głośno ich nazwy, bowiem każdy tunel takową posiadał, imię owej nieprzejezdanej geograficznej cechy, w której tunel dokonywał wyłomu i pozostawiał za sobą tak starannie, tak bezceremonialnie - były Błękitna Góra, Laurowe Wzgórze, były (dawniej Pierce potrafił wymówić je wszystkie, niczym wiersz, lecz umiejętność tę utracił) Allegheny i Tuscarora... Jeszcze jakiś?

- Tuscarora - wypowiedział na głos Pierce w autobusie.

O bogata w nazwy Pensylwanio! Scranton i Harrisburg i Allentown były ciężkie i ciemne, naznaczone mrozem; ale nie Tuscarora. Shenandoah. Kittatinny. (To był ostatni tunel: Góra Kittatinny! Zanurzali się w mrok, lecz dusza Pierce'a była uniesiona, jak gdyby za sprawą muzyki, w przestworza letniej aury). Nigdy nie zdarzyło się, by nash zjechał z autostrady, by podążył za znakami, które zapraszały do Lancaster bądź Lebanon, mimo iż mieszkali tam amisze, lub do Filadelfii, wzniesionej dawno temu przez człowieka,

który widniał na opakowaniu kwakerskiej owsianki; jechali prosto przed siebie, ku Autostradzie Jersey, która wydawała się Pierce'owi nikłym cieniem tej z Pensylwanii, chociaż nie wiedział dlaczego: może wyłącznie dlatego, że zbliżali się do Nowego Jorku i jego dawnego świata, wydobywając się z Historii oraz wspaniałej terażniejszości i brnąc w jego osobistą przeszłość, przeciskając się ku ulicom Brooklynu, po które sięgał i wkładał na siebie niczym stare ubrania, zbyt dobrze znane i coraz mniejsze za każdym razem, kiedy do nich powracał.

Istniały zawsze inne możliwości wyboru, do ostatniej minuty, a przynajmniej aż do Pulaski Skyway i diabelskich równin, jakie przecinała, po których nieodłącznie następował podobny nieskończonej mrocznej łazience Tunel Holland. Mogli skręcić na północ ku owym brzmącym z holenderska miejscom (Pierce znalazł je na mapie, którą trzymała jego matka), bądź na południe ku zatoce Jersey - samo słowo „zatoka” przepełnione było dla niego pluskiem spienionych słonych fal, krzykiem mew, widokiem wypłویających od słońca promenad. Po drodze mogli odwiedzić niewyobrażalne Cheesequake. Mogli też skręcić ku Faraway Hills, które wcale nie wydawały się tak bardzo odległe, zjechać z autostrady właśnie w tym miejscu, w niezbyt długim czasie znaleźć się pośród gór Jenny Jump i wkroczać do Krainy Pozorów. Tak wynikało z mapy.

Nie potrafił nakłonić Sama, żeby skręcił naprawdę, podróż nazbyt silnie podlegała własnej logice, nash, pracy przed siebie moloch, poddany był autostradowemu przyzwyczajeniu. On zaś

doprawdy nie pragnął uniknąć spotkania ze swoim ojcem na Brooklynie. Mimo to po cichu wypowiadał życzenie: *Życzę sobie, żebyśmy w tej chwili pojechali w to miejsce*, jego palec dotykał je na mapie i zakrywał. A po chwili - zamykając oczy i pozwalając ponieść się fantazji - dodawał: *Życzę sobie, żebym natychmiast się tam znalazł*, nie oczekując jednak tego, że ryk pojazdu i czynioną przez jego rodzinę wrzawę zastąpi cisza i ptasi śpiew, ani tego, że woń nagrzanego słońcem tapicerki ustąpi zapachom łąki. Chwilę później ponownie otwierał oczy, którym ukazywała się wciąż skrząca się iluzorycznymi sadzawkami srebrzystej wody autostrada oraz billboardy reklamujące atrakcje, jakie oferowało zbliżające się w szybkim tempie miasto.

W sumie też tu ładnie, pomyślał w tej chwili Pierce, spoglądając ku łąkom, stawom oraz okolicznym miasteczkom. Wszystko to było dość przyjemne, z pewnością, a nawet więcej niż przyjemne - budziło pragnienie, lecz równocześnie owo miejsce, o którym mawiamy „wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”, nie było jakoś szczególnie gdzie indziej. Nie poznał go jako chłopiec - nie zawsze znał je jako mężczyzna - lecz czym innym jest wyrażanie życzeń, czym innym zaś tęsknota. Tęsknota, drżenie duszy ku spokojowi, odprężeniu, odnowie lub odpoczynkowi; pragnienie szczęścia, które przez chwilę jawi się jako ów kaczy staw, nad którym pochylają się klony, jako ładny kamienny dom, którego koronkowe firany zapraszają do chłodnych pokoi, gdzie narzuta zwinięta jest na wysokim łożu - z trudem pozyskana mądrość rozróżniła podobne drżenia, posiadające przelotne

cele, i prawdziwe życzenia, które ukształtowały przedmiot pożądania z taką starannością, że nie mógłby sprawić zawodu.

Goshen. Zachodnie Goshen. Wschodnie Bethel. Bethel. Wybór pomiędzy Stonykill, trzy mile, a Fair Prospect, cztery - wybrali Fair Prospect, dobrze. *Życzę sobie, żebym znalazł się tu w tej chwili, w Fair Prospect w Faraway Hills*: i właśnie tam, lub niemalże tam, się znalazł - tyle, że ćwierć wieku później.

Lecz tymczasem najwidoczniej coś niedobrego stało się z autokarem, którym podróżował. Z mozołem pokonywał długie, kręte wzniesienie mniej strome niż te, które już zdołał przemierzyć; gdzieś głęboko w jego wnętrzu rozległo się basowe dudnienie, jak gdyby serce poczęło uderzać o żebra. Dźwięk ustąpił z chwilą, gdy kierowca odszukał bardziej komfortowy bieg, a następnie znowu dał się słyszeć wraz z narastającą stromizną drogi. Pojazd zwolnił i począł się wlec; stało się jasne, iż nie zdołają pokonać wzniesienia, ale zdołali, choć nie bez trudu; autokar parsknął i zadyszał, niczym zajęchany koń, po czym ukazał się prześliczny widok, oprawiony przez ciemny szpaler drzew o ciężkich koronach, niczym pejzaż Claude'a: pełen słońca pierwszy plan, wijąca się srebrna wstęga rzeki o zielonych brzegach, wilgotna perspektywa zlewająca się z przymglonym niebem i puszystą chmurą. Przemknął po nich cień liści, zaś autokarem wstrząsnęło jakieś okropne szarpnięcie - zerwane więzadło, udar, więc jednak się nie udało. Pojazd zadygotał na całej swej długości, a jego silnik zgasł. W ciszy - Pierce dosłyszał syczenie opon na powierzchni jezdni - stoczył się po drugiej stronie wzniesienia wprost do rozciągającej się u

jego podnóża wioski, kilka drewnianych oraz kamiennych domów, ceglany kościół, jednoprzęsłowy mostek na rzece, i tam, na oczach kilku zaciekawionych ludzi stojących na werandzie połączonej ze sklepem spożywczym stacji benzynowej, zatrzymał się. A niech to.

Kierowca wysiadł, pozostawiając swych pasażerów na miejscach, nadal zwróconych ku frontowi, jak gdyby wciąż jeszcze jechali, tyle że stali w miejscu. Z zewnątrz dobiegł odgłos otwierania komory silnika; kierowca zajrzał doń, podłubał, po czym czmychnął w kierunku sklepiku, z którego przez jakiś czas nie wychodził. Kiedy wrócił, wsunął się na powrót na swoje siedzenie i wziął do ręki mikrofon - choć gdyby zwrócił się do nich, mniej więcej piętnaścioro pasażerów autokaru usłyszałoby go wystarczająco wyraźnie; może czuł się nieco skrępowany - i oznajmił metalicznym głosem: „No cóż, drodzy państwo, coś mi się zdaje, że ten autokar już dalej nie pojedzie”. - Szmery i pomruki niezadowolenia. - „Zadzwońm do Cascadii i obiecali przysłać drugi autokar tak prędko, jak tylko będzie to możliwe. Potrwa to jakąś godzinkę. Wedle życzenia możecie państwo wygodnie posiedzieć sobie tutaj, w autokarze, albo wysiąść”.

Nieodmiennie zdumiewało Pierce'a, że bez względu na to, w jakie kłopoty pakowali swoich pasażerów autokary oraz ich słudzy, nigdy nie pozwalali sobie na zaniechanie pozorów, że oferują im wygodę, luksus, a nawet rozkosz. Wepchnął swą księgę samotności do bocznej kieszeni torby, zarzucił ją sobie na ramię, po czym wysiadł, kierując się w ślad za kierowcą, który, jak się zdawało, zamierzał skryć się w sklepiku.

- Przepraszam pana!

Cóż to był za dzień, doprawdy, co za dzień! Prawdziwe powietrze, jakie wypełniło jego płuca, kiedy wziął wdech, by ponownie zawołać, było wonne i świeże w porównaniu z fałszywym powietrzem autokaru. - Przepraszam pana!

Kierowca odwrócił się, unosząc brwi, co miało oznaczać „czy mógłbym w czymś pomóc?”.

- Mam bilet do Conurbany - oświadczył Pierce. - Miałem złapać przesiadkę do Cascadii. Spóźnię się?

- O której?

- O drugiej.

- Przykro mi to mówić, ale na to wygląda.

- A czy mogliby go przetrzymać?

- Oj, wątpię. Wie pan, sporo ludzi jeździ tym z Conurbany. Oni też mają swoje przesiadki. - Niewyraźny uśmiech, takie jest życie. - Wydaje mi się, że jest jeszcze jeden do Cascadii, o szóstej.

- Świetnie - jęknął Pierce, próbując powściągnąć złość; w końcu z tego, co wiedział, nie była to wina tego człowieka. - Mam tam spotkanie o pół do piątej.

- Ojej - zafrasował się kierowca. - Niedobrze.

Wydawał się naprawdę zmartwiony. Pierce wzruszył ramionami, rozejrzał się wokół. Tchnienie bryzy uniosło listowie z drzew, które łukiem okalały wioskę, po czym pierzchło, przywracając południowy bezruch. Pod wpływem chwili pomyślał o wzięciu taksówki, nie, tu nie znajdzie taksówki, autostop - nie podróżował autostopem od

czasów studenckich. Powrócił rozsądek. Pomaszerował w stronę sklepiku, przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu dziesięciocentówki.

Aż do tego lata Pierce Moffett prowadził zajęcia z historii i literatury w niewielkim nowojorskim college'u, jednej z owych instytucji, które w następstwie niepokojów lat sześćdziesiątych wyszły naprzeciw potrzebom przede wszystkim poszukującej młodzieży, naukowej cyganerii, która, jak się wówczas zdawało, poczęła formować własną kolorową koczowniczą kulturę. Beduini, obozujący w obrębie zgiełku większej społeczności, rozbijający swe namioty i przenoszący się w chwili, gdy pojawiało się zagrożenie wtargnięcia cywilizacji, żyjący z dnia na dzień nie wiadomo z czego, ze sprzedaży narkotyków bądź z rodzicielskich pieniędzy. Barnabas College stał się ich karawanserajem, zaś Pierce przez jakiś czas był tam popularnym wykładowcą. Jego podstawowe zajęcia, historia dla pierwszego roku - nazywane żartobliwie przez jego studentów misteriami dla pierwszego roku - były mocno oblegane na początku minionych semestrów; umiejętnie potrafił stwarzać wrażenie, iż posiada ogromną, niesamowitą tajemnicę, którą przekazuje im podczas swoich zajęć, historię do opowiedzenia, której zdobycie wcale nie mało go kosztowało, a oni muszą tylko sięść spokojnie i posłuchać. Ostatnio, co prawda, coraz mniej studentów potrafiło wytrwać do końca; ale nie był to powód, przynajmniej nie główny, dla którego Pierce nie miał już wrócić do Barnabas College jesienią.

Kolegium Piotra Ramusa, do którego zdązał, było z natury czymś zupełnie innym, na tyle, na ile był w stanie ocenić; zmurszałą hugenocką fundacją, która wciąż egzekwowała regulamin dotyczący stroju (tak mu powiedziano, choć nie bardzo w to wierzył), zajmującą kamienny budynek na przedmieściach podupadającego miasteczka. Jego wizerunek tkwił na liście od dziekana, który, zmięty i poplamiony potem, Pierce wydobyl z kieszeni; liście, który stanowił zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną: niewielki staloryt nakrytego kopułą budynku, przypominającego gmach sądu bądź kościół Chrześcijańskiej Nauki. Pierce wyobrażał sobie nowe akademiki z lanego betonu i laboratoria, pośród których owa budowla tkwiła teraz uwięziona. Pod wizerunkiem znajdował się numer telefonu college'u.

Do wejściowych drzwi - z moskitierą - sklepiku przyczepiony był znacznie już wyblakły blaszany szyld reklamujący chleb, blondynka i jej posmarowana masłem kromka: Pierce'owi od lat nie zdarzyło się wchodzić przez podobne drzwi z podobnym szyldem. Wewnątrz unosiła się chłodna i bezimienna woń, coś, co przywodziło na myśl naftę, rodzyнки i okruszki z kruchych ciasteczek, a co stanowi odwieczny zapach podobnych sklepików; sklepy miejskie, które sprzedają niemal takie same towary, najwidoczniej nigdy go nie miały. Wykręcając numer, Pierce poczuł, jak zapada się w przeszłość.

W owej sierpniowej popołudniowej godzinie w Kolegium Piotra Ramusa nie było żywego ducha z wyjątkiem zastępców; nikt nie chciał przełożyć jego spotkania, on jednak nie śmiał go zupełnie odwołać; zostawił kilka ogólnikowych wiadomości, które zostały

przyjęte bez szczególnego entuzjazmu, poinformował, że zadzwoni ponownie z Cascadii i w stanie zawieszenia odwiesił słuchawkę.

Przy ladzie spostrzegł chłodziarkę na napoje gazowane, jedną z tych w typie sarkofagu, która niegdyś stała w sklepie Delmonta w miasteczku, w którym dawniej mieszkał: ta sama ciemnoczerwona barwa i to samo ciężkie wieko pokryte cynkowymi liniami, wewnątrz zaś znajdował się ciemny brodzik z lodem i wodą oraz schłodzone butelki, które głucho pobrzękiwały razem, gdy wybrał jedną z nich. Ze znajdującej się obok obrotowego stojaka z widokówkami tekturowej planszy, pełnej okularów przeciwsłonecznych, wyciągnął jedną parę; rozważył też możliwość kupna egzemplarza lokalnej gazety, której sterta piętrzyła się obok, ale zrezygnował. Nazywała się „Kurier Faraway”. Zapłacił za colę i okulary, uśmiechając się do sympatycznej dziewczynki, która z uśmiechem przyjęła od niego pieniądze, po czym wyszedł z powrotem na powietrze, czując się osobliwie wolny, jak gdyby osiadł na brzegu bądź z trudem do niego dobił. Włożył swoje nowe okulary, co sprawiło, że dzień jeszcze bardziej począł przypominać pejzaż Claude'a, przepojony odcieniami bursztynu i głęboko przyciemniony: spokojny.

Przerwał swą podróż, być może było to wielce ryzykowne, i bez wątplenia wiele trzeba będzie za to zapłacić nudą lub zgoła czymś gorszym; nie miało to znaczenia, ani przez chwilę nie potrafił się tym przejmować, albowiem ani szczególnie nie pragnął dotrzeć tam, dokąd zmierzał, ani nie miał ochoty wracać tam, skąd wyruszył. Jeśli czegokolwiek pragnął, to po prostu usiąść tu, przy tym drewnianym

piknikowym stole w cieniu, nie ruszać się, sączyć colę oraz głęboki spokój tego, co zdawało się zacisznymi i powszechnymi wakacjami.

Spokój. Teraz można było go sobie życzyć bez stawiania warunków: wieczne wewnętrzne wakacje, ucieczka wyszła na dobre. Żeby tak jakimś sposobem zachować na zawsze ten bezruch, który wciągnął w płuca wraz ze słodkim powietrzem, jakim oddychał, dla swej wewnętrznej pogody.

Ale życzenia dotyczące wartości moralnych, pogody ducha czy tolerancji mogły również sprawić kłopoty. Ów zakaz, (który Pierce uznał za oczywisty), by nie życzyć sobie takich atrybutów jak zdolności artystyczne - zasiadasz przy fortepianie, zaś *Appassionata* płynie nieoczekiwanie spod palców - odnosił się poniekąd również do mądrości, do oświecenia, do płynącej z głębi serca wiedzy, bezużytecznej, dopóki się jej nie zdobyło, zaś ów proces zdobywania jej stanowił bez wątpienia jej istotę.

Najrozsądniejsze wyjście. Pierce odetchnął głęboko, już dawno doszedł do podobnych wniosków. Najrozsądniejszym wyjściem byłoby po prostu odrzucenie oferty w całości. Dziękuję, ale nie skorzystam. Z pewnością był już na tyle mądry - a przynajmniej na tyle odczytany - by wiedzieć, iż najprawdopodobniej coś destrukcyjnego dla powszechnego szczęścia tkwi w samej naturze spełnianych życzeń. Wiedział o tym. A jednak. Mógł jedynie żywić nadzieję, że kiedy pojawią się życzenia, okaże się mądry, a nie trawiony pragnieniem; w dobrej formie, nie zaś sparaliżowany przez jakiś przedmiot pożądania; nie w jakichś okropnych okolicznościach,

z których desperacko potrzebowalby wybawienia: innymi słowy, nie w tej właśnie chwili. Potem, nawet gdyby nie mógł odmówić w całości, być może byłby przynajmniej w stanie obrać drugi pod względem roztropności kurs, rozsądną opcję, którą wypracował już dawno temu, zwykle nazbyt rozsądną jak dla niego: chodziło o to, by gdy jego dwa pierwsze praktyczne życzenia co do zdrowia i dobrobytu zostaną wypowiedziane i spełnione, trzecie wykorzystać po prostu na zażyczenie sobie, by mógł zapomnieć, iż całe zajście kiedykolwiek miało miejsce; bezpieczeństwo i komfort zostałyby mu zapewnione magicznym sposobem, zaś on zapomniałby, iż kiedykolwiek wiedział o możliwości spełniania życzeń, wróciłby do swego (obecnego) stanu niewiedzy o tym, że podobne wtargnięcia mocy do świata, mocy danej do jego niemądrej dyspozycji, są rzeczywiście w ogóle możliwe.

Rzeczywiście zasadniczo w ogóle możliwe. Pierce napił się coli. Z bocznej drogi za kościołem przybłąkała się owca i weszła na szosę.

Rzecz jasna, istniała możliwość, że podobne zdarzenie miało już miejsce. Najroztropniejszy zestaw życzeń mógł już funkcjonować, już został spełniony, dżin zdążył wrócić do swej lampy, lampa do przeszłości, zaś cały proces odszedł w zapomnienie, tymczasem Pierce, nieświadom swej wielkiej fortuny, wciąż zabawiał się roztrząsaniem możliwości. Na pozór zdawało się to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę fakt, że był w tej chwili bezrobotny, oraz jego kondycję psychiczną, która wcale nie wydawała mu się kwitnąca - ale nie istniał żaden sposób, by to orzec. Mógł

przecież zostać nawiedzony choćby dziś rano. Ten dzień, ów błękitny dzień, może być pierwszym dniem jego fortuny, zaś ta chwila może być chwilą pierwszą.

Kolejne kilka owiec wyłoniło się z bocznej drogi i snuło wzdłuż szosy, zbijając się w stadko i pobekując. Jeden z miejscowych na werandzie, który wcześniej wydawał się nieruchomy, wstał, podciągnął spodnie, po czym wszedł na szosę, żeby zatrzymać ruch, machając ostrzegawczo ręką na nadjeżdżającą właśnie furgonetkę, prosząc się zatrzymać, cierpliwości. Wokół stadka krążył pies, od czasu do czasu poszczekując stanowczym tonem i wskazując owcom drogę (teraz był ich już tuzin, a kolejne, niczym zaczarowane, wyłaniały się z bocznej drogi) w kierunku biegnącego przez rzekę mostku, na który jak gdyby nie miały ochoty wejść. Wówczas, pośród tylnej straży stada, wkroczył rosły pasterz z pasterską laską w dłoni, w obszernym, postrzępionym słomkowym kapeluszu na głowie. Z szerokim uśmiechem spojrzał ku niecierplivej furgonetce, jak gdyby nie czując niezadowolenia z tego, że spowodował całe to zamieszanie; swą laską zagnał z powrotem do stada owcę, która miała zamiar umknąć, krzyknięciem pokierował swą trzodą, zapędzając ją na mostek.

Pierce przyglądał się temu, świadom budującego się w jego umyśle bez udziału woli łańcucha skojarzeń, wewnętrzne kartoteki były właśnie przeszukiwane nie wiedzieć w jakim celu. Po chwili rezultat owych poszukiwań został mu raptem objawiony. Podniósł się z wolna, nie mając pewności, czy wierzyć samemu sobie. A po chwili:

- Spofford - powiedział, po czym zawołał: - Spofford!

Pasterz odwrócił się, odchylając kapelusz, by się przyjrzeć, jak Pierce spieszy ku niemu; jedna z owiec o czarnym pysku również się odwróciła, żeby popatrzeć. Wychodzący ze sklepiku, by zebrać i przeliczyć swoje spóźnione stadko, kierowca autokaru ujrzał, jak jeden z jego pasażerów oddala się, spotyka z pasterzem na środku mostku i naraz pada mu w ramiona.

- Pierce Moffett - powiedział pasterz, trzymając go na długość wyciągniętych rąk i śmiejąc się doń szeroko. - Niech mnie diabli.

- To naprawdę ty - odparł Pierce. - Tak właśnie pomyślałem.

- Wpadłeś w odwiedziny? Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

- Niezupełnie - sprostował Pierce. - Nawet nie planowałem się tu zatrzymać. - Wyjaśnił swoje kłopotliwe położenie, Conurbana, awaria silnika, odwołane spotkanie.

- No i co ty na to - rzucił Spofford. - Autobusowy rozbitku.

- Coś mi się zdaje, że spieprzyłem sprawę - odparł pogodnie Pierce. Obaj spojrzeli w kierunku osiadłego na mieliźnie autokaru, wokół którego pasażerowie wałęsali się bez celu.

- Do diabła z tym - powiedział raptem Spofford. - Zostaw to. Wpadnij do mnie. Mieszkam niedaleko. Posiedź trochę. Jest miejsce. Zostań tyle, ile chcesz.

Pierce przeniósł spojrzenie z autobusu na znajdującą się za rzeką łąkę, po której właśnie rozchodziły się owce, z zadowoleniem oddając się przeżuwaniu.

- Zostać? - mruknął.

- Musimy nadrobić zaległości - wyjaśnił pasterz. - Stara alma mater. Stara dzielnica.

- Porzuciłem i jedną i drugą.

- Bez kitu. - Wskazał swoją pasterską laską tereny rozciągające się poza wzniesieniem łąki. - Mieszkam tam wyżej - wyjaśnił. - Po drugiej stronie góry.

Zresztą co tam, pomyślał Pierce. Jeśli o to chodzi, uciekinierski nastrój przenikał go przez cały dzień, cały tydzień; całe lato. Zajechał tak daleko w kierunku Obowiązku i Przyszłości i został zepchnięty z kursu, nie z własnej przecież winy. W porządku. Niech i tak będzie. - Pal licho - powiedział; jakieś osobliwe i nagłe radosne pobudzenie poczęło wznosić się od jego piersi do gardła. - Pal licho, czemu nie.

- Jasne - odparł Spofford. Gwizdnął nutę, która sprawiła, że owce ruszyły z miejsca, i wziął Pierce'a pod ramię; Pierce zaśmiał się, pies zaszczekał, cała gromadka opuściła miasteczko.

Spofford był niegdyś, przed kilku laty, studentem Pierce'a; prawdę mówiąc, należał do grupy jego pierwszych studentów na Barnabas College, eksperymentując z edukacją za sprawą ustawy o darmowej nauce dla zdemobilizowanych żołnierzy, czy też jej wietnamskiego odpowiednika². Pierce pamiętał go, jak siedział na zajęciach z historii: poważny i uważny, w swojej sfatygowanej kurtce (z białą naszywką z napisem SPOFFORD nad lewą górną kieszenią); wydawał się tam dziwny i nie na miejscu. Był zaledwie trzy czy cztery lata młodszy od Pierce'a, dla którego była to pierwsza

² Chodzi o tzw. GI Bill - ustawę z 1944 r., która gwarantowała darmową edukację na poziomie uniwersyteckim zdemobilizowanym żołnierzom.

prawdziwa robota („robota”, tak właśnie mówiono w tamtych czasach; Pierce wykonywał długą robotę na studiach doktoranckich, podczas gdy Spofford wykonywał swoją w Wietnamie). Za te same rządowe pieniądze Spofford otworzył niewielki zakład stolarski w taniej dzielnicy, w której mieszkał Pierce, wykonując zgrabne zapasowe elementy ze zręcznością, której Pierce zazdrościł, a którą z przyjemnością obserwował. Zaprzyjaźnili się, przez jakiś czas nawet mieli wspólną dziewczynę - całkiem dosłownie pewnej nocy, pewnej pamiętnej nocy - i choć pod wieloma względami zasadniczo się od siebie różnili, rozchodząc się każdy w swoją stronę, nigdy nie oddalili się od siebie. Wkrótce Spofford porzucił naukę, niebawem też porzucił miasto, zabierając swe zdolności w rodzinne strony, zaś Pierce co jakiś czas dostawał pisany drobnym maczkiem Spofforda, ale wyjątkowo czytelnym list, stanowiący zawiadomienie o jego postępach oraz zaproszenie do złożenia wizyty.

I oto w końcu się zjawiał. Spofford, brązowy jak orzech i zażywny, w postrzępionym słomkowym kapeluszu i z pasterską laską, wyglądał dobrze i na miejscu; Pierce poczuł, jak wzbiera w nim coś na kształt wdzięczności. Ulice miasta roiły się od Spoffordów, którym nie udało się uciec. Kiedy tamten uśmiechnął się szeroko do Pierce'a z ukosa - bez wątpienia również go taksując - jego zęby zaśniły bielą na pokaźnej twarzy, z wyjątkiem górnej jedyńki, martwej i szarej. - No więc w końcu się zjawileś - powiedział, ofiarując mu swój świat szerokim gestem ręki.

Pierce rozejrzał się wokół. Wspięli się na łąki pomarszczonego podnóża góry; przed nimi wyłaniały się jej lesiste szczyty. Dolina wraz ze swą lśniącą migotliwym blaskiem rzeką leżała poniżej. W takim letnim pejzażu słysząc niemal dźwięki muzyki, ulotne wybrzmiewanie sopranów; Pierce nie wiedział, czy muzyka, która zazwyczaj towarzyszyła początkowym scenom sielankowych kreskówek, zwłaszcza Disneyowskich (muzyka, którą wyśpiewywały animowane wzgórza i drzewa, wykonując przy tym subtelne taneczne ruchy) stanowiła przeniesienie muzyki, którą zdawał się słyszeć w tej chwili, czy też były to wyłącznie jego wspomnienia. Zaśmiał się, słysząc ją.

- Ładnie - stwierdził. - Co to za rzeka?

- Blackberry - odparł Spofford.

- Ładnie - powtórzył Pierce. - Blackberry.

- A góra nazywa się Randa - dodał Spofford. - Ze szczytu można zobaczyć trzy różne stany, z jednej strony Nowy Jork, z drugiej Pensylwania, a z trzeciej New Jersey. Rozległy widok. Jest tam na górze monument, w miejscu, w którym jeden facet miał widzenie.

- Trzech stanów?

- Bo ja wiem? Jakieś religijne.

- Aha. - Pierce nie dostrzegł żadnego monumentu.

- Moglibyśmy na nią wejść. Jest ścieżka.

- Hej, czemu by nie! - odparł Pierce; zdążył już dostać zadyszki przez tę delikatną pochyłość. Przed nimi pies, Rover, poganiacz bydła,

zaszczekał niecierpliwie: jego czworonodzy podopieczni mieli się dobrze, zaś ci dwunożni udawali chorych.

- A tak przy okazji, to twoje zwierzaki? - spytał Pierce spomiędzy owiec, spoglądając w dół na ich głupiutkie zadarte do góry mordki.

- Moje - odparł Spofford. - Póki co. - Wprawnym ruchem końca swej laski klepnął tylne kończyny jakiegoś marudera, który zabeczał i pomknął naprzód. - Latem wykonałem pewną robotę dla jednego faceta. Stawianie stodoły, stolarka. Poszliśmy na wymianę.

- Chciałeś owce?

- Lubię owce - odparł łagodnie Spofford, przyglądając się bacznie swemu stadku.

- No, kto by nie lubił - stwierdził Pierce ze śmiechem. - Wszyscyśmy pobłądzili jak owce - zaintonował fragment z Mesjasza Haendla. - Wszyscyśmy pobłądzili jak owce...

Spofford podchwycił melodię (śpiewali to razem z Pierce'em w wersji balladowej pewnej zimy w Village) i tak we szli na łąkę, podśpiewując:

Wszyscyśmy pobłądzili jak owce

Wszyscyśmy pobłądzili jak owce

Każdy z nas się obrócił ku własnej drodze³.

³ Por. Iz 53, 6. Wszystkie cytaty biblijne za Biblią Tysiąclecia

Rzeka Blackbury (nie Blackberry, jak usłyszał Pierce) wypływa jako mały obiecujący potok w Catskills w stanie Nowy Jork; zasilana przez strumyki oraz ruczaje przerasta lub też włącza swych towarzyszy i staje się rzeką w miarę zbliżania się do granicy stanu, gdzie wpływa do okrągłutkiego i srebrzystego niczym niklowana pięciocentowa moneta górskiego zbiornika, z tego bądź innego powodu zwanego Niklowym Jeziorem. Tam ulega oczyszczeniu z osadów nazbieranych podczas swej nowojorskiej podróży, a gdy odświeżona wypływa z jeziora, spada szeroko pasmem kamiennych bystrzy oraz niskich wodospadów pośród osikowych zagajników, które porastają północne zbocza Faraway Hills. Odnajduje się w długiej centralnej dolinie Faraways, gdzie ci, którzy mówią o Blackburn, mają na myśli tę właśnie rzekę, która rozszerza się, rozciąga i zwalnia swój bieg do tempa pieszej przechadzki, sunąc meandrami poprzez swój teren zalewowy. Dojrzewając, przez wieki stworzyła kilka skrótów biegnących przez dno doliny; w roku 1857 po tygodniu gwałtownych wiosennych ulew odkryto, że przerwała sam środek jednego ze swych wielkich zakoli, pozostawiając po sobie utworzone w starorzeczu jezioro i odcinając dwie mile żeglugi wiodącej z Ashford Haven do Fair Prospect.

Na niemal całej swej długości Blackbury poniekąd była zawsze rzeką bezużyteczną; okolona po obu stronach przez kamienne Faraways (góra Randa wznosi się w paśmie rosnącej stromizny, ciągnącej się od jej zachodnich brzegów), nie posiada żadnego konkretnego dostępu; bryły zadrzewionych wysepek rozsianych mniej więcej co milę utrudniają nawigację. Rozciągająca się pomiędzy rzeką a górami połąć żyznych pól sprzyja uprawie kukurydzy i innych warzyw, choć jest ona często katastrofalnie zalewana, a jako, że nurty rzeki szukają ujścia z doliny, jej brzegi stają się coraz bardziej strome, a bieg coraz węższy, ziemia jest ostrzej pofałdowana i mniej uprawiana, nadbrzeża zaś rzadziej zamieszkiwane.

Rzeka wymyka się z doliny przez przełęcz zwaną Bramą Dawida, pomiędzy podobnymi palisadom stromymi skałami bazaltowymi, które stanowią uległe erozji zdeformowane podnóże góry Randa; ma tam miejsce również niespodziewane zbiegnięcie się ze znacznie mniejszą rzeką Shadow, która wije się i przebija wzdłuż bardziej stromeego zachodniego zbocza Randy, nim złączy się z większym nurtem; to właśnie tam, wzniesione na owych stromych bazaltowych skałach, dostępne dzięki dwóm mostom, jednym biegnącym przez Shadow, drugim zaś przez Blackbury, znajduje się miasteczko Blackbury Jambs, nazwane tak za sprawą zazębienia się - „enjambement” - obu rzek bądź dlatego, że zajmuje ościeżnicę⁴ Bramy Dawida - przy czym obie opinie, jak również inne, są pochodzenia miejscowego.

⁴ Trudna do oddania gra słów: „jamb” w j. angielskim to węgar, ościeżnica, futryna, natomiast „enjambement” to przerzutnia (u nas funkcjonuje również jako „enjambement”) w sensie poetyckim.

Niekiedy przy odpowiedniej pogodzie bądź dobrym świetle można dostrzec z Blackbury Jambs, jak obie rzeki mkną wartkim nurtem i zakręcają na południe, ale nie łączą się. Wody Blackbury, teraz na powrót przepełnione osadami po swej powolnej podróży przez dolinę, mniej są zwierciadlane, słabiej lśnią niż bystrzejsza, zimniejsza Shadow; dwa rodzaje wód przez chwilę płyną ramię w ramię, ocierając się o siebie wzajemnie. Ryby, jak się zdaje, mogłyby płynąć z jednej rzeki do drugiej, jak gdyby przenikając przez zasłonę. Potem chwila ta mija; znów jest to tylko jedna rzeka. (Również i w tej kwestii wiedziony jest miejscowy spór; niektórzy twierdzą, iż widok dwóch rzek to złudzenie optyczne bądź nawet legenda, coś, czego nigdy naprawdę wcale nie widziano. Ci, którzy to widzieli - bądź dobrze znają innych, którzy to widzieli - jedynie potwierdzają ten fakt. Spór trwa.)

Do Blackbury Jambs można dostać się od północy drogą nad rzeką biegnącą wzdłuż jej wschodniego brzegu, a następnie przekraczając most w South Blackbury; można też przedostać się na drugi brzeg nieco dalej, w Fair Prospect, i pojechać niewielką drogą przez jedno czy dwa górskie wzniesienia, po czym wjechać do miasteczka od góry - Blackbury jest bowiem jedną z tych miejscowości, które posiadają górę i dół. Stali mieszkańcy nieodmiennie tak czynią; a ponieważ i ona niegdyś do nich należała, a przy tym była w trakcie ponownego stawania się nim, tak również czyniła Rosie Mucho, gdy przyjeżdżała do Jambs ze swego domu w

Stonykill, mimo iż jej stary samochód kombi, wielki niczym łódź, jak łódź kołysał się i podskakiwał, kiedy wjechała na górską drogę.

Rosie Mucho (z domu Rosalind Rasmussen, nazwisko, do którego niebawem znowu powróci) miała nieco zbyt długą listę spraw do załatwienia; niektóre z nich były przyjemne, jedna nie, jedna nawet niezupełnie była sprawą do załatwienia, choć Rosie postanowiła myśleć o niej jako o takiej, umieściła ją na liście w pamięci wraz z przedszkolem, wizytą w Bluto's Automative i biblioteką. Prócz niej w samochodzie znajdowała się jej trzyletnia córka, Sam, dwa owczarki australijskie, kosmogram urodzeniowy w brązowej kopercie, powieść historyczna pióra Fellowesa Krafra do zwrotu, a także lunch jej męża, zawinięty w plastikowe opakowanie, a przy tym wszystkie inne pozostałości, bagaż i sprzęty, jakie nieuchronnie gromadzi się w samochodzie tego rodzaju i wieku. Obok niej na przednim siedzeniu znajdowało się lustro wsteczne, które urwało się akurat tego ranka, w chwili, gdy Rosie usiłowała ustawić je w miejscu, w którym przymocowane było do przedniej szyby. Nie odbijało się w nim nic nadzwyczajnego, rzucało jedynie na jej twarz oraz twarz jej córki przepiękny sierpniowy poranek oraz zadrzewioną drogę.

Ulice Blackbury Jambs stanowią szereg linii poprzecznych, wiodących w dół ku znajdującej się na nabrzeżu głównej ulicy, która łączy oba mosty. Wznoszące się powyżej domy to często budynki o mizernej posturze, z zewnętrznymi klatkami schodowymi prowadzącymi na piętro i praniem wiszącym z okien na sznurach oraz stromymi frontowymi schodami; jeszcze do niedawna bowiem Jambs

nie mogło uchodzić za urokliwe bądź zamożne miasteczko; było osadą robotniczą. Obecnie są tu sklepiki ze zdrową żywnością oraz sklepy o wyszukanych nazwach w parterowych częściach niektórych domów, galerie w starych magazynach; lecz mimo to, zwłaszcza przy srogiej pogodzie, starsze, owo mniej napawające nadzieją miejsce wciąż pokutuje, jak czarno-biała fotografia: umorusane dzieci, gorzki dzwon kościelny, węglowy dym, zapachy podawanych o piątej obiadów. Rosie, która to wszystko pamiętała, cieszyła się na tę nową schludność i kolor miasta; rozbawiona przy tym jego atmosferą strojności. Skierowała swój okazały samochód w dół, a potem skręciła w cienistą uliczkę, Mapie Street⁵, po czym zatrzymała pojazd - stromizna ulicy wymagała nieco hamowania - przed ogromnym domem, jednym z tych, których dachy z narożem zdają się brzemienne wybrzuszać, a których głębokie werandy podtrzymywane są przez zrobione z kamienia łamanego masywne filary. Z boku budynku tradycyjne schody wiodły do mieszkania na piętrze.

- Chcesz się na chwilę spotkać z Beau? - spytała jej córka Sam. Był to ich zwyczajowy eufemizm oznaczający pobyt w przedszkolu.

- Aha.

- Mogę pójść z tobą?

- Możesz - odparła Rosie, otwierając drzwi auta - albo możesz zostać na podwórku. - Niewielkie brązowawe podwórko posiadało swoje atrakcje: znajdowała się tam zmienna liczba dzieci mieszkających w domu oraz ich leżących tu i ówdzie zabawek - samochody i wózki, a także jaskrawy plastikowy motocykl. Sam

⁵ Klonowa.

wybrała podwórko i z powagą, jak gdyby był to obowiązek, a nie przyjemność, wsiadła na motocykl. Sprzęt obiboków, takim mianem określał te rzeczy mąż Rosie, Mike. Dzieci są obibokami. Mieszkania z zewnętrznymi schodami, jak to należące do Beau, były zaś mieszkaniami-pnączami. Przez cały okres studiów Mike Mucho utrzymywał się z domokrażnej sprzedaży encyklopedii i w ten sposób podłapał żargon. Mieszkania-pnacza oraz sprzęt obiboków na podwórku przed domem stanowiły dobry znak: młode małżeństwa z dziećmi.

Podobnie jak wiele innych pewników, również i ten przeminął. Obecnie opieka dzienna mogła być sygnalizowana przez trzy, cztery bądź pięć samotnych kobiet, kilka z nich z dziećmi, rzeźnika, piekarza i wytwórcę lichtarza⁶ oraz sześcioro czy ośmioro innych dzieci wziętych pod opiekę, żeby dorobić sobie do czynszu - jak tutaj. A przy tym znajdującemu się na górze Beau nie dałoby się wcisnąć encyklopedii, a przynajmniej nie taką, jaką niegdyś sprzedawał Mike.

Powinien był się tego trzymać, pomyślała Rosie, wspinając się po schodach. Założę się, że dobrze sobie radził. Uczynny. Chętnie służył radą. Drodzy państwo Mark, przeprowadzamy badanie opinii publicznej wśród tutejszej społeczności. Pragniemy umieścić te książki w państwa domu bez jakichkolwiek opłat teraz lub w przyszłości.

- Hej, Beau! - zawołała przez moskitierę. - Jesteś tam? - Przyłożyła złączone dłonie do siatki, żeby zajrzeć do środka.

⁶ Odniesienie do tradycyjnej anglojęzycznej rymowanki dla dzieci: *Rub a dub dub, Three Men in a Tub; And who do you think they be? The Butcher, the Baker and the Candlestick Maker.*

- Cześć, Rosie. Wchodź.

Siedział w pozycji lotosu na swoim obleczonym w biel materacu, ubrany w biały kaftan. Jego niewielkie mieszkanie również było białe: ściany, sufit oraz podłogi; długi skrawek orientalnej wykładziny dywanowej łączył emaliowany metalowy stolik kuchenny, białe łóżko oraz nieduży balkon, z którego rozciągał się widok na miasteczko i rzekę. Ścieżka Beau.

- Muszę zaraz lecieć - oznajmiła Rosie, gramoląc się do środka. - Nie chciałam ci przeszkadzać. Hej, nie wstawaj specjalnie dla mnie.

Beau podniósł się ze śmiechem.

- O co chodzi?

- Mogę zostawić na trochę Sam? Mam sporo spraw do załatwienia.

- Jasne.

- Tylko na parę godzin. - Wiedziała, że nie zapłaciła za ten miesiąc, a nie miała przy sobie czeków; nie planowała tego dnia zostawiać tu córki. Nagłe wypadki. Nagłe wypadki oraz pieniądze sprawiały, że czuła się nieco onieśmielona w stosunku do Beau, który również wydawał się zachowywać inaczej niż zwykle.

- Oczywiście - odparł Beau. - Masz ochotę na filiżankę herbaty? Kto jest na dole?

- Nie przyglądałam się. Muszę już lecieć.

Mimo to Beau zabrał się za przyrządzanie herbaty. Rosie obserwowała, jak nastawia wodę na kuchence, wyjmuje herbatę i filiżanki, ustawia je. Wciąż uśmiechał się nieznacznie. Jak zawsze.

Rosie przyszło do głowy, że być może to tylko kształt jego ust sprawia takie wrażenie, kąci uniesione do góry niczym u antycznej greckiej rzeźby: piękne usta, pomyślała. Piękny mężczyzna. Pukle kręconych czarnych włosów miały przepiękny połysk, jego aksamitne oczy były łagodne, długi szeroki nos, owe usta oraz kształtna broda sprawiały, że wyglądał jak renesansowy Jezus najwyższej próby, młody, silny dworzaniek, od którego aż bije świętość.

- Co słyszeć? - spytał Beau. - Jak tam Mike?

Rosie pomaszzerowała ścieżką Beau w stronę balkonu, owijając się we własne ramiona.

- W porządku - odparła. - Dobrze się bawi. Ma sporo frajdy. Jest w swoim Roku Przejściowym Opadania.

- Co to takiego?

- Klimakteria. Ta jego teoria. Co siedem lat. Wszystko układa się dobrze, a potem źle. Coś w rodzaju krzywej.

- A tak. Teraz sobie przypominam. Swego czasu mi to objaśnił. Wspominał o tym.

Mike nie lubił Beau, nie lubił też, kiedy Sam była oddawana pod jego opiekę. Beau raz czy dwa próbował wciągnąć go do rozmowy, kiedy przywoził Sam. Jak zauważyła Rosie, Beau potrafił wciągnąć do rozmowy niemal każdego z wyjątkiem Mike'a.

- Właśnie - odezwała się Rosie. - Rok Przejściowy Opadania. Zmierza w kierunku najniższego punktu cyklu. Czuje się bardzo osłabiony. Tak przynajmniej twierdzi. Jego potrzeby, rozumiesz? - zaśmiała się. - Jego potrzeby wychodzą na wierzch.

Beau otworzył porcelanowy słoik w kształcie tłustej świnki z kruchymi ciasteczkami i wydobyl grudek kółko czegoś brązowego. Zapewne według jego własnego przepisu, pomyślała Rosie, sam gotował, a przy tym opiekował się dziećmi mieszkających na dole kobiet. Opiekował się nimi - to stanowiło jego wyłączną pracę; był dla nich, jak przypuszczała Rosie, kimś pomiędzy guru, służącym a maskotką. Czy łączyły go z nimi jakieś inne stosunki, tego nie wiedziała; nie chodziło o to, że ktokolwiek robił z nich tajemnicę, po prostu pozostawały nazbyt nieokreślone, czy też nazbyt nieszablonowe, by ze wścibstwem o nie wypytywać. Z tego, co Rosie wiedziała, był tyleż cnotliwy, co święty. Cnotliwość: patrząc, jak ze spokojem przeżuwa, poczuła nieodpartą chęć, by pogłaskać go niczym kota.

- Wydaje mi się - powiedział Beau - że jest młodą duszą.

- Naprawdę?

- Wydaje mi się - ciągnął - że właśnie dlatego jest to dla ciebie takie trudne. - Nigdy nie wyjawiała mu, że życie z Mikiem jest trudne.

- Ty jesteś starą duszą - mówił dalej Beau. - A on po prostu nie znajduje się w tym samym punkcie co ty.

- Stara dusza, tak? - odparła Rosie ze śmiechem. - Stara dusza. Stara poczciwa dusza.

Na zewnątrz dał się słyszeć pisk. Beau bez pośpiechu odstawił filiżankę i wyszedł. Sam i Donna, dziewczynka o nieco dzikim obliczu, w stosunku do której Rosie odczuwała nieufność, trzymały

dłonie na plastikowym motocyklu, obrzucając jedna drugą piorunującym spojrzeniem.

- Cześć, Sam - rzucił Beau, osłaniając oczy niczym skaut.

- Cześć, Beau. - Wciąż nie puszczała pojazdu.

Donna znów groźnie pisnęła.

- Hej - odezwał się Beau. - Hej, co to za napięcie, skąd ono pochodzi? Hej, porozmawiajmy.

- Beau, muszę lecieć - wtrąciła Rosie, wydobywając pęk kluczy z kieszeni swego kombinezonu. - Pa, pa, Sam. Bądź grzeczna. Niedługo wrócę. - Sam zdążyła już podjąć negocjacje z Beau, który przyklęknął, żeby wysłuchać obu dziewczynek, i niemal nie zauważyła, jak jej mama odchodzi. Uruchamiając samochód, Rosie obejrzała się na nich i niespodziewanie doznała wizji, pomysłu na obraz, który ją rozbawił. Ogromne malowidło. Byłaby to wersja owego starego obrazu religijnego, którego niegdyś wszędzie było pełno. Siedzący na kamieniu Jezus, zaś wokół niego wszystkie te dzieci wszystkich narodowości o słodkich buźkach i błyszczących oczkach. Z tym, że na jej obrazie wokół tego samego Jezusa (Beau ubranego w swój kaftan) znajdowałyby się prawdziwe dzieci, współczesne; maluchy o lepkich rączkach, uzbrojone w telewizyjną broń, bobasy w plastikowych pieluchach, dzieci w brudnych koszulkach z nadrukowanymi błyskotliwymi stwierdzeniami, ukazujących ich pępki, o policzkach upaprzanych lodami z mrożonego soku pomarańczowego, z plastrami na kolanach; dzieciaki taszczące figurki superbohaterów i przetarte kocyki oraz wszelkiego rodzaju

tanie zabawki, jeżdżące na żółtych plastikowych motocyklach, wydające najdziwniejsze odgłosy. Zaśmiała się głośno, widząc to wyraźnie. Centrum Opieki Diennej Jezusa Dobrotliwego. Dopuście obiboków⁷. Przy końcu Mapie Street musiała przystanąć, nie mogła skręcić, zaśmiewała się bowiem tak bardzo, że w oczach stanęły jej łzy.

W znajdującej się przy Bridges Street⁸ bibliotece, stanowiącej jedną z owych masywnych szarych romańskich kombinacji architektonicznych, jakie swego czasu Andrew Carnegie rozdawał po całej Ameryce, budynków z filarami i łukami, którym nadano wiejski charakter i przykryto kopułami, jednocześnie fantastycznej i przygnębiającej, oddała książkę, o tydzień przekraczając termin zwrotu. Kamienne stopnie wyslizgane zostały w ciągu minionych lat niczym stare lizawki, między innymi przez młode stopy Rosie, zaś w korytarzu wejściowym wisiała płyta prehistorycznego błota, która uległa skamienieniu przed pięćdziesięcioma milionami lat, z wyraźnie odcisniętym śladem dinozaura. Kiedy Rosie była dzieckiem, stawała przed tym odciskiem, rozmyślając: pięćdziesiąt milionów lat; a w kolejnych latach opisywała to innym: stara biblioteka, w której wisi ogromny odcisk łapy jakiegoś prehistorycznego potwora. Ogromny: kiedy Rosie wróciła do Faraways jako osoba całkiem dojrzała, odcisk skurczył się do rozmiarów małpiej łapy bądź ludzkiej dłoni, pokazującej „trzy”; banalnie, śmiesznie mały. No cóż, ona sama taka

⁷ Por. Mt 19, 14.

⁸ Mostowa.

była, wówczas, przed pięćdziesięcioma milionami lat. Wkroczyła do mrocznego wnętrza.

- Jak ci się podobała? - spytała ją Phoebe, kiedy usiłowała znaleźć drobne, żeby zapłacić karę. Była to ta sama Phoebe, której Rosie płaciła niegdyś grzywny za *Tajemniczy ogród* i *Rodzinę Borrowersów* na obczyźnie, a która sama również wraz z wiekiem nieco się skurczyła.

- Dobra - odparła Rosie. - Dobra książka.

- Nigdy go nie czytałam - przyznała Phoebe. - Wydaje mi się, że powinnam. Nasz słynny miejscowy pisarz.

- Jest naprawdę dobra - powiedziała Rosie. - Spodoba ci się.

- Swego czasu były bardzo popularne. - Obróciła w dłoniach *Ciemną równinę*, przypatrując się przez dolną część swych dwuogniskowych okularów okładce o podniszczonych krawędziach: niewyraźny obraz zakutych w zbroje toczących walkę mężczyzn. - Jest ich o wiele więcej.

- To jeszcze nie wszystko, co? - rzuciła Rosie.

Zapłaciła karę i pomaszerowała do półek z książkami. Może powinna sięgnąć po kolejną powieść tego autora. Miała zamiar odłożyć je sobie na zimę, kiedy to, o ile wszystko ułoży się tak, jak się tego spodziewała, będzie potrzebować długich i beztroskich chwil rozrywki, miejsca, do którego można się udać. Lecz nie wiedzieć czemu *Ciemna równina* nie usatysfakcjonowała jej; choć była to powieść barwna i wciągająca, zdawało się, że nie stanowi pełnej fabuły; zapragnęła dalszego ciągu. Przejechała dłonią po grzbietach

książek, niezdolna wyobrazić sobie, w jaki sposób dokonać spośród nich wyboru; wszak знаła jedynie niewielkie części prawdziwych historii, na których były oparte (właściwie to miała nadzieję wiele się z nich dowiedzieć w sensie historycznym), a wszystkie one zdawały się mniej lub bardziej tym samym, każda ze staromodną akwarelą na okładce, na której czarnym odręcznym pismem umieszczony był tytuł, i każda nosiła na samym dole grzbietu niewielką metryczkę ze skaczącym chartem. Wyciągnęła jedną z nich: *Pod znakiem Saturna*, powieść o Wallensteinie. Znowu bitwy. Kim był właściwie ten Wallenstein? Wyciągnęła następną: na jej okładce widniała zatłoczona scena znajdującego się na dziedzińcu zajazdu teatru elżbietańskiego - sprzedawcy pomarańczy, waźniacy z mieczami, uczeń czy ktoś taki, który odwrócił się od sceny i nawoływał jakiegoś gapia z dłonią przy ustach, wskazując na aktorów: *Zapowiada się niezła zabawa, chodźmy*. No dobrze, ta wygląda wesoło. Nosiła tytuł *Ogryzki jabłek*.

Wypożyczyła ją i trzymając pod pachą ów masywny tom o kartkach z nieobciętymi brzegami poczuła się osobliwie bezpieczna. Pozostała jeszcze jedna czy dwie sprawy do załatwienia przed lunchem Mike'a. Lunch Mike'a był na końcu. Z trudem wyprowadziła swe wielkie auto z miejsca parkingowego, wyciągając szyję, by dostrzec, kogo może przejechać; układ kierowniczy ze wspomaganiem zajęczał, dym z oleju napędowego buchnął z rury wydechowej, psy zaszczekały. Pojechała na zachód przez most za miasto, myśląc: *ostatnia sprawa do załatwienia*.

Pomiędzy Blackbury Jambs a Cascadią rzeka na krótko nabiera szerokiej, bystrej wielkopańskości; wzdłuż tego obszaru ciągną się zakłady papiernicze i meblarskie oraz kilka smukłych ceglanych kominów, zaś tu i ówdzie rzeka jest zabudowana i skanalizowana. Większość tych tworów Wieku Żelaza obecnie popadła w ruinę - zakłady na ogół stoją bez okien, zaś budowle nadbrzeżne rozsypują się; ci, którzy składali wizyty w Faraways w ciągu minionego stulecia, gorzko uskarżali się na mroczne sataniczne fabryki oraz wtargnięcie do owego wiejskiego azylu piękna Wszechmocnego Boga Dolara, lecz różowa cegła oraz ciche wyjście z użycia starych fabryk zdają się dziś dość nieszkodliwe, a przy sprzyjającej pogodzie nawet romantyczne. Jeden z niedużych, okrytych bluszczem gmachów, będący niegdyś fabryką krzesel, jest obecnie czymś w rodzaju klasztoru; podczas weekendów odbywają się tam otwarte nabożeństwa, a także ekstatyczne tańce. Jego mieszkańcy sporządzają nawet i sprzedają ziołowe lekarstwa oraz likiery, ale na podwórzu stoją stare samochody oraz wyposażenie obiboków, nie są oni bowiem związani celibatem. Inne z owych dawnych budowli wciąż funkcjonują jeszcze w niewielkim stopniu, oferując usługi w zakresie magazynowania bądź wynajmując pomieszczenia małym przedsiębiorstwom.

Rosie skręciła przy jednym z takich budynków, którego część narożna stanowiła siedzibę firmy Bluto's Automotive.

Jej szyld ukazywał stojącego w rozkroku i szczerzącego zęby w uśmiechu czarnobrodego draba z kreskówek, który w jednej łapie

ściskał tłumik, w drugiej zaś dzierżył klucz; jednakże pracujący tam mechanik był wymoczkowatym mężczyzną o cofniętym podbródku, rzadkiej jasnej brodzie oraz wydatnym jabłku Adama, którego okulary bez oprawek nadawały mu naukowego wyglądu. Popatrzył na lusterko wsteczne, które wręczyła mu Rosie, jak gdyby niczego podobnego wcześniej nie widział, ale o ile da mu się czas na bliższe oględziny, rozgryzie jego przeznaczenie.

- Przykleja się - poinformowała Rosie.

Przyłożył chromowaną nóżkę lusterka do miejsca na szybie, od którego odpadło. Nie trzymało się.

- Nie widzę tego, co jest za mną - poskarżyła się Rosie. - Nie widzę, skąd jadę.

- Klej epoksydowy - orzekł w zamyśleniu. - Jedną chwileczkę.

Wszedł wraz z lusterkiem do warsztatu. Rosie wypuściła swoje cierpliwe psy z samochodu - wyszły z niego niespiesznie, gdy tylko pojęły, że im wolno, po czym zaczęły ganiać się wokół zaśmieconego podwórza; mogłyby rozplynać się w upale, pomyślała Rosie, niczym tygrysy Sambo, zmienić się w masło⁹ Podeszła do ceglanego, posypanego tłuczonym betonem nabrzeża, którym na krawędzi rzeki kończyło się podwórze, po czym oparła się o nie łokciami. Pochylając się do przodu i wyciągając, daleko w dole rzeki mogła dostrzec wznoszące się sponad wód oraz południowej mgły, niczym bajkowy zamek, wieże Buttermana.

⁹ Odniesienie do książeczki dla dzieci autorstwa Hellen Bannerman pt. *The Little Black Sambo*, w której małemu czarnemu chłopcu udaje się przechytrzyć stado tygrysów i sprawić, że roztopiają się i zmieniają w kałużę masła.

Nawet wzdłuż tej głębokiej, przypominającej krainę jezior, części Blackbury znajdują się mniejsze i większe wyspy, które wystawiają czubki swych głów; a na jednej z nich ktoś nazwiskiem Butterman wznosił niegdyś zamek. Prawdziwy zamek z wieżyczkami, fortem zewnętrznym oraz machikułami; w poprzek jednego z czerwonych kamieni umieścił swoje nazwisko, wyryte smukłymi gotyckimi literami, BUTTERMAN'S, zaś wewnątrz znajdował się ogródek piwny oraz teatr variétés. Ludzie przyjeżdżający do Faraway's na wycieczki sto lat temu nie musieli udawać się dalej. Po rzece kursował wówczas przez całe lato parowiec, który wyruszał ze specjalnego stalowego mola w Cascadii (Bramy Faraway's) i przybijał do zamku Buttermana w drodze do Blackbury Jambs, a następnie raz jeszcze w drodze powrotnej do Cascadii. Obecnie zamek Buttermana to ruina, zaś dok w Blackbury Jambs nie istnieje, choć pozostały jeszcze wiodące do rzeki schody: wuj Rosie, Boney, zachował wspomnienia parowca, ona zaś dawniej wyobrażała to sobie: ubrana na biało wczasowicze, świszczący gwizdek parowy i pasiaste płócienne daszki. I choć nigdy nie była wewnątrz ruin Buttermana, zawsze nosiła się z zamiarem zorganizowania do nich ekspedycji, kiedy była już dorosła i nie potrzebowała pozwolenia, ponieważ Butterman, przynajmniej po części, należał do niej.

Udziały rodziny Rasmussenów w Faraway's nie są obecnie tak rozległe jak niegdyś; ogromny budynek w Cascadii został przed dwudziestu laty sprzedany na szkołę dla chłopców i podczas gdy Rosie dorastała, mieszkając z rodzicami na Środkowym Zachodzie,

cała materia dóbr jakimś sposobem rozerwała się na strzępki. „Arkadia”, znajdująca się powyżej Fair Prospect letnia siedziba, wraz ze swymi polami i lasami, wciąż do nich należy, choć ściśle mówiąc nie jest już własnością Boney'ego Rasmussena, który ją zamieszkuje, lecz Fundacji Rasmussenów. Jako dziecko Rosie nie dostrzegła znamion upadku rodziny, o ile taki miał miejsce; prócz Boney'ego miała dziadka i babcię Rasmussenów, a także ojca oraz kuzynów, zaś niedzielne wizyty składała zawsze w jednej lub drugiej rasmussenowskiej satrapii; lecz nawet w tamtych czasach dawało znać o sobie coś w rodzaju abstrakcji, właściwie to dość daleko posuniętej, naprzód odlot jej ojca na Zachód, później zaś coraz bardziej ku własnej szybko zapadającej w mrok duszy (zmarł wskutek przedawkowania morfiny, kiedy Rosie miała czternaście lat), stanowił jedynie najbardziej jaskrawy tego przykład. Kiedy Mike otrzymał pracę w „Lesie” (częściowo za sprawą wpływów Boney'ego, Fundacja Rasmussenów wciąż przyczyniała się do istnienia tego miejsca), zaś Rosie powróciła do Faraways, poczuła się nieledwie jak księżniczka, która obudziła się z trwającego sto lat snu: dziadkowie nie żyli, znajome domy sprzedano obcym, kuzyni wyjechali, nowe asfaltowe szosy oraz plastikowe centra handlowe rozciągały się tam, gdzie do niedawna znajdowały się pastwiska oraz stajnie Rasmussenów. Jedynie Boney, starszy brat jej dziadka, patriarcha rodu, sędziwy już wówczas, kiedy Rosie była dzieckiem, wciąż trwał, przeżywając ich wszystkich. Również Butterman, jej zamek, z tego, co pamiętał Boney, nadal należał do niej lub do niego; jej zamek, o którym snuła

opowieści, sobie i innym, podczas długiego okresu spędzonego na wyjeździe. Zwłaszcza pomiędzy nią a Mikiem zamek stanowił coś w rodzaju żartu, zamek Rosie w Faraways, wiano, obejmą go w posiadanie, jak tylko wspólnie tam powrócą.

Struzka potu spłynęła jej po boku pod koszulką z krótkim rękawem.

Bal Spofforda jest jutro wieczorem, pomyślała; bal Pełni Księżyca nad rzeką. Wezbrał w niej entuzjazm, a może ją opuścił. Poniżej, w szklistych zakolach rozlewiska, pływało kilka kaczek, bezskutecznie skręcając w prądzie, dziobiąc wodę, wspinając się na skały i otrzepując się od głowy do ogona, zawsze tym samym nieznacznym ruchem.

Kąpiel. Długi skok na główkę do ciemnej wody. Zawsze ta chwila, kiedy skakałaś, kiedy upragnione wody napawały cię strachem, jakaś chwila w samym środku przestrzeni, kiedy na wpeł zmieniłaś zdanie, ostatecznie zdecydowałaś się nie skakać, dreszczyk trwogi przed skokiem, który został zmyty przez przeciętą zimną spoistość wód oraz błogosławieństwo znalezienia się w ich nurtach.

- W porządku, hej - krzyknął do niej mechanik Gene.

Odwróciła się w stronę swego auta. Gene siedział rozparty na przednim siedzeniu, podziwiając swe dzieło pod różnymi kątami, podczas gdy psy obwąchiwały nogawkę jego spodni. Na zachodnim niebie pojawił się wielki kłęb gęstych chmur - czoło burzy. Rosie wzdrygnęła się w upale. Wkrótce nadejdzie burza.

Pojechała z powrotem ku Blackbury Jambs, lecz zamiast przejechać przez wiodący do miasteczka most, skręciła w lewo i skierowała się na północ wzdłuż drogi nad rzeką Shadow. Teraz, w samo południe, rzeka nie była cienista, lecz mieniła się i skrzyła słonecznymi kroplami, snopami słonecznego światła przedzierającymi się przez srebrzyste osiki i ciemne jodły ku jej głębokiemu korytu. Płynęła wesoło z pluskiem przez swe wodospady i wokół wysokich butów wędkarza, który tkwił w niej zasadzony na pstrąga.

Shadow jest rzeką rekreacyjną, a przynajmniej tak ją reklamowano i taką pozostawała przez długi czas. W dole, w pobliżu Jambs, wzniesione pośród jodeł domy urlopowe to surowe geometryczne kształty ze szkła i nagiego drewna, o wystających tarasach oraz dachach opadających pod zdumiewającymi kątami. Są to domy „całoroczne”, a niektóre z nich zamieszkują przez cały rok psychiatrzy oraz administratorzy pracujący w „Lesie” - zawodowcy na nieustających wakacjach. Nieco dalej architektura zmienia się, przechodząc w niemodne już drewniane domki górskie w stylu alpejskim oraz letniskowe o spadzistych dachach, pobudowane dziesięć i dwadzieścia lat temu, przeplatane chatami z okrągłaków, a nawet przyczepami kempingowymi wtaszczoneymi z mozołem na miejsce, a następnie wyposażonymi w drewnutnie, werandy i wiaty na samochody, przez co z czasem stały się nieruchomymi domostwami. Lecz jeszcze dalej, u podnóży góry Merrow oraz góry Whirligig, znajdują się najstarsze osady - skupiska bungalów i chat, letnie obozowiska oraz pensjonaty pochodzące z okresu Wielkiego Kryzysu

i sprzed niego, ukochane miejsca radośnie stojące ramię w ramię wokół brzegów starzejących się jeziorok bądź ciągnące się wzdłuż brzegów rzeki wszędzie tam, gdzie rozszerza się ona na chwilę. Domki, które posiadają swoje nazwy na umieszczonych nad drzwiami tabliczkach oraz pobielone skałki okalające ich krótkie frontowe alejki, poustawiane wokół flamingi i wiatraczki, drabinki dla dzieci oraz huśtawki.

Rosie określała powszechny styl tych obozów mianem Kiczowatych Kryjówek; ich niewielkie rozmiary intrygowały ją jako dziecko, ich maleńkość oraz dobrosąsiedzka życzliwość ich mikroskopijnych parcel, harmider, jaki czyniły ich dzieci i psy oraz odgłosy urządzanych pikników. Jej własne dzieciństwo legitymowało się większą skalą, było znacznie bardziej przestronne i cichsze. Tamte miejsca wydawały jej się wówczas dziecinnie małe. A owo wrażenie nie zmieniło się od tamtej pory. Przejeżdżała powoli między nimi w drodze do „Lasu” bądź Ustronnej Chatki Val, za każdym razem spostrzegając coś nowego i zaskakującego. Ktoś ogrodził swój usiany sosnowymi igłami skrawek ziemi betonowym murem z wieżyczkami na każdym rogu, a wszystko to wyłożone kolorowymi szkiełkami, denkami butelek, lśniącymi kawałkami tego i owego. Przedstawiciele klasy robotniczej, którzy zjeżdżali tu na wywczasy, mężczyźni z Conurbany o wydatnych brzuszyskach, najwidoczniej nie potrafili odpoczywać - musieli coś robić. Toteż wznosili betonowe murki i upychali je szkiełkami, stawiali wiaty na samochody, dołki na grilla, i ozdabiali swoje mikroskopijne werandy ornamentami. W każdym

razie robili tak dawniej. Coraz częściej Rosie natykała się na opustoszałe chatki, kempingi na sprzedaż. Zastanawiała się, dokąd teraz jeżdżą. Minio-Nedni, cóż to mogło znaczyć. Minio-Nedni na sprzedaż. Ach, „minione dni”. Przejechała obok sklepu spożywczego „To Tu” oraz sklepiku z przynętą pisaną przez „en” - „Przynenta”. Nie wie pan, jak się pisze „przynęta”? Pewnie, że wiem, ale zawsze przyciąga to sporo ludzi, którzy zaglądają do sklepu tylko po to, żeby mi to powiedzieć. Te dwa sklepy, a także przysadzisty kościół z betonowych bloków były wszystkim, co pozostało z Shadowland, opuszczonego miasteczka, zaprojektowanego niegdyś wokół tych wąskich górskich dolin, z centrum położonym na tym rozdrożu.

Rosie zahamowała na nim. Przed nią, w dole rzeki, znajdował się dom Val; Rosie chciała się z nią spotkać, przywiozła swój wykres, żeby Val zerknęła nań i udzieliła jej rady, a może przy tym miałyby ochotę strzelić sobie jednego szybkiego. Spojrzała na zegarek. Nie. Skręciła w lewo, a po chwili przejechała przez bramę, wielkie niedbale ociosane drewniane słupy, i wjechała na prywatną drogę prowadzącą w górę po zboczu Whirligig, okoloną ciężkim drewnianym ogrodzeniem. Tu i ówdzie odbiegały od niej szlaki i dróżki, oznaczone tabliczkami kierującymi spacerowiczów do Groty, Wodospadu i Serpentyń. Na końcu drogi, pośród zadbanych ogródków, znajdował się okazały drewniany znak, surowa ręczna robota, lecz polakierowany i autorytatywny, który głosił: CENTRUM PSYCHOTERAPII „LAS”. Wokół znaku biegł okrężny podjazd, prowadzący do budynku Centrum.

„Las” to długi, czteropiętrowy, wielokątny, pomalowany na biało budynek o kamiennych kominach i głębokich werandach. Został zbudowany po I wojnie światowej jako dom wypoczynkowy, ów typ miejsca, do którego przyjeżdżały rodziny z klasy średniej na letnie wakacje w górach, by pooddychać dobroczynnym sosnowym powietrzem, jadać wielkie wspólne posiłki przy długich stołach - kurczak w każdą niedzielę - i siadywać na wiklinowych krzesłach na werandach bądź grywać w brydża w przestronnych holach, 4 lipca puszczać fajerwerki, a pod koniec turnusu urządzić sobie przejażdżkę na wozie z sianem. Nigdy nie był luksusowy; w pokojach wisiały firanki, ale ramy łóżek były metalowe i brakowało dywanów, toaleta zaś znajdowała się na dole w holu. W latach dwudziestych zbudowano składające się z trzech dołków pole golfowe oraz kilka kortów tenisowych. Wieczorną rozrywkę stanowiła zaprogramowana muzyka z pianina. Pomimo lojalnej, acz starzejącej się klienteli „Las” przestał być postrzegany jako atrakcja i nim wybuchła kolejna wojna, podupadł. Rosie pamiętała jadalnię z lat pięćdziesiątych, wynędzniałą i przywodzącą na myśl więzienie, i wiekowe kelnerki. Dom zamknięto w 1958 roku i otworzono dopiero po przekształceniu go w prywatną klinikę psychiatryczną, w 1965, kiedy Rosie mieszkała na Środkowym Zachodzie.

Dyrektorzy postanowili roztropnie pozostawić budynek możliwie w takim stanie, w jakim go zastali, nie licząc zmiany wystroju, wymiany wyposażenia kuchni i łazienek oraz przysposobienia kwater dla personelu, biur i gabinetów lekarskich.

Reprodukcje obrazów Maxfielda Parrisha zniknęły w dyrektorskich gabinetach lub domach, zaś znad kamiennego kominka usunięto głowę łośia, którą być może uznano za przedmiot budzący niepokój. Niemniej jednak wiklinowe meble oraz sosnowe stoły z jadalni, chłodna woń od dawna pokrytych drewnem korytarzy, firanki - wszystko to zostało. „Las” jako centrum psychiatryczne miał posiadać te same uspokajające właściwości co wówczas, kiedy był to dom wypoczynkowy, zaś zasady, na których jest prowadzone, pod wieloma względami są wspólnotowe, nie wyłączają grupowych śpiewów przy ognisku, a nawet przejażdżek na wozie z sianem. Ponieważ w ciągu następnej dekady wynaleziono silniejsze środki uspokajające, „Las” począł ponownie podupadać; dziś bowiem nawet poważnie nie zrównoważeni, którzy nie radzą sobie ze światem, mogą zostać w domu i również odpływać hen daleko po cichych wodach mórz. Ci, którzy obecnie przyjeżdżają do „Lasu”, w większości nie znajdują się w rozpaczliwym stanie, choć skala ich nieszczęścia może prowadzić ich do podobnego przekonania. Są to ludzie, którzy, jak to personel tłumaczy miejscowym, „potrzebują odpoczynku”, zaś „Las” jest miejscem wyciszenia, jakim był od zawsze, choć znacznie droższym pod względem kosztów pobytu.

Rosie zaparkowała swoje zziąbane auto, które trzęsło się i dyszało przez jakiś czas po tym, jak zgasła silnik (nie przepadało za podobnymi górskimi wspinaczkami), i jęła mocno przeproszać psy. „Tylko chwilkę”, obiecała i wysiadła, by po chwili wrócić po zapakowany w folię spożywczą lunch dla Mike'a, który leżał na

przednim siedzeniu. Był rozmiękły od upału i zapewne jeszcze bardziej niejadalny niż przedtem, uznała. Kto by się tam przejmował, no kto. Mike zdecydował się ostatnio na zmianę diety, stosując nowy i dość rygorystyczny jadłospis składający się głównie z pełnych ziaren w pewnych kombinacjach. Rosie piekła ciasta i gotowała kompoty, których sobie życzył, ale odmówiła spożywania ich. Beżowe jedzenie.

Kompleks „Las” podzielony jest na dwa skrzydła za sprawą szerokiego portalu biegnącego przez jego środek, przez który widać werandy i trawniki znajdujące się w jego tylnej części. Portal ów oglądany pod pewnymi kątami sprawia, iż całe to miejsce wydaje się dwuwymiarowe bądź nieprawdziwe, przypominając wycięty front czy też stojący parawan, jak gdyby można było złożyć jego pozałamywane powierzchnie i odstawić na bok. Drewniaki Rosie zadudniły echem o płyty chodnika; unikała spojrzeń jednej czy dwóch osób, które wałęsały się bez celu wokół tabliczki informacyjnej - można było tu spędzić wiele godzin, jeśli przykuło się uwagę niewłaściwego człowieka - i skierowała się ku wschodniemu skrzydłu przez wielkie stare drzwi z moskitierą, które kłapnęły za jej plecami z zadowoleniem. W zasadzie podobało jej się tutaj. Pech. Przy kontuarze spytała o dra Mucho, zauważając przy tym na znajdującym się nad nim zegarze, że spóźniła się zaledwie o parę minut.

- Trzymaj - powiedziała, kiedy się zjawił. Podała mu jedzenie. - Muszę ci coś powiedzieć.

Kobieta za kontuarem, zaciekawiona, ukradkiem podniosła spojrzenie. Mike, z ciastem w dłoni, popatrzył na nią i na Rosie.

Pokiwał głową w zamyśleniu, rozważając tę kwestię. Po chwili powiedział:

- W porządku. Chodźmy do Dziecioła.

Wszelkie apartamenty, pokoje, warsztaty rękodzielnicze i hole w „Lesie” noszą nazwy miejscowych ptaków. Na drzwiach znajdują się błyszczące drewniane tabliczki w kształcie zimorodka, dziecioła, drozda. Dziecioł to pomieszczenie dla personelu, niemal opustoszałe w porze obiadowej z wyjątkiem jednej czy dwóch innych osób na diecie. Mike usiadł przy stole i począł gmerać przy opakowaniu swojego posiłku, przyklejonym do znajdującej się w nim papki. Rosie, czując, że pod pachami jej koszulki robią się plamy jak u robotnika, skrzyżowała przed sobą ramiona i patrzyła.

- No więc - odezwała się - ostatni lunch.

- Rosie - poprosił Mike, nie podnosząc wzroku - nie bądź tajemnicza.

Nie powinien był zapuszczać tych wąsów, pomyślała Rosie. Ich zwisające końce podkreślały tylko jego wydęte wargi i pucułowatość policzków. Zaczęła przechadzać się w kółeczko: dwa kroki, zwrot, dwa kroki.

- Po południu jadę do Boney'ego. Pakuję swoje rzeczy. Nie mam zamiaru wracać.

Wciąż nie patrząc na nią, z maską profesjonalnego opanowania na twarzy, Mike wstał i ze słoićka na sąsiednim stoliku wziął plastikowy widelec. Usiadł z powrotem i uniósł go w gotowości, ale nie użył.

- Ustaliliśmy - stwierdził - że teraz, właśnie teraz i przez jakiś czas oszczędzimy sobie tego typu rzeczy.

- Nie - odparła - to ty ustaliłeś.

Szybkim spojrzeniem obrzucił pozostałe osoby w pomieszczeniu.

- Jeśli chcesz - zaproponował ostrożnie - możemy pójść gdzie indziej, na powietrze...

- Zabieram kalkulator - oświadczyła. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Wiem, że stale z niego korzystasz, ale to ja go kupiłam i nie mogę się bez niego obejść.

- Rosie. Zgrywasz się. - W końcu ze spokojem uniósł na nią wzrok; z jego wąskich oczu popłynęły szczerość i opanowanie. - Wiesz co, naprawdę odnoszę wrażenie, jakbyś zrywała umowę. Jak małe dziecko. Jak gdybyś nie potrafiła dostrzec mnie, dostrzec mnie jako osoby. Ustaliliśmy, że ze względu na moją pracę, moje badania i moje... Że odłożymy wszelkie rozmowy na później. - Jego głos przeszedł w niski szept. - Do czasu poprawy sytuacji.

- Twojego Roku Przejściowego Górnego. - Rosie stanęła w miejscu - Ustaliliśmy też coś w sprawie Rose.

Jego głowa opadła na dźwięk tych słów, jak gdyby było to coś krzywdzącego. Widelczyk odliczył w powietrzu do czterech.

- Nie możemy rozmawiać o tym tutaj, jeśli chcesz, możemy porozmawiać o tym...

- Nie chodzi o rozmowę - rzuciła Rosie. - Informuję cię.

- A Sam? - spytał, znów podnosząc wzrok.

- Sam jedzie ze mną.

Mike począł wolno kiwać głową, zasmucony, ale nie zaskoczony.

- Tak po prostu - powiedział.

Zarumieniła się. Była to trudna część rozmowy. Do niej również miała argumenty, ale nigdy nie przekonały jej one do końca i nie śmiała ich wytoczyć.

- Na jakiś czas - wyjaśniła zdawkowo.

- I będzie ją wychowywał Beau Brachman - rzucił.

Błyskawicznie, niczym zaatakowana kotka, Rosie zripostowała:

- A z kim ty byś ją zostawił? Z Rose?

Głowa Mike'a ponownie opadła. Po chwili jednak uśmiechnął się, potrząsnął głową, zachichotał, raz jeszcze zmieniając kurs.

- Rosie - powiedział. - Rosie, Rosie, Rosie. Naprawdę jesteś o nią zazdrosna? - Jego oblicze począł rozświetlać szeroki uśmiech. - Naprawdę? A może to coś innego? Mam na myśli coś innego związanego z Rose.

Wpatrywała się weń w milczeniu z założonymi rękami.

- Nie, naprawdę, byłyście przecież dobrymi kumpelkami przez jakiś czas. To może powodować napięcia. Ojej, przecież w s z y s c y byliśmy dobrymi kumplami, prawda? Pewnego razu, pewnej nocy. - Jego głos ponownie przeszedł w szept, który zabrzmiał strasznie za sprawą owego szerokiego uśmiechu. - Pomyślałem, że może czujesz do niej to i owo.

Nie mogła rzucić ciastem z ziaren, rozsypałoby się, ale nabrała go obiema dłońmi i wepchnęła w jego uśmiechnięte oblicze tak niespodziewanie, że nie zdążył temu zapobiec.

- Dosyć - rzuciła. - Dosyć. - Bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

Odwróciła się, podczas gdy Mike zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło i z wściekłością wycierając twarz z otrębów. Inni również wstali i ruszyli pospiesznie w ich kierunku, ale Rosie zdążyła już wyjść. Szła drewnianym korytarzem pewnym krokiem, szybko, w rytm ciężkiego, miarowego bicia swego serca, otrzepując palce z okruchów lepkiego posiłku.

D o s y ć , powiedziała do siebie, gdy usiadła w dusznym aucie. D o s y ć . D o s y ć , d o s y ć , d o s y ć . Psy obwąchały i obsapały ją niecierpliwie, kiedy siedziała, czekając, aż bicie serca zwolni.

Głupota. Palnęłam głupotę.

Ale cóż to za wredny i niemożliwy człowiek. Włożyła kluczyk do stacyjki i przekręciła go. Samochód nie zapalił. Naszła ją zniecierpliwiona wizja całego łańcucha wydarzeń, w tym powrotu do „Lasu”, telefonów, mechanika samochodowego, przeprosin, jazdy do domu z Mikiem, i wówczas zauważyła, że auto ma włączony niewłaściwy bieg. Zmieniła go, a samochód zapalił z łoskotem.

Postąpił tak, jak gdyby umyślnie chciał być wredny. Nie musiał, ale zdecydował się tak zachować. Trudno to było zaakceptować, ale właśnie tak to wyglądało. Toteż trudno było mu wybaczyć. Zawsze tak było, zawsze. Wyciągnęła rękę, żeby ustawić lusterko wsteczne.

Łzy poczęły parzyć i wzbierać wokół oczu. Lusterko urwało się i zostało jej w dłoni.

Szczerze mówiąc - oznajmił Spofford Pierce'owi - to chciałbym się ożenić.

Siedzieli razem na ganku niewielkiej chatki, stanowiącej obecnie domostwo Spofforda, i nadrabiali zaległości, wymieniając się informacjami. Dalej na skalistej łące pasły się owce, unosząc od czasu do czasu łby, jak gdyby po to, żeby podziwiać widok.

- No dobrze - rzekł Pierce. - Masz kogoś konkretnego na myśli?

- Aha.

- A kiedy?

- No, tego nie wiem. Pewnie nieprędko. Jest w tej chwili, jak by to powiedzieć, zajęta.

- Zameżna. Spofford skinął głową.

- Z niejakim Mucho. Mikiem Mucho. - Kiedy tak rozmawiali, Spofford za pomocą samej tylko siekierki przerobił kawałek drewna opałowego na młotek, obracając go to w jedną, to w drugą stronę, by go obrobić, delikatnie go ciosając. - Więc w tej chwili się czai, udaje grzeczną. Rozumiesz. Ale tak to poniekąd jest z owcami. Ona też je lubi. Chciałaby mieć kilka. Mielibyśmy coś wspólnego. Owce były kiedyś w tej okolicy ważne, to znaczy kiedyś były tu ważną częścią gospodarki. Te pastwiska na wzgórzach są dla nich wymarzone. Nie mam pojęcia, czemu to się skończyło. Mogłoby znowu stać się ważne.

Spofford odziedziczył gospodarstwo po swoich rodzicach, kiedy niedawno przeprowadzili się na Florydę; akry - będące w rękach rodziny od lat - niewiele były warte, ale mimo to nie pozbywano się ich. Floryda. Spofford splunął. Szkoda gadać. Pierce skinął głową; nie tak dawno temu i jego matka odpłynęła z prądem ludzi w podeszłym wieku ku tej krainie.

- No, w każdym razie - ciągnął Spofford - jestem właścicielem tego miejsca, dla owiec w sam raz, i buduję dom. A właściwie to zamierzam dopiero zacząć. Chodzi mi po głowie, jaki mniej więcej ma być. Mam zamiar go postawić tam, na grani, powyżej tego starego sadu. Będzie miał widok na obie strony - widzisz? Są tam stare fundamenty i kamień pod palenisko. To mi się podoba. Mógłbym się na nich pobudować. Wycinam sporo drzewa, tam na górze, teraz się suszy. Użyję go do budowy. Do tego właśnie służy. - Zważył niedokończony ubijak w swej wielkiej brązowej dłoni. Na jej zewnętrznej części znajdował się tatuaż, latająca ryba, nikła, niebieska jak widoczne tam żyły. - Do odłamywania klepek, sosnowych klepek, na dach.

- Nie sprzedają tu gontu? - zdziwił się Pierce. - Mam na myśli to, że moim zdaniem gont, to znaczy materiał do krycia dachu, powinien być w dzisiejszych czasach dostępny w sprzedaży.

- Jasne - odparł spokojnie Spofford. - Ale wolę zrobić to sam. Wydaje mi się, że to poniekąd dar - to znaczy ten dom. Moje własne domostwo. Moje własne drzewa. Ścinasz drzewa, z drzew zrobisz deski, z desek budujesz dom; wycinasz sobie młotek, młotek do cięcia

gontów, z gontów robisz dach, dach chroni cię przed deszczem, wiesz, o co mi chodzi...

Pierce, zahipnotyzowany pracą starannych dłoni Spofforda oraz jego zatroskanym głosem mówiącym o planach, tylko kiwał głową. Młotek, nie jakaś tam prymitywna pała, ale prawdziwe narzędzie, przycięte i wymodelowane od ręki z gracją, wprawił go w zachwyty.

- Dar - powtórzył Spofford, wypróbując jego wyważenie. - Poznasz ją. Jutro będzie bal. Bal Pełni Księżyca. Sporo ludzi. Przyjedzie na niego.

- Tak? - bąknął Pierce. - Co się robi na Balu Pełni Księżyca?

- To co zawsze - odparł Spofford. - Pływa się. Je. Pije. Bierze prochy.

- A jak ma na imię ta dama?

- Rosalind.

Pierce wybuchnął gromkim śmiechem. Spofford łypnął nań z ukosa i rzekł:

- Nigdy cię nie trafiło, co?

- Jeśli masz na myśli składanie przysięgi - odparł Pierce - to muszę przyznać, że nie.

- Aha - mruknął Spofford.

- Ale jeśli chodzi o trafianie - dodał - to tak. Nie raz. Więcej niż raz.

Splótł dłonie z tyłu głowy. Spofford wrócił do pracy i nie dopytywał się już dalej. Popołudnie było osobiście głośne, rywalizujące ze sobą cykady oraz setki innych mniejszych owadów

przepelniały powietrze najróżniejszymi pobzykiwaniami. Słońce wsunęło się do kryjówki za górami.

- Rzuciłem pracę - wyznał w końcu Pierce - właśnie z powodu trafienia.

- Myślałem, że cię wylali.

- Jedno i drugie - wyjaśnił Pierce. - Nie wnikajmy w to zbyt.

- A miłość była powodem.

- Miłość i pieniądze - *Chalkokrotos*. - To długa historia. - I stąd ta podróż do tego, jak mu tam, kolegium w Conurbanie. W poszukiwaniu pracy.

- Piotra Ramusa.

- Nie wiem, czyby ci się tak bardzo podobało w Conurbanie - stwierdził Spofford. - Kim u licha był Piotr Amos?

- Coś ci powiem - oświadczył Pierce. - Na razie, dopóki jestem uciekinierem, nie mówmy o Conurbanie. Ani o Piotrze Ramusie. Między innymi wynalazł plan.

Spofford zaśmiał się i przyłożył gładką powierzchnię swego młotka do dłoni. Pierce zdjął swoje brązowe okulary, ciemność zapadła nagle, gdy słońce dotarło do krawędzi góry, zaś wzdłuż żółtej trawy pojawiły się długie cienie.

Zafundowała Pierce'owi szaloną jazdę, a do tego w szalonym towarzystwie. Fakt, iż do pewnego stopnia zawsze znajdowała się w niej jakimś niebezpieczeństwie, podniecał go - na nią również działało to podniecająco - zaś owo podniecenie było wzmagane przez szampana,

na którego miała ochotę i którego dostawała, przez długie noce uciech w mieście oraz spędzane tylko we dwoje intensywne świty, a wszystko to było napędzane kokainą, która z kolei pokrywała koszty wszystkich tych rzeczy bądź większości - resztę stanowiły trudności, w które Pierce w końcu popadł. Postrzegała go jako schronienie; jako mężczyznę duży i niezgrabny zawsze sprawiał wrażenie człowieka o wielkiej sile fizycznej, co nie było do końca złudzeniem; uważała go również za osobę trzeźwo myślącą, co okazało się błędem.

Od samego początku wszedł jako udziałowiec w jej interesy na niewielką skalę. Nie mógł wywachiwać jej kapitału za darmo, a kupowanie od niej za grosze zdawało się czymś niegodziwym; z pewnością nie potrafił się powstrzymać, jeśli zamierzał być z nią przez owe długie, lodowate noce, i nie pragnął się powstrzymać nawet, gdyby mógł - towar, który miała, był świetny, wprost wyśmienity. Nazajutrz, roztrzęsiony i z przekrwionymi oczami usiłując wyjaśniać zagadnienia Oświecenia, Pierce nie narzekał.

- Co to było - spytała go - co powiedziała ta stara dama Stęchła Wiedźma Jakjejtam...

- Lady Mary Wortley Montagu - powiedział Pierce; zajęcia dobiegły końca, a jego język znowu się rozwiązał za sprawą kokainy i szampana. - „Nigdy nie narzekaj, nigdy się nie tłumacz”.

- Oto chodzi - podchwyciła. - To jest moje motto. Nigdy nie narzekaj, nigdy się nie tłumacz.

I tego się trzymała. Interes kręcił się coraz lepiej, ale stawał się też coraz bardziej niebezpieczny. Zabrała Pierce'a z jego starego

mieszkania w slumsach, którego trzymał się na dobre i na złe, do rozległego oszklonego lokum o betonowych podłogach z widokiem na bajkowe wieże wiodącego na Brooklyn czarnego mostu. Bardziej w centrum. Na skutek tej zamiany popadł w dotkliwe długi w towarzystwie kredytowym na Barnabas, jego wiecznie niewystarczająca pensja uciekała przez owe szerokie okna; ona pomnażała swoją część czynszu w jakiś niebotyczny szmal.

- Pomnażanie - powiedziała i zaśmiała się.

Wiedział, że się chwieje, lecz chwianie się nie oznaczało upadku. Znał siebie na tyle, by odczuwać strach, a mężczyzna, który się boi i chwieje, nie potrafi ukryć tego, że może upaść. Próbował tego nie okazywać: pragnął nade wszystko, by nie myślała, że jest dla niej nieodpowiedni. Nieoczekiwane decyzje, które potrzebowała ratyfikować - mieszkanie, pieniądze w ogromnych zwitkach i to, co z nimi zrobić, proponowane ekstrawagancje, o których nigdy nawet nie słyszał - kokaina pomogła mu radzić sobie z nimi, kokaina odgrywała decydującą rolę, lecz była również podejrzana: sprawiała, iż chwyt wydawał się szybki i pewny, ale często powodowała, że człowiek chwiał się i chwytał: podłoga w mieszkaniu była tu i ówdzie zaścielona niepozamiatanymi okruchami szkła, pochodzącymi z kieliszków do wina, po które sięgnął nazbyt śmiało, nazbyt ośmielony kokainą. Łóżko stanowiło jedyną bezpieczną przystań. Oblekli je puchową pościelą o wzorach przedstawiających słońce z promieniami, otoczyli lustrami i poduszkami. Nim zostało w pełni wyposażone, zaczęła spędzać noce poza domem.

Dźwięk telefonu brzmiał przeraźliwie w owym kamiennym miejscu o czwartej nad ranem. Pierce był sam, zwinięty w pozycji embrionalnej na jednej z krawędzi owego wielkiego łóża, potrzeba było, jak się zdawało, godzin, by przedrzeć się przez spienione nurty pościeli i dostać do dzwoniącego aparatu.

Oczywiście chodziło o największy interes, ten, który miał zapewnić zwrot wszystkich jego pieniędzy, a nawet ich podwojenie, ale się nie udał. W damskiej ubikacji klubu przy stadionie baseballowym, w noc inauguracji sezonu, a do tego brało w tym udział kilka naprawdę paskudnych kreatur.

- Stadion baseballowy? Który?

- A skąd mam wiedzieć? Nie mam bladego pojęcia o baseballu.

Wszystko przepadło - pieniądze, zapasik towaru - Pierce nigdy nie miał się dowiedzieć całej prawdy.

- Żebyś tylko była bezpieczna, żebyś tylko była bezpieczna - powtarzał.

- Ojej, jestem bezpieczna. Nie o to chodzi. Jestem ci winna kupę forsy.

- Daj spokój. Wracaj do domu.

- Nie mogę. Nie będę tam przychodzić przez... jakiś czas. Zmień numer telefonu. Wymień zamki. Ale posłuchaj, posłuchaj. Wszystko oddam, jak powiedziałam. I jeszcze więcej. Po prostu czekaj.

- To nieważne. Gdzie jesteś? Dokąd się wybierasz?

- Nic mi nie będzie.

- Przecież nie możesz ukrywać się sama...

- Nie będę sama. - Nastąpiła pauza, pauza długa na tyle, by wypełnić ją opowiadaniem, przeprosinami bądź wymówką. A potem powiedziała: - Żegnaj, Pierce.

W dniu, w którym ją poznał, miała na twarzy maskę i była naga, on zaś został opłacony przez jej matkę, żeby czule jej dotykać.

Ze strony matki po części była Żydówką, po części Cyganką, ze strony ojca zaś głównie Rumunką, a być może w pełnej połowie jeszcze kimś zupełnie innym; żywiła wątpliwości co do swego pochodzenia. Przypuszczała, że małżeństwo jej matki nie zostało skonsumowane; jej ojciec, staroświecki broadwayowski dandys, subtelny i beztroski, posiadał ukrytą ranę bądź słabostkę, o której nigdy nie wspomiano, a która sprawiała, iż kładł się wcześniej spać i często był nieobecny myślami, choć zawsze szykowny w jedwabnej apaszcze i z elegancką siwą brodą. Po przejściu na emeryturę pracował na pół etatu - niegdyś cieszący się powodzeniem autor sentymentalnych piosenek oraz telewizyjnych dżingli, a przy tym skrzypcowy wirtuoz. Był dobrym gospodarzem, częstował Pierce'a bożonarodzeniowym szampanem oraz czarnymi bałkańskimi papierosami, nim jeszcze ten został przedstawiony, wypytyując go dokładnie, a następnie przyjmując pełną skupienia pozę (był mistrzem antycznych póz), choć zdawało się, że nie słucha udzielanych przez Pierce'a odpowiedzi.

To kochanek jej matki, Sid, który był przy tym przyjacielem Pierce'a oraz właścicielem wynajmowanego przez niego mieszkania,

doprowadził do ich pierwszego spotkania; to również Sid przyprowadził później Pierce'a do mieszkania jej rodziców pewnego śnieżącego deszczem ze śniegiem bożonarodzeniowego wieczoru. Ojciec Pierce'a, Axel, z którym Pierce zwykle spędzał święta, leżał w szpitalu, zaś Sid, darzący głębokim sentymentem Boże Narodzenie z powodów, których Pierce nie potrafił zgłębić, uparł się, by po skończeniu posępnych godzin odwiedzin Pierce udał się w jego towarzystwie na małe przyjęcie, zamiast, jak zamierzał, wracać do swego pustego mieszkania i czytać.

Z miejsca rozpoznał jej pierścionek na lewym palcu serdecznym. Miała na sobie kilka pierścionków, ale ten na palcu serdecznym lewej dłoni był imitacją pierścienia florenckiego z wielkim lśniącym kamieniem. Gdy podczas ich pierwszego spotkania spędził z nią nago kilka godzin, miał dość czasu, żeby mu się bliżej przyjrzeć, podobnie jak innym cechom charakterystycznym, obecnie przed nim schowanym. Ujęła jego dłoń z uśmiechem rozpoznania, widziała już bowiem jego twarz. Owego dnia, miesiąc wcześniej, dojechał nieco spóźniony na ogromne i przegrzane poddasze gdzieś w zachodniej części Manhattanu pomiędzy 40 a 49 ulicą (nigdy więcej nie trafił do tego miejsca); inni zdążyli już pozdejmować swoją zimową odzież i ponakładać maski; Pierce pamiętał osobliwe uczucie, jakiego doznał, gdy zjawił się na miejscu pośród tych ludzi - on ubrany, z odkrytą twarzą, oni zaś zupełnie na odwrót.

- My się już znamy - oznajmiła, kiedy jej ojciec próbował dokonać prezentacji, nie pamiętając jego imienia. - Cześć. Wybacz,

tato, Effie chce, żebyś do niej poszedł, żebyśmy wszyscy poszli, obudziła się.

Jej matka - swego domniemanego ojca nazywała tatą, ale na swoją niezaprzeczną matkę mówiła Effie; niewykluczone, iż wynikało to z chęci zachowania właściwych proporcji - leżała w łóżku złożona grypą, ale nie chciała niczego stracić. Pierce przyniósł pudełko czekoladek - jedyny prezent, jaki udało mu się nabyć w bożonarodzeniowe popołudnie na Brooklynie - które zostało otwarte i którymi Effie częstowała zbierających się wokół jej łóżka gości.

- Jest już Olga? - spytała. - Ach, mam nadzieję, że przyjdzie. Z Olgą nigdy nic nie wiadomo, ale obiecała. - Effie miała na sobie perły dobrane pod atłasową piżamę koloru surowego płótna; atrakcyjna kobieta, znacznie młodsza i jak gdyby należąca do późniejszej dekady niż jej mąż, lata pięćdziesiąte wobec jego dwudziestych, a może dwudzieste wobec jego dziewięćdziesiątych.

Jej córka usiadła na łóżku.

- Znasz Pierce'a - powiedziała do Effie. - Jest aktorem. Widziałas go. - Effie zjadła czekoladkę, promieniejąc takim samym filuternym uśmiechem jak jej córka.

- Ach - powiedział jej ojciec (stał nieco dalej, w drzwiach, jedną dłoń z wyjątkiem kciuka wsunął do kieszeni swojej sportowej marynarki, w drugiej trzymał kieliszek szampana) - więc stąd zna pan Sida? Z filmu?

- Poniekąd - odparł Pierce, który przecież nie miał zgoła nic wspólnego z aktorstwem, acz kiedy Sid angażował go na jeden dzień,

zapewnił, że nie ma to najmniejszego znaczenia.

Sam Sid, mimo iż z powodzeniem, a nawet z pewną pozą, mógł przedstawiać się jako człowiek „z branży filmowej”, był w rzeczywistości właścicielem nieruchomości, urodzonym gospodarzem w każdym calu, i właśnie w związku z tym poznał go Pierce - budynek, w którym mieszkał, wymagał nieznaczej i stałej uwagi ze strony Sida, który o wiele bardziej wolałby pracować nad innym ze swoich przedsięwzięć - filmem.

- Scena snu - wyjaśnił mu Sid, usiłując wyczarować ciepło z uszkodzonego piecyka Pierce'a owego listopada. - Tylko jeden dzień pracy. Nawet mniej. No i dwadzieścia dolarów dla ciebie na rękę, nie żebyś potrzebował tych pieniędzy. - Sid nabył właśnie prawa do japońskiego filmu, łagodnej produkcji erotycznej, która, jak się spodziewał, mogła przyciągnąć pewien typ widza, tyle tylko, że nie zawierała ona scen z męską nagością; sąd najwyższy orzekł niedawno, iż pewne rodzaje męskiej nagości nie dają podstaw do wniesienia oskarżenia, toteż Sid był przekonany, że jego film może przynieść dochody, jeśli sięgnie absolutnych granic i jako taki zostanie zareklamowany. Zwróciwszy uwagę na scenę, w której jego wielce umęczona bohaterka zapada w głęboki sen, Sid wpadł na pomysł wstawienia właśnie w tym miejscu sceny tak dalece obfitującej w nagich mężczyzn (i kobiety), jak tylko się da, właściwie to sceny orgii, choć jak powiedział, wykonując trzymanym w dłoni kluczem francuskim gest oznaczający „nie”: „wszystko na niby, wszystko niby”. A przy tym zamaskowane; maski skrywały prawdę, że

uczestnicy orgii ze snu, których wynajął Sid, ani nie byli pochodzenia orientalnego, ani nie pojawiali się w żadnej innej części filmu - a przy tym nadawały odpowiedniego surrealistycznego posmaku.

Toteż kiedy znalazł się z nią w parze, miała na sobie maskę, a do tego została wyeksponowana za sprawą ostrego światła, które rozjaśniało jej śniadą skórę niemal do przezroczystości, czyniąc ją nierzeczywistą niczym lalkę. Jej matka, amatorka w kilku dziedzinach sztuki, sporządziła maski, a były one sprytne: po prostu opaski z cienkiego, jedwabistego materiału, niemal przezroczyste, na których Effie wymalowała twarze kabuki, krzaczaste brwi oraz wydatne podbródki. Kiedy opaska została rozciągnięta wokół twarzy, rysy pod nią nadawały nieco życia oraz ruchu owym namalowanym obliczom - nad wyraz niesamowitym i onirycznym. Jej matka zapłaciła również za zdjęcia ze środków jakiegoś funduszu będących do jej dyspozycji. Mąż nic o tym nie wiedział.

W tamtej chwili Pierce nic z tego wszystkiego nie rozumiał, wszyscy oni, z wyjątkiem Sida, byli wówczas dla niego obcy. Dopiero kiedy w Boże Narodzenie wspinali się obaj po schodach do jej mieszkania, Sid wyjaśnił mu to pospiesznym szeptem. Nie szeptał już jednak - Pierce nie pamiętał, żeby kiedykolwiek mu o tym wspominał - wyjawiając, że pośród uczestników onirycznej orgii znajdowała się rodzona córka Effie. A może, w którymś momencie, wspomniał mu o tym, a tylko owa informacja nie uderzyła Pierce'a tak jak w tej chwili, w rodzinnym gronie, w dniu Bożego Narodzenia, kiedy popijał szampana, którym poczęstował go jej ojciec.

- O - rzuciła - ktoś dzwoni. - Podniosła się z łóżka matki z podskokiem i poszła otworzyć drzwi.

- Masz zamiar później zagrać? - Effie zwróciła się do męża, który przybrał właśnie nową pozę - nieśmiałą, kokieteryjną.

- Ależ koniecznie - wtrącił Sid. - Koniecznie musi pan zagrać, koniecznie. Inaczej nie będą to prawdziwe święta.

- Przyszła Olga - oznajmiła jego córka, zaglądając do środka.

- Przeprowadź ją tu - powiedziała Effie. - Muszę z nią pomówić. Sama. Przez chwilę. - Pudełko z czekoladkami przekazała Sidowi i ogarnęła się.

Olga była stara; bystrooka głowa w chustce umieszczona na szczycie pozbawionej szyi pulchniutkiej figurki - piłka plażowa w powłóczystych szatach, obwieszona ciężkim złotem. Pierce został krótko przedstawiony, po czym otrzymał ozdobioną pierścionkami dziecinną rączkę, słysząc przy tym absurdalnie niskie, dostojnie akcentowane „Bardzo mi miło”, które mógłby wydobyć z siebie Bela Lugosi.

- Kuzynka matki - usłyszał, gdy Olga weszła do pokoju Effie. - Ze strony cygańskiej. - Zabrała go do kredensu, gdzie stało wyłożone jedzenie - zamówione, wyjaśniła, nikt w tym domu nie potrafi gotować. Mówiła szybko, jej długie kolczyki, które mogłyby należeć do Olgi, trzęsły się, kiedy się śmiała bądź pochylała nad stołem, objaśniając historię rodziny i jej bożonarodzeniowe zwyczaje (wizyta Olgi oraz recital skrzypcowy ojca). Uniosła krakersa z kawiozem do ust swoją ozdobioną pierścionkami dłonią; jej piersi były swobodne

pod kaszmirowym swetrem; piersi, które znał. Spostrzegła jego spojrzenie. - Zabawne, prawda? - powiedziała, uśmiechając się szczerym, filuternym uśmiechem.

Wił się z nią w przesadnym pożądaniu przez cały ranek na twardych platformach udrapowanych czarnym teatralnym aksamitem (scena nie przedstawiała żadnego konkretnego miejsca, tak bowiem było taniej). Akcja, jaką obmyślił Sid, zdawała się zaczerpnięta ze starodawnej awangardy skrzyżowanej z bezceństwami de Mille'a, baraszkowania z zapamiętaniem, i uderzyła Pierce'a swą uciążliwością i brakiem erotyzmu, ale pomiędzy ujęciami mógł po prostu na nią popatrzeć, nieobecny pod swoją maską (raz naciągnięte maski pozostawały na swoim miejscu przez cały ranek), zaś jakaś osobliwa ptasia wolność, która w nim wzbierała, sprawiła, że nieomal zachichotał. Stwierdziła, że mogłaby zapalić; zastanawiała się przy tym, co będą robić dalej. Odparł, że nie jest pewien, przypuszczał, że wszyscy mężczyźni razem zagrożą bohaterce, napadną na nią czy coś w tym rodzaju - ciemnoskórą dziewczynę, której maska miała smutne, uniesione brwi oraz czerwone, naznaczone udręką usta. Głośno rozważał, czy jednym z okropieństw koszmaru owej biednej młodej Japonki jest to, że wszyscy mężczyźni, jacy się jej śnią, są owłosieni i obrzezani. Spod namalowanych kocich oczu - Sfinks w wersji kabuki, brakowało jej tylko skrzydeł - jego partnerka przyjrzała się im, po czym zaśmiała się, widząc, że tak właśnie się dzieje; w zamyśleniu otarła dłonią z florenckim pierścieniem lśniący pot z piersi (wszak gorąca to była praca), i choć w swej delikatności pozostał

nieporuszony przez całe ich filmowe wystąpienie, teraz penis Pierce'a naprężył się i podniósł.

- Pamiętam ten pierścionek - stwierdził, biorąc od niej krakersa. Wciąż podobna była do Sfinksa; bardziej przypominała swoją maskę, niż się tego spodziewał. - Ciekawy.

- Brzydki, co nie? - odparła. - Ale posiada pewien sekret.

- Naprawdę?

Przez chwilę obrzuciła go nieco taksującym spojrzeniem, a następnie rozejrzała się po mieszkaniu. Sid oraz jej ojciec witali się z nowo przybyłymi gośćmi (dziadkowie? Jedno z nich poruszało się z pomocą trójnożnej laski). - Chodź no tu - rzuciła.

Poprowadziła go korytarzem, obok drzwi do pokoju Effie, które były na wpół otwarte; Olga i Effie, ściskając się dłońmi, rozmawiały niskimi głosami.

- Później przepowie ci przyszłość - powiedziała do Pierce'a. - Naprawdę. - Popchnęła go przez kolejne drzwi do łazienki, i zamknęła je za nim. - Ma też karty, jeśli masz na nie ochotę. - Wyjęła z ucha jeden z owych dyndających kolczyków i położyła go na klozetowej spłuczce. Następnie uniosła dłoń, na której znajdował się pierścień, przypatrując mu się bacznie, jak gdyby była to kryształowa kula do wróżenia; paznokciem drugiej dłoni otworzyła zameczek i odchyliła do tyłu kamień.

- Pierścień z trucizną - stwierdził Pierce.

- Ostrożnie, ostrożnie - powiedziała. Wewnątrz pierścienia znajdowała się odrobina jakiejś białej substancji. Poruszając się z

wyuczona ostrożnością, wzięła kolczyk, a jego przypominający łopatkę srebrny wisiołek zanurzyła we wnętrzu pierścienia, nabrała odrobinę jego zawartości, po czym uniosła ją do nosa. Wpatrując się we własne odbicie w znajdującym się nad umywalką lustrze, wciągnęła ją szybkim pociągnięciem nosa - dziurka w nosie zwężyła się, jak gdyby ją chwytła. - Czemu tak jest? - odezwała się. - Zastanawiam się, czemu ludzie uważają, że Cyganie umieją przepowiadać przyszłość. Czemu?

Potrafił to wyjaśnić. Z szeroko otwartymi oczyma przyglądał się tej łazience, miejscu bez porównania bardziej osobliwemu niż owo poddasze wraz ze swym udawanym seksem. Ponownie zanurzyła kolczyk i uniosła go ku niemu, karmiąc go z nieco rozchyłonymi ustami, niczym pielęgniarka aplikująca proszek pacjentowi, który ma go w całości wciągnąć nosem - grzeczny chłopczyk. Jeszcze raz.

- Potrafię to wyjaśnić - stwierdził.

- Co?

- Dlaczego Cyganie umieją przepowiadać przyszłość.

- Olga jest w tym dobra - stwierdziła. - Mógłbyś się niejednego dowiedzieć.

Potrafił to wyjaśnić, potrafił - nie chodziło o to, że nie posiada innej wiedzy, lecz z pewnością znał tego powód, nawet wówczas, kiedy patrzył, jak dziewczyna dogadza sobie kolejną dawkę. W swym wnętrzu, za plecami, poczuł drzwi, otwierające się na oścież jedne po drugich, drzwi do krainy owego wyjaśnienia, i sprawiło to, że uśmiechnął się szeroko. Zamknęła pierścień i przeglądając się w

lustrze założyła kolczyk na swoje miejsce; przedtem jednak zdążyła musnąć końcem języka jego przyprószony białym proszkiem koniuszek.

Odwracała się właśnie od lustra, kiedy ją schwycił, lekko, niezbyt gwałtownie, lecz zgrabnie, niczym w tańcu lub filmie, ona zaś przywarła doń jak nigdy wcześniej we śnie Sida, choć zdawało się, że teraz rzeczywiście ma chęć. Ogarnęło go zdumienie: było to uczucie, jak gdyby spełniono jego życzenie, jedno z owych dorosłych życzeń, żeby jakimś sposobem wiedział z góry, że jeśli obejmie kobietę, będzie to mile widziane; że jakimś sposobem już trzymał ją w objęciach, kiedy zbliżała się stosowna po temu pora.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Chwileczkę - rzuciła przez ramię Pierce'a. Obejmowali się, nasłuchując, jak kroki się oddalają; ponownie się pocałowali, zmieniając się nieodwołalnie w ogień i lód.

- Lepiej wracajmy - stwierdziła.

Salon zdawał się jakimś odmienionym miejscem - książki i obrazy, owinięty sreberkiem ostrokrzew, pobłyskujący światłkami jakby radośniej, choć w tej chwili jak gdyby z oddali - pełnym wesołości, w pełni świątecznym.

- Ta pani jest niesamowita - oznajmił Sid, przechodząc obok nich w drodze do bufetu i wskazując ową cygańską ciotkę kciukiem. - Skorzystaj z okazji.

Olga rozstawiła swój kramik w oświetlonym blaskiem lampy rogu, przy niewielkim stoliku, przy którym na przemian rozkładała i

składała talię kart.

- Ja jestem następna - wyszeptała ta, która przed chwilą go całowała. - Wybieram się w podróż.

- Naprawdę? - odrzekł Pierce. - Czy to nie ona powinna cię o tym poinformować?

- Potrzebuję rady. Nie będzie mnie przez dłuższy czas.

Serce Pierce'a z nagłą ogarnęło poczucie straty, absurdałne i całkowite, jakimś sposobem po prostu zajmując miejsce obecnej radości.

- Dokąd?

- Do Europy. Z teatrem i trupą mimów.

- Trupą mimów?

- Zapomniałeś, że zajmuję się aktorstwem? - rzuciła z szerokim uśmiechem. - Coś w rodzaju mimów. Teatr spontaniczny. Mamy już terminy i wszystko. - Ujęła go pod ramię. - Mam pseudonim sceniczny - szepnęła.

- Jaki?

Jej inteligentną lisią maskę zastąpiło oblicze supergwiazdy, marzycielskie i autoironiczne.

- Diamond Solitaire - odparła.

Olga skinęła na nią dłonią ze swego miejsca w rogu, drugą dłonią rozkładając i składając karty.

- Posłuchaj - rzekł Pierce. - Może byśmy gdzieś poszli?

- Jasne - odrzekła. - Później. Dokąd?

- Do mnie.

- Jasne.

Jasne. Puścił ją i udał się na poszukiwanie większej ilości szampana; przepełniało go pragnienie oraz poczucie satysfakcji. Ogarnął go silny dreszcz, drżenie, długotrwała fala radosnego podekscytowania i triumfu, niczym powiew, który wznosi jedwabny sztandar na wietrze.

Co takiego wyjawiała mu o nim Olga owego wieczoru? Nie pamiętał później tego zbyt wyraźnie; siedząc przy niej po raz pierwszy naprawdę poczuł się aktorem, grającym w tryskającej błyskotliwym humorem i znakomitej sztuce, który ją równocześnie ogląda, z łoża, podczas premierowego wieczoru, zastanawiając się przy tym, jak dalej rozwinie się fabuła, i pysznie się bawiąc.

Przerwa w pracy - zapamiętał coś na ten temat - coś niedokończonego, nie miała pewności co, monumentalna rzeźba (jego myśl wywołana jej sugestią), której ukończenie miało zabrać o wiele więcej czasu, niż się tego pierwotnie spodziewał, toteż powinien zachować cierpliwość. A ponieważ planował wyjazd gdzieś daleko (nie wiedział nic na ten temat), udzieliła mu rady - powinien napisać do izb handlowych w miastach, które brał pod uwagę, i wypytać o możliwości zatrudnienia, zakwaterowania i tym podobne rzeczy, co ze zdumieniem uznał za rozsądne, wyjątkowo rozsądne, a do tego stanowiące niespodziankę ze strony starej Cyganki znajdującej się w stanie, który wydawał się na wpół transem. Pamiętał śnieg padający na zewnątrz, za oknem, w którym widniało odbicie lampy.

Śnieg padał też za oknem jego własnej mikroskopijnej sypialni kilka godzin później, jedwabny sztandar zamieci wzniesiony w widmowym świetle ulicy, ogarniający noc swymi falami.

Dzieło Sida nigdy nie weszło na ekrany. Filmy, które w tym samym miesiącu, a może miesiąc później, pojawiły się w modnych kinach komercyjnych, gwałtownie otworzyły całe pudełko, do którego Sid obiecywał jedynie pospieszne zerknięcie; w końcu otworzyły je na oścież, a przy tym nic a nic nie odbywało się w maskach.

O, antyczna niewinności, pomyślał Pierce, przypatrując się nadejściu świtu z wysokiej wieży, do której go w końcu przywiodła. O, utracone niewinne dni, które zdawały nam się tak brutalnie niepoahamowane.

Diamond Solitaire.

Na wiosnę wyjechała do Europy, ale wróciła; przez rok, zanim zostali partnerami, to zbliżała się do niego, to oddalała w swym tanecznym pląsie, a przy tym dość często potem na powrót wykonywała swoje figury jedynie po to, by skończyć każdą z nich znów naprzeciw niego, klaszcząc w dłonie i wykonując promenadę.

Acz nie tym razem. Nie wiedział, dlaczego jest tego pewien, ale owa pewność go nie opuszczała.

Zwrócił się ponownie do towarzystwa kredytowego Barnabas, żeby „renegocjować” swoje pożyczki, żeby w firmowym sklepie, o ile zachcieliby ją kupić, sprzedać swą duszę. Nastąpił pełen niepokoju tygodniowy, a może dłuższy okres oczekiwania, podczas którego lustrowali całą jego sytuację finansową oraz karierę akademicką

(Pierce pojękiwał głośno w łóżku, nie mogąc zasnąć, rozmyślając o odwołanych zajęciach, konsultacjach, na których się nie zjawiał, nabierało się tego zbyt wiele w minionych miesiącach, zbyt wiele pobladłych świtów, zbyt szerokie i bezpieczne łóżko), aż w końcu składająca się z dwóch części wiadomość została mu przekazana przez dziekana wydziału nauki i sztuki, Earla Sacrobosco.

Jej pierwszą część stanowiła informacja, że zechcą „renegocjować” jego pożyczki, choć na surowszych warunkach, niż na to liczył.

- Co to za tarapaty finansowe, Pierce? - spytał Earl. - Nie wygląda to za dobrze. Grasz na giełdzie?

Pierce milczał. Nigdy nie narzekaj, nigdy się nie tłumacz.

Z kolei druga część wiadomości mówiła o tym, że specjalne zajęcia, jakie Pierce od dawna obmyślał, a do których opracował niedawno program, by w nadchodzącym semestrze wypróbować go na młodych umysłach, zostały odrzucone przez komisję programową. Co z kolei, Earl musiał powiedzieć mu to szczerze, nie wróżyło niczego dobrego ze strony komisji do spraw zatrudnienia, zwłaszcza w związku z ową historią z pożyczką i, spójrzmy prawdzie w oczy, z ciągłymi trudnościami Pierce'a w grze zespołowej, jak to się mówi. Słowo przestrogi: w tej chwili wygląda na to, że Pierce ma nikłe szanse na zatrudnienie na Barnabas.

- Odnoszę ogólne wrażenie - stwierdził Pierce - że jestem zwolniony.

- Masz zagwarantowaną umowę na następny rok akademicki - oświadczył Earl z powagą. - Jestem przekonany, że do tego czasu cała sytuacja będzie wyglądała inaczej. To, że zjawileś się, by ze mną pomówić, jest pierwszym krokiem w tym kierunku. Tak to widzę.

- Nadzór. - Poczęła w nim wzbierać fala zimnego gniewu; zbiegły, wyrzucony, a teraz jeszcze miał zostać złajany i upokorzony - zniósł już wystarczająco wiele. - To przesada, Earl.

- Kiedy już obecne trudności zostaną...

- To po prostu przesada, Earl, uczę tu już od kilku lat. Uważam, że nie muszę pokazywać, na co mnie stać, jak chłopiec na posyłki.

Drżał, Earl to dostrzegł.

- No cóż - powiedział zmieszany - spiszmy to wszystko. I pomyślmy dalej...

- Nie - rzucił Pierce. Wstał, nieomal wywracając krzesło; gniew nieodmiennie przejawiał jego niezgrabność. - Nic z tego - powiedział, górując nad doktorem Sacrobosco, którego zaniepokojenie skonstatował z satysfakcją. - Daj spokój, Earl - dodał - to koniec. - I w milczeniu - przez huk w uchu słyszał, jak nie wypowiada już ani jednego słowa - wyszedł.

To koniec, powiedział sobie, gdy oślepiiony schodził przez wyłożone lastrykiem korytarze Barnabas. To koniec, to koniec, to koniec. Ostatniemu słowu, choć wypowiedzianemu po cichu, zawtórowało ostre machnięcie dłonią w dół, jak gdyby odcinał niewidzialnego partnera od swego boku.

Wróciwszy do swej wieży, wydobył płytkę z czarnego obsydianu i za pomocą żyłki z jednym ostrzem rozgniół lśniące okruszki resztki swojego zapasu, cenniejszego niż złoto, znacznie cenniejszego, licząc wagowo. Z portfela wyjął szeleszczący banknot dwudziestodolarowy, niewiele już mu ich zostało, zwinął go w rurkę i z jej pomocą długimi, zapamiętałymi sapnięciami wciągnął do nosa znajdującą się na kamieniu substancję, po czym wypuścił ostrożnie powietrze z dala od niej, a następnie zebrał resztkę proszku koniuszkiem palca, by wetrzeć ją sobie w wewnętrzną część dolnej wargi, gdzie znajdowały się odpowiednie do wchłonięcia jej naczynia włoskowate.

Niech szlag trafi Earla Sacrobosco, pomyślał. Komisja do spraw zatrudnienia. To był Earl i nikt inny. Nie, chciał Pierce'a wyłącznie dla jego znoej pracy, to wszystko - harówka na akord, dniówki. A potem, nie ma co do tego wątpliwości, egzekucja w czerwcu. I on myślał, że Pierce przyjmie to z pokorą ze względu na pożyczki.

W takim razie pomylił się; grubo się pomylił, oj grubo.

Z zamrażarki wydobył butelkę wódki - szampan się skończył, nie została nawet kropla - i odkręcił kapsel. Na zewnątrz zielone światła zapalały się niczym japońskie latarnie, wydobywając kontury mostów, zaś światła pomarańczowe zarysowywały autostradę na wschodzie. Pierce otworzył okna i odetchnął chłodną i słonawą bryzą. Maj, wesoły miesiąc maj.

Na długim, biegnącym pod oknem kaloryferze egzemplarz planu, który napisał do swoich nowych, obecnie odrzuconych zajęć,

rozwierał swe strony jedna po drugiej. Pierce podniósł go i zaczął czytać, zaciskając zęby, które zdrętwiały jak gdyby w oczekiwaniu na zabieg dentystyczny.

Zajęcia stanowiły uzupełnienie historii dla pierwszego roku, a ich treść miała się do treści tamtych tak, jak sny mają się to czuwania. Żeby móc na nie uczęszczać, wymagane byłoby zaliczenie z historii. Albo nie, może lepiej gdyby studenci zapisywali się równocześnie na jedne i drugie.

Pierwsze zdanie tekstu planu brzmiało: „Czemu ludzie wierzą, że Cyganie potrafią przepowiadać przyszłość?”. Ostatnie zaś: „Istnieje więcej niż jedna historia świata”.

Usiadł po turecku na łóżku, pociągając łyk wódki; kartki planu leżały rozrzucone wokół niego. W stanie ducha, w jakim się obecnie znajdował (jego serce, małe i twarde, stukało głośno w piersi), nie odczuwał żalu w stosunku do siebie samego. Czuł się wzgardzony, lecz silny - Manfred w Alpach, Prometeusz na skale.

Jest więcej niż jeden uniwersytet na świecie, pomyślał, więcej niż jedna praca do wzięcia. Na jednej kobiecie świat się nie kończy.

Drzwi szafy ściennej były otwarte. Dostrzegł rękawy jej płaszczy i swetrów, czubki jej butów; w szufladach komody znajdowała się jej bielizna, biżuteria, paszport, florencki pierścień, który przestał być wystarczająco pojemny, by miała zawracać sobie głowę jego noszeniem. Przyszło mu na myśl, że powinien zatrzymać te rzeczy jako zakładników lub formę powiernictwa na czas

nieokreślony. Przypuszczał, że jeśli będzie czekał na nią wystarczająco długo, w końcu po nie wróci.

Wymień zamki, zmień numer telefonu. Uczyni coś więcej. Uczyni to, co i jemu uczyniono. Nic więcej ode mnie nie dostaną, pomyślał, nic.

Niemniej jednak nazajutrz o świcie czuł się już tylko wzgardzony, ale nie silny; niczym rozbitek na pełnym morzu.

Wspólnie ze Spoffordem zjedli niewyszukane śniadanie, składające się głównie z zebranych ze Spoffordowego poletka warzyw, a kiedy skończyli i pozmywali, Pierce udał się do sypialni, mniejszego z dwu pomieszczeń chaty, i położył się na przechylonym łóżku, którego przyjęcie wymusił na nim gospodarz. Spofford wyjął papier oraz pióro i jął pisać list do swojej Rosalind (często przerywając i pogrążając się w tępych zamyśleniu), a w tym samym czasie Pierce przeglądał wstęp do Soledades Luisa de Góngory, układając w myślach początek swojej recenzji. Samotnie to... prawdopodobnie najbardziej znane, najrzadziej czytane wiersze... de Góngora to prawdopodobnie najbardziej znany, najrzadziej czytany poeta swojej epoki. Mimo entuzjazmu ze strony Shelleya oraz... Mimo entuzjazmu ze strony takich poetów jak Shelley... „Gongoryczny” oraz „gongoryzm” to terminy, które powszechnie uważamy za... których powszechnie używamy, sądząc, że... to terminy, którymi posługuje się każdy, lecz same wiersze oraz ich osobliwe, zawiłe, osobliwie zawiłe, same

wiersze są... Zaczął czytać *Samotność pierwsza*. W słodkiej, kwietnej porze.

- Jak się pisze „idylliczny”? - spytał Spofford.

Pierce przeliterował słowo. Spofford zapisał. Pierce czytał, usiłując wychwytywać oddzielnie owe monstrualne metafory, które ozdabiały tekst niczym węzły z wielokolorowych sznurków, porównując zgrabny przekład ze znajdującym się na sąsiedniej stronie hiszpańskim oryginałem. Co takiego, zastanawiał się, można rozumieć przez „kamień, którego blasku moc/ Jest piękna choćby i w najciemniejszą noc”, który wieńczy niegodny łeb mrocznej bestii, a jej skronie („powiada się”) zdają się jasnym rydwanem słońca polarnego? Najwyraźniej chodzi o księżyc. Czy wobec tego bestia oznaczała gwiazdozbiór Smoka? Któż to wie? Nie było żadnych pomocnych przypisów, przypisów, które pomogłyby niewtajemniczonemu czytelnikowi... brak przypisów jest... Przewrócił stronę. Młodzieniec o złamanym sercu, który rozbił się, uchodząc z niegodziwego Miasta, natrafia na pomoc i pociechę pośród prostych pasterzy. Oto tupet tego barokowego wyłamywacza języka, wyplatacza alegorii, szlifierza drogich kamieni - przedstawić prostych pasterzy.

O, szczęśliwe schronienie

O każdej godzinie

Te kwiatowe chaty i sielskie świątynie!

- Posłuchaj - rzucił Spofford, pochylając się do tyłu na swym poskrzypującym krześle. Pierce nadstawił ucha, nie słysząc jednak niczego prócz niezmiennej nocy; i wówczas, słabo, choć w pobliżu, niczym szept do ucha, dało się słyszeć przejmujące trwogą głuche pohukiwanie.

- Sowa - stwierdził Spofford.

- Kto?

- Sowa - powtórzył Pierce. - Miło. - Czytał dalej:

Nie masz tu pragnienia władzy

Ni łaknienia próznej sławy

Ni zazdrości, która pali

Jak egipskich węzów jady

Jady węzów? Węże. Gitano, tak właśnie nazywali ich Hiszpanie; znaczyło to, rzecz jasna, „Cygan”; cygańskie zmije...

Ani ta, co jak Sfinks ludzkie ma oblicze

Ponad bestii lędźwiami

Jej gderliwy głos nakazami

Mówi Narcyza potomkom

By Echo uwodzić, a gardzić zdrojami...

Samoistnie pojawiła się przed Pierce'em tak niespodziewanie i wyraziście, że aż wciągnął powietrze: jej brązowe włosy obcięte

krótko jak u żołnierza, jej cygańska skóra atlasowa od olejku. Właśnie wróciła z Europy przez plaże Aruby i zjawiała się u niego z nieoczekiwaną wizytą. Przywiozłam ze sobą przyjaciółkę, oświadczyła. Z jej twarzy biła jasność, prostoduszność, żaden celnik nie mógł żywić wobec niej jakichkolwiek podejrzeń, acz z pewnością była tą, „*que en salvas gasta impertinentes/la pólvora del tiempo más preciso*” - nie miał pojęcia, co przez to rozumiał Góngora - była tą, która w brawurowych salwach trwonila proszek niegdyś rozdzielany znacznie ostrożniej - lecz owa dama z Aruby była biała, puszysta jak śnieg, gorzka w nozdrzach, zażywali ją brawurowymi salwami, wszystko naraz.

*...acaba en mortal fiera,
esfinge bachillera...*

Sfinks. Poniżej znajdowało się wszystko to, co zwierzęce: siedziała (widział to, a widok ów ścisnął i rozgrzewał jego pierś niczym koka) w jego pluszowym fotelu, wciąż mając na sobie koszulę oraz buty na koturnach, lecz nic poza tym, a u jej stóp leżała niewielka haftowana poduszka, na której miał uklęknąć i wziąć się do dzieła.

*ceremonia profana
que la sinceridad burla villana
sobre el corvo cayado.*

Ceremonia profana: wiejska prostota, wspierająca się na swej pasterskiej lasce, może przypatrywać się temu z pełną rozbawienia pogardą. Miał co do tego wątpliwości. Gdyby ten przysadzisty drań, zmagający się ze swoim miłosnym liścikiem w sąsiednim pokoju, mógł to zobaczyć, uznałby ową ceremonię...

- Napijesz się piwa? - spytał Spofford, podnosząc się.

- Czemu nie - odparł Pierce.

- Nie jest zbyt schłodzone - dodał tamten, podając mu zakurzoną butelkę. - Ale ty jesteś wyrafinowanym światowcem, zgadza się? Nie masz nic przeciwko picciu piwa w stylu angielskim.

- Jasne - przytaknął Pierce. - Wyrafinowany światowiec, zdecydowanie.

- Co to za książka? Pierce pokazał mu.

- Sielanki - wyjaśnił. - Wiersze o wyrafinowanych światowcach, którzy wyjeżdżają z miasta na wieś.

- Tak? Ciekawe.

- O tym, że tu jest znacznie przyjemniej niż tam. Spofford pociągnął łyk piwa, opierając się o futrynę.

- Pewnie, że jest przyjemnie - potwierdził. - Powinieneś tu zostać na dłużej.

- Hm - zafrasował się Pierce. - Nie wiem, czy zarobiłbym na życie.

- Czy historią nie można zajmować się wszędzie?

- No tak. W pewnym sensie.

- W takim razie tu zostań. Ustaw się jako historyk.

- Otworzyć sklep - mruknął Pierce ze śmiechem. Odłożył książkę i podniósł się. Uchylili drzwi z moskitierą i wyszli na zewnątrz w rozświetloną księżycowym blaskiem noc. Rover uniósł łeb i uderzył ogonem o deski niewielkiego ganku. Spofford oddalił się za potrzebą.

To takie rzeczywiste, takie prawdziwe, pomyślał Pierce; zapomniał już, zapomniał o tej przemienności prawdziwych woni, tej niezmierzonej masie powietrza. Robaczki świętojańskie - zapomniał o robaczkach świętojańskich. Życzę sobie, pomyślał, życzę sobie...

- Mógłbyś napisać historię Faraways - rzucił Spofford, zapinając rozpiorek. - Jest sporo materiałów.

- Historie regionalne - odparł Pierce. - To ciekawe pole. Ale nie moje - dodał, zamyślając się nad tym. Pole, okolone niskim kamiennym murem, smukłe trawy i porośnięte głązy, i wiekowe jabłonie. Świetliki migoczące w owym najeżonym mroku. Nie jego pole - jego znajdowało znacznie dalej bądź bliżej, lecz wewnątrz - dość, że ponad tym wszystkim. Geometryczne ścieżki przez emblematyczne łuki, posągi, ciemny labirynt uformowany z żywopłotu, szary widok na obelisk.

Otworzyć sklep. Dawno temu, kiedy był malcem, gdy po raz pierwszy zdecydował, czy też pojął, że zostanie historykiem, krążyła mu po głowie niejasna myśl, że zrobi właśnie to, że tak czynili historycy, prowadzili sklepy, jakimś sposobem wydzielali historię tym, którzy jej potrzebowali.

Wychodzi na to, że nie, pomyślał, spoglądając ku księżycowi; wychodzi, że nie. A jednak.

Szczęśliwe schronienie, o każdej godzinie - ucieczka wyszła mu na dobre. Z pewnością bowiem gdyby zbiegł, podążyłaby za nim. *Esfinge*, Sfinks *chalkokrotos*, rzecz jasna nie we własnej osobie, w tej kwestii bowiem wyraziła się nader jasno; nie we własnej osobie, nie, lecz przy tym niemniej wyraźna.

- Posłuchaj - odezwał się Spofford.

Sowa, ptak mądrości Ateny czy też plugawy ptak nocy (te gongoryzmy są zaraźliwe, pomyślał), raz jeszcze postawiła swe pojedyncze pytanie.

Pierce żywił przekonanie, iż człowiek rodzi się z talentem do historii, podobnie jak niektórzy rodzą się z talentem muzycznym bądź matematycznym; a jeśli ktoś już się z nim urodził, podobnie jak tamte, objawiał się on wcześnie, tak jak odbyło się to w jego przypadku.

Prawdą jest, rozmyślał, że osoba nieposiadająca owego wrodzonego daru może mimo to narzucić sobie odpowiednią dyscyplinę i poddać się jej, a dzięki ciężkiej pracy oraz sumienności odnieść pewien sukces na tym polu bez niego - nie dotyczyło to jednak matematyków i arcymistrzów szachowych - niemniej jednak taki dar istniał. Nie była to również wyłącznie wszechstronna pamięć, którą właściwie Pierce nie dysponował, bądź upodobanie do przeszłości oraz zachwyty nad starodawnością dla samej jej malowniczości, cecha, którą ojciec Pierce'a, Axel, niewątpliwie posiadał, podczas gdy, zdaniem Pierce'a, za grosz nie miał czegoś, co można by określić mianem zmysłu historycznego. Rzecz jasna, żywa wyobraźnia była pomocna - Pierce'owi jej nie brakowało; będąc studentem potrafił z przyjemnością szperać pośród statystycznych interpretacji transalpejskich przewozów w szesnastym wieku bądź analiz technik budowy okrętów wikingów, jako że tym, co nieodmiennie widział w myślach, były dramatyczne wydarzenia, prawdziwi mężczyźni i kobiety wykonujący prawdziwe zadania,

oczywiście uwikłani w sieć historii, lecz nieświadomi tego faktu, mężczyźni i kobiety w pracy i rozmowie, we śnie i zabawie, ni stąd ni zowąd kategorycznie zmuszeni do robienia tego, co już kiedyś robili (wszak byli już martwi), a jednocześnie wolni w swej chwili, wolni, by mieć nadzieję i żałować, winić się za porażkę i dziękować Bogu za sukces.

Lecz dar Pierce'a ujawnił się na długo przedtem, na długo zanim poznał dostatecznie wiele faktów historycznych, aby móc go zastosować - pewna osobliwość jego mózgu, która wydawała mu się tak naturalna, że zdążył dorosnąć, nim stał się jej całkowicie świadom: dla Pierce'a Moffetta, tak daleko, jak sięgał pamięcią, każda liczba - owe dziesięć cyfr - posiadała odmienny kolor. I podczas gdy potrafił dostrzec te kolory na przykład w numerze telefonu bądź równaniach, objawiały mu się z największą mocą, kiedy były poukładane w datach.

Tym sposobem kolory jego cyfr stały się, bez udziału jego woli, kolorami wydarzeń - kolorami komnat, w których podpisywano traktaty oraz rzucano miecze w geście kapitulacji, barwami pałaców, płaszczy i powozów, motłochu i skoncentrowanych armii, samego powietrza, którym oddychano; każde stulecie, każda owego stulecia dekada, każdy rok był w jego umyśle osobliwie ubarwiony, jasne paski rozwijającego się niedzielного komiksu. Niczym cudowne dziecko, obdarzone nadzwyczajnymi zdolnościami muzycznymi, z łatwością wygrywające melodie na rodzinnym pianinie, Pierce potrafił odfiltrować dowolny fakt, na jaki się natknął, daty bitew, wynalazków, odkryć, informacje, które z trudem wychwytywał z

rozmów dorosłych, z reklam, podręczników szkolnych, almanachów, i umieścić go w pewnej wewnętrznej matrycy, matrycy, która zawsze tam tkwiła i wymagała jedynie wypełnienia.

Jedynka nie posiadała barwy, stanowiła jedynie tło. Dwójka była intensywnie zielona, na swój sposób jedwabista. Trójka była koloru heraldycznej czerwieni, czwórka zaś bitewnej szarości. Piątka miała barwę złotą, szóstka białą; siódemka była koloru chińskiego błękitu, natomiast ósemka była czarna niczym staromodna suknia wieczorowa. Dziewiątka miała kolor mętnego beżu. Zero było również pozbawione barwy, choć jego przejrzystość była ciemna, podczas gdy jedynka dawała jasną aurę. Pierwsza cyfra - to znaczy, pierwsza po jedynce, jeśli mówimy o datach drugiego tysiąclecia naszej ery - określała kolor wieku, zaś liczba następująca po niej specjalny koloryt roku; ostatnia liczba stanowiła podkreślenie, pobłyskując tu i tam na owym arrasie. Toteż słynne wydarzenia były bardziej obecne w jego umyśle niż inne; rok 1066 nie miał w sobie widowiskowości, ale 1215, gdy feudałowie w zielonych, jedwabnych kasakach i złotych łańcuchach zasiedli wraz królem w złotej koronie na murawie, stanowił niezapomnianą scenę. Zaś rok 1235, kiedy wedle jego wiedzy niewiele się wydarzyło, był jeszcze barwniejszy, podobnie jak 1253, choć był to rok zgoła inny.

Niczym ogromne płótna stworzone przez różnych mistrzów korzystających z różnych palet, wieki wisiały oddzielnie w jego umyśle, tak iż nie sposób było pomylić jeden z drugim - tyle tylko, że zdawały się nieprawidłowo oznaczone, a to raczej Pierce wciąż

zapominał, że do oglądanego przezeń obrazu odnoszą się oznaczenia umieszczone po prawej, nie zaś po lewej stronie. Albowiem wiek trzynasty był w tym oznaczeniu wyłącznie czerwony; piętnasty nie był owym kutym złotem lat 1500-1599, ale szarą tkaniną lat 1400-1499. Toteż z sobie znanych powodów Pierce popełniał niekiedy ów powszechny szkolny błąd, polegający na mylnym określaniu wieków. I nawet już jako człowiek dorosły, kiedy mówił „osiemnasty wiek”, nie mógł nic na to poradzić, że w tym wyrażeniu wyczuwa jedynie ostatnie lata wieku, gdy błękitne jedwabne surduty i białe peruki z roku, powiedzmy, 1776, wychodziły z mody i zamieniano je na lśniące cylindry oraz czarną wełnę czesankową z pierwszej dekady dziewiętnastego stulecia.

Rzecz jasna, z czasem pojął, iż podział przeszłości na wieki jest nienaturalny, że nawet wieki, które same wierzyły w to, że zmieniają się w punkcie oznaczenia stulecia, były poddane siłom znacznie potężniejszym niż równie mistyczne, co nieścisle numerowanie; lecz tym, co miało najdonioślejsze znaczenie w panowaniu nad historią (w przeciwieństwie do rozumienia jej), było posiadanie jasnej hipotezy, ogólnego obrazu, wyjaśnienia: opowieści, której epizody odpływały od siebie, połączone, lecz odrębne niczym rozdziały. Ciemnozłote szesnaste stulecie, ustępujące marmurowemu siedemnastemu wiekowi rozumu i klasycyzmu, a potem nadejście osiemnastego, błękitnego niczym Wedgwood, *douceur de vivre*, przejrzyste niebo, dziewiętnastego, czarnego znojem i pobożnością niczym ich sadza i atrament, a w końcu obecny wiek, opalony niczym

khaki, w samą porę wykluty z brązowych jaj (1900). Struktura kolorystyczna Pierce'a w żaden sposób nie przyćmiła jego myślenia; posiadał niezawodne poczucie chaotyczności i heterogeniczności ludzkich poczynań, wielokolorowych, bezbarwnych, których nie sposób wcisnąć do jakiegokolwiek szufladki, a najmniej już w sztywne ramy wieków; jego system był jedynie sposobem porządkowania - ale takim, którego sam nie wykoncypował, lecz znalazł w sobie automatycznie, swój talent, swój dar.

Wszelako dary można roztrwonić. Cudowne dzieci odkładały swoje skrzypce, znudzone bądź zniechęcone. Pierce, obciążony stypendiami oraz oczekiwaniami opuścił St. Guinefort - swoją szkołę z internatem w Kentucky - i udał się na północ do prestiżowego Noate o murach zaopatrzonych w machikuły, by studiować pod kierunkiem Franka Walkera Barra, którego jakąś książkę czytał mając jedenaście czy dwanaście lat (czy była to *Materia czasu?* Czy *Mythos i Tyrannos*? Podczas rozmowy kwalifikacyjnej nie potrafił sobie tego przypomnieć), a który stał się ostatnim w serii ojców, jakich Pierce czcił, choć jego przyjaźń uważał za kłopotliwą, spojrzenia zaś unikał. Podryfował ku estetyzmowi, przeniósł się na Renesans jako kierunek główny, przetrwonął semestr trzeciego roku na romantycznej przygodzie (dziewczyna o skłonnościach samobójczych, podróż na wybrzeże autokarem linii Greyhound, odrzucenie, miłosny zawód), i mimo iż powrót utemperował go, nigdy do końca nie wrócił na dawną ścieżkę.

Na pozór utracił swe powołanie (i czuł z tego powodu niejaką satysfakcję, jak gdyby była to dziecięca otyłość bądź trądzik), lecz pałętanie się po Noate bez niego nie stanowiło w tamtych latach większej trudności; człowiek niewiele robił i mieszkał w mieście, jakby był dorosły; wielu z jego znajomych, przyjętych na uniwersytet albo nie całkiem przyjętych, postępowało w ten właśnie sposób. W przypadku Pierce'a nie stanowiło jedynego usprawiedliwienia to, że zawsze uważał się za kogoś, kto do końca nie należy do żadnego pokolenia; urodzony za późno lub za wcześnie, nie potrafił znaleźć się ani w jednym, ani w drugim. Chodziło mu po głowie, że niezbyt wiele dzieci zostało poczętych w tym samym co on roku, większość potencjalnych ojców była wówczas na wojnie, jedynie ci ze szczególnymi ułomnościami (jak ojciec Pierce'a) zostali, by się rozmnażać. Był zbyt młody, by zostać beatnikiem; później uznał, iż jest niezbyt dorosły i niezbyt surowo wychowany, by odnaleźć się jako hippis. Osiągnął świadomość w chwili krępującego zastoju, pomiędzy egzystencjalizmem a życiem we wspólnocie, psychoanalizą a psychodelią; i podobnie jak wielu, którzy czują się wewnętrznie nadzy, niewypełnieni poglądami, a przy tym pozbawieni celu, spowijał się w purytański dandyzm, składający się głównie z niechęci do odczuwania zadowolenia, oraz czarnych szat nieokreślonego fasonu. Ubrany w nie, trzymał się z dala od świata, który nie bardzo potrafił krytykować, i czekał na dalszy rozwój wypadków.

Właściwie to nawet tę minimalną pozę nie sposób było osiągnąć w pełni. Dandysi winni być mali i zgrabni. Pierce nie legitymował się

żadną z tych cech. Był dużym i niezgrabnym dzieckiem, zaś jego brzydota jako nastolatka niemal wzbudzała zaciekawienie - sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, nim ukończył szesnaście lat, twarz asymetrycznej wielkości, dalece przypominająca rysy Abrahama Lincolna, grube, sterczące włosy, grube, wiszące nisko nadgarstki i niezgrabnie rozczapierzone dłonie. Wewnątrz tej powłoki tkwił ktoś mały, nawet delikatny, a przy tym niezmiernie zażenowany uszami na głowie Pierce'a czy gęstwiną włosów na piersiach. I choć (jak w przypadku Lincolna) nim skończył trzydziestkę, niedostatki jego urody poczęły rozwijać się w oryginalne właściwości i zdawały się zwiastować starość o silnie zarysowanym charakterze, a nawet pobrużdżoną urodę, Pierce nigdy nie zapomniał, jak bardzo odrażającym postrzegał go zawsze ów mały człowieczek w jego wnętrzu. Joli laid, mawiała jego matka; Sam Oliphant, wuj Pierce'a (do którego był on najbardziej podobny) przetłumaczył to jako „ładnie nieurodziwy”, na co Pierce przystał. Nieco duży i ładnie nieurodziwy.

Ucieczka przed wojskiem odegrała swoją rolę w podjęciu przez Pierce'a decyzji o zapisaniu się do studium podyplomowego na Noate, gdzie zajmował się głównie unikaniem zbyt wytężonej nauki. Później, gdy przygotowywał się do pokonania jakiegoś standardowego woluminu niczym wysuszonej sierry, z rozgorycczeniem wspominał, z jakim sprytem uchylał się na Noate od podobnej pracy, podtrzymywał dobrą opinię o sobie bez potrzeby weryfikowania jej, a także sprawiał wrażenie, że opanował materiał, który w rzeczywistości ledwie tknął. Frank Barr żywił nadzieję, iż Pierce napisze pracę pod jego

kierunkiem, wybierając być może temat, którym on sam pragnął niegdyś się zająć, lecz nie zdołał go do tego nakłonić - zasugerował rozprzestrzenianie się nestoriańskich kościołów chrześcijańskich we wczesnym średniowieczu w Indiach, Chinach, czarnej Afryce; Marco Polo natknął się w Państwie Środka na kongregacje, które przetrwały, zaś mity o Issie, czyli Jezusie, słyszeli zdumieni misjonarze jeszcze w dziewiętnastym wieku. Co uczynili z chrześcijańską historią, którą ponieśli tak daleko, odizolowaną przez wieki od Rzymu, od Bizancjum? Fascynujące. Lecz Pierce, mimo iż był tym zaintrygowany (Barr potrafił zaintrygować każdego), zadrżał na myśl o wysiłku, jakiego by to wymagało - na ile zdołał się zorientować, czekałyby go materiały źródłowe w sześciu czy ośmiu językach, nie przemierzony dotąd szlak, ekspedycja w korkowym hełmie tropikalnym i landroverze. Pozostał przy Renesansie, choć nieodmiennie wyczuwał nigdy niewypowiedzianą opinię Barra w tej kwestii; w bibliotece Noate odkrył zbiór elżbietańskiej literatury konfesyjnej (*Seven Sobbes of a Sorrowful Soule for Sinne*) i przygotował plan zwięzłej, zgrabnej rozprawy na jej temat w odniesieniu do pewnych motywów przewodnich u Shakespeare'a, zwłaszcza w komedii *Miarka za miarkę*, a w swoim projekcie dysertacji uczyniwszy z prostoty zaletę („Zawężając pole moich badań do tych na pozór ograniczonych ram” i tak dalej, jak gdyby stanął przed trudnym wyborem), otrzymał jej akceptację od jakiegoś tolerancyjnego starego piernika z anglistyki. Sprawił sobie również papugę. Uczenie jej mówienia (w końcu potrafiła wydobyć z siebie

De mortuis nil nisi bunkum) pochłonęło więcej czasu niż pisanie doktoratu.

Kiedy zajęcia dobiegły końca, złożył podanie, lecz nie zaproponowano mu żadnego etatu asystenckiego na Noate.

Zaskoczony takim obrotem spraw - nie dlatego, że trudił się po to, żeby dostać etat, tak bowiem nie było, ale uważał za oczywiste, że taka właśnie przyszłość zostanie mu zaproponowana w sposób naturalny, i nigdy poważnie nie brał pod uwagę żadnej innej możliwości - Pierce spakował książki, swoje czarne garnitury oraz notatki do doktoratu z niepokojącym przeczuciem, iż zasoby jego szczęścia, na chwilę obecną, uległy wyczerpaniu i że jutro najprawdopodobniej nie przyniesie niczego, zupełnie niczego. Papuga została odesłana do ojca Pierce'a, Axela, by towarzyszyć mu w jego życiu na Brooklynie dopóty, dopóki Pierce nie poukłada swoich spraw, i tam już pozostała, rok po roku, w wychodzącym na wschód oknie mieszkania Axela, gdzie oddawała się pogwizdywaniu, podziwianiu widoków i bimbaniu. Pierce podejmował tymczasowe prace w prywatnych szkołach, latem pracował w księgarni; od czasu do czasu zasiadał nad swoim nieszczęsnym doktoratem, zaś podczas dorocznych zebrań stowarzyszenia akademickiego, z którego członkostwa nie zrezygnował, nadal pokazywał się wraz z setkami (jak się zdawało) młodszych twarzy, chcąc zostać otaksowany przez uniwersyteckich łowców talentów i otrzymać jakikolwiek wolny etat. Poczul się przyłapany - zagubiona ślicznotka wypatrzona na targu niewolników - kiedy pewnego razu w samym środku ogromnego

„bankietu” w sali balowej Frank Walker Barr położył mu dłoń na ramieniu i zaprosił na drinka.

- Specjalizacja - zagadnął Barr, kiedy usiedli na obitej popękaną skórą ławie wyłożonego boazerią hotelowego barku wybranego przez profesora. - To dziś wielki problem naukowców. Coraz więcej o tym, czego coraz mniej.

- Hm - mruknął Pierce. Znajdujący się przed nim uczony stanowił serię nierównych elips: tors o opadających ramionach, okrągła łysa głowa przedzielona szerokim uśmiechem, małe, niemal pozbawione brwi oczka w owalnych okularach. Jego dłonie obracały bładny stożkowaty kieliszek wytrawnego martini z oliwką, które zamówił z rytualną starannością i powoli popijał, delektując się.

- To oczywiście zrozumiałe - ciągnął. - A nawet nieuniknione, skoro tak wiele nowego materiału stale wydobywa się na światło dzienne, wypracowywane są nowe metody badań. Komputery. To zdumiewające, jak przeszłość wciąż się rozrasta, zamiast kurczyć się wraz z upływem czasu. - Uniósł kieliszek. Złota obrączka wpiła się głęboko w ciało jego palca serdecznego. - Niemniej jednak - dopił niewielki łyżeczek - niewiele jest dziś miejsca dla naukowców zajmujących się ogólną wiedzą z danej dziedziny. Przykro, jeśli akurat do tego ma się predyspozycje.

- Jak ty - wtrącił Pierce, wznosząc swą niemal osuszoną szkocką w kierunku Barra.

- No więc - odezwał się tamten. - Jakies kaski? Rozważasz jakieś oferty?

Pierce wzruszył ramionami, uniósł brwi i potrząsnął głową.

- Wiesz - zaczął - kiedy byłem mały, wydawało mi się, że jak już zostanę historykiem, to będę się zajmował historią stosowaną, bo tym zajmują się historycy - tak jak lekarz praktykuje nauki medyczne. Może dlatego, że wuj, przy którym dorastałem był lekarzem. Mieć biuro albo sklep...

- „Dbaj o swój sklep - wtrącił Barr - a on zadba o ciebie”. - Wydał swój słynny Barrowski gardłowy chichot, niski, czekoladowy. - Ben Franklin.

Pierce napił się. W półmroku baru jego dawny mentor pozostawał nieodgadniony. Pierce żywił przekonanie, że uprzejme, lecz sprawiedliwie chłodne *descriptio* (nie sposób było określić go mianem rekomendacji) stanowiło główny powód, dla którego nie udało mu się automatycznie wskoczyć na stanowisko na Noate i został rzucony w odmęty wolnego rynku.

- W jaki sposób - zaczął; coś, nie alkohol, niespodziewanie poczęło rozgrzewać jego policzki - ty byś to zrobił? Praktykowanie historii. Gdyby nie było Noate.

Barr przez dłuższą chwilę rozważał kwestię. Znajdujący się przed nim drink zdawał się mienić z lekka blaskiem, niczym wotywna lampa przed posągiem Buddy.

- Przypuszczam - odezwał się - że podjąłbym jakąś pracę, jakąś pracę, do której bym się nadawał - mój ojciec był krawcem,

pomagałem mu - i słuchałbym, wychwytywał, jakie pytania zadają ludzie; z tych, na które historia może odpowiedzieć lub pomóc znaleźć odpowiedź, nawet jeśli z początku nie wydawałyby się one pytaniami natury historycznej, a następnie próbowałbym na nie odpowiedzieć. W książce, najprawdopodobniej, jak sądzę, a może nie.

- Pytania, jak na przykład...

- Pytania, które się pojawiają. Pamiętam pewną starszą kobietę, która mieszkała nad zakładem ojca. Wróżyła z kart, przepowiadała przyszłość. Była Cyganką, twierdził ojciec, i dlatego ludzie do niej chodzili. Ale dlaczego, spytałem go, ludzie uważają, że Cyganie potrafią przepowiadać przyszłość? Historia potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Wyjaśnić, rozumiesz. - Odstawił pusty kieliszek; jego uśmiech na powrót zaczął rosnąć, zaś chichot pobrzmiwać w gardle.

- Jedyne kłopot stanowiłaby ta przeklęta tendencja do generalizowania. Przypuszczam, że pierwsze pytanie, na które próbowałbym odpowiedzieć, zaprowadziłoby mnie do następnych, a te do kolejnych, i tak dalej. W ten sposób nie byłbym pod presją przymusu ogłaszania prac naukowych lub skazania się na niebyt, nie musiałbym skończyć z zadawaniem pytań i zacząć na nie odpowiadać, mógłbym tak ciągnąć w nieskończoność. Aż skończyłbym na Historii Świata. W każdym razie na jakiejś jej wersji. - Swymi pulchnymi palcami wy dobył oliwkę z kieliszka i zaczął przeżuwać ją w zamyśleniu. - Ostatecznie prawdopodobnie niekompletną. Niedokończoną. No tak. Niemniej jednak, jak sądzę, uznałbym się za praktykującego historyka.

Życie przepelnione zwykłym mozolem, tysiąc podszytych na nowo płaszczy, a mimo to cała historia w twoim sercu, nieskończony wymiar, przeszłość tak realistyczna, jak gdyby była prawdziwa, a przy tym po brzegi wypełniona pytaniami, na które udzielono odpowiedzi; wierzytelność, która została podsumowana, ale pozostawała niespłacona. Wielkie niezadowolenie wezbrało we wnętrzu Pierce'a, a może nieokreślone pragnienie. Zamówił drugiego drinka.

- W każdym razie - rzekł Barr, rozkładając ręce na stoliku, tak jak zawsze miał w zwyczaju, gdy wykład dobiegał końca - nie ma co się nad tym rozwodzić, prawda? Jesteśmy nauczycielami, ot co. A teraz przypomnij no mi, z kim to już rozmawiałeś?

Ciepło na policzkach Pierce'a podniosło się do temperatury rumieńca.

- No - bąknął - Barnabas College. Tu, w mieście. - Jak gdyby ten college był jednym z wielu, nieistotnym. - Są pewne szanse.

- Barnabas - powtórzył Barr w zamyśleniu. - Barnabas. Znam tam dziekana. Niejaki dr Sacrobosco. Mogę do niego napisać.

- Dziękuję - powiedział Pierce, jedynie przez ułamek sekundy sądząc, że Barr wystąpi przeciw niemu, pomiesza mu szyki, będzie teraz gnębił go w świecie akademickim na zawsze za to, że nie zajął się tymi przekłętymi nestoriańskimi kościołami. - Dziękuję.

- Porozmawiamy jeszcze - odezwał się Barr, spoglądając na duży złoty zegarek na ręce. - Powiesz mi, nad czym pracujesz. Jak idzie ci doktorat. No dobrze. - Wstał; krótkie nogi sprawiały, że stojąc, wydawał się niższym mężczyzną, niż kiedy siedział.

- A tak przy okazji - rzucił Pierce, pomagając Barrowi wcisnąć się w jego pognieciony nieprzemakalny płaszcz - dla czego ludzie uważają, że Cyganie potrafią przepowiadać przyszłość?

- Ach - westchnął Barr - odpowiedź jest dosyć prosta. Dostyć prosta. - Popatrzył do góry na Pierce'a z profesorskim błyskiem w oku, jak to miał w zwyczaju, kiedy oznajmiał, że należy już zamknąć zeszyt do zadań egzaminacyjnych i podać osobie siedzącej z przodu. - Widzisz, istnieje więcej niż jedna Historia Świata - stwierdził. - Zgadza się? Więcej niż jedna. Być może jedna dla każdego z nas. Nie sądzisz?

Czemu ludzie uważając, że Cyganie potrafią przepowiadać przyszłość?

Owo niezadowolenie, a może pragnienie czy też zdziwienie, które w jakiś sposób obudziło się w Piersie, nie minęło. Nieustannie czuł się rozdrażniony, poirytowany; fakt, iż udało mu się złapać pracę na Barnabas, nie położył temu kresu, wydawał się nawet w ogóle nie mieć z tym żadnego związku. Począł budzić się o świcie z poczuciem, że trzeba znaleźć odpowiedź na pewne pytanie, poczuciem, które rozpraszało się w natłoku codziennych spraw i napawało go niepokojem przed zaśnięciem - ślad w pamięci, niczym smak zbyt wielu wywołujących niepokój papierosów.

W jaki sposób Barr potrafił wzbudzić w nim podobne doznania? Posiadł jego duszę czy co? To było nie fair, wszak był dorosły, miał doktorat, no, prawie, miał pracę (no dobrze, za wstawiennictwem

Barra), zaś całe to wielkie miasto leżało przed nim dla jego przyjemności: bary, kobiety, rozrywki, wszystko było zapewnione. Kiedy nie poprawiał studenckich prac, zaczął spędzać wieczory na lekturze; przyzwyczajenie, które bez mała utracił na Noate. Szukał książek Barra, z których większość znał jedynie ze wzmianek bądź recenzji; nakłady kilku z nich były wyczerpane, toteż musiał zapolować na nie w bibliotekach i antykwariatach. Szukał prostej odpowiedzi, czegoś, co zakorkuje to, co zdawało się w nim odkorkowywać, cokolwiek to było; musiał poradzić sobie z jakimś ostatnim podchwytliwym pytaniem, oczyścić pole raz na zawsze.

Pewnej przejmująco zimnej nocy przesilenia, zbyt zimnej, by wyściubić nos z domu, Pierce z zaczątkami grypy siedział owinięty w koc (ogrzewanie w jego wiekowym budynku odmówiło posłuszeństwa) i wertował książkę Barra, Materię czasu, którą przyniósł do domu z odległej Biblioteki Publicznej Brooklynu; czytał, podczas gdy gorączka zaczynała strzykać go w uszach:

Wedle relacji Plutarcha we wczesnych latach rządów Tyberiusza sternik statku opływającego archipelag grecki mijał pewną wyspę o świcie w dniu przesilenia zimowego i usłyszał, jak ktoś z brzegu woła go po imieniu: „Tamusie! Gdy zbliżysz się do Palodes, obwieść im, że wielki bóg Pan umarł!”. Z początku, w strachu, zamierzał odmówić, ale kiedy dotarł do Palodes, zakrzyknął słowa, które usłyszał:

„Pan nie żyje! Wielki bóg Pan umarł!”. I wówczas od strony wyspy dobiegł lament i zawodzenie, niejednego, lecz wielu różnych głosów, jak gdyby to sama ziemia opłakiwała go.

Pod kocem po krzyżu Pierce'a przebiegł dreszcz. Czytał już kiedyś tę historię i wówczas również zadrżał.

Powiedzieć [pisał dalej Barr] we wczesnych latach panowania Tyberiusza, że wielki bóg Pan zmarł, to poniekąd nie powiedzieć zgoła nic bądź o wiele za dużo. Wszak wiemy, jaki bóg narodził się w tamtych latach w dniu przesilenia zimowego; znamy jego późniejszą historię, rozumiemy, w jakim sensie Pan zmarł u progu nadejścia nowego bóstwa. Dreszcz strachu czy też zachwyty, jaki wciąż odczuwamy wobec tej opowieści, to ten sam dreszcz, jaki słysząc ją czuł Augustyn: przemija epoka z całym swym światem, zaś człowiek, poganin, słyszy owo przemijanie i nie pojmuje go.

Lecz wiemy również - a wiedział to także Plutarch - że na owych wyspach greckiego archipelagu kult boga-roku, boga o wielu imionach - Ozyrys, Adonis, Tammuz, Pan - był niegdyś praktykowany. Jest wielce prawdopodobne, iż jego

morderstwo oraz zmartwychwstanie były wciąż przedmiotem obrzędów w czasach imperium, a ekstatyczne sekty żeńskie, które co roku rozrywały swego boga na kawałki, a następnie opłakiwały go lamentowaniem, piskami i rozdieraniem szat, nadal istniały. Czy wspomniany przez Plutarcha sternik, Tamus, natknął się na rytualne opłakiwanie Tammuza? Pewne jest, że gdyby przepływał w pobliżu tej samej wyspy rok wcześniej, bądź każdego innego roku w ciągu minionych pięciu czy dziesięciu wieków, usłyszałby o tym samym kulminacyjnym wydarzeniu i wstrząsnęłoby nim to samo zawodzenie; albowiem lata, jak wierzyli Grecy, nie mogły bez tego płynąć.

Pierce poczuł się bardzo dziwnie. Owładnęło nim coś w rodzaju *déjà vu*; poczucia, że oto jął uwalniać się w nim jakiś umysłowy proces, a przy tym uwalniał się on ponownie w inny, lecz nie nowy, sposób.

A zatem, czego się dowiedzieliśmy, poznawszy owe wydarzenia? Czy rozprawiliśmy się z historyjką Plutarcha oraz tą okropną przepowiednią, jaką zawiera, anegdotą o przemijaniu świata? Nie wierzę w to.

Założmy, że jakiś człowiek znajduje pięciodolarowy banknot na rogu pewnej ulicy o pewnej porze dnia.

(Z całą pewnością, zdecydowanie, już to kiedyś czytał, a mimo to nie potrafił sobie przypomnieć, jak to się skończy).

Logika oraz prawo prawdopodobieństwa podpowiedzą mu, że róg ulicy, który przyniósł mu ów nieoczekiwany skarb, nie jest obecnie ani bardziej, ani mniej prawdopodobny niż jakikolwiek inny róg ulicy w mieście, jeśli chodzi o kolejną taką niespodziankę. Pozostaje on takim samym rogiem ulicy jak inne. Lecz któż z nas, mijając nasz szczęśliwy róg o naszej szczęśliwej godzinie, nie rozejrzałby się szybko dokoła? Koniunkcja nastąpiła tam sama z siebie, z naszych pragnień oraz ze świata, nabrała znaczenia; skoro nie przynosi nam już nic więcej, czyż nie kusi nas, żeby uznać, iż zużyliśmy już magię, którą miejsce to niegdyś naprawdę posiadało? Nie potrafimy powstrzymać się przed narzucaniem własnych pragnień światu - mimo iż świat pozostaje na nie głuchy i trzyma się praw, które nie są tymi prawami, jakimi być winny wedle naszego mniemania.

Jednakowoż historię tworzy człowiek. Stary Vico powiedział, że człowiek potrafi pojąć wyłącznie własne dzieło i jego następstwa; że tylko to, czego człowiek dokonał, można pojąć: to bowiem nie pozostanie, w przeciwieństwie do świata fizycznego, głuche na jego pragnienie rozumienia. Toteż kiedy patrzymy na historię i znajdujemy w niej wielkie opowieści, intrygi takie same jak te w mitach i legendach, zaludnione przez prawdziwe postacie, mimo iż posiadające atrybuty, a nawet imiona bogów i demonów, nie powinniśmy być bardziej zaniepokojeni i podejrzliwi niż bylibyśmy, sięgając po młotek i odkrywając, iż jego trzonek pasuje do naszej dłoni, zaś jego główka wyważona jest do naszych uderzeń. Rozumiemy to, cośmy stworzyli, a kształt ten jest naszym kształtem; stworzyliśmy historię, stworzyliśmy jej rogi ulicy wraz z banknotami pięciodolarowymi, które na nich znajdujemy. Prawa, które nią rządzą, nie są prawami natury, lecz prawami, które rządzą nami.

Dowiedzmy się tedy ze wszech miar, dlaczego ów głos opłakiwał śmierć Pana. Dowiedzmy się - odpowiedzi bowiem są dość proste - czemu Mojżesz miał rogi i czemu Izraelici oddawali cześć złotemu cielcowi; czemu Jezus był rybą i dlaczego człowiek z

dzbanem wody na ramieniu wskazał drogę apostołom - dwunastu - do sali na górze. Nie sądźmy jednak, że w podobnych badaniach pozbyliśmy się opowieści, jaką owe postacie przekazują, bądź obdarliśmy ją ze znaczenia. Opowieść pozostaje; jeśli się zmienia, a tak właśnie jest, dzieje się tak, ponieważ nasza ludzka natura jest niestała - istnieje więcej niż jedna historia świata. Lecz kiedy wydaje się nam, że już dowiedliśmy, iż nie ma żadnej opowieści, iż historia to wyłącznie jedno przekłete wydarzenie po drugim, dzieje się tak wyłącznie dlatego, że przestaliśmy rozpoznawać samych siebie.

Mojżesz miał rogi?

A tak. Pierce widział je, na ciemnej fotografii rzeźby Michała Anioła w encyklopedii otwartej przed nim na siedzeniu przy oknie, otwartej przed nim obok tej właśnie książki, Materii czasu, która również leżała koło niego otwarta na tej stronie. Miał wówczas jedenaście lat - nie, dwanaście. Owe rogi były li tylko pąkami, niczym u małego baranka, osobliwie wyglądały na wielkiej brodatej głowie, ale tam były.

Oto była opowieść. Zetknął się z nią po raz pierwszy tam, na miejscu pod oknem - brązowe zimowe góry i martwy ogród na zewnątrz; nie wiedział, czym jest, potrafił ją sobie jedynie wyobrazić,

ujrzeć w wyobraźni, jak się rozwija, łączy i sama się opowiada, zdecydowanie i z determinacją, na podobieństwo nadciągającego czoła burzy. Tajemna historia, która trwa od wieków, nieprzerwanie, i można ją poznać - oto był jej zarys bądź fragment, tajemnice wysypały się, a jeśli nie tajemnice, to sekret, który mówi o tym, że tajemnice istnieją.

W swym nowojorskim slumsie Pierce skręcił papierosa i zapalił go, lecz ów gest dorosłości nie powstrzymał uczucia, które nim owładnęło: iż jego pogmatwane i mroczne wnętrze rozszczepia się na serię obrazów, serię slajdów rzuconych przez latarnię czarnoksiężką, choć wyświetlonych jednocześnie, to wyraźnych, a każdy z nich był poniekąd tym samym slajdem.

Kiedy był bardzo mały, słyszał opowieść o człowieku, który zaskoczony przez burzę znalazł schronienie w starej stodole. Zasnął na stryszku na siano, a gdy się obudził, był sam środek nocy. Ujrzał grupę kotów przechadzających się po krokwiach stodoły; chodziły po nich, podchodziły do siebie i zdawało się, że przekazują sobie jakąś wiadomość. W pewnej chwili dwa koty podeszły do siebie na krokwi znajdującej się nieopodal miejsca, w którym leżał, i usłyszał, jak jeden mówi do drugiego: „Powiedz Dildrumowi, że Doldrum nie żyje”. Po czym rozeszły się. Kiedy człowiek ów powrócił tego dnia do domu, opowiedział swojej żonie o całym zajściu i o tym, co mówiły sobie koty: „Powiedz Dildrumowi, że Doldrum nie żyje”. A słysząc te słowa ich domowy kot, który drzemał przy kominku, podskoczył do góry z

piskiem i zakrzyknął: „Więc to ja mam zostać królem kotów!” Potem wskoczył do komina i nigdy więcej go już nie ujrzeli.

Opowieść ta sprawiła, iż poczuł dreszcz i począł się zastanawiać, rozmyślać całymi dniami; nie nad zasłyszana opowieścią, lecz nad ukrytą w niej tajemną historią, która n i e została opowiedziana. Historią o kotach, ową tajemną historią, która trwała nieprzerwanie, a której nikt prócz nich nie znał.

Również tego uczucia zaznał na siedzeniu przy oknie, sprawdzwszy Mojżesza w kilku miejscach w starym wydaniu *Encyclopædia Britannica*, znalazłszy obrazek i ujrzawszy ową rogatą głowę, niewyjaśnioną, pozbawioną wzmianki nawet w podpisie pod nim. Rogi były tam przez cały czas, mimo iż nie miał o tym pojęcia, ale teraz się dowiedział, podobnie jak istniało wyjaśnienie na ich obecność, którego nie znał, lecz które mógł znaleźć. I właśnie tym była Historia.

A teraz, zbliżając się do tej chwili - jak gdyby otwierając pudełko, które ją zawierało, podczas gdy szukał czegoś innego - Pierce mógł zmierzyć za jej pomocą to, co zyskał, i to, co utracił, w owym długim okresie, jaki upłynął pomiędzy tamtą chwilą a obecną, pomiędzy tamtym oknem w Kentucky a tym tutaj.

Jak do tego doszło, że stracił swoje powołanie?

Rzecz jasna, nie mógł teraz zawrócić i odnaleźć miejsca, w którym upuścił nić, i podnieść jej z powrotem. Czas biegł wyłącznie w jednym kierunku, a tego wszystkiego, czego się nauczył, nie można było utracić. A jednak. Siedział z książką Barra na kolanach,

wsluchiwał się w ciszę miasta i przepelniał go jakiś irracjonalny żal - coś zostało mu skradzione, on sam coś sobie skradł, niezwykle drogocenną perłę, której wartości zapomniał i którą bezmyślnie wyrzucił, a teraz za nic nie mógł jej już odzyskać.

Owego roku zdawało się, iż w mieście rozpoczęła się jakaś osobliwa parada. Z początku Pierce jej nie zauważył, a przynajmniej ją zignorował, mimo iż czuł, że jego studenci stają się coraz bardziej zniecierpliwieni i nieuważni, jak gdyby słyszeli zew odległego bębna. Co pewien czas widywał - na korytarzach, na schodach, w księgarni, w której nerwowo się rozglądał, bądź na ulicach swojej slumsowatej dzielnicy - indywidua, które zdecydowanie wyglądały tak, jakby nie pasowały do tego miejsca; Pierce jednak był na tyle zajęty własnymi sprawami, że nie zastanawiał się nad nimi. Brnął przez swoje zajęcia oraz ulice niczym postać z komiksu, która w dymku nad głową nosi jedynie pojedynczy znak zapytania. Pewnego razu na zatłoczonym korytarzu tak się na siebie poirytował, iż musiał poradzić sobie głośno surowym tonem, żeby r z u c i ć to, na miłość boską, i uspokoić się. A chwilę potem, kiedy studenci z przyciśniętymi do piersi podręcznikami odwracali się, ażeby obrzucić go baczными spojrzeniami, zdał sobie sprawę z tego, że nie ma pojęcia, co takiego powinien rzucić; czym jest to, co trzyma w rękach.

Nie stracił swego powołania, po prostu dorósł; pragnął dorosnąć i nie było sposobu, żeby temu zapobiec, nawet wówczas, gdyby tego nie pragnął. Historia, owa nieodkryta kraina, którą widział w oddali - tak, okazała się całkiem zwyczajna, odmienna od tej, w której żył, nie

w swej naturze, lecz jedynie w przyziemnych szczegółach geografii oraz lokalnych obyczajów, których listy musiał uczyć się na pamięć. Wiedział o tym, wszak, jakżeby inaczej, zbadał ową krainę, tak jak tego pragnął - mieszkał w niej każdego powszedniego dnia.

Jego rozwój zawsze ukierunkowany był na świat zewnętrzny, z dala od opowieści, z dala od rzeczy niepojętych; postrzegał go jako podróż, oddalanie się od dzieciństwa - ta sama podróż ku temu, co zewnętrzne, w jakiej od dawna znajdowała się rasa ludzka, a którą on, Pierce Moffett, jedynie rekapitulował w swej własnej ontogenezie, łącząc się z nią u progu dorosłości w miejscu, które wówczas osiągnęła.

Gdy byłem dzieckiem, myślałem jak dziecko i postępowałem jak dziecko; ale teraz jestem mężczyzną, i wyzbyłem się tego, co dziecinne¹⁰.

Na początku istniała pewna opowieść - zarówno w jego własnym dzieciństwie, jak i u zarania rasy ludzkiej - którą dziecko mogło zamieszkiwać, wyjaśnienie, które można brać dosłownie, na temat „Adamajewy” oraz „Krzysztofa Klumba” i słońca o jasnym obliczu, i księżycy o podobnym, pewien zasób opowieści, których nigdy nie odrzucano, a jedynie z nich wyrastano, z wdzięcznością, jedna po drugiej, jak ze starego letniego ubranka. Opowieści, z których wyrósł, co odbyło się tak, jak sugerowali mu to dorośli, kiedy z zażartą dosłownością domagał się, by mu zaświadczone bądź wyjaśniono taki czy inny szczegół; opowieści, których starzejąca się materia rozciągała się pod jego palcami. Pewnego wigilijnego

¹⁰ Por. 1 Kor 13, 11.

wieczoru, gdy pośród dzieci wrzała kłótnia, Sam Oliphant zaprowadził go oraz jego kuzynkę Hildy, dziewczynkę nieco starszą od niego, na górę, do swojej przestronnej sypialni, i jął przedstawiać dokładne wyjaśnienia na temat Świętego Mikołaja, zaś owe wyjaśnienia zdawały się nie tylko prawdą, lecz również swego rodzaju ulgą, niczym przebicie się spod skorupki jajka; wraz z Hildy zostali dopuszczeni do jakiegoś większego kręgu świata. Tylko nie mówcie maluchom, poprosił Sam, są jeszcze za małe, a to popsułoby im całą frajdę.

A potem już coraz dalej, wydobywanie się z większej opowieści, o Bogu, Niebie i Piekło, Czterech Cnotach Kardynalnych i Siedmiu Tajemnicach Chwalebnych oraz dziewięciu chórach anielskich. Wszystko w ciągu jednego dnia - tak mu się wydawało, kiedy spoglądał wstecz; w ciągu jednego dnia wydostał się na zewnątrz tego wszystkiego, z westchnieniem ulgi, z bólem straty i skinieniem zdecydowania, że teraz nie zawróci już z tej drogi, nawet gdyby nadarzyła się po temu okazja, ale nie miała się nadarzyć, bo wszystko to było zbyt małe, żeby do tego wracać: skomplikowana kula o zegarowym mechanizmie, którą wówczas nosił w sobie niczym staromodny zegarek nazywany cebulą; mógł go otworzyć i spojrzeć nań - jest w doskonałym stanie, tylko stanął - na zawsze.

I dalej - przechodząc tam przez ogromne sfery znaczenia, przez kręgi historii, nie tylko Krzysztof Kolumb, który odkrył, że ziemia jest okrągła, nie tylko Ojcowie Założyciele wraz ze swą budzącą trwożę wiedzą, lecz dalej przez całe wszechświaty myśli, a każdy z nich, im

więcej się o nim uczył, nie wiedzieć jak kurczył się, dopóki nie stał się zbyt ciasny, by w nim żyć, a wówczas wydostawał się na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi.

A potem, nareszcie, dotarł do najodleglejszego punktu zewnętrznego ze wszystkich, punktu bezkresnego - do świata rzeczywistego. O którym nie sposób było niczego powiedzieć, jako że, by sięgnąć doń, musiał - on oraz ludzka rasa, do której rozwoju dołączył właśnie w tym miejscu - przemierzyć każdy wszechświat, o którym można było coś powiedzieć. Wszystkie je nosił w swym wnętrzu; wyrósł z nich wszystkich. Nagi spoglądał na zewnątrz ku ciszy i przypadkowym gwiazdom.

Coś mu się okropnie pomyliło.

Nie wiedząc wówczas zgoła nic o tym, czego się później dowiedział na temat techniki Okresów Klimakteriów, Pierce nie potrafił ująć w wykresy swych niepokojów, choć spoglądając wstecz, widział dość wyraźnie, co mu się przytrafiło - po prostu runął dół z wyżyn swojego okresu stabilizacji dwudziestego pierwszego roku życia, swego Trzeciego Klimakterium. Pobieżna synteza, jakiej dokonał na Noate, „egzystencjalna” poza oraz ignorancka pseudomądrość rozpadła się z chwilą, kiedy znosiły się jego czarne ubrania. Sinusoida jego życia zjechała w dół niczym superszybka kolejka górską w wesołym miasteczku, ściągając go gwałtownie ku dołowi przez jego Rok Przejściowy Opadania oraz ku dołkowi psychicznemu, który po nim nastąpił. Nim nastąpiła wiosna roku 1967, tkwił w nim już po uszy.

Kiedy w czerwcu owego roku zajęcia dobiegły końca, wrócił na Noate, ażeby ukończyć i opatrzyć przypisami swój doktorat, by go wydrukować i uzyskać (z trudem) zatwierdzenie na mocy jego stylowego deseni i drobiazgowych, choć chwilami nieco naciąganych analiz. Wydawał mu się czymś martwym, zaś wysiłek, jaki w niego włożył, jedynie wzmógł to wrażenie; była to praca *pietra dura* czy też chińskie pudełka z kości słoniowej, ale została ukończona. Z biblioteki oraz kruzganków Noate (Barr przebywał na urlopie naukowym) jak gdyby z oddali dobiegały go dzwonenie i śpiewy uczestników parady. Ktoś powiedział mu, że na dziedzińcu odbywa się - podczas gdy on zajmował się rzeźbieniem kości słoniowej w bibliotece - demonstracja Dow, czy też tao, nie miał pewności, o którą chodzi.

Lecz na ulicach jego slumsów muzyka rozbrzmiewała donośnie. Miasto pozbierało swe plugawe peryferie, powstało ze stękaniem i reumatycznym bólem, i całe poczęło się poruszać: znajdujący się naprzeciwko budynek, którego szarą fasadę znał tak dobrze jak własną, został pod jego nieobecność wymalowany w gwiazdy, słoneczka oraz groszki; stare kamienne głowy, które niczym ciemne driady skryły się pod okapami, miały otwarte za sprawą jasnej farby oczy i rozglądały się zdumione. Wszędzie pełno było włóczęgów, pielgrzymów w dziwacznych strojach, ale zamieszkiwana przez Pierce'a dzielnica w sposób szczególny przywodziła na myśl średniowieczne miasto w dniu targowym bądź dniu ważnego święta. Byli tam odziani w pomarańczowe szaty *penitentes* o wygolonych

głowach, pomrukujący monotonnym śpiewem i wijący się w tańcu Św. Wita, byli Cyganie, którzy zjechali do miasta i rozbili obozowiska na zaścielonych śmieciem placach, cali w futrach, piórach i kolczykach; potrzęsali tamburynami i oddawali się kradzieżom. Byli domokrażcy, kuglarze oraz wszelkiej maści naciągacze, były kobiety w długich, ręcznie tkanych sukniach, z mosiężnymi ozdóbkami, karmiące swoje dzieci piersią, które zasiedliły na dziko werandę przy wejściu do jego domu, byli szaleńcy i mnisi z zakonów żebrzących oraz obdarci żebracy dopraszający się jałmużny.

Tymczasem Pierce nadal oddawał się lekturze. Wynaleziono druk, księgarnie zaś zapełniły się raptem najprzedziwniejszym dobrem. Pojawiły się nowe gazetki o krzykliwych, rozmazanych kolorach, pojawiły się almanachy i książki przepowiedni, podejrzanego autoramentu pisma, ballady, ulotki. Z głębokim zdumieniem Pierce począł wśród nich odnajdywać oprawione na jasno wznowienia książek, które wiele dlań znaczyły w dzieciństwie - dzieciństwie, które w taki czy inny sposób w dużej mierze upłynęło pomiędzy ich okładkami, dzieciństwie, którego smak, jak skonstatował, potrafił na powrót przywołać, otwierając karty tych samych książek, niewidzianych od starożytności, od czasów swego własnego Złotego Wieku.

Oto dla przykładu znajdowały się tu książki Franka Walkera Barra sprzed dwudziestu czy trzydziestu lat, z czią wydane w jednolitej edycji w miękkiej oprawie, która obejmowała znane Pierce'owi *Materię czasu* oraz *Mythos i Tyrannos*. Ktoś wpadł na

wyśmienity pomysł, by umieścić na ich okładkach to samo wielkie barokowe wypełnione postaciami malowidło, z którego każdy tom zawierał jedynie szczegół, toteż dopiero kiedy wszystkie ukazały się drukiem i można je było zestawić, tworzyły cały obraz. Znajdował się tu również *Król Artur* Sidneya Laniera ze wszystkimi oryginalnymi ilustracjami, jasnym niczym bożonarodzeniowy poranek i równie zimnymi pod palcami - sfatygowany egzemplarz o przetartych krawędziach, prezent od ojca, przez długi czas stał na jego półeczce z książkami. Była tam również książka, której z początku nie zidentyfikował w jej nowej, miękkiej okładce, dopiero wewnątrz znalazł tę, którą z miejsca rozpoznał, niczym zdemaskowanego przyjaciela z dzieciństwa; była to bowiem po prostu fotograficzna reprodukcja tej starej, którą niegdyś czytał. Książka nosiła tytuł *Podróż Bruna* i stanowiła swego rodzaju biografię pióra twórcy powieści historycznych Fellowesa Krafra, zaś on nie pamiętał z niej nic prócz tego, że swego czasu głęboko go poruszyła, lecz nie miał pojęcia, co powinien o niej sądzić w tej chwili. Na stronie, którą otworzył, znajdował się taki oto fragment:

Zagrzmiał potężny śmiech Bruna, gdy pojął, iż Kopernik wyrócił wszechświat do góry nogami - cóż bowiem, jeśli nie radość, dawało potwierdzenie jego wiedzy, iż Umysł, znajdujący się w centrum wszechrzeczy, zawiera w sobie wszystko to, czego centrum stanowi? Jeśli Ziemię, owo dawne centrum,

teraz widziano jako coś, co obraca się w pół drogi pomiędzy centrum a tym, co na zewnątrz; Słońce zaś, które przedtem krążyło po trajektorii w połowie drogi do tego co na zewnątrz, obecnie stanowiło centrum, to półobrót, niczym we wstędze Möbiusa, został wrzucony w pasmo gwiazd; co tedy stało się z dawnym obwodem? Był on absolutnie niewyobrażalny. Wszechświat eksplodował do nieskończoności, stał się okręgiem, którego Umysł - środek - znajdował się wszędzie, a obwód nigdzie. Oszukańcze zwierciadło skończoności roztrzaskało się, zaśmiał się Bruno; usiane gwiazdami sfery były zdobioną klejnotami bransoletką w dłoni.

Objęta prawami autorskimi w 1931 roku. Któż to na nowo publikował takie rzeczy? Skąd wiedzieli, że są mu potrzebne? Czemu widział ich grzbiety noszone pod pachami oraz w torbach na ramię z frędzelkami efendich, leśniczych, Indiańców z umęczonych hałasem ulic? Przepęłniło go osobliwe uczucie, że od dawna zaryglowane drzwi w jego wnętrzu są forsowane, że w ogólnej amnestii karnawału coś, co było w nim więzione od okresu dojrzewania, uwalnia się - trochę przez przypadek - na zewnątrz, by zostać powitane przez wiwatujący tłum.

Coś. Lecz co?

Gdy nastały chłody, pobrękujące rzesze wyruszyły na poszukiwanie schronienia, skulone, owinięte w wiekowe futra na werandach bądź w ogrzewanych miejscach publicznych. Pierce przygarnął pod swój dach przypadkowe zbłąkane dzieci na jedną noc, czy też na tydzień. Zakatarzeni chłopcy, daleko od domu, brązowy ryż gotowany na kuchence; siedzące po turecku na podłodze dziewczęta ćwiczyły się w prostych ludowych rzemiosłach, dzieliły łóżko, wyniosły się. W ich nieustającej, pozbawionej interpunkcji rozmowie - zaczynie dziwacznych możliwości, tak dla nich rzeczywistych, jak nierzeczywiste były niebezpieczeństwa miasta oraz świat dnia powszedniego wokół - Pierce przepelniony radosnym uniesieniem i trwogą słyszał koniec - nie całego świata bynajmniej, lecz rzeczywistości, w której przyszło mu dojrzewać, świata, który każdy dorastający człowiek wyobraża sobie jako coś, co nigdy nie ulegnie zmianie. Klimakteria podpowiedzą mu pewnego dnia, że świat bez przerwy dorasta i wybucha możliwością, buntuje się przeciw przeszłości, wypracowuje przyszłość i usadawia się, by nabrać stateczności i zestarzyć się, a wszystko dokładnie w tym samym tempie co każda doświadczająca tego osoba. Lecz wówczas Pierce nie znał jeszcze Klimakteriów - zapuścił włosy, popatrywał ze swego okna na paradę i myślał: *Teraz nic nigdy nie będzie już takie jak przedtem.*

Barnabas College, niczym mały chyży jacht, szybko zmienił kurs na wiejące nowe wiatry, mimo iż stare galeony, jak Noate, zmagaly się z grzywaczami. Zajęcia z historii, chemii i języków pochodzące ze starego banalnego świata były z semestru na semestr redukowane do minimum (w końcu historia dla pierwszego roku Pierce'a opuściła otchłanie przeszłości, by zająć się niemal terażniejszością, podczas gdy prowadzone przez innych zajęcia dla wyższych lat poczęły zajmować się przede wszystkim nie przeszłością bynajmniej, lecz możliwościami, utopiami i armageddonami, w których lubują się wszyscy dorośli). Dawne standardowe podręczniki poszły w kąt, zastąpiły je pakiety cienkich książek w miękkiej oprawie, często wybieranych przez samych studentów, bo w końcu to oni (stwierdził doktor Sacrobosco) płacą rachunki. Starsi wykładowcy postawieni wobec takiego obrotu spraw popadli w stan osłupienia bądź ostentacyjnie zmienili front; młodszy, jak Pierce, niemal rówieśnik swoich studentów, wciąż mieli kłopot z tym, by stawić czoło młodzieży, która zdawała się trafiać do Barnabas przede wszystkim po to, by uczyć się o świecie własnych urojeń. Earl Sacrobosco próbował mu pomóc.

- Nie jesteś wystarczająco elastyczny - wyjaśnił, modelując w dłoniach jakiś niewidzialny przedmiot. - Dzieciaki chcą bawić się

takimi ideami, które są dla nich czymś nowym. Więc pobaw się z nimi.

- Zabawa ze studentami to nie to, co...

- Pojęciami, Pierce. Pobaw się pojęciami.

Sam Sacrobosco prowadził zajęcia z astronomii, które wskutek nalegań studentów zaczynały obejmować praktyczne ćwiczenia z astrologii, więc wiedział, o czym mówi. Earl był elastyczny do bólu. Pierce starał się, jak mógł - potrafił bawić się pojęciami, potrafił i robił to, ale nie przestawał uważać swoich zajęć za ćwiczenia z historii, oparte na modelu zajęć, na jakie uczęszczał u Franka Walkera Barra na Noate - ćwiczenia z historii, jakkolwiek tematycznie rozległe i pełne dygresji. Jego studenci najwidoczniej oczekiwali czegoś innego. Podobały im się opowieści, jakie wybierał ze swych rozległych na nowo lektur, i wydawali pełne zdumienia westchnienia wobec pojęć, jakie im przedstawiał. Przyjmowali je bez skrupułów, mieszając z innymi swoimi mentalnymi gośćmi na imprezie, na którą, jak się okazało, Pierce'owi trudno było się wkłęcić. Przyszli na uniwersytet nie po to, jak w mniemaniu Pierce'a uczyniło to jego pokolenie, by pozbywać się swoich przesądów, lecz po to, by znajdować i przyswajać przesady nowe i odmienne; można było odnieść wrażenie, iż nie pojmują istoty dowodu, mieli przy tym dość mgliste pojęcie o tym, czy wieki średnie nastąpiły przed, czy po Renesansie; żywili niechęć do starannych rozróżnień, jakie czynił Pierce, i czuli się dotknięci, kiedy jawnie okazywał zbulwersowanie ich ignorancją. - Ale przecież to są zajęcia z historii - tłumaczył,

stojąc przed ich zadziornymi obliczami. - To są zajęcia o czasach minionych i o tym, co się faktycznie zdarzyło. Opowieści o przeszłości nie mają sensu, jeśli nie tłumaczą wydarzeń, które naprawdę miały miejsce. Właśnie dlatego musimy się ich uczyć i właśnie po to przede wszystkim studiujemy historię. Co do tych innych rzeczy, to może na zajęciach dra Sacrobosco albo pani Black na temat kultu czarownic jako ruchu wyzwolenia kobiet... - Ale po zajęciach tłoczyli się nieprzymuszeni wokół jego biurka, zasypując go wiadomościami na temat Atlantydy, tajemnic piramid, Ery Wodnika.

- Co to jest Era Wodnika? - spytał Earla Sacrobosco.

Pierce i jeszcze jedna młoda wykładowczyni o imieniu Julie, która dopiero co zjawiała się na uczelni, by prowadzić zajęcia z dziennikarstwa w stylu New Age, znajdowali się na niewielkiej kolacji u państwa Sacrobosco. Earl zdobył trochę trawki - ho, ho! - dla siebie i młodych, żeby mogli spróbować po tym, jak pani Sacrobosco udała się na spoczynek.

- Era Wodnika? - podjął Earl; jego brwi poczęły marszczyć się prędko w górę i w dół (tupecik tymczasem pozostał nieruchomy - zawsze się tym zdradzał). - Cóż, to skutek precesji równonocy. Doprawdy, bardzo prosta rzecz. Popatrzcie, Ziemia obracając się wokół własnej osi - pokazał palcem wskazującym jednej ręki palec wskazujący drugiej i począł nimi obracać - nie porusza się precyzyjnie, jest w jej ruchu niewielka nieregularność, porusza się w pewnym sensie jak bączek dla dzieci, który zwalnia. - Palcami zilustrował ową anomalię. - Jednakże wykonanie jednego pełnego

obrotu zabiera bardzo wiele czasu, około dwudziestu sześciu tysięcy lat. Jednym z jego skutków jest to, że kierunek, jaki oś Ziemi wskazuje na niebie - północ geograficzna - z czasem powoli ulega zmianie; gwiazda, którą pokazuje, Gwiazda Polarna, jest inną gwiazdą na początku cyklu, a inną w połowie.

- Hm - mruknął Pierce, próbując to sobie wyobrazić.

- Innym tego skutkiem jest to - ciągnął Earl - że zmienia się plan gwiazd vis-à-vis Słońca. Tak jak względne pozycje przedmiotów w tym pokoju zmieniają się, jeśli zaczniecie powoli obracać głowę. - Wszyscy wykonali rzeczony ruch i parsknęli krótkotrwałym śmiechem. - No właśnie - mówił dalej Earl - więc plan gwiazd ulega zmianie. Można to zmierzyć, obserwując w określonym dniu każdego roku, w jakim znaku zodiaku wschodzi Słońce, a pora, jaką należy wybrać, to równonoc, dzień, który ma taką samą długość jak noc, rozumiecie. A jeśli prowadzi się te pomiary przez bardzo długi okres, przez stulecia, można zauważyć, że Słońce bardzo powoli, stopniowo, cofa się. W dniu równonocy wschodzi nieco później co wiek, to znaczy w nieco bardziej wschodniej części znaku. Można więc przypuszczać, że będzie się tak działo dopóty, dopóki całkiem się nie cofnie, wykonując pełen obrót. I tak też się dzieje. - Przerwał, zamyślając się i unosząc brwi - peruczka nawet nie drgnęła. - I tak się też dzieje.

- Tak? - spytał Pierce. - I co dalej?

- No więc raz na jakiś czas, mam na myśli dłuższy okres, pewnego ranka Słońce wschodzi w nowym znaku. Wymknęło się z

jednego i powróciło do poprzedniego. W tej chwili podczas wiosennego zrównania wschodzi w jakimś początkowym stopniu znaku Ryb. Ale znajduje się w ciągłym ruchu - w stosunku do nas, to znaczy tak naprawdę to my jesteśmy w ruchu i niedługo - oczywiście w sensie astronomicznym bardzo niedługo, mniej więcej za kilkaset lat - Słońce zacznie wschodzić w znaku Wodnika. W ten sposób Era Ryb, która rozpoczęła się jakieś dwa tysiące lat temu, dobiegnie końca, a zacznie się Era Wodnika.

Dwa tysiące lat temu, w Erze Ryb, świat zmienił się z p.n.e. na n.e. Jezus. Przecież Jezus był rybą. A niech to.

- A niech to - powiedział głośno Pierce.

- Zawsze poprzedza, rozumiesz - odezwał się Earl z rozmarzeniem. - Poprzedza. Przed Rybami był Baran, a przed nim Byk i tak dalej.

Mojżesz, który obalił złotego cielca, miał baranie rogi. A potem przychodzi Jezus ryba, na dwa tysiące lat, nowe niebo i nowa ziemia, a pasterz Pan ucieka z górskich zboczy. Natomiast w tej chwili świat wypatrywał i wyczekiwał człowieka niosącego dzban wody¹¹.

- Dzieciaki twierdzą - dodał Pierce - że to się już zaczyna.

- Ano właśnie - rzucił Earl pobłaźliwie.

Pierce znów przenikliwie odczuł owo doznanie, jakby seria obrazów wyświetlała się w jego wnętrzu za pomocą magicznej latarni, wszystkie naraz, wszystkie zachodzące na siebie, wszystkie stanowiące jeden obraz. Czy o tym również już kiedyś słyszał? *Iam redit et Virgo, redeunt Saturnia regna*: tak, oczywiście, Panna

¹¹ Por. Łk 22, 10.

powraca, albowiem jeżeli w chwili, gdy Wergiliusz pisał to zdanie dwa tysiące lat temu, Słońce wschodziło w znaku Ryb, później, podczas równonocy jesiennej, wszędzie w jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, tak, w znaku Panny. Więc Wergiliusz, jak się zdaje, również o tym wiedział. Zaś on, Pierce, czytał i studiował go w St. Guinefort i nie rozumiał. Poczuli się, jak gdyby, o ile ten stan się utrzyma, znów miał zasiąść nad swoimi najpierwszymi elementarzami, swoim pierwszym katechizmem, mówiąc: Ach, teraz rozumiem, więc to była historia zakodowana w tych opowieściach, to była owa skrywana przede mną tajemnica.

Powiedz Dildrumowi, że Doldrum nie żyje: wielki bóg Pan nie żyje.

- Myślałam - odezwała się Julie - że równonoc wypada 21 marca.

- Tak jest, mniej więcej - odparł Earl.

- Ale to jest znak Barana.

- Tak było, kiedyś. Może wtedy, kiedy cały ten system został skodyfikowany, tak było.

- Ale wobec tego wszystkie znaki słoneczne i znaki urodzin są błędne. - W jej głosie zabrzmiała uraza. Pierce wiedział, że przywiązuje wielką wagę do swojego znaku i wynikających z niego dla niej implikacji. Na szyi nosiła emaliowanego miedzianego skorpiona. - Są znacznie przesunięte.

- To się reguluje w systemie - rzucił niejasno Earl. Poruszył dłonią, jak gdyby dostrajał telewizor. - Nanosi się korekty.

Pierce, onieśmielony, potrząsnął głową. Zdawało się, iż w jego wnętrzu ma miejsce jakieś zderzenie, zderzenie wprost bezprecedensowych rozmiarów, dwa ogromne sedany, oba należące do niego, najeżdżały na siebie w niezwykle zwolnionym tempie; ich przednie części zderzyły się z łoskotem, na twarzach kierowców odmalowało się przerażenie.

- Ale to przecież tylko niewielkie zawirowanie.

- Ale wyobraź sobie jego skutki - powiedział Earl, podnosząc do ust tłącego się skręta - gdyby Ziemia była nieruchoma. Zmieniałyby się całe niebiosa. Ta kwestia wydaje się niezmiernie ważna.

- Ale tak się nie dzieje. Earl uśmiechnął się szeroko.

- No cóż, wszystko to powraca - pisnął ze wstrzymanym oddechem. - To jest nowa era.

Redeunt Saturnia regna: stary złoty wiek, który niegdyś istniał, znowu powraca. Idąc do domu rozświetlonymi ulicami, w łóżku z Julie, przy śniadaniu, na sedesie, stojąc w zamyśleniu przed swoimi studentami, Pierce począł często doznawać, niczym mocnego chwytu na gardle bądź brzęczenia w uchu, owego poczucia kolizji, jakiego po raz pierwszy doznał u Earla; jak gdyby natknął się na coś w rodzaju rozdroża, nie, jak gdyby sam był rozdrożem, miejscem, gdzie spotykają się obciążone ciężkimi towarami, przybywające z daleka karawany, zderzając się tam z innymi karawanami, przybywającymi z innych odległych miejsc, zmierzającymi gdzie indziej: karawany jucznych zwierząt, kupcy przewożący klejnoty zaszyte w swych

szatach, ciemni nomadzi przybywający znikąd i niczego nie wiozący, imperialni kurierzy, szpiegzy, zaginione dzieci. Historia, jaką we własnym mniemaniu znał, owa ścieżka zwana Historią, którą przemierzał każdego powszedniego dnia, ścieżka, która wiodła wstecz poprzez labirynt bitew, migracji, podbojów, bankructw, rewolucji, jedno paskudztwo po drugim, kobiety i mężczyźni, którzy pracują i rozmawiają, śnią i bawią się, póki w końcu nie zawinęła się wokół siebie nie do poznania na skraju ogniska na jakichś rozległych i cichych trawiastych wyżynach - od tej ścieżki, jak się zdawało, odchodziła inna, równie długa i kręta, tylko na długo zapomniana, a obecnie z jakiegoś powodu, właśnie teraz, niespodziewanie znów widoczna, tak dla niego, jak i dla innych - wzmagające się wichry świtu, gdy noc pobladła. Wydawało się to wydobywać wprost spod nóg wytartego pluszowego fotela (ocalonego niedawno z ulicy), w którym późną nocą Pierce przesiadywał pogrążony w myślach.

W dole tej drogi przeszłość nie ciemniała w miarę odległości, lecz jaśniała; tam znajdowały się krainy świtu, światli przodkowie, którzy wiedzieli to, o czym my zapomnieliśmy; olśniewające miasta wzniesione za pomocą kunsztów dziś już utraconych.

Droga ta, wijąc się, również nie zbaczała ku zagubionemu pośród dziczy kresowi, nie, choć była znacznie krótsza niż owa droga, którą Pierce nazywał Historią, w gruncie rzeczy była nieskończona, jako że gdy jej najodleglejszy wiek zawracał ku jej pierwszemu dniowi, cała droga zataczała pełny krąg; wąż brał w paszczę kurczący

się szybko koniuszek swego ogona. Obecnie historia stworzona jest z czasu, lecz niegdyś stworzona była z czegoś innego.

Ha, to by dopiero była opowieść dla jego dzieciaków, pomyślał. Opowieść o historii nieutworzonej z czasu; historii, która inna jest niż Historia, acz tak symetryczna w stosunku do niej jak śnienie do jawy.

Jak śnienie do jawy.

Podniósł się ze swego nowego fotela z niejakim wysiłkiem i podszedł do okna; pogasił światła i stał wyglądając na nigdy nie ciemniejące miasto.

Zdarzyło się kiedyś, pewnego poranka, kiedy był dzieckiem - ile miał wówczas lat? nie więcej niż pięć czy sześć - że gdy obudził się z zatrważających snów, zawitych pościgów i utrat, a jego matka próbowała wyjaśnić mu istotę snów, i czemu tak się dzieje, że choć myślimy, iż jesteśmy w nich w śmiertelnym niebezpieczeństwie, to nic nie może nam się stać, absolutnie nic. Sny, mówiła, to po prostu opowieści, tyle tylko, że nie są to opowieści na z e w n ą t r z, jak te z książek, które czyta tata. Sny są twoimi własnymi opowieściami w e w n ą t r z.

Opowieści wewnątrz, każda z nich zagnieżdżona we wszystkich pozostałych, jak gdyby wszystkie te opowieści, we wnętrzu których kiedykolwiek się znaleźliśmy, wciąż znajdowały się zagnieżdżone w naszym wnętrzu, z powrotem do początku, gdziekolwiek on jest czy też był. Opowieści są tym, z czego utworzona jest ta druga historia, ta, która nie jest stworzona z czasu.

Dziwne, pomyślał, dziwne, bardzo dziwne. Właściwie to już od jakiegoś czasu czuł się dziwnie, jak gdyby pod swymi bosymi stopami czuł ruch obrotowy ziemi. Może w gruncie rzeczy nie utracił swojego powołania; może je tylko zawieruszył, dawno temu zamknął przez pomyłkę drzwi za tą jedną opowieścią, z której nie można wyrosnąć, opowieścią o tym, w jaki sposób istnieje opowieść. Owe stare drzwi rozwarły się na oścież za sprawą wichrów, które wzbierały, a za nimi znajdowały się inne drzwi, drzwi za drzwiami, w nieskończoność otwierające się do tyłu ku kolorowym wiekom.

Kiedy Pierce po raz pierwszy zaczął prowadzić zajęcia na Barnabas, ze względu na swój dość niejednoznaczny dyplom z Renesansu został wyznaczony do uczenia nie tylko historii, ale również literatury dla studentów pierwszego roku czy też wprowadzenia do literatury światowej, zajęć, które wówczas wciąż jeszcze miały status obowiązkowych. Homer, Sofokles, Dante, Shakespeare, Cervantes - wszyscy przewinęli się przez pierwszy semestr ponad głowami większości studentów: wolno machające skrzydłami, ledwie dostrzeżone pterozaurowy, Pierce uważał, że jeśli w przyszłości natkną się na któregoś z tych autorów, przyjemnie będzie się przyznać, że kiedyś już się z nim zetknęli.

Kiedy dochodził do Dantego, którego zawsze uważał za utrapienie, zwykł stosować sztuczkę podchwyconą na Noate od dra Kappela, który uczył go równorzędnego przedmiotu na pierwszym roku, a przy tym również uważał Dantego za antypatycznego. Na

początku zajęć, podobnie jak czynił to dr Kappel, rysował na tablicy okrąg.

- To jest świat - wyjaśniał.

Punkt na krawędzi świata.

- Jerozolima. Pod nią znajduje się piekło, schodzi w dół spiralnie albo w kształcie stożka, o tak. - Spirala wiodąca w dół świata okręgu.

- Tu przebywają dusze potępionych, podobnie jak wiele upadłych aniołów. W samym środku, w zamrożonej otchłani, olbrzymia postać: Diabeł, Szatan, Lucyfer. - Niewielki ludzik z kresek. - Teraz - Narysował punkt na drugim krańcu świata, naprzeciw Jerozolimy. - Tu znajduje się góra o siedmiu poziomach, czyściec, tkwiący samotnie w pustym morzu południowym. Tu, na różnych tarasach, przebywa więcej umarłych, grzesznicy lżejszego kalibru, których zbrodnie zostały wybaczone, ale za które jeszcze nie odpokutowali.

Jednym pociągnięciem kredy narysował następnie okrąg wokół tego, który symbolizował Ziemię, a na nim półksiężyc.

- Nad Ziemią, okrążając ją, znajduje się Księżyc. Nad Księżycem Słońce. - Kolejne okręgi ciągnące się na zewnątrz:

- Merkury. Wenus. Mars. - Kiedy wyznaczył siedem okręgów wokół symbolu Ziemi, dodał jeszcze jeden: - Gwiazdy, wszystkie na stałych miejscach, obracające się wokół Ziemi raz na dwadzieścia cztery godziny. - Obstukał tablicę kredą:

- Na zewnątrz tego wszystkiego Bóg. Pośród miriadów aniołów, które sprawiają, że wszystko to obraca się harmonijnie wokół Ziemi.

Wówczas cofał się, kontemplując obraz, i mówił:

- Teraz proszę mi powiedzieć, co przede wszystkim rzuca się w oczy w tym tutaj obrazie wszechświata, który jest obrazem, jaki przedstawia nam Dante w swoim poemacie?

Zazwyczaj cisza.

- No, śmiało - zachęcał Pierce. - Pierwsza najbardziej oczywista rzecz na temat tego obrazu.

Nieśmiała próba, zwykle ze strony jakiejś dziewczyny:

- Czerpie silną inspirację z religii...

- Nie, nie, nie - mówił Pierce z uśmiechem - nie, pierwsza rzecz, jaką zauważamy. - I chwytając swój egzemplarz Dantego, nadal z uśmiechem na ustach, zaczynał wymachiwać nim przed nimi: - Jest nieprawdziwy! Jest nieprawdziwy. Nie ma żadnego piekła w środku Ziemi z tkwiącym tam diabłem. Fałsz. Nie tak. Nie ma też żadnej siedmiopiętrowej góry w pustym morzu południowym, ba, nie ma nawet żadnego pustego morza południowego. - Raz jeszcze przyjrzał się swojemu rysunkowi, wskazując poszczególne jego elementy. Studenci poczęli nieśmiało chichotać. - Ziemia, proszę państwa, nie znajduje się w centrum wszechświata, ani nawet w centrum Układu Słonecznego. Krążące wokół niej Słońce, planety, gwiazdy - nic z tych rzeczy. Co do Boga na zewnątrz tego wszystkiego, nie będę wyrażał swojego zdania, ale trudno wierzyć w niego dokładnie w takiej formie. Tak sędzę.

- A zatem - mówił, ponownie się do nich odwracając i kładąc kres żartom - to nie jest prawda. To nie jest prawdziwa historia i nie dzieje się we wszechświecie, w którym żyjemy. Jeśli jest coś ważnego

w tej książce, a moim zdaniem jest - w tym miejscu w nabożnym skupieniu spuszczał wzrok - nie jest to z pewnością jej funkcja informacyjna na temat świata, na którym, czy też w którym, żyjemy. Tym, co będziemy musieli zgłębić, jest waga, jaką mimo to może mieć ona dla nas dzisiaj. Innymi słowy to, dlaczego należy do Klasyki.

A wówczas gładko, a przynajmniej z większą łatwością, rozpoczynała się podróż w ciemny las, mędrcy i kochankowie, płonący papież, nieczystości, mroczna podróż na dół i jasna w górę. Była to dobra sztuczka, zaś Pierce udoskonalił ją w przeciągu dwóch czy trzech semestrów, aż pewnego późnojesiennego dnia odwrócił się od ukończonego rysunku na tablicy, by rzec: - Teraz proszę mi powiedzieć, co przede wszystkim rzuca się w oczy w tym obrazie wszechświata? - i zauważył, że przygląda mu się bacznie banda piratów (wraz ze swymi jeńcami), z których składała się jego grupa na wstępie do literatury światowej; przygaszone spojrzenia, lekko rozwarte usta, spokój i podziw.

- Co - powtórzył bez swego zwyczajowego zapału - przede wszystkim rzuca nam się w oczy w tym obrazie wszechświata?

Zdawali się zaintrygowani - zauważali wiele rzeczy, lecz nie mieli pewności, która z nich jest tą pierwszą; można było odnieść wrażenie, że niektórzy z nich są urzeczeni jego mandalą, jak gdyby wyrysował ją po to, żeby wprowadzić ich w trans. Inni sprawiali wrażenie śpiących bądź nieobecnych duchem; ich porzucone ciała oddychały łagodnie. Ci, którzy wykazali żywe zainteresowanie,

podśmiewali się z żartu bądź gry innej niż ta, jaką prowadził Pierce. On zaś poczuł w sobie narastanie przyprawiającego o gęsią skórę przekonania, że rozróżnienie, jakie za chwilę miał przedstawić, nie zostanie zrozumiane, że ostatecznie on sam już w pełni go nie rozumie.

- To jest nieprawda - powiedział ostrożnie, jak gdyby przemawiał do lunatyków, których bał się obudzić. - To jest całkowita nieprawda.

Tego dnia, przedzierając się ku wyjściu z budynku przez grupki siedzących w kucki żebraków oraz stoliki pamfleciarzy, Pierce przyłapał się na tym, że zastanawia się, jak w dzisiejszych czasach radzi sobie ze swoimi studentami Frank Walker Barr. Stary Barr, poczciwy Barr, ostrożnie, niezobowiązująco sugerujący, iż mogą jeszcze istnieć w tym zimnym i spójnym świecie enklawy tajemnic - jakieś odległe wioski, które nie zostały jak dotąd spacyfikowane - jakich być może nigdy nie da się uprościć; Barr, który snuł opowieści, kładł nacisk na ich wartość, zawsze z tym swoim asekuranckim stłumionym chichotem - cóż, było to wożenie drzewa do lasu, a nawet gorzej, czas wykonał obrót i przyniósł nowy znak, te dzieciaki wierzyły w historie, jakie im opowiadano.

- W sumie to jest w tym sporo sensu - stwierdziła Julie. - Z astronomicznego punktu widzenia jest to pewnie długi okres oczekiwania, ale gdybyśmy byli w koniunkcji, odczulibyśmy ją, znaleźlibyśmy się pod jej wpływem, no i widzielibyśmy znaki; i je widzimy - przynajmniej ja. - Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na

jego łóżku, ich łóżku, w marzycielskim skupieniu nakładała na paznokcie jasny lakier, usiłując namalować zestaw symboli: gwiazdy, Księżyc, oko, Słońce, koronę. - Ta koniunkcja to być może nasze skrajne czasy, wszystko może się wydarzyć, zmierzch jednego świata i początek następnego; jesteś zawieszony dokładnie w chwili przemiany, a wszystko, co było, teraz stanie się inne, wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, jest przez chwilę możliwe, i widzisz, jakby szli do ciebie z przyszłości ci przyszli ludzie, i obserwujesz, jak się zbliżają, piękni, i czekasz, żeby usłyszeć, co powiedzą, zastanawiając się, czy zrozumiesz ich mowę. - Wyciągnęła swoją mistyczną dłoń do Pierce'a. - Jest w tym sporo sensu - dodała.

Właśnie zamierzają śnieniem powołać do życia swój nowy światowiek, dziwił się Pierce; ale jak inaczej powstawały nowe światowieki? Trzeba stanąć po ich stronie, pomyślał, nie ma wyjścia; wezbrały w nim współczucie i miłość dla owych dzieci, umęczone szeregi na pielgrzymce na jedynej przecież drodze, jaką można było podążać, snując w marszu swoją przyszłość. A ponad wiszącą nad każdą głową chmurą myśli znak zapytania.

Tym, czego potrzebowali - czego, prawdę mówiąc, on sam miał wkrótce potrzebować - były nie tyle kolejne opowieści, ile wyjaśnienie; wyjaśnienie, wytłumaczenie, dlaczego owe opowieści o świecie, dokładnie te, a nie inne, powinny na powrót znaleźć się w obiegu właśnie teraz, po okresie długiego snu, i czemu, jakkolwiek na pierwszy rzut oka zdawały się fałszywe, właśnie teraz zaczynały sprawiać wrażenie prawdziwych bądź zyskujących

znamiona prawdziwości. Wyjaśnienie, model, jakaś metoda, za pomocą której ci karmiący się pojęciami niczym chlebem potrafiliby orzec, które naprawdę są czymś nowym, a które wciąż śnionymi starymi snami, o p o w i e ś c i a m i w e w n ą t r z, z których ludzkość nigdy do końca się nie obudziła bądź nie wiedziała, że się z nich obudziła, albowiem ci, którzy nie wiedzą, że się obudzili ze snu, skazani są na nieustanne śnienie go w nieświadomości.

Z powodu Ery Wodnika? Nie, przecież to niedorzeczne, prawda? Z pewnością nie był to wiek, lecz serce, nawet nie wszystkie serca, które zmieniło się ze złota w ołów i na powrót w złoto; Mojżesz miał rogi z powodu pewnego błędu w przekładzie z hebrajskiego na łacinę lub z łaciny na angielski, Jezus był zarówno Barankiem i Lwem, jak i Rybą, świat zaś obracał się wokół swego środka z własnego powodu, który nie miał nic wspólnego z nami. Zacząć a p r o b o w a ć jedną czy drugą z tych wielkich opowieści - no dobrze, lecz cóż wobec tego począć z pozostałymi, równie wielkimi i równie zniewalającymi, które pojawiły się w tkaninie historii, o ile na ową tkaninę (lśniący jedwab, mieniąca się tafta) patrzyło się w innym świetle? Nie, z pewnością Barr pragnął jedynie zasugerować, że siły ekonomiczne i społecznie nie mogły same z siebie wygenerować owych kuriozalnych faktów w historii ludzkości i że niezdolność doświadczenia owych tytanicznych, wchodzących na scenę i znikających z niej, targanych wiatrem alegorii oznaczała nie tylko utratę całej przyjemności, jaka płynie z historii, lecz również wykluczenie się z tego, w jaki sposób historia, długie życie człowieka na ziemi, jest w istocie doświadczana przez

tych, którzy ją tworzą, co wszakże stanowi tyleż przedmiot badania historyków, co faktyczne warunki materialne oraz możliwe do odkrycia działania.

Nie postępujemy nazbyt pochopnie: to wszystko, co Barr powtarzał swoim studentom, swoim odzianym w szare garnitury i ostrzyżonym na jeża żakom, wówczas, u kresu Wieku Rozumu. Musimy pojąć - mimo iż, niestety, zaskakuje nas to i wprawia w zakłopotanie - że ostatecznie nie sposób wydestylować faktów z opowieści. Na zewnątrz naszych opowieści, wokół nas, znajduje się ahistoryczny, obcy człowiekowi, bezwzględnie odmienny świat fizyczny; zaś w obrębie naszego życia, w obrębie tego świata, znajdują się nasze opowieści, nasze mury obronne, bez których postradalibyśmy zmysły na podobieństwo człowieka, który pozbawiony snu ostatecznie popada w obłąd. Nie są prawdziwe, nie - jedynie konieczne.

Lecz ów Wiek Rozumu był rezydencją z zamkniętymi okiennicami; obecnie Pierce wciąż słyszał, że świat rzeczywisty, który Barrowi wydawał się tak bardzo niezachwiany, zaczyna rozpadać się pod okiem badacza. Względność. Synchronia. Nieoznaczoność. Telepatia, jasnowidztwo, kwitujący gimnosofiści ze Wschodu, zmieniający swą skórę w złoto jedynie siłą myśli. Niewykluczone, iż mogła to sprawić moc życzenia, potrafił tego dokonać wykwalifikowany posiadacz życzeń dostatecznie długo szkolony w odpowiednich sztukach, sztukach od tak dawna tłamszonych przez Święte Oficjum zaborczego Rozumu, że uległy zanikowi, gnijąc w

więziennej celi. Acz silne kwasy potrafią rozpuścić te więzy, oczyścić bramy zmysłów, wpuścić światłość odległych, prawdziwych niebios. Tak słyszał Pierce.

A co, jeśli Barr się mylił? Co, jeśli wewnątrz i na zewnątrz nie istniały owe jedyne kategorie, ani cała prawda po jednej stronie równania? Albowiem Mojżesz naprawdę miał rogi, w pewnym sensie; Jezus był rybą; jeśli były to wyłącznie opowieści wewnętrzne, niczym sen, to mimo wszystko znajdowały się one na zewnątrz każdego człowieka; ani też śnienie nie mogło sprawić, by pasowały do faktycznego zachowania owych konstelacji, choć ostatecznie tak było. Jak to możliwe? Jak to się stało? Jak wobec tego wieki stały się w umyśle Pierce'a kolorowymi panelowymi obrazami, do których wszystko to, czego się nauczył, można było z miejsca wpasować, i skąd pochodziła pewność, że im bardziej kolorowe i skończone stawały się jego przepełnione płótna, tym więcej historii pojmował w całej jej pełni? Skoro w istocie pojmował historię w całej jej pełni, to czy jego kolory były wewnętrzne czy zewnętrzne?

A co, jeśli - utworzony wszak z jej materii, stworzony z jej niezbyt trwałych atomów i elektronów, całkowicie wpleciony w jej czasoprzestrzenne kontinuum, jej Ekologię (nowe słowo znalezione na progu wieku, które trzeba było zaadoptować i wychować) - co, jeśli człowiek i ludzka myśl, a przy tym ludzkie opowieści, ucieleśniali nie tylko człowieczą prawdę, lecz również wiele prawd dotyczących tego, co zewnętrzne, prawd mówiących o tym, jak funkcjonuje nie tylko świat ludzki, ale także cały ogromny wszechświat? Co, jeśli te

dawne, po wielokroć powtarzane, wiecznie powracające, tak bardzo przykuwające uwagę opowieści przyciągają dlatego, że przede wszystkim skrywają zakodowaną tajemnicę dotyczącą tego, jak działa świat fizyczny (czy też „tak zwany” świat fizyczny), skąd wziął się człowiek, a w konsekwencji myśl, a w konsekwencji znaczenie?

Żadna z nich nie była prawdziwa, żadna z owych opowieści! Choćby nawet jedna. No dobrze: Ale co, jeśli w s z y s t k i e one były prawdziwie? Wszechświat to kasa pancerna, sejf z zamkiem szyfrowym, zaś jego szyfr tkwi zamknięty w jego wnętrzu: ów stary paradoks dał mu ogromne pocieszenie jako egzystencjaliście na Noate; gorzką przyjemność. Ale to my jesteśmy tym sejfem! Jesteśmy stworzeni z prochu, w porządku, proch potrafi myśleć, proch posiada wiedzę. Szyfr jest, musi być, zamknięty w naszych sercach, w naszej tętniącej krwi, w naszych wirujących mózgach oraz opowieściach, jakie przędą.

Czy to możliwe, czy to możliwe? Skąd o tym wiedział? Z pogardą bez mała, jakby skurczem wywołanym dotykiem czegoś odrażającego, zawsze unikał wszelkiej systematycznej wiedzy na temat wszechświata fizycznego; ostrożnie ledwie prześlizgiwał się przez każde zajęcia z nauk ścisłych, na jakie musiał uczęszczać na Noate, i zapomniał ich nużące i koszmarne treści z chwilą zamknięcia za sobą drzwi ostatnich ćwiczeń w laboratorium. Należała do nich astronomia. Nic z niej nie pamiętał, nie licząc faktu, wówczas całkiem dlań sympatycznego, że komety (owe prastare zwiastuny) były li tylko wielkimi kulami brudnego śniegu. Wszystko, co wiedział na temat

tego, jak przebiegały badania natury rzeczy w jego czasach, ograniczało się do informacji, jakie wyczytał z gazet bądź obejrzał w telewizji - tylko tyle, a także pojęcia, jakie trafiały obecnie do niego niczym za sprawą naładowanego powietrza, pogłoski Julie dotyczące niebotycznych rewelacji, jakie miały się właśnie objawić, co właściwie nigdy nie następowało. Kosmiczne statki Skądinąd lądowały, kiedy Księżyc przybliżał się do Ziemi; potężni magowie, ukrywający się dotąd w Tybecie, mieli ogłosić się prawdziwymi władcami planety; naukowcy powpadali do spontanicznie powstałych szczelin w materii czasoprzestrzeni, zaś cała sprawa została zatuszowana. Z dreszczykiem zdumienia Pierce słuchał wiadomości, które, gdyby okazały się prawdziwe, na zawsze już odmieniłyby całe pojęcia czasu i życia - a w następnej chwili, śmiejąc się z ulgą, rozpoznawał w nich dawne opowieści; opowieści, które uchodziły za stare już na przełomie poprzednich wieków, i niewykluczone, że należały do tych, które opowiadano przy owym pierwotnym ognisku, przy którym usłyszano je po raz pierwszy na świecie.

Skąd więc wziął się ów dreszcz zdumienia?

Zadrzał; otworzył okno ku nocy, a następnie oparł się łokciami o parapet. Swój długi podbródek złożył w złączonych dłoniach i trwał tak, wyglądając na zewnątrz niczym gargulec.

Czy świat posiadał fabułę? Czy rzeczywiście ją posiadał? Nigdy nie wierzył w to, że on sam ją posiada, nawet w owych czasach, gdy żył wewnątrz opowieści. Lecz czy posiadał ją świat?

Ludzie tam, na zewnątrz, wierzyli, że tak. Jego studenci, łaknący opowieści, tak jak człowiek pozbawiony snu pragnie zasnąć. Z pewnością Julie popatrzyłaby na ten sam róg ulicy o tej samej porze dnia w poszukiwaniu kolejnego banknotu pięciodolarowego; być może ta sama faza księżyca wywołałaby ten sam przynoszący pięciodolarowy zysk obrót koła. Julie wierzyła, że Cyganie potrafią przepowiadać przyszłość.

Czy świat posiadał fabułę? Czy tylko Pierce'owi zdawało się, że mu jej brakuje, gdyż on sam zapomniał o własnej?

Pewnego kryształowego majowego poranka, gdy wydawało się, że wszyscy już wyjechali, siedzieli z Julie naprzeciw siebie przy pociętym szramami kuchennym stole, gotowi do odejścia. Między nimi stała teraz smukła szklanka wody, na spodeczku zaś dwie zabarwione na niebiesko kostki cukru, które ich sąsiad z góry - mężczyzna o łagodnym spojrzeniu i obfitym owłosieniu - zdobył dla nich, bilety Dokądkolwiek. Po latach niekiedy zastanawiał się, czy w owej chwili nie wymknął się przypadkiem przez coś w rodzaju bocznych drzwi egzystencji, na zawsze porzucając główny kurs, jaki w przeciwnym wypadku obrałoby jego życie; nie miało to jednak znaczenia, nie istniała bowiem możliwość powrotu, żeby się o tym przekonać, nie było odwrotu z rozwijającej się ścieżki, która wkrótce miała się znaleźć pod jego stopami. Znaleźć się, nie zaś wyłącznie sprawić takie wrażenie. Nie była to metafora, a jeśli nią była, posiadała tak ogromną głębokość, iż jej wymowa oraz środek wyrazu, nie będąc identyczne, równie dobrze mogłyby takie być. W gruncie

rzeczy w pewnej chwili owego niekończącego się poranka stało się oczywiste, że sama prawda jest metaforą, nie, nawet nie metaforą, a jedynie kierunkiem, kierunkiem ku najbardziej objawicielskiej metaforze ze wszystkich, której nigdy, przenigdy nie sposób osiągnąć. Życie jest podróżą, tylko jedną; przez nie ciągnie się tylko jedna droga, jeden ciemny las, jedno wzgórze, jedna rzeka, przez którą trzeba się przeprawić, jedno miasto, do którego trzeba wkroczyć, jeden świt, jeden zmierzch. Tyle, że każdy z nich po wielokroć jest doświadczany, pojmowany, rozumiany, opisywany, zapominany, tracony i ponownie odnajdywany. A równocześnie - stojąc tak i zachłystując się wichrami Czasu, Pierce poczuł to z pełnym najgłębszego zdumienia przekonaniem Bruna odkrywającego Kopernika, pierwszego człowieka w historii, który to dostrzegł - wszechświat rozszerza się w nieskończoność w każdym kierunku, w jaki można popatrzeć bądź o jakim można pomyśleć, w każdej sekundzie.

Ach, rozumiem, ach rozumiem, pojmuję, powiedział, wsłuchując się, jak jeden po drugim otwierają się niezliczone maleńkie zamki, odsłaniając kolejne tajemnice jego miniaturowych chemii. Tego dnia nauczył się, gdzie znajduje się niebo, gdzie piekło, a gdzie góra o siedmiu tarasach; i zaśmiał się głośno, poznawszy tę prostą prawdę. Poznał też odpowiedzi na setki innych pytań, a potem je zapomniał, zapominając również owe pytania. Lecz parę lat później - nieczęsto, lecz od czasu do czasu - otrzymywał, na podobieństwo fali, która wdziera się w głąb suchej, kamienistej plaży, po czym cofa się,

pojedynczą kroplę olśnienia tamtego dnia i przez chwilę smakował jej pewność niczym sól.

Były to czasy, kiedy Pierce stał się popularnym wykładowcą na Barnabas. Wówczas to zaczął być postrzegany przez swoich studentów jako ktoś, kto posiada jakąś tajemnicę, którą może przekazać; tajemnicę, której zdobycie okupił pewnym wysiłkiem. Stosy przyniesionych, pożyczonych i skradzionych książek pięły się wysoko w górę za jego ocalonym z ulicy okazałym pluszowym fotelem; egzotyczne dobra, które zrabował, a teraz przychodził obładowany nimi do sali wykładowej - nie starczyłoby minut w godzinie ani godzin w semestrze, by wszystkie je wyładować.

Tymczasem wielka parada przewijała się, zamykając się w sobie, przyćmiona śmiechami i ubóstwem; ci, którzy regularnie zjawiali się w sali wykładowej Pierce'a, siadali na podłodze i słuchali jego opowieści, zwykle mniej byli zaznajomieni z zachodnią cywilizacją; zdawali się istotami, które przywędrowały z odległych miejsc i zmierzały ku innym odległym miejscom, dla niego niewyobrażalnymi, a które, wyczerpane i zakurzone, jedynie odpoczywały przez chwilę przy nim.

Mimo to Pierce robił swoje. Gdy na Środkowym Zachodzie Rosie Rasmussen oraz jej Mike organizowali swoje gospodarstwo domowe w szarym Vetville, w cieniu wielkiego i niespokojnego uniwersytetu, a Spofford siedział w milczeniu i napięciu w świetlicy

szpitala w Harlemie wraz z sześcioma innymi, którzy nie potrafili zapomnieć pewnej odległej plaży o świcie, pewnego zielonego wzgórza, Pierce czytał: czytał Barra i Vica, czytał *Steganografię* Lois Rose, czytał opowieści braci Grimm i Frobeniusa, *Opowieści o kwiatach*, *Historię świętego Graala* oraz *Historię Towarzystwa Królewskiego Sprata*, czytał George'a Santayanę (nie, nie) oraz Giorgio di Santillanę (tak! tak!), a także kilkanaście tekstów, z którymi być może zetknął się na Noate lub zgoła nigdy; czytał *Złotą gałąź*, *Złotą legendę* oraz *Złotego osła* Apulejusza. Podczas gdy gdzieś na przedmieściach świeżo opierzona Sfinks, wciąż jeszcze uczennica, przetrząsała lekarstwa Effie w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do zażycia, gdy Beau Brachman na szczycie jakiejś góry w Kolorado wyczekiwał pojawienia się i lądowania statków kosmicznych Skądinąd, Pierce stał na swym dachu z ilustrowanym Hyginusem w jednej ręce i latarką w drugiej, po raz pierwszy rozpoznając wschód Księżyca w znaku, w znaku Ryb, dwóch rybek splecionych ze sobą za ogony na podobieństwo kokardy.

Jedno pytanie, powiedział niegdyś Barr; jedno pytanie wiedzie ku następnemu, a to z kolei ku kolejnemu, a to ku innym, i tak dalej, w nieskończoność, zajęcie na całe życie. Pierce dowiedział się, gdzie znajdują się cztery zakątki ziemi, nie są one bowiem czterema punktami busoli; dowiedział się, dlaczego istnieje dziewięć chórów anielskich, nie zaś dziesięć czy osiem, gdzie każdej nocy można odnaleźć zagubiony siedmiopięścienny kielich Dżamszida. Nie dowiedział się, czemu ludzie wierzą, że Cyganie potrafią

przepowiadać przyszłość, lecz dowiedział się, czemu dzień ma dwadzieścia cztery godziny, dlaczego jest dwanaście znaków zodiaku, a także dwunastu apostołów. Można było odnieść wrażenie, że w historii ludzkości nie istnieje żaden przedmiot posiadający liczbę, dla którego byłaby ona przypadkowa; jeśli jakakolwiek grupa herosów lub wymiary statku, liczba dni marszu lub wzgórz, na których wzniesiono miasto, nie dawała satysfakcjonującej sumy, wówczas pomysłowość, czas i śnienie ostatecznie tak rozmyłyby bądź stworzyły fakty, by on również przyswoił sobie jedną z owych pochodzących z niewielkiego zbioru liczb całkowitych oraz regularnych figur geometrycznych, które zamieszkują ludzkie serce, składając się na kombinację potrzebną do otwarcia sejfu.

Począł przypuszczać, że choć magia, nauka i religia nie oznaczają tego samego, wszystkie mają podobny wzorzec znaczeniowy. Tak naprawdę niewykluczone, że znaczenie było wyłącznie jednym ze składników pewnych rzeczy, które wysunął świat, a nie innych; być może powstało ono w taki sam sposób, w jaki powstaje smak wskutek połączenia przypraw, ziół, długiego gotowania i wrażliwego podniebienia, choć nie sposób przecież zredukować go do któregoś z tych elementów; było wyłącznie nazwą pewnych nienazwanych kombinacji, nieznacznym ściśnięciem w gardle, brzęczeniem w uchu, owym „Ach, rozumiem, pojmuję”.

Bez względu na to, czym było, nabrał nań smaku. Do wybranego przez Barra zestawu spekulacji i osobliwie pociągających opowieści z dzieciństwa oraz wciąż niedoczytanej książeczki o życiu Bruna doszły

dzieła traktujące o mechanice nieba, działaniu zmysłów oraz wnętrzu atomu; o historii ikonografii chrześcijańskiej i czarach oraz procesach uczenia się u dzieci. Za sprawą tych książek otworzyła się pewna dróżka, ledwie dostrzegalna ścieżka w przestrzeni ich bibliografii, zaś Pierce, choć chwilami działając po omacku, a przy tym niekiedy znudzony i zdjęty odrazą, był nią prowadzony, od przypisu do tekstu, od lśniącej książki w miękkiej okładce wypełnionej pojęciami do sfatygowanego wydania oprawnego w skórę, wypełnionego jedynie drukiem, przystając po to tylko, by nabrać odwagi do dalszej pracy, by ocenić dłonią oczy i patrzeć, o ile był w stanie, cóż to za pionierzy, o ile w ogóle, przemierzyli przed nim ten szlak, i wychwytywać z każdym kolejnym krokiem najbardziej zdumiewające fakty oraz lśniące fragmenty tego i owego.

I wówczas, zupełnie niespodziewanie, znalazł się na zakręcie, który rozpoznał; pewnego dnia ni stąd ni zowąd wdrapał się na jakieś wzgórze i, zdumiony, uniósł spojrzenie ku widokowi, który był dlań znajomy - rubieże krainy, którą znał.

Kraina, którą znał; kraj, o którym niegdyś sporo wiedział, choć nie zaprzętał on jego myśli całymi latami. Państwo, u którego granic, jak się zdawało, swego czasu często stawał, w długie letnie wieczory, kiedy owa fałszywa geografia północnych wzgórz Kentucky, do których z niewyjaśnionych powodów został wygnany, topniała, zaś oczom jego ukazywał się bardziej rzeczywisty ład, niezbyt daleki, kraina, która była jego prawdziwą ojczyzną.

Do miasta zawitała wiosna, pierwsza wiosna w owym nowym świecie, zaś lato przywróciło ulicom nomadów - póki mu go nie skradli, Pierce oglądał w telewizorze całe ich tłumy, kruczającą dziecięcą rozstawioną na ulicach miast bądź napierającą na nieugięty front jakiegoś państwowego budynku; patrzył, jak rozjeżdżają ich przybranym czaszkami i chmurami gazu łzawiącego rydwanem bogini Kali.

Niewielka uczelnia, jaką był Barnabas, pomimo, a niewykluczone, że za sprawą swego wystroju, niemal bez oporu została zalana przez jakąś orientálną falę migracji bądź iberyjską wędrówkę bydła, toteż w owym czasie Pierce spędzał najgorętszy dzień letniej sesji zamknięty w swoim gabinecie, podczas gdy dzieciarnia śmiała się, śpiewała i malowała korytarze, hałaśliwie domagając się pokoju. Słuchał odgłosów wybijanych szyb i wycia syren, zajadając słone krakersy, na których pudełko natknął się w szufladzie biurka; czytał *Jesień średniowiecza* Huizingi, przypuszczał, że zetknął się z nią niegdyś na Noate, a nawet pewnego razu zaliczył z niej jakiś test, lecz jej lektury właściwie sobie nie przypominał.

Już wczesnym rankiem tłum wdarł się do wielkiej sali pałacowej, gdzie miała się odbyć uroczysta uczta, „aby pomyszkować i pochwycić jakiś kąsek”. Panowie z parlamentu i uniwersytetu, burmistrz i ławnicy z trudem mogli się przecisnąć przez tłum do jadalni, a gdy tam wreszcie dotarli, stwierdzili, że

stoły przeznaczone dla nich zostały zajęte przez rzemieślników. Czyni się próby, żeby ich usunąć, „lecz gdy zmusi się do powstania jednego czy dwóch, po drugiej stronie siada od razu siedmiu lub ośmiu¹² „.

Zaczęło się, wycie syren i rozkazujące dźwięki klaksonu. Dzieciaki w budynku poczęły wybijać szyby w oknach, a te przed nim barykadować schody, wydając triumfalne i prowokacyjne okrzyki. Pierce słyszał je, choć przez zaślepienie okno jego gabinetu, które wychodziło na kanał wentylacyjny, niczego nie było widać. Przerzucił kilka stron książeczki.

(...) po dworach książęcych błąkał się niejeden król pozbawiony tronu, najczęściej ubogi w środki materialne, a za to bogaty w plany, opromieniony blaskiem egzotycznego Wschodu, skąd przybywał: z Armenii, Cypru czy nawet Konstantynopola. Skoro takich losów doznawały prawdziwe dzieci królewskie, jakżeż Mieszczanin Paryski nie miał dawać wiary opowieściom o utraconych koronach i wygnaniach? W r. 1427 pojawiła się w Paryżu banda Cyganów „jeden książę, jeden hrabia i dziesięciu mężczyzn, wszyscy na koniach”. Reszta, w liczbie

¹² Oba fragmenty Jesieni średniowiecza Johana Huizingi w przekładzie Tadeusza Brzostowskiego.

stu dwudziestu osób, musiała pozostać poza obrębem miasta. Twierdzili oni, że pochodzą z Egiptu i że papież nakazał im, jako pokutę za odstępstwo od wiary chrześcijańskiej, wędrować przez siedem lat, przy czym nie wolno im było jakoby spać w łóżku. Dawniej pielgrzymka liczyła rzekomo tysiąc dwieście osób, ale król, królowa i wszyscy inni tymczasem poumierali. Jediną ulgę dla nich stanowić miało polecenie papieskie, aby każdy biskup i opat dawał im po 10 funtów monety bitej w Tours. Całe tłumy paryżan zbiegły się, żeby oglądać cudzoziemski ludek, i kazały wróżyć sobie z ręki kobietom, które przenosiły pieniądze z sakiewek ludu do swych własnych”za pomocą sztuki czarodziejskiej albo też inaczej”.

Przez chwilę ponad zgiełk otaczającej go Nowej Ery wzbila się odpowiedź, która poraziła Pierce'a tak raptownie, że potrzebował chwili, by przypomnieć sobie, jakie właściwie było pytanie. Raz jeszcze przeczytał uważnie ten fragment:

Twierdzili oni, że pochodzą z Egiptu...

Ach. Ach, tak, tak, oczywiście. Egipt.

Prosta odpowiedź, tak jak powiedział Barr. Prosta odpowiedź, którą na dobrą sprawę poniekąd znał, tyle tylko, że brakowało mu owego niezbędnego szczegółu, lecz teraz go posiadał, teraz już wiedział.

I co ty na to.

Egipt. Lecz kraina, z której przywieźli swoje magiczne sztuki, najprawdopodobniej nie była Egiptem, zgadza się? Nie, nie była, nie w opowieści, którą Pierce niegdyś znał. Była to kraina podobna do Egiptu, być może leżąca w jego pobliżu, ale nie był to Egipt jako taki.

I co ty na to. No i co ty na to.

W rękach Pierce'a kartki książki zamknęły się z trzepotem; piskliwe śpiewy studentów były teraz zagłuszane przez płynące z megafonu uporczywe rozkazy. Potem nastąpiły pomieszane ze sobą jęk i krzyk przerażenia oraz głuchy odgłos wystrzelenia pocisków z gazem łzawiącym. Zanosilo się na to, że Pierce zostanie oswobodzony.

Gdzie indziej, zniewolony pojedynczą odpowiedzią, nim gryzące opary dotarły do jego korytarza, Pierce tylko siedział i wpatrywał się, rozmyślając: no i co ty na to.

Pierce był jedynakiem, miał dziewięć lat, kiedy jego matka na zawsze porzuciła ojca na Brooklynie (z powodów, które po latach stały się dla Pierce'a oczywiste, a które wówczas były zupełnie niejasne) i zabrała syna do Kentucky, do domu swego brata, Sama, wdowca, oraz czwórki jego dzieci, do położonej na uboczu, u szczytu pojedynczej

krótkiej uliczki górniczego miasteczka walącej się posesji. Sam był lekarzem na dole, w miasteczku, w niewielkim szpitalu misji katolickiej, w którym leczono płuca górników, układano do snu ich nieletnie panny młode i odrobaczano ich dzieci. Jego własne dzieci - zaliczał się do nich również i Pierce - nie uczęszczały do nędznej miejscowej szkoły; co rano pobierały lekcje w domu od siostry i gospodyni księdza, panny Marty.

Prócz Joego Boyda, najstarszego syna Sama. Kiedy Pierce zamieszkał z nimi, Joe Boyd był już zbyt duży, by dłużej przymuszać go do lekcji z panną Martą, zbyt duży i zbyt wredny, by przymuszać go do robienia w ogóle czegokolwiek, na co nie miał ochoty. Był to chłopak o lisiej twarzy, który podwijał sobie rękawy koszulki nad chudymi mięśniami rąk; powinien uczęszczać na lekcje z czytania z Samem, lecz on rozkochany był wyłącznie w samochodach. Napawał Pierce'a strachem.

Z kolei Hildy, rok po przybyciu Pierce'a, również opuściła szkółkę panny Marty i zaczęła uczęszczać do Szkoły Królowej Anielskiej w górach nad Pikeville, przez pięć dni w tygodniu, na śniadanie kaszka, połatana pościel i litanie. Fakt, iż kilka lat później sama została zakonnicą z gatunku cierpkich, pogardliwych, w gruncie rzeczy bezinteresownych i odważnych, nigdy nie powstrzymał Hildy przed tym, by delectować się okropnościami owego budynku z czerwonej cegły i wciąż na nowo o nich opowiadać.

Tak więc od tamtej pory lekcje były dla Pierce'a i cichej, skrytej w sobie Roberty zwanej Ptasią, a potem dla małego Warrena, który,

gdy Pierce przyjechał, przypominał mu bezkształtną bryłkę, a dopiero później wyrósł na statecznego, inteligentnego człowieka. Śpiewali dla panny Marty, recytowali dla panny Marty, słuchali, jak panna Marta wspomina ich anielskiej dobroci matkę Opal Boyd, uciekali pannie Marcie w południe, by bawić się w zabawy, o których nigdy nie słyszała i których nie potrafiłaby sobie wyobrazić. Kiedy przyjechała matka Pierce'a, Winnie, usiłowała zagonić ich wszystkich do nauki francuskiego w każde popołudnie przez kilka dni w tygodniu, lecz wkrótce złamali ją i pokonali jej opór. Od południa do rana, od maja do października byli wolni.

Takie to było środowisko, w którym przyszło Pierce'owi sobie radzić; w swym odosobnieniu byli niczym jakaś starodawna rodzina szlachecka, w osobliwości swej sytuacji niczym cudzoziemcy żyjący w izolacji. Wszak tylko dzieci Oliphantów uczyła siostra księdza; tylko Oliphantowie (na tyle, na ile Pierce się orientował) otrzymywali co miesiąc pudło książek z biblioteki publicznej w odległym Lexington, położonym wśród porośniętych sinozieloną wiechliną łąk. Opal, żona Sama (niegdyś była nauczycielką oraz pobłażliwą guwernantką własnych dzieci, której pamięć fanatycznie czcili), odkryła, że istnieje możliwość zamawiania wysyłki pudeł państwowych książek do owej pozbawionej książek twierdzy, zaś Winnie kontynuowała tę tradycję. Co miesiąc przeczytane książki były pakowane i odsyłane, zaś po ich otrzymaniu przysyłano kolejne pudło, w mniejszym lub większym stopniu spełniające ogólnikowe

zyczenia z listy Oliphantów (Zachodni Wiatr¹³, kolejne opowieści o koniach, „coś na temat masonerii”, wszystko autorstwa Trollope'a), które odbierali na poczcie i otwierali tyleż z podekscytowaniem, co i rozczarowaniem - Gwiazdka co miesiąc. Mając w pamięci swą konsternację i wzgardę w obliczu owego kuriozalnego systemu - kuriozalnego dla dziecka, które do niedawna posiadało w swym zasięgu ogromne, bez mała nieograniczone przestrzenie Biblioteki Publicznej Brooklynu; jego ojciec chadzał tam co dwa tygodnie i zawsze zabierał ze sobą Pierce'a, który mógł dostać każdą książkę, jaką wskazał palcem - mając w pamięci owe umęczone biblioteczne pudła, Pierce zastanawiał się, czy to przypadkiem nie oni, owi bibliotekarze, którzy je zapelniali, kimkolwiek byli, wysyłając mu niektóre książki pełne staroświeckich pojęć i osobliwej ortografii jako pierwsi zasugerowali mu istnienie owej krainy cienia, owego odległego starożytnego kraju, który poniekąd był Egiptem, lecz nim nie był, nie, nie był to Egipt; kraju, który posiadał inną historię, a którego nazwę również pisało się z niewielką, acz kluczową różnicą - nie był to Egipt, lecz Ægipt.

Pewnej nieznośnej miejskiej nocy, zbyt gorącej, by zmrużyć oko, zbyt gorącej i hałaśliwej odgłosami syren, muzyki i bez końca przemaszerowującej parady, Pierce stał w oknie ze skrętem własnej roboty w palcach, a owa kraina raz jeszcze zdawała się przed nim unosić, wciąż znajdowała się tam, w przeszłości - Ægipt.

¹³ Aluzja do książek Thorntona Burgessa, którego twórczość odegrała dość istotną rolę w przypadku innej powieści Johna Crowleya - *Male, duże*.

Czemu wierzymy, że Cyganie potrafią przepowiadać przyszłość? Ponieważ w istocie przybyli nie z Egiptu, lecz z Ægiptu, kraju, w którym znano wszelkie sztuki magiczne. I wciąż nieśli ze sobą, choć w zubożalej formie, umiejętności, jakie posiadali ich przodkowie. Pierce zaśmiał się głośno na tę myśl.

A czemu przemierzali ziemię, i czemu wciąż wędrowali? Ægipt bowiem upadł. Nie istniał już. Bez względu na to, jaki kraj zajmuje obecnie jego przestrzeń geograficzną, Ægipt przeminął, nie istnieje, od kiedy ostatnie z jego miast, na najdalszym Wschodzie, poniosło klęskę i upadło. Wówczas jego mędrzy i mędrzynie wyruszyli w podróż, niosąc ze sobą swą wiedzę, by pamiętać swój kraj, lecz nigdy o nim nie mówić; by przyjąć stroje i zwyczaje krajów, do których się udawali, by przeżywać przygody, by leczyć (byli bowiem wielkimi lekarzami) i przekazywać swe tajemnice, ażeby nie zostały utracone.

Toteż owi Cyganie ('Gipcjanie! Jakżeby inaczej - to samo słowo!) prawdopodobnie nie pochodzili stamtąd, a jedynie udawali, ci bowiem, którzy stamtąd pochodzili, byli związani przysięgą milczenia i dochowania tajemnicy.

Właśnie dlatego odkrycie ich, ukrytych w historii, w szalonych przygodach, w jakie sami się wikłali do tamtej pory przez wieki, stanowiło dla Pierce'a taką trudność. Widziani z zewnątrz, odziani w cywilne stroje, jeśli można tak powiedzieć, na bogatych w treści kartach encyklopedii, w podręczniku historii panny Marty, wtapiali się w tło, ich opowieści mogły zostać błędnie zinterpretowane; widziani z zewnątrz nie wyglądali na magów ani wiernych rycerzy Ægiptu.

Widziani z zewnątrz, ani on, ani jego kuzyni również nie sprawiali takiego wrażenia: na starych fotkach byli jedynie niechlujną dzieciarnią na tle wyniszczzonego krajobrazu, wschodniego Kentucky, pociągów z węglem sapiących bez końca za szczytem wzniesienia, na którym mieszkali, szczytem nieróżniącym się w niczym od innych szczytów, pozornie niepodzielonych, nieoznaczonych przez tajemne geometrie. Oczywiście, że nie. Żeby wiedzieć, trzeba było znajdować się wewnątrz. Oni również byli związani przysięgą dochowania tajemnicy.

Niewidzialne Kolegium.

Dlaczego, zastanawiał się Pierce, skoro byli tam zupełnie sami, a przy tym wiecznie skazani na swoje towarzystwo, zawsze wymyślali kluby, stowarzyszenia, bractwa, ślubowali sobie nawzajem wierność? Kiedy przyjechał z Brooklynu, żeby z nimi zamieszkać, musiał długo czekać, nim został wtajemniczony do Klubu Poszukiwaczy Joego Boyda; Joe Boyd, najstarszy z jego kuzynów, był jego stałym prezesem. Niewidzialne Kolegium było pomysłem Pierce'a, stanowiącym ripostę na owo odsunięcie; sprytnie, z ostrożną mściwością, nie wykluczył Joego Boyda spośród jego członków, a wręcz przeciwnie, wybrał go na prezesa - jednakże jego prezesura, członkostwo, sam fakt istnienia Niewidzialnego Kolegium utrzymywane były przed nim w tajemnicy, tajemnicy, której dochować wszyscy pozostali Niewidzialni (wszystkie dzieci z wyjątkiem Joego) zobowiązani byli na zawsze.

Czy w istocie był to jego własny pomysł? Nie, Niewidzialni istnieli od zawsze; Pierce jedynie dowiedział się z aluzji w książkach o ich odwiecznej egzystencji; byli to rycerze starsi od arturiańskich; właściwie to niewykluczone, iż rycerze króla Artura stanowili zaledwie ich oddział, bowiem wszyscy mądrzy, dobrzy i odważni w jakimś sensie stanowili fragmenty tej historii. Kto jeszcze w ciągu wieków do nich należał? Trudno było orzec z pewnością, lecz Pierce zapytany przez swych krewnych zdawał się zdolny do rozstrzygnięcia tej kwestii za sprawą pewnych odpowiedzi (wszak był sekretarzem generalnym własnego oddziału), jakie on sam otrzymał. Gene Autry prawie na pewno wiedział wiele, co skrywała jego krągła niczym księżyc w pełni twarz. Sherlock Holmes i Sir Flinders Petrie. Ike? Przypuszczał, że nie, choć rozważając to pytanie, sformułował problem, którego nigdy nie zdołał rozwiązać do końca: można było, rzecz jasna, należeć do tego Kolegium bez wiedzy nikogo innego, właściwie nigdy nawet nie ujawniając tego faktu, nawet przez całe wieki, lecz czy można było należeć do grona Niewidzialnych, samemu o tym nie wiedząc? Jego spryt w stosunku do członkostwa Joego Boyda zdawał się dowodzić (zwłaszcza dla Hildy, prawnego i logicznego umysłu, nieco sceptycznego wobec Kolegium Pierce'a), że tak.

Cóż, może i tak. Nie jemu było o tym decydować, choć mogłoby tak być, gdyby faktycznie wszystko to wymyślił, ale przecież tego nie zrobił, trafił do niego niczym do imperium i sam był przy tym tak samo zaskoczony, odkrywszy jego kształt i historię, jak jego krewni:

to nie była zabawa, lecz Historia. Kiedy już dokonano początkowego odkrycia - że kraj ów istnieje, że kiedyś istniał, będąc w pewnym sensie krajem, w którym znajdowały się piramidy i Sfinks, ale niezupełnie tym samym - wówczas pozostała kwestia rozszyfrowania tego, jakie dalsze fakty objawiły się jego uwadze, odkrycia, czy wywodzą się z technicolorowej krainy faraonów, opalonych niewolników i Hebrajczyków de Mille'a, czy z owej innej krainy cienia, Ægiptu, kraju mądrych rycerzy, lasów i gór, wybrzeża i miasta o wielu świątyniach, w którym wzięła swój początek pewna niekończąca się opowieść.

Niekończąca się opowieść: opowieść, która znalazła swą kontynuację w nim i jego krewnych, opowieść, która znalazła swą kontynuację w samym jej odkryciu przez Pierce'a i rozwinięciu jej podczas nocnych zebrań Niewidzialnego Kolegium, w porze, kiedy już dawno powinni spać, a tymczasem roztrząsali kwestie, jakie owa opowieść zrodziła; pytania, jakie jego krewni podsuwali mu w mroku. Czy wciąż będą w tej opowieści, nawet wówczas, gdy dorosną? To oczywiste, wszak była to opowieść o dorosłych. Czy kiedykolwiek sami udadzą się do Ægiptu i w jaki sposób? To możliwe, o ile opowieść kiedyś dojdzie do końca. Albowiem w jej zakończeniu (jak słyszał Pierce bądź jak sobie wyobraził) wszyscy wygnańcy powrócą do miasta na najdalszym Wschodzie, zgromadzą się tam, przybywając z każdego miejsca i czasu i natykając się na siebie w zdumieniu - To ty! Ojej, i ty też tutaj? - nareszcie znowu razem, będą snuć opowieść o swych przygodach. Toteż czemu by oni, on i jego krewni, i może

jeszcze Sam i ciocia Winnie, jego matka, i - owszem - także jego ojciec, Axel, nie mieli potajemnie udać się statkiem, pociągiem bądź samolotem do...

- Adocentynu - wypowiedział głośno Pierce.

Wyglądając przez okno swego slumsu odczuł jakiś osobliwy podmuch, jak gdyby wiatru we włosach. Od lat nie słyszał nazwy tego miasta wypowiedanej na głos, od wielu długich lat. Kiedy wyjechał do St. Guinefort, zabawa raptownie się skończyła. Nie było już opowieści. Wyrósł z nich, odstawił je, jego młodszy krewni nie mieli śmiałości prosić go - od niedawna poważnego w swym szkolnym krawacie, z ostrzyżonymi na jeża włosami - o ciąg dalszy. Czy kiedykolwiek teraz o tym myślą? - zastanawiał się. Adocentyn.

A właściwie to skąd przyszła mu do głowy ta nazwa? Skąd ją skradł, jakąż to książka wyjawiała mu ją, by mógł umieścić ją w swym wymyślnym kraju? W jego uchu dorosłego brzmiała ona tak fałszywie, jak to tylko możliwe, tak dziwacznie jak nazwa usłyszana we śnie, określenie, które w owym śnie oznacza coś, czego wcale nie oznacza po przebudzeniu.

Zastanawiał się, czy mógłby się dowiedzieć, w jaki sposób wszedł w jej posiadanie. Czy jakiś indeks do książki (lecz jakiej?) mógł mu ją wyjawić. Czy istniały inne opowieści, jak te o Cyganach, opowieści, które zdołałyby odkryć, a które również wydobywały się z jego własnej krainy cienia - Ægiptu. To możliwe. To pewne - wszak skądś musiał czerpać opowieści, które snuł. Z Historii, wyjaśnił swoim krewnym; bowiem od chwili, kiedy przestał o tym wszystkim

rozmyślać, jął przypuszczać, iż po prostu wszystko to zmyślił, wszystko to zrodziło się w jego dużej głowie, choć może jednak nie. W każdym razie z całą pewnością jego Ægipt był wyimaginowany, tyle tylko, że prawdopodobnie to nie on go wymyślił.

Gdyby tylko mógł tam powrócić i dowiedzieć się; jakimś sposobem zawrócić w tamtą stronę i powrócić.

- Pierce? - dobiegł głos Julie od strony mroku sypialni, w której terkotał wentylator. - Jeszcze nie śpisz?

- Nie.

- Co ty tam robisz?

- Rozmyślam.

Ponowne odnalezienie go nie było jednak zadaniem łatwym, nie, był to bowiem jeden z tych krajów, do którego, raz go porzuciwszy, trudno jest powrócić. Wysiłek zdawał się więc ogromny i próżny, jak gdyby to nie on, lecz sam świat w swoich posadach musiał się zwrócić w przeciwną stronę.

- To przez trawę - mruknęła sennie Julie. - Chodź do łóżka.

Adocentyn, myślał Pierce. Ægipt.

Wraz ze zbliżaniem się świtu nareszcie wzbierała bryza, wiatr od morza; Pierce z wdzięcznością odetchnął jego słonawym chłodem. Zawróci, ruszy naprzód, zawracając. Być może, niczym Jaś z bajki braci Grimm, na drodze, którą przebył, rozrzucił okruszki chleba; być może nie wszystkie z nich zostały zjedzone.

A więc w drogę, pomyślał Pierce. W drogę.

Jego papieros dopalił się aż po brązową końcówkę, on zaś upuścił go na ulicę niczym przelotny meteor. Na schodach pożarowych przeciwległego budynku ludzie ścielili łóżka obwieszane kolorowymi tkaninami i oświetlone świecami. W dole, na ulicy, ktoś otworzył hydrant, z którego trysnęła woda do rynsztoka, wymywając puszkę po piwie, kondomy, kartoniki po zapalniczkach reklamowych, biuletyny. Dzwonki wietrzne, dzwonki wielbłądzie, ujadanie psów, leniwie trącany tamburyn. Duszny karawanseraj już nie spał.

Jeśli sądzisz, że w historii nie ma opowieści, a wyłącznie jedno przekłete wydarzenie po drugim, powiedział niegdyś Barr, dzieje się tak dlatego, że przestałeś dostrzegać siebie. Przestał dostrzegać siebie samego. A mimo to każda opowieść, wewnątrz której niegdyś się znajdował, spoczywała nieruchomo w jego wnętrzu, większa w mniejszej, sen w jawie, a wszystko to można odzyskać, podobnie jak przypomina się sen po przebudzeniu, od jego ostatniego momentu wstecz do najwcześniejszego.

Zaczął od zgłębiania Egiptu: myszkuje w ruinach, taszcząc do domu wielkie tomy z Biblioteki Publicznej Brooklynu, szperając po indeksach, usadawiając się wygodnie, by je wertować. W żadnym nie znalazł tego, czego szukał. Temat, rzecz jasna, był ogromny, zaś egiptologia zajmowała długie półki w bibliotece, posiadając swoje własne Stare, Średnie i Nowe Państwa: zabytkowe wielotomowe studia, w których spod patyny wieków wзираły ryciny, a dalej nowsze mitograficzne analizy, niezachwiane i uparte niczym

piramidy, a wreszcie dekadencje prace popularne nabite kolorowymi fotografiami - w żadnej z nich nie znalazł kraju, którego poszukiwał. Czuł się jak ktoś, kto wyruszył do Memfis pełnego krokodyli i oblanych księżycową poświatą świątyń, a wylądował w Tennessee.

Czemu wierzymy, że Cyganie potrafią przepowiadać przyszłość? Ponieważ myśleliśmy, że niegdyś byli Egipcjanami, choć nimi nie byli, toteż naturalną rzeczą było przypuszczać, że odziedziczyli, choćby i w nikłym stopniu, tajemną mądrość, którą, jak powszechnie wiadomo, posiadali Egipcjanie. A czemu na naszych banknotach jednodolarowych umieszczamy piramidę egipską, nad którą wznosi się jej mistyczne oko? Albowiem ze starożytnego Egiptu wypływa ów tajemny język duchowej wolności, iluminacja, wiedza, geometrie, za pomocą których można będzie zaprowadzić Nowy Porządek Wieków.

Ale tak nie jest! Owi prawdziwi Egipcjanie, o których czytał Pierce, byli najbardziej wyrachowanymi, materialistycznymi, pozbawionymi wyobraźni biurokratami ducha, na jakich kiedykolwiek się natknął. Jakże dalecy od tego, by wyobrazić sobie wolność duchową, duchowe podróże; wymyślili owe odrażające metody balsamowania, ponieważ żywili pewność, iż jedynie ciało materialne, zachowane niczym keks w pudełku, jest w stanie oprzeć się siłom rozkładu śmierci. Im dłużej Pierce zmagał się z ich mitologiami, przytłaczającymi w swoich niekończących się zawłościach, tym bardziej dochodził do przekonania, że mieli na myśli dokładnie to, co głosili: te nużące historie nie były alegoriami świadomości, które winni interpretować uczeni, choć nawet Platon uważał niegdyś, że tak

jest; nie były one magicznymi symbolami, nie były sztuką: były nauką. Egipcjanie po prostu byli przekonani, że świat funkcjonuje w ten właśnie sposób, kontrolowany przez postacie, odgrywające ten groteskowy sen. Pierce doszedł do wniosku, że idealnym stanem dla starożytnego Egipcjanina była śmierć; mało tego, znieruchomienie, pogrążenie we śnie i śnienie.

W najmniejszym stopniu żadne z tych zagadnień nie były tym, o co chodziło Pierce'owi. Doszedł niemal do przekonania, że najpewniej sam sobie to wszystko uroił, albowiem niemożliwe było, żeby znana mu historia wynikała z podobnych przesłanek; prawie to przesądził.

I wówczas, wzdłuż kolejnej drogi, ukarany suspensą, w tarapatach, uciekając, wyłonił się Giordano Bruno na podobieństwo Białego Królika, a raczej ponownie się objawił, bowiem książeczka Fellowesa Krafra wypłynęła na wierzch sterty woluminów niczym myśl na czubek języka Pierce'a, on zaś udał się w kierunku, jaki wskazywała, lecz wcale nie ku Egiptowi, a ku miejscu, z którego wyruszył, Renesansowi; nie ku epoce faraonów, lecz Shakespeare'a, którego prawie współczesnym był Bruno. I z czasem, przepelniony zdumieniem i zachwytem, ponownie znalazł się u granic, które rozpoznał.

Ach, pamiętam. Pojmuję. No i co ty na to...

Począł ograniczać - stopniowo, i nigdy do końca nie przyznając się do tego przed sobą - wysiłki mające na celu budowanie opisu, swego rodzaju vademecum dla swych dzieciaków na temat ich pielgrzymki; w każdym razie opis ów niespodziewanie nazbyt się

rozwrół, by wcisnąć go w zakres zwyczajnych codziennych zajęć z historii, wymagał on bowiem nie tyle zajęć, ile własnego kolegium. Nadal uczył, lecz jego ścieżka poczęła się rozwidlać; podążał za Brunem i wiedziony był w dół ku długim alejom pod symbolicznymi łukami, obok kolumnowych świątyń; zgubił drogę pośród peryferii pewnego barokowego miasta, które było zarówno niedokończone, jak i zrujnowane; odnalazł geometryczny park; wkroczył do mrocznego i nieskończonego labiryntu ze strzyżonych krzewów.

Lecz Pierce, pionier, znał sekret labiryntów, podczas swej podróży dosłyszał strzęp informacji na ich temat: w labiryncie cisowym lub kamiennym, zoomorficznym, utworzonym ze strzyżonych krzewów, szkła bądź czasu, należy wyciągnąć rękę i podążać wzdłuż ściany po lewej, bez względu na to, dokąd prowadzi. Po prostu trzymać się lewej strony.

Pierce wyciągnął dłoń i ruszył; i podróżując w ten sposób (w swoim ocalonym z ulicy pluszowym fotelu, z książkami piętrzącymi się za jego plecami) począł odkrywać, że tym, co przemierza, tym, w co wkroczył, co na każdym zakręcie stawało się dlań coraz bardziej jasne (Ach, rozumiem), były kształty jego dawnych pytań, na które została udzielona odpowiedź. *Czemu uważamy, że Cyganie potrafią przepowiadać przyszłość?* I kiedy w końcu Sfinks w białej łazience swojej matki zadała mu to samo pytanie, posiadał już wyjaśnienie: całą tę osobliwą, nieprawdopodobną, a nawet przezabawną opowieść. Dysponował już wyjaśnieniem, choć nie miał pewności, ile z niego w ogóle wysłuchała, ile z niego zapadło w jej zagracony umysł.

Wiedział już, dlaczego jest tak, że ludzie wierzą, iż Cyganie potrafią przepowiadać przyszłość; wiedział, dlaczego piramida oraz mistyczne oko zawsze pojawiają się na jednodolarowym banknocie i z jakiego kraju pochodzi Nowy Początek Wieków. Był to ten sam kraj, z którego przywędrowali Cyganie, ale nie był nim Egipt.

Nie Egipt, lecz Ægipt - albowiem istnieje więcej niż jedna historia świata.

Owego ciężkiego sierpniowego poranka Pierce pomaszerował z chaty Spofforda w dół żużłówką, która wiodła ku asfaltowej szosie, biegnącej wzdłuż rzeki Blackbury i dalej, przez Fair Prospect. Najedzony po śniadaniu i gotów do nowych poświęceń, wciąż nie zwracał uwagi na powab dnia, póki nie musiał skierować się do Conurbany; minęły lata, odkąd odwiedził podobne miejsce - wraz ze Sfinks letnie miesiące niefrasobliwie spędzał głównie w klimatyzowanym mieście - toteż idąc, poczuł, jak powraca doń dzieciństwo: nie tyle w konkretnych wspomnieniach, choć także w wielu z nich, ile w serii minionych jestestw, których młode istnienie kosztował w haustach wdychanego powietrza. To był ten dzień i ta wieś, choć nie było tu wiele więcej prócz lata i bujnej zieleni, by przywozić na pamięć porośnięte i wydrążone tunelami wzgórze na przełęczy Cumberland; tyle widocznie wystarczyło.

Być może, pomyślał, być może dane jest to wyłącznie wędrowcom, wysiedleńcom, by w ten sposób pamiętali, kiedy niespodziewanie znajdą się w aurze podobnej powietrzu wsi, którą

opuścili. Może jeśli przez całe życie mieszka się i dorasta w jednym miejscu, podczas gdy ten sam rok obraca się wciąż w ten sam sposób, wówczas wiele rzeczy nie zostaje na stałe z tyłu, zachowanych w nietkniętym stanie niczym zaszuszone kwiaty, które na powrót rozkwitają, całe i niezmiennione, gdy zanurzy się je w starej wodzie. Jeśli rzeczywiście tak było, to jego krewni musieli odczuwać to w ten sam sposób co on, wszyscy oni bowiem byli obecnie wysiedleni; Hildy w obcych krajach, Joe Boyd (jak ostatnio słyszał Pierce) w Kalifornii, Ptasia w jakimś mieście Środkowego Zachodu, Warren sprzedający samochody w Kanadzie. Byłoby to niesamowite, gdyby pewnego dnia, tego dnia, każde z nich natrafiło na odcinek zakurzonej drogi, starą książkę, jakiś wzór kropli deszczu bądź słonecznego światła, albo po prostu przypadkowe zrzucenie wewnętrznych chemii, które, w ten sam niespodziewany i całkowity sposób co i jego, powiodłyby wstecz każde z nich, albowiem gdyby tak się stało, wszyscy zostaliby zabrani z powrotem w to samo miejsce. Rodzinne spotkanie, o którym nic nie wiedzą, rozrzucony po kontynentach. Niewidzialne Kolegium znowu razem.

Ci sami co wczoraj ludzie, bądź inni, lecz podobni do tamtych, siedzieli przed sklepikiem i pozdrowili go bez entuzjazmu, kiedy otwierał skrzypiące drzwi z moskitierą i wchodził do tchnącego słodczą wnętrza. Wrzucił list Spofforda do jego Rosie do skrzynki pocztowej, po czym wydobyl dziesięciocentówkę oraz list z Kolegium Piotra Ramusa.

Pół godziny później był znowu na zewnątrz, olśniony, nie wiedząc, czy wpaść we wściekłość, czy śmiać się głośno. W blasku słońca studiował ów list, który go tu przywiódł, który go tu porzucił własnemu losowi, nakłonił go do tak dalekiej drogi: wyglądał dość przekonująco, znajdowały się na nim jego imię i nazwisko, które nie wydawały się naniesione na szablon; na jego rewersie czuł pod palcami ślady wystukanych na maszynie liter, podpis u dołu był odręczny - nie, teraz, gdy przyjrzał mu się uważnie, faktycznie wyglądało to tak, jakby był to jakiś rodzaj pieczętki. Dość że był nieprawdziwy, wyprodukowany przez jakiś dumny komputer w biurach uniwersyteckich, nawet jeśli Wydział Historii dokonywał zupełnie innych wyborów.

Etat, w sprawie którego zaproszono go na rozmowę, był już obsadzony; i został obsadzony, zanim jeszcze Pierce wyjechał z miasta, a nawet zanim otrzymał ten widmowy list.

Niełatwo było na to wpaść. Sam komputer był tego dnia „nieczynny”, zaś jego akta, wiązki elektromagnetyzmu przechowywane w niepamięci, niedostępne. Wydziałowe sekretarki, biuro dziekana, wszyscy oni nie mieli ochoty dopuścić do świadomości równie głupiej możliwości, i nawet kiedy Pierce zmuszony był uznać jej prawdziwość, samemu nie mogąc w to uwierzyć, najprawdopodobniej chętnie obarczyliby go winą. Czemu nie sprawdził, zanim pofatygował się z wyjazdem?

Czemu nie sprawdził? Czemu? Pierce snuł się wzdłuż szosy, w ręku nadal trzymając list. Więc doszło już do tego, że teraz wszyscy

musimy sprawdzać, żeby się upewnić, że nasze sprawy są czymś rzeczywistym, a nie elektronicznym oszukaństwem w ciemnościach? Jego wina, że zaufał korespondencji. Szanowni Państwo, mam pytanie w związku z Waszym listem z 15.: czy mogę postąpić zgodnie z zawartą w nim informacją, czy jest to jakiś żart?

Może mógłby podać ich do sądu. Zaśmiał się, stojąc na wąskim moście na rzece, wydał szydercze prychnięcie i potrząsnął głową, by odpędzić od niej tę przyszłość, która - tak naprawdę nie pojął jeszcze tego do końca - pozostawiła go samemu sobie, wyparowując. W tej chwili, o tej porze roku było za późno, żeby starać się o coś innego.

Czy wobec tego to naprawdę to? - pomyślał, spoglądając w dół ku brązowym, ospałym nurtom rzeki. Czy rzeczywiście został właśnie uwolniony od historii jako zawodu?

Może ta stara księgarnia przyjmie go z powrotem. Miał przecież jeszcze przed sobą kawał życia. Co powinien zrobić?

Zająć się owcami. Ponownie się zaśmiał, mając w głowie pustkę; po prostu nie dało się o tym myśleć, istniała bowiem wyłącznie jedna konkluzja, jaką mogły przynieść rozmyślenia. Nie mógł wrócić do Barnabas; nie mógł poniżyć się przed Earlem Sacrobosco. Za nic.

Z niewidzącym wzrokiem odwrócił się, by ruszyć z powrotem ku chacie Spofforda, i omal nie został potrącony przez samochód, największe z możliwych kombi, pełne psów, dzieci i bagażu, które akurat w tym momencie przetoczyło się obok niego przez most, niemal nie mieszcząc się na nim, i pomknęło dalej wzdłuż rzeki, pozostawiając plamę z obłoku spalin na materii dnia.

Sztuka opowiadała o Cezarze, którego zadźgano nożami na Kapitolu; po białej todze opadającej na aksamity i jedwabne rajtuzy spływała czerwona krew utoczona przez spiskowców, którzy kluli go raz za razem. Ich noże wchodziły w ciało po samą rękojeść, zaś tryskająca krew budziła grozę. Krwawiąc i potykając się, wielki Cezar wciąż miał czas na to, by wygłosić długą mowę o zazdrości, która zawsze ściąga w dół pragnące wzlatywać wysoko orły - brutalna zazdrość, powiedział, tworząc skomplikowaną grę słów opartą na Brutusie, brutalności i brutalnych bestiach, które skrywał przy swej piersi niczym ów grecki chłopiec lisa; podobnie jak on nie zamierzał już więcej odezwać się choćby słowem, choć tamten wygryzał mu wnętrzności. Wypowiedział jeszcze wiele słów, a część publiczności wydała głośny jęk współczucia i zdumienia, zaś kilka osób zaśmiało się z tego, że jeszcze nie umarł; wówczas okrył swą twarz zakrwawioną togą, po czym wyciągnął się jak długi na deskach - scena zadrzała pod ciężarem upadającego ciała.

To on, trzymający elegancko za rękę żonę Brutusa, pojawił się również w świeżym, barwnym odzieniu w gidze, która nastąpiła później. A teraz znajdował się w popularnej gospodzie Stratfordu, pijąc wraz ze spiskowcami, nieco zachrypnięty i spocony w dusznym i upalnym sierpniowym powietrzu. Will, stojąc na znajdującej się na

zewnątrz ławce i zaglądając do wnętrza przez otwarte okno, przypatrywał się, jak tamten obraca monetę między palcami po zewnętrznej części dłoni to w jedną, to w drugą stronę.

„A od Brutusa wzięła swą nazwę Brytania” - powiedział. - „Wiem to od wielce uczonego męża, niejakiego doktora Dee, mojego przyjaciela”.

„To nie od niego” - odezwał się Jenkins, nowy nauczyciel. - „To nie od tego Brutusa”.

„A czy przypadkiem” - rzekł aktor, podrzucając swoją monetę - „czy przypadkiem Cezar nie przybył tu, na tę wyspę? I czy nie pobudował londyńskiej Tower i nie odniósł wielu sławetnych zwycięstw? Zaprzeczycie temu, panie?”

Trudno było orzec, czy aktor jest rozgniewany, czy rozbawiony; jego oczy powiększyły się i błyszcząły; palec wycelował niczym miecz, lecz moneta wciąż spokojnie poruszała się po knykciach jego drugiej dłoni, w tę i z powrotem.

„A Brutus był adoptowanym synem Cezara. Ergo... „

„To nie był ten Brutus” - oznajmił mistrz Jenkins; stał z rękoma splecionymi z tyłu, nie pił niczego, jak gdyby w tej chwili znajdował się zupełnie gdzie indziej, nie zaś w tej niskiej izbie. Will przypatrywał mu się; w przyszłym semestrze szkolnym znajdzie się pod jego opieką i powinien dowiedzieć się o tym człowieku tak wiele, jak tylko zdoła.

„To był Brut Trojański, który żył na długo przed powstaniem Rzymu. Po tym, jak Troja dostała się w ręce Greków, Brut przybył na

tę wyspę, tak jak Eneasza zjawiał się, by założyć Rzym. Tedy nie jesteśmy Brytyjczykami, jeno Brutyjczykami”.

„Brutyjczykami, w rzeczy samej” - powiedział Cezar i odegrał swą przedśmiertną mowę.

Ileż to razy, pomyślał Will. Ileż to razy umierał Cezar od chwili swej; śmierci, przed iloma tysiącami spojrzeń? Oparł się łokciem o parapet, skupiając wszystkie swe zmysły na tym, co działo się wewnątrz, i słuchał. Cezar uczynił niespodziewanie komiczną pauzę, przesadne zawieszenie, udając, że dopiero teraz go zauważył.

„A cóż to za huncwot w oknie? Czemuż to tak mi się przygląda?”.

„To chłopak Johna Shakespeare'a”.

„Cóż to za krzywdę mu wyrządziłem, że tak mi się przypatruje? Kudły ma ryże jak sam diabeł. Wzbudza we mnie trwogę”.

Gest, jakim pociągnął dłonią po twarzy, wystawiając zakrzywione w szpony palce na zewnątrz, unosząc brwi i powieki ku górze, oznaczał Trwogę. Will śmiał się wraz z innymi, zaś Cezar obraził się, nabrał wielkości i dostojeństwa, dłonie rozłożył z powagą na stole, opuścił brwi.

„Zaśpiewajmy wesołą piosenkę” - zaproponował.

Zaintonował kanon smętnym głosem, a przy tym tak nisko i wolno, że nie sposób było się doń przyłączyć: był teraz smutnym człowiekiem, wielce zasmuconym człowiekiem, który miał ochotę śpiewać. Will zatrzęsł się ze śmiechu i zdumienia. Jednym słowem, jednym gestem potrafił stworzyć człowieka, całego człowieka,

którego się znało, nie wiedząc o tym; jak gdyby skrywał ich wszystkich w sobie, nie mając pojęcia, który na chwilę wyjrzy na zewnątrz.

„Hej, chłopcze. Ty w oknie. Potrafisz śpiewać tę piosenkę?”

„Znam ją” - odrzekł Will.

„Wobec tego śpiewaj. Masz tu za te swoje rude włosy”.

Za pomocą jakiegoś pstryknięcia palcami posłał Willowi monetę bez najmniejszego śladu ruchu; chłopak pozwolił, by spadła tuż przed nim, po czym zaśpiewał. Skowronek i słowik. Dysponował prawdziwym, wysokim i silnym dyszkantem i wiedział o tym; nic też w tym złego, że słyszy go mistrz Jenkins; jeśli lubi śpiew tak samo jak mistrz Simon Hunt, poprzedni nauczyciel, następny semestr znów pójdzie Willowi jak z płatka. Do piersi przycisnął różę, w oku zakręciła się łza. Wszyscy słuchali w ciszy chłopca w oknie; i Cezar, mistrz James Burbage z kompanii Słudzy Hrabiego Leicester, który przedtem wydobył z siebie wszystkich tych różnych ludzi, teraz przysłuchiwał mu się z uwagą, ze skupionym i taksującym spojrzeniem, niczym kupiec bławatny biorący w palce nową wełnianą tkaninę bądź browarnik przypatrujący się, jak przejrzyste brunatne piwo sączy się z nowej beczki.

Rosie zamknęła książkę, zaznaczając palcami stronę; Sam właśnie przytruchtała do niej, zostawiając swoją piłkę, która podążyła za nią paroma podskokami. Była to jedna z owych piłek w biało-czerwone pasy z błękitnym tłem oraz gwiazdami na półkuli północnej.

Dziewczynka na wpół skryła się za szezlongiem Rosie, spoglądając w stronę drzwi na werandzie.

- Idzie tu - oznajmiła.

Rosie zaśmiała się.

- Naprawdę?

Sam patrzyła zafascynowana, jak drzwi się otwierają, a jej wujeczny pradziadek, Boney Rasmussen, wychodzi wolnym krokiem, rozglądając się wokół.

- Pani Pisky przygotowała mrożoną herbatę - poinformował. Otwarte drzwi podparł krzesłem, po czym udał się z powrotem do środka.

- A nie mówiłam? - powiedziała Sam.

- Tak - odezwała się Rosie. - Mrożona herbata, to miło. - Przytuliła córkę. Sam uważała Boney'ego za postać fantastyczną i cudowną, niczym wielkie zwierzę, może nawet potwora, którego ruchy należy bacznie obserwować, przed którym należy się czymś zasłonić, przynajmniej na początku każdej rozmowy - najlepiej własną mamą.

- Och, Boney, to bardzo miło z twojej strony, ale trzeba było zawołać, przeszłabym się po nią.

Wyniósł na zewnątrz tacę, potrzebował do tego obu rąk, dlatego właśnie uprzednio podparł drzwi. Postawił ją na dużym wiklinowym stoliku i wykonał zachęcający gest: znajdowały się tam jedna wysoka szklanka i jedna mniejsza, cukier, cytryna oraz talerzyk z wafelkami.

- Ta mała szklaneczka jest na pewno dla ciebie - zwróciła się Rosie do Sam, popychając ją do przodu. Boney bez namysłu odwrócił się, kierując spojrzenie poza szerokie zasłony werandy. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jakie wrażenie robi na Sam, toteż uważał - co nieodmiennie sprawiało Rosie wielki ból - aby zanadto nie narzucać się małej. Sam podeszła ukradkiem do stolika, żeby wziąć swoją szklankę.

- Ładne popołudnie - stwierdził Boney, nie kierując swych słów do nikogo konkretnego. - Znosi się na deszcz.

Rzeczywiście był uderzająco nieatrakcyjny. Jego ciemna, łysa głowa była nakrapiana brązowymi plamkami i posiadała gładką, zielonkawą, wytartą powierzchnię, niczym stara skóra albo ciało jaszczurki. Zdawało się, iż jego dłonie skrywają się w pomarszczonych, luźnych rękawiczkach z tego samego materiału, a przy tym zawsze poruszały się w nerwowym tiku, jak gdyby w rytm jego pulsu. Rosie nie wiedziała, ile dokładnie lat liczy sobie dziadek, ale zdawał się być w takim wieku, który wciąż jeszcze pozwala się poruszać. Właściwie to poruszał się całkiem sporo, a nawet jeździł na rowerze po ścieżkach i uliczkach Arkadii. Jeden z owych staruszków, pomyślała Rosie, którzy wciąż nieźle się trzymają, choć stają się powolni; cierpliwy w stosunku do świata, który zgęstniał, nabierając konsystencji przypominającej melasę i nieustannie utrudniał poruszanie się. Prawdopodobnie większy ból sprawiało jej przyglądanie się, niż jemu robienie tego: Boney pedałujący na

rowerze, Boney krzątający się w ogródku, Boney wspinający się po schodach.

Okulary o delikatnie zabarwionych na niebiesko szklach skierowały się ku niej.

- Co czytasz?

Rosie pokazała mu książkę: *Ogryzki jabłek*.

- Dobrze się czyta - stwierdziła. - Ale czy to wszystko prawda, to o Shakespearze, który ucieka, żeby zostać młodym aktorem?

Boney uśmiechnął się. Jego sztuczna szczeka miała tyle lat co prawdziwe zęby niejednego człowieka; w niektórych miejscach porcelana była wytarta, ukazując znajdujące się pod nią lśniące złoto.

- Nigdy nie pytałem - odparł - co w nich jest prawdą.

Bardzo skrupulatnie zbierał materiały.

- Znałeś go, tak?

- Sandy'ego Krafta? O, tak. Ha, Sandy i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi, tak.

- Sandy?

- Tak właśnie go nazywali.

Rosie otworzyła książkę na wewnętrznej części tylnej papierowej okładki. Znajdowała się tam fotografia Fellowesa Krafta - mężczyzna w nieokreślonym wieku, o subtelnym spojrzeniu, w rozpiętej koszuli; jego policzek spoczywał na zaciśniętej dłoni, bujna czupryna jasnych włosów opadała na czoło. Trzydzieści, może czterdzieści lat? Z informacji o prawach autorskich wynikało, że

powieść została napisana w 1941 roku, ale fotografia mogła być starsza.

- Hm - mruknęła. - Mieszkał w Stonykill.

- Niedaleko. W tym domu, wiesz, w którym. Nabył go pod koniec lat trzydziestych. Teraz należy do Fundacji. Sandy współpracował z nią przez jakiś czas. Nieregularnie. Jesteśmy również w posiadaniu praw autorskich do jego utworów, nie uwierzysz, ale wciąż przynoszą niewielki dochód. - Swoje trzęsące się dłonie splótł za plecami i spojrzał przed siebie ku światłu dnia. - To był dobry człowiek, brakuje mi go.

- Czy ma tu jeszcze jakąś rodzinę?

- Skądże. - Boney ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Sandy nie był z tych, co to się żenią, wiesz, co mam na myśli.

- Tak? - bąknęła Rosie. - Aha.

- Dawniej nazywaliśmy takich zatwardziałymi starymi kawalerami.

- Ale ty też do nich należysz, Boney.

- No cóż. - Rzucił jej szelmowskie spojrzenie. - W zależności od tego, jak wypowiesz to określenie, może oznaczać ono różne rzeczy. Ale nie rozpuszczaj plotek na mój temat.

Rosie zaśmiała się. Subtelność w dawnym stylu. Wiedziała o tym, że sam Boney dawno temu skrywał pewien sekret, tajemny smutek, o którym nigdy się nie mówiło; coś, co mogło się stać, a nawet powinno, wielkim skandalem, ale się nie stało. W dzisiejszych czasach nie było już sekretnych skandali. Można było o nich

rozmyślać, rozmawiać i udzielać rad. Spojrzała na podjazd. W cieniu klonów stał zaparkowany jej samochód z dachem załadowanym rzeczami, których jak dotąd nie miała ochoty rozpakowywać. Boney bezzwłocznie przyjął ją do siebie, żadnych pytań, jak gdyby przyjechała tylko z dłuższą wizytą; pani Pisky, od niepamiętnych czasów pełniąca w domu obowiązki jego gospodyni, otrzymał od Boney'ego wskazówki. Pani Pisky, Rosie i Sam zostaną tu na jakiś czas, co pani sądzi, zachodnia sypialnia posiada łazienkę, jest tam też niewielki buduar. Ależ panie Rasmussen, nie było tam ostatnio wietrzne i w ogóle, zrobię generalne pranie, czy to nie cudownie mieć w domu młodych. Jakikolwiek zmartwienia, pomyślała Rosie, spowodowały bądź skryły niegdyś owe dawne powściągliwości, mogły również dać ukojenie, jeśli nie posiadało się wyjaśnienia, jeśli chciało się uciec i przez jakiś czas nie mogło się powiedzieć dlaczego. Niewykluczone, że pani Pisky była hipokrytką, z pewnością potrafiła dostrzec wszystko to, co Rosie przywiozła ze sobą do domu, wciąż nieposprzątaną życiowy nieład, bibułki do skrętów w pudełku na biżuterię, i Sam, zdezorientowana, a przy tym nie tak czysta, jak być powinna - wszystko to bez wątpienia mogło dać pani Pisky do myślenia. Lecz Boney, Rosie miała co do tego pewność, nie tylko nie odezwał się słowem, ale, o ile był w zgodzie ze swoimi uczuciami, niczego też sobie nie pomyślał.

Arkadia. Co u licha poczęłaby, pomyślała z pokorą, gdyby nie mogła schronić się w Arkadii, wielkiej, spokojnej, brązowej Arkadii z jej dużą, wyłożoną kamiennymi płytami werandą i znajdującym się na

niej wiklinowym szezlongiem, na którym mogła położyć się z książką w świeżym chłodzie, tak jak czyniła to będąc dzieckiem; książką wypożyczoną z biblioteki, na karty której wkładało się z zewnątrz lato oraz odległe wzgórza. Co by poczęła? Jak radzili sobie z podobnymi problemami ludzie, którzy nie mieli dokąd pójść, kiedy należało uczynić coś okropnego, oni zaś nie byli jeszcze na to gotowi?

- Zauważ - rzekł Boney, widząc, że wraca do lektury *Ogryzków jabłek* - w jaki sposób w dialogach używa cudzysłowów zamiast myślników.

- Tak. To trochę dezorientuje.

- Mnie też się tak wydaje. Trudno się czyta. Ale czy wiesz, czemu tak robił? Kiedyś mi to wyjaśnił. Powiedział, że po prostu nie potrafił zmusić się do tego, by utrzymywać, że wszystkie te historyczne postacie naprawdę mówiły to, myślnik, co wkładał im do ust. Ci ludzie nigdy tak naprawdę tego nie powiedzieli, tłumaczył mi, nie w rzeczywistości. A te cudzysłowy sprawiają, że nie wygląda to tak, jakby ludzie mówili naprawdę. Sandy stwierdził: To raczej tak, jakbyś śnił o tym, co najprawdopodobniej mówili, o ile dokonali wszystkich tych rzeczy, jakie się im przypisuje. - Powoli, bez ruchu, spojrzał w dół na Sam, która równie powoli zbliżyła się do niego. - To wszystko - powiedział z powagą. Oboje z Sam popatrzyli jedno na drugie, jej blond główka uniosła się do góry, jego jaszczurcza głowa opadła w dół. - Cześć, Sam.

Rosie poczuła, jak jej pocięcha dopada jej kolana, uciekając przed poufałością Boney'ego. Przewróciła kilka stron powieści, które zamknęły się z trzepotem, by wrócić do miejsca, w którym skończyła.

Boney, z dłonią na moskitierze, już wychodząc, zatrzymał się.

- Rosie - zaczął. - Czy mogę cię o coś spytać?

- Jasne.

- Czy sądzisz, że będziesz potrzebowała rozmowy z prawnikiem?

- Ojej, Boney...

- Tak tylko pytam.

- Nie wiem, na razie chyba jeszcze nie.

- Daj mi znać, jeśli zajdzie taka potrzeba - zaproponował Boney - a ja zadzwonię do Allana Buttermana. To wszystko.

Z nieznacznym uśmiechem wyszedł przez drzwi i zszedł szerokimi schodami o niskich stopniach, jak gdyby były strome. Patrząc, jak odchodzi, Sam niespodziewanie poderwała się i ruszyła za nim, wślizgując się za drzwi, nim zdążyły się zamknąć na swój stary, powolny pneumatyczny mechanizm, i zbiegła po schodach, które dla niej również były strome; Boney zauważył, że za nim idzie, ale nie zareagował.

Tymczasem wciąż trwało słoneczne popołudnie. Proszę, byle jak najdłużej trzymać się z dala od prawników. Młody Will maszerował do domu Henley Street, minął szopkę i stojący na rynku krzyż i z bijącym sercem znalazł się u drzwi swego ojca, by przedłożyć mu

zaproszenie do wstąpienia do kompanii Chłopcy Hrabiego Leicester, jakie otrzymał od mistrza Jamesa Burbage'a.

Na pierwszym piętrze, w tchnącym wonią skór sklepiku rękawicznika, nie było nikogo. Słyszając stłumione odgłosy rozmowy, Will wspiał się na górę, do znajdującej się nad nim komnaty. W pomieszczeniu panował półmrok, okiennice były na wpół przymknięte, mając zaś wciąż w oczach blask sierpniowego dnia, nie potrafił dostrzec, kto stał za plecami siedzącego na krześle ojca.

Ojciec przetarł oczy rękawem, najwyraźniej płakał. Znowu. Po drugiej stronie komnaty w drzwiach stała matka z rękoma skrytymi pod fartuchem; nie sposób było odgadnąć jej myśli, lecz widać było, że ją zafrasowały. Mężczyzną stojącym za plecami ojca, wysokim, o prostych włosach, był jego zeszłoroczny nauczyciel, mistrz Simon Hunt.

„Will. Will”. - Ojciec przywołał go do siebie wyciągniętymi rękoma. - „Will, mój synu. Właśnie rozprawialiśmy o tobie”.

Wszyscy patrzyli na niego; w zatęchłej ciemności ich oczy zdawały się płonąć. Will uczył drzenie lęku, które ostudziło pot na karku. Nie podszedł do ojca.

„Will, jest tu mistrz Hunt. Długo razem się modliliśmy. Za ciebie, za nas wszystkich. Will, mistrz Hunt wyrusza jutro w podróż”.

Will nie odezwał się. Ostatnio dość często zastawał nauczyciela w towarzystwie ojca, ojca zaś we łzach; wraz z Huntem stłumionymi głosami toczyli rozmowy na temat dawnej religii oraz smutnej

kondycji współczesnego świata, a także tego, że nic nigdy się nie ułoży, dopóki stara religia nie powróci do kraju. Hunt wziął również jego, Willa, na stronę i mówił doń uważnie i z naciskiem, zaś Will, obezwładniony osobliwością jego słów, słuchał i kiwał głową, kiedy uznawał, że jest po temu odpowiedni moment, rozumiejąc dość niewiele z tego, co do niego mówiono, lecz czując nacisk Hunta niczym bez mała dotyk fizyczny, którego pragnął się pozbyć.

„Wyruszę za morze, Will” - oświadczył mistrz Hunt. - „By ujrzeć inne lądy i służyć Bogu. Czyż nie jest to rzeczą słuszną?”.

„Dokąd to się udajecie” - spytał Will.

„Do Niższych Krajów. Do słynnego kolegium, które się tam znajduje, gdzie przebywają mężowie uczeni a świątobliwi. A przy tym odważni. Rycerze Boga”.

Czemu mówili do niego tak, jakby był dzieckiem, chłystkiem, którego trzeba do czegoś namawiać? Tylko matka milczała. Stała sztywno w drzwiach, na wpół znajdując się w komnacie, na wpół poza nią, tak, jak to miała w zwyczaju, kiedy mąż łajał dzieci bądź wymierzał im lanie, nie mając śmiałości bronić ich, a mimo to nie chcąc przykładać ręki do kary. Czekali wraz z Huntem, aż coś powie, ale nie miał nic do powiedzenia z wyjątkiem swych własnych wieści, których, wiedział o tym, nie należało w tej chwili ogłaszać.

„Pójdź tu, chłopcze, pójdź”. W głosie ojca brzmiało zaproszenie. Will niechętnie podszedł do niego. Hunt uroczyście skinął głową, jak gdyby mówiąc: tak, to należy uczynić w następnej kolejności. Ojciec ujął go, poklepując po ramionach.

„Coś ci powiem. Postanowiłem - postanowiliśmy wraz z mistrzem Huntem i z bożą pomocą - że powinieneś wyjechać jutro wraz z nim. Za morze. Słuchaj mnie, słuchaj”.

Will bowiem począł odsuwać się od niego. Ojciec nie wypuszczał go z uścisku. W sercu Willa rozgrywała się tragedia: chcą go oddać Huntowi na wieczne nauki, na zawsze wydać na pastwę jego głosu i dotyku. Nie.

„Och, synu, och, synu. Masz bystry rozum, bystry rozum, bystrzejszy niżli mój. Pomyśl o tym, pomyśl. Są tam nauki, święte nauki, których tu nie pobierzesz, słuchaj, Will, to jest skarb, za którym warto pójść na koniec świata. Posłuchaj. Dobry z ciebie chłopak, dobry chłopak”.

Zamknięty w ramionach ojca Will stał się dziwnie spokojny; jakaś przebiegłość, która zdawał się doń nie należeć, szeptała w uchu, sprawiła, że zastygł w bezruchu, a gdy ojciec to poczuł, zwolnił uchwyt. Trzymał go teraz przed sobą za ramiona, uśmiechając się doń ustami, podczas gdy załamane oczy badały jego oblicze.

„Dobry chłopak. Dzielny. Nie chcesz nic powiedzieć?”.

„Uczynię, jak zechcesz, ojczy”.

W oczach ojca wezbrały łzy. Will podpowiedział sobie: mów tak, tak, i tylko tak. Matka podniosła fartuch do twarzy.

„Konieczne było zachowanie tajemnicy” - rzekł Hunt. - „Nie można było inaczej. Nie mogliśmy ci niczego powiedzieć aż do ostatniej chwili. Ze strachu przed mocami tego świata”.

„Tak”.

Uklęknął przed Willem i popatrzył mu w twarz.

„Przygoda, chłopcze. Wyruszymy potajemnie w świetle brzasku. Ja będę rycerzem, a ty moim giermkim. Będziemy walczyć z wszelakim złem tego świata, jakie się nam pokaże. Albowiem w dzisiejszych czasach świat pełen jest występku”.

„Tak”.

Nie wiedzieć czemu, uśmiech jego szpetniejszy był niż jego poważne oblicze. Na twarzy Willa zagościło rozbawienie na tę myśl.

„Och, będzie tam śpiew. Będzie tam śpiew, jakiego nigdy nie słyszałeś, i sztuki, i kościoły pełne splendorów dla chwały Pana. Wspaniałe jak w książkach. Nie takie jak ten zaciemniony kraj, w którym pałają nienawiścią do piękna i figuralnej pieśni. I prawda, Will. Będzie tam prawda do zgłębienia”.

Will cofnął się od niego o krok.

„O brzasku?” - zapytał.

„Tak” - odparł Hunt. - „Pójdę w tej chwili wszystko przygotować. Nie bierz teraz ze sobą wiele. Wszystko zostanie ci dostarczone”.

Podniósł się, znów znać było na jego obliczu niepokój i skupienie, jak zazwyczaj, i usiadł przy stole, na którym Will teraz dostrzegł ślady liczenia pieniędzy oraz skórzaną sakiewkę. Hunt i jego ojciec zetknęli się głowami.

„W Londynie staniemy na kwaterze” - rzekł Hunt. - „U mego drogiego przyjaciela. Wie o wszystkim. Ale trzeba będzie tam wynająć łódź do Greenwich...”.

Znów odwrócili się jak jeden mąż, by popatrzeć na niego, gdy cofnął się jeszcze bardziej.

„Pójdę się przygotować” - oznajmił.

„Tak uczyn” - odparł Hunt i puścił do niego oko. - „Wrócę mniej więcej w środku nocy. Nie będziesz spał?”.

„Nie”.

„Dopilnuj go, dopilnuj” - powiedział John Shakespeare do swojej żony. - „Dopilnuj go”.

Ale Will pospieszył już do swojej mansardy i zaryglował drzwi, nim matka zdążyła zbliżyć się do nich.

W świetle pojawiła się gigantyczna szczelina, on zaś w jednej chwili znalazł się na jej krawędzi. Po przeciwnej stronie znajdowali się jego ojciec i Hunt, nakłaniając go, by w nią wskoczył; i jego matka, nakłaniając, by wrócił do niej. Ale nie mógł. Nie odczuwał nic prócz gwałtownego poczucia zagrożenia, był w stanie jedynie myśleć szybko i spokojnie o tym, jak uciec od nich i ratować siebie, toteż umysł jego terkotał niczym mechanizm mającego lada chwila uderzyć zegara.

„Will” - dobiegł go łagodny głos matki. Nie odpowiedział. Ze skrytki w ścianie wydobył papier - miał doń upodobanie, toteż zbierał czyste skrawki, gdy tylko nawinęły mu się pod rękę - i niewielki kałamarz z inkaustem. Ręce trzęsły mu się miarowo w rytm uderzeń serca i jedynie wysiłkiem woli udało mu się je uspokoić. Rozłożył papier na parapecie małego okienka i we wpadającym przez nie świetle jął pisać; zmarnował jedną kartkę, po czym zaczął drugą,

spokojniej - słowa napływały mu do głowy, jak gdyby wypowiadał je ojciec, a jeśli nie jego własny ojciec, to przynajmniej jakiś inny, wiarygodny ojciec, którego głos słyszał.

Tuż po zmierzchu zabrał pęk koszul oraz rajtuzy, które uszyła mu matka, niewielki worek z monetami, który dostał od ojca, a także nowe rękawiczki własnej roboty, i wszystko to zaniósł na górę do swej izdebki: żeby rozmyślać i modlić się, oznajmił, i żeby czekać na mistrza Hunta. A gdy uznał, że jego brat i siostra śpią już mocno, a ojciec na dole raczy się winem, wyszedł przez okno i opuścił się na dół po elewacji sposobami, jakie już dawno temu doprowadził do perfekcji, by wymykać się w takie właśnie letnie noce jak ta.

Mistrz James Burbage w wielkim pośpiechu szykował się do wyjazdu z miasta. Jeden z członków jego trupy wdał się w awanturę z miejscowym chłopakiem; poszło o jakąś dziewczkę czy też o sumę pieniędzy. Jej luby srodze w niej ucierpiał i zachodziło prawdopodobieństwo, że może umrzeć. Burbage, wściekły na swego człowieka, nie miał jednak zamiaru czekać, aż da znać o sobie miejscowy wymiar sprawiedliwości, a jemu samemu dostanie się grzywna albo i jeszcze coś gorszego, toteż o dziesiątej doglądał właśnie troczenia ostatnich rekwizytów scenicznych do zaprzęgu, by móc wyruszyć przy świetle księżyca, gdy chłopak przestraszył go, wyrastając jak spod ziemi i ciągnąc go za rękaw, tak że aż krzyknął.

Czy uwierzył w pismo, jakie mu przedstawił? Podpisane, a przy tym poświadczone przez mistrza Simona Hunta. Ufając, iż będzie dobrze traktował mojego syna, rzeczzonego Williama, z dobrą wiarą i

uczciwością, i wyuczy go fachu, obowiązków i sztuki aktorskiej w trupie pana z Leicester. Mój ukochany syn, którego osobę i los zawierzam rzeczonemu mistrzowi Burbage'owi. Nie było wzmianki na temat chesnego; Burbage nigdy nie poznał i poznawać nie zamierzał owego Johna Shakespeare'a; w ciemności twarz rudzielca była niczym maska, maska, która mówiła: *Uczyńłem to, czego ode mnie oczekiwano, i oto jestem gotów do drogi*. Nie, mistrz Burbage ani przez chwilę nie dał wiary temu pismu, nie bardziej niż spojrzeniu chłopca. Ale uznał, że sędzia by dał, gdyby do tego doszło, a w każdym razie wybaczyłby Burbage'owi to, że uwierzył; wszak był w wielkim pośpiechu, a do tego ten gałgan miał anielski głos.

„Wskakuj na górę!” - krzyknął, podsadzając Willa, co było niczym w porównaniu ze skrzydłami, jakich dodał tym samym jego rozradowanej duszy. - „Właż na siedzenie. Nie, nie na to, w takim razie właż tam na dół. Dobrze się tam schowaj. O tak. A teraz, młody mistrzu Shakespeare, przyszły aktorze, nie wyściubisz stamtąd nosa, póki nie przepawimy się przez most Clopton i nie pojedziemy dalej. No, wio! Wio!”.

I tak owa mała karawana, z mistrzem Burbage'em jadącym na rozstawnym koniu i resztą przycupniętą na wozie - niektórzy jechali po dwóch na jednym koniu bądź maszerowali z tyłu za wozem, wymieniając między sobą piosenki i plotki (oraz skórzany bukłak) - wyjechała ze Stratfordu przez most Clopton i skierowała się na południe, ku drodze do Londynu. Wciśnięty na samo dno wozu Will obracał w rękach znajdującą się wśród rekwizytów koronę, a uszami

zdającymi się rosnąć do rozmiarów dzwonów przysłuchiwał się toczonym na zewnątrz rozmowom i nocy; jego serce nie chciało przestać bić mocno i głośno.

W liście, jaki zostawił ojcu, napisał, że udał się do Bristolu, by tam zaciągnąć się do marynarki, wsiąść na okręt udający się do Nowego Świata i znaleźć swą fortunę na morzu bądź zginąć w drodze.

- Telefon - poinformowała pani Pisky, wystawiając głowę przez okno werandy. - Telefon do pani.

Rosie zamknęła książkę, zaznaczając palcem miejsce, w którym skończyła czytać. Usiłując okazać spokój i opanowanie, podniosła się z szeslongu. - No dobrze - westchnęła, zawracanie głowy, ale w rzeczywistości chciała w ten sposób uwolnić niespodziewany mrok, który się w niej skumulował - i właśnie wtedy, ponad trawnikiem i werandą, coś się pojawiło, co to takiego? Ach, owe ciężkie chmury, które wisiały tak długo nad sąsiednim okręgiem, nareszcie napłynęły tutaj. Wzmagał się również wiatr. Rosie udała się w ślad za panią Pisky do telefonu przez dom, w którym szybko ciemniało.

- Halo.

- Cześć, Rosie.

- Cześć, Mike.

Zapadła przydługa chwila milczenia, Rosie zaś zrozumiała, że odtąd, może nie zawsze, lecz tak długo, jak będzie to mieć znaczenie, wszystkie ich rozmowy będą się od niej rozpoczynać.

- Po pierwsze - odezwał się Mike. - Po pierwsze zostawiłaś tu pieluszki na noc dla Sam. Trzy opakowania.

- Aha.

- Chcesz po nie wpaść?

- Chyba mam jeszcze kilka ze sobą. W torbie podróżnej.

Kolejna chwila milczenia. W tym jego „po pierwsze” zabrzmiała pretensja, którą Rosie z satysfakcją pozwoliła mu rozwijać. Jeśli przygotował całą listę, ustosunkuje się kolejno do każdego jej punktu.

- Znalazłem też - ciągnął, cierpliwy archeolog badający śmietnik, jaki po sobie zostawiła - coś, co wygląda jak wsteczne lusterko do samochodu.

- A, tak. Zamierzałam umocować je klejem epoksydowym, ale nie mogłam go znaleźć.

- Klejem epoksydowym?

- Tak właśnie zrobił Gene, tylko chyba dał go za mało. Myślałam, że mamy go w skrzynce z narzędziami, ale okazało się, że nie.

Zaśmiał się.

- No cóż, nie wychodzi ci to na dobre.

Pozostawiła to bez komentarza. Nie należało bowiem do listy. Czekala na następne jej punkty. Usłyszała, jak wzdycha, jakby przygotowując wstęp, szykując się do drażnienia tematu.

- Chcesz mi powiedzieć - zaczął - jakie masz plany, o ile w ogóle jakieś masz?

- No cóż - odparła.

Uniosła spojrzenie; pani Pisky była czymś zajęta w znajdującym się obok jadalni kredensie, a może nie. Rosie dostrzegła, jak pilnie nadstawia ucha.

- Czy masz ochotę spróbować mi powiedzieć...

- Właściwie to teraz nie mam nic do powiedzenia, Mike - odparła łagodnie. - To znaczy nie tylko w tej chwili, dzisiejszego popołudnia. - Dało się słyszeć coś w rodzaju sapnięcia, które być może miało oznaczać cierpliwe kiwanie głową, a może nawet wystawioną na próbę cierpliwość. - Chodzi mi o to, że... - Dostałeś ostrzeżenie i nie powinno być to dla ciebie, do cholery, żadną niespodzianką: o to jej właśnie chodziło.

- Zdolność Mike'a do zaczynania w kółko od początku odbytych już rozmów, dawnych negocjacji, była niewyczerpana; niewykluczone, że wynikała z konieczności robienia tego podczas terapii. Zdawał się kwitnąć od tego, podczas gdy Rosie usychała, popadając w chaos i nie mogąc wydusić z siebie słowa, nie będąc w stanie kończyć zdań.

- Chodzi ci o to, że... - Zawiesił głos w oczekiwaniu.

Nieomal widziała, jak przekłada słuchawkę z jednego ucha do drugiego i wygodnie się rozsiada. Kiedy Mike stopniowo milkł, nabierając spokoju i cierpliwości, czekając, emanował czymś, co Rosie zwykła nazywać Obłokiem Władzy. A kiedy nań patrzyła, obłok ulegał rozproszeniu - wiedziała, że ona sama znajduje się poza nim i ponad nim, a fakt ten stanowił powód, dla którego przebywała obecnie w Arkadii, a nie w Stonykill.

- Chodzi mi o to, że nie mam nic do powiedzenia.

- Hm.

Zorientowała się, że jej środkowy palec zdrętwiał wewnątrz książki, którą mocno ścisnęła. Uwolniła go. Nastąpiło wówczas długie, miękkie dudnienie grzmotu, niczym jęk ulgi. Odłożyła książkę, która zamknęła się z furkotem, ona zaś położyła na niej dłoń w chwili, gdy opadała strona tytułowa.

- No dobrze, więc co porabiasz? - spytał, zmieniając kurs, jakby chciał zacząć od nowa.

- Czytam.

- Co?

- Książkę.

Pod tytułem znajdował się cytat, z którego ten pochodził: *Ta sama to młodzież, co grzmi po teatrach i bije się o ogryzki jabłek*¹⁴.

- Rosie, wydaje mi się, że zasługuję na choć trochę otwartości. Przypuszczam, iż nie uważasz, że potrafię sobie wyobrazić, co czujesz...

- Ojej, Mike, daj spokój, mógłbyś rozmawiać ze mną normalnie?

- W chwili milczenia, jaką zareagował na jej słowa, podjęła decyzję. - Po prostu na razie nie mam nic do powiedzenia... Mogę powiedzieć tylko tyle, że nie mam nic do powiedzenia. Naprawdę. Jeśli faktycznie musisz to wszystko roztrząsać akurat t e r a z, skontaktuj się z Allanem Buttermanem.

- Z kim?

- Z Allanem Buttermanem. Prawnikiem.

¹⁴ William Shakespeare, *Henryk VIII*, przekład Leona Ulricha.

W domu zrobiło się ciemno jak w nocy. Dało się słyszeć jeszcze bardziej stanowcze dudnienie grzmotu; w kredensie pani Pisky zacmokała z dezaprobatą i zapaliła światło.

- Jego numer jest chyba w książce telefonicznej. - Wielkie fale ciepłego, wilgotnego powietrza snuły się po pokojach; pani Pisky popędziła prędko przez jadalnię, zamykając okna, których cienkie letnie zasłony unosiły się do góry niczym dłonie w geście przest్రachu. - Słuchaj, Mike, zaczyna padać. Muszę znaleźć Sam. Na razie. Odłożyła słuchawkę.

Spojrzała na zegarek. Kancelaria adwokacka jest już zamknięta, zadzwoni z samego rana, zanim zrobi to Mike. O ile się zdecyduje.

Już dobrze, już, uspokajała się, całkiem opanowana z wyjątkiem ściśniętego gardła. Już dobrze; ponieważ jedynie rzeczy typu „przypuszczam, iż nie uważasz”, jedna wielka paplanina, mogły w tej chwili jeszcze przepłynąć pomiędzy nimi nie sprawiając bólu; każde bowiem zwykłe słowo miało w sobie zbyt wiele okropnego ciężaru, by je wypowiadać: pieluszka, samochód, dom, skrzynka z narzędziami. Sam. My.

Więc będzie mógł rozmówić się z Allanem Buttermanem, który nie będzie miał nic przeciwko temu.

Wyszła na werandę. Szare, puszyste chmury szybko przesuwały się nad doliną; wiatr targał drzewami, z których sypały się liście, jak gdyby była jesień. Sam biegła przez trawnik z rozwianymi włosami wokół zbolalej twarzy, zaś za jej plecami, poczłapując, Boney ciągnął

jej wózek. Suche, podziurawione przez owady liście zawirowały wokół nich tumanem.

Porwij to wszystko ze sobą, poczęła modlić się w duchu Rosie, porwij ze sobą lato, przynieś surową, przejrzystą aurę. Była już znużona latem. Pragnęła ognia w kominku, pragnęła spać pod kołdrami, pragnęła przechadzać się w swetrach pod bezlistnymi drzewami, mając czystość i chłód wokół siebie i w sobie.

Burza wówczas nie nadeszła; nie przeszła też bokiem. Gdy ucichł wiatr, który przyniósł zachmurzenie i kilka mizernych kropel, najwyraźniej ustała, pozostawiając wieczorne niebo czyste; acz wciąż widać ją było na horyzoncie, pomrukującą raz po raz niskim tonem i być może siąpiącą deszczem (mówili między sobą uczestnicy balu Spofforda) na jakimś innym balu, gdzie indziej. Gęste gorące powietrze tchnęło jej bliskością i kiedy wzeszedł księżyc, witany śmiechem i toastami, ogromny i bursztynowy niczym whisky, jego blask nadał złocistą aurę rąbkom burzowych chmur.

Pierce i Spofford wyruszyli z chaty na bal wiekową ciężarówką Spofforda. Stopy Pierce'a tkwiły pomiędzy skrzynkami na narzędzia a zatłuszczonymi szmatami, Spofford zaś prowadził, jedną rękę trzymając na kierownicy, a drugą wspierając na krawędzi okna i trzymając się dachu. Żwirowe drogi, woń starej ciężarówki i nocne powietrze na twarzy przywiodły Pierce'owi na myśl Kentucky, letnie sobotnie noce sprzed wielu lat, randki, wolność i oczekiwanie, jak gdyby ta droga stanowiła przedłużenie tej, którą niegdyś podążał, z której zjechał przed laty i na którą niespodziewanie powrócił w tej właśnie chwili. Kto by pomyślał, że wiodła ona właśnie tutaj, kto by pomyślał.

Skręcili w zaniedbaną brukowaną drogę, trzęsąc się niemiłosiernie, i po niedługim czasie dojechali do nieczynnej przydrożnej budki spożywczej. W świetle reflektorów Pierce dostrzegł, że sprzedają tam, a raczej sprzedawali, szeroki asortyment letniego jedzenia. Zaparkowali pośród innych samochodów, starych ciężarówek podobnych do tej należącej do Spofforda, nowszych i takich, które dostosowane były do specjalnych celów, a także małego, jasnoczerwonego kabrioleta oraz kombi. Spofford zdjął brązowy koc w indiańskie wzory, który przykrywał siedzenie ciężarówki, zwinął go i włożył sobie pod pachę, zahaczył od tyłu palcem wskazującym ogromny baniak z winem, narzucił go sobie na ramię i poprowadził Pierce'a ku ścieżce, która biegła za budką i schodziła przez sosnowy zagajnik ku trójkątowi złotych i czarnych wód. Na ścieżce znajdowali się inni, postacie ciemnawe lub niewyraźne i białe, niosące kosze, prowadzące dzieci.

- To Spofford? - spytała zażywna kobieta z papierosem w ustach, odziana w szeroką niczym pałatka suknię.

- Cześć, Val.

- Dobra noc na zabawę - stwierdziła Val.

- Najlepsza.

- Księżyc w znaku Skorpiona.

- Tak?

- Lepiej uważaj - zaśmiała się Val, oni zaś weszli na zapełnioną ludźmi polankę, w blask ognia, odgłosy wymienianych pozdrowień i szczekających psów.

Był to bal Spofforda wyłącznie w tym sensie, że to do niego należała połąć nabrzeża, na której się odbywał: niewielki teren rekreacyjny, który obsługiwali niegdyś jego rodzice, budka, kilka piknikowych stolików oraz kamiennych miejsc na ogniska, przypominających druidzkie kręgi, krótki drewniany pomost i para wychodków - męski i żeński. Spofford przytargał wprawdzie baniak z winem, ale nie pełnił obowiązków gospodarza, zachowywał się tylko nieco z pańska, gdy wraz z Pierce'em przeszli między ludźmi, witając się i czyniąc drobne uwagi. Stoły zastawione były mięsem i owocami, butelkami i serami oraz półmiskami wszelkich różności; zdawało się, iż mogłyby wykarmić rzesze. Każdy był tu gospodarzem dla pozostałych. W niektórych dolmenach rozpalono ogniska, toteż dym palonego drewna przepelniał nocne powietrze; rozbrzmiewały wysokie tony fletni Pana, wijące się poprzez głuszę sosen.

Z dłońmi w kieszeniach, kłaniając się to w lewo, to w prawo, tak jak czynił to Spofford, Pierce szedł wraz z nim nad samą wodę. Ponad masywnymi drzewami na przeciwległym brzegu księżyc zdawał się dziurą w atramentowym niebie, wyciętą po to, by wpuścić światło dalekich, spokojnych niebios. Stojąc tam, dostrzegli, jak niespodziewanie spod powierzchni wody wynurzają się jedna po drugiej trzy postacie, jak gdyby spały na dnie rzeki i właśnie się obudziły; śmiejące się i nagie, wspięły się po drabince na pomost i stały tam w świetle księżyca, susząc się, trzy kobiety, ciemna, jasna i różowa¹⁵ - trzy gracje.

- Ha, jest tutaj - szepnął Spofford, odwracając się.

¹⁵ Odniesienie do trzech rodzajów wina: czerwonego, białego i różowego.

- Ha, jest tutaj - szepnął Spofford, odwracając się.

- Tak? - rzucił Pierce, nie odwracając się. Pierwsza zwinęła swe bujne włosy w dłoni, by wyżyć z nich wodę; blondynka złapała równowagę, wspierając się dłonią na ramieniu ciemnowłosej, i wycierała stopy. Ostatnia wskazała na Pierce'a, a wówczas wszystkie trzy uniosły nań wzrok i wydawało się, że się śmieją; po wodzie niosły się ku niemu ich głosy, lecz nie słowa. Nie wyjmując dłoni z kieszeni, Pierce stał w miejscu i uśmiechał się. Właśnie wtedy za jego plecami dały się słyszeć ciężkie kroki, a po chwili przebiegł obok niego nagi mężczyzna i rzucił się do wody ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi, wyciągniętymi przed siebie, i unoszącymi się w powietrzu długimi włosami, jak gdyby zamierzał utopić się w akcie hołdu - to właśnie z niego się śmiały.

Podążające za nim dziecko o blond włoskach z piskiem wbiegło do wody po kolana i zatrzymało się ze zdumieniem, a starsze dziecko minęło je i zniknęło w wodzie. Zażywna kobieta, zapewne ich matka, zdjęła bluzkę, jej wielkie piersi podskakiwały przy każdym kroku, i wbiegła za nimi do wody, rozchlapując jej poznaczoną złotymi smugami powierzchnię i tworząc srebrną pianę.

Pierce odwrócił się; z jego twarzy nie zniknął uśmiech, zaś z piersi uczucie pełni. Adamici. Jakimż to sposobem uszli kłątwie?

- Czegoś takiego nie zobaczy się w mieście - powiedział do Spofforda, nalewającego mu czerwonego wina, które za sprawą księżycowego światła wyglądało dlań, jakby było czarne. - Nie można tego kupić. Tego uroku.

- No tak - odparł Spofford. - To nie jest towar na sprzedaż. -
Podał Pierce'owi grubego, skwierczącego skręta, z którego wiła się
smuzka dymu. - Masz ochotę coś przegryźć?

Prażona kukurydza i pomidory słodkie niczym jagody. Zbliżała się
pora żniw; chrupki chleb czyjegoś wypieku, wędzona kiełbasa,
dziewięć rodzajów surówek i sałatek. Jego papierowy talerzyk
rozmiękł i wygiął się pod ciężarem tych przysmaków.

- Jak sądzisz, co to takiego? - spytał stojącą obok kobietę, która
nakładała sobie jedzenie na talerz, dżgając coś, co przypominało tort.

- Nie mam pojęcia - odparła. - Beżowe jedzenie.

Zaniósł swój talerz na nadający się do siedzenia kamień w
centralnym miejscu; na sąsiednim kamieniu siedział flecista. Jego
piskliwa, niepewna muzyka wydobywała się z zestawu powiązanych
ze sobą trzciniowych piszczałek, on sam zaś wyglądał niczym łagodna
w obejściu wersja Pana - wygięte wargi wodzące po instrumencie i
chłopięca bródka. Jakieś senne dziecko siedziało z głową na jego
kolanach.

- Syringa - stwierdził Pierce, gdy flecista przerwał grę, by
strząsnąć ślinę ze swego instrumentu.

- Że co proszę?

- Fletnia - wyjaśnił Pierce. - Nazywa się syringa. Była taka
dziewczyną, nimfa Syrinks, w której kochał się bożek Pan.

I uganiał się za nią. - Zrobił pauzę, by przełknąć ślinę. - Była
bardzo cnotliwa, to znaczy próbowała przed nim uciec, a kiedy już ją

prawie dopadł, jakiś inny bóg czy też bogini pożałował jej i przemienił ją w pęk trzcin. W ostatniej chwili.

- Ciekawe.

- Aha. A Pan z tych trzcin zrobił piszczalki. Syringę. Nawiasem mówiąc, to to samo co fletnia Pana - wydrążona trzcina. I dmucha ją po dziś dzień.

- Więc kto tu gra pierwsze skrzypce? - spytał flecista. Spróbował wydobyć kilka dźwięków. - Trudno mi na tym coś zagrać.

- Możesz spróbować - odparł Pierce. - Muzykę Sfer. W sumie.

- Może po kilku lekcjach. - Skrzywienie ust, a także jego niski, chropawy głos sugerowały, że jest bliski śmiechu, jak gdyby obaj z Pierce'em dzielili jakiś tajemniczy żart. - Próbowałem zagrać „Trzy ślepe myszki”.

Pierce roześmiał się, myśląc o oktawach i ósemkach, Pitagorasie i lirze Orfeusza. Mógłby to ciągnąć dalej. To pewnie przez tego skręta; rzadko obecnie palił, odkrył, iż palenie wprawia go w nastrój paradoksalny i tajemniczy; jeśli wywoływało w nim jakąkolwiek jasność, sprawiało też, że ową jasność kwestionował. Grajek spojrzał na niego tak, jakby usiłował go rozszyfrować bądź przypomnieć sobie, kim jest, wciąż uśmiechając się owym uprzejmym uśmiechem współdziału.

- Nie jestem stąd - wyznał Pierce. - Nazywam się Pierce Moffett. Przyjechałem ze Spoffordem.

- Ja mam na imię Beau. - Nie podał ręki, choć uśmiechnął się szerzej.

- Powinienem być teraz gdzie indziej - dodał Pierce.

- Doprawdy? - Coś w Piersie bądź jego wyjaśnieniach wywoływało we fleciście coraz szerszy uśmiech.

- Jechałem zupełnie gdzie indziej. Jestem ofiarą awarii autokaru. I tak tu trafiłem.

- Więc jesteś rozbitkiem. Po prostu cię tu rzuciło.

- Właśnie.

- Ale całego i zdrowego?

- Hm?

- Cześć, Rosie - rzucił Beau w ciemność. - Chodź pogadać. - Pierce spojrział w tłum przechodzących ludzi. Szła pośród nich ciemnowłosa dziewczyna z piwem w dłoni. Właśnie w tamtej chwili odwzajemniła jego spojrzenie i zwróciła jego uwagę; uśmiechnęła się, jak gdyby go znała, po czym poszła dalej.

- No cóż - rzekł Beau, obracając w palcach rejestry swojej fletni - skoro tu jesteś, to przypuszczam, że postanowiłeś wykorzystać ten czas. Zgadza się? W taki czy inny sposób.

- No, w sumie tak - odparł Pierce. Odłożył swój talerzyk - z miejsca zjawił się jakiś pies, by obwąchać jego zawartość, lecz nie znalazł na nim nic, co przypadłoby mu do gustu. - Sądzę, że tak to chyba poniekąd wygląda - powiedział, podnosząc się.

Dziecko na kolanach Beau uniosło głowę, domagając się dalszego ciągu koncertu. Beau zagrał. Pierce powędrował w poszukiwaniu uśmiechu, który mu się objawił, a który zniknął pośród uczestników imprezy. Syringa. Ile właściwie taka rzecz byłaby tu

warta, prawdziwie gorący towar, zwłaszcza w tym miesiącu. Tyle że on musiałby pokazać swoje skarby, aby je sprzedać, a pokazując je, zdradziłby ich sekret. Ile zapłaciliby za to, żeby wiedzieć, gdzie, dlaczego ta fletnia, jakie interwały można na niej uzyskać, żeby przedstawić lub odbić echem... Siedziała nad brzegiem wody na kłodzie, jakby nieco na uboczu; kiedy spłotła w dłoniach włosy, poznał ją. Usłyszał, jak ktoś przechodzący obok spytał ją:

- Hej, nie wiesz przypadkiem, czy przyjedzie Mike?

Wzruszyła ramionami, potrząsnęła głową: Mike nie przyjedzie; a może oznaczało to, że nie wie bądź ignoruje pytanie. A może wszystkie trzy opcje. Zdawała się nieco skrupowana i pociągnęła łapczywie łyk piwa.

- Cześć, Rosie - rzucił Pierce, stając nad nią. - Co u Mike'a? - To skręt, ten cholerny skręt i alkohol sprawiły, że nabrał diabolicznego usposobienia.

- W porządku - odparła odruchowo, unosząc na niego wzrok i ponownie się uśmiechając; miała połyskująco białe zęby, duże i nierówne, długie kły; jeden z przednich zębów był ułamany. - Nie pamiętam cię.

- Znakomicie - zaczął, siadając koło niej. - Świetna wiadomość.

- Jesteś z „Lasu”? Nie znam tam wszystkich.

- Z lasu?

- No - bąknęła, patrząc na niego bezradnie.

- Przesadziłem - powiedział Pierce. - To był żart. Nie masz pojęcia, kim jestem. - A kto by miał? Któż z nas, znalazłszy się w

Raju, będzie wiedział, który to Adam, jeśli nie zostanie uprzednio oświecony? Zwłaszcza w tym tygodniu.

Nie obraziła się, popatrzyła jedynie na niego z zaciekawieniem, czekając na ciąg dalszy. Jej uroda przywodziła na myśl długonosy, pucułowaty egipski posąg kota; letnia sukienka, jaką przywdziała, była ładna i dziewczęca.

- Tak naprawdę - dodał - jestem przyjacielem Spofforda. Przyjechałem z nim.

- Aha.

- Poznaliśmy się w mieście. Wpadłem z wizytą. Ale chodzi mi po głowie, żeby trochę tu u niego posiedzieć. Zająć się hodowlą owiec. - Roześmiał się, a ona wraz z nim, wydawało się bowiem w tej chwili, że jest to puenta. Spofford we własnej osobie pojawił się bowiem właśnie na pomoście wraz z innymi i począł zdejmować ubranie.

- To znaczy, że znasz tych wszystkich ludzi? - spytała.

- Ani trochę - odparł. - Liczyłem, że ty ich znasz.

- To niezupełnie moi znajomi.

- A Spofford?

- No, w sumie tak. - Spofford stał już całkiem nagi, nie licząc szerokiego słomkowego kapelusza; był właśnie zaczepiany przez innych, zanosilo się na dzikie harce, lecz Spofford nie dawał się złapać, trzymając ich na dystans.

- Najprzystojniejszy facet w okolicy - stwierdził Pierce. - Tak mi się wydaje.

- Naprawdę?

- O ile mi wiadomo.

- A co powiesz na temat tego, z którym niedawno rozmawiałeś?

- W porządku - odparł Pierce. - Ale nie w moim typie.

Patrzyli, jak Spofford błyskawicznie zdejmuje swój słomkowy kapelusz i rzuca go w pobliże pomostu, następnie przygotowuje się, prezentując się (jak zauważył Pierce) niezwykle przystojnie, i skacze do wody na główkę.

- Mmm - mruknął Pierce. - To mi się podoba.

Zachichotała obserwując, jak patrzy, w obu dłoniach trzymała swoją szklankę; zajrzała do niej i przekonała się, że jest pusta. Zabrzmiała głośniejsza muzyka - dobiegające z przenośnego sprzętu łup, łup, łup. Towarzyszyły jej pomruki, okrzyki zadowolenia i zachęty. Pierce wydobyl z kieszeni cienką srebrną piersiówkę - prezent od ojca; miała wygrawerowane czyjeś inicjały, nie było to bowiem nowe naczynie, ale Axel uznał, iż jest to coś w sam raz dla syna - i odkorkował ją.

- W zasadzie nie piję mocniejszych rzeczy - oznajmiła.

- Nie? - Zawahał się.

- Nie służą mi. - Podsunęła szklankę pod dziobek, a Pierce nalał jej szkockiej, którą przed wyjazdem z miasta na wszelki wypadek napełnił piersiówkę i włożył ją do torby - i słusznie, nigdy nic nie wiadomo.

- Więc skąd niby cię znam? - spytała, unosząc naczynie, by przestał nalewać, w taki sam sposób, w jaki zawsze czynili to kapłani, kiedy nalewał im wino podczas mszy.

- Póki co, jeszcze mnie nie znasz. - Zakorkował piersiówkę, samemu nie pijąc. Raptownie poczuł, że chciałby, aby jego myśli były jasne. Pośród Adamitów nie wstydzono się nagości; nie była ona grzechem dla zbawionych. Czuł się wśród nich jak koźlonogi satyr - nieproszony, lecz sam, z rozmaitych powodów, również bezwstydnym. - Dziś wieczór widziałem cię po raz pierwszy. - Wskazał wodę. - Wynurzającą się z Głębin.

- Naprawdę? - spytała, odwzajemniając jego spojrzenie. Muzyka terkotała i dzwoniła, jej głowa zaś poruszała się do rytmu, a w oczach widać było radość. - Tobie też się to podobało?

Wówczas oboje roześmiali się, głowa przy głowie; jej oczy - niewykluczone, iż sprawił to księżyc, który zdążył już wznieść się wysoko i stał się mały i blady, lecz jaśniejszy niż zwykle - jej oczy załśniły wilgocią, acz nie wydawały się miękkie; wyglądało to tak, jakby były powleczone cienką, lecz solidną warstwą lodu bądź kryształu.

Muzyka stanowiła połączenie nowej i starej, uzupełniano ją zestawem instrumentów, które niektórzy przynieśli ze sobą - grzechotek i przeszkadzajek, krowich dzwonek i bong. Tańce również były eklektyczne, z elementami wiejskiego płaśnięcia i ekstaz szejkerów¹⁶;

¹⁶ Szejkerzy - spolszczona nazwa wspólnoty wyznaniowej pod nazwą The Shakers (również Shaking Quakers), działającej od drugiej połowy XVIII do początku XX wieku naprzód w Europie, a później w Stanach Zjednoczonych, głównie na terenie Nowej Anglii. Szejkerzy wyłonili się z kwaków, a nazwę swą, z początku

włączyli się do nich wszyscy lub niemal wszyscy. Pierce w większości przesiedział je; obecnie w mieście tańcem parali się głównie półprofesjonaliści, żyłaści młodzieńcy o ciałach pokrytych potem i brokatem, z którymi nikt nie miał ochoty konkurować - zresztą Pierce i tak nie posiadał żadnych umiejętności tanecznych, a w owych wesołych orgiastycznych tańcach korybantów nie znajdował upodobania; nawet za czasów wielkiej parady jakoś nie potrafił wmieszać się tłum i płynąć z prądem. Stary piernik. I to właśnie tamta parada stała mu teraz w pamięci za sprawą płasających ludzi i prostych rytmów, jak gdyby wówczas jakaś jej grupa czy też odłam oderwał się, trafił tutaj i trwał w radosnej niewiedzy o tym, co gdzie indziej stało się z jego towarzyszami; wciąż popiskując na fujarkach, wciąż orgiastycznie tańcząc, hasając nago, lecz przy tym wychowując dzieci, hodując warzywa, piekąc chleb i dzieląc się nim z innymi w akcie starej-nowej gościnności. Nie mogło się to zdarzyć, nic z tego; to z pewnością ten skręt (ów posmak trwał jeszcze w jego ustach, słodkawy i przepalony; nigdy nie potrafił go opisać, karczochy, dym drzewny i obtoczona w maśle kukurydza) oraz poczucie, jakie mu towarzyszyło, że oto wparował tu między nich, wciąż mając miejski brud na skórze i miejskie występkę w sercu.

Flirt. Wyłącznie flirt. Ani w labiryncie tańczących, ani też w spokojnej już wodzie nie dostrzegł Spofforda. Rosie odwróciła się i przytupywała wraz z innymi; nie sposób było powiedzieć, czy tańczy z partnerem, czy ktoś tu w ogóle z kimś tańczy. Przewaga, jaką

mającą wydźwięk pejoratywny, zyskali za sprawą obrządków, do których należały między innymi ekstatyczne tańce z elementami śpiewu, a nawet glosolalii.

dawała pozycja obserwatora tego rodzaju tańców, polegała na tym, że ponieważ nie obowiązywały żadne zasady w poruszaniu się, widać było jak na dłoni osobowość tancerzy; jedyny sposób, by robić to dobrze, to mieć naturalne poczucie rytmu oraz talent w wyrażaniu go. Rosie poruszała się jak we śnie i jakby na osobności: wyprostowana, rozwiane długie włosy. Zdawało się, iż tłum nie zdołał jej wchłonąć, choć należała doń, jak gdyby wstąpiła do jakiegoś prymitywnego plemienia, którego członkowie, nie posiadając jej wdzięku, lepiej wiedzieli od niej, dlaczego oddają się temu tańcowi.

Kiedy nastąpiła zmiana muzyki, wróciła do niego, nieco zarumieniona; jej uniesienie widoczne już było tylko w blasku oczu.

- Nie masz ochoty potańczyć?

- W zasadzie nie tańczę - odparł Pierce. - Ale zarezerwuj dla mnie walca.

- Masz jeszcze tę buteleczkę?

Odkorkował piersiówkę; zgubiła gdzieś szklanekę, toteż napiła się prosto z butelki, on też, a po nim raz jeszcze ona.

- Jest jedna rzecz na temat twoich przyjaciół, o której muszę ci powiedzieć - oznajmiła. - Bywają nieco zamknięci we własnym gronie. Bez urazy.

- Mnie się wydają bardzo gościnni.

- Pewnie. Dla ciebie tacy są.

- Serio - powiedział, podnosząc się. - Dopiero co tu przyjechałem. - I dodał wyjaśniająco: - Prawdopodobnie jutro wyjadę. Albo pojutrze. W każdym razie niedługo. Na dobre. - Ruszył w dół ku

wodzie; poszła za nim. Gdzież to zniknął Spofford? Na rzece leniwie obracała się łódka pełna dzieci, którą ktoś wiosłował w kółko. Druga przycumowana była do pomostu.

- Nieprawda - odparła. - Miałeś trochę posiedzieć u Spofforda. Zająć się hodowlą owiec. - Podała mu piersiówkę. - Czemu ciągle zmieniasz zeznania?

- Mieszkam w Nowym Jorku - odparł. - Od dawna.

- Czyżby? - rzuciła pogodnie.

- W każdym razie posłuchaj - powiedział. - Jeśli to nie są twoi znajomi, a do tego są zamknięci we własnym gronie, czemu tu przyjechałaś?

- Ojej, żeby popływać. I potańczyć. Po prostu żeby się rozejrzeć.

- Za kimś konkretnym?

- Nie - odparła, przyglądając mu się na tyle szczerze, na ile pozwalały jej dziwne niczym z kryształu oczy. - Za nikim konkretnym.

Pierce pociągnął łyk.

- A może - zaproponował uprzejmie - miałabyś ochotę popływać łódką? W świetle księżyca?

- Potrafisz wiosłować? - A po chwili, niczym dziecko: - Ja potrafię. I jestem w tym całkiem dobra.

- Świetnie - stwierdził Pierce, chwytając ją za łokieć. - Będziemy wiosłować na zmianę. - Kolejna puenta, skręt potrafił zmienić w nią każdą uwagę, zaśmiał się z tego i z łódki, którą odcumowywał (dziób, przypominał sobie, idzie do przodu, a wiosłarz siedzi tyłem) a także z

owej ciepłej pewności, która właśnie w tej chwili poczęła się w nim wykluwać. Zdjął buty i skarpetki i położył je na pomoście, spodnie podwinął do kolan i odepchnął łódź, samemu wdrapując się do środka, acz nie z takim wdziękiem, na jaki po cichu liczył.

Wymanewrował łajbę ku światłu księżyca, stopniowo odzyskując umiejętności, jakich nabył dawno temu na rzece Little Sandy oraz jej strumykach i odnogach; raz jeszcze owa dawna droga zdawała się prowadzić tutaj. Zastukotały dulki, wiosła zachlupotały w miękkiej, nocnej toni.

- A więc to jest rzeka Blackberry - powiedział.

- Oj, właściwie to nie - wyjaśniła. Siedziała okrakiem na swoim miejscu, tak manewrując stopami, by trzymać je z dala od miejsca, w którym przeciekało dno. - To tylko rozlewisko. Prawdziwa rzeka jest tam. - Wskazała przed siebie, wiodąc palcem wzdłuż brzegu. - O tam.

Zajrzał jej przez ramię, lecz nie dostrzegł ujścia.

- Skoczymy popatrzeć?

- Jeśli uda mi się znaleźć kanał. Bardziej w lewo - poinstruowała. - Nie, w lewo. W tę stronę.

Pierce ruszył, źle pociągając wiosłem, i niemal przewrócił się na dziób; zaśmiała się i spytała, czy na pewno wie, jak to się robi, przypominając mu o jego przechwałkach tym samym pełnym niedowierzania tonem, jakim skomentowała jego opowieści o tym, kim jest i skąd przyjechał. Zignorował to i opanował się, patrząc przez ramię na coś, co zdawało się niezeglowną gęstwiną splątanych drzew.

Prąd delikatnie pociągnął łódź, i bardziej za sprawą jego działania niż jej wskazówek wpłynęli do tunelu z wierzb i księżycowej poświaty.

Pierce wciągnął jedno wiosło, zbyt ciasno było tu bowiem na wiosłowanie, a prąd niósł ich we właściwym kierunku. Drugim wiosłem odpychał splątane korzenie drzew oraz strzeliste sitowie, ukojony, a przy tym przepełniony uczuciem, że spotkał go wielki zaszczyt. W jaki sposób zasłużył sobie na to piękno, w jaki sposób oboje na to zasłużyli; ona, która zawsze miała to wszystko na wyciągnięcie ręki, te wierzby kąpiące swe długie włosy, te lilie wodne unoszące się we śnie na rzece? Jakże ten widok mógłby nie napawać poczuciem dobra i szczęścia?

Pociągnęła dłonią po wodzie.

- Cieplesza niż powietrze - stwierdziła. - Jak to możliwe?

- Wykąpiemy się? - zaproponował, a serce z miejsca podeszło mu do gardła.

- O, co my tu mamy - skonstatowała z dłonią w pojedynczej naszywanej kieszonce sukienki. - Właśnie znalazłam w kieszeni skręta z marihuany. - Podała mu go, trzymając między dwoma palcami ułożonymi w kształt litery V, niczym papierosa na starej reklamie. - Masz zapalki? - W świetle płomienia spojrzała na niego, wyraz jej twarzy zmienił się bądź ów blask ujawnił coś, czego Pierce wcześniej nie dostrzegł; pytanie lub niepewność z jakiegoś powodu, a nawet strach. Zapalka zgasła.

- Tam - powiedziała, pokazując palcem.

Wpłynęli na wody rzeki - w szeroką, czarną aleję, której granice wyznaczały ogromne drzewostany, i drugą, przylegającą do niej aleję wilgotnego powietrza nad ich głowami. Prąd obrócił ich leniwie ku tajemniczemu brzegowi; Pierce wyjął wiosła z łodzi i zanurzył je. Dobiegło ich nikłe, jak gdyby płynące od zamglonych złotawych plejad dzwonienie i pomruki muzyki z balu.

- Zaraz osiądziesz na mieliźnie - stwierdziła spokojnie Rosie.

Pociągnął prawym wiosłem, ale łódka uderzyła w coś, co wystawało z brzegu, i obróciła się gwałtownie. Był to niewielki drewniany pomost cumowniczy, a ona osiadła tam, gotowa do cumowania, niczym stary koń, który przywiódł nowego jeźdźca z powrotem do swej stajni.

Dobrze. W porządku. Małeńka przystań prowadziła do schodów, ale nie sposób było dostrzec czegokolwiek na ich szczycie.

- Idziemy zobaczyć? - zaproponował. - Na brzeg, rozejrzeć się.

- Hm...

Ale on zdążył już zahaczyć faleń wokół palowania dwoma szybkimi pętlami - przynajmniej tę żeglarską sztuczkę pamiętał. Wstał, żeby pomóc jej wysiąść.

- A co jeśli ktoś tu mieszka?

- Przyjaźni tubylcy.

- Może jakiś pies.

Jej dłonie były małe i wilgotne. Pomagając jej wysiąść, położył rękę na jej plecach i poczuł, jak bawełna sukienki prześlizguje się po

aksamicie skóry. Stając przy niej, ponownie zaoferował piersiówkę. Wsłuchali się w ciszę.

- Nie bądź takim strachajłą - rzuciła, biorąc go pod ramię. Powoli, niepewni gruntu pod nogami i w trosce o swoje bose stopy, weszli po schodach - właściwie były to jedynie drewniane bale wepchnięte w miękką ziemię oraz zarekwirowany wielki korzeń - pod sosnami, które odradzały im wycieczkę nabożnymi poszeptami.

- Domek.

Chatka; duża obudowana weranda i komin. Przekrzywiony grzbiet dachu rysował się na tle rozświetlonej księżycowym blaskiem otwartej przestrzeni. Do chatki wiodła obsypana sosnowym igliwem ścieżka. Zalegał mrok.

- Komu zachciewa się takich rzeczy po ciemku? - szepnęła.

- Jakich?

- Gry na fortepianie.

Niczego nie słyszał.

- Fortepian - powtórzyła. - Obudź się.

Nie było słyhać żadnego fortepianu. Obeszli domek dookoła; była to osobliwa konstrukcja, oblany księżycową poświatą segment ozdobiony sztukaterią i posiadający dwa pękate filary podtrzymujące belkowanie nad drzwiami oraz dwa łukowate okna. Duża kryta weranda na tyłach została dobudowana później. Za czymś, co w świetle księżycy zdawało się aksamitnym trawnikiem oraz ogródkiem z drzewami i krzewami, choć mogła to być jedynie łąka, na porośłym lasem wzniesieniu znajdował się dom o wielu kominach.

- Ich domek letniskowy.

- Możliwe. - Wielki dom był również ciemny. Czemu mówią szeptem? Przechadzka zawiodła ich z powrotem na ciemną stronę, zabudowaną werandę. Wymagała remontu; tuż przy drzwiach znajdowała się dziura na tyle dużą, by zmieścić w niej rękę. Pierce włożył przez nią dłoń i, jak gdyby był w tym wprawiony, niczym włamywacz, niczym szpieg, przesunął rygiel i otworzył drzwi.

Nie była to pod żadnym względem jego decyzja, z wyjątkiem tego, by przyjąć wszystko to, co zostało mu ofiarowane. Gdyby za sprawą jakiegoś promieniejącego psychopompa został poprowadzony do bajecznego innego świata, elizejskich fontann i gór, nie czułby się bardziej wyrwany ze swego codziennego bytowania, mniej odpowiedzialny. Wypij to. Zjedz to. A tymczasem ona wyprzedziła go, wchodząc przez drzwi, stawiając kilka ostrożnych kroków, rozglądając się ze zdumieniem.

Od dawna nikt tu nie mieszkał. Na werandzie nie znajdowało się nic prócz dwóch połamanych wiklinowych krzeseł. Rosie spróbowała otworzyć drzwi - były zamknięte na klucz. Ale umieszczone obok nich wielkie okno rozwarło się na oścież, wydając jęk zaskoczenia, niczym wdech, gdy tylko Pierce je pchnął. Wszedł do środka przez niski parapet.

Woń naftaliny i myszy, gnijącej tapety i martwych minionych dni letnich. Gdzie i kiedy już przedtem włamał się do zamkniętego miejsca, które tak pachniało, miejsca, w którym pozostawiono dawne letnie sezony? W rogu, niczym truchło, leżał zwinięty dywan, lecz nic

poza tym. Księżyc kładł na podłodze chłodne równoległoboczne kształty.

- A co, jeśli tu jest niebezpiecznie. - Jej głos brzmiał wyraźnie w opustoszałym wnętrzu. Odwróciła się do niego, przecięta padającym z okna światłem, on zaś jednym susem znalazł się przy niej.

Dotknięcie jego ust nie zaskoczyło jej, acz nie potrafił stwierdzić, czy była w tym żądza; wszak nie chłonał jej chciwie, lecz całkowicie, jak gdyby pił wodę; a kiedy się już nasycił, na chwilę, i oderwał usta, odsunęła się od niego z leciutkim zachwianiem upojenia, niczym nawiedzony przez pszczołę kwiat, po czym - jej dłonie, które napierały na niego, lecz go nie odpychały, opadły z jego piersi - oddaliła się.

- To jest salon - stwierdziła.

Za nim znajdował się następny pokój, w którym karciany stolik wystawił zepsutą nóżkę tak, jak gdyby darzył ją specjalnymi względami, zaś czarny piecyk na wpół wyciągał swe długie ramię z dziury w ścianie. Kuchnia. Łazienka.

- Spójrz - rzuciła Rosie. - Skrytka.

Drzwi w łazience wiodły do jeszcze jednego pomieszczenia. Kolejna dobudówka? Wyglądało na to, że nie było do niej żadnego innego dostępu, jak tylko przez łazienkę. Stała tam przekrzywiona stalowa rama łóżka, zaskoczona, przyłapana: cienki pikowany materac leżał bezwstydnie na jej sprężynach. Stojąc w drzwiach, Pierce obserwował, jak Rosie podchodzi do niej wolnym krokiem. Po chwili

odwróciła się ku niemu, gwałtownie, uznał, jak gdyby ją tu zaskoczył, przestraszył - i wówczas stanął za jej plecami i objął ją.

Nie protestowała; leniwie, niezobowiązująco gładziła dłońmi jego rękę, przechyliwszy głowę do tyłu wprost na jego ramię. Uniósł jej sukienkę i obie ich lewe dłonie powędrowały wspólnie pomiędzy jej nogi; włoski miała krótkie, gęste, niczym powierzchnia aksamitu. Wtedy odwróciła się do niego twarzą, zaś on wypuścił ją z objęć, by to umożliwić, lecz kiedy to zrobił, odsunęła się od niego i oddaliła, mówiąc coś, czego nie zrozumiał.

- Co?

- ...jeśli skończyły się tańce, a ja muszę jutro wcześniej wstać. - Znowu okrywała ją sukienka, choć nie poprawiła jej. - Zawsze jestem ostatnią osobą, która tańczy. - Spojrzała na niego bezmyślnie, jak gdyby był tu jej gościem, zaś wizyta przedłużała się. Przyszła mu do głowy dziwaczna myśl, że ona zna ten pokój, zna go od dawna i że - była to bowiem poniekąd ta sama myśl - mógłby tu zrobić z nią wszystko, dosłownie wszystko, i nie napotkałby oporu, a wyłącznie to osobliwe lekceważenie. To nie od niego się oddalała.

- Wiem, że nie powinnam - powiedziała, odgarniając do tyłu włosy. - Wiem, że nie powinnam, ale jeśli masz jeszcze tę maleńką buteleczkę, chętnie wzięłabym łyżeczek. Jeśli można.

Miał zignorować tę prośbę. Wiedział o tym; właściwie to miał zignorować wszystko, co będzie miała jeszcze do powiedzenia; właśnie dlatego to powiedziała. Włoski na jego karku, również te na ramionach, najeżyły się.

- Jasne - odparł, wydobywając z kieszeni piersiówkę. - Oczywiście, proszę, tylko chodźmy już. Starczy tego nawiedzonego domu.

- Spietrałeś? - spytała i zaśmiała się, po czym podeszła i ujęła go za ramię; podał jej butelkę, a ona przechyliła ją, kiedy szli z powrotem ku wyjściu. - Od czasu do czasu mieszkam w podobnym domu - oznajmiła. Pomógł jej wyjść przez okno. - To znaczy nad rzeką, w chatce, fajna rzecz, uwielbiam wodę. Masz tu swoją butelkę. Muszę przyznać, że ten koreczek na łańcuszku jest słodki.

Ramię w ramię, znów niczym weseli towarzysze, udali się do łódki. Pierce, mając w sercu i w lędźwiach mętlik i niepewność, nie wiedział, czy oszukał sam siebie, czy sprawił jej zawód, czy uszedł bez szwanku, wiedział tylko tyle, że zszedł z piętra, nie mając pojęcia, że się na nie wspinał. To właśnie ów szok związany z odkryciem, że nie bacząc na nic wdrapywał się na najwyższy stopień, sprawił, że na karku zeszywniały mu włoski; że zapragnął zejść na dół.

Widok jej stojącej w rogu przy żelaznym łóżku, odurzonej, śniącej, rozdwojonej.

Ręce robiły swoje, głowa swoje - żartując, zepchnął niezdarnie łódź na wodę. Księżyc zachodził, rzeka zaś pociemniała; zмагаł się z prądem, by naprowadzić tę przeklętą łódkę na bulgoczący kanał, a Rosie nawet palcem nie kiwnęła. Teraz ona dostała ataku wesołości, uznając jego wysiłki za przekomiczne; naśmiewała się z niego, podczas gdy on zмагаł się, wiosła utknęły w jakimś zachłannym zielsku, pot łechtął mu brwi. - Spokojnie - pojękiwał, nabierając

obawy, że mógł się zgubić - nie traćmy głowy, nie traćmy głowy. -
Lecz to również zabrzmiało jak puenta. Przestała chichotać dopiero
wówczas, gdy wpłynęli na rozlewisko, a on począł wiosłować w
kierunku rozświetlonego ogniskami brzegu.

- No cóż! - powiedziała wesoło, schodząc na ląd. - Dzięki za
wycieczkę. - Podała mu dłoń. - Miło było cię poznać. Ciekawy z
ciebie facet.

- Ciebie też było miło poznać - odparł.

- Na pewno jeszcze się spotkamy.

- Jasne - dodał. - Na jarmarku.

- Lubię go.

- Czyżby.

Nie do końca alkohol i skręt stopiły ów osobliwy lód, za którym
jej oczy stały się nieodgadnione. Lekkim krokiem odeszła od niego i
stała na plaży, rąbek jej letniej sukienki powiewał; Pierce z
powrotem włożył ręce do kieszeni i odwrócił się ku wodzie, której
złotawa poświata zdążyła już zgasnąć. Jakiś grubas w dętce dryfował
w niej, miękko odpychając się rękoma.

No i o co w tym wszystkim chodzi, pomyślał Pierce. Doznał
gwałtownego poczucia umiejscowienia i chwilowości, tego co tu i
teraz. Gdzie podziewał się Spofford? Szedł ku niemu od strony lasu
po przeciwnej stronie kempingu; w świetle ogniska, w którym palono
śmieci i, bez wątpienia, pieczono resztkę pianki ślazowej. Pomachał
do Pierce'a.

Flecista ulotnił się, podobnie jak większość pozostałych. Raptem Pierce'a uderzyła pewna myśl: wszyscy ci ludzie muszą teraz jechać do domów samochodami. Jak sobie z tym poradzą? Jak poradzi sobie z tym ona?

- Udana impreza - stwierdził Spofford. Pochłaniał właśnie kawałek ciasta, trzymając drugą dłoń pod nim niczym patenę na okruszki.

- W porządku.

- Zbieramy się? - spytał Spofford.

- Jestem gotów. Kiedy tylko będziesz miał ochotę.

Spofford wydawał się zamyślony, choć uśmiechał się.

Strząsnął okruszki do ogniska i otrzepał dłonie.

- Udana impreza - powtórzył z zadowoleniem. Rozejrzał się po swoich włościach, upewniając się, że zostało jeszcze wystarczająco wielu z owych schludnych gości, którym przypadnie przyjemność sprzątnięcia, i rzucił: - Chodźmy.

Jeśli będzie miała wypadek, po części ja poniosę za to odpowiedzialność, pomyślał Pierce. Był bliski tego, by zacząć czynić Spoffordowi wyrzuty: Trzeba było lepiej jej pilnować. Nie masz pojęcia, na jakie niebezpieczeństwo się wystawia.

O rany.

Spofford wrzucił brązowy koc do ciężarówki.

- Poznałeś jakichś ludzi? - spytał. - Nie chciałem tak po prostu rzucać cię między lwy.

- Tak, jasne.

- Powinienem był bardziej się tobą zająć.

- Jakoś sobie poradziłem.

- Fajni ludzie. W większości. - Uśmiechnął się do Pierce'a z ukosa, odpalając ciężarówkę. - Wychodzi na to, że Mike się nie pojawił.

- Nie? - zdziwił się Pierce, czując się głupio. W co on się wdał, w co? Pakując się z butami w materię stosunków, których jeszcze nie rozumiał, w jakąś przestrzeń, przestrzeń swojego przyjaciela, w której dopiero co zjawił się jako gość. Przestrzeń, w której przecież był zupełnie obcy.

Trzęsąc się, ciężarówka wjechała na ciemną szosę. Spofford pogwizdywał cicho przez zęby. Po dłuższym czasie jazdy w milczeniu Pierce odezwał się:

- Chyba powinienem wracać.

- Naprawdę?

- Obowiązki. Przyszłość.

- Skoro tak mówisz.

Noc, wiatr, świat w zasięgu reflektorów ciężarówki. Księżyc zaszedł. Pierce skulił się, znużony, zdumiony. Naraz poczuł się tak, jakby wyjechał z domu na cały wiek.

- Hej - rzucił Spofford i zdjął nogę z gazu. Na drodze stało jakieś zwierzę, łania, nieruchoma na chudziutkich niczym szczudła nóżkach. Ciężarówka zwolniła i zatrzymała się, zaś łania, jak gdyby ostatecznie dochodząc do wniosku, że należy się przestraszyć, przypominając

sobie, że trzeba okazać płochliwość, zwinnie i pewnie pomknęła ku leśnej gęstwini.

Pokaźna kropla deszczu kapnęła na przednią szybę, a po niej następna.

- Jest i burza - stwierdził Spofford.

Kiedy Pierce obudził się w łóżku Spofforda na drugim brzegu nocy, deszcz ustał już; w którymś momencie Spofford najwidoczniej wstał i, nie budząc go, pootwierał okna, bo w tej chwili były otwarte. Noc była jasna, a może się przejaśniało; Pierce dostrzegł pojedynczą gwiazdę w rogu okna.

Obudził go dźwięk przypominający zbliżanie się maleńkiej szybkoobrotowej wiertarki. Przez dłuższą chwilę ogarniał świat wokół, przysłuchując się cichemu chrapaniu Spofforda śpiącego w śpiworze w sąsiednim pokoju; wyczekując, aż komar nad uchem usiadzie, a on go pacnie; wciąż przebywając w długim, głębokim śnie, stanowiącym alegorię nierówności w łóżku Spofforda oraz owadziej orkiestry na zewnątrz.

O co w tym wszystkim chodziło...

Stał obok jakiegoś starca, spoglądając na znajdującą się w dali krainę w porze brzasku bądź zmierzchu; krainę tak odległą, iż stworzona była z czasu, nie miejsca. Tak, stał u wylotu jaskini z owym starcem, na którego czole widniała gwiazda. Stał, podczas gdy tamten pokazywał mu ową krainę, tłumacząc, dlaczego i w jaki sposób się tam znaleźli. Pierce usiłował zatrzymać owe powoli

zamykające się drzwi, drzwi do jeszcze dalszych i głębszych, wieloletnich pokładów snu, drzwi zamykające się ślepo, czemu muszą się zamknąć, czemu?

O tak. Przypominam sobie.

Wieloletnia nauka wpajana mu przez wymagających mistrzów... A może był to tylko jeden mistrz, ów starzec, w różnych przebraniach? Owa pierwotna niewiedza, wyeliminowana z jego osobowości za sprawą zadań, które nadal odczuwał, nadal smakował, jakkolwiek ich nie pamiętał, łaimigłówki do rozwiązania, paradoksy do przeanalizowania, ach, rozumiem, pojmuję, bez względu na to, czym były, dwoistością, tożsamością, metaforą, porównaniem. Podróże, bądź iluzje podróży, zdawało się bowiem, niegdyś można było odnieść takie wrażenie, wciąż udowodniano mu bądź ukazywano, iż tak naprawdę nigdy nie opuścił murów głęboko skrytego miejsca, w którym trwała owa edukacja, aż do chwili obecnej, do momentu, kiedy ujęto go za rękę i wyprowadzono, w górę, długim tunelem wydrążonym w wilgotnej ziemi; podążał za latarnią starca aż do wyjścia, do wylotu jaskini, by ujrzeć drogę ku odległym krainom; nareszcie prawdziwe czyste powietrze, wichry świtu mierzwiły jego włosy oraz szatę mistrza, kiedy stali tam obaj, mając rozstać się na zawsze. Znał swoje zadanie; znał swój oręż oraz swych wrogów. I ujrzał, w smutnych jasnych oczach starca, że, o tak, zrobi co w jego mocy, zrobi to, lecz wszystko to zapomni, wszystko, czego się nauczył, swoje zadanie, swoją edukację, kim jest i skąd przybył, wszystko; i zajechawszy daleko będzie pamiętać tylko to, jak daleko

zajechał; będzie niejasno pamiętać tylko to, że jest tu obcy, w tym smutnym kraju, pośród tych smutnych ulic, w tej smutnej mrocznej celi, w której czekał, aż dziewczyna przyniesie mu kanapki i mleko i...

O tak! Pierce rozbudził się już całkiem, pamiętając.

Taca z kanapkami i mlekiem, którą jak zawsze przynosiła mu uśmiechnięta dziewczyna, niezwykle uprzejme dziecko, przekornie uprzejme, jak gdyby wcale nie było jej go żal; owa stale przynoszona mu taca, nieodmiennie od lat, stanowiła jedyną przerwę w pracy. Jakiej pracy? Jego wieloletniej edukacji tu, na dole, to składane łóżko, ta lampa, te książki - lecz dziś był jeszcze list oparty o szklanę, list. List! Nie musiał go otwierać, wystarczył sam jego widok; naraz przypomniał sobie wszystko: kim był, jak się tam znalazł, tak! Tak! Całą wcześniejszą część snu, ów sędziwy mistrz, zadanie, wyuczone słowa mocy, widok odległej krainy, wszystko to raptem powróciło w pamięci, gdy wziął do ręki list, czystą, zaklejoną kopertę jaśniejącą niczym szklanka mleka; pamięć, obmywająca go na podobieństwo czystej wody.

O tak, Boże, co za ulga pamiętać i nie utracić tego. Pierce wciąż leżał na łóżku Spofforda z głęboką wdzięcznością za zesłanie mu tego snu, zmysłową przyjemnością przypominającą podrapanie się po swędzącym miejscu bądź mycie się w czystej wodzie. Zdumiewające, zdumiewające. Dlaczego? Co to takiego? Czemu człowiek potrafi wymyślić takie rzeczy? W jaki sposób ciało potrafi je odczuć? Mój Boże, życie jest dziwne. W jaki sposób rodzi się Znaczenie? Jak? W jaki sposób życie tworzy je, kształtuje, wydziela? W jaki sposób

Znaczenie przynosi fizyczne, namacalne skutki, które odczuwa się w stanie szoku; powoduje żal i tęsknotę, staje się poszukiwane jak jedzenie; czyste Znaczenie, niemające nic wspólnego ze strojami osób ani wydarzeniami, w jakie je przyobleczone, a mimo to nigdy niedające się oddzielić od pewnych zestawów tej garderoby? Gwiazda na jego czole. Gwiazda.

Z głośnym brzęczeniem ponownie zbliżył się do jego ucha komar i usiadł, z miejsca cichnąc. Z niebywałą przebiegłością Pierce wyczekał, aż owad wygodnie się usadowi. Po dłuższej chwili, gdy jego delikatna trąbka tkwiła już w ciele, wpuszczając jad, Pierce zdołał dokładnie go zlokalizować i błyskawicznym uderzeniem wykonał egzekucję. Chrząknął z ulgą, ścierając swoje trofeum między palcami do postaci kulki; w uchu dzwoniło mu od uderzenia. Insekt w uchu. Istniało wiele opowieści o ludziach, którzy postradali zmysły przez niedające się wydobyć zaklinowane w przewodzie ucha owady.

Wyciągnął się przez całą długość łóżka i zakosztował chłodnego powietrza, które swobodnie przepływało przez ten niewielki dom, a przy tym jak gdyby przez jego ciało. Niespodziewanie naszło go widzenie - perła jak gdyby wydestylowana z przejrzystych wód jego snu - na temat tego, że mógłby zacząć wykupywać się z zastawu Barnabas College i być może zapewnić sobie przyszłość z dala od celi. Tak. To proste. Nie łatwe, lecz proste. Nie wymagałoby to niczego poza sprytem, tudzież latami pracy; lecz wiele z owych lat zostało już poświęconych, pod tamtą lampą, pośród książek.

Nadciągał brzask. Okno stanowiło błądy kwadrat zielonkawego światła, na którym widniała geometryczna mozaika z ciemnych liści i biała ćma trzepocząca skrzydłami, by wylecieć na zewnątrz. Pierce zrzucił kołdrę i wstał, całkiem już rozbudzony; podszedł do okna, żeby wypuścić uderzające o siatkę stworzenie.

Zadanie, rzecz jasna, polegało na tym, żeby zapomnieć; tym, co ujrzał w oczach swego mistrza, nie był wyrzut, lecz współczucie; zadanie polegało na tym, żeby zapomnieć, przyoblec się w zapomnienie niczym w togi i zbroję, togi na zbroję, warstwa na warstwę, ażeby zdołać dostać się w przebraniu do tego smutnego miasta. Sama podróż oraz owa odległa kraina, którą należało przemierzyć, były zapomnieniem.

Przerwa w pracy. Długa luka. Ale teraz pamiętał.

Łokciami oparł się o parapet, patrząc na zewnątrz, z twarzą w dłoniach niczym gargulec. Na ulicy czekały psy. Poruszone wiatrem dzwonki, dzwonki wielbłądzie, leniwie trącany tamburyn. Duszny karawanseraj cały był już na nogach.

O n a oczywiście przez cały czas wiedziała, kto jest strażnikiem lub więźniem, bądź i jednym i drugim jednocześnie; nic dziwnego, że się uśmiechała, nic dziwnego, że okazywała mu troskę, lecz nie współczucie. Słyszał nieomal jej śmiech za plecami.

Albowiem w tej chwili świat raz jeszcze począł obracać się pod jego stopami, wznagające się wichry świtu, gdy noc pobladła. Namioty zostały zwinięte, karawany ruszyły, poganiacze krzyczeli i puścili w ruch baty: wielbłądy, porykując i uskarżając się, podniosły

się na dwie nogi, na cztery, ich długie juki kołysały się i pobrażkiwały; dźwigały w nich egzotyczne dobra z kolorowych wieków. Ruszać, ruszać: przez złotą bramę, która wiedzie na Wschód, wyżłobione piaski ciągnęły się równo po horyzont, po złoto-zielone niebo, na którym przed wschodem słońca lśni pojedyncza gwiazda. Stalowo-białe elipsoidalne kształty z wysokim niezemskim brzęczeniem wznosiły się - dwa, cztery, sześć - pomiędzy wysuszonych jałowych gór, odbijając światło niewzeszłego jeszcze słońca: statki gwiazdne, archonci zazdrośni i czujni. Za górami żyzne równiny, miasto i morze. Zadanie znajdowało się na wprost, rozciągając się tak daleko, że jego tworzywem stawał się czas, nie przestrzeń - materia czasu - a mimo to nie aż tak daleko, by nie można było przebyć tej odległości; a przy tym była to kraina, którą przecież znał, bądź niegdyś znał, kraina, którą już wcześniej przemierzył.

Pierce ruszył, cofając się w zapomnienie, śpiąc głęboko w Faraways; i nie obudził się już, póki Spofford nie zaczął łamać podpałki pod ogień na śniadanie, zaś woń palonego jabłoniowego drewna nie przepelniła chaty i chłodnego poranka.

II

LACRUM

- Czyli dzisiaj wyjeżdżasz? - spytał go Spofford.

- Tak. Na to wygląda.

- W porządku. Przegryź przedtem trochę mamałygi. - Ogrzał dłonie nad kuchenką. - Zimno - stwierdził. - Lato się kończy.

Na zewnątrz wznosząca się prędko od strony doliny i rzeki mgła zasnuła czysty poranek. Pierce włożył dłonie do kieszeni, a ramiona przycisnął do boków; nawet w mieście, pomyślał, ten ranek byłby rześki, obmyte deszczem ulice, czyste powietrze.

- Jest jakiś poranny autobus z Jambs - oznajmił Spofford.

- Nie jestem pewien o której, ale go złapiemy. - Uśmiechnął się szeroko. - O ile jesteś pewien, że nie zostajesz na dobre. - Przestał wbijać jajka do miski i jął badawczo przypatrywać się Pierce'owi, który stał w drzwiach pokoju pogrążony w milczeniu i zamyślony. - Dobrze spałeś?

- Co? A. Jasne. Miałem dziwne sny. - Począł drzeć. - W tej chwili już prawie nie przypominam sobie jakie. Pamiętałem, kiedy obudziłem się w nocy. Ale teraz już nie pamiętam.

Plan. Plan, perła zamysłu wydobyta z owej materii snu - tyle zdołał zachować w pamięci. W myślach obrócił ją w palcach. Cóż, w porządku. Była prawdziwa. Nawet ogrzała go nieco, niczym ogromna, czerwona wełniana koszula, którą Spofford mu rzucił, żeby włożył;

ogrzała go i sprawiła, że uśmiechnął się szeroko. Kiedy wróci, pierwsza sprawa do załatwienia to telefon do Julie Rosengarten. Która, bez wątpienia, będzie zdumiona słysząc jego głos. Ale jak nazywała się ta agencja, w której dostała pracę? Coś napuszonego, z klasycznej sentencji - podkpiwał sobie z niej z tego powodu; *per ardua ad*, właśnie: Agencja Literacka Astra.

Skalista droga ku sławie. Dobrze. W porządku. Dbaj o swój sklep, mawiał stary poczciwy Barr, chichocząc na ciepłej, bezpiecznej posadce na Noate; dbaj o swój sklep, a on zadba o ciebie. W porządku. Istniało wszak więcej sposobów zarabiania na życie w tej dziedzinie, choć była ona jedyną, jaka mogła zapewnić mu dochód.

- Aha - mruknął, zasiadając do jajecznicy Spofforda. Z jakiegoś powodu ogarnął go wilczy apetyt. - Naprzód. Obowiązek. Przyszłość.

- Mam nadzieję, że wrócisz - powiedział Spofford. - Teraz znasz już drogę.

Nie wiedzieć czemu naszła Pierce przelotna wizja Spoffordowej Rosie, która wyłania się z odmętów. Odchrząknął, by usunąć z gardła okruszki, które niespodziewanie mu tam naleciały, po czym rozejrzał się energicznie po owym pokoiku; nie było żadnych rzeczy, które należało pozbierać i spakować, wszak uprzednio niczego nie wypakował.

- Trzeba utrzymywać kontakt z kumplami - stwierdził Spofford.
- Przynajmniej ja tak robię. Brakuje mi tych kulturalnych rozmów. Ej, wiesz, że tutaj o coś takiego raczej trudno.

- Jestem pewien, że wrócę - oznajmił Pierce. - Kiedyś.

- Wiem - odparł Spofford. Nalał kawy, z której biła para. -
Wróćisz. Już ja tego dopilnuję.

Spóźniona, w swym wciąż absurdalnie wypchanym po brzegi całym jej życiem kombi, Rosie wjechała do Blackbury Jambs na spotkanie z Allanem Buttermanem. Straciła nieco czasu na ubieranie się, zaczynając od spódnic i żakietów, nie mogąc jednak znaleźć takiej kombinacji, która nie byłaby wymięta, a równocześnie prezentowałaby się schludnie i odpowiednio do pory roku; doszła wówczas do wniosku (nigdy wcześniej nie zdarzało jej się chodzić do prawników), że nie jest to coś w rodzaju rozmowy kwalifikacyjnej w sprawie pracy, ale raczej wizyty u dentysty, na którą należy ubrać się komfortowo, toteż na kraciastą koszulę, świeżą, ożywczo pachnącą nową flanelę, włożyła wczorajsze ogrodniczki. Sam, trzymana za rękę przez panią Pisky, pomachała jej na pożegnanie z werandy, jak gdyby mama miała nigdy już nie wrócić. Pa, pa. Do widzenia.

Miasto, właśnie na czas owego rześkiego poranka, utraciło swą letnią senność i tętniło ulicznym ruchem. Dostrzegła ciężarówkę Spofforda, acz nie jej właściciela; nieomal starła się z autokarem do Nowego Jorku, który akurat ruszał ze swojego zwyczajowego przystanku pod sklepem ze słodyczami, i nieco na oślep usiłowała się zatrzymać. Gwałtownie naciśnięte hamulce - sprawiły się znakomicie - i coś ciężkiego gruchnęło w tylnej części samochodu.

Z naburmuszonym parsknięciem spalin autokar wyminął ją i pomknął dalej; Rosie pomachała przeproszającym gestem, a jakiś

ledwie widoczny zza zielonej szyby pasażer odpowiedział jej tym samym. Z siedzenia wzięła *Ogryzki jabłek* i z książką pod pachą udała się przez Bridges Street ku Ball Building. Kiedy była dzieckiem, myślała - wówczas wydawało jej się to oczywiste - że ów dziewiętnastowieczny budynek z czerwonej cegły o czterech kondygnacjach, a przy tym najbardziej okazały gmach w mieście, nosi swą nazwę (wypisaną łukowato nad głównym wejściem) za sprawą kamiennych kul¹⁷, które wieńczyły jego narożne kwiatony. Miał tu swój gabinet jej dentysta. Nazywał się Drill¹⁸. Uważał, że to zabawne - Rosie wydawało się to jedynie adekwatne, jak w przypadku Ball Building. Duże miasto; obszerne, tchnące osobliwą wonią hole okazałego Ball Building - nie dokończyła łączyć go w jedną całość z tym małym, jakim jawiło jej się w tej chwili.

Sekretarka Allana Buttermana sprawiała wrażenie zaskoczonej jej widokiem.

- Och, niezmiernie mi przykro - oznajmiła. - Pan mecenas Butterman musiał udać się dziś rano na pogrzeb. Zapomniał. Przyszedł do kancelarii i natychmiast musiał pędzić do domu, żeby się przebrać.

- Aha, nic nie szkodzi.

- Powinien być z powrotem za jakieś dwie godziny.

- W porządku, nie ma problemu. Przyjdę później. Naprawdę nigdzie się jakoś szczególnie nie spieszę. - Unoszący się w kancelarii prawniczej nikły zapach środków odkażających i medykamentów,

¹⁷ Ball (ang.) - kula.

¹⁸ Drill (ang.) - świder, wiertło; świdrować, wiercić.

napływający z sąsiadujących z nią gabinetów lekarzy i dentystów, przywiódł Rosie na myśl fantazję, jakiej niegdyś się oddawała, kiedy prowadzono ją do doktora Drilla: fantazję, w której dowiadywała się, że jest chory, wyjechał na wakacje bądź zmarł. Nic podobnego nigdy się nie wydarzyło. Kiedy z powrotem znalazła się na powietrzu, zdała sobie sprawę z suchości w gardle oraz przyspieszonego tętna.

Dwie godziny. W porządku. Jakieś zakupy czy coś w tym rodzaju. W stanie zawieszenia zeszła spacerem do mostu i weszła na niego, spoglądając ku wschodowi, ku zamkowi Buttermana na skale; był zbyt daleko, by go dojrzeć, nawet w owym przejrzystym świetle.

Niespodziewanie wszystko to poczęło jawić się jako jakiś wielki problem, mrowisko, przed którym być może ją ocalono, a dla którego ów niespodziewany pogrzeb, na jaki udał się Allan, był niczym wetknięcie weń kija; a może powinna potraktować to jako znak; może powinna zrezygnować z usług Prawa i udać się do domu. Ale kiedy myślała o domu, przed oczyma stawała jej Arkadia, a nie ogrodzony kamieniem dom w Stonykill. A zatem, prócz tej części jej umysłu, która się wahała, zdawała się być zdecydowana.

Zapewne spyta ją (jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, że tego nie zrobi, z pewnością będzie chciał to wiedzieć), dlaczego pragnie rozpocząć te procedury. No cóż, nie chcę niczego rozpoczynać, wyobraziła sobie swoją odpowiedź, właściwie to chcę coś skończyć. Ale to nie była odpowiedź.

Tak naprawdę nie miała żadnego powodu. Problem tkwił w tym, iż wydawało jej się, że nie ma już żadnego powodu, żeby tkwić w małżeństwie.

Wydawało jej się jasne, że nic, ani jej narastająca niechęć (żadne mocniejsze słowo nie oddałoby tego uczucia) do Mike'a, ani jego wysoki i potrzeby, ani jej niecierpliwość, żadna z tych rzeczy nie może stanowić przyczyny rozwodu, jeśli istniały powody po temu, by pozostawać w małżeństwie. Przypuszczała, iż dawniej, Dawno Temu, za czasów jej rodziców albo i dawniej, żadne powody nie były potrzebne; przede wszystkim samo małżeństwo stanowiło wystarczający powód, by w nim pozostać. Ale w dzisiejszych czasach - pobieżne oględziny przypadków jej przyjaciół, telewizja czy prasa dostarczały niezbitych dowodów - obecnie ci, którzy się pobrali, pozostawali w małżeństwie jedynie za sprawą nieustannego wysiłku wyobrażania sobie, dlaczego się pobrali; codziennego wysiłku, z dnia na dzień bowiem można było odzyskać stan wolny. Logiczna zdawała się myśl, iż związek oparty wyłącznie na wyborze, takim, za którym stała wola, będzie trwalszy niż związek (jak w przypadku jej rodziców) oparty jedynie na społecznych założeniach i tabu; ale w rzeczywistości małżeństwa z wyboru mogły po prostu rozpaść się z dnia na dzień, w chwili nieuwagi. Nie pozostawiając po sobie niczego, żadnej przyczyny.

Pomyślała o Sam.

Ludzie zostają ze sobą ze względu na dzieci. Tak uczynili jej rodzice. Lecz przecież obecnie niezliczone tysiące - z tego co

widziała, była to większość - dzieci w ośrodkach opieki społecznej i przedszkolach pochodziły z rozbitych rodzin. Z pewnością, skoro tak wielu ludzi nad tym pracuje, wkrótce ostatecznie uda się stworzyć taki sposób wychowywania przez rodzica żyjącego w separacji, żeby dzieci nie cierpiały. Niewykluczone, że w gruncie rzeczy nigdy nie cierpiały tak bardzo za sprawą rozbitych rodzin, jak powszechnie sądzono.

Jedno wiedziała na pewno - była to zimna i okropna pewność, odległa i skończona - że jej rozejście się z Mikiem nie zrani Sam tak bardzo, jak ją samą zraniło to, że jej matka została z jej ojcem - budzący grozę, nawiedzony przez śmierć dom i brak rodziny, którą można by rozbić.

Będzie jej lepiej bez niego.

Będzie jej lepiej bez niego: nie po raz pierwszy pomyślała w ten sposób, lecz po raz pierwszy w kontekście własnego macierzyństwa. Przestraszyli ją. Nie dokonywała żadnych porównań. Nie. Odwróciła się plecami do mostu, muśnięta ciemnym skrzydłem owego dawnego żalu, który umknął wstecz, ku przeszłości. Ruszyła w górę High Street¹⁹ do następnej przecznicy, weszła do Pączkowej Dziurki i usiadła w chłodnym boksie; zamówiła kawę oraz pączka z galaretką i otworzyła *Ogryzki jabłek* w miejscu zaznaczonym spinką do włosów. Dwie godziny czekania.

Część druga rozgrywała się w Londynie i podobała się Rosie; podobała się widocznie również i Kraftowi - powieść zdawała się rozwijać i rozciągać, jak gdyby świerzbiły go palce, żeby przejść do

¹⁹ Wysoka.

owych ciekawostek. Akapity stawały się coraz dłuższe, zawierały całe listy i katalogi dziwnych i osobliwych widoków, potraw, zachowań i obyczajów. Miasto stanowiło nieprzerwane widowisko - a przynajmniej tak zostało to opisane - na które składała się nie tylko Parada Burmistrza, pochody cechów czy sztuki wystawianie w szkołach prawniczych**, ale prawdziwe teatry, które obecnie budowano, a także podwórza gospód przerabiane na teatry, jak „Pod Czerwonym Bykiem”, gdzie wystawiano farsy, tragedie i kroniki; hałaśliwi, uważni i krytyczni patroni, sami stanowiący niezgorsze przedstawienie, albo Teatr, w którym grywali Słudzy Hrabiego Leicester. Acz w Southwark wciąż znajdowały się niedźwiedzie jamy, gdzie Stary Piękniś, Na Kawalki i Ulubieniec miażdżyły głowy mastiffów niczym jabłka. Wszyscy je znali i chodzili je oglądać - chłopcy druciarza, wielkie damy i bawiące z wizytą ważne zagraniczne osobistości - a ich kochający panowie doglądali ich, leczyli je z ich okropnych ran, toteż żyły dalej, by łamać karki innych psów. Rosie było ich żal, ale najwidoczniej w tamtych czasach niewielu takich było. Po rzece pływały białe łabędzie, zaś na London Bridge tkwiły obdziobywane przez drapieżne ptaki głowy zdrajców; spiski, intrygi i zamachy na życie królowej za pomocą czarów zszokowały wszystkich - w Lincoln's Inn Field²⁰ znaleziono zrobioną na podobieństwo królowej lalkę z powtykanymi w nią igłami; musiano wezwać przyjaciela i astrologa królowej, doktora Dee, by przyjrzał się znalezisku. To nic takiego, orzekł, zabawka, królowa będzie żyć długo i cieszyć się dobrym zdrowiem; królowa zaś

²⁰ Chodzi o Inns of Court - słynne londyńskie szkoły prawnicze.

pokazywała się poddanym na swojej łodzi paradnej, by na własne oczy mogli się przekonać, że ma się dobrze, i obchodziła Boże Narodzenie w Richmond.

Wszystko to jest niebywale barwne, pomyślała Rosie, niczym kreskówka, i trudno było nie odnieść wrażenia, że podobnie postrzegali to ludzie tamtej epoki, ubrani w swe dziwaczne stroje we wszystkich kolorach tęczy, z których ledwie kilka potrafiła sobie wyobrazić: szafran, morwa, batyst i oliwkowa zieleń. Kiedy umierali, zostawiali te nieprawdopodobne ubiory swym sługom, którzy nie mogli ich nosić, toteż sprzedawali je aktorom: deski scen teatrzyków w podwórzach przy gospodach były nagie, a ich jedyną iluminację stanowiło słońce (o ile świeciło), ale za to kroczyły po nich dumnie postacie spowite w przepych jedwabi i haftów, które ukazywały królów, lordów i książąt. Nieważne, czy był to starożytny Rzym, czasy Harry ego Piątego czy też daleka Italia, wszyscy nosili te same stroje nieżyjących lordów, dopóki wystarczająco mieniły się kolorami. W tym wszystkim zanurzył się Młody Will (jak wciąż nazywał go Kraft); nauczył się tańczyć i śpiewać (w teatrach najwidoczniej w równym stopniu tańczyli - „pląsali” - i śpiewali, co grali - ów taniec przywodził raczej na myśl fikanie kozłów; Rosie poczęła się zastanawiać, jak wyglądał, czy był śmieszny, czy pełen wdzięku?) i zaprzyjaźnił się z kilkoma chłopakami spośród zespołu Hrabiego Leicester, zarówno tymi oblatanymi w zwyczajach dworu, jak i ulicy. Stopniowo został wprowadzony do ich towarzystwa - płatali mu figle, urządzali obrzędy inicjacyjne, przez które należało przejść. Trudne do

okielznania huncwoty. Pokaż im, że się nie boisz. W samym środku szarpaniny zjawia się Mistrz Burbage i opryskliwy, odziany w czarną szatę przewodnik chóru, co tu się dzieje, co tu się dzieje.

Naprzód wypróbowano Willa w trudnych do obsadzenia rolach kobiecych, bo oczywiście nie było wówczas aktorek; Rosie przypomniła sobie, że kiedyś się o tym uczyła. Dwie pomarańcze w gorsecie. Pocałunki i gwizdy. W fabule pojawił się dość osobliwy, a nawet mroczny, rodzaj napięcia na tle seksualnym; Rosie poczęła się zastanawiać, czy dopatrzyła się tego wyłącznie ze względu na to, co Boney powiedział jej na temat Fellowesa Krafca: wyglądało to tak, jakby istniały jakieś inne rodzaje inicjacji, o których się nie mówi, jakieś zepsucie jęło wkradać się w ów zgiełk; w siedzibach możnych, w których chłopcy grywali, byli groźni młodzi lordowie o długich puklach, z kolczykami w uszach, pijani, o ciężkim spojrzeniu; ktoś wymiotował w kącie. Wraz z wiosną Londyn nawiedziła dżuma. Trzymając Willa za rękę, zmarł jego bliski przyjaciel, który grywał Filis, Klorindę i Semiramidę, lecz bił się bezpardonowo w obronie Willa podczas chłopięcych bójek. Błady, w malignie, mamrotał fragmenty wierszy i miłosnych piosenek. Will nieco podrósł. Młodzi lordowie powyjeżdżali do swych posiadłości bądź do Francji, wozy aktorów ruszyły na prowincję, by uciec przed zarazą; Chłopcy Hrabiego Leicester podążyli za dworem i królową.

Królowa! Książka zdawała się pozbawiona kobiet, lecz ona stanowiła wyjątek, jak gdyby skupiła w sobie całą kobiecość; jedyna kobieta w królestwie, ale za to jaka. Wydawało się, iż wobec niej

Kraft stawał się nieco oniemiały i olśniony jej blaskiem, podobnie jak wszystkie pozostałe postacie fabuły. Robin z Leicester nadskakiwał jej - od lat byli kochankami (ale co tak naprawdę robili, zastanawiała się Rosie), i gdyby ktokolwiek znał zakamarki jej serca, byłby to właśnie on, gładki i ostrożny - lecz nie znał ich zgoła nikt. W maju Leicester sprowadził do Wanstead swych chłopców, by zagrali maski autorstwa jego siostrzeńca, sir Philipa Sidneya, nienagannego szlachcica odzianego w jedwab modry niczym czyste oczy dziecka. Majowa Pani. Była nią sama Elżbieta, która też była główną aktorką przedstawienia i jedynym jego celem, choć nie miała spisanych kwestii - nie potrzebowała ich. W ogrodach o subtelnym żółtawo-zielonych barwach królowa i jej świta natknęli się na nimfę, która wychodziła spomiędzy bzów i z wielką czcią mówiła: *Nie myśl, słodka i wytworna Pani, że korzę się przed tobą tak dalece z powodu twych barwnych szat... Ani też dlatego, że pewien obecny tu dżentelmen zabiega o to, by czynić ci wszelkie możliwe zaszczyty w swym domu... Pragnęłabym doznać upokorzenia z twej strony, gdybym nie ujrzała czegoś na twym obliczu, co kazało mi oddać się tobie...* Wówczas królowa odpowiedziała jej pięknie i uprzejmie impromptu z ostrym dowcipem, który bez mała wytrącił chłopca-nimfę z równowagi i zarumienił jego skryte pod warstwą różu policzki.

Will, wyrośnięty i poważny, zagrał dobrze przez siebie opanowaną rolę bakałarza Rombusa, stereotypowej postaci komediowej. Bakałarze i uczeni używali licznych uczonych słów,

których on jeden ze wszystkich chłopców potrafił z łatwością nauczyć się na pamięć. Pozwól mi delicydować najgłębiejszą istotę materii. Dobrze powiedziane, doktorze, widzę, że posiadasz stopień naukowy *Magister artis*. W rzeczy samej, za pozwoleniem waszej wysokości (skłonił się nisko, z dłonią na strzykającym krzyżu starego bakałarza), posiadam go *honorifi-cabilitu-dinitatibus*. Królowa zaśmiała się z tego głośno; ze słowa, które niegdyś wypowiedział, by rozbawić Simona Hunta w szkole w Stratfordzie. Po zakończeniu przedstawienia dokonała przeglądu chłopców i zatrzymała się przed rudowłosym, wyższym niemal o głowę od swych kolegów Willem.

Aha, pomyślała Rosie, zamierza wygłosić prorocstwo.

Głowa królowej wystawała z jej bogatej sukni - mała, biała i pomarszczona, twarz długo więzionej w zaczarowanym zamku dziewicy; jej rude włosy ozdobione były klejnotami meandrycznymi jak loki, zaś biała koronkowa kreza wznosiła się do góry nadając oprawę jej szerokookiemu, kopułowato sklepienemu, długonosemu obliczu. Więc i ona była pawiem, białym pawiem wystawionym na widok publiczny. Stojąc przed owym bajkowym stworem, Will nie mógł oderwać wzroku; jej ptasie oczy ostro wpatrywały się w jego własne, zielone niczym szmaragdy.

Dwoma rzeczami, jakie królowa uwielbiała, były rude włosy oraz klejnoty. Swą ozdobioną pierścieniami dłonią musnęła Willa po czuprynie, a na jej białej masce zagościł uśmiech.

Honorificabili-tudini-tatibus, powiedziała.

Kiedy nadeszły chłody, Słudzy Hrabiego Leicester powrócili ze swego tournée na północy i na powrót zainstalowali się w teatrze, który James Burbage wybudował daleko poza zasięgiem londyńskich urzędników. Był to teatr, który w owym czasie nie miał sobie równych w Anglii, zaś Burbage ubóstwiał go i był dlań szczodry jak dla żony (jego małżonka nie raz mu to wytknęła); bynajmniej nie prowizoryczny teatrzyk, żadna tam niedźwiedzia jama, przerobione podwórze, ani też wyposażona w scenę, jakieś drzwi i miejsca do siedzenia dla szlachty sala - nie, nie był to żaden teatrzyk, ale Teatr, jak nazywali Rzymianie swe okrągłe budynki, i tak też go zwano: Teatr - jedyny w całej Anglii.

„W tym roku zainstalujemy te naczynia” - oświadczył Mistrz Burbage.

Stał na scenie w szerokim rozkroku, przyglądając się bacznie pustemu parterowi oraz rzędom galerii dla masowego widza. Za jego plecami chłopcy odbywali próbę nowej sztuki. Znad jego głowy spoglądały w dół „niebiosy” - pomalowany na złoto na ciemnogrnatowym niczym noc sklepieniu zodiak oraz składające się nań planety, Słońce i Księżyc. „Jakie naczynia?” - spytał Will.

Chłopak - choć ledwie już przypominał chłopca - siedział na brzegu sceny i majtał swymi chudymi nożynami. W dłoni trzymał tekst sztuki, ale w nowym dramacie nie było dlań roli. Nie było w niej komicznego bakałarza ani poety, a tylko herosi oraz ich ukochane. Nowa moda. Poważna i starożytna.

„Mosiężne” - odparł Burbage. - „Mosiężne naczynia, zbudowane w taki sposób, że kiedy je rozmieścić tu i tam po wnękach, nie wiem jak, ale wzmacniają głos, chwytając go i odbijając”.

Will rozejrzał się po Teatrze, usiłując to sobie wyobrazić.

„Witruwiusz powiada” - zaintonował Burbage - „iż prawdziwy teatr w starożytnym Rzymie posiadał takie naczynia. Starannie i przemyślnie rozmieszczone tu i ówdzie. Tak twierdzi mój uczonego przyjaciel, doktor Dee. Który czytał Witruwia, jako i wszelkich innych autorów. Których i ty powinieneś czytać i studiować, chłopcze. Aktor nie może być ignoramus”.

Spojrzał w dół na młodzieńca. Co on z nim pocznie? Gdyby jego wstąpienie do Chłopców było zwyczajne, cóż, wówczas i jego odejście w swoim czasie mogłoby stać się czymś naturalnym. W pośpiechu Mistrz Burbage nie rozważył był tego problemu. Gdyby chłopak sprawdzał się w rolach i wyrósł na młodzieńca zwinnego, miłego, niewysokiego, a do tego z odpowiednim głosem, mógłby z powodzeniem w wieku dojrzewania awansować do ról kobiet w kompani męskiej, a dalej do pełnego w niej udziału, a jeśli nie, cóż, można by odesłać go rodzinie z wygasłym kontraktem, niech ima się innego rzemiosła.

Upchnięty gdzieś pomiędzy rachunkami i pokwitowaniami w ołowianej szkatule Burbage'a znajdował się ów niepoważny dokument Willa. Powinien go spalić.

Albowiem Will nie wyrósł na młodzieńca zwinnego i niskiego - wystrzelił w górę niczym chwast. Zamiast kolan - olbrzymie gałki,

łączące uda i łydki niczym jakiś lichy mebel. Rude włosy ściemniały i przerzedziły się, spod nich wydymało się wielkie wybruszone czoło, toteż Burbage zastanawiał się, czy chłopak przypadkiem nie ma wody w mózgu, bez wątpienia bowiem w ciągu minionego roku stał się roztargniony i cichy, bez mała głupkowaty. I ten głos: ów słodki, przenikliwy dyszkant załamał się, załamał, a chłopak począł wydawać niskie pojęki i bezbarwne tony, przywodzące na myśl wypychanie sianem.

A może by mu tak przyciąć to i owo? Wyciąć mu na czas klejnoty, jak to czynią w Italii. Na samą myśl Burbage wzdrygnął się.

„Będziemy je mieć” - oświadczył. - „Skoro antyczny teatr posiadał takie dziwy, ten wiek też powinien je pokazać. No dobrze. Doktor Dee będzie wiedział, w czym rzecz. Musimy wziąć od niego jego księgę Witruwia bądź poprosić, by zajrzał do niej i sporządził nam ich rysunki i plany, by można było je odlać. Zostaw to, zostaw”.

Will uniósł głowę sponad tekstu. Jedyne, co może uczynić zeń aktora, pomyślał Burbage, to pamięć. Wiersze wczepiały się w jego mózg jako owcza wełna w głóg, a on potrafił sięgnąć do nich, kiedy tylko zechciał. Jutro dostanie rolę w nowej sztuce. No. O ile ktoś zachoruje.

„Posłuchaj” - rzekł. Z sakiewki wydobyl pieniądze. - „Chcę, żebyś udał się do Mortlake, gdzie znajduje się dom doktora Dee. Popłyniesz w dół rzeką. Słuchasz, co mówię? Do Mortlake. Jego dom stoi między rzeką a kościołem. Tam też spytasz o drogę”.

Will odłożył tekst i wstał, potykając się bez mała o swe duże stopy.

„Tak” - odparł. - „Mortlake, między rzeką a kościołem”.

„Pokłoń mu się ode mnie i przekaż moją prośbę” - nakazał Burbage. - „Powiedz mu, powiedz... „

„O mosiężnych naczyniach. Powiem. Zrozumiałem”.

„Zuch chłopak. A teraz uczesz się i wyczyść paznokcie. Włóż czystą koszulę. To człek uczony, a przy tym przyjaciel królowej. Słyszałeś? Nie guzdraj się”.

Will wziął monetę i ruszył do wyjścia. „Will”.

Chłopak odwrócił się. Sprawiał wrażenie, że na niczym mu nie zależy, że znalazł się tutaj, z tą swoją ogromną głową i niezgrabnymi członkami, za sprawą jakiegoś przypadku, a to, co dzieje się wokół, nie ma z nim nic wspólnego - ale wszystkiemu temu przeczyło spojrzenie jego wielkich, czujnych oczu. Co począć, co począć.

„Spytaj doktora Dee” - powiedział Burbage. - „To mądry człowiek, chłopcze, i mógłby ci pomóc. Powiedz mu, aby zajrzał w twój horoskop i zobaczył, co mówią gwiazdy. Powiedz mu, że ja zapłacę. Powiedz mu to”.

Will odwrócił się i odszedł bez słowa.

Popłynie rzeką, zupełnie sam! Nie miał zamiaru się guzdrać, ale nie można było inaczej: poszedł ulicą Bishopsgate i dalej przez znajdujący się przy niej mur miasta, minął gospody na Fenchurch, gdzie głośno zachwalano sztuki. Na ulicy Leadenhall skręcił w prawo i wszedł w tłum na Cheapside; przeciskały się przez niego z arogancją

powozy - pojawiły się zaledwie kilka lat wcześniej, by dzielić owe wąskie uliczki z lektykami, platformami i ciżbą - których stangreci z wysoka popędzali konie, zacinając je batami. Kilka bogatych powozów stało przy ogromnym, nowo wybudowanym przez Thomasa Greshama ku chwale własnej i królestwa emporium - „Giełdzie”, która za sprawą Jej Wysokości zyskała niedawno miano „Królewskiej”; wszystkie targowiska świata pod jednym, wspartym na filarach dachem. Wewnątrz - a przez „Giełdę” biegł znany Willowi wiodący ku rzece skrót - zarówno tłuści, jak i wychudzeni kupcy w ponurych togach z sukna zawierali ważne transakcje, handlując w znajdujących się na parterze wydzielonych kantorach zbożem, skórami, ziarnem, artykułami skórzanymi i winem, gdy tymczasem na górze, w „Pawn”, jubilerzy, rzemieślnicy wyrabiający instrumenty muzyczne, introligatorzy, rękawicznicy, kapelusznicy, kupcy bławatni, płatnerze, aptekarze i zegarmistrze prowadzili własne interesy i sprzedawali swe towary. Przy drzwiach, jako i wzdłuż ścian oraz znajdujących się w pobliżu ulic, skromniejsi, nieposiadający sklepów kupcy również prowadzili interesy, dźwigali je na własnych plecach, roznosili ostrygi, jabłka, dojrzałe wiśnie i świeżo rwane czereśnie sercówki, miotły, solidne miotły, rwany na klifach Dover koper morski, a nawet sprzedawaną na kufle wodę.

Will kupił sobie renetę i zajął ją, zmierzając Cheapside ku katedrze św. Pawła, mijając sklepiki złotników, które bez przerwy nawiedzali wielmoże oraz zagraniczni szlachcice, a także wszelkiej maści złodziejaszki, wydrwigrosze i kieszonkowcy, dla których tamci

stanowili żer. Gdy zbliżył się do dziedzińca św. Pawła, tłum roił się już od żebraków, starych, bezokich bądź pozbawionych kończyn wiarusów, symulujących odrażające choroby fałszywych tetryków, którzy obłapiali bądź usiłowali obłapić przechodnia, a pozbyć się ich można było wyłącznie dając jałmużnę. U podwojów katedry biedacy, niczym stado natrętnych gęsi, wszczynali klekot swymi półmiskami, ilekroć w polu widzenia pojawiał się potencjalny darczyńca. Na długo przedtem katedra straciła swą drewnianą wieżę wskutek uderzenia pioruna, acz nadal co dzień odprawiano w niej nabożeństwa; uwięzieni w krezach młodzi chórzyści (ze złośliwą satysfakcją Will w głębi duszy żałował ich) śpiewali bezmyślnie z pamięci w puste przestrzenie.

Przecinając kościół od strony północnej bramy ku południowej nawie, zatrzymał się, by rzucić okiem na poprzyczepianie do filarów ogłoszenia: mężczyźni szukający pracy, tancmistrze i fechtmistrze oferujący lekcje, nauczyciele włoskiego i francuskiego, chwalcący swe usługi lekarze i astrolodzy. Przeczytał afisz aptekarza:

Owe Oleje, Wody, ekstrakty oraz Esencje, Sole jako też insze Kompozycje znajdują się w Paules Wharfe gotowe do nabycia a sporządzone ręką IOHNA CLERKSONA, mistrza w sztuce Destylacji, który też za rozsądnym wynagrodzeniem w ciągu dni kilku wyuczy każdego, kto pragnie poznać sekreta tychże itd.

I cóż on takiego oferował? Czy *essentia perlarum* była esencją z pereł, a *andbalsamum sulphuris* i *andsaccharum plumbi* cukrem z ołowiu? Czy *vitrum antimonii* to antymonowy środek przeczyszczająco-wymiotny, a *sal cranii humani* to sól z ludzkiej czaszki - Will wzdrygnął się, tłumacząc nazwę - sól z ludzkiej czaszki, cóż to takiego? Było też coś niecoś bardziej zwyczajnego: „najróżniejsze a wszelakie lakiery, niezwykle a straszne Fajerwerki”.

Jakaś leciwa rajfurka, która opacznie zrozumiała jego beczynność przy owym fascynującym ogłoszeniu, zbliżyła się i chciała coś powiedzieć; wystraszony Will oddalił się prędko, potykając się o własne stopy, zaś wypatrująca klientów przy swym stałym filarze grupka prawników zaśmiała się gremialnie, niewykluczone, że z niego. Czym prędzej wyszedł na zewnątrz, z powrotem na słońce.

Znajdował się tam bowiem również zupełnie inny świat: parafialny cmentarz przy św. Pawle funkcjonował jako londyński kiermasz książki. Na skrytych pośród przypór straganach, pod szyldami jelenia, kompasu bądź delfina sprzedawano woluminy, których Will nie był w stanie nabyć, lecz które mógł wszak poprzeglądać: kroniki Holinsheda w ogromnych wydaniach folio, *Radosne wieści prosto z Nowego Świata*. Zaś pośród owych straganów przechadzali się sprzedawcy ballad i wielkostronicowych druków z własnymi zasobami wiadomości: hiszpańskie spiski i podwójne morderstwa, reguły miłości oraz gry w szachy, wieści prosto z Italii, a wszystkie prawdziwe, najprawdziwsze.

Już za Blackfriars cały ruch kierował się ku wodzie - największej arterii komunikacyjnej Londynu. Will wraz z innymi pospieszył w dół wiodącymi ku rzece schodami. Musiał rywalizować z nimi o miejsce u któregoś z przewoźników i w końcu udało mu się dostać do jednej z łodzi, choć po drodze został odepchnięty przez radnego miejskiego i jego sługę, którzy spieszyli do pierwszej łodzi, jaka się zatrzyma. A potem popłynął już rzeką. Ponad ciasno zbitymi iglicami mknęły chmury, wyprzedzając szybki ruch na wodzie, łodzie i barki oraz inne lekkie jednostki kołyszące się z wydętymi żaglami, a także wysokie kupieckie żaglowce. Will objął rękoma kolana, skulony w ciasnocie swego miejsca na pokładzie, i słuchał, patrzył, smakował cały ten wrześniey dzień, który zapewne już wyrył mu się w pamięci na dobre.

Było późno, toteż pospiesznie wbiegł po nabrzeżnych schodkach w Mortlake i spytał napotkaną praczkę o dom doktora Dee; ponownie spytał o niego w kościele, aż wreszcie raz jeszcze u wiodącej do ogrodu furtki, zza której wychylała się uśmiechnięta kobieta o policzkach rumianych jak wrześniey jabłka, a tak pulchnych, że aż zwiężały jej pełne radosnego blasku oczy.

„Tu mieszka doktor Dee. A kto pyta?”

„Przychodzę od Mistrza Jamesa Burbage'a z Teatru w Shoreditch”.

„Aktor?”

„W rzeczy samej”.

Jęła przyglądać mu się bacznie, rozbawiona i dobrodusznna, aż w końcu uchyliła furtkę, o którą się opierała.

„Doktor jest w ogrodzie” - poinformowała. - „To jest jego dom. A to jest jego żona”.

Nieznacznie dygnęła filuternie. Will skłonił się.

„Proszę tam po cichu wejść. Jest zajęty, sama nie wiem czym. Ale tak to już z nim jest. Wiecznie zajęty. A ja nigdy nie wiem czym”.

Will udał się tam, gdzie mu wskazała - do starannie utrzymanego ogrodu, obecnie splądrowanego i pożółkłego za sprawą jesieni. Znajdowały się w nim kępki ziół, sadzawka dla ryb i dwa, nie, trzy zegary słoneczne różnego rodzaju; na środku zaś stał przedmiot, który nie należał do ogrodowego wyposażenia. Było to coś w rodzaju niewielkiej, wspartej na nóżkach budki czy też namiotu, wokół której zwisały ciężkie tkaniny. Z przodu miała pomalowaną na czarno deskę, w której tkwiło szkło, niewielka okrągła soczewka chwyająca słonecznie światło.

Zasłony zatrzepotały i wydeły się, a z owego domku wydobył się przygarbiony wysoki mężczyzna, którego słuszny wzrost podkreślały jeszcze długa, ponura szata oraz spiczasta siwiejąca broda. Zerknął na Willa i uniósł brwi, ale nie raczył zwrócić nań większej uwagi; ze swej togi wydobył niewielką, okrągłą pokrywkę i zakrył nią szklane oko czarnej deski. Następnie na powrót skrył się we wnętrzu budki.

Will stał w miejscu, przestępując z nogi na nogę.

Kiedy doktor Dee znów się pojawił, miał na nosie parę oprawionych na czarno okularów z haczykowatymi końcówkami, które dokładnie zachodziły mu za uszy; sprawiły one, iż jego duże, okrągłe oczy wyrażały jeszcze większe zdumienie, stały się bardziej okrągłe niż przedtem. Skinął na Willa.

„Podejdź no tu”.

Will zbliżył się, a wówczas uczony ujął go za ramię. Przesunął go tak, by stał na wprost budki, spoglądając w zakryte klapką szkiełko. Po chwili rozmyślił się jednak i przesunął Willa o kilka kroków do tyłu.

„Mistrz Burbage przysyła wam, panie, ukłony i... „,

„A teraz masz stać całkowicie nieruchomo” - poinstruował doktor, unosząc wysmukły palec w geście ostrzeżenia. - „Nie mrugaj nawet powieką, póki ci nie pozwolę. Słyszysz?”.

Will skinął głową. Narastało w nim poczucie zaniepokojenia. Czy zostanie zaklęty? Lepiej robić, co mu każą. Doktor Dee wrócił do czarnej budki, stanął przy niej i raz jeszcze ostrzegł Willa swym chudym palcem.

„Nieruchomo. Jak nieboszczyk. W tej chwili”.

Zerwał zakrywającą szklane oko klapkę. Zdawało się, iż liczy bądź modli się pod nosem. Will stał nieruchomo, wpatrując się w soczewkę, jak gdyby miały z niej, niczym ze ślepiów bazyliuszka, wydobyć się mordercze promienie. Po chwili doktor na powrót zakrył ją; odetchnął głęboko i zniknął wewnątrz.

Will stał jak wryty. Słyszał bicie własnego serca, w oczach, którymi nie mrugał, poczęły zbierać się łzy.

W końcu doktor Dee pojawił się ponownie; zdawało się przy tym, że widzi Willa po raz pierwszy w życiu.

„Proszę mi wybaczyć, sir! Możesz się już poruszać, a nawet skakać i tańczyć”.

Nióśł coś ze sobą - owinięty w czarny aksamit płaski jak talerz przedmiot.

„Chodź. Chodź ze mną” - zachęcił. - „I powiedz mi, czego to mój przyjaciel Burbage potrzebuje ode mnie”.

Dom, do którego powiódł go doktor Dee, był czymś więcej niż zwykłym domostwem, jak gdyby zawierał w sobie kilka włożonych do jednego budynków; wybite w ścianach drzwi i przejścia prowadzące ze stodoły do kuchni, z pracowni do pralni. Will podążał za kłębiącą się szatą oraz człapiącymi pantoflami doktora do ogromnej, posiadającej po obu stronach małe, wielodzielne okna komnaty zapchanej po sufit większą liczbą przedmiotów, a do tego pogrążonej w większym nieładzie niż jakiegokolwiek inne pomieszczenie, w jakim dane mu było się znaleźć bądź o jakim śnił.

Bez wątpienia była to siedziba czarnoksiężnika. Owego charakteru przydawały jej nie tylko mosięzna sfera armilarna - szkielet całych niebios w pomniejszeniu - którą mógł szczyścić się każdy mag; nie tylko dwa globusy o barwie pergaminu, niczym dwie osobne myśli o świecie, ani poznaczane stopniami przyrządy astronomiczne, których przeznaczenia Will nie potrafił odgadnąć, a które bez

wątpienia były bardziej olśniewające niż *anylignum vitae*. Nie była to również masa przedmiotów już to rzadkich, już to powszechnych: szczerząca żółte uzębienie czaszka (*sal cranii humani*), kamienie szlachetne, pryzmaty, kryształy, a także wielobarwne szklane paciorki powrzucone razem do glinianych naczyń, porozrzucone po stołach bądź zawieszane w oknach, by ubarwiać światło dnia; ani manuskrypty pozwiązane sznurkiem, zapisane w kilku językach skrawki papieru poprzipinane tu i ówdzie, jak gdyby miały przypominać doktorowi Dee o tajemnicach, które wykoncypował, lecz które mimo to umknęły mu z pamięci; były to wszystkie te przedmioty oraz znajdujące się na ścianie wypukłe szkło, które je wszystkie odbijało, a także czarny kot, który obwąchiwał resztki kolacji na talerzu (kości gołębia oraz skórka sera), a nawet miotłka do kurzu stercząca niczym oskubany z pierza ptak z kieszeni wiszącego na gwoździu płaszcz. Lecz nade wszystko były to książki, których zgromadzonych w takiej liczbie w jednym miejscu nigdy nie widział. Przepęłniały wysokie witryny, piętrzyły się w kątach, znużone pochylały się na półkach, oprawione i nieoprawione leżały w tym pomieszczeniu, w przejściu, pięły się na półkach pod sufit w sąsiednim; jedne otwarte książki leżały na innych, również otwartych na stołach i na krzesłach. W domu swych krewnych Ardenów Will widział wiele książek, kilka tuzinów naraz, zamkniętych w kredensie, milczących. Te setki, a możliwe, że i tysiące, słyszał bez mała, jak szepczą do siebie, opowiadając sobie o zawartych w nich treściach.

Słyszając powolne, przerywane postojami kroki Willa, doktor Dee zawrócił z korytarza.

„Miłujesz książki?”

Will nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

„Są tu takie, które aktor mógłby przestudiować. Mam Ajschylosa i Eurypidesa. Znasz grekę? Nie. Cóż, są tu również historie: Leland i Polydore Vergil. Kupiłem właśnie nowe kroniki Holinsheda, ale jeszcze mi ich nie dostarczono. Plutarch, zangielszczony przez Northa. Wszystkie one to znakomite opowieści”.

„Czy przeczytaliście je wszystkie, panie?” - spytał Will nieco podniesionym głosem.

Doktor Dee opuścił swe osobliwe okulary i uśmiechnął się.

„Jeśli chcesz, możesz tu wrócić i zajrzeć do nich” - zaproponował. - „Poczytać te, które cię zainteresują. Wielu zjawia się tu, by znaleźć to czy tamto. Opowieści. Historię. Wiedzę”.

Przez chwilę czekał, aż chłopak coś powie, choćby „dziękuję, sir” ze zwykłej uprzejmości, lecz Will jedynie się przyglądał.

„Wobec tego chodź tutaj” - nakazał doktor. - „I powiedz mi, czego też mój przyjaciel Burbage potrzebuje ode mnie. No chodź”.

Wyprowadził Willa z pomieszczenia i powiódł w dół krętym korytarzem wprost do tchnącej najprzeróżniejszymi woniami pracowni, w której znajdowały się dzbanki i butelki, retorty i alembiki podobne wielkim, tłustym ptaszyskom, zakorkowane pełne bądź puste słoje; popchnął go przed sobą przez drzwi i ciężką zasłonę do

zaciemnionego zamkniętymi okiennicami pomieszczenia, w którym płonęła tylko jedna świeczka.

„Wejdź” - zaprosił. - „I przedstaw mi sprawę, z którą przychodzisz”.

Najlepiej, jak potrafił, Will wydukał, co takiego Burbage pragnął wiedzieć o owych mosiężnych naczyniach, a czego właściwie on sam nie zrozumiał. Doktor Dee kiwał głową i pomrukiwał, nie przerywając swojej pracy, która bez wątpienia, uznał Will, była związana z magią.

„I odbijają, odrzucają głos, nad, pod... „

„Hm. Hm”.

Z aksamitnego zawiniątka wydobyl cienką, czarniawą metalową płytkę i ujął ją ostrożnie za krawędzie, po czym wsunął do niewielkiej, napełnionej jakąś cieczą miseczki, w której zatoneła, brązowiejąc, następnie zaś nabierając czerwono-brązowej barwy. Doktor Dee uważnie się jej przyglądał. Na powierzchni poczęły pojawiać się czarne smugi, formując coraz większe plamy, z których jęły wyłaniać się kształty.

„Aha” - mruknął.

Za pomocą maleńkich obciążków uniósł metalową płytkę, obracając ją to w jedną, to w drugą stronę, by spłynęła zeń ciecz. Następnie wziął ją oraz ogarek świecy na drugi koniec swego warsztatowego stołu, po czym wsunął świecę pod stojący na trójnogu niewielki kociołek.

„Merkuriusz” - wyjaśnił.

Z uśmiechem przyłożył palec do ust.

Kiedy rtęć w kociołku była już wystarczająco gorąca, uniósł nad nim płytkę pod kątem, odymiając ją i przypatrując się jej z zadowoleniem. W końcu otworzył okiennice, a wówczas światło dnia wlało się gwałtownie do owego niewielkiego pomieszczenia, on zaś wyciągnął dłoń i wręczył metalową płytkę Willowi.

Will wziął ją do ręki i obejrzał. Na powierzchni, niczym na płytce grawera, lecz znacznie wyraźniejszy, widniał obrazek przedstawiający stojącego w ogrodzie chłopca, poważnego, sztywnego, za którego plecami znajdował się zegar słoneczny. To był on. Jego ubranie, które miał na sobie, na głowie jego stary kapelusz, a wreszcie jego twarz. Will spoglądał w lustro, w które zajrzał pół godziny przedtem, i wciąż w nie zaglądał. Utrwalony na zawsze.

Doktor Dee dostrzegł jego osłupienie i ujmując obrazek za krawędź dwoma palcami, odebrał mu go.

„Zabawka” - stwierdził i rzucił go do otwartej skrzynki pełnej podobnych barwnych tabliczek. - „Istnieją wspanialsze rzeczy. Istnieją jeszcze wspanialsze zabawki”.

Położył Willowi rękę na ramieniu.

„A teraz zajrzemy do Witruwiusza” - oznajmił. - „Oraz do twego horoskopu, zgadza się? I zobaczymy, co mówią gwiazdy”.

- Co to za książka? - dobiegło od strony wielkiego cienia, który wszedł pomiędzy Rosie a wpadające przez okno światło.

- Hej - rzuciła wznoszącemu się nad nią niczym góra Spoffordowi. - Nieźle zakręcona. Jeden z bohaterów, ktoś w rodzaju maga, zrobił właśnie fotografię Shakespeare'a.

- Bez kitu.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, uśmiechając się.

- Co robisz w mieście? - spytała Rosie.

- Podrzuciłem mojego kumpla, Pierce'a, na autobus. Kupiłem parę rzeczy. A ty? Mogę się przysiąc?

- Jak by to powiedzieć... I tak, i nie. Niech tam, siadaj.

Wśliznął się ostrożnie naprzeciw niej do boksu, wpatrując się w jej twarz. Miała opuszczoną głowę.

- Co jest grane?

Wydała westchnienie, podparła dłonią policzek i jęła wpatrywać się w książkę, jak gdyby wciąż czytała. Po chwili ją zamknęła.

- Mam się spotkać z prawnikiem przed południem. - wyjawiała. - Z Allanem Buttermanem, niedaleko stąd.

Spofford milczał, a ostrożny uśmiech, jaki zachował od chwili powitania, nie zniknął, ale zdawało się, iż rozluźnił się na swoim miejscu. Pod stołem wyciągnął nogi, a brązowe ramię zawiesił na tylnej części boksu.

- Chcę ci coś powiedzieć - wyznała Rosie, składając dłonie jak do modlitwy. - Bardzo cię lubię. Naprawdę. Jesteś fajny. Super.

- Ale.

- Nie chcę, żebyś sobie pomyślał, że robię to dla ciebie. Bo tak nie jest.

- Nie.

- Nie robię tego dla ciebie ani dla nikogo innego. Po prostu się na to zdecydowałam. Chodzi mi o to, że robię to sama, bo jest to coś, co ma sprawić, że zostanę sama. Nieważne co będzie potem. - Zabębniła palcami o blat dzielącego ich stołu. - Właśnie dlatego poniekąd nie chcę, żebyś się przysiadł i mówił cokolwiek na ten temat.

Chciała przez to powiedzieć, że nie zgadza się na to, żeby to on stanowił powód. Skoro inne i poważniejsze rzeczy, również znacznie okropniejsze, nie stanowiły powodu, to także i Spofford, choć był czymś dobrym, nie mógł nim być. Tego wymagała sprawiedliwość - wobec niej i wszystkich innych.

- Nic nie powiem - oświadczył. Skrzyżował ramiona na piersiach. Na zewnętrznej części lewej dłoni widniał blady tatuaż przedstawiający rybę; chwilami dawało się go dostrzec. - Dzień czarnego psa jeszcze nie nadszedł.

- Że co?

- To z takiego opowiadania. Jeden pan miał czarnego psa, nic niewartego kundla, który go tylko do cna objadał, nic nie robił, a jedynie leżał w drzwiach, chyba wyłącznie po to, żeby się o niego potykać. Nie polował, nie potrafił tropić. Ludzie mówili jego panu, żeby się go pozbył, a on stwierdził: „O, nie. Dzień czarnego psa jeszcze nie nadszedł”.

- Skąd znasz tę historyjkę? - spytała ze śmiechem Rosie. Lubiła w nim między innymi to, że wciąż okazywał się osobą pełną

zaskakujących zakamarków, w których kryły się takie jak ta osobliwości.

- Bo ja wiem - mruknął Spofford. - Pochodzi pewnie z Dickensa czy innego Scotta. Moi starzy mieli dwie ogromniaste serie tych książek. Dzieł. Dickensa i Scotta. To były wszystkie książki, jakie posiadali. Nie chcę przez to powiedzieć, że je wszystkie przeczytałem, ale sporo, z obydwu serii. Zawsze mi się trochę myliły, dlatego nie zawsze pamiętam, która opowieść jest czyja. Powiedziałbym, że ta historyjka pochodzi od Wally'ego Scotta. A jeśli to nie, to od Chucka Dickensa. Jeśli ktoś to wie, to pewnie mój kumpel Pierce.

- I to już cała historia?

- A gdzie tam. W końcu czarny pies ma swój dzień. Ratuje gościowi życie. Tak się kończy.

- Każdy pies ma swój dzień.

Spofford już nic nie powiedział, a jedynie uśmiechał się tak szeroko, że aż widać było jego martwy ząb. Był tak zuchwały w swoim samozadowoleniu, że musiała się odwrócić, by nie odwzajemnić uśmiechu.

- A tak przy okazji - rzuciła, zdecydowanym ruchem zbierając ze stołu torebkę, książkę oraz resztę, gotowa do wyjścia i zmiany tematu - jak tam się podobało twojemu przyjacielowi, Pierce'owi?

- Podobało mu się - odparł Spofford, nie ruszając się z miejsca, by iść za nią. - Wróci tu.

Rzeczywiście p o d o b a ł o mu się. Wielokrotnie o tym rozmyślał na rozmaite sposoby i w rozmaitych kontekstach; wybiegł ku temu myślą już w odjeżdżającym nieprzyjemnym, dusznym autokarze. I potem, na miejskich ulicach, wciąż rozbuchanych, wciąż spowitych obmierzłym latem, bądź przygotowując się do dzieła, które, jak wiedział, czekało na niego - niekiedy odczuwał obecność odwiedzonych przez siebie miejsc tuż za plecami, krąg złocistego światła, tak blisko, iż nie bardzo wiedział, jakim sposobem dostał się stamtąd tu; tu, gdzie, - jak przypuszczał - musi pozostać na dobre, albo przynajmniej na tyle, że nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

Przepraszam, przepraszam, najmocniej przepraszam - powiedział Allan Butterman, wpadając do swojej kancelarii, w której usadzono Rosie. - Czekasz już parę godzin, prawda? Jest mi niezmiernie przykro.

Z ramienia zdjął czarną przepaskę, która była doń przypięta, a twarz przetrął wielką, elegancką chusteczką. W czarnym garniturze z kamizelką i pod krawatem wyglądał sztywnie; strój ten podkreślał jego poniekąd francuskie rysy (ostrzy nos, czarne i lśniące oczy), a wykrochmalony wysoki kołnierzyk podtrzymywał jego pulchne policzki.

- Ojej - mruknął; wydał głębokie westchnienie, po czym włożył chusteczkę do kieszeni.

- Czy to ktoś, kogo dobrze znałeś? - spytała ostrożnie Rosie.

- Ależ nie - odparł Allan. - Nie. Skądże. Po prostu pewien bardzo stary klient. Wiekowy jak Matuzalem. Bardzo, bardzo stary klient firmy. To naprawdę niezwykle smutne. - Przygryzł knykię palca wskazującego, wpatrując się w rzekę i światło dnia, ponownie westchnął, po czym opanował się.

- W takim razie - zaczął - przede wszystkim powiedz mi, jak się czujesz, masz ochotę na filiżankę kawy? Jestem Allan Butterman, Allan Butterman j u n i o r. Nie mam pewności, czy twój wuj do końca

zdaje sobie sprawę z tego, że ostatnio to ja odpowiadam na jego listy i tym podobne; mój ojciec zmarł blisko dwa lata temu. W czym mogę pomóc? - Uśmiechnął się blado do Rosie.

- Czy Boney ci powiedział?

- Wspomniał co nieco. Rozwód. A przynajmniej separacja.

- Właśnie.

Allan wypuścił powietrze, pokiwał głową, po czym utkwiał spojrzenie w blacie swego biurka. Zdawało się, iż jest o krok od pogrążenia się w głębokim smutku, toteż Rosie niemal się przestraszyła, że jeśli zacznie się wdawać w szczegóły, zupełnie go załamie.

- Jestem już w separacji. To znaczy wyprowadziłam się. Z wolna pokiwał głową, przyglądając się jej.

Linia jego brwi wygięła się.

- Dzieci? - spytał.

- Jedno. Trzyletnia dziewczynka.

- Ojej.

- Właściwie to planowaliśmy to już od dawna - dodała Rosie, żeby nieco go uspokoić.

- Tak? - spytał Allan. - Kiedy się na to zdecydowaliście?

- No cóż - odrzekła Rosie. - On nie za bardzo. To raczej ja.

- Nie chce na to przystać?

- Nie do końca. Przynajmniej na razie.

- Kiedy mu oznajmiłaś, że zamierzasz do tego dążyć?

- Właściwie to przedwczoraj.

Allan zakręcił się na swoim obrotowym fotelu. Złączył koniuszki palców i ponownie jął popatrywać ku światu za oknem, lecz tak, jakby nie dawał mu on żadnej radości. Zaśmiał się - krótko i gorzko.

- No cóż - odezwał się. - Coś ci powiem. Właściwie to nie zajmuję się zbytnio sprawami rozwodowymi. Pan Rasmussen poinformował mnie, że masz kłopot, na co odpowiedziałem, żebyś oczywiście przyszła, a zobaczymy, co da się zrobić. Ale szczerze mówiąc, mogą być inni, którzy pomogą ci w większym stopniu niż ja.

- No dobrze. To tyle. Nawet gdybym ostatecznie miał się zająć tą sprawą, poprosiłbym cię w tej chwili, żebyś się bardzo poważnie nad tym zastanowiła i upewniła się, że wszystko dokładnie przemyślałaś. Małżeństwo doprawdy można łatwo i tanio zawrzeć, ale niebywale trudno i kosztownie jest je rozwiązać. Zakładam, że ty i... i...

- Mike.

- Mike, że ty i Mike nie spisaliście żadnej umowy małżeńskiej bądź intercyzy?

- Nie. - Czytała, że niektórzy robią podobne rzeczy; zdawało się to jednym z owych groteskowych pomysłów, na jakie wpadali inni, takich jak małżeństwo w samolocie czy nabycie wspólnej kwatery na cmentarzu. Teraz poczęła się zastanawiać. Klauzula zwalniająca od odpowiedzialności: potajemnie zaciśnięte kciuki, cofam to wszystko. - Nie.

- W porządku. - odparł Allan. - Pozwól mi coś wyjaśnić. Nie tak dawno temu, nawet jeszcze w czasach, kiedy zaczynałem praktykę,

bywało tak, że aby dwoje ludzi mogło wziąć rozwód, jedno z nich musiało poważnie zaszkodzić drugiemu. Stosunki pozamałżeńskie. Notoryczne pijaństwo. Uzależnienie od narkotyków. Psychiczne znęcanie się, które w owych czasach było sporym problemem, a do tego musiało zostać bezsprzecznie dowiedzione. Rozumiesz? Oznaczało to, że jeśli dwoje ludzi po prostu nie chciało dłużej ze sobą żyć, bez konkretnego powodu, wówczas musieli umówić się, że jedno z nich nakłamię w sądzie w kwestii powodu, a drugie niczego nie zakwestionuje. A jeśli sąd nabrał podejrzeń, że jest to zmowa, nie przyznawał rozwodu. To były bardzo nieprzyjemne sprawy; mężowie, żony, adwokaci - wszyscy łgali w żywe oczy.

- No dobrze. W dzisiejszych czasach, właściwie to od niedawna, istnieje coś, co nazywa się „rozwozem bez orzekania o winie”. Prawo w końcu dogoniło fakt, że większość rozwodów nie jest w gruncie rzeczy niczyją winą, a postępowanie dowodowe nie stanowi konieczności. Toteż obecnie w tym stanie można otrzymać rozwód na podstawie „nieodwracalnego rozpadu małżeństwa oraz różnic nie do pogodzenia pomiędzy stronami”, czy też „n i n”, jak się to określa. Nieodwracalne i nie do pogodzenia.

Słowa tej wagi sprawiły, że Rosie przełknęła ślinę.

- Właściwie to nie jest niczyja wina. - powiedziała. - Naprawdę.

Allan podniósł długi żółty ołówek i zaczął wymachiwać nim niczym pałeczką perkusyjną, postukując jego gumką o blat biurka.

- Doprawdy? - spytał. - Wiesz na co mi to wygląda, Rosie? Wydaje mi się, że być może nie przedsięwzięłaś wszystkich środków, żeby rozwiązać problem z... z...

- Mikiem

- Wygląda to tak, jakbyś, wybac mi wyrażenie, pakowała się w to. Chodzi mi o to, że być może terapia...

- Mike jest terapeutą.

- Aha. Szewc bez butów, co?

- Co proszę?

- Chcę tylko powiedzieć - ciągnął Allan - że moim zdaniem powinnaś poczekać. Myślę, że należy spróbować innych rozwiązań, to znaczy innych niż rozwód. Weź wolne. Odpocznij. Oddalcie się od siebie na kilka tygodni. Przekonaj się, jak to będzie wyglądało po jakimś czasie. - Wystukiwany ołówkiem rytm zmienił się. - A mówiąc całkiem szczerze, Rosie, przy tym stanie rzeczy osobiście nie chciałbym wszczynać postępowania.

Wówczas coś w spojrzeniu, jakim go obrzuciła, coś w wyrazie jej twarzy, sprawiło, że począł poruszać swoim ołówkiem w jej kierunku w obronnym geście, jak gdyby szkicował.

- Chwileczkę, chwileczkę - rzekł - chodzi mi wyłącznie o to, że sam od jutra wybieram się na urlop na jakieś trzy tygodnie. Wyjechałbym dzisiaj, gdyby nie chodziło o... No, nieważne. Umówmy się tak: spotkamy się dokładnie za trzy tygodnie, licząc od dzisiaj. I zobaczymy. Po prostu zobaczymy, co się przez ten czas wydarzy.

- Nigdy nic nie wiadomo - dodał.

Rosie ogarnęło jakieś osobliwe, irytujące poczucie rozczarowania; nie może być tak, że zdecydowała się na to wyłącznie po to, żeby się przekonać, że zabrnęła donikąd, ku jeszcze jednemu wezwaniu do cierpliwości; nie może tak być. Skrzyżowała ramiona, czując, jak ogarnia ją wojowniczy nastrój.

Allan rzucił ołówek.

- Nie zrozum mnie opacznie - rzekł. - Nie twierdzę, że twoje problemy są trywialne czy coś w tym rodzaju, albo że za trzy tygodnie nie będziesz już chciała się tym zajmować. Ale rzecz w tym, że w sprawie rozwodowej bez orzekania o winie, o której rozmawialiśmy - nawet jeśli dojdiesz do przekonania, że rozwód to dla ciebie jedyne wyjście - wymagana jest zgoda obu stron. Nie możesz sama tego załatwić.

- Nie?

- Nie. W sprawie rozwodowej bez orzekania winy idzie się do sądu i mówi: „Zgadzamy się, że nasze małżeństwo się nie udało”. Jeśli jedno z was nie wyrazi zgody, wtedy... No cóż...

- Co wtedy?

- Wtedy trzeba wrócić do starej metody. Będziesz musiała wnieść sprawę o rozwód i mieć podstawy.

- Aha - bąknęła Rosie.

- Jakiś powód - ciągnął Allan. - Będziesz musiała mieć powód, żeby otrzymać rozwód, i to dobry. - Pod wpływem jego ciemnego,

smutnego spojrzenia Rosie spuściła wzrok. - Czy uważasz, że masz takie podstawy?

Skinęła głową.

- Jakie? - spytał Allan.

- Stosunki pozamałżeńskie - odparła.

Skrucha Pierce'a, która był całkowita, a przy tym w samą porę, polechtała Earla Sacrobosco, naprawdę go polechtała (tak się wyraził). Oznajmił, iż w gruncie rzeczy nigdy nie wątpił i ani przez chwilę nie zrezygnował z Pierce'a w swoich planach na nadchodzący rok; zatarł dłonie i uśmiechnął się szeroko, jak gdyby osobiście sprowadził go żywego na krzesło przed swoim biurkiem.

Oferta, przedłożona Pierce'owi wiosną, została nieco osłodzona znikomą podwyżką, lecz dla Pierce'a była to tylko sacharyna, bowiem dodatkowe pieniądze miały przede wszystkim trafiać z powrotem do kasy Barnabas - odnawianie pożyczek obciążało go wyższym oprocentowaniem. Istniała też kara, którą miał ponieść za swą niewczesną arogancję wiosną; musiał wygłosić mowę - zdaniem Earla im dłuższą, tym lepiej - na temat powodów, dla których zmienił zdanie. No cóż, oświadczył, jak widać zapewne doszedł do wniosku, że nazbyt pochopnie porzucił stanowisko oraz uczelnię, w którą zainwestował wiele udanych lat; miał czas, żeby wszystko przemyśleć (skruszony recydywista przed komisją mającą zdecydować o jego zwolnieniu warunkowym), zaś dojrzałe oko potrafiło dostrzec, że choć droga naprzód może okazać się długa, a podróży nie można

odbyć w pośpiechu, Barnabas zasłużył na oddanie Pierce'a. Wszystko to zostało wypowiedziane tak zwięźle, jak wymagała tego prawdziwa skrucha, gdy tymczasem w sercu Pierce'a opadły popioły. Nie musiał wspominać, jakie były faktyczne powody jego powrotu; Earl był ich świadom i ową świadomość wyraził: Pierce nie miał po prostu dokąd pójść.

W dalszej kolejności uzgodniono (Earl odchrząknął i przeszedł do konkretów), że w miejsce opracowanych przez siebie ambitnych zajęć, które komisja programowa odrzuciła, Pierce będzie mógł wziąć na siebie dwa dodatkowe kursy z elementów komunikacji, co w rzeczywistości oznaczało czytanie i pisanie dla analfabetów z pierwszego roku.

- Wracając do kwestii zasadniczych... - powiedział Earl. Pozbył się tupecika, który od dawna nosił, dzięki czemu wyglądał lepiej, choć było oczywiste, dlaczego go nosił: jego łysa łepetyna należała do tych, które porastają ze wszystkich stron brudnawym meszkiem z ciemną smugą na przodzie, niczym u pokutnika w środe popielcową. - Osobiście bardzo mnie zainteresowały te zajęcia - oznajmił, włączając i wyłączając długopis. - Choć istotnie zdawały się przeznaczone raczej dla studentów, którzy mają już licencjat. Obawiam się, że w tym względzie muszę przyznać rację komisji, która uznała, że po prostu nie byłoby nimi zainteresowania.

- To był eksperyment - wyjaśnił Pierce. Jego długie ramiona zwisały pomiędzy kolanami, splótł dłonie, miał ochotę wyjść.

- I tak musimy walczyć z reputacją przelotnie modnej szkółki, która przyznaje bezużyteczne dyplomy. Liczba zapisów spada, a przeniesień rośnie. Musimy oferować solidne wykształcenie.

- Czytanie, pisanie i rachowanie - mruknął Pierce.

- To wszystko wraca - stwierdził Earl. - To jest nowa era.

Tego samego popołudnia (serce z lekką podszło mu do gardła, wszak odkąd z chłodną obojętnością rzuciła go, dawno temu, całe wieki temu, rozmawiał z nią jedynie oziębłe, krótko, z rzadka) Pierce wykrecił numer Agencji Literackiej Astra i poprosił do telefonu Julie Rosengarten.

To dziwne, pomyślał, jak imię kogoś z dawna znanego zabiera tyle miejsca w gardle; ani przez chwilę nie miał pewności, czy w ogóle coś z tego wyjdzie.

- Obawiam się, że wyjechała na urlop - powiedział głos przypominający brzmieniem głos Julie. - Na blisko trzy tygodnie.

W takim razie dobrze sobie radzi. Albo bardzo kiepsko.

- Rozumiem. Nazywam się Pierce Moffett, Julie i ja...

- O rany, Pierce.

- Julie?

- Naprawdę jestem na urlopie. O rany. Serio, dosłownie byłam już za drzwiami, żeby zdążyć na pociąg.

- Aha, w takim razie...

- Mój palec leżał już na guziku automatycznej sekretarki. Poważnie. - Była zdumiona ową brzemienną w skutki chwilą;

wiedział, jak teraz wygląda, był to wyraz twarzy, który często widywał.

- Nie chciałbym cię zatrzymywać - powiedział. - Ale jest coś, o czym chcę z tobą porozmawiać.

- Tak!

- Pomysł na książkę.

- Naprawdę? Boże, Pierce, gdybym tak nie podniosła słuchawki na chybił trafił...

- No cóż, porozmawiamy, jak wrócisz.

- Tak. Tak, tak, tak. Pierce. Wiedziałaś, że jeszcze porozmawiamy, tak na poważnie. Wiedziałaś. Jest tyle spraw, tyle spraw do omówienia.

- No tak.

- Trzy tygodnie. Za trzy tygodnie od dziś. Lunch. - Wymieniła nazwę restauracji, którą znał, jedną z tych, w których swego czasu często bywali, lecz której on sam od dawna nie wspomniał. Najwidoczniej wciąż prosperowała. Czy Julie nadal w niej bywała? - Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć, co to za pomysł. Wiesz, zawsze uważałam, że potrafiłbyś napisać książkę.

Doprawdy?

- To dobry pomysł. Właściwie to trochę już go znasz.

- Naprawdę? Nie mogę się doczekać. Pierce, spóźnię się na pociąg.

- Miłego wypoczynku.

- Przepraszam, tak mi przykro...

- Biegnij.

Odłożył słuchawkę na widełki, po czym usiadł na szerokim łóżku; ręce położył na kolanach i jął wpatrywać się w osobliwe nurty wywołane za sprawą brzmienia jej głosu, dawnych jego tonów.

Trzy tygodnie. Doszedł do wniosku, że do tego czasu powinien dysponować czymś konkretnym, przelany na papier: jakąś ulotką, ofertą, czymś, co mogłaby wziąć ze sobą i sprzedać. Uznał, że nie ma żadnego powodu, dla którego nie miałby zająć się tym w tej chwili.

A jednak jest, pomyślał zarozumiałe (choć serce wciąż było dziwnie pobudzone, a dłonie nadal na kolanach), jest jakiś pożytek z dawnych kochanek. Bez wątpienia bowiem winna mu była przysługę.

Powinien teraz wstać i rozłożyć tę skomplikowaną elektryczną maszynę do pisania o bladoniebieskiej barwie, którą niegdyś Sfinks wzięła w rozliczeniu od jakiegoś niecierpliwego klienta i podarowała Pierce'owi na Boże Narodzenie (widzisz, jaka użyteczna, jaka przydatna?), i położyć obok niej stertę papieru maszynowego wysokiej jakości. Powinien sięgnąć po swój dawny projekt zajęć, którego Barnabas College nie zechciał umieścić w swojej ofercie, i przestudiować go.

Misteria dla pierwszego roku. Jakże historia łaknie kształtu mitu; jakże fabuły i postacie z baśni i romansów zaczynają zamieszkiwać prawdziwe dwory, biura i katedry; jak dawne nauki przemijają, pozostawiając w spadku swoim następcom swe mity i magię; jak bohaterowie legend odchodzą, zapadają w sen, zmartwychwstają, po czym wkraczają do zwykłej, codziennej historii, trwając uparcie

niczym sen, który nie chce zniknąć z życia na jawie, zmieniając i przekształcając je nawet wówczas, gdy sam uległ zapomnieniu bądź stłumieniu.

Lecz to nie wszystko. By stać się książką, książką prawdziwą, musiałaby zawierać nie tylko tajemnicę, lecz i detektywa, nie tylko sen, lecz i tego, który go śni. By stać się książką, musiałaby posiadać fabułę; musiałaby stać się czymś zupełnie innym niż to, co zwykliśmy określać mianem historii, nie mogłaby być pospolitym zsumowaniem faktów, ani w ogóle żadnym rodzajem arytmetyki, nie, musiałaby stać się swego rodzaju rachunkiem matematycznym, rachunkiem różniczkowym samej siebie, jak i historii, wnętrzem i sferą zewnętrzną. Wymagałoby to od kogoś umiejętności gry w taki sam sposób, w jaki szachowi mistrzowie rozgrywają swe partie: nie tyle mozolnie kalkulują konsekwencje każdego posunięcia, ile postrzegają jak gdyby za sprawą jakiegoś szóstego zmysłu bierne lub czynne możliwości figur - nie jest to coś, co można osiągnąć za pomocą logiki, ćwiczeń bądź zastosowania; to zdolność, z którą człowiek się rodzi. To talent. Dar.

Znała ową ideę, znała ją, choć nie w zrozumiałej formie, jaką w szczegółach dopracował w myślach. Była przy nim, gdy pierwsze podejrzenia wdarły się w jego świadomość, zaś po tym, jak od niego odeszła, nabrał na punkcie owej idei obsesji podobnej do tej, jaką żywił w stosunku do niej. Niekiedy faktycznie wydawały się jednym i tym samym. A dźwięk jej głosu, który teraz usłyszał, niczym kluczyk otworzył szkatułkę tamtych dni.

Zaś owe minione dni, czyż one również nie musiałyby stać się częścią jego książki? Te dni, kiedy w Barnabas został cieszącym się popularnością nauczycielem, te dni, kiedy stał w oknie swojego slumsu w drodze do najbardziej objawicielskiej metafory - będzie musiał odzyskać te dni, podobnie jak przedsięwzięcie, które je wypełniało.

W końcu wstał i wyciągnął ogromną maszynę do pisania. Wkręcił w nią kartkę papieru i przez jakiś czas siedział przed nią. Skręcił papierosa i zapalił go, po czym zgasił. Wstał, zmienił koszulę, podkreślił włączoną klimatyzację i stał, długo patrząc przez okno na spalony i brunatnawy wieczór.

W drogę, w drogę. Zapragnął, żeby była już jesień, pora mądrości i pracy. Pożałował, że za młodu tak niefrasobliwie zranił swój umysł i serce nadmiarem substancji (by użyć pojęcia tomistycznego). Z powrotem usiadł, wyciągnął kartkę papieru, którą uprzednio włożył do maszyny, i wyrzucił ją - nie wiedzieć czemu, zdawała się już nieświeża. Umieścił kolejną, po czym usiadł naprzeciw niej z rękami na kolanach. Wydawało się, że w jakiś sposób maszyna tymczasem urosła, stając się nieco większa, niż była.

- Nie rozumiem, jak to jest z historią - wyznała Rosie Boney'emu. Zmywała naczynia po kolacji, podczas gdy on je wycierał; tego dnia pani Pisky miała wychodne, udała się do Cascadii w odwiedziny do siostry.

- Tak?

- Ile z niej tak naprawdę jest znane?

- Ile z czego?

- Z historii. - Uniosła ku światłu umyty talerz, tak stary i cienki, że niewyraźnie przebijała przez niego nikła jasność. - Chodzi mi o książkę Fellowesa Krafta. On zna najdrobniejsze szczegóły na temat różnych rzeczy i po prostu podsuwa je jak danie na talerzu. Wiem, że to tylko powieść, ale mimo wszystko. - Przyłapała się na tym, że nie wie do końca, o czym mówi. - Mimo wszystko.

- Każda historia to rodzaj opowieści - stwierdził Boney. - Nie dałoby się jej zrozumieć, gdyby tak nie było. Gdyby była wyłącznie wszystkim tym, co się wydarzyło.

- Ale czy wiadomo o wszystkim, co się wydarzyło? - Oczywiście, że nie; takiej wiedzy nie posiadali nawet historycy, to pewne. Po prostu wymyślali opowieść na podstawie tego, co wiedzieli. W taki sam sposób, w jaki robił to Fellowes Kraft. Tyle tylko, że historycy nigdy nie przyznawali się, które fragmenty zostały zmyślane. - W tej książce jest taka postać, ktoś w rodzaju czarnoksiężnika - powiedziała.

- Pamiętam - odparł Boney. Zdjął swoje zabarwione na niebiesko okulary, przetarł je ściereczką do naczyń i włożył z powrotem.

- Nie tylko - mówiła dalej Rosie - nie tylko robi zdjęcie Shakespeare'a - w tamtych czasach było to niemożliwe, prawda? - ale odczytuje też jego horoskop. A potem każe mu patrzeć do kryształowej kuli. Żeby się przekonać, co zobaczy.

- Tak - powiedział Boney.

Skończył właśnie wycierać naczynia.

- Kryształowa kula - ciągnęła Rosie. - A poczciwy Will zagląda sobie do niej.

- Zgadza się.

- I niczego nie widzi, mimo że trochę udaje. Że niby coś zobaczył. Żeby zrobić staremu frajdę, bo się go trochę boi. Mówi, że zjawia się ktoś, kto potrafi widzieć różne rzeczy w kuli. Udaje, że właśnie taką wiadomość odebrał.

- Przede wszystkim - mówiła Rosie - nikt nie wie zbyt wiele na temat Shakespeare'a. O ile dobrze pamiętam. Zwłaszcza na temat jego dzieciństwa.

- Wydaje mi się, że tak - potwierdził Boney.

- A potem ten czarnoksiężnik. Ten z kryształową kulą.

- No cóż - zaczął Boney. - W rzeczywistości ta postać jest bardzo prawdziwa. Tak, tak. Bardzo prawdziwa. Doktor John Dee. Żył naprawdę, dokładnie w tym miejscu, które opisane jest w książce, i naprawdę dokonywał rzeczy, jakie są w niej opisane. Naprawdę. Był doradcą królowej Elżbiety, a niewykluczone, że również kimś w rodzaju konsultanta w sprawach zdrowotnych. Był matematykiem i astrologiem; w tamtych czasach te dwie dziedziny nie różniły się zbyt od siebie. Najprawdopodobniej posiadał wówczas największą bibliotekę w Anglii. A przy tym naprawdę był tym, kim jest w książce: czarnoksiężnikiem.

- Fotografia? - jęknęła Rosie. - Shakespeare'a?

- No cóż - mruknął Boney.

- To trochę tak - dodała Rosie - jak gdyby Kraft co jakiś czas, tylko dla zabawy, udawał, że świat kiedyś był inny, niż jest teraz, i były możliwe różne rzeczy, które nie są już możliwe.

- Hm.

- Ale to niemożliwe. Nie mogli robić takich rzeczy.

Ostrożnie, pogrążony w zamyśleniu, Boney powiesił ściereczkę do naczyń, po czym z palcem na ustach wyszedł z kuchni. Rosie zakręciła krany, wycierając dłonie o siedzenie swoich ogrodniczek, i ruszyła za nim.

- Sandy miał dużą wiedzę - mówił Boney, idąc zdecydowanym krokiem przez od dawna już pogrążoną w mroku jadalnię. - Sporo wiedział. Dawniej bawiło go, kiedy umieszczał w swoich książkach różne rzeczy, co do których wiedział, że każdy pomyśli sobie, że je zmyślił, a których wcale nie zmyślił. W swoich książkach lubił też mieć różne rzeczy, prawdziwe przedmioty, obok tych wymyślonych; chodzi mi o to, że lubił posiadać prawdziwe srebrne naczynie z czasów, o których pisał, i opisać je w książce wraz ze wszystkimi innymi wymyślonymi srebrnymi naczyniami - prawdziwe ukryte pośród wyimaginowanych. Albo klejnot, albo broń. A jeśli mógł mieć jakiś przedmiot, który jego postaci naprawdę kiedyś posiadały albo którego używały, sprawiało mu to jeszcze większą przyjemność. Poświęcił sporo czasu na poszukiwanie tych przedmiotów.

- No i je znajdował.

Znaleźli się w salonie, w którym nie zapalono świateł, a ciemne dywany oraz zespół masywnych mebli zatrzymały długi zmierzch. Boney podszedł do wykonanej z różnych gatunków drewna komody, na której znajdowały się oprawione w srebrne ramki fotografie: twarze, których Rosie nie znała, oblicza z odległej przeszłości.

- Doktor Dee żył naprawdę - stwierdził Boney, usiłując swą drżącą dłonią przekręcić kluczyk w dziurce szuflady w komodzie. - Tak samo jak Shakespeare. Naprawdę miał kryształ, w który patrzył, a także zwierciadła i klejnoty. A potem, kilka lat po wydarzeniach opisanych w książce, rzeczywiście zjawił się ktoś, kto widział różne rzeczy w kryształowej kuli, widział anioły i prowadził z nimi rozmowy. Tak. Medium. To wszystko prawda. - Szarpnął szufladę i wreszcie ją otworzył.

Rosie naszło jakieś osobliwe uczucie. To wszystko prawda. Jak gdyby aktorzy w sztuce mieli porzucić swe role, by w rzeczywistości okazać się postaciami, które grali, i naprawdę stanąć twarzą w twarz ze swoją publicznością. Patrzyła, jak Boney wydobywa z szuflady jakiś skryty w aksamitnym woreczku przedmiot.

- Jedno z luster, jakich używał - powiedział Boney - swego rodzaju wypolerowane zwierciadło z obsydianu znajduje się w Muzeum Brytyjskim. Kiedyś Sandy i ja knuliśmy intrygi, w jaki sposób je wykraść. Były też inne; teraz, jak sądzę, zaginęły. I jest jeszcze to w książce, którą teraz czytasz.

Poluzował sznurek u góry woreczka i upuścił sobie na dłoń kulę z przyciemnionego kwarcu o barwie moleskinu, czystą niczym

maleńka planeta bądź kula szarego zmierzchu. Uniósł ją do góry, by Rosie mogła się lepiej przyjrzeć.

- W zwierciadle były anioły - powiedział. - Dziesiątki. Doktor Dee rozmawiał z nimi. A imię każdego z nich zaczynało się na literę „A”.

Dziewięć chórów anielskich przepelnia wszechświat, a każdy z nich łączy się z wyższym i niższym, niczym ogromne koła zębate o różnych proporcjach, połączenie zaś tworzy hierarchę całego stworzenia, kreuje podziały, różnice, to, tamto i owo. Tytaniczne serafiny otaczają tron boży, niezdolne odwrócić od niego spojrzenia, wyciągają za siebie ręce i chwytają dłonie cherubinów, zbrojnych i wielkoskrzydłych, które stoją za znajdującymi się na sferze gwiazd stałych Tronami, obracając nią w marszu niczym kołowrotem. Moce są szprychami owego kołowrotu, sięgając w dół poprzez Dominacje, które popychają planety, Słońce i Księżyc, a które same, rozmyślał doktor Dee, równocześnie są owymi ciałami niebieskimi; zaś Cnoty wyciągają się niewidzialne z owych kręgów w dół poprzez Ziemię, niczym kości, sprawiając, że żyje i funkcjonuje. Na Ziemi Zwierzchnictwa strzegą imperiów i narodów, archaniołowie zaś Kościoła. Na końcu aniołowie, w niezliczonych miliardach - jeden na każdą duszę, a może na każdą żywą istotę, aż po najdrobniejsze żyjątka, które mogłaby ukazać soczewka, jak wiją się w grudce ogrodowej ziemi.

Anioły, połączone w pasma niczym wzór tkacki na stroju, ręka w rękę, głowa przy głowie, oko w oko, odwiecznie wznoszą się w górę i opadają w dół, zajmując się sprawami tego świata ze swoistym

szelestem, który można dosłyszeć w najcichszych zakątkach ziemi bądź w czeluściach zakręconej muszli, o ile stoi się wystarczająco cicho.

Są tam, bez wątpienia, a gdyby Bóg zdecydował się je odwołać, wszechświat nie tylko stanąłby w miejscu i przestał funkcjonować - bardzo prawdopodobne, iż całkowicie by zniknął wraz z pojedynczym wdechem.

Są tam, doktor Dee wiedział o tym, i można było je dojrzeć, te, które przez chwilę odpoczywały od swych prac; można było doczekać się ich, niczym wielkich lordów w sądzie, w korytarzach i poczekalniach Bytu; kiedy przechodzą, można przyciągnąć ich uwagę i nawiązać rozmowę. Doktor Dee żywił przekonanie, iż tak właśnie jest, lecz mimo to ani razu nie zdołał choćby przelotnie dostrzec w żadnym ze swych szkieł, zwierciadeł, kryształowych kul ani klejnotów choćby jednego anioła, który, jak wiedział, musiał być za nie odpowiedzialny. Niekiedy, pochylając się blisko i trwając tak nieruchomo, odnosił wrażenie, że słyszy dalekie i niezrozumiałe popiskiwanie ich głosików, jak gdyby były to myszki, a przy tym nieskończenie cichy śmiech. Lecz nigdy żadnego nie ujrzał.

Nie było niczego w sferze praktyki duchowej, czego by nie uczynił bądź nie mógł uczynić, gdyby zechciał.

W królestwie żywiołów znał, rzecz jasna, medycynę, arytmetykę, nie tylko geometrię, lecz perspektywę, muzykę, megetologię, jako też stratarytmetrię. Był zwierzchnikiem zwierciadeł, rzemieślnikiem światła, mistrzem katoptryki i kilku sztuk cienia,

odwrócenia, inwersji oraz projekcji. Zgłębił *Steganografię* opata Trithemiusa (w młodości sporządził kopię stanowiącego jej część ogromnego manuskryptu), toteż władał wszystkimi owymi sztukami kodów, szyfrów, skróconego pisma, dowolnego przesyłania wiadomości na odległość i tak dalej - o tyle, o ile dotyczyło to świata ziemskiego; stary opat wiedział również, jak przywoływać anioły w zwierciadle i zapisywał ich mowę, tak przynajmniej twierdził, lecz jego zalecenia nie pomogły doktorowi Dee do nich dotrzeć. Swymi umiejętnościami, począwszy od stworzenia jowiszowego orła, który latał podczas przedstawienia w Oksfordzie, aż po leczenie rany przez oddziaływanie na broń, która ją zadała, potrafił zadziwiać - i zadziwiał - sąsiadów, swych kolegów na uniwersytecie, a także swą królową; zadziwił nawet samego siebie, gdy pewnego razu, mieszając w słoju niestałe substancje, uwolnił cały zastęp maleńkich elementali, które jęły go ścigać niczym rój rozwścieczonych szerszeni, póki od stóp do głów otoczony ich piskliwą chmurą nie salwował się skokiem do Tamizy.

W świecie niebiańskim był również człowiekiem wielce uczonym. Wraz z Mercatorem konstruował sfery armilarne, otrzymywał listy od Tychona Brahe, zawierające pochwały jego dzieła *Propædeumata aphoristica*, w którym obliczył, że na ludzkie życie wywiera wpływ dwadzieścia pięć tysięcy koniunkcji - zniechęcająca liczba, toteż doktor Dee w końcu w ogóle odmówił stawiania horoskopów. Nie mógł jednakowoż odmówić tej przysługi królowej - wszak to on mocą swych sztuk wybrał dzień koronacji

Elżbiety, w którym wprowadzie lało jak z cebra, czego nie przewidział, ale nikt nie śmiał zaprzeczyć, że był to dzień szczęśliwy. Postawił również horoskop królowi Hiszpanii (Saturn leżał zimny i ciężki na jego wątrobie i płucach - będzie wielki, lecz nigdy nie zazna szczęścia), zaś monarcha podarował mu w zamian zwierciadło z czarnego obsydianu, przywiezione z dalekiego Meksyku, za którego lśniąca lustrzana powierzchnia - John Dee nie miał co do tego wątpliwości - można było zmusić niektóre anioły do tego, by stanęły w miejscu, lecz nie potrafił przywołać za jego pomocą żadnej istoty duchowej, choć odsłonił je i przez lata co jakiś czas w nie spoglądał.

Był wysokim, chudym i ponurym mężczyzną o szerokich, wiecznie pełnych zdumienia oczach, które za sprawą okularów o soczewkach przez niego samego oszlifowanych zdawały się jeszcze szersze; jego spiczasta broda stała się biała jak mleko, nim skończył sześćdziesiąt lat. Był człowiekiem pełnym pasji, zapominalskim, niespokojnym i dobrym; pewnym swych własnych zbożnych celów, pewnym, iż ogromną wiedzę - większą od tej zawartej we wszystkich foliach i manuskryptach znajdujących się w jego należącej do największych w Anglii bibliotece - wypełniającą święte, boskie anioły niczym naczynia można pozyskać, można ją pić, a jeśli tak jest, wówczas ani ten, który jej zakosztuje, ani świat nie będą tacy, jacy byli dotąd.

Praktykował tedy swe sztuki i wykształcił całe pokolenie Anglików (Philip Sidney zgłębiał matematykę w domu doktora Dee w Mortlake, Hawkins i Frobisher przyjeżdżali, by korzystać z jego map);

często bywał na dworze, a kiedy podróżował po kontynencie, miał oczy i uszy szeroko otwarte, toteż pisał do Walsinghama o tym, co widział; produkował zwierciadła i eliksiry, chował swe dzieci i uprawiał swój warzywny ogródek. I wciąż, zarówno w swym umyśle, jak i w studiach, parł naprzód na ową barierę, za którą anioły prowadziły między sobą rozmowy.

Jednym ze sposobów, jakie w jego mniemaniu mogły pomóc mu ją sforsować, stanowiło przeniknięcie jej przez otwarte drzwi duszy innych ludzi.

Po długich studiach doszedł do wprawy w dostrzeganiu owych drzwi, acz nie potrafił jasno ustalić, jakie znaki pozwalały mu dokonać podobnego sądu. Jakaś cecha w głębi oczu. Wrażenie, jakiego doznawał doktor Dee, że ktoś, kogo napotykał - dziecko, które uczył, młody wikariusz, który przychodził pożyczyć książki - znajduje się jakby nieco w innym miejscu niż to, w którym wydaje się znajdować, bądź owiany jest ledwie widoczną bryzą, której nikt inny nie czuje. Nie było w tym, jak się zdawało, ani jego zasługi, ani wyboru, a jedynie jakieś zrządzenie losu (choć doktor Dee ani trochę nie wierzył w jego przypadkowość), człowiek rodził się, posiadając pewne drzwi, niczym czerwonawe znamię, bądź był przez nie nawiedzany niczym przez ataki padaczki. Z wielką ostrożnością (bez względu bowiem na to, jak dobrze sam znał różnicę pomiędzy naturą swego przedsięwzięcia a nikczemnym kuglarstwem, stanowiła ona coś, co nie każdy potrafił bądź chciał dostrzec) doktor Dee wyszukiwał ludzi naznaczonych owym darem, sondował ich, po czym

sadzał przed swymi kulami i zwierciadłami, by przekonać się, co w nich ujrzą.

W Londynie wiedzieli - całe to budzące niepokój towarzystwo stawiaczy horoskopów, wytwórców magicznych napojów oraz uniwersyteckich krzykaczy - że doktor Dee w Mortlake sownie wynagrodzi każdego, kto przyprowadzi mu kogoś takiego, o ile nie będzie to oszust, co uczony potrafił z miejsca ocenić - każdego potrafili okpić, lecz on stanowił wyjątek. A mimo to wiedział dobrze - zaś owa wiedza napawała go troską - iż moc może objawić się nie tylko poprzez tego, kto jest pobożny bądź uczciwy. To, że jakiś człowiek usiłował oszukać go fałszywą krystalomancją, nie oznaczało bynajmniej, że nie może posiadać również i prawdziwego daru.

Podobnie jak jego królowa - która nie zawsze lubiała, by jej o tym przypominano, chyba że robił to jej mądry mag, który wywiódł jej oraz własną linię genealogiczną aż od samego króla Artura - John Dee był Walińczykiem; podobnie jak ona znał dobrze brzemień uczucia, jakie Walińczycy zwą *hiraeth*, czegoś, co nie było ani nadzieją, ani żalem, ani objawieniem, ani wspomnieniem, lecz związkiem wszystkich tych doznań, tęsknotą, która zdolna była przepelnić serce na podobieństwo ciepłych strug deszczu. Owej marcowej nocy, gdy przyprowadzono do jego domu w Mortlake pewnego młodzieńca z terenów graniczących z Walią, liczył sobie pięćdziesiąt osiem lat. Wówczas czarodziej czekał nań już od dziesięciu, choć spodziewał się kogoś zgoła innego. Nie wiedział przy tym, że w tygodniach, miesiącach i latach, które miały nadejść, będzie związany (przez same

błogosławione archanioły) ze swym krystalomantą więzią bardziej trwałą i wyjątkową niż z własną żoną, którą wszak miłował.

Przede wszystkim młodzieniec ów nie posiadał nazwiska; a raczej posiadał więcej niż jedno, co nie stanowiło dlań żadnej różnicy. To, z którym wyrósł, było nieprawdziwe, stanowiło bowiem skutek tego, iż chował się pod okiem człowieka, którego bękartem był albo i nie był, oraz tego, że nie posiadał żadnych innych znanych sobie korzeni. Nazwisko to odrzucił, zaś to używane przezeń obecnie ani trochę doń nie należało - Talbot, nazwisko bohatera, choć obrane nie z tego powodu; podebrane bez mała przypadkiem z kościelnego pomnika tylko dlatego, że potrzebował jakoś się nazwać. Jako pan Talbot znany był Clerksonowi, Charlesowi Sledowi oraz tym ludziom w Londynie, pośród których żył i z którymi zasiadał w tawernach, Edward Talbot, który nie pochodził z żadnego konkretnego miejsca, mieszkał u tego czy innego przyjaciela do czasu kłótni bądź pojawienia się nowego przyjaciela, który dawał większą nadzieję na przyszłość; i jako Edwarda Talbota Clerkson przedstawił go Johnowi Dee.

Nie posiadał też uszu, a jedynie dwie zabliznione, przycięte wypustki; by je zakryć, zawsze nosił obcisłą czarną czapkę, która nadawała mu uczonego, a może wyłącznie staroświeckiego wyglądu - przypominał medyka z czasów królowej Marii. Do ich utraty doszło w mieście, którego nazwy nie chciał pamiętać, za przestępstwo (było to bicie monet bądź coś gorszego lub zgoła innego), za jakie niesłusznie został skazany wskutek pomówienia oraz ignorancji motłochu, acz nie

chciał odtwarzać wypadków, jakie miały miejsce - swojej ich wersji - nawet sobie. Wszystko to wydarzyło się po okresie studiów na Oksfordzie, na którym nie zdobył żadnego tytułu, a który musiał opuścić ze względu na inne wypadki, których nie miał ochoty bądź nie potrafił zrelacjonować w sposób dla kogokolwiek zrozumiały. Nawet wiele lat później doktor Dee nie potrafił wydobyć ich zeń w całości, choć często słyszał ich urywki i fragmenty. Owej marcowej nocy miał dwadzieścia siedem lat; chmury płynęły wartko niczym szalupy przed obliczem księżyca, gdy Clerkson przy płynął z nim rzeką do Mortlake.

Miał z sobą księgę, której nie potrafił odczytać, co stanowiło powód jego wizyty; miał też przyjaciela, a może wroga, który od dawna mu towarzyszył; znał jego tchnienie, lecz nie imię.

„W jaki sposób weszliście w jej posiadanie?” - spytał go doktor Dee, gdy położono przed nim księgę.

Smukłe białe palce pana Talbota skubały skomplikowane węzły, jakimi zawiązał był swoje zawiniątko.

„Cóż tedy, powiem wam” - oświadczył. - „Wyjawię wam całą historię. W jaki sposób wszedłem w jej posiadanie. Opowiem wam”.

Dłonie Clerksona sięgnęły niecierpliwie po sznurki zawiniątka, lecz Talbot machnął nań, by je zostawił; nie odezwał się już, a jego dłonie poczęły drżeć, kiedy zdejmował stare sukno, w które owinięta była księga.

Doktor Dee stał nieruchomo. Przesunął na bok swój kielich z winem, by zrobić miejsce na jej otwarcie.

Był to manuskrypt na grubym pergaminie, wąski i zszyty ciężką, nasączoną tłuszczem czarną nicią. Nie posiadał okładki ani oprawy. Znaki, jakimi został zapisany, zaczynały się bezpośrednio u góry pierwszej strony bez jakiegokolwiek nagłówka, jak gdyby wcale nie była to pierwsza strona. Doktor Dee uniósł lampę i pochylił się nisko nad tekstem. Pan Talbot przewrócił ciężki liść o wygryzionych przez robaki dziurkach. Druga strona była taka sama: od góry do dołu zwarta bryła znaków.

„To szyfr” - oświadczył doktor. - „Potrafię go odczytać, o ile skrywa znany mi język”.

„Szyfr” - powtórzył pan Talbot. - „Właśnie”.

Ponownie spojrzął w dół na kartki. Wpatrywał się w nie tak często, iż stały się dlań znajome niczym dowolne strony dowolnej gramatyki, jaką kiedykolwiek zapamiętał, a mimo to, jako że nie potrafił wydobyć z nich żadnego znaczenia, niczego, wciąż epatowały obcością. Patrząc na nie oznaczało czuć się w bliskości tajemnicy, będąc równocześnie wykluczonym i uprzywilejowanym; to samo odczucie, jakiego doznawał będąc dzieckiem, gdy spoglądał w księgi, nim jeszcze poznał litery: wiedział, że owe symbole posiadają znaczenie, są nim brzemienne, lecz nie wiedział, co znaczą.

Odsunął się na bok, by doktor mógł zasiąść nad księgą.

„W jaki sposób” - spytał Dee - „weszliście w jej posiadanie?”.

„W pewnym sensie zostałem do niej doprowadzony” - odrzekł pan Talbot.

„W jakim sensie?” - pytał dalej doktor. Wziął rylec i jął badać nim różne litery księgi.

„Doprowadzony” - powtórzył Talbot. Zaś cała ta historia, owa cudowna historia, przepełniła go z nagłą po brzegi, podczas gdy on, zanurzony w niej, w niej żyjący, nie potrafił zacząć myśleć, w jaki sposób ją opowiedzieć.

„Czy posiadacie, panie” - rzekł w końcu (przechodząc na łacinę, by nadać temu, czego nie mógł wyrazić, formę jakiegoś dyskursu) - „czy posiadacie jakąś wiedzę o rzeczach, jakie mędrzec może poznać za pomocą... za pomocą kontaktu z duchami? Pewnymi duchami, czy znacie ten rodzaj... „.

Doktor Dee z wolna uniósł nań wzrok.

„Jeśli macie na myśli działanie sił, jakie pospólstwo zowie magią” - odparł po łacinie - „to nie, nie posiadam na ten temat żadnej wiedzy”.

Na swym krześle pan Clerkson pochylił się do przodu. Na jego ogolonej drapieżnej twarzy widniał uśmiech: wszak po to przywiódł tu Talbota.

„Prosiłem w modlitwach” - ciągnął doktor Dee - „o wiedzę. Od boskich aniołów”.

Przez chwilę wpatrywał się bacznie w Talbota, po czym rzekł po angielsku:

„Ale opowiedzcie mi o tym, co mieliście do powiedzenia: o doprowadzeniu”.

„Była rozmowa” - zaczął pan Talbot, łypnąwszy ku Clerksonowi - „o umarłym i przywoływaniu; że sprawiono, iż umarły przemówił lubo też jakowyś zły duch przezeń przemówił, ale wszystko to fałsz, bowiem żaden człowiek, który pragnął osiąść wiedzę, nie mógłby osiąść jej w taki sposób”.

Naszła go paskudna chęć, by dotknąć swych uszu, zedrzeć z głowy czapkę - powstrzymał się.

„Mniemają, że jeśli człowiek poszukuje skarbu, pragnie jedynie pieniądza, by nim szastać” - ciągnął. - „Istnieją wszelako inne skarby. Wiedza. Istnieją uczciwe sposoby na to, by się dowiedzieć, gdzie znajduje się skarb, prawdziwy skarb”.

Karą za ponowne przestępstwo, oświadczył mu sędzia, będzie nie pręgiarz, lecz śmierć... Jakimż to sposobem z jego ust wydobyła się owa nikczemna opowieść miast tej, którą zaczął był opowiadać? Przez chwilę nie był w stanie myśleć o niczym innym. Patrzył, jak doktor Dee bada kontury liter na stronie, na której otwarta była jego księga. Uniósł kielich nietkniętego dotąd wina, i pociągnął łyk.

„Do księgi tej doprowadził mnie pewien duch. Odnalazłem ją w starym dobrym Glastonbury”.

Rylec doktora Dee zatrzymał się na kartce, on zaś ponownie uniósł spojrzenie na Talbota.

„W Glastonbury?”

Pan Talbot skinął głową, pociągnął kolejny łyk wina i choć jego serce jęło uderzać prędko i mocno, powoli i spokojnie odwzajemnił spojrzenie doktora Dee.

„Tak” - odparł. - „W grobie pewnego mnicha w Glastonbury. Znany mi duch przemówił do mnie i powiedział mi, powiedział, gdzie kopać... „

„Kopaliście, panie? W Glastonbury?”.

„Tylko trochę”.

Zdumiony gwałtowną reakcją starca, jął snuć drobiazgową opowieść, która więcej skrywała, niżli ujawniała. Fragment dotyczący Glastonbury był tym, co do którego miał pewność, iż najtrudniej będzie mu go opowiedzieć, choć duch, który powtarzał mu w kółko tę historię, był w tej kwestii dość stanowczy. Wszystkim, co pan Talbot w rzeczywistości pragnął opowiedzieć, co miał na końcu języka i co gmatwało wszystkie pozostałe wypowiedzi, było zakończenie tej historii: znaczenie - fakt, że księga (a do tego kamienny słoik, kamienny słoik pełen proszku, którego przeznaczenia się domyślał, a który obecnie spoczywał w jego kieszeni) została mu powierzona wyłącznie po to, by mógł ją przekazać owemu człowiekowi, dostarczyć ją tej nocy i wręczyć mu. Wiedział, że tak ma być.

Lecz nie potrafił tego wyrazić. Ogarnęło go coś na kształt onieśmienia, a nie opowiedziawszy w ogóle swej historii, nagle nie był w stanie powiedzieć już nic więcej.

„Nie, nie, nie” - wyjaśnił pan Clerkson. - „Chodzi mu jedyne o to, że przyniósł ją dla was, panie. Dar. Znaleziony w świętym miejscu”.

Nabrał śmiałości, by wyciągnąć rękę i popchnąć księgę o cal do przodu ku miejscu, w którym siedział uczony.

„Tedy wielkie dzięki” - rzekł doktor Dee. - „Skoro jest to dar”.

„Pan Talbot” - tłumaczył dalej Clerkson - „pragnął jedynie poznać co nieco wasze praktyki duchowe. Jak mi wspomniał, wie, że ma ku nim uzdolnienia. Jest... „

Nie spuszczać wzroku z doktora Dee, pan Talbot rzekł mu:

„Nie ma potrzeby, by tłumaczyć me słowa”.

„Panie Clerkson” - ozwał się doktor Dee, wstając. - „Zechcecie udać się ze mną? W sąsiednim pokoju znajdują się woluminy, o które pytaliście. Porozmawiam z wami za chwilę”.

Nie przestając się uśmiechać, Clerkson podążył za uczonym, rzucając swemu przyjacielowi jedynie zagadkowe spojrzenie, które wiele mogło oznaczać. Pan Talbot ujął swymi smukłymi dłońmi wygięte przednie nogi krzesła, na którym siedział, i poczuł pod palcami ich gładką solidność. Rozejrzał się wokół siebie po miejscu, do którego trafił: popatrzył na wznoszące się do sufitu półki uginające się pod ciężarem woluminów, które piętrzyły się niepewnymi kolumnami w kątach i na stołach, na instrumenty optyczne, globus oraz ogromną klepsydrę, która właśnie w tej chwili miała na sobie aksamitny kapelusz doktora Dee. Wziął głęboki oddech i położył głowę na oparciu krzesła. Znajdował się w miejscu, do którego chciał trafić i w którym mógł zostać.

Doktor Dee wrócił sam. Pan Talbot uczył na sobie spojrzenie jego okrągłych oczu i poczuł jego ciepło, niczym ciepło płonącego w kominku węglowego ognia. Uczony zamknął za sobą drzwi - pan Talbot usłyszał, jak je zatrzaskuje - a następnie podszedł do gablotki,

wziął z niej aksamitny woreczek, po czym poluzował jego sznur. Upuścił sobie na dłoń kryształową kulę o barwie moleskinu, czystą niczym małeńka planeta bądź kula szarego zmierzchu.

„Patrzyłeś już kiedy w zwierciadło?” - spytał.

Pan Talbot zaprzeczył ruchem głowy.

„Pewien znany mi chłopiec” - rzekł doktor Dee - „ujrzał coś w tym kryształ. Był aktorem i być może okłamał mnie, ale powiedział, że istnieją stworzenia, które są odpowiedzialne przed tym zwierciadłem, acz on nie jest tym, z kim będą rozmawiać; ten, do którego zwierciadło należało, miał zjawić się później”.

Wziął przypominający szpony metalowy stojaczek i umieścił w nim kulę.

„Możliwe” - mówił dalej - „że jeśli spojrzysz weń, ujrzysz oblicze tego, który doprowadził cię do księgi”.

Przemawiał najłagodniej i najpotulniej, jak tylko potrafił, lecz mimo to pan Talbot usłyszał, bądź chciał usłyszeć, nakaz: Podejdz i zajrzyj w kryształ. Słyszając zaś ów nakaz, nakaz, który nie tolerował sprzeciwu, uznał, że wszystko, co wyniknie z jego zamiaru spojrzenia weń, ukłęknięcia przed nim i spojrzenia w głąb, nie będzie jego winą, lecz tego, który smukłą białą dłonią wskazał mu szklaną kulę na stojaczku, jako i tych, którzy już go wabili z jej wnętrza.

Nie był świadom tego, że wydaje jęki.

Kiedy doktor Dee ujął go za ramię, wszystko w kryształ - statek, dziecko, moce, głębie - zamykało się jedno po drugim, jak

gdyby oddalał się od nich z ogromną prędkością przez gwałtownie zaciągane zasłony: do tyłu przez okna, przez znajdujący się w dłoni uzbrojonego dziecka kryształ, przez rząd krzepkich, młodych mężczyzn odzianych na zielono, których imiona zaczynały się na literę „A” (przez krótką chwilę zdawali się zdumieni i targani wiatrem, nim dłoń - własna dłoń krystalomanty - opuściła na nich jasną zasłonę, po czym i oni zniknęli), i wpadł z powrotem do wyższej izby w Mortlake i w noc; oczom jego ukazała się prawdziwa kula z przydymionego kwarcu, zaś znajdująca się nad nią jego dłoń była ową zasłoną, która ją okryła; jęczał, podczas gdy doktor Dee pomagał mu wstać i usiąść na krześle.

Uczony spojrzał nań, jak gdyby patrzył na rzadkie i osobliwe stworzenie, które właśnie schwytał bądź uwolnił.

„Poczułem osłabienie” - wyznał pan Talbot. - „Tylko przez chwilę”.

„Czy zostało ci powiedziane coś więcej?” - spytał doktor Dee, łagodnie, lecz natarczywie. - „Czy powiedziano coś więcej?”

Przez długą chwilę pan Talbot milczał, czując, jak serce powraca mu do piersi. Gdyby miał czas, by pomyśleć o tym, co powinien powiedzieć, najlepiej byłoby powiedzieć (nie potrafił przypomnieć sobie, czy cokolwiek zostało mu powiedziane) coś takiego:

„Zostanie tu udzielona pomoc. Żadna odpowiedź nie zostanie przed tobą ukryta. Obiecali mi to. Jestem tego pewien”.

„Chwalmy okazaną nam łaskę boską” - rzekł niemal niesłyszalnie doktor Dee. - „Widzenie *in chrystallo*. Wszystko to spisałem”.

Rozgrzewający dreszcz przeszył pana Talbota od stóp do głów; zwrócił spojrzenie ku znajdującemu się na stole w swym stojaczku kryształowi, który teraz zdawał mu się niezwykle odległy, nad wyraz mały; kryształowi, który skrywał odmęty podobne tym, jakie znajdują się w jego wnętrzu. Annael. Annachor. Anilos. Agobel. Gdyby w tej chwili otworzył usta, imiona setek innych, setek tysięcy innych, wydobyłyby się z nich, maszerując gromadnie.

Otworzył usta, targnęło nim wielkie ziewnięcie, rozciągnął szczęki i zrobił zeza. Zaśmiał się, zaś doktor Dee również się zaśmiał, jak gdyby śmiał się z ogarniętego znużeniem dziecka.

Kiedy podano mu wieczerzę i wycieńzonego położono do łóżka na górze, Clerkson zaś został odesłany do domu z kilkoma książkami w darze, doktor Dee przetarł swe okulary i włożył je, przyciął knot lampy, po czym ponownie zasiadł nad księgą, którą dostarczył mu pan Talbot.

Znał kilkanaście szyfrów, niektóre tak starożytne, jak starożytna zdawała się owa księga. Przeczytał kilka starych, sekretnych manuskryptów, znał pismo ogamiczne dawnej Walii. Jego przyjaciel, wielki mag Cardanus, używał szyfru kratowego: na stronie pisma należało czytać pierwszą linijkę liter w dół, a następną w górę, kolejną zaś ponownie w dół, ujawniając w ten sposób prawdziwą wiadomość ukrytą w fałszywym tekście czytany zwyczajnie, w linijkach od

lewej do prawej - wydawał się on doktorowi Dee dziecinną sztuczką, a do tego taką, którą z łatwością można przejrzeć.

Wszystkie szyfry - wszystkie te, jakie mu przedstawiono, można było złamać. Istniał tylko jeden, który opierał się wszystkim próbom: szyfr, jaki przyszedł mu do głowy, kiedy studiował wielką księgę opata Trithemiusa, Steganografię, którą dawno temu Christopher Plantin odnalazł dlań w Antwerpii. Szyfr, którego nie da się złamać, to taki, który nie transponuje jednych liter na inne litery bądź liczby, który nie zamienia słów lub zdań na inne słowa lub zdania, lecz który przekłada jedną rzecz - tę, o której mówiono w tajemnicy - na coś zupełnie innego. Zawrzyj swe intencje w mówiącym ptaku, jemu zaś pozwól o nich mówić; zakoduj swą wiadomość w księdze o automatach, a kiedy skonstruuje się ów automat, odtworzy ją swą mechaniczną dłoń. Napisz (tak uczynił opat Trithemius) księgę o tym, jak przywoływać anioły, a jeśli dokonasz tego poprawnie, poinstruujesz same anioły, jak napisać księgę opata, w ich własnym języku, który, gdy go użyć, przełoży się na dzieła, cuda, nauki, pokój na ziemi.

W celach bardziej praktycznych doktor Dee często kodował w taki oto sposób: posiadał ogromny zasób wyrażen w rozmaitych językach, które zastępowało się kluczowymi wyrażeniami tajnej wiadomości. Słowo „zły” można było zaszyfrować jako „Pallas obdarzona jest wdziękiem” lub „Jesteś podziwiana wśród kobiet, Astarte”, albo „Bóg wdzięku intronizowany”. Jeśli to samo zdanie było po grecku, oznaczało coś innego: może „koronę” albo

„podstępnie”. Z owych zdań można było konstruować całe opowieści, były pomyślane tak, by pasować do standardowych skojarzeń i dostarczać długich, nużących alegorycznych fantazji, które rzeczywiście posiadały jakieś krótkie i fatalne w skutkach znaczenie: *Księżę umiera o północy*. W istocie wielki kłopot, jaki sprawiała ta metoda, polegał na tym, że szyfrowanie było nieodmiennie znacznie dłuższe niż sama wiadomość.

Późną nocą, łamiąc taki właśnie szyfr, doktor Dee myślał niekiedy: Całe stworzenie to jedna wielka, barwna, urojona i niezamierzona opowieść; gdyby udało się ją rozszyfrować, wyjawiałaby jedno szokujące słowo.

Tej nocy, nad ową księgą, zaczął od pierwszej strony, usiłując odnaleźć prosty anagram w owych barbarzyńskich, gęstych znakach. Nie odnalazł go. Użył dwudziestu czterech liter alfabetu, przełożył je na liczby, uporządkował je niczym horoskop ze znaków zodiaku i domów; horoskop ów przełożył na dni i godziny, zaś owe liczby na greckie litery. Wiatr ucichł; księżyc skrył się za nagromadzone chmury. W jednym ze stu pięćdziesięciu alfabetów szyfrowych, jakie znali walijscy bardowie, różne drzewa oznaczały litery; w innym były to ptaki, w jeszcze innym sławne zamki. Czarny gawron nawołuje słowika w głogu u podnóża fortecy Seolae. Zaczęło siąpić. Doktor Dee wrzucał do ognia każdą bezowocną linijkę dociekań, gdy zmieniała się w nonsens. Nadszedł brzask, zaś doktor Dee napisał swym koślawym pismem (potrafił posługiwać się czterema różnymi

charakterami pisma, nie licząc pisma lustrzanego) jedno ze znaczeń pierwszej linijki z księgi pana Talbota:

GDYBY KIEDYKOLWIEK JAKAŚ MOC ZDOLNA SPEŁNIĆ 3 ŻYCZENIA

Niewiele dlań znaczyła. Leczy gdy się cofnął - podążył do tyłu przez las, w którym gawrony krakały w głogu wzdłuż ścieżki u stóp fortecy, do tyłu przez pismo ogamiczne i grekę, gwiazdy, litery i liczby - tę samą linijkę można było odczytać tak:

W ZWIERCIADLE BYŁY ANIOŁY 246 WIELE

A to sprawiło, że jego serce stanęło na chwilę, po czym intensywniej wypełniło się krwią.

W zwierciadle były anioły; jego życzenie miało zostać spełnione.

Podniósł się ze swego stołka; szary świt, niedający się niemal odróżnić od nocy, wypełnił wielodzielne okno. Wiedział, był pewien, że tej nocy stał u progu wielkiego przedsięwzięcia, co do którego nie miał nawet całkowitej pewności, czy starczy mu na nie sił, przedsięwzięcia, które nie skończy się jego śmiercią, lecz mimo to jego ukończenie wymagać będzie oddania przez całe życie; a równocześnie wiedział, że w innym sensie, innym szyfrze, znajduje

się w samym jego środku. Zdmuchnął płomień lampki i udał się do łóżka.

Egipt - westchnęła marzycielsko Julie Rosengarten.

- Egipt - powtórzył Pierce. - Zagadka Sfinks. Moc piramid.

- Tarot.

- Mówiący posąg Memnona.

- Wieczne życie - dodała Julie.

- Tyle tylko, że tą krainą nie jest Egipt - stwierdził Pierce. - Nie Egipt, lecz kraj, który nosi taką nazwę. - Mazakiem wypisał ją na podanej wraz z whisky serwetce:

ÆGIPT

- Pamiętam go - stwierdziła Julie, spoglądając na hieroglif. - Jakby go pamiętam.

- To jest historia, którą chcę opowiedzieć - oświadczył Pierce. - Historia, na którą jakimś sposobem natknąłem się jako dziecko, kiedy niemal wszyscy inni zapomnieli o niej; historia, która znów wydobywa się na światło dzienne - niesamowita historia. Ma też w sobie nieoczekiwany zwrot.

- Jakby ją pamiętam - powtórzyła Julie.

- W każdym razie jest to jedna historia - ciągnął Pierce. - Gdyby to była powieść, stanowiłaby ona jej „fabułę ramową”, czy nie

tak się to nazywa? Ale zawierałaby w sobie jeszcze większą opowieść. O historii. O prawdzie.

Julie pochyliła się nad pisanymi na maszynie stronicami jego konspektu, czytając go, czy też raczej symbolicznie przeglądając. Jej pokryte piegami i wakacyjnym brązem piersi pojaśniały nieco w gorsecie letniej sukienki, włosy zaś nabrały barwy ciemnego miodu. - „Gdzie znajdują się cztery strony świata?” - zaczęła czytać. - „Czym jest muzyka sfer i jak powstaje? Czemu ludzie sądzą, że Cyganie potrafią wróżyć?”. - Podniosła na niego oczy, one również pojaśniały i nabrały miodowej barwy.

- Czy ty przypadkiem nie chodziłeś z Cyganką przez jakiś czas? Jak ci się z nią ułożyło?

- Pół-Cyganką. Przez jakiś czas. - Ej, czemu ludzie mówią „cztery strony świata”? Pierce, jak kula może mieć strony? Czemu ludzie mówią, że są w siódmym niebie, co jest nie tak z pozostałymi sześcioma? Czemu jest siedem dni tygodnia, a nie sześć czy dziewięć? Czemu tak jest, Pierce? - Nie ułożyło się.

Julie ponownie opuściła wzrok na kartki.

Przed drzwiami restauracji mocno się uściskali, on i Julie, oboje zjawili się tam w tej samej chwili, właściwie niemal na siebie wpadając. W piersi Pierce'a tkwił zimny głaz, tkwił tam przez całe rano - pamiętał bowiem nieodwołalność, a nawet okrucieństwo, swych skierowanych do niej pożegnalnych słów, gdy widzieli się po raz ostatni. Zdawało się, iż wówczas, w tamtej chwili, nie zapadły głęboko w pamięć, a co więcej, najwyraźniej nie tkwiły tak

uporczywie w jej piersi jak w jego własnej. Niewykluczone, iż jedyną zaletą prawdziwej wiary w Fatum jest to, że usuwa ono żądło wszelkich minionych krzywd, błędów, wstydu; wszystkiego tego, co przeminęło. Podległość zmianom: tylko do tego przyznawała się Julie, a przy tym wyłącznie to zarzucała innym. Swego rodzaju nowa-stara ślepawa uprzejmość, która była osobliwie ujmująca. Pierce pociągnął głęboki łyk swojej whisky.

- Wiesz - zaczął - kiedy byłem dzieckiem, przypuszczałem bądź wyobrażałem sobie, że istnieje pewna kraina - Ægipt - która przypominała Egipt, ale różniła się od niego, była w nim ukryta czy też nakładała się na niego. Dla mnie stanowiła rzeczywiste miejsce, tak samo rzeczywiste jak Ameryka...

- No właśnie - wtrąciła Julie. - Cyganie.

- Pamiętasz - uradował się Pierce. - Byłaś tam. W pewnym sensie byłaś moją przewodniczką.

- Kiedyś sporo o tym rozmawialiśmy.

- No więc „fabuła ramowa” - ciągnął Pierce. - Opowiada o mojej krainie; o tym, w jaki sposób wpadłem na to, że to wcale nie ja byłem tym, który to wymyślił; o tym, skąd się ta kraina wzięła, Ægipt. - Dotknął napisanego przez siebie słowa. - Bo faktycznie na to wpadłem. Naprawdę.

Julie odłożyła konspekt, by całą swą uwagę skupić na nim, po czym oparła policzek na złożonej dłoni.

To owej wiosny, po tym, jak Julie Rosengarten go opuściła, naprzód dla West Side, a następnie dla Wybrzeża i Meksyku, znikając

na wiele lat - wiosny, która w jakiś sposób miała inny smak niż jakakolwiek wiosna przedtem i jakakolwiek potem - Pierce sięgnął po książeczkę o życiu Bruna pióra Fellowesa Krafra i począł czytać ją od pierwszej strony tak, jak tego nie czynił od ponad dwudziestu lat...

- Przypomnij no mi - poprosiła Julie - kim był Bruno.

- Giordano Bruno - odparł Pierce, składając dłonie na znajdującej się przed nim podkładce, która przedstawiała scenki z Włoch, kopułę Piotrową, wieżę w Pizie. - Giordano Bruno, żył w latach 1548-1600. Pierwszy myśliciel czasów nowożytnych, właśnie tak, postulował istnienie nieskończonej przestrzeni jako rzeczywistości fizycznej. Uważał, że nie tylko Słońce znajduje się w centrum Układu Słonecznego, ale że inne gwiazdy również są słońcami i też posiadają krążące wokół nich planety, o wiele dalej, niż jest w stanie sięgnąć wzrok - właściwie w nieskończoność, nieskończoność.

- Aha.

- Został spalony na stosie jako heretyk - ciągnął Pierce - a ponieważ propagował nowy, Kopernikański obraz niebios, zawsze uważany był za męczennika nauki, prekursora Galileusza, swego rodzaju astronoma spekulatywnego. Ale to, kim naprawdę był, okazało się znacznie bardziej zdumiewające. Wszechświat, jaki widział, nie był tym samym, jaki my widzimy. Po pierwsze, uważał, że wszystkie te nieskończone gwiazdy i planety są żywe - nazywał je zwierzętami. A poruszały się po orbitach wokół siebie, ponieważ miały na to ochotę. W każdym razie...

W każdym razie książka Krafta okazała się w sumie dość przeciętna, wszystko zaczerpnięte z wtórnych źródeł, podparte turystycznymi impresjami scen szalonego życia Bruna; zakon w Neapolu, z którego zbiegł, uniwersytety oraz dwory, które nawiedzał w poszukiwaniu mecenatu. Wenecja, gdzie został aresztowany, Rzym, gdzie umarł. Owe kilkaset stron nie posiadało ani precyzji literackiej fikcji, ani barwności historii. Lecz w samym środku powieści Kraft wyjawiał, a może odkrył mimochodem bądź odsłonił, nie nazywając rzeczy po imieniu, nie tylko klucz do życia Bruna, lecz również tajemnicę, której zgłębianiu oddawał się Pierce.

Czym było to, zastanawiał się Kraft, co skłoniło Bruna i tylko jego do wyłamania się z zamkniętego świata Tomasza z Akwinu i Dantego i odkrycia na zewnątrz nieskończonego wszechświata? Nie mogło to być, mniemał Kraft, wyłącznie odkrycie Kopernika, bowiem Kopernik nie postulował czegoś tak przerażającego jak nieskończenie zamieszкана, nieskończona przestrzeń; jego heliocentryczny świat był wciąż ograniczony w takim samym stopniu, w jakim ograniczony przez niezmienną sferę gwiazd był świat Arystotelesa. Bruno zawsze podkreślał, że Kopernik nie pojął własnego odkrycia.

Nie, pisał Kraft, ów impuls musiał pochodzić skądinąd. Skąd? Ha, Bruno najprawdopodobniej zajrzał do każdej istniejącej w tamtych czasach księgi, choć z pewnością nie ukończył wszystkich, jakie otworzył. Orientował się w najbardziej ezoterycznych badaniach. Poszukiwał odrodzenia dla siebie i swego Kościoła w najbardziej starożytnych i najbardziej ukrytych źródłach. Czyż nie

mógł więc znaleźć wyjścia z kryształowych sfer Arystotelesa w naukach Hermesa Po Trzykroć Wielkiego?

Pierce przeczytał to i zatrzymał się. Hermes? Czyżby to był ten sam Hermes Po Trzykroć Wielki, z którym Milton przesiadywał po nocach²¹? Czy przypadkiem nie był on jakimś mitycznym mędrce w literaturze klasycznej? Pierce nie bardzo pamiętał. Cóż to były za nauki?

Hermes naucza, ciągnął Kraft, że siedem sfer gwiazd otacza ludzką duszę niczym mury więzienia, *heimarmene*, fatum. Lecz człowiek jest bratem dla owych wszechpotężnych demonów, które rządzą tymi sferami; podobnie jak one posiada moc, która pozwala wznieść się poprzez wszystkie siedem sfer, niebacznym na ich gniewne manifestacje sprzeciwu, przechodząc przez każdą z nich za pomocą tajemnego słowa, któremu nie potrafią się oprzeć, wymuszając przy tym od każdego z nich dar, dar wzniesienia się do kolejnej sfery; uwolniona dusza staje twarzą w twarz z Nieskończonością i śpiewa Bogu pochwalne hymny.

Tyle o Hermesie Pierce wyczytał u Krafta. A co, jeśli Bruno, wzięwszy sobie do serca ów najbardziej starożytny i najświętszy z mitów i otworzywszy pewnej gwiazdzistej nocy w Paryżu, w Londynie, Kopernikańskie dzieło, niespodziewanie połączył obie te koncepcje i wówczas poczuł w swej buzującej głowie, że zagadka została rozwiązana? Albowiem jeśli to Słońce znajduje się w centrum,

²¹ W oryginale „outwatch'd the Bear”, co stanowi odniesienie do wczesnego wiersz Johna Milтона II *Penseroso* (Zadumany) - „Where I may oft out-watch the Bear,/With thrice-great Hermes, or unsphere/[...]. ” - chodzi tu o gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy, który widziany z półkuli północnej nigdy nie zachodzi, a zatem całe wyrażenie „out-watch the Bear” znaczy tyle co nie kłaść się spać, siedzieć całą noc.

nie zaś Ziemia, wówczas nie ma kryształowych sfer, które trzymają nas w swych wnętrzach; łudziliśmy tylko samych siebie, my, ludzie; więziliśmy się we wnętrzach owych sfer, jakie postrzegały nasze ułomne i nazbyt ograniczone zmysły, a jakie tak naprawdę nigdy nie istniały. Sposobem na to, by przekroczyć otaczające nas zewsząd sfery, była świadomość tego, żeśmy je już przekroczyli i jesteśmy w drodze, w stanie niemożliwego do zatrzymania ruchu. Nic więc dziwnego, że Bruno odczuwał zbliżanie się jakiegoś monstrualnego kresu, nic dziwnego, że czuł się w obowiązku rozgłaszać tę wieść po całej Europie, nic dziwnego wreszcie, że śmiał się w głos. Umysł, znajdujący się w centrum wszechrzeczy, zawiera w sobie wszystko to, czego sam jest środkiem, okrąg, który nie posiada obwodu, rozciągający się w nieskończoność w każdym kierunku, w jaki mógłby spojrzeć lub o którym mógłby pomyśleć w każdej chwili. Śmiesz zatem głosić, iż ludzie są jak bogowie? - zapytali zaszokowani inkwizytorzy w Rzymie. Potrafią zmienić bieg gwiazd? W rzeczy samej, odpowiada Bruno; potrafią tego dokonać, zawsze potrafili.

W tym miejscu Pierce odłożył na chwilę książkę, przesycony jej treściami, i sam wybuchnął śmiechem, zastanawiając się, co on jako dwunastolatek był w stanie z tego wszystkiego zrozumieć; a gdy z powrotem wziął ją do ręki, natknął się na przypis.

To, było w nim napisane, czy owo rozumienie, jakie przypisaliśmy Brunowi, stanowi prawdziwą tajemną naukę, jaka miałaby zostać dostrzeżona w pismach Hermesa Trismegistosa - ach, pomyślał Pierce, znów to imię - czy też nie, pozostawiamy osądowi

innych. Zainteresowany tą kwestią czytelnik powinien zacząć od Meada, który pisze: *Podążając za owym promieniem tradycji trismegistycznej możemy pozwolić sobie na podróż w przeszłość ku najświętszej ze świętych Mądrości Starożytnego Egiptu.*

- I w ten sposób na to trafiłem - oznajmił Pierce. - Proszę bardzo.

- Trizma co? - spytała Julie.

- Posłuchaj - zaczął Pierce. - No więc tak.

Książka Meada, do której skierował go Kraft (a przy tym niewykluczone, że również i jego młodzieńcze „ja”, któż to wie), okazała się nie do zdobycia: G. R. S. Mead, *Hermes Po Trzykroć Wielki* (Teozoficzny Dom Wydawniczy, Londyn i Benares, 1906, trzy tomy). Niemniej jednak poszukiwania książki zawiodły Pierce'a do rozmaitych osobliwych miejsc, do sklepików oraz na pokazy mistyków i zwykłych szaleńców, o których dość licznych zastępach nie miał wcześniej pojęcia, miejsc, do jakich nie bardzo miał ochotę wchodzić, a mimo to nie potrafił zaprzeczyć, iż miały jakiś związek z tym, którego poszukiwał. Uzyskawszy nareszcie pewność, iż wszystko to nie było tworem jego wyobraźni, wycofał się z ich urojeń niczym z prywatnego rytuału i zwrócił się ku miejscom jaśniej oświetlonym. Krok po kroku zbliżał się do tego, czego szukał. *Historia idei, Historia Magii i Nauki Eksperymentalnej*, „Journal of the Warburg and Courtauld Institutes”, który pobieżnie kartkował na studiach doktoranckich.

Zdecydowanie zbliżał się do celu. Niespodziewanie na ścieżce tej pojawili się inni, naukowcy znaczniejsi od niego; odnajdywali

tropy, publikowali. Z wdzięcznością Pierce odwrócił się od *Opera omnia latine* Bruna, która mignęła mu gdzieś na samym dole regału z książkami w bibliotece publicznej Brooklynu, i zanurzył w płytkich wodach źródeł wtórnych; a w końcu Uniwersytet Chicagowski przesłał mu pocztą książkę pióra pewnej angielskiej damy (wyczekiwał nań z większą niecierpliwością niż na jakikolwiek z deszyfrujących pierścieni Kapitana Midnighta²²), która - Pierce wiedział o tym, nim jeszcze obdarł wolumin z brązowego papieru pakowego - przemierzyła jego zaginioną krainę od morza po góry i powróciła, powróciła na czele karawany wiozącej osobliwe towary, mapy, artefakty, zrabowane dobra.

- I to - powiedział Pierce, czując się zaledwie przez chwilę niczym bezradny narrator owego starego niekończącego się żartu opowiadanego przy ognisku - to jest historia, którą opowiedziała. - Ponownie napił się i spytał: - Czy mówi ci coś słowo „hermetyczny”?

- Masz na myśli „zamknięty hermetycznie”?

- Też, ale również hermetyczny w sensie okultystyczny, tajemny, ezoteryczny.

- No jasne.

- W porządku - skinął głową Pierce. - Oto ta historia: Pewnego razu w latach 60. XV wieku pewien grecki mnich przywiózł do Florencji zbiór manuskryptów w języku greckim, które wywołały wielkie poruszenie. Miały one bowiem stanowić rzekomo grecką wersję starożytnych pism egipskich - spekulacje natury religijnej, filozofię, receptury magiczne, - które zostały spisane przez

²² Kapitan Midnight - bohater słuchowiska radiowego dla dzieci oraz serialu telewizyjnego.

starożytnego egipskiego mędrca czy też kapłana, Hermesa Trismegistosa, co można by przełożyć jako Hermes Po Trzykroć Wielki. Hermes to, rzecz jasna, grecki bóg; Grecy uważali Hermesa, boga języka, za odpowiednik egipskiego boga Tota czy też Thota, który wynalazł pismo. Z różnych klasycznych źródeł, jakimi dysponowali - Cyncero, Laktancjusz, Platon - uczeni Renesansu, którzy pierwsi zbadali owe nowe manuskrypty, dowiedzieli się, że ich autor był kuzynem Atlasa, bratem Prometeusza (ludzie Renesansu wierzyli, że były to prawdziwe postacie czasów starożytnych) i że nie był on bogiem, ale człowiekiem, człowiekiem niezwykle starym, który żył przed Platonem i Pitagorasem, a może nawet przed Mojżeszem; dowiedzieli się więc również, że pisma te należą do najstarszych w historii ludzkości.

- Pojawienie się tych egipskich pism wywołało we Florencji ogromne poruszenie. Od dawna krążyły bowiem pogłoski o ich istnieniu, nawet w średniowieczu. Hermes Trismegistos był jedną z owych zagadkowych postaci ze świata starożytnego, które cieszyły się u ludzi średniowiecza reputacją wielkich czarowników, podobnie jak Salomon i Wergiliusz, toteż przypisywano mu autorstwo rozmaitych Czarnych Ksiąg i traktatów - ale oto pojawił się oryginał. Była w nim zawarta wiedza egipska starsza niż rzymska i grecka, może nawet starsza niż Mojżesz - istniały wszak spekulacje, jakoby Mojżesz, wychowany jako egipski książę, zdobył swą tajemną mądrość z tego właśnie źródła.

- Widzisz, gdy mówisz o czasach Renesansu, nie wolno ci zapomnieć, że ludzie tego okresu nieustannie zwracali się ku przeszłości. Cała ich nauka, cała wiedza skierowane były ku odtworzeniu tak idealnie, jak tylko było to możliwe, przeszłości w teraźniejszości, ponieważ przeszłość bezdyskusyjnie była lepsza, mądrzejsza, mniej zepsuta niż teraźniejszość. Toteż im starszy był starożytny manuskrypt, tym starsza była wiedza, jaką zawierał i tym lepsza musiała się ona okazać po oczyszczeniu z naleciałości oraz błędów późniejszych czasów, tym bliższa owemu starożytnemu Złotemu Wiekowi.

- Rozumiesz więc, jakie to musiało być ekscytujące? Oto najstarsza wiedza na świecie, i co ty na to? Jakby to była Księga Rodzaju; jakby to był Platon. Hermes musiał działać pod wpływem boskiego natchnienia, by zwiastować chrześcijańską prawdę. Sam Platon z pewnością pił z tego źródła. W dialogach pomiędzy Hermesem a jego uczniem, Asklepiuszem, oraz jego synem, Tatem, można dostrzec nie tylko podobną platońskiej filozofii idei, lecz również filozofię światła, jak u Plotyna, a nawet słowo, które ciałem się stało, podobne chrześcijańskiemu logosowi, Synowi Bożemu, zasadzie sprawczej. Hermes właściwie stał się chrześcijańskim świętym. Wybuchła moda na Egipt i wszystko co egipskie, która praktycznie trwała przez cały okres Renesansu.

- Ale to nie wszystko. Owe egipskie dialogi są głęboko uduchowione, pobożne, abstrakcyjne; mówią wiele na temat uciekania mocy gwiazd, odkrywania siły duchowej, by stać się podobnym Bogu,

ale nie ma w nich praktycznych wskazówek na temat tych rzeczy. Niemniej jednak owe praktyczne wskazówki istniały, znajdowały się w tych starych magicznych księgach, które wieki średnie przekazały i przypisały Hermesowi. I kto wie, może stanowiły one stronę praktyczną owych abstrakcyjnych reguł. Była ona, rzecz jasna, zniekształcona i wielce niebezpieczna w zastosowaniu, ale wciąż zawierała moc dobrej antycznej egipskiej magii Hermesa. A zatem Hermes w dużym stopniu był odpowiedzialny za to, że poważni ludzie zaczęli zajmować się praktykami magicznymi.

- Ojej - odezwała się Julie. - Hm. - Jej oczy nabrały blasku, jaki pamiętał; palcem poczęła leniwie wycierać cukier z krawędzi swojego kieliszka z daiquiri. Teraz miał ją w garści.

- A przy tym nową nauką - ciągnął Pierce. - Skoro człowiek jest krewniakiem zdolnych do wszystkiego demonów, co powstrzyma go przed działaniem w świecie, dokonywaniem rzeczy zdumiewających? Skoro całą obfitością Natury może rządzić i może ją odzwierciedlać mądry ludzki umysł, tak jak wierzył Bruno? Sądzę, że Bruno rzeczywiście zaczerpnął z Hermesa inspirację, by zająć się systemem Kopernikańskim, nie dlatego, że koncepcja ta była bardziej przekonująca w sensie dowodowym, ale dlatego, że była wspanialsza, cudowniejsza; prawdziwy tajemny egipski pogląd znowu powrócił.

- Przecież - przerwała Julie - każdy wie, że Egipcjanie posiadali wiedzę o tym, że to Ziemia krąży wokół Słońca. Utrzymywali to w tajemnicy, ale wiedzieli.

Pierce przerwał swoją przemowę, nie zamykając ust. Oczy Julie wciąż jaśniały inteligencją i uwagą.

- No więc mów dalej - powiedziała i oblizała palec.

- Tak, ale pamiętaj - zaczął Pierce - pamiętaj o tym, że w tamtych czasach niemal niczego nie wiedzano na temat kultury i wierzeń starożytnego Egiptu. Jeszcze przed erą Rzymu znajomość hieroglifów zaniknęła; nie były rozumiane aż do dziewiętnastego wieku. Nikt w Renesansie nie miał pojęcia o tym, co było napisane na obeliskach albo czemu służyły piramidy, i tak dalej. I teraz w świetle tych głęboko uduchowionych na wpół platońskich pism magicznych zaczęto je badać. Hieroglify - z pewnością stanowią swego rodzaju mistyczny kod, historię obrazkową wznoszenia się duszy, pomoc w kontemplacji, może coś o ukrytym znaczeniu, jak plamy Rorschacha albo karty tarota...

- Jasne - wtrąciła Julie.

- A piramidy, obeliski, świątynie powinny zawierać zakodowaną egipską naukę, geometrię starszą od euklidesowej, tajemne proporcje i magiczne własności, które teraz być może udałoby się odkryć...

- Jasne.

- Ale to nie tak! - wykrzyknął Pierce, ukazując dłonie. Osoby jedzące obiad przy sąsiednim stoliku obrzuciły go beznamiętnym spojrzeniem, pewnie sprzeczką kochanków, nie okazuj im, że zauważyłeś. - To nie tak! To najcudowniejsza, najbardziej zdumiewająca i osobliwa rzecz. Pisma, które ludzie Renesansu przypisali bogu-królowi-kapłanowi Hermesowi Trismegistosowi, od

którego przejęli cały swój obraz starożytnego Egiptu, wcale nie były starożytne. Ponad wszelką wątpliwość nie były spisane ręką jednego człowieka. Ani nawet nie pochodziły z Egiptu.

- Ktokolwiek stworzył dokumenty, które zawędrowały do Florencji w latach 60. XV wieku, nie miał bladego pojęcia o prawdziwych egipskich wierzeniach, a jeśli nawet, to wiedział o nich niewiele. Współcześni naukowcy mają nie lada problem ze znalezieniem w nich choćby śladu rzeczywistego ogółu egipskiej mitologii czy myśli.

- Ani śladu.

- To, czym naprawdę są te pisma, na tyle, na ile potrafimy to obecnie określić, to pismo święte tajemniczej późnohelleńskiej sekty, ruchu gnostyckiego z drugiego albo trzeciego wieku naszej ery, naszej ery - powtórzył z naciskiem. - W owych czasach sporo ich się namnożyło w Aleksandrii, wśród zhellenizowanych Egipcjan i egipskich Greków; wówczas Aleksandria musiała pełnić podobną rolę, jaką dziś pełni Kalifornia: sekty, każdy w czymś siedzi. No więc jeśli te pisma zawierają rzeczy, które zapowiadają chrześcijaństwo, nie ma w tym nic nadzwyczajnego; jeśli trącą Platonem, Pitagorasem czy Plotynem, to nie dlatego, że wywarły wpływ na Platona i tamtych, ale odwrotnie. Platonizm był przecież dość rozpowszechniony w tamtym okresie.

- No więc tak. Ludzie Renesansu popełnili kolosalny błąd. Było po temu wiele powodów. Ojcowie Kościoła, jak Augustyn czy Laktancjusz, w okresie postklasycznym mówili o Hermesie

Trismegistosie, jak gdyby był człowiekiem z krwi i kości, podobnie czynili Roger Bacon i Tomasz z Akwinu w średniowieczu. Nie istniał żaden zewnętrzny dowód, który mógłby wykazać, że pisma są fałszywe albo że nie są tym, czym rzekomo były. Niemniej jednak istniało wiele dowodów wewnętrznych; do połowy XVII wieku wykazano, że pisma są późnogreckie (jest w nich przede wszystkim odniesienie do igrzysk olimpijskich), ale entuzjaści nie zwracali na to uwagi; przez cały wiek XVII, a nawet XVIII, wciąż nie przestawali wierzyć w Egipt Hermesa. Krąg ezoterycznego egipcjanizmu urósł w siłę. Nawet w XIX wieku - po Champollionie, po Wallisie Budge'u, po tym, jak odkryto prawdziwy Egipt - ludzie pokroju Meada, teozoficy, Aleister Crowley, mistycy i czarodzieje wciąż usiłowali w nie wierzyć.

- Aleister Crowley! - Oczy Julie znacznie się powiększyły.

- A wszystko to za sprawą owego zwariowanego błędu, za sprawą owego pseudoegipskiego pisma świętego! Za sprawą pism hermetycznych - widzisz, to właśnie to słowo, hermetyczny, magiczny, tajemny, zapieczętowany niczym słoń alchemika - za sprawą tych pism Egipt zaczął stanowić synonim wszystkiego co mistyczne, zakodowane, dogłębne; symbolizować utraconą starożytną mądrość, dawny złoty wiek, który teraz być może da się przywrócić, by oświecić zdegenerowanych ludzi epoki nowożytnej. Tak mówi tradycja; to właśnie przetrwało do naszych czasów, w tysiącach książek, tysiącach odniesień. Jest to tradycja, która znalazła swą kontynuację na przykład w założeniu wolnomularzy, którzy zawsze

czynią wiele szumu wokół swoich związków z Egiptem, zaś od masonów przenosi się to na Ojców Założycieli, z których część należała do masonerii, stąd piramida i oko Egiptu trafia na Wielką Pieczęć Stanów Zjednoczonych i na banknot jednodolarowy. I w ten sam sposób Sfinks, świątynie oraz mędracy-kapłani trafiają do *Czarodziejskiego fletu*, który Mozart osadził w pseudoegipskiej tradycji swojej łoży masońskiej.

- I w jakiś sposób - nie wiem dokładnie jak - w jakiś sposób wszystko to spływa na mnie. W jakiś sposób ta niesamowicie magiczna, nierzeczywista, wyimaginowana kraina nawiedza mnie, zostaje mi objawiona, w Kentucky, poprzez różnego rodzaju książki, przez to przekłete powietrze; w jakiś sposób. Ale równocześnie wiedziałem też o prawdziwym, historycznym Egipcie, o którym wiedza gromadzona była przez wieki; wiedziałem o mumiach, królu Tutanchamonie i Ra, Izis i Ozyrysie, wylewach Nilu i wszystkich tych niewolnikach ciągnących kamienne bloki. Toteż doszedłem do wniosku, że musiały istnieć dwa różne kraje, w jakiś sposób znajdujące się w pobliżu siebie czy też pod odpowiednimi kątami w stosunku do siebie. Egipt. I Ægipt.

- I okazało się, że mam rację! Rzeczywiście istnieją dwie różne krainy. Jedna, o której śniłem i rozmyślałem, która też ma swoją historię, podobnie jak Egipt, historię tak samo długą, lecz odmienną; inne budowle, lub te same, ale o całkowicie innym znaczeniu; a także literaturę oraz położenie. Można wywieść historię Egiptu z przeszłości, z dawnych czasów, lecz w pewnym punkcie (a może w

kilku różnych punktach) ulegnie ona rozszczepieniu. I można podążać którąś z nich; tą zwykłą z ksiązek historycznych, Egipt, bądź tą drugą, ze świata snu. Hermetyczną. Nie Egipt, lecz Ægipt. Albowiem istnieje więcej niż jedna historia świata.

Dopił drinka. Pojawił się przy nich kelner, a właściwie stał już tam przez chwilę, być może przysłuchując się jego wywodom. W końcu Julie oderwała spojrzenie od Pierce'a i popatrzyła w górę na kelnera.

- Powinniśmy chyba złożyć zamówienie, co?

- To jest właśnie historia, którą chcę opowiedzieć - oznajmił Pierce. - Ale to tylko jedna opowieść, nawet nie dziesiąta część całości. Nawet nie dziesiąta część.

- Dla mnie jajka po florencku - odezwała się Julie. - Bez ziemniaków.

- Magiczne miasta - mówił Pierce. - Miasta słońca. Czemu Ludwik XIV był Królem Słońce? Przez Hermesa.

- Herbatę - dodała Julie. - Z cytryną.

- A są też inne historie - ciągnął Pierce - równie zajmujące. Na przykład o aniołach. To jest właśnie historia, którą chcę opowiedzieć. Jak myślisz, czemu jest dziewięć chórów anielskich, a nie siedem albo dziesięć? Skąd wzięły się małe bezcielesne cherubinki na walentynkowych kartkach? I czemu „cherubinki”? - Spojrzał na kelnera, złożył zamówienie (jego żołądek stanowił ciemny wykrot) i pokazał mu szklankę, którą zdążył już opróżnić. - Jeszcze jedną - poprosił. - Jeśli można.

Zdawało się, że jakieś światło ustąpiło z oczu Julie. Mówił zbyt szybko jak dla niej, zasypując ją nadmiarem informacji. Lecz jakże można było to wszystko przekazać, jak? Jeśli nie posiadało się jednej historii, jednego wwierconego w siebie Renesansu, tego zwyczajnego, w jaki sposób można było odczuć zdumienie, odkrywając tę drugą, tę niesamowitą. - I wiele innych historii, które mógłbym opowiedzieć - powtórzył. - Wiele innych. - Bogate, niewymownie bogate, owe fałszywe historie i systemy myślowe, które zostały otwarte przed nim, by mógł w nie wejrzeć, przez mądrych naukowców, na jakich się natknął, bogate, jak i osobliwe, a nawet niepojęte, historie w jakiś sposób raz poczęte i zrozumiane przez umysły, które były jakoby podobne jego umysłowi, lecz sformułowane w książkach, których tysiące stron folio, surrealistycznych ilustracji o najdziwniejszych perspektywach, geometrycznych wykresów oraz wierszyków zdawały się podejmować próbę opisu zupełnie innej planety. Martin del Rio, hiszpański jezuita, napisał książkę zawierającą milion słów, poświęconą wyłącznie aniołom.

Pierce chwycił swoją serwetkę i rozłożył ją sobie na kolanach. Zgubiona planeta została odnaleziona, fanfary i szarpane wiatrem zasłony, była to niespodzianka, której pragnął najbardziej, a którą najmniej potrafił wyrazić; niespodzianka związana z odnalezieniem jej, lecz prócz tego odkryciem, że jest, choć nieledwie, znajoma.

- To tak - zaczął - to tak, jakby dawno, dawno temu istniał całkiem inny świat działający w sposób, którego nie potrafimy sobie wyobrazić; kompletny świat, posiadający własne wydarzenia

historyczne, prawa fizyki, opisujące je nauki, etymologie, analogie. Aż pewnego razu nastąpiła wielka zmiana we wszystkim, wielka zmiana, powiązana z drukiem oraz odkryciami Kopernika i Keplera, a także ideałami nauki mechanicznej i eksperymentalnej Kartezjusza i Bacona. Ta nowa nauka odniosła ogromny sukces; kawałek po kawałku zacierano wszelkie utrzymujące się jeszcze struktury starej, zatarto nawet ową osobliwą i magiczną formę, w jakiej świat jawił się ludziom takim jak Kepler, Newton czy Bruno. Cały ten stary świat, jaki niegdyś zamieszkiwaliśmy, jest niczym sen, sen, który zapomnieliśmy w chwili przebudzenia, mimo iż, jak to sny mają w zwyczaju, trwał jeszcze przez chwilę w rozbudzonym już całkiem umyśle; i trwa do dziś, w całym naszym świecie, w naszym myśleniu, toteż każdego dnia w różnych drobnych aspektach, drobnych osobliwych aspektach, myślimy tak jak ludzie czasów przednaukowych, czarodzieje, pitagorejczycy, różokrzyżowcy, nie wiedząc, że to robimy.

- No dobrze, w porządku, ale, Pierce...

- Więc to, co proponuję - ciągnął, powstrzymując ją uniesioną dłonią - to swego rodzaju archeologia życia codziennego; coś w rodzaju zabawy w poszukiwanie skarbów, czy też podchody, tropienie tych dawnych naleciałości. Odkrywanie ich, choć przede wszystkim odkrywanie dawnych mitologiczno-religijnych ahistorycznych wyjaśnień świata w ich nowoczesnej wersji, a następnie tropienie elementów, które tworzą je aż do ich najwcześniejszych przejawów, ich źródeł, ich pierwszych form, o ile można je odnaleźć, tak samo,

jak to zrobiłem dla mojego Egiptu, Ægiptu; aż do bram snu, z których wyszły, Bramy Rogowej.

- Rogowej - mruknęła Julie - rogowej, zastanawiam się, czemu rogowej.

- I wiesz co? - mówił dalej Pierce. - Coraz częściej przekonuję się, że kiedy naprawdę tropisz je w przeszłości, te fałszywe historie oraz magiczne wyjaśnienia świata, i podążasz za nimi aż do rozstaju dróg, że się tak wyrażę, do miejsca, z którego rozchodzą się we własne strony ze zwykłej historii cywilizacji zachodniej, wówczas za każdym razem wracasz do tego samego punktu; gdzieś pomiędzy rokiem 1400 a 1700. Nie same pojęcia, które są w większości znacznie starsze, ale formy, w jakich przychodzą one do nas. Ponieważ w tamtych czasach, nie jestem pewien dlaczego, choć mam pewne przypuszczenia, dokładnie w chwili, kiedy rodziło się to, co postrzegamy jako nowożytną naukę, istniało również niebywałe odrodzenie oraz kodyfikacja wszelkiego rodzaju starożytnych mądrości oraz magicznych i tradycyjnych obrazów świata. Nie tylko Hermes i Ægipt, ale Orfeusz i Zoroaster, a także żydowska kabała i lullizm - nie pytaj - oraz najbardziej nawiedzeni wyznawcy neoplatonizmu, tacy jak Proklus i Jamblich, który był także wielkim egipcjanistą. Alchemia, ponownie odkryta i rozdmuchana przez tego maniaka Paracelsusa; i astrologia, która nabrała nowego rozpędu za sprawą nowych metod obliczania; i magia anielska; i telepatia; i Atlantyda...

- Atlantyda - westchnęła Julie.

- Było to niczym owa godzina przed przebudzeniem, kiedy sny są najbardziej wyraźne i najlepiej się je pamięta. Chwila, kiedy wszystkie historie i nauki tego starego, innego świata zostały zawarte w swej najpełniejszej i najbardziej znamiennej formie, a przy tym zdawały się najbardziej obiecujące i przekonujące - właśnie w chwili, kiedy wszystko to miało zostać zdławione, obalone i na zawsze zapomniane...

- Nie na zawsze - wtrąciła Julie. - Nigdy na zawsze.

- No cóż, na tyle całkowicie, że ktoś, ja, mógłby udać się na uniwersytet Noate i zrobić dyplom z historii Renesansu, zaledwie przelotnie rzuciwszy okiem na wierzchołek zatopionej góry. *Mimo iż najwięksi myśliciele Renesansu, ci sami, którzy współtworzyli naukę, uważali, że wielkim dziełem ich wieku jest ratowanie całej tej utraconej wiedzy!* Nie znajdowanie nowych sposobów odczuwania, nowych nauk, nowych maszyn, ale odzyskiwanie! Pamięć! Moc zawarta w starożytnych teologiach, dawnych systemach magii, nauka Noego, język Adama! Ægipt!

Goście przy sąsiednim stoliku ponownie odwrócili się w ich stronę. Pierce usiadł z powrotem na swoim krześle, z którego co chwila się podnosił, zaś Julie pochyliła się, żeby lepiej go słyszeć.

- Ægipt - wypowiedział łagodnym tonem.

- A jakież to rzeczy - spytała Julie - potrafili robić?

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, co takiego potrafili robić ci magowie.

- Robić - powtórzył zaskoczony Pierce. - No cóż, musisz zrozumieć, że to nie miało nic wspólnego z kwestiami średniowiecznymi, sztuczkami magicznymi, które wszystkie opierały się na mocy Szatana i umarłych. Renesansowy mag przede wszystkim myślał: zdobywał moc wyłącznie dzięki temu, że był dostrojony do całego wszechświata oraz własnej wrodzonej o nim wiedzy.

- Moc - westchnęła Julie.

- A tak, moc - odparł Pierce. - Tak przynajmniej przypuszczali. To znaczy rzeczywiście oddawali się alchemii. Produkowali talizmany planet, żeby przyciągnąć do swoich umysłów i dusz planetarne energie. Patrzyli w kryształowe kule i sądzili, że widzą anioły. Bruno wymyślił tuzin skomplikowanych systemów mnemonicznych, służących zapamiętywaniu wszystkiego na świecie, w jakiś sposób zawierających wszystko. Ale moc renesansowego maga nie była wykorzystywana w celu wzbogacenia się czy obrzucania ludzi klątwami. Była używana po prostu dla wiedzy. Był to pewien system naukowy, posiadający te same cele co inne rodzaje nauki, te, które my określamy tym mianem.

- Tylko że my zapomnieliśmy, co takiego robili. Co potrafili. Wszystko to zostało zdławione, zgadza się?

- Zapomnieliśmy całą tę historię - powiedział Pierce. - Zachowaliśmy tylko drobiazgi, wrażenia, kawałeczki i fragmenciki rozrzucone po naszym wszechświecie mentalnym, niczym części jakiejś gigantycznej maszyny, która została roztrzaskana, a której

nigdy już nie da się złożyć na nowo. Cyganie, anioły, rogi Mojżesza. Era Wodnika. O to mi chodzi, to jest właśnie...

- Zaraz, zaczekaj chwilę - przerwała mu Julie. - To znaczy, oczywiście wszystkie te twoje opowieści o historii są ciekawe i w ogóle. Ale wyjaśnij mi w tej chwili. Wyjaśnij mi, czemu to właśnie ty chcesz napisać tę książkę. Jaki masz powód, żebyś chciał ją napisać.

Pierce'owi zdawało się, że dostrzega pułapkę w spojrzeniu Julie, ale nie miał pojęcia jaką.

- No cóż, powodem jest ona sama - odparł wymijająco. - Po prostu uważam, że jest to fascynująca historia, coś w rodzaju intelektualnego kryminału. Nie sądzę, by potrzebny był jakiś konkretny powód. To znaczy Historia...

- Bo moim zdaniem to wcale nie jest książka historyczna - ponownie przerwała mu Julie.

- No tak, to książka o historii.

- Ani książka o historii. Wydaje mi się, że to, co piszesz, to tak naprawdę książka o magii. O wielkiej utraconej tradycji magii. I wiem, że taką książkę potrafię sprzedać.

- No tak, ale widzisz...

- Mówiłeś o utraconym światopoglądzie - ciągnęła Julie i w impulsywnym geście schwyciła go za nadgarstek. - I elementach roztrzaskanej maszyny, której nigdy już nie uda się złożyć na nowo. No więc nie wierzę, że nie da jej się złożyć na nowo.

- Są naukowcy, historycy, którzy próbują - bąknął Pierce. - Usiłują...

- A wiesz, w co wierzę? - Pochyliła się bliżej niego, w jej jaśniejących letnim światłem oczach widniał łagodny płomień. - Wierzę, że ta maszyna działała. I wiesz co? Myślę, że ty też w to wierzysz.

Nie, nie, nie, nie - sprzeciwił się Pierce. - Pierce, wiesz co, to po prostu niesamowite, że przedstawiłeś mi teraz ten pomysł. Wydaje mi się, że to d o b r z e. Czas. Świat. Ty. - Uniosła rękę i pomachała z uśmiechem, jak gdyby do przyjaciela; zagrzechotały jej bransoletki z drewna i laki. - Widzisz, ta stara tradycja jest dla mnie niezmiernie ważna. Wierzę w nią. Wiesz przecież.

- Tak to dawniej wyglądało. - Co on narobił. Z kieszeni wydobył papierową torebkę z tytoniem i zaczął skręcać papierosa - był to zwyczaj, który siedzącą naprzeciw niego kobietę naprzód intrygował, aż w końcu począł irytować.

- Teraz czuję to znacznie silniej. Zdarzyło się parę rzeczy... Nieważne, kiedyś ci opowiem, ale mogłoby mnie tu nawet nie być, gdyby... W każdym razie wiem. Wiem, że te dawne postacie wiedzy nie umierają ani się nie starzeją. Być może schodzą do podziemia. Ale zawsze nadchodzi czas, kiedy ludzie są gotowi, żeby zrozumieć je na nowo, i wówczas tradycja zostaje ponownie odkryta. Czy nie to chcesz tak naprawdę powiedzieć? Raz miało to miejsce w Renesansie. A teraz powraca.

- Teraz - powtórzył Pierce.

- No tak! Przecież widać to wszędzie wokół. Pierce, kiedyś o niczym innym nie mówiłeś. Fascynowało cię to. Synchroniczność. Powtarzalność. Teoria ACT. Era Wodnika. A dlaczego? Dlaczego?

- Dlaczego - bąknął Pierce.

- Dlatego! Dlatego, że nadszedł czas! Cykl zatoczył pełne koło i...

- Julie, historia się nie powtarza. Nic z tego. Porusza się tylko w jednym kierunku.

- No, ale tak jak powiedziałeś - ciągnęła Julie - jest odkrywana na nowo, ta tradycja, acz w nowym kontekście. Odtwarza się ją, a to jej odtwarzanie zmienia sposób, w jaki rozumiesz całą jej historię. Zgadza się? To właśnie o z n a c z a sięgnięcie po nią na nowo.

Pierce milczał, na wpół ukończonego skręta uniósł do ust.

- Sięganie po tego rodzaju wiedzę w taki sposób, w jaki sięgamy po nią w tej chwili, tak jak ty po nią sięgasz, oznacza rozumienie jej na nowo.

- Hm - mruknął. By uchylić się od jednoznacznej odpowiedzi, skleił i zapalił papierosa. - Hm.

- A nie sądzisz, że oficjalna nauka, ta, która, jak mówiłeś, wygrała z tą starą, poniekąd chowa się pod powierzchnię? Czy przypadkiem te dawne, inne rzeczy nie wydają się dziś bardziej nowoczesne?

- W jakim sensie bardziej nowoczesne?

- Ty mi to powiedz. Chodzi mi o to, że ona więcej obejmowała, prawda? O b e j m o w a ł a rzeczy, które oficjalna nauka pomija.

Telepatię. Intuicję. Inne rodzaje percepcji. Czy nie mówiłeś, że Bruno i tak dalej wierzył, iż Ziemia jest żywa? Przecież jest.

- Ekologia - wymówił Pierce; to pojęcie właśnie przyszło mu do głowy. - Planety Bruna to żywe byty. Uważał, że nasza Ziemia też jest takim żywym bytem poddanym ciągłemu procesowi przemian. Jedno wielkie zwierzę, którego Człowiek stanowi część. Biosfera.

- Tak! - wykrzyknęła Julie. - Tak, i co jeszcze, co jeszcze?

- Monada - odparł Pierce. - Koncepcja, która mówi, że wszechświat stanowi jedność, że wszystko w nim jest ze sobą skrupulatnie powiązane, wzajemnie się przenika. Taniec energii. Współczesna fizyka mówi podobnie. Właśnie dlatego renesansowi magowie uważali, że magia, której się oddawali, naprawdę działa. Dlatego sporządzenie talizmanu mogło odbić się echem we wnętrzu planety.

- Tak!

- Jedność obserwatora i obserwowanego - ciągnął Pierce, rozkręcając się. - Koncepcja, że obserwator, jego sposób myślenia - być może nazywali to jego intencją duchową - potrafi zmienić to, co obserwuje.

- Wpływy - westchnęła Julie, odpędzając dym z papierosa Pierce'a. - Powinowactwa.

- Poczucie tego, co niesamowite, poczucie możliwości. Elektryczność nie wprawiałaby w zakłopotanie tych ludzi. Ani fale rentgenowskie, ani radiowe. Magowie wierzyli w działanie sprawcze na odległość, ale racjonalni naukowcy tamtych czasów odrzucili je.

Później mieli z nim kłopot, kiedy Newton zaproponował je na powrót jako podstawę wszechświata. Newton nazywał je grawitacją. Magowie lubili zwać je Miłością.

- Miłość - powiedziała Julie, a jej oczy zaskrzyły się nieoczekiwanym blaskiem. Pierce'a zawsze fascynowało, jak błyskawicznie się to odbywało. - Widzisz? - dodała.

- Musisz być jednak bardzo o s t r o ż n a - wyjaśnił Pierce - żeby odróżnić...

- Och, jasne, jasne - przerwała mu Julie, a jej czerwony paznokieć zawinął i puścił różki kartek jego konspektu. - Musimy porozmawiać, koniecznie. Żeby nadać temu kształt i ostrość. Ale wiem, że są ludzie, w tej chwili całkiem spora rzesza, którzy chcą usłyszeć te wieści. Dowiedzieć się o tym. - Dłoń kelnera położyła na stole, na neutralnym gruncie pomiędzy nimi, rachunek. Spoczęła na nim dłoń Julie. - I coś ci powiem, Pierce. Taką książkę potrafię sprzedać. Książkę o historii, wyłącznie o historii, nie bardzo.

Pozwoliła, by milczał w zamyśleniu przez dłuższą chwilę, a następnie dodała cicho, bez mała nieśmiało:

- Posłuchaj, Pierce. Wiem, że to zabrzmiało naprawdę głupio, ale muszę już iść na następny lunch.

- Jak to?

- No, nie będę już przecież jadła. Ale to prawdziwe wariactwo, tyle w tej branży załatwia się przy jedzeniu. A przecież nie było mnie przez trzy tygodnie, więc muszę to nadrobić. Dwa lunchy dziennie. Czemu akurat tak? Książki i lunch.

- Nie wiem.

- Nigdy nie udało nam się pogadać. - Poczęła mu się przyglądać z policzkiem na dłoni i zdawało się, że przypomniała sobie pewien dawny uśmiech, którym niegdyś uśmiechała się tylko do niego. - Dużo o tobie myślałam przez te minione parę tygodni. Sporo rzeczy. Zastanawiałam się, czy w końcu wymyśliłeś to trzecie życzenie?

- Nie - odparł. To właśnie będąc z nią począł po raz pierwszy roztrząsać ograniczenia i możliwości trzech życzeń. Nie chciał się przyznać, że to ona, jej osoba, była tymczasowym obiektem trzeciego życzenia, kiedy wyjechała do Kalifornii - i to obiektem licznych jego sformułowań. - Nie. Nie do końca.

- Może teraz - rzekła. - Poznajesz wszystkie te nowe moce.

- To nie dla mnie - odrzekł. - Co miałbym robić, uprawiać sztuki magiczne? - Rzucił na stół serwetkę i wstał. - Musisz pamiętać o pewnej zasadniczej wadzie magii praktycznej, skarbie. Nie działała. - Ona również poczęła wstawać, ale ją ubiegł. - Usiądź, usiądź na chwilę, a ja... Za chwilę pójdziemy. Sekundę.

Usiadła uspokojona naprzeciw swojej zimnej filiżanki. Jej dłoń spoczywała na pokrytych pismem stronach maszynopisu.

Tak naprawdę wcale nie miała na myśli tego, że książka powinna uczyć magicznych procedur. Nie. Znaczenie, zawarty w nich światopogląd, sens duchowy, jaki odkrywały - o to jej chodziło. Praktyki były czymś nazbyt niebezpiecznym. Znała niejedną osobę, która w ten sposób wyrządziła sobie lub innym krzywdę.

Pierce roześmiałyby się, słysząc, jak o tym opowiada.

Cóż za dziwny facet. Kiedyś spytała go, jaki jest pożytek z roztrząsania tych życzeń, chronienia się na wszelkie sposoby, skoro nie wierzy, że można je wypowiedzieć?

On zaś na to odpowiadał: To, że w to wierzysz, nie oznacza, że tak się stanie, skarbie.

Pocziwy Pierce - pomyślała, czując, jak ogarnia ją fala współczucia. Wydaje mu się, że jest taki bystry, taki odporny na złudzenia, niczym daltonista, którego kolor nie jest w stanie omamić. Nigdy jednak nie potrafił dostrzec, że owe moce, o których właśnie rozprawiał, nie wałęsają się po świecie bezpańskie niczym kundle, które tylko czekają na to, żeby je przygarnąć. Były bowiem tworamami dusz, powstały między nimi, były wytworem samym w sobie, zaś powoływanie się do życia stanowiło ich naturę. Jeśli ma się w życiu możliwość stworzenia podobnej mocy, obowiązkiem jest ją stworzyć. A skoro jakimś sposobem się ją otrzymywało, nie działo się to bez powodu. Wszak tym właśnie jest ewolucja.

Pewnego dnia nauczy się tego, pomyślała, jeśli nie w tym życiu, to w przyszłym albo kolejnym. Jest to bowiem zadanie, jakie zostało mu wyznaczone, nawet jeśli nie zdaje sobie z tego sprawy, on, który wie tak wiele innych rzeczy.

Istniał pewien powód, dla którego się tu znalazła, już nie jako kochanka Pierce'a, ale osoba, która zajmuje się jego dziełem. Świat się zmienia, ewoluuje w sposób nowy i przyspieszony, zaś jego ewolucja zależy przy tym od ludzi, ludzi powołujących do życia przyszłość.

Ewolucja. Uczuła napływ subtelnej fali, jak gdyby w jej żyłach płynęła morska piana.

Przez całe lato słyszała o tych odgłosach znad wybrzeża Atlantyku, serii wielkich huków podobnych do uderzenia dźwiękowego, lecz niebędących nim. Telewizja przekazywała sprawozdania na ich temat, ale nie potrafiła podać wyjaśnienia. Nikt nie miał pojęcia, czym były. Członkowie niewielkiej grupy, do której należała Julie, grupy, która utrzymywała kontakt pomiędzy oboma wybrzeżami tyleż za pomocą powiązania myśli i uczuć, co za pomocą telefonów oraz korespondencji, jak jeden mąż zaczęli przypuszczać, że może to być - wyłącznie hipotetycznie - sygnał, iż Atlantyda wynurza się z odmętów - w końcu nadszedł odpowiedni moment. W Montauk Julie stała spalona słońcem na cyplu w słonej bryzie, nabierając pewności, że wkrótce się to dokona. Jaśniejący wierzchołek jej piramidy w każdej chwili może wynurzyć się na powierzchnię, a w ślad za nim, opływając zieloną wodą, jej wieże oraz wały obronne. Wiedziała, że tak będzie, po prostu w i e d z i a ł a.

Wciąż ją odczuwała, ową pewność, tak jak wciąż czuła oparzenie słoneczne na ramionach oraz słodkie napięcie w mięśniach. Powinna mu o tym powiedzieć. Powinna mu również wyznać, że jej pewność sama w sobie stanowi część tego, co przywołuje ów zatopiony świat jak swój swego. Powinna to zrobić.

- W porządku - usłyszała obok siebie głos Pierce'a, który trzymał ręce w kieszeniach i emanował aurą niecierpliwości i skruchy, którą pamiętała z dawnych czasów. - W porządku.

- W porządku - powiedziała. A na rachunku położyła plastikową kartę złotego koloru.

Pojechała taksówką, Pierce zaś udał się do domu pieszo z promieniami wrześniowego słońca na twarzy oraz nową wizytówką Julie w kieszeni (ciemny granat z wyróżniającymi się srebrnymi gwiazdami konstelacji Skorpiona). W dogasającej euforii dwóch szkockich nie potrafił orzec, czy czuje się przybity, czy zwycięski.

Powrót owego maga, niosącego w dłoniach dawną, potężną fizykę z przeszłości, odkodowane tajemne doktryny, liczby piramidy, czy ostatecznie to właśnie musiał sprzedać? Wobec tego to sprzeda. Był taki czas, kiedy nie myślał o niczym innym, gdy stał na dachu przyglądając się, jak brudne sfery niebieskie krążą wokół niego - Ach, rozumiem, pojmuję. Lecz słuchanie, jak owe pojęcia padają z cudzych ust, nieposiadających odpowiednich kwalifikacji, dopasowanych do innego rodzaju świadomości, sprawiało, iż równocześnie brzmiały dziwnie i banalnie, za bardzo i niedostatecznie.

A mimo to czyż nie byli odważni, owi dawni magowie, rycerze Egiptu, czyż nie byli bohaterami? Choć mogli się mylić niemal we wszystkim, co w swoim mniemaniu wiedzieli na pewno, byli bohaterami. Im więcej Pierce czytał na ich temat, tym bardziej stawali się jego bohaterami. Niejaki Agrippa, niejaki Bruno, niejaki Cardanus, który właśnie brał różdżkę, otwierał księgę Hermesa, rył osobliwe geometrie na płytce z dziewiczego wosku. Być może myśleli, że jedynie wprowadzają najbardziej starożytną wiedzę, jedynie cyzelują wypaczone nauki i przywracają im czystość, lecz tym, co w gruncie

rzeczy postulowali, było nowe niebo i nowa ziemia, która w istocie była taka jak nasza.

W niebie Bruna było dziesięć tysięcy demonów, lecz wbrew swym okultystycznym wpływom, wbrew swemu powinowactwu i sympatiom, wszechświat maga działał tak, jak działał, nie dlatego, że ingerował weń Bóg lub Diabeł, ale po prostu dlatego, że taka była jego natura. Był to ogromny a nawet nieskończony wszechświat, ogniwo łączące ducha z materią, w którym związane były wyobrażenia i aspiracje maga, dalece bardziej przepełniony możliwościami niż mały, zamknięty, ożywiony za sprawą relacji Bóg-Diabeł świat ortodoksji, a przy tym naturalny. Prawdziwy mag nie potrzebował wierzyć w czary, ani w cuda dla wierzących, jego wszechświat był bowiem nie tylko na tyle ogromny, by pomieścić powody wszelkich mających miejsce zdumiewających zjawisk, lecz tak bardzo przepełniony mocami, duchami świata, aniołami (będącymi obiektami tak samo naturalnymi jak kamienie czy róże), że wszystko było możliwe, każdy na świecie skutek pożądania bądź woli.

Toteż bez względu na to, jak bardzo magowie mogli się mylić w kwestii jakiegokolwiek z jego cech, a mogli tkwić oni w potwornym błędzie, a przy tym być zdumiewająco naiwni, rozmiar ich świata, a przy tym fakt, że nie tylko nie znali wszystkiego, co w sobie zawierał, lecz z powodzeniem zdawali sobie sprawę z tego, iż nie sposób to wszystko zgłębić, sprawia, że ich umysły podobne są naszym.

I ostatecznie wcale nie tak bardzo niezrozumiałe, ani też niemożliwe do wyrażenia.

No cóż.

W tej chwili przechodził właśnie pod jednym z owych kamiennych lwów, które pełnią straż przed biblioteką publiczną, i usiadł tam na schodku, a z kieszeni wydobył notes. Blask słońca był oślepiający. Zanotował: „Wyruszyć w podróż wstecz do zagubionej krainy, zasłyszanej w dzieciństwie; przekonać się, że jest niezrozumiała, bogata, dziwna. Potem odkryć, że stanowi miejsce, z którego wyruszyłeś”.

Mój Boże, trzeba jednak zachować niezwykłą rozwagę, trzeba być nad wyraz ostrożnym. Czas nie zawraca, nie powraca do punktu wyjścia i nie przywraca przeszłości; tym co wraca do punktu wyjścia jest w o b r a ż e n i e, że czas zatoczy pełne koło i przywróci to, co minione. Była to tajemnica, którą Pierce posiadał, ta, którą musiał przekazać. Czas nie poruszał się po okręgu ale po spirali, zasypiając i budząc się. Jakiś Złoty Wiek, który wydaje nam się nastawać na nowo, smutny upadek, który wydaje się powtarzać, bądź nadejście nowego milenium, w samym akcie percepcji tworzy wszystkie minione Złote Wieki, upadki, odrodzenia bądź milenia, które zdają się powtarzać: *Ach, pamiętam, przypominam sobie*. Wznosimy się ku górze poprzez sfery, które zdają się nas otaczać.

Obudźcie się - to musi stanowić przesłanie jego książki - nie możecie nic począć, dopóki się nie obudzicie. Jak Bruno, który krzyczał, że wschodzi słońce - obudźcie się.

Właściwie to sam Bruno powinien być bohaterem tej książki. Bruno ze swym nonszalanckim obwieszczeniem, Bruno ze swymi bezmiarami i planetami, które płyną poprzez przestrzeń niczym wielkie, łagodne zwierzęta, żywe, tak, żywe. Bruno ze swymi nieskończonymi, niemożliwymi do wprowadzenia w życie systemami zapamiętywania, a tym samym opanowywania wszystkiego na całym świecie - przedsięwzięcie, które ostatecznie może się okazać nie tak bardzo odmienne od przedsięwzięcia Pierce'a. „Umysł w środku wszechrzeczy, zawierający w sobie wszystko to, czego jest środkiem”. Tak! Właśnie tak Pierce to odczuwał - umysł w swym wnętrzu ciasno upakowany tym wszystkim, co kiedykolwiek spostrzegł, niczym nawinięty ciasno na szpulę film Kodachrome, i jak on w kolorze, albowiem jeśli kolorów nie ma w umyśle, nigdzie ich nie ma.

Czy zatem mógł tego nie uczynić? Czy mógł nie bawić się pojęciami, które Julie uważała za komercyjne, pojęciami, które spowodowały ów niespodziewany błysk w jej oczach? Czy mógł tego nie uczynić, i nie dostać za to wynagrodzenia, w tym samym czasie będąc zaangażowanym w inne przedsięwzięcie, to samo, w które był zaangażowany od bardzo dawna? Schwycić niczym w dłoń prawdę jawnie fałszywych opowieści, przypomnieć sobie, tak jak przypomina się sen, ową senną logikę historii, którą wszak sam śnił od dawna, a teraz się przebudził?

Czy jest to możliwe? Tak, a on zamierza tego dokonać. Jeśli głupcy dadzą się nabrać na opowieści, jakie sprzeda, ich sprawa, lecz on był na to zbyt mądry, gdyby bowiem nie znał sposobu, by odróżnić

jedną rzecz, która miała wpływ na inną, znacznie bardziej względną, a nawet sprzeczną, wówczas jego długie katolickie wychowanie, kosztowna edukacja w St. Guinefort i na Noate, poszłyby na marne. Dziękujemy Ci, o Panie (jął bluźnić z radością), że ukryłeś te prawdy przed maluczkimi i odkryłeś je przed mądrymi.

Ostatecznie nie potrafili sprawić, żeby Bruno porzucił swój ogromny świat i w zamian przyjął ich mały światek, toteż w lutym 1600 roku, roku o bielących się cyfrach, wywlekli go z jego celi w Castle Sant'Angelo i, odzianego w białe pokutne szaty, usadzonego tyłem na ośle, powiedli na Campo del Fiori, Pole Kwiatów (Pierce wyobraził sobie przepelnioną wiosennym kwieciami łąkę), gdzie przywiązali go do stosu i spalili.

Ale Pierce nie zostanie spalony. Nie, nawet jeśli sięgał po te same moce, ten sam nieskończony chwyt i wolność, po które sięgał Bruno. W tym tkwiła różnica między przeszłością a teraźniejszością: Pierce nie spłonie na stosie.

- A więc - rzekł Allan Butterman do Rosie i zaprosił gestem dłoni, by siadła, na powrót elegancki w tweedowym garniturze i niebieskiej niczym październikowy dzień koszuli. - A więc do rzeczy.

- A więc - odrzekła Rosie. Obróciła się nieco na fotelu, właściwie czując się podczas swej trzeciej tu wizyty jak u siebie. - Wygląda na to, że wszystko jest w porządku, a on nie ma nic przeciwko.

- Nie ma nic przeciwko?

- Rozmawialiśmy parę razy. W ogóle nie miał ochoty brać pod uwagę żadnych rozwiązań prawnych. Ale ja chciałam, żeby podjąć jakąś decyzję i mieć to już za sobą. A on na to, że jego zdaniem powinniśmy jeszcze to przedyskutować. W każdym razie nie podobał mu się wariant „nie z mojej winy”, w którym to ja odchodzę. Więc wyjaśniłam mu to, co mi powiedziałaś. Jakie mamy opcje.

Z bijącym serem i zaschniętym gardłem, zająkując się przy tym nieco wskutek nadmiaru odbytych prób, wygłosiła swą mowę, wyjaśniając Mike'owi, że jeśli nie zechce partycypować w rozwodzie „bez niczyjej winy”, zamierza podać go do sądu o rozwód z powodu zdrady małżeńskiej. Straszliwa doniosłość tej sytuacji, która równocześnie zdawała się tak iluzoryczna i lekka jak niektóre wielkie sceny filmowe, położyła kres dyskusji tego dnia. Stwierdzając, iż nie jest pewien, czy potrafi zapanować nad swoją reakcją, Mike opuścił Pączkową Dziurkę, ów neutralny grunt, na którym się spotykali w godzinie bezruchu.

Miało to w sobie coś z gry w papier, kamień i nożyce, to odpieranie psychoterapeutycznych strategii Mike'a za pomocą jej nowych strategii prawnych. Czasami, gdy opuszczał ręce, wygrywała, czasami to on wygrywał, ale przynajmniej nie ponosiła stale porażek.

Na kilka tygodni zostawiła sprawę w tym stadium, czując się niczym hazardzistka, która obstawiła dużą stawkę i czeka, aż druga strona stołu sprawdzi ją bądź odłoży karty. Rozważała to przerażające, a zarazem upojne uczucie, poczucie posiadania władzy, a kiedy doszła do wniosku, że dość już się wyczekała, umówiła się na spotkanie z

Allanem Buttermanem, a następnie zadzwoniła do Mike'a, żeby uzyskać odpowiedź: Allan, oświadczyła, będzie musiał wiedzieć, jaką linię działania przyjąć.

Mike zaś okazał się rozsądny. Najwyraźniej stracił zainteresowanie dręczeniem jej tym wszystkim, jak gdyby nie był w stanie podjąć tej gry. Zdawał się - od początku ich separacji czuła, że coraz częściej tak się z nim dzieje - roztargniony, na wpół obecny, w chwili, kiedy odwraca się i mówi przez ramię ze wzrokiem utkwionym gdzie indziej: *Tak, tak*. Rosie przypuszczała, że zna powód, choć ją zaskoczył.

- Ta sama kobieta? - spytał Allan.

- Ta sama - odparła Rosie. - Myślałam, że to będzie tylko przelotny romans. Wygląda na to, że to coś więcej. Chyba go trochę wzięło. Ale w sumie to zawsze Ignął do kobiet. - Dawniej stanowiło to jeden z prawdziwych atutów Rosie: fakt, że Mike Ignął do kobiet, że ona o tym wiedziała, a on nie. Obróciła się w zamyśleniu na fotelu, w którym siedziała. - Ciekawa jestem, czy ciągle znajduje się w swoim Roku Przejściowym Opadania.

- W czym?

- Chodzi o Klimakteria - wyjaśniła Rosie. - To coś w rodzaju nowej nauki, którą wymyśla Mike. Nie potrafię ci wiele o niej opowiedzieć, bo sama do końca jej nie rozumiem. A poza tym nie wolno mi zbyt wiele o niej mówić. To w sumie dość prosty pomysł, a Mike się boi, że jeśli nieodpowiednia osoba o nim usłyszy, ukradnie mu go.

Allan wpatrywał się w nią, lecz zdawało się, iż rozmyśla o czymś zgoła innym niż Klimakteria.

- Chodzi o to, że życie dzieli się na siedmioletnie okresy - ciągnęła Rosie, chcąc przynajmniej uspokoić Allana, że nie mówi od rzeczy. - Co siedem lat człowiek osiąga coś w rodzaju okresu stabilizacji, kiedy jest dość pewny siebie i wszystko kontroluje. Potem, stopniowo, opada w dół, jak po krzywej, przez Rok Przejściowy Opadania; następnie osiąga najniższy poziom a potem następuje Rok Przejściowy Wznoszenia, aż w końcu z powrotem wkracza w okres stabilizacji, siedem lat później. W sensie psychicznym.

- Aha - mruknął Allan.

- Ta teoria poniekąd działa - stwierdziła Rosie. - Można to rozrysować na krzywej. - Teoria faktycznie poniekąd zadziałała; opisała bowiem życie Mike'a lepiej niż jakiegokolwiek inne, do którego ją zastosował. Ale Rosie pamiętała widok własnych wzlotów i upadków odzwierciedlonych w sumie zgodnie z prawdą na wykresie, jaki sporządził dla niej Mike wkrótce po tym, jak opracował Metodę - takim mianem określał swoją teorię, z ową słyszalną wielką literą. Miała w pamięci jego podekscytowanie, a nawet pasję, a przy tym własną, pełną zachwyty aprobatę, pewnej zimowej nocy wiele lat temu... Naraz, całkowicie niespodziewaną falą, niczym stanowiącą wybryk natury powódź, przepełnił ją żal i zakrywszy oczy wydała z siebie szloch.

- Mój Boże - jęknął Allan. - Nie płacz.

Spojrzała na swego prawnika; na jego obliczu malował się zszokowany wyraz współczucia, co powściągnęło napływ jej uczuć.

- Ojej - powiedziała i pociągnęła nosem. - Przepraszam, wybacz, nie mam pojęcia, co mnie napadło.

- Nie, nie - odparł Allan. - Nie, mój Boże, to takie okropne.

Zaśmiała się, a w jej śmiechu znać było odpryski przerwanego płaczu.

- Już dobrze - oznajmiła. - Masz może chusteczkę?

Wyciągnął ku niej całe pudełko.

- Śmiało - zachęcał. - Popłacz sobie. Co za bałwan.

- Allan - powiedziała, wydmuchując nos. - Naprawdę nic mi nie jest. Spokojnie. Co mamy jeszcze do załatwienia?

- Właśnie dlatego nie zajmuję się sprawami rozwodowymi - oświadczył Allan i pomasował się po czole. - Po prostu trudno mi to wszystko znosić.

- Co teraz? - rzuciła Rosie. - Co teraz?

Allan odchrząknął energicznie, po czym wydobył długi, żółty notatnik oraz jeden ze świeżo zatemperowanych ołówków, które zawsze miał pod ręką (nigdy nie były tępe ani krótkie, co on z nimi robił, kiedy się zużywały?), wreszcie poskubał się po uchu.

- No dobrze - rzekł. - Dobrze. Musimy teraz spróbować dojść do porozumienia, ty, Mike, jego adwokat i ja, w różnych sprawach dotyczących twojego życia z Mikiem, i starać się sprawić, żeby było na tyle obustronnie zadowalające, na ile to możliwe, a przy tym na tyle proste, żeby zrozumiał to sędzia.

- No więc zastanówmy się. Zróbmy listę. Po pierwsze opieka nad, nad...

- Sam. Samanthą. Ja przejmę opieką nad dzieckiem.

- Aha. - Nie zanotował tego. - A Mike?

- Jestem pewna, że Mike nie będzie tego żądał. Chociaż nie wyjaśniliśmy tej kwestii do końca.

- Aha.

- To znaczy dla m n i e sprawa jest jasna.

Allan obdarował ją uśmiechem niemal profesjonalnej aprobaty i zanotował.

- No cóż, musisz również mieć jasność co do praw do odwiedzin, utrzymania, procesu podejmowania decyzji w sprawie ubezpieczenia, szkoły i tego, kto kogo informuje, kiedy dziecko idzie do dentysty, do szpitala...

- W porządku.

- Dopóki jeszcze ze sobą rozmawiacie - dodał Allan. - Jeśli załatwią to adwokaci, wzrosną koszty i może się okazać, że otrzymasz ugodę, która nie zadowoli nikogo oprócz samych adwokatów.

- W porządku. W porządku. - Poczwała, jak jej serce napęłnia strach. Sam.

- Dochody? - ciągnął Allan. - Masz w tej chwili jakąś pracę?

- Miałam - odparła Rosie. - Uczyłam plastyki w Sun School.

- A, tak.

- Ale wygląda na to, że w tej chwili mnie nie potrzebują. - Wyglądało na to, że mała szkoła alternatywna, ulokowana w

niewielkim zaadaptowanym młynie w Stonykill, zwijała interes, staczając się w chaos i wzajemne oskarżenia.

- O ile to możliwe - powiedział Allan - będzie chyba najlepiej, jeśli zostaniesz bez pracy. Do czasu ogłoszenia orzeczenia. - W poprzek notatnika przeciągnął linię. - Dobrze. Mienie do podziału...

- W sumie niewiele - stwierdziła Rosie. - Dom, ale szpital zapłacił zaliczkę, no i trzyma hipotekę. Poza tym rzeczy. Zwykle rzeczy.

- Rzeczy - powtórzył Allan, kiwając głową. - Rzeczy

Sposób, w jaki mówił, sprawiał, iż można było odnieść wrażenie, że obciąża słowa jakimś ładunkiem emocjonalnym. Rosie przyszło do głowy, że to jakaś sztuczka czy też zjawisko, z którego w gruncie rzeczy nie zdawał sobie sprawy. Lecz z drugiej strony niewykluczone, że sobie zdawał, może faktycznie odczuwał niedole i ból swoich klientów tak głęboko, jak na to wyglądało. Może, niczym doświadczony ciężarowiec, był w stanie udźwignąć większe brzemie niż większość ludzi. Od jego przylizanych włosów odchylił się pojedynczy kosmyk, zaś oczy na powrót przepełnił smutek. Rosie uświadomiła sobie, że bardzo go lubi.

- Nie dbam o nie - stwierdziła. - Właściwie to niczego nie chcę.

- Oczywiście - odparł Allan. - Wiesz, kiedyś, kiedy rzeczywiście sporo zajmowałem się sprawami rozwodowymi, wszyscy zawsze powtarzali: „Niczego nie chcę, niech ona sobie wszystko bierze, niech on sobie wszystko bierze”. A wiesz, z jakiego

powodu wiecznie wybuchają wszystkie te okropne kłótnie, cały ten ból? Z powodu przedmiotów.

- Jesteś żonaty? - spytała Rosie.

- Kiedyś siadywałem tu i słuchałem, jak ludzie rozdierają szaty nad samochodem, telewizorem, biżuterią, cholernym zestawem mebli werandowych, a ja zastanawiałem się nad tym, jak mały potrafi być człowiek, czyż nie może wznieść się ponad to wszystko? Czy ich miłość nie znaczyła dla nich więcej niż te materialne szczegóły? Minęło trochę czasu, nim zrozumiałem, że miłość tkwi w szczegółach. W książkach i płytach, sprzęcie stereo i kabriolecie. Miłość zawsze tkwi w szczegółach. Z nich również bierze się ból. - Jego oczy, jeszcze smutniejsze, spoczęły na niej, zaś białe dłonie splotły się przed nim. - Nie jestem żonaty - dodał. - To długa historia.

- Zastanawiałam się nad czymś - oznajmiła Rosie i raz jeszcze poczęła obracać się na fotelu. - Znasz ten stary zamek w dole rzeki, na środku, na wyspie?

- Zamek Buttermana?

- To wy go zbudowaliście, to znaczy twoja rodzina?

- Poniekąd. Dalecy krewni. Nigdy do końca tego nie rozgryzłem.

- Podobno należy do mnie. Do mojej rodziny.

- Wydaje mi się, że tak.

Uśmiechnęła się.

- Ugoda go nie obejmuje - dodała, zaś Allan zaśmiał się; po raz pierwszy ujrzała, jak się śmieje. - Odkąd pamiętam, chciałam zrobić

jedną rzecz - wyznała. - Popłynąć tam i wejść do środka. Ale nigdy mi się to nie udało.

- Mnie też nie.

- Miałbyś ochotę któregoś razu? - Wyciągnęła się na krześle. - Jesteś prawnikiem rodziny, i w ogóle.

Stuknął ołówkiem o skórzaną podkładkę na biurko.

- Chciałbym dać ci jedną, dość osobliwą radę - oznajmił. - Wiesz, że nawet jeśli ta strategia „niczyjej winy” przyniesie skutek, minie około roku od daty rozprawy do chwili finału rozwodu.

- Ojej, naprawdę?

- Pół roku po sprawie otrzymasz orzeczenie *nisi*. *Nisi* to po łacinie „pod warunkiem”. Pod warunkiem, że nie zajdzie coś nieprzewidzianego. Potem następuje okres warunkowy - kolejne sześć miesięcy, dla was, żebyście mogli sobie wszystko przemyśleć i dojść do wniosku, że być może wcale tego nie chcecie...

- Hm.

- Albo, co ważniejsze, wnieść zastrzeżenia do ugody. Zastrzeżenia stwierdzające, że druga strona działała niezgodnie z prawdą albo że wyszły na jaw nowe fakty. Powiedzmy, nowe fakty związane z podjęciem właściwej decyzji w sprawie opieki nad dzieckiem.

Rosie milczała.

- Ludzie nie zawsze zdają sobie sprawę z tego, jak czują się na początku - wyjaśnił Allan łagodnym tonem. - Mogą zmienić zdanie. A jeśli faktycznie będą chcieli zmienić zdanie i jeśli

faktycznie zdecydują się zrobić coś innego niż to, na co się zgodzili na początku, wówczas będą szukać podstaw ku temu, by wnieść sprzeciw. A mają na to cały rok. Rozumiesz?

Rosie zaczęła to pojmować; spuściła wzrok, czując zawstydzenie.

- Chodzi mi przede wszystkim o to - dodał Allan tonem jeszcze łagodniejszym - że jeśli tym, czego pragniesz, jest nieskomplikowana opieka nad dzieckiem, to moja rada dla ciebie jest taka: bądź wzorcową samotną matką dopóty, dopóki nie nadejdą te końcowe dokumenty. Jeśli nie wiesz, na czym to polega, wyjaśnię ci. A jeśli nie potrafisz być wzorcową samotną matką - jeśli nie umiesz - to musisz być diabelnie ostrożna, Rosie.

Tego dnia, nim wyjechała z miasteczka, zajrzała do biblioteki, by zwrócić książkę Fellowesa Krafta, którą właśnie skończyła, i wypożyczyć kolejną. Ta, którą oddała, nosiła tytuł Dwór jedwabiu i krwi, zaś ta, którą wybrała, bez szczególnego zastanowienia, była zatytułowana Niebezpieczny rejs. Na jej okładce widniała marina, galeony oraz róża wiatrów. Kiedy wyjechała z Jambs, nastąpiło już późne popołudnie, zapadająca z nagłą jesienna popołudniowa pora.

Rzeczy, pomyślała: samochody, dom i najrozmaitsze przedmioty, wszystko to, czym trzeba się zajmować. Żadne małżeństwo nie może zostać rozwiązane, dopóki nie załatwi się tych spraw. Hm.

Przyszło jej do głowy, że być może Mike uzna to wszystko za poważny problem, lecz Mike był zodiakalnym Koziorożcem, osobą przywiązaną do przedmiotów, toteż pragnienie ich zawsze nawiedzało go jako coś, o czym należy bezustannie myśleć. Bez względu na to, jak wiele ze swej duszy mogła skryć w parze kolczyków bądź inkrustowanym drewnem pudełku, Rosie nieodmiennie unikała przywiązania do rzeczy materialnych. Niekiedy odnosiła wrażenie, że życie jest niczym bieg z przeszkodami, pełne przedmiotów, które się przeskakuje, okrąża, gubi i zapomina. W jej kosmogramie urodzeniowym (wciąż znajdującym się w kopercie z szarego papieru, a w chwili obecnej nieco zgniecionym na tylnym siedzeniu) drugi dom - *Lucrum*, „jak lukratywny”, wyjaśniła Val, „pieniądze, dobytek, prace, tego typu rzeczy” - pozbawiony był ważnych planet.

Słońce zaszło, pozostawiając na bezchmurnym zachodzie szklisty, lawendowo-brzoskwiniowy zmierzch. W górach, ponad autem Rosie, przemaszerowała sarna, podpasając się jabłkami ze starych sadów. Poniżej na rzece opadłe liście płynęły na wschód, tworząc barwne dywaniki w wirach i rozlewiskach oraz u brzegów owego niewielkiego terenu rekreacyjnego będącego własnością Spofforda. Wraz z nastaniem zmierzchu stado migrujących szpaków, powracających do wież zamku Buttermana, utworzyło na niebie ponad budowlą proporzec, który łopotał niczym targany wiatrem, nim ptaki wylądowały, by odpocząć.

Przy świetle lampy Rosie czytała Niebezpieczny rejs, powieść o piratach z południowej części basenu Morza Karaibskiego. Pojawił się

w niej ów mag, który zrobił zdjęcie Shakespeare'a w *Ogryzkach jabłek*, ten, którego kryształową kulę pokazał jej Boney. Pożyczał mapy sir Francisowi Drake'owi, wraz z królową knuł spiski przeciwko Hiszpanom. Rosie jęła się zastanawiać, czy rzeczywiście wszystkie książki Krafta stanowią części jednej opowieści, podzielone i przedstawione osobno, niczym pejzaż, którego widok malarz mógłby podzielić na mniejsze, oprawione oddzielnie obrazki. Anglicy pokonali Hiszpanów, lecz hiszpański król, złowieszczy na podobieństwo pająka w swym zaklętym zamku, obmyślał zemstę. Rosie oddała książkę (po terminie, a przy tym przebarwioną jesiennym deszczem, jako że Sam zostawiła ją na powietrzu) i wybrała następną.

W końcu przeczyta je wszystkie; w poczekalni biura Allana Buttermana oraz w poczekalni sądu i biura rachunkowego (sprawy jej rozpadającej się rodziny stanowiły nieprzenikniony nieład). Będzie oddawać się ich lekturze w kolejkach w banku oraz w Urzędzie Rejestracji Pojazdów Mechanicznych. Będzie je czytać do snu Sam, której w porze spania bardziej zależało na tym, żeby słyszeć spokojny matczyzny głos, mówiący o sprawach dorosłych, niż jakąś opowieść, którą potrafiłaby zrozumieć. Będzie je odkładać, gdy jej oczy poczną zamykać się z drzeniem, często po północy, i sięgać po nie, kiedy się obudzi, nazbyt wcześnie, by wstawać, zanim pani Pisky bądź Sam będą jeszcze na nogach.

Mimo to jednak, w gruncie rzeczy, Rosie nie była zapaloną czytelniczką. Właściwie nie czytała wiele w ciągu swego życia; w

zwykłych okolicznościach gruba książka, długa opowieść, nie stanowiła dla niej jakiejś szczególnej atrakcji. Tylko od czasu do czasu, jak gdyby była to dawna gorączka, jakiej nabawiła się w dzieciństwie, a która co pewien czas dawała o sobie znać, nabierała ochoty na czytanie, a kiedy już jej nabierała, ogarniała ją ona bez reszty. Była to ucieczka - nie miała co do tego wątpliwości. Przy tym nierzadko jasno zdawała sobie sprawę z tego, przed czym ucieka, choć podczas swego pierwszego roku małżeństwa z Mikiem, roku Johna Galsworthy'ego, jeszcze tego nie wiedziała; nie rozumiała też owego pierwszego ataku, poniekąd najcięższego, w roku, w którym jej rodzina przeprowadziła się na Środkowy Zachód, a Rosie przebijała się powoli i po omacku nie tylko przez zbiór dzieł Nancy Drew, lecz również całość przygód pana Moto, a także półkę „Biografie” w miejscowej bibliotece, zgłębiając historie życia, które nie zaskakiwały jako zasadniczo odmienne od literackiej fikcji; nabywając wiedzę na temat faktów, których nigdy do końca nie zatrze w pamięci, ani też dokładnie nie zapamięta, dotyczących Amelii Earhart, W. C. Handy'ego, Edwarda Paysona Terhune, Pearl Mesty, Woodrowa Wilsona oraz mnóstwa innych osób. Owego roku w swym życiu nieustannie chodziła wszędzie, nosząc jeszcze jedno życie, to znajdujące się w książkach, to, które zajmowało ją z większą intymnością; jej codzienność podzielona była na dwie części, czytanie oraz nieczytanie, w sposób całkowity i konieczny, jak gdyby była ona podzielone na czas snu i czas czuwania.

Nie bardziej niż w kwestii czasu czuwania zdarzało się Rosie wydawać krytyczne opinie na temat przeczytanych lektur. Wciągały ją lub nie, a kiedy już do tego dochodziło, nie potrafiła stwierdzić dlaczego. Nigdy w okresie zaczytywania się kryminałami nie przyszło jej do głowy próbować wpaść na trop tego, co zaplanował autor - przewidzieć rozwiązania. Spoglądając wstecz, pewnego razu zdała sobie sprawę, iż w gruncie rzeczy nie zauważyła, że opowieści, które przypadły jej do gustu, były kryminalnymi zagadkami, że każda z nich posiadała jakieś rozwiązanie; gdyby przeczytała choć jedną, która by go nie posiadała, niekoniecznie poczułaby się oszukana. Pomyślała, że to, co prawdziwie przemawiało w nich do niej, było tym samym, co przemawiało do niej w biografjach - poruszały się wyłącznie w jednym kierunku.

Istniał jednak pewien typ powieści, który był inny i wprawiał Rosie w poczucie zakłopotania. Taka powieść, jak się zdawało, pozwalała przeczytać się jedynie do połowy bądź w dwu trzecich, nim zmuszała czytelnika, by wrócił do punktu wyjścia. Wszystkie wydarzenia oraz postacie, jakie pojawiły się w pierwszej jej części, te, które nadały kształt fabule, powracały (niekiedy nawet niemal w odwrotnej kolejności), by ją dopełnić, jak gdyby druga połowa czy też ostatnia jedna trzecia książki stanowiła zwierciadlane odbicie początkowych dwóch trzecich, z zakończeniem identycznym jak początek, z tą tylko różnicą, że było to zakończenie. Problem nie tkwił w tym, że takie książki nie oddawały życia - Rosie nie miała pojęcia, czy je oddają, czy też nie - ale jeśli je oddawały, wówczas zachodziło

prawdopodobieństwo, że życie również posiada swą zwierciadlaną połówkę, że jego jednokierunkowość stanowi iluzję, zaś Rosie nie wiedziała, czy tak jest, ponieważ nie wkroczyła jeszcze w tę drugą, pobieżną końcową część własnego życia.

Pewnego razu, kiedy kupiła jakąś powieść na wyprzedaży rzeczy używanych, natrafiła na pożółkłą gazetową recenzję przyklejoną do skrzydełka okładki. Recenzja była dość pochlebna, choć wyrażała niezadowolenie z powodu nieco mechanicznej fabuły. Kiedy Rosie przeczytała powieść, stwierdziła, że należy ona do tych, które posiadają ową zwierciadlaną końcową jedną trzecią. A więc (ze zdumieniem skonstatowała) tym, co dostrzegała przez cały czas, nie rozumiejąc, co miała na myśli wypowiadając to słowo, była f a b u ł a - coś, co w jej mniemaniu posiadały powieści, lecz nie biografie. Teraz to zrozumiała.

Mimo to jednak wciąż nie wiedziała, do jakiego stopnia życie przypomina powieść w tym, że posiada fabułę, symetrię, rozkłada się na części, z których dłuższa wiedzie do wewnątrz, krótsza zaś z powrotem na zewnątrz. Z pewnością było coś mechanicznego w tym obrazie, ale jak dotąd, nie sposób było stwierdzić, czy życie faktycznie jest mechaniczne i symetryczne, czy też nie. Nie ulegało, rzecz jasna, wątpliwości - kiedy zasiadała z powieścią Krafra w ręku, wyczekując po rozmaitych biurach, aż jej sprawa rozwodowa posunie się naprzód - iż nie jest to pytanie akademickie; dochodziła bowiem do wniosku, że równie dobrze i ona może znajdować się w połowie własnej historii (o ile posiada ona jakiś wyznacznik połowy) i że

odtąd, od chwili pozbycia się swego męża, ustanawia jedynie podstawy jego późniejszego i nieuniknionego ponownego pojawienia się w niej. Wszak była to również i jego historia.

Kraft nie był w tej kwestii zbyt pomocny. Pomijając obroty toczącego się zawsze naprzód w jego książkach koła historii - toczącego się (z niemal słyszalnym pohukiwaniem i pomrukiem) z odległej przeszłości ku tej nieco bliższej, wyłącznie w jednym kierunku - same historie, które opowiadał, niejednokrotnie posiadały lustrzaną fabułę. *Ogryzki jabłek* miały taką właśnie strukturę: w samym środku powieści ów mag, czy też naukowiec, stworzył diagram horoskopu młodego Willa i umieścił w nim jego planety, po czym orzekł, że o ile Will nie zdecyduje się wznieść na wyżyny, nie zdoła utrzymać się jako aktor teatralny. Odtąd zaś, scena po scenie, książka z niezwykłą zgrabnością posuwała się do tyłu. Rosie przewidziała, że tak się stanie (wykrzykując przy śniadaniu głośne „O, nie” w geście komicznej konsternacji, aż Boney uniósł swą pochyloną głowę, by się przekonać, co takiego sprawiło, że wydała z siebie podobny okrzyk), gdy tylko Simon Hunt - dawny nauczyciel Willa ze Stratfordu, który ulotnił się, by zostać księdzem - zjawił się przed młodzieńcem w Londynie.

Tym razem to Hunt był osaczony; zaszczuty Hunt, jezuita, za którego głowę wyznaczono cenę. Will, jakkolwiek przez haniebny ułamek sekundy poczuł pokusę, by go wydać, ratuje przerażonego księdza, w krytycznym momencie ukrywając go na oczach patrolu

Walsinghama na scenie, w roli komicznego mnicha, którego w antypapieskiej sztuce diabły zaciągają do piekła.

Scena nadaje się do filmu, pomyślała Rosie.

Pod koniec zaś Will odbywa tournée na prowincji i ponownie zjawia się w Stratfordzie nad rzeką Avon; jako siedemnastolatek czuje się dorosły, wyrobiony życiowo, a przy tym znużony aktorstwem. Ostatnia długa scena z jego utemperowanym ojcem - równo, niemal na tę samą liczbę stron, oddalona od zakończenia książki co owa pierwsza konwersacja od jej początku. Wracaj do domu, Will. Wybacz mi, wybacz.

Mimo to jednak - Rosie zastanawiała się, w jaki sposób udało się osiągnąć ten efekt - w owej perfekcyjnej symetrii scen nie było przygnębienia, jakie odczuwała podczas lektury innych książek; wszystko to było w jakiś sposób zachęcające. Niewykluczone, że sprawiła to jej wiedza, nabyta poza kartami książki, na temat dalszych wydarzeń historycznych, których zamieszkujące ją postacie nie mogły znać; ani John Shakespeare, ani James Burbage (żegnający się z Willem przy wozie z rekwizytami na dziedzińcu przed gospodą w Stratfordzie i ocierający pełną życzliwości łzę, w duchu ciesząc się jednak, że pozbył się owego wysokiego młodzieńca), ani sam Will Shakespeare, kierujący się ku swemu domowi na High Street.

Oto nadeszła pora, by się ustatkować; czas zająć się ojcowskim fachem, przyzwoitym, choć niezbyt ciekawym, który mógł jednak zapewnić spokojną starość.

Mógł przy tym zapewnić - Will poczuł, jak serce bije mu szybciej, choć jego duże, spokojne stopy czuły się znakomicie na owej High Street - utrzymanie dla żony i synów. Ciemnookiej kobiety ze Stratfordu.

A jeśli będzie systematycznie pracował, być może pewnego dnia usunie z trwałej pamięci miasteczka swoją przygodę w Londynie i zjedna sobie opinię dobrego obywatela, chluby Stratfordu, może nawet dżentelmena.

Will ruszył ku drzwiom ojcowskiej komnaty z dłonią na rękojeści zawieszzonego przy boku wyimaginowanego szlacheckiego miecza. Na dziedzińcu przed gospodą aktorzy Burbage'a ustawiali scenę do owej starej sztuki o Cezarze, którego zadźgano nożami na Kapitolu.

Ech, ckliwości, ckliwości, pomyślała Rosie, niemal śmiejąc się z przyjemnością, bowiem tam, na dole ostatniej strony, napisane było wielką literą nie „KONIEC”, ale

POCZĄTEK.

Jedno jagnię padło. Niczym mokra bryła leżało przy swej matce, która bezmyślnie się doń tuliła. W głębi szopy jedna z owiec padła podczas porodu; obok niej jagnię, które przeżyło, próbowało ssać. Spofford uniósł swoją latarnię, w świetle której widać było jego kłębiący się oddech, po czym starannie je policzył, tak znużony, że niemal stracił rachubę. Reszta była w porządku. A zatem: jedna martwa owca, gotowa do karmienia matka, i jedno osierocone jagnię. Ale owca nie dopuści do pokarmu owej sieroty; uniemożliwia to jakiś instynkt, zapach czy coś takiego. Toteż pozbawiony matki osesek będzie przymierać głodem, póki Spofford nie zacznie karmić go z ręki.

O ile nie wypróbuje pewnej starszej metody, o której usłyszał od kogoś, kto... Nie pamiętał od kogo. W jego pamięci tkwił mętny obraz jakiegoś wiekowego pasterza, który nauczył się tego od swego poprzednika, i tak dalej, wiele lat wstecz. Dobrze więc.

Otworzył nóż i pracując śpiesznie, bez mała automatycznie, jak gdyby robił to już przedtem wielokrotnie, zdjął cienką i wilgotną skórę z martwego jagnięcia, ściągając ją i odcinając. Trzymając ją w dłoni, uniósł osierocone jagnię, a owinąwszy je w ów pożałowania godny pled ze skóry jego kuzyna, położył je obok matki martwego.

Tamta, na tyle, na ile mogła, obadala je; obwąchała i uznała za własne. A wobec uporczywości przebranego malca pozwoliła mu ssać pokarm - pozwoliła mu żyć.

I co ty na to, dziwił się Spofford, umazany krwią aż po rękaw swego kozucha.

- No i co ty na to - wypowiedział głośno, dobudzając się.

Nie była to lutowa noc, pora jagnienia, lecz grudniowy ranek. W nocy prószyło, pierwszy śnieg tego roku; białe światło przepełniło poddasze jego chaty, toteż nie podnosząc nawet głowy wiedział, że spadł śnieg.

A niech to (pomyślał, odwracając się), czasami potrafią być przekonujący. Tak bardzo przekonujący.

Usiadł, po czym obiema dłońmi podrapał się po głowie. Jego kozuch, czysty, wisiał na kołku. Zaśmiał się głośno: to była świetna sztuczka z tą owcą. Zastanawiał się, czy się uda. Na tyle, na ile pamiętał, nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszał, choć jako chłopiec pewnego razu karmił z ręki osieroczone jagnię. Z pewnością ów wiekowy pasterz (o jabłczanych policzkach, z ogryzkiem fajki i włosami niczym owcza wełna), którego radę przypomniał sobie we śnie, nie był osobą, którą znałby na jawie - całkowite zmyślenie.

Przy śniadaniu postanowił, że wypyta jednego czy dwóch znanych mu owczarzy we wsi o to, czy owa nagła zamiana jest możliwa. Czy jest to znana stara sztuczka.

A jeśli jest?

Zmywając, powziął kolejne postanowienie. Wyglądało na to, że jest to dzień brzemienny w znaczenia: ów sen, to śnieżne światło, jakieś odmęty, które zdawały się w nim rozwarte tylko na ten dzień, a przy tym możliwe do zgłębienia. Toteż kiedy upora się ze swymi domowymi obowiązkami, pojedzie odwiedzić Val w jej Chatce, z którym to zamiarem nosił się już od dawna. Dłubiąc w zębach ością z pstrąga, którą trzymał wyłącznie w tym celu, sporządził w myślach zarys pytań do zadania: jakiej to rady potrzebuje i w jakich sprawach.

Ustronna Chatka Val w Shadowland była zamknięta przez całą zimę. Val nieodmiennie odnosiła się do tego tak, jak gdyby to ją samą zamykano na trzy miesiące: „Zamykam się na Święto Dziękczynienia”, mawiała. „Będę zamknięta do Wielkanocy”. I w jakimś sensie ona również pozostawała odizolowana. Gdy tylko pojawiły się znaczniejsze opady śniegu, rezygnowała z jazdy samochodem; jej garbus (do którego ogromna Val pasowała wręcz idealnie, niczym rosły klaun w cyrku do maleńkiego samochodziku) zamieniał się na podjeździe w bezkształtne białe wzniesienie i dopiero gdy wiosną utracił swe bałwankowe okrycie, ponownie go uruchamiała. Przez ten czas zarówno ona, jak i jej sędziwa matka, która także mieszkała w Chatce, były zależne od telefonu, od troskliwości tych, którzy przechodzili w pobliżu, oraz pewnej zdolności do hibernacji, sztuczki pozwalającej żyć letnimi przyjemnościami, zajęciami, plotkami oraz wiadomościami niczym zapasem nagromadzonego tłuszczu. Nawet jej rzeczywista tusza

zdawała się nieco kurczyć, kiedy w okresie poprzedzającym równonoc dni stawały się dłuższe.

Chatka to niski, biały, piętrowy dom z drewna nad rzeką Shadow, niemożliwy bez mała do odnalezienia pomiędzy dwiema drogami gruntowymi - jego szyld oraz umeblowanie prawdopodobnie trwały niezmiennie od trzydziestu lat. Spofford często zastanawiał się, a nigdy nie znalazł sposobu, żeby się tego dowiedzieć, od jak dawna Chatka nie jest już domem publicznym. Bowiem to, że nim niegdyś była w ludzkiej pamięci, wywnioskował z kilku wskazówek rzucanych przez miejscową ludność, z ogólnego rozplanowania domu (bar i restauracja od frontu, łączące się z salonem znajdującego się na tyłach mieszkania, oraz kilka obecnie niewynajętych pokoiów na górze i w ocienionym przez sosny skrzydle), jak również z charakteru matki Val, Nanny, którą - obecnie będącą na emeryturze i (według Val) pełniącą głównie rolę krzyża, który Val musi dźwigać - Spofford bez trudu potrafił sobie wyobrazić jako wiejską burdelmame, choć nigdy nie znał żadnej wiejskiej burdelmamy (a przynajmniej nie w tej wsi). Teraz poświęciła się specjalnej komunikacji z Bogiem i wygadywaniu łągarstw dotyczących swej przeszłości, co sprawiało, że Val prychała i odzywała się do niej niegrzecznie. Obie od zawsze mieszkały razem.

- Do jutra stopnieje - stwierdził Spofford. - Ale i tak przywiozłem to wszystko. Włóż do spizarki. - Były to podstawowe artykuły żywnościowe i delikatesy oraz karton kentów, o który prosiła, a także sznurowa siatka pomarańczy.

- Odśnieżali coś? - spytała Val. Posiadała jedynie dość niejasne pojęcie o realiach zimy, ale lubiła o niej rozmawiać. - Nie? A ty przyjechałeś tu z tym wszystkim? Mój Boże, odważniak z ciebie!

Spofford zaśmiał się.

- Val, nie ma nawet tyle śniegu, żeby wypełnić bieżniki opon.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, uznając te słowa jedynie za skromność, po czym pokazała przywiezione rzeczy matce.

- Patrz, mamó. Co ty na to?

- Dobry z niego chłopak - odezwała się leżąca obok niej w łóżku mama. - Bóg ofiaruje mu coś szczególnego.

- Wciągaj w to Boga - mruknęła Val. - Niech Bóg mu podsunie szczęśliwy los na loterii.

- Nie kpij sobie.

Obie dzieliły łóżko Val, znajdujące się na wprost wielkiego, włączonego telewizora - leciała jakaś telenowela, którą Val regularnie oglądała. Zawinięte przed zinnem w kołdrę, opierając się o ustawione za ich plecami poduszki i mając pod ręką dzbanek kawy, właściwie nie leżały już w łóżku ani też całkiem z niego nie wstały; należały do osób, które długo się wylegują i późno wstają. Na łóżku, obok programu telewizyjnego, „Kuriera Faraway” oraz jakichś plotkarskich czasopism, znajdowała się tacka z psim śniadaniem, zaś pies, mały pekińczyk o identycznej fryzurze i ujmującym wyrazie twarzy malca z kreskówki, po którym otrzymał imię, szczeknął i zasapał na Spofforda.

- No więc - odezwała się Val i zaśmiała się swym niskim, zaraźliwym śmiechem; miała zwyczaj śmiania się w ten sposób z niczego, okresowo, jak gdyby wokół niej bezustannie odbywała się wesoła zabawa. - Twój kosmogram, zgadza się? Przyjechałeś po kosmogram.

- W pewnym sensie - odparł Spofford.

- Nie jest jeszcze gotowy.

- Trudno.

- Jest prawie gotowy. Chcesz zobaczyć? Dennis! Zabieraj łapkę z jedzenia. Ojej, popatrz, co narobił. - Uniosła swego przywodzącego na myśl motelkę do kurzu psiaka i owinęła się szenilowym szlafrokiem; podniosła się, przekrzywiając papierosa w kąciku ust i mrużąc oczy na unoszący się dym. - Chodź zobaczyć.

W rogu salonu obok lampki znajdował się rozstawiony stolik karciany, przy którym Val pracowała. Pomędzy dwoma tłuściutkimi chińskimi mędrkami ze steatytu leżały jej efemerydy, tabele oraz przewodniki. Kubek pełen kolorowych ołówków, czerwona plastikowa linijka, busola oraz kątomierz przywodziły na myśl pracę domową uczennicy, ale dla Val nie była to zabawa. W Faraways cieszyła się uznaniem; spora część jej dochodu pochodziła ze stawiania horoskopów; byli tacy, którzy nie wykonaliby żadnego ruchu bez zachęty z jej strony. Mogła iść o zakład, że po pomoc przychodzi tu co najmniej tylu co do jakiegokolwiek gabinetu pastora w okręgu, a przy tym wyznawali jej swe lęki, a nawet wypłakiwali się na jej wielkim udzie.

Postawiła Dennisa, który otrząsnął się dokładnie od głowy po koniuszek ogona; spod kalkulatora wyciągnęła diagram Spofforda oraz jakieś kartki papieru maszynowego pokryte nagryzmołonymi cyframi.

- Matma mnie wykańcza - jęknęła. - Po prostu mnie wykańcza. - Usiadła, by przyjrzeć się swemu dziełu, gestem dłoni pokazując Spoffordowi, żeby również usiadł na owym obitym perkalem krześle z klonowego drewna, po czym przysunęła sobie do boku popielniczkę.

Val doskonale wiedziała, że istnieją tysiące sposobów wykonywania tego, co właśnie wykonała, a przy tym dalsze nieskończone obliczenia, jakim można się było oddawać, o ile posiadało się ku temu cierpliwość oraz odpowiednie umiejętności; dla niej jednak nie były one użyteczne. Prowadziła swe wyliczenia wyłącznie do momentu, w którym zaczynała obejmować kosmogram urodzeniowy wewnątrz, czy też swym wewnętrznym zmysłem, który stanowił to, co sprawiało, że była w tym dobra. A gdy owo spotkanie dochodziło do skutku, jej matematyka zaczynała przynosić owoce, planety w swych domach nabierały sensu, zaczynały odwracać się ku sobie twarzami bądź odwracać się od siebie, egzaltowane, dostojne, przygnębione bądź zdezorientowane; ów miniaturowy papierowy wszechświat nabierał życia, zaś Val mogła rozpocząć pracę.

Nazywało się to „rektyfikacją kosmogramu”. Dla Val powód owej rektyfikacji był oczywisty: skoro wszystkie dzieci, jakie urodziły się o jednej godzinie we wszystkich szpitalach jednego miasta, były

pod wpływem identycznych sił astralnych, to czy ich losy i fortuny będą się różnić od siebie (że będą się różnić, było pewne) tylko nieznacznie, czy zasadniczo, wszak każda dusza na Ziemi różni się od innej nieznacznie bądź zasadniczo, owa różnica zaś nie może być ujęta w samym tylko dokładnym ulokowaniu symboli planetarnych w schemacie domów. W każdym razie, na tyle, na ile Val potrafiła ocenić, dokładność wyliczeń można było ciągnąć w nieskończoność, a przy każdym kolejnym w owych wyliczeniach kroku naprzód wszystko mogło ulec zmianie, planety danej osoby mogły przesunąć się z jednego znaku bądź domu do drugiego, przeciwieństwa mogły zostać zanegowane, kwadraty zmienić się w pozbawione znaczenia równoległoboki.

Nie, tym co nieodmiennie miało większe znaczenie niż dokładność, większe niż matematyka, było z r o z u m i e n i e: rosnące przekonanie, że wszystko zostało prawidłowo ujęte, że posiadało sens. Ach, spójrz tutaj, Merkury znajduje się w koniunkcji z Saturnem w siódmym domu, oczywiście; a twoja matka musiała mieć Księżyc w znaku Bliźniąt, oczywiście, że tak. Kiedy owe dwanaście domów stało się w umyśle Val nie klinami jakiegoś abstrakcyjnego diagramu kołowego - a przy tym nie czyimiś domami, ale domami konkretnej duszy, domami, które bez względu na to, czy waliły się, lśniły marmurami, czy też były posępne i okolone murem, nie mogły należeć do nikogo innego - wówczas, i tylko wówczas, zaczęła mówić.

- Domy - zwróciła się do Spofforda. - Horoskop składa się z dwunastu domów, a każdy z nich zamieszkują planety. Dwanaście przedziałów życia, dwanaście różnych rodzajów tego, co niesie ze sobą życie - tym są domy; oddziałuje na nie siedem rodzajów ciśnień, sił, czy też wpływów - tym są planety. Widzisz? A teraz, w zależności od tego, kiedy i gdzie się urodziłeś i jakie gwiazdy wschodziły właśnie wtedy ponad horyzont, układamy domy od jednego do dwunastu, w przeciwną stronę do ruchu wskazówek zegara, stąd, od punktu, w którym się urodziłeś.

- Hm - mruknął Spofford.

- Cała sztuczka polega na tym - ciągnęła Val - że ten wykres składa się z pór, podobnie jak domy; a my musimy umieścić je tak, żeby pasowały.

- Pierwsze trzy domy, stąd dotąd, są pierwszym kwartałem: pierwszą ćwiartką, widzisz? Ponieważ dwunastka składa się z czterech zbiorów trójek, zgadza się? Pierwszym kwartałem jest świt. I wiosna. I narodziny. Rozumiesz? - Z wymiętej paczki wydobyła kolejnego papierosa i zapaliła go. - Dobra. Pierwszy dom nazywa się Vita: to po łacinie, ofiaro, nie wpadłbyś na to. Vita: Życie. Dom Życia. Mały Spofford przychodzi na świat i rozpoczyna swoją podróż.

Mówiła dalej, wskazując Spoffordowi, gdzie leżą jego planety, w których domach, czy czują się tam dobrze, a nawet wspaniale, czy też zupełnie przeciwnie, i cóż takiego może to zwiastować dla jego przeznaczenia, szczęścia i Rozwoju. Słuchał chętnie, zaintrygowany i zadowolony, słysząc, że mówi się o nim w sposób tak

uporządkowany; jego nieokreślone „ja” ujęte jest w zgrabnych geometriach, zaś na ogół mroczny odcień jego duszy (jakim go zwykle postrzegał) rozszczepiony przez pryzmat kosmogramu na spektrum przejrzystych barw, niektórych o szerokim paśmie, niektórych o wąskim.

- Co to takiego? - spytał. Jakaś linia biegła od Saturna w jego własnym domu, dwunastym - *Carcer*, Więzienie - i łączyła się z Wenus, tuż naprzeciw, w szóstym domu.

- Opozycja - wyjaśniła Val. - Wyzwanie. Saturn w dwunastym domu może oznaczać izolację. Samodyscyplinę. Samotność, mroczne pustelnicze sprawy. Aha. Naprzeciw Wenus w Valetudo, w szóstym domu, który jest swego rodzaju domem służebnym, tutaj, oznacza wnoszenie harmonii w życie innych ludzi. Czasami za sprawą interwencji wtrącasz swoje trzy grosze i pomagasz. Rozumiesz?

Spofford spojrział na tę przepychankę.

- I kto wygrywa?

- Któż to wie? To jest właśnie wyzwanie. - Machnięciem dłoni rozwiała unoszący się przed nią dym. - Ale to nie wszystko. Spójrz: tu jest Mars, tuż obok w siódmym domu, to *Uxor*, Małżonka; a stary Mars jest trygonem z Saturnem w tym miejscu, a kiedy dwie planety w opozycji mają trzecią, jest to sekstyl do jednej i trygon do drugiej, to się nazywa Opozycją Harmonijną (Łatwą). Harmonijną, ponieważ bez względu na to, jak trudna jest opozycja, jest ona równoważona przez wielką wagę trzeciej planety.

- Mars w *Uxor*! Może oznaczać rozpoczęty pod wpływem impulsu romans, z którego nigdy się nie wyplątałeś. Taki, w którym jest sporo krzyku, rozumiesz? Albo może znaczyć prawdziwie silnych partnerów w małżeństwie, kumpli na całe życie. To zależy od ciebie.

Skończywszy wyjaśniać to, co na razie wiedziała, Val skrzyżowała przed sobą na stole dłonie.

- No cóż - odezwał się Spofford.

- Cóż.

- W zasadzie - zaczął, ściągając czapkę - to miałem nadzieję, że dowiem się czegoś o przyszłości

- Tak?

- O pewnej kobiecie. Jakie mam szanse. Jak to wygląda od tej strony.

- Jakiej znowu kobiecie? Hej, spokojnie. Nie chcę wiedzieć, jak ma na imię. Ale w sensie astrologicznym. Spod jakiego jest znaku?

- Nigdy tego nie pamiętam. Zdaje mi się, że spod Ryb.

- Przede wszystkim, Ryby i Baran nie są za dobrą parą - stwierdziła Val. - Ale jest tyle czynników.

- Nie są za dobrą parą?

- Ogień i woda - wyjaśniła Val. - Pamiętaj. Baran jest najmłodszym znakiem. Ryby najstarszym.

Spofford przyjrzał się wykresowi, który Val obróciła w jego stronę. Wydawało się, iż potrafi w nim uchwycić wszystko to, co w tej chwili potrzebował wiedzieć. Saturn, siła melancholii, jego mały

domek; szary smutny kamień, podobny do tego, jaki tak często zdawał się czuć we własnej piersi. Samotność.

Lecz Wenus, odpowiedniczka Saturna o łagodnym uśmiechu... Stara dusza, powiedziała kiedyś do niego Rosie, wesoła stara dusza, w dawnym znaku wodnym. Już podjął działanie: będzie też o nią walczył, jeśli walka może pomóc. I Mars, ognisty, jego planeta, zamieszkał ów dom ujmujących małżonek (naznaczony blizną wskazujący palec Spofforda dotknął znaku ♂); a czyż on, Spofford, nie był wojownikiem? Może mógłby otrzymać tu jakąś pomoc, jeśli do tego dojdzie. Jak GI Bill.

Wobec tego świeć dalej, pomyślał, świeć dalej.

- Nie wygląda źle - stwierdził, podnosząc się. - Wygląda całkiem w porządku.

Kiedy odjechał, Val siedziała przez chwilę z dłońmi złożonymi przed sobą, a następnie z podbródkiem na zgiętej w miseczkę dłoni, po chwili zaś z obiema dłońmi splecionymi za głową.

Rosie Mucho powinna mieć się na baczności, pomyślała. Ten facet zastawił na nią sidła. Ma przy tym Księżyc w znaku Byka, obsesyjna zachcianka. Lepiej, żeby Rosie była na to gotowa.

Obróciła się w fotelu. Za nią na półkach znajdowało się kilka staroświeckich segregatorów na listy, takich, które mają pomarańczowe tyły oraz czarno-białe, nakrapiane grzbiety, niewielkie mosiężne zaciski, którymi się je zamyka, oraz skórzane jęczyczki po bokach, za które się je wyciąga. Wybrała jeden z nich, otworzyła go i

po chwili przeszukiwania jego zawartości wyjęła dwunastoczęściowy kosmogram kołowy podobny do tego niedokończonego, który objaśniała Spoffordowi, ale zupełnie inny, inne domy, inni goście, inaczej rozmieszczeni. Położyła go obok tamtego, po czym, masując brew jedną dłonią i bębniąc palcami drugiej, przyjrzała się uważnie obu.

Ryby: Miłość i Śmierć. Takie właśnie zdanie miała Val o tym znaku. Chopin był spod Ryb. Tyle tylko, że był tu zdroworozsądkowy ascendent, Byk z Wenus w Domu Życia.

No cóż, to dobra dziewczyna, i być może spadkobierczyni, ale trochę szalona, bardziej nawet, niż zdaje sobie z tego sprawę. Księżyc w znaku Skorpiona: Skorpion to Seks i Śmierć.

Lepiej niech będzie ostrożna.

Śnieg wciąż prószył, opady stawały się coraz bardziej obfite, w ciągu dnia i przez noc; przed świtem wyjechały wielkie pługi, płynąc niczym duchy za swymi jasnymi światłami; ich łopaty rozrzucały na boki kilwatery śniegu. Nazajutrz, gdy nareszcie zaświeciło słońce, wszystko było nimi starannie spowite; owce Spofforda nie były tak krągłe, tak bielutkie i miękkie jak wzgórza i lasy widziane z okien Arkadii, w których Rosie stała w oczekiwaniu.

- Pst - mruknął wysoki kaloryfer.

- Pst - odparła Sam, na wpół ubrana w swój zimowy kombinezon, ale całkiem gotowa do wyjścia, tak że Rosie musiała tylko okryć jej górną połowę i wystawić ją za drzwi. Rękawy i kaptur

kombinezonu zwisały niczym zwierzęca skóra, którą Sam właśnie zrzuciła.

- Psst - powtórzył kaloryfer.
- Pssst - odpowiedziała Sam i zaśmiała się.
- Jest! - stwierdziła Rosie z wdzięcznością. - W samą porę.
- Pokaż.

Rosie podniosła ją, żeby mogła popatrzeć na niewielki czerwony samochód, który zawracał właśnie przy bramie, wpadając w nieznacznym poślizgu na piętrzących się na podjeździe pozostałościach po niedbałych działaniach pługu śnieżnego.

- Mam nadzieję, że są ostrożni - powiedziała Rosie do Sam, podnosząc syjamskiego bliźniaka, jakim był jej kombinezon, i wsuwając weń dziewczynkę.

- Jest ślisko.
- Właśnie.
- Tata potrafi jeździć.
- Naprawdę?
- Ty też mogłabyś pojechać.
- Nie dziś. Do zobaczenia.

Rosie popędziła córkę przez cały dom do przedsionka i rozwarła ciężkie frontowe drzwi. Na podjeździe czerwony samochodzik pracował na biegu jałowym, trzęsąc się, jak gdyby z zimna, i dyszał białym dymem z rury wydechowej. Mike ostrożnie podszedł do domu, wyciągając ręce dla utrzymania równowagi.

- Cześć.

- Cześć. Wszystko w porządku? Cześć, Sam. Hej. - Podniósł do góry swoją opakowaną niczym zawiniątko córkę i uściskał ją; Rosie, obejmując się z zimna w otwartych drzwiach, czekała na ich dialog. Sam miała do przekazania wiadomości. Mike słuchał.

- Co dziś będziecie robić? - spytała w końcu Rosie. - Jaki jest plan?

- Nie wiem - odparł Mike, nie patrząc na nią, ale na Sam, której palce znajdowały się w jego wąsach. - Może ulepimy bałwana, co? Albo zbudujemy śnieżną fortecę?

- Dobra! - uradowała się Sam, wierząc się, żeby ją opuścić na ziemię. - Albo śnieżny samochód! Albo śnieżny hopsital.

- Hej, ale nie tutaj - odparł Mike. Postawił ją. - Pojedziemy do domu i tam go zrobimy.

- Ejże - rzuciła mu ostrzegawczo Rosie.

- W porządku.

Wręczyła Mike'owi zapinaną na zamek torebkę.

- Kocyk. Butelka na później. Nie dawaj jej w niej mleka, kiedy przysypia; tak powiedział dentysta. Książka. I takie tam.

- Dobrze - przytaknął Mike. - Gotowa?

Sam, stojąc pomiędzy nimi, popatrywała to na jedno, to na drugie, wciąż nienawykła do podobnego wyboru.

- Na razie, Sam. Do zobaczenia.

- Chodź, Sam, mamie jest zimno w drzwiach. Dajmy jej wejść do środka.

Sam wciąż nie potrafiła dobrowolnie skierować się do wyjścia, toteż w końcu Mike z wesołym „Siuup!” ponownie podniósł ją do góry i poniósł niczym pirat, dając niemal nura na przysypanej śniegiem ścieżce. Samochodzik zakrzuszył się. Mike wsunął się do środka po stronie kierowcy, wpychając Sam przed sobą - pewnie w nim trochę ciasno, pomyślała Rosie, ale wiedziała, że Sam lubi ten samochód.

Pomachała. Pa, pa. Uśmiechnęła się. Pomachała raz jeszcze, gestem dorosłego, do samochodu, bez urazy. Weszła do środka i zamknęła drzwi. Ostatni podmuch schwytanego zimowego powietrza popłynął przez przedpokój.

Na jego końcu, z rękoma za plecami, stał Boney.

- W zasadzie nie mam nic przeciwko temu - stwierdziła Rosie. - To trochę tak, jakby mieć dobrego opiekuna do dziecka. Za darmo. - Nie wypuściła się z uścisku własnych rąk, wciąż ją obejmowały. - Przedtem nigdy nie spędzał z nią tyle czasu. Nigdy tak się nie starał, żeby sprawić jej przyjemność.

Boney skinął głową powoli, jak gdyby rozważał tę kwestię. Miał na sobie wiekowy sweter z golfem, którego nazbyt rozciągnięty kołnierz ukazywał sterczącą zeń jego własną żółwią szyję²³.

- Masz jakieś plany na dziś rano? - spytał.

- Nie.

- No cóż - mruknął, zastanawiając się. - Chciałbym prosić cię o radę w pewnej kwestii. Porozmawiać o czymś.

²³ Nieprzetłumaczalna gra słów: w języku angielskim golf jako element garderoby to „turtle neck” - dosłownie „szyja żółwia”.

- Jasne, oczywiście.

- Słucham?

- Powiedziałałam „jasne” - powtórzyła Rosie, uwalniając się z własnego uścisku i podchodząc do Boney'ego, by nie zmuszać go do krzyku. - Oczywiście. Co to takiego?

- Jeśli na pewno nie masz nic innego do zrobienia - powiedział Boney, przypatrując jej się uważnie.

- Nie mam - odparła Rosie z uśmiechem, przyjmując ramię, które jej podał, i delikatnie je ściskając. - Przecież wiesz.

- No cóż - mruknął - w takim razie może jest to odpowiednia okazja. Pójdziemy do mojego gabinetu.

Ilekroć Mike odjeżdżał z Sam, Rosie to czuła: ów obłok winy i straty, który był niedorzeczny i zbędny, obłok, pod którym nie chciała stać, lecz mimo to nie potrafiła się go pozbyć - było to jak ów sen, nawiedzający ją wielokrotnie w pierwszych miesiącach po urodzeniu Sam, w którym ktoś, kto miał prawo wydawania wyroków, orzekł, że Sam nie należy do niej, albo że Rosie nie jest osobą kompetentną, by zająć się jej wychowaniem, toteż będzie musiała ją zwrócić: to samo poczucie winy i straty, dojmujące drżenie jej dorosłości, a jednocześnie poczucie, że raz jeszcze jest wolna i sama, niczym dziecko - podstępne poczucie możliwości wolności i samotności, które nie mogło zastąpić jej córki, a którego mimo to doświadczała. Teraz albo ów obłok napłynął ze snu, albo zarówno on, jak i sen zjawily się skądinąd, lecz cóż to znaczyło? Winę, winę powodowaną pragnieniem, żeby nie dorosnąć - tym właśnie były; pragnieniem

pochodzącym z jej własnego dziecięcego serduszka, żeby nie stać się podwójną bądź potrójną, ale wyłącznie i na zawsze pojedynczą - i jeszcze stratę, utratę wszystkiego, co było jej drogie, wszystkiego, co przyniosło jej dorastanie.

Wszystko, wszystko, co jest ci drogie, prócz ciebie samej.

- Proszę - powiedział Boney, otwierając wąskie dwuskrzydłowe drzwi i zapraszając ją do środka.

Rosie nigdy przedtem nie była w pokoju zwanym „gabinetem”, choć w czasach jej dzieciństwa często wspomniano, że Boney w nim urzęduje, jest zajęty i nie wolno mu przeszkadzać; dawniej wyobrażała go sobie, jak zamknięty w nim tkwi pogrążony w rozmyślaniach niczym jakiś mroczny mag, ale teraz, słysząc ponownie w pamięci owe zakazy, przypuszczała, że być może Boney odbywał tam drzemki.

Rzeczywiście w rogu stał skórzany szezlong, na który narzucony był afgan, co dawało wrażenie niejakiej przytulności.

- Gabinet - oświadczył Boney.

Zarówno dawniej, jak i obecnie była to głównie biblioteka; okazałe szafki na książki z jakiegoś jasnego drewna sięgały ozdobionego kasetonami sufitu, rozmieszczone wokół całego pomieszczenia, nawet pomiędzy głębokimi, smukłymi oknami, które wychodziły na ogród; a przy tym wszystkie były pełne, choć niekoniecznie książek - na półkach znajdowały się segregatory oraz coś, co przypominało pudełka po butach, a także sterty starych gazet i czasopism.

- Mike przyjeżdża co tydzień, prawda? - spytał Boney, podnosząc plik listów z siedzenia skórzanego fotela obrotowego.

- Aha. - Zaczynała rozumieć, do czego może zmierzać. - To znaczy tylko tymczasowo. Naprawdę, wierz mi, nie mam zamiaru siedzieć ci tu na głowie do końca życia. Tylko dopóki...

Dopóki co?

- Nie zrozum mnie źle - powiedział Boney. Z mozołem uprzątnąwszy sobie fotel, zasiadł w nim. - Bardzo cieszę się, że tu jesteś. Zastanawiałem się tylko - skoro jesteś przekonana, że nie zamierzasz ponownie wiązać się z Mikiem - jak stoisz z pieniędzmi.

Rosie usiadła na szezlongu.

- Ta szkółka - ciągnął Boney. - To nie było nic stałego.

- Nie.

- Miałem zamiar zaproponować... Ale zacznijmy od początku. - Odchylił się do tyłu w fotelu, który wydał sztywne trzaśnięcie; sprawiał wrażenie tak starego i wymagającego oliwienia jak Boney. - Wiesz, czym jest Fundacja Rasmussenów.

- No, wiem, że coś takiego istnieje. To znaczy, nie mam właściwie pojęcia, jak ona funkcjonuje.

- To po prostu rodzinne pieniądze, to, co z nich pozostało, zainwestowane w firmę nie obliczoną na zysk i używane do finansowania rozmaitych wartościowych przedsięwzięć. Takich, którymi mój brat i ja byliśmy zainteresowani, albo takich, których potrzebowała społeczność. - Uśmiechnął się do niej szeroko bielą kości słoniowej swych zębów i wskazał na trójkę stalowych szafek na

dokumenty, które stały przy drewnianej boazerii, rażąc swą niestosownością. - Widzisz, obecnie to jest nasz biznes - stwierdził. - Rozdawanie pieniędzy zamiast ich zarabiania.

- Komu je dajecie? - spytała Rosie, zastanawiając się przez chwilę, czy zamierza zaproponować jej zasiłek i w jaki sposób to uzasadni.

- Och, ludzie potrzebują pieniędzy - stwierdził Boney. - Zdziwiłabyś się, jakie prośby otrzymujemy. Większość środków wędruje co roku do tych samych osób, w ramach stałych dotacji: Biblioteka w Blackbury Jamb, rezerwat przyrody, dom Parrów. „Las”.

Uniósł ku niej spojrzenie, wzdłuż jego nakrapianej głowy podniosły się zmarszczki.

- Mamy zarząd - ciągnął. - Zbiera się raz do roku i zatwierdza dotacje. Ale to ja przesyłam im propozycje. W większości zatwierdzają to, co im prześlę. O ile wszystko odbywa się we właściwej formie i w ogóle.

- Nie masz zamiaru przyznawać mi zasiłku, co? - spytała ze śmiechem Rosie. - Za to, że jestem grzeczną dziewczynką i pomagam lokalnej społeczności?

- Ależ nie - odparł Boney. - Niezupełnie to miałem na myśli. Zmierzałem do tego, że przez ostatnie kilka lat propozycje po prostu nie trafiają do zarządu. - Powolnym ruchem splótł dłonie. - Są też inne sprawy, których nie udaje się załatwić, a które powinny zostać załatwione.

- Potrzebujesz pomocy? Jeśli potrzebujesz...

- Miałem zamiar zaproponować ci pracę.

Na tle smukłych okien i śniegu Boney za swoim wielkim biurkiem, z dłońmi złożonymi na kolanach i głową niemal poniżej ramion, zdawał się niewyraźny. Po raz pierwszy z całą swą oczywistością uderzył ją fakt, że bez wątpienia, i to zapewne niedługo, Boney umrze.

- Powinnam pomóc - stwierdziła. - Choćby w zamian za wikt i mieszkanie. Pomogę. Z przyjemnością. - Słowa poczęły więznąć jej w gardle.

- Nie, nie - zaprotestował Boney. - To zbyt wiele obowiązków. Praca w pełnym wymiarze godzin. Przemyśl to.

Rosie włożyła swe zimne dłonie pomiędzy kolana. Rzecz jasna, nie było tu nad czym myśleć.

- Mam nadzieję - powiedział łagodnym tonem Boney - że nie czujesz się obrażona. Pracując za wynagrodzeniem dla rodziny. Ja sam to robię, Rosie. W pewnym sensie to jest wszystko, co zostało.

Teraz do oczu gwałtownie napłynęły jej łzy.

- Jasne, czuję się obrażona - odparła. - Oczywiście. Wiesz co, posłuchaj, nie uważasz, że tu jest okropnie zimno? Czy ty w ogóle palisz w tym kominku?

Był przyobleczony zielonym serpentynem, zaś przed nim stała mosiężna osłonka w kształcie pawia. Obok znajdował się mosiężny koszyk z podpałką i polanami oraz zestaw mosiężnych narzędzi wraz z pudełkiem długich zapalek.

- Nigdy - odparł Boney, podnosząc się z wysiłkiem i zamierzając zerknąć do kominka, jak gdyby właśnie w tej chwili otworzył się on w ścianie. - Pani Pisky nie lubi, jak się w nich pali. Iskry na dywanie. Dym w zasłonach.

Rosie uklękła przed kominkiem i odsunęła na bok pawia. Otworzyła kanał spalinowy.

- Co ty na to? - spytała.

- W porządku - odparł Boney niepewnie. - Jeśli weźmiesz to na siebie.

- Wezmę - stwierdziła Rosie. - Masz może jakiś papier?

Boney z powrotem odwrócił się do swego biurka, a przejrzawszy naprędce korespondencję, podał jej większość listów.

- Kiedy będziesz się nad tym zastanawiać - powiedział - jest jedna rzecz, która, jak sędzę, może cię zainteresować. Pamiętasz, jak mówiłem ci, że Sandy Kraft niegdyś pracował dla fundacji

- Chyba tak. Czym się zajmował?

- Och, zbieraniem materiałów. Różnymi sprawami. Dawno temu.

- Aha - mruknęła Rosie.

- Tak czy owak, obecnie prawa autorskie do jego utworów należą do fundacji. A co jakiś czas ktoś się nimi interesuje. Prawami do wznowień. Więc o tym pomyślałem, ponieważ sprawiałaś wrażenie, jakbyś sama bardzo się nimi interesowała.

- Aha. - Podpaliła listy, podpałkę i drewno jedną z owych długich zapalek. W kominku zapłonął ogień. - Rozumiem.

- To nie wszystko - ciągnął Boney. - Jest jeszcze coś. - Pogłaskał się po swojej łysej głowie. - Jego dom. Obecnie stanowi własność fundacji i nikt tam nie chodził, odkąd zmarł. Żeby zobaczyć, co tam jest. - Rosie nie widziała jego oczu zza ognia, który odbijał się w błękitnych okularach. - Ja nie mogę tego zrobić.

- Aha.

- No więc przemyśl to, czemu by nie, a jeśli uznasz...

- Boney - przerwała mu. - Wchodzę w to.

- Aha - mruknął. - Wobec tego będziemy musieli porozmawiać o godzinach, wynagrodzeniu i w ogóle...

- Tak, jasne - powiedziała Rosie. - To znaczy tak, oczywiście porozmawiamy o tym. Ale wchodzę w to. - Uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

- Hm - mruknął Boney, spoglądając ku miejscu, w którym klęczała przy palenisku, zadowolony bądź nieco zbity z tropu jej błyskawiczną decyzją. - No cóż. W porządku. - Włożył ręce do kieszeni. - Dobrze.

Odwrócił się ku znajdującym się za jej plecami półkom z książkami. Rosie poczęła zauważać wokół przedmioty, które przedtem nie zwróciły jej uwagi. Stalowe szafki na dokumenty zdawały się nieco wybrzuszać, ledwie zdolne pomieścić swoją zawartość. W kącie tkwiło kilka tekturowych pudełek, najwyraźniej pełnych niepotrzebnych papierzysk, a może listów, na które nie odpisano, zlekceważonych propozycji.

„Las”, ha! Mike napomknął swego czasu o tym, że instytucja ma jakieś kłopoty finansowe. Rozgrzała się nieco na myśl, że może mieć nad nimi jakąś władzę. Gdyby tylko była to władza przyspieszenia. Albo opóźnienia.

- To - odezwał się Boney, wracając z książką, którą ściągnął z półki - być może cię to zainteresuje.

Nosiła tytuł Siadaj zdrow, smutku, autorem zaś był Fellowes Kraft.

- Nakład limitowany - wyjaśnił Boney. - Wspomnienia. Zaledwie kilkaset egzemplarzy wydrukowanych przez jakąś niewielką oficynę wydawniczą. Może czegoś się z niej dowiesz.

- Możliwe - przytaknęła Rosie. - Ojej. - Wystawało z niej kilka fotografii. Nieobcięte brzegi grubego papieru, na którym została wydrukowana, kruszyły się drobniutkimi odłamkami. Rosie otworzyła ją i zerknęła na którąś stronę.

Zapytują mnie niekiedy, jak to możliwe, by mieć w małym palcu wszelkie szczegóły związane nie tylko z wydarzeniami historycznymi, lecz również z ubiorem, jedzeniem, zwyczajami, architekturą i handlem, jakich trzeba, by powieść historyczna była wiarygodna. No cóż, przypuszczam, iż można korzystać z wielu rozmaitych notatników oraz *aides-memoire*, acz w moim przypadku, choć nie posiadam szczególnie pojemnej pamięci, noszę

wszystko, czego mi trzeba, w sobie, przez wiele lat bowiem ćwiczyłem się w pewnym systemie zapamiętywania, który okazał się zdolny zachować w pamięci nieograniczoną bez mała liczbę uporządkowanych faktów, a który działa w istocie w wielce osobliwy sposób, co uderza wiele osób.

- Teraz jest za zimno - stwierdził Boney, zaś Rosie potrzebowała chwili, by zrozumieć, że wciąż mówi o domu Fellowesa Krafta. - Teraz jest za zimno, bez ogrzewania i elektryczności. Ale wiosną.

- Pewnie - odparła Rosie. Jakie to było wyrażenie w *Ogryzkach jabłek*, którym określali starą królową? W swym zwariowanym białym makijażu, rudej peruce, klejnotach i pierścieniach... Bajkowy stwór. Taki jest właśnie Boney, pomyślała, przyglądając się, jak grzeje swe stare szpony nad ogniem, który rozpałała. Bajkowy stwór.

- Na wiosnę - powiedział i jak gdyby na wpół zapadł w sen. - Na wiosnę. Wejdiesz tam i się rozejrzysz.

- Każdy z dwunastu znaków - tłumaczyła Val Beau Brachmanowi, przykucając w niewygodnej pozycji na jego podłodze i marząc o tym, żeby zapalić - każdy z dwunastu znaków może być jakby podsumowany, czy też zredukowany do jednego słowa.

- Jednego słowa? - powtórzył Beau, trzymając policzki w dłoniach i uśmiechając się.

- No, to znaczy jednego c z a s o w n i k a w pierwszej osobie. Na przykład „Robię” albo „Potrafię”. Każdy znak posiada takie słowo, które w pewnym sensie go wyraża.

- Aha - mruknął Beau. - Jakie...

- Jakie za chwilę ci podam - ucięła Val.

Owego nijakiego styczniowego dnia zjawiała się w Jambs za sprawą Rosie Mucho, która ją podwiozła, by mogła odbyć swoje wizyty, podczas gdy Rosie załatwiała sprawy z Allanem Buttermanem, własne oraz Boney'ego; później obie miały udać się do „Wulkanu” w Cascadii, opychać się talerzami smakołyków z Mórz Południowych i popijać mai tais w barku z zasłoną z paciorków, podczas gdy Rosie miała zapoznać się z sukcesami i porażkami Val.

- Baran - zaczęła. - Pierwszy znak. Baran mówi: Jestem. Pierwszy znak, właśnie, najmłodszy ze wszystkich. Potem Byk, Byk mówi: Pragnę. Wiesz, dobra materialne, bardzo ważne dla Byka. Łapiesz, o co chodzi? Bliźnięta mówią... - Niespodziewanie łypnęła na Beau z ukosa i podniosła palec w geście upomnienia. - Nie słuchasz - burknęła ostrzegawczo.

- Słyszę cię, Val - odparł Beau. - Słyszę cię.

- Wiem, że uważasz te rzeczy za bzdury.

- Nie, po prostu jestem zdania...

- Uważasz to wszystko za jedno wielkie więzienie. Tak powiedziałeś mamie.

- Wiem, że to jedno wielkie więzienie. Przeznaczenia. Gwiazdy. Znaki. Domy. Słówka i czasowniki. Wszystko, co mówisz,

Val, wszystkie te rzeczy znaczą: W ten sposób zostajesz uwięziona. Ale ty nie jesteś uwięziona. Jest takie słowo na określenie tego wszystkiego, czym się zajmujesz: Heimarmene. Pochodzi z greki. Oznacza los, czy też przeznaczenie, ale oznacza również więzienie. A rzecz w tym, by nie tylko rozumieć, w jakim miejscu się znajdujesz - jaki jest twój znak i twoje przeznaczenie w tej chwili - ale również przełamać to, przebić się przez sfery, które cię więżą. - Rozpalił się na tyle, by podnieść się ze swego spokojnego trwania ze skrzyżowanymi nogami. - Mam wszystkie te dwanaście znaków w sobie, Val. Mam wszystkie czasowniki. Wszystkie siedem planet, czy tam osiem, czy dziewięć. Wszystkie są moje. Jeśli zechcę być Bykiem, będę nim. Albo Lwem, albo Skorpionem. Nie muszę przechodzić przez wszystkie dwanaście znaków w nieskończonych życiach. Oni tego właśnie chcą. - Gestem wskazał do góry. - Ale tak nie jest.

- Oni? - zdziwiła się Val.

Wciąż uśmiechając się, Beau powoli położył palec wskazujący na ustach. Ani słowa.

- Jesteś stuknięty - stwierdziła Val ze zdumieniem. Zaśmiała się głośno. - Jesteś zdrowo stuknięty.

- Ojej, wiesz co - odezwał się Beau, uderzony niespodziewaną myślą. - Czy przypadkiem wybierasz się dziś do banku? Tego na Bridges Street, to twój bank? Bo mogłabyś dokonać dla nas wpłaty. Trzymamy wszystkie te czekiny za styczeń, które właśnie przyszły...

- Koziorożec - stwierdziła Val, celując w niego sterczącym niczym lufa broni palcem. - *Posiadam*.

Wówczas na schodach w korytarzu dały się słyszeć ciężkie kroki, po czym ktoś spróbował otworzyć drzwi. Beau i Val nasłuchiwali z zaciekawieniem, jak usiłuje włożyć klucz i nie może, przeklina; zagląda do środka przez maleńkie, przyćmione zimną okienko w drzwiach, ocieniając je dłonią.

- Proszę wejść! - zawołał w końcu Beau. - Nie są zamknięte na zamek.

Jeszcze chwila gmeraniny, po czym jakiś wielki mężczyzna w długim, cętkowanym płaszczu stanął na wycieraczce, mokry i zbity z tropu, popatrując to na jedno z nich, to na drugie. Miał w sobie (pomyślała Val) coś z typu niedokończonego Gary'ego Merrilla. Niczego sobie. Strzelec, wywnioskowała niemal natychmiast. Bez wątpienia Strzelec.

- Przepraszam - powiedział. - Myślałem, że nikogo nie ma. Powiedziano mi, że nikogo nie ma.

- Niestety - mruknął Beau.

- Czy to jest do wynajęcia?

- Mieszkanie? Nie. - Powiódł dokoła dłonią. - To moje.

- Czy to numer dwadzieścia jeden przy Mapie?

- Nie. To jest strona parzysta. To numer osiemnaście. Dwadzieścia jeden jest dokładnie naprzeciwko.

- Ach, przepraszam. Najmocniej przepraszam.

Przez chwilę obaj spoglądali na siebie z niejakim zdziwieniem; każdy usiłował sobie przypomnieć, gdzie i kiedy spotkał drugiego, i nie potrafił. Po chwili Pierce Moffett odwrócił się i odszedł.

- Strzelczyk - stwierdziła Val, sięgając instynktownie po kenty i wkładając je z powrotem do torebki. U Beau obowiązywał zakaz palenia. - Stawiam dolara.

- A jaki jest jego czasownik? - spytał Beau, wciąż usiłując skojarzyć intruza.

- Jego czasownik? Niech pomyślę. Strzelec. Czasownikiem Skorpiona jest Pożądam, a potem Strzelca... Strzelca jest *Dostrzegam*. Tak. *Dostrzegam*. Naciągnęła cięciwę wyimaginowanego łuku i wycelowała wzdłuż strzały. - Łapiesz? *Dostrzegam*.

Mieszkanie na piętrze po drugiej stronie ulicy pod numerem 21 było puste, jak obiecano, a kluczem, który Pierce otrzymał od agentki w biurze pośrednictwa, tym razem udało się otworzyć drzwi. Stał, ociekając na kuchenne linoleum, na które wpuścił go klucz, i rozglądał się dookoła po całym mieszkaniu rozplanowanym na modłę kolejową, jak jego dawne slumsowe lokum. Za ponurą, acz przestronną kuchnią znajdował się mikroskopijny salonik o ładnych, smukłych, zakończonych łukami oknach. Dalej widać było zdecydowanie największe pomieszczenie, osobliwie wyłożone boazerią z malowanego drewna oraz sufitem z dekoracyjną blachą: uznał, że będzie spełniało funkcję zarówno sypialni, jaki i gabinetu.

Osobliwe. Niewygodne. Ale możliwe.

Za oknami największego pokoju, za szklanymi drzwiami, znajdowała się weranda, biegnąca wzdłuż całego mieszkania: wąska

weranda o skrzydłowych oknach. A za nią rzeka Blackberry oraz Faraways, mieszkanie bowiem wychodziło na tę właśnie stronę.

Tu, w kuchni, będzie przyrządzał i spożywał posiłki; tam będzie siadał, by czytać. Tam dalej będzie spał i pracował; a raz w miesiącu przy znajdującym się tam biurku będzie wypisywał czek na śmiesznie niską kwotę, jakiej żądano za wynajęcie tego mieszkania.

A jeszcze dalej będzie żeglować na werandzie. Tak jak niegdyś, dawno temu, żeglował na wąskiej werandzie pierwszego piętra domu Oliphantów w Kentucky. Czujny; spokojny; z dłońmi na kole steru; płynąca ponad powierzchnią wierzchołków drzew obudowana oknami weranda będzie go niosła niczym gondola sterowca lub mostek podążającego na wschód parowca.

Powody, dla których Pierce ostatecznie rzeczywiście opuścił Barnabas College oraz miasto i wyruszył zamieszkać w miasteczku Blackbury Jambs w Faraway Hills, były tymi samymi powodami, jakie wyjawiał niegdyś Spoffordowi: miłość i pieniądze.

Miłość i pieniądze, obie te rzeczy nawiedziły go nagle, tego samego dnia, niczym złoty deszcz Danae: toteż, choć w istocie dokonanie przeprowadzki zajęło mu kilka miesięcy, zawsze miało pozostać dlań oczywiste, jakiego dnia ją rozpoczął, czy też się rozpoczęła.

To, iż nigdy nie zabiegał o względy żadnej z kobiet, z którymi był głęboko związany, stanowiło pewną osobliwość intymnego życia Pierce'a: nigdy pierwszy nie zwracał uwagi, a następnie nie zastanawiał się nad tym, potem nie flirtował, nie zastanawiał się głębiej, nie zalecał się, nie czynił postępów, a wreszcie nie zdobywał. Każdy z jego wielkich romansów - potrafił je zliczyć na palcach jednej ręki, a i tak zostawało jeszcze kilka wolnych - zaczął się od niespodziewanego zderzenia, jednej nocy bądź dnia, w którym cała późniejsza przygoda miłosna tkwiła zawarta w miniaturze, wszystkie jego poufałości, sympatie, bóle potrzebowały jedynie wydobyć się na zewnątrz. Nie była to właściwie miłość od pierwszego wejrzenia, zazwyczaj bowiem po owym początkowym zderzeniu następował

okres zawieszenia, a nawet obojętności, gdy tymczasem Pierce napawał się swym podbojem, czy też szczęściem, i odfajkowywał kolejne danie z bankietu życia, nie pierwsze i nie ostatnie. Lecz owo zderzenie zmieniało jego kurs: wówczas mknął równolegle do niej, a ona (aksjomatycznie) do niego. Pierwszej nocy powiedzieli „A”, lecz zasadniczo Pierce pragnął również powiedzieć „B”.

Zbyt wcześnie wyrwany ze snu pewnego szarego niczym popiół grudniowego poranka, rewidując historię swego życia z odrętwiałą jasnością kaca, nie potrafił przypomnieć sobie jakiegoś istotnego wyjątku.

Tak to się odbyło w przypadku Penny Pound (Pierce obrócił się pod kołdrą swego zmierzwionego łóżka, którego najwidoczniej nie był w stanie opuścić), dziewczyną o przyćmionym spojrzeniu i cienkich bliznach na nadgarstkach, z którą uciekł do słonecznej Kalifornii tuż na początku swego szóstego semestru w Noate. Owego pierwszego wieczoru musiała wracać do akademika o jedenastej, on zaś posłusznie skierował się wraz z nią ku niemu po pofilmowej kawie, jaką wspólnie wypili w komunalnej kuchni budynku, w którym mieszkał; a na rogu ulicy, w pół drogi pomiędzy jego domem a jej akademikiem, zatrzymali się i pocałowali; i, jak gdyby przechodząc przez drzwi obrotowe bez wychodzenia z nich (choć mimo to ostatecznie trafiając do jakiegoś innego miejsca), niemal bez słowa zawrócili. Następnego dnia Pierce'a nie sprawiał wrażenia szczególnie odmiennego niż poprzedni; odprowadził ją do akademika i nie widział się z nią przez tydzień. A potem, gdy znów się spotkali, wszystko było

tak, jak być powinno; byli nierozłączni, jej wielkie i nieustępliwe zgryzoty stały się jego zgryzotami, jej młode ciało i stare dłonie; a gdyby jakiś mądry starszy człowiek (jego własny starszy odpowiednik, pomijając to, że jako człowiek starszy nigdy się tego nie dowiedział) doradził ostrożność i rozwagę, nie pojałby owej rady. To prawda, że gdy po raz pierwszy wyznała mu miłość (w domu Sama - zabrał ją tam na długi weekend, leżeli *en deshabelle* w dawnej szkolnej klasie, podczas gdy dwa pokoje dalej jego matka spokojnie wklejała kupony premiowe do książeczki), nie był w stanie zareagować - lecz wyłącznie dlatego, że słowa te wzbudziły w nim respekt, żywił bowiem przekonanie, że w istocie można je wypowiedzieć tylko raz i na dobre. A kiedy już zostały wypowiedziane, ucieczka z nią stanowiła zwykłą praktyczną konieczność; w owych czasach, kiedy uniwersytety funkcjonowały *in loco parentis* (dziś nawet nie znają tego wyrażenia), oboje mieli zakaz wspólnego mieszkania, jak również spółkowania, o ile dało się ich na tym przyłapać, ona zaś była pierwszą kobietą, którą jednocześnie kochał i z którą sypiał, toteż nie pozostawało nic innego, jak spieniężyć dopiero co wykupione karty wstępu na zajęcia niczym żetony - te należące do niego zostały opłacone ze stypendium, co nie miało większego znaczenia, za sprawą niedopatrzenia bowiem wolno mu było je zlikwidować - i przeznaczyć gotówkę na ucieczkę; i choć gdy wytoczył się z autobusu podczas postoju dla rozprostowania nóg wprost w niesamowicie słoneczną aurę Albuquerque, mimo wszystko przez budzącą lęk chwilę pomyślał „Co ja narobiłem”, nigdy jednak,

ani wówczas, ani później, a z pewnością nie podczas długiej, samotnej autokarowej podróży powrotnej na wschód, z powrotem do zimy oraz sieci kłamstw, jaką za sobą zostawił, nigdy tak naprawdę nie uznał, że miał jakiś wielki wybór w tej kwestii.

Cóż, był wówczas bardzo młody, podobnie jak ona; nie była to szczególnie niezwykła historia, prawda? Może zostanie mu wybaczone, pomyślał, biorąc wszystko pod uwagę: i jego wychowanie, i najwcześniejszą część jego okresu dojrzewania zamkniętego w przestrzeniach klas, sal gimnastycznych oraz niezliczonych osobników męskich z St. Guinefort; może zostanie mu wybaczone jego zdumienie oraz brak sprytu, gdy odkrył, że ktoś równocześnie kocha go i chodzi z nim do łóżka. Z pewnością tego pożałował, boleśnie, dogłębnie, niemal sam pociął własne nadgarstki, nie z romantycznego rozgoryczenia, ale po prostu dlatego, że nie mógł wytrzymać ani chwili dłużej w nawałnicy poczucia straty, w jakiej go zostawiła, z gołą głową, a przy tym niezdolnego pojąć, jak mogła postąpić w ten sposób.

Mimo to nie mógł winić wyłącznie owego bezmyślnego dziecka za przesadę swej zgryzoty, zaskakującej bez reszty, niczym gwałtowność miłości; nie mógł też obarczyć winą samej tylko młodości, głupiej niewinności, która utrzymała się długo poza granicami wieku młodzieńczego.

Cóż więc to było? Czy dorastanie jako jedynek przy niemożliwym, dziwacznym, rycerskim Axelu na Brooklynie, czy odosobnienie w samotni Oliphantów w Kentucky? Kto go nauczył,

kto ukształtował jego serce w tak osobliwy sposób? Nie wiedzieć jak, niegdyś zostało mu przekazane, że istnieją pewne drzwi, przez które można przejść, lecz nieczęsto, jedynie wówczas, gdy sprzysięgną się wszechpotężne gwiazdy; drzwi, które wiodą do serca i ciała, stworzonych w niebie bądź w jakimś równie oczyszczającym ogniu. I wówczas trafiało się tam; był to *hortus conclusus*; nie dowiedział się wiele więcej o tym, że istnieje stamtąd droga powrotna, niż o tym, że istnieje droga, która tam wiedzie - odkrył ją całkiem sam z ogromnym zdumieniem i niebywałą radością - była to uczęszczana ścieżka.

Uczęszczana ścieżka.

Zaśmiał się krótko i kaszlnął za sprawą gorzkiej śliny w ustach. Splótł dłonie na piersiach i uniósł wzrok ku wielkiemu ozdobnemu lustru, które wisiało nad nim, umocowane do ściany wspornikami w taki sposób, że odbijało się w jego tafli łóżko; w tej właśnie chwili odbijał się w nim on sam.

Ci, którzy nie pamiętają swej własnej historii, pomyślał, skazani są na powtarzanie jej.

Nim poznał Julie Rosengarten, pozbył się owej ignorancji, a właściwie nie tyle się jej pozbył, ile solidnie ją zamaskował; potrafił swobodnie rozmyślać o tym pewnej spędzanej z nią nocy (pewnej naprawdę dość osobliwie cudownej nocy) jako nie tyle o zderzeniu, ile o zwykłej stłuczce w gęstniejącym wówczas seksualnym ruchu ulicznym dorosłości i tętniącego życiem Manhattanu. Nie kontaktował się z nią przez sześć tygodni, lecz sześć tygodni po swojej drugiej randce wymieniali się swetrami, mieli wspólnego psa, zaś Pierce

zastanawiał się nad tym, jak poruszyć temat mieszanego małżeństwa w rozmowie z matką i Samem. Rok później nadal trzymał się tego, tępo, niewinnie, kurczowo, gdy tymczasem Julie miała ekstrawagancki romans z sąsiadem z góry, na który nie potrafiła zwrócić uwagi Pierce'a. Podczas ostatecznego podziału własności pies, po chwili wahania, zdecydował się odejść wraz z nią.

Fabuła farsy. Moja żona. Mój najlepszy przyjaciel. Mój pies.

Kobiety, płynęła dlań z tego jedyna konkluzja, wywiedziona z całego jego doświadczenia, sięgającego aż po ów grudniowy dzień, są z natury poligamiczne, choćby powszechna mądrość głosiła coś przeciwnego, potrafią kochać głęboko i na zawsze jedynie przez jakiś czas, wystrzelić nagle i spektakularnie we wszystkich kierunkach niczym jeden z owych ogromnych ogni sztucznych, który tryska litą kulą gwiazd, wiszącą pośród kolorowej nocy przez wieczność, krótkotrwałą wieczność o długości pełnego podziwu oddechu widzów, a potem gaśnie, jak gdyby nigdy nie istniała. Mężczyźni zaś (biorąc jego za pojedynczy przykład) byli z natury monogamiczni, związani dosłownym znaczeniem obietnic, jakie składali, oraz faktyczną wytrzymałością owego „na zawsze”, jakie obietnice te zawierały. *En ciel un dieu, en terre une déesse*, jak to ujął ów starodawny prowansalski poeta. W jaki sposób rozeszły się owe opowieści, na pierwszy rzut oka tak bardzo przekonujące, tak bardzo rozpowszechnione, iż rzeczy mają się zgoła na odwrót - nie wiedział. Potrafił wyobrazić sobie spisek lub, co było bardziej prawdopodobne, to, że w dawnym świecie, świecie, w którym nie żył, były one

prawdziwe; i dopiero teraz, współcześnie, kiedy świat jest taki, jaki jest, a nie taki, jaki był dawniej, istniały kobiety, które potrafiły demaskować i odsłaniać i być takimi, jakimi nakazywała im ich natura. Pigułka i tego typu rzeczy. Któż to, u diabła, wiedział. W każdym razie, czy nie powinien się do tej pory nauczyć, że tak po prostu jest, i postępować zgodnie z tym, bez względu na historię, bez względu na to, w jakich mglistych antyczościach bądź z jakich średniowiecznych materii został wykuty jego charakter? A jeśli niespodziewanie przyłapał się (pewnej nocy, pewnej śnieżnej nocy), jak błądzi po kartach jakiejś powieści erotycznej, utworu pornograficznego w najlepszym współczesnym stylu, czyż, mając serce i męskość ukształtowane dla jakiejś innej epoki, jakiejś zupełnie innej książki, nie wypadało, żeby nauczył się, co i jak, nim wyskoczy ze skóry?

Bądź nieco ostrożniejszy, powtarzał sobie owej nocy, leżąc koło niej pogrążony w bezsenności i zdumieniu; na miłość boską, tym razem bądź po prostu nieco ostrożniejszy. Ale na nic się to zdało. Minęła cała zima, a kiedy wróciła z Europy, należał do niej; rzecz jasna, należał do niej przez cały ten czas; światowe życie, w jakie wkroczyli, jedynie scaliło jego uległość aurą porozumienia, podczas gdy nienasycona lubieżność wzmocniła jego monogamiczność i nadała jej tajemną władzę. Może, może gdyby musiał dobijać się do drzwi, zabiegać o względy, namawiać i perswadować - lecz gdy wszystkie bramy, wszystkie, bez wyjątku, zostały przed nim gwałtownie otwarte, reszta była już taka, jak była, skazana na porażkę,

włączając w to fakt, że w tej chwili leżał tu, wpatrując się w swe zwierciadlane odbicie, które z kolei wpatrywało się w niego, z dłońmi splecionymi na piersiach, wielkimi stopami wystającymi spod kołdry, wielkim nieobecny obliczem. Skazany na porażkę.

Podobnie jak Burboni, niczego nie zapomniał i niczego się nie nauczył; i znów tkwił w miejscu, w którym znalazł się był już wcześniej. Jego historia powtórzyła się, a jeśli pierwszy raz stanowił tragedię, drugi okazał się farsą (jak powiedział Marks, w innym kontekście, w kontekście, z którego Pierce bezradnie zapożyczył ów gorzki banan), jak wobec tego miało to wyglądać za trzecim i czwartym razem?

Dzień był już w pełni, w całej swej okazałości, jaką mógł dziś osiągnąć, kaloryfery zaś syczały zaciekle. Pierce odrzucił pościel, ale nie podniósł się; leżał pogrążony w kontemplacji (nie potrafił zająć się niczym innym, połączane mosiężne lustro było starannie zamocowane, tak by nie dało się go uniknąć) swej smukłej nagości. Wielkie dłonie, wielkie stopy: w jego przypadku ogólne wyliczenia działały poprawnie.

Wiesz co? - powiedziała doń owej pierwszej nocy, powiedziała doń z wyrazem twarzy, na którym malowała się zarówno przebiegłość, jak i szczerłość. *Wiesz co? Masz fajnego kutasa.*

Zimna fala wezbrała gwałtownie w jego żyłach, wspomnienie pożądania i niepodważalność utraty; Pierce obserwował, jak przychodzi i odchodzi niczym jakiś atak, zawrót głowy czy dusznica.

To nie jest śmieszne, pomyślał. Nie jestem już taki młody. Nie wytrzymam tego. Tym razem było to jak choroba, choroba, której nie potrafił pokonać, jedna z owych dziecięcych dolegliwości, z których młodzi i silni wychodzą bez szwanku, po kilku dniach w łóżku, a które rujną zdrowie dorosłym.

Posilcie mnie plackami z rodzynek, wzmocnijcie mnie jabłkami, bo chory jestem z miłości²⁴. Chory, chory, chory.

Złożę śluby, pomyślał, to wszystko; złożę pieprzone śluby. Skoro po dwóch małżeństwach (rzecz jasna, były to małżeństwa jedynie w praktyce, tak jak niektóre małżeństwa są nimi jedynie z nazwy - ale oczywiście tak to właśnie było) i życiu erotycznym, które zdawało mu się tak różnorodne i wielce satysfakcjonujące jak to, do jakiego miał prawo każdy zwyczajny mężczyzna, nadal tkwiła w nim owa niewinność, której powinien był się pozbyć już dawno temu, ale się nie pozbył, niewinność, która nie przestanie wyrządzać mu owej strasznej krzywdy, wobec czego najrozsądniejszym wyjściem, jakie może obrać będzie wybór samotności.

- Złóż śluby - wypowiedział na głos do znajdującego się ponad nim mężczyzny, bladego chudziaka gotowego do sekcji zwłok (niech siostra spojrzy, ten człowiek, ho, ho, nie ma zastawki w sercu, jego penis jest całkowicie odłączony od mózgu). Po prostu daj sobie z tym spokój. Dziękuję, nie skorzystam.

Miłość nie musi stanowić treści jego życia; wszak jest mężczyzną, nie powieścią. Przypuszczał, że muszą istnieć jakieś inne przyjemności, które życie trzyma w zanadrzu, inne cele leżące gdzieś

²⁴ Por. Pnp 2, 5.

dalej lub odmienne od owych wielkich rozkoszy wpędzania się w seksualne jarzmo. Zdawały się wznosić hen, daleko, na rozszerzającym się horyzoncie, choć nie potrafił konkretnie ich sobie wyobrazić. Sława. Porządek. Spokój. Pieniądze, dobra materialne, dogłębna znajomość... a choćby i świata oraz własnego „ja”; rozkosze samotności, nie tej, w którą popadł czy też został wtrącony niczym do celi, której kraty mógł jedynie szarpać w bezsilnym żalu, lecz samotności z wyboru, przyjętej. Doznał przejmującej wizji samego siebie jako innego człowieka w innym miejscu: samowystarczalny, zatwardziały stary kawaler, uważny, uprzejmy dżentelmen, którego nikt nie potrafi rozgryźć - zamknięty w sobie ekscentryk, posiadający ów piękny dom pełen gustownych przedmiotów. On zaś *objet de vertu* z urodzenia, widywany, jak przychodzi spacerem do miasteczka po niedzielne gazety, ubrany w sposób wyrafinowany i osobliwy, bryczesy i guzowata laska, przy boku zaś pies. Słona wilgoć zapiekła oczy Pierce'a. Wierny pies.

Coś, czego mógłby sobie życzyć: coś innego, czego można pragnąć, coś innego niż to, co mogłoby się odbijać w zawieszonym nad szerokim łóżkiem lustrze... Gdyby mógł teraz wyrazić życzenie, życzyłby sobie czegoś, czego można pragnąć.

I wówczas z rozdzierającą gwałtownością zadzwonił dzwonek, Pierce zerwał się z łóżka i przybrał pełną zaskoczenia pozycję obronną, gotowość do skoku. Telefon. Nie, to nie telefon. Odźwierny u drzwi. Dzwonek u drzwi. Był to dzwonek - a któż to? Chwycił

szlafrok frotté, włożył go i przewiązał paskiem. Dzwonek ponownie czknał, ponaglenie - ktoś nadal tam jest.

- Tak? - Niczego nie dostrzegł przez przymglony wizjer.

- Pierce - odezwała się. - To ja. Mogę wejść?

Adrenalina, która w jednej chwili zaczęła krążyć po jego ciele za sprawą dzwonka, w następnej została wyparta przez inną substancję, zimną i ostrą, która pochłonęła jego serce i znalazła się w czubkach jego palców u rąk i nóg, nim jeszcze jego dłoń sięgnęła do zamka, żeby go otworzyć. Mimo to nie mógł się nadziwić, jak szybko się to odbyło. Jak to możliwe, że ciało i nerwy działają z taką prędkością.

Wśliznęła się do środka, gdy tylko drzwi rozwarły się wystarczająco szeroko, jak gdyby była ścigana; miała na sobie pokryte na ramionach śniegiem futro, którego nigdy przedtem nie widział.

- Dzień dobry - powiedział, połykając ostatnią samogłoskę wraz z gęstą śliną, która zebrała mu się w ustach.

Przeszła na środek pokoju i stanęła, obejmując się, z podbródkiem wetkniętym w swoje futro; nie patrzyła na niego. Po chwili poszperała w głębokiej kieszeni, wydobyła kopertę i odwracając się do niego, wręczyła mu ją.

- Masz - powiedziała. - Trzymaj.

Z miejsca, w którym stał, niemal słyszał bicie jej serca. Wziął kopertę, grubą i wygniecioną przez to, co zawierała.

- To wszystko - oświadczyła, odwracając się, wciąż się obejmując. - To wszystko, wszyściutko.

Koperta była wypchana pieniędzmi. Duże banknoty, pięćdziesiątki i setki, trochę bardziej zużyte i przekazywane z rąk do rąk dwudziestki.

- Masz papierosa? - spytała. Usiadła na łóżku, wcisnęła twarz w dłoń i potarła czoło, oczy i policzki. Po chwili spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko. - Wyglądasz dosyć zabawnie - stwierdziła.

- Co - burknął.

- To wszystko - oświadczyła. - Wszystko, co byłam ci winna. Wszystko, co miałam zarobić. Mówiłam ci. Mówiła ci, że zarobię.

- Jak - odezwał się

- Pierce, nie pytaj, dobrze. To wszystko, koniec. Skończyłam z tym, skończyłam na dobre i na zawsze. - Zadrżała gwałtownie, po czym cierpliwie, jak gdyby zwracając się do dziecka, co do którego nie ma się pewności, czy zrozumie: - Pierce, kochanie, masz może papierosa?

- Tak, oczywiście. - Zeszłego wieczoru w swym upojeniu alkoholowym kupił paczkę fabrycznych. Poszukał pośród rozrzuconych paskudnie po podłodze ubrań. Proszę. Jeszcze zapalka. Wsunął kopertę pod pachę i jął przeszukiwać spodnie.

- Nadal mnie nienawidzisz? - spytała cicho za jego plecami.

- Nigdy nie czułem do ciebie nienawiści. - Trzęsły mu się dłonie, toteż ledwie był w stanie włożyć je do kieszeni, zadzwoniły znajdujące się w nich drobne oraz klucze. - Proszę.

- Musisz mi powiedzieć - poprosił. - Jedną małą rzecz.

- Nie - odparła. - Posłuchaj. Jeśli mamy być przyjaciółmi, to bądźmy. Jeśli mamy nimi zostać, nie wolno ci pytać. Jeśli zapytasz, nie odpowiem. Nie odpowiem i nie zostaniemy przyjaciółmi. - Złagodniała. - Może kiedyś, kiedy będzie to już zamierzchłą przeszłość. - Spojrzała na niego; uznał, że coś ponurego, coś dawnego pojawiło się na jej twarzy, coś, co być może tkwiło tam, zanim uciekła, a o czym zapomniał, pamiętając przede wszystkim starsze, czyli młodsze oblicze. A może była to wyłącznie wina owego grudniowego poranka. - W porządku? - rzuciła. - O co chodzi?

Pierce wybuchnął śmiechem.

- Co cię śmieszy?

- Nic mnie nie śmieszy. Nic. - Jego pierś unosiła się i opadała, targana chichotami, trzęsły mu się kolana. - Chemikalia. Środki chemiczne, które wywołują śmiech. Nie wiem. Spod pachy wyciągnął kopertę i rzucił na łóżko obok niej. - Nie chcę ich - oznajmił. - Nie są mi potrzebne.

- Żartujesz sobie - rzuciła. Spuściła wzrok. - Miałam zamiar je zostawić. W skrzynce na listy. Ale nie mogłam przepchnąć ich przez tę małą szparę, zgubiłam gdzieś klucz, nie byłam nawet pewna, czy jeszcze tu mieszkasz. - Polakierowanym paznokciem strzepnęła popiół z papierosa. - Wiem, że są ci potrzebne.

- Ja... - zaczął mówić, lecz wówczas dotarło do niego, co dała mu do zrozumienia. Istnieją potrzeby i potrzeby. Miał na myśli to, że pragnął czegoś innego niż pieniądze. Ona zaś miała na myśli jedynie to, że prócz nich nie może liczyć na nic więcej.

- Powiedz mi coś - poprosił. - Wróciłaś?

Powoli pokręciła głową.

- Co zamierzasz?

Wzruszyła jednym ramieniem.

- Dopiero co przyjechałam do miasta - wyjaśniła. - Przez jakiś czas posiedzę u Effie. Poszukam mieszkania.

Gdzieś głęboko w swym wnętrzu usłyszał własny głos, ten sam, który zaledwie przed dziesięcioma minutami mówił do niego o wyrzeczeniu, o samotności; lecz wokół tego głosu, a przy tym w znacznie większym stopniu, poczęła składać się jakaś maszyna, maszyna przebiegłości i pragnienia, która nawet pozornie nie należała do niego, lecz która przejęła nad nim kontrolę, ukartowując fortele, obserwując jego kroki, planując ruchy. Podszedł do lodówki, nasłuchując, i wyjął z zamrażalnika butelkę wódki. Kieliszek. - Nie patrz, nie patrz - powiedział, zasłaniając się przed nią podczas nalewania. - Trochę jestem nie na chodzie od rana, to wszystko.

Zaśmiała się.

- Ej. Mnie też nalej jednego.

Podał jej kieliszek, cał lodowatej cieczy na dnie.

- Wszystko, co nam zostało - stwierdził.

Pociągnęła łyk, po czym wstrząsnęły ją ciężkie spazmy.

- Łaa! Dobra. Dobra wódka.

- Witaj w domu - powiedział uprzejmie i wypił jej zdrowie.

- Dziękuję, Pierce - odparła. - Ciągłe jesteśmy kumplami? - I, naśladowując nieodzowny natarczywy styl Axela, co od dawna stanowiło

ich żart, powiedziała: - Jesteśmy kumplami, co nie? Co nie, co nie, Pierce?

Zaśmiał się, pod wpływem alkoholu drzenie ustało.

- Jasne. Na zawsze.

Przełknęła resztę wódki, po czym powoli, relaksacyjnie, położyła się na łóżku. Jej futro rozchyliło się, odsłaniając krótką sukienkę oraz lśniące pończochy. Zeszczuplała. Przyglądał się jej udom oraz punktom miednicy ze współczuciem i uwagą. Nie za bardzo o siebie dbała, pomyślał, odczuwając koneserskie ukłucie straty, pustki i pożądania. Nie za bardzo dbała.

- Ojej - westchnęła. - Jestem padnięta.

- Odpocznij - zaproponował. - Prześpij się, jeśli chcesz.

- Posłuchaj - zaczęła. - Dzięki, że przechowałeś moje rzeczy. Nie posłałeś do Armii Zbawienia czy gdzie indziej. Chciałbym wpaść i pozabierać, jeśli mogę. No wiesz. Moje rzeczy.

- Jasne.

- Jak już znajdę sobie mieszkanie.

- Oczywiście. - Nie mógł już tego dłużej znieść. - Byle niedługo - rzucił. - O ile to możliwe. Ponieważ. - Znowu się odwrócił, za oknem nadal panowała zima. - Ponieważ planuję się stąd wynieść.

Za jego plecami z jej strony trwała cisza.

- Wyprowadzić się - dodał.

- Naprawdę? A dokąd?

- No, nie wiem. - Odwrócił się ku niej; czuł, jak jego usta wypowiadają „Wypędzony”, co za różnica dokąd, na zewnątrz jest

cały pozbawiony znaczenia świat, po którym można się błąkać. - W każdym razie gdzieś za miasto. Może do Faraway Hills. Byłem tam latem. Podobało mi się.

- Jejku. Poważna zmiana.

- Ano. - Poczł rąptem głębkoe współczucie dla samego siebie, jak gdyby to, co włąśnie powiedział, to, co wówczas chciał powiedzieć, było prawdą. Ona jedynie leżała, spoglądając w znajdujące się nad łóżkiem lustro. Z kącika oka starła drobinę makijażu. - Właściwie, w zasadzie nie nastąpi to prędko, to znaczy nie od razu.

- Chciałabym zabrać to lustro - powiedziała. - Jeśli można.

- Nie.

Powoli usiadła, z uśmiechem, lecz nieufna.

- Jest moje - oświadczyła. - Prawda?

- To był prezent - stwierdził. - Ode mnie. Dla nas.

Otuliła się futrem.

- Na wieś, co? Będiesz musiał nauczyć się prowadzić.

- Pewnie tak.

Uśmiechnęła się szerzej.

- No cóż, wydaje mi się, że to świetnie - powiedziała. - Widzę, że jesteś odważny. - Z koperty na łóżku wyciągnęła dziesiątkę, ale przy okazji poruszyła spakowane w niej banknoty, które wysypały się kaskadą na pościel. Pokazała mu ją.

- Na taksówkę - wyjaśniła. - Muszę już iść.

- Zaczekaj - rzucił. Gwałtownie rozmyślał o wyjaśnieniu: Jeśli zabierzesz lustro, nic mi po tobie nie zostanie, są w nim tysiące obrazów ciebie; nie powinno być w nim nikogo innego, tylko ty i ja, nie rozumiesz? Czyż nie jest to uczciwe, czyż nie jest to rozsądne? - Zaczekaj chwilę. Wezmę prysznic i ubiorę się. Wskoczmy gdzieś na śniadanie. Masz pewnie co opowiadać.

- Teraz nie mogę - odparła. - Ale niedługo. Spotkamy się. - Zrobiła krok ku garderobie ściiennej, ale się rozmyśliła. - Spotkamy się. - Wskazała ręką łóżko bądź pieniądze. - Postawisz mi kolację, będzie miło; mam co opowiadać.

- Szampan? - spytał. - I...

- Mówiłam ci - rzuciła, jej spojrzenie utkwiło w jego oczach, bez wątpienia widać w nim było długą opowieść. - Skończyłam z tym wszystkim. Na dobre. - Zaśmiała się, a po chwili podeszła do niego, wyciągając ręce, żeby ją objął; schwycił ją, odwróciła głowę i przywarła swoim policzkiem do jego policzka. Poczł woń wciąż uwięzionego w jej futrze chłodnego powietrza, ciężkie ciepło jej perfum; w jego wnętrzu śnieg stopniał strugami, a jego serce wypowiedziało tysiąc słów do jej ozdobionego kolczykiem ucha, a wszystkie bezgłownie. Raptem zadzwonił telefon - oboje drgnęli.

- Ojej, ruchliwy poranek - stwierdziła, uwalniając się.

Telefon nie ustępował. Pierce poszedł za nią do drzwi.

- Zadzwon - powiedział. - Zadzwon niedługo. Nie zmieniłem numeru! - Telefon wrzeszczał z wściekłości. W końcu Pierce odwrócił

się i podbiegł do niego, słysząc za plecami stuknięcie zamykanych drzwi.

- Halo!

Cisza, pełna zakłopotania cisza kogoś, kto wybrał nie ten numer.

- Halo? - powtórzył Pierce, tym razem swoim własnym głosem.

- Ojej, Pierce?

- Tak. - Naszło go dziwne przeświadczenie, że głos w słuchawce należy do tej dziewczyny ze wsi, domek nad rzeką, wycieczka łódką, Rosie.

- Pierce, tu Julie. Obudziłam cię?

- A. Cześć. Cześć. Tak, w pewnym sensie, właściwie to już wstałem, ale...

- Posłuchaj - powiedziała Julie. - Mam dla ciebie wiadomość. - Urwała. - Siedzisz?

- Nie. Tak. W porządku. - Przeniósł telefon na łóżko i usiadł pośród rozrzuconych banknotów.

- Sprzedaliśmy ją - oznajmiła Julie.

- Co?

- Boże, Pierce, sprzedaliśmy twoją cholerną książkę, jak rany!

- Aha... Ojej. Mój Boże. Naprawdę?

- Nie są to jakieś niesamowite pieniądze.

- Nie. No cóż.

Wymieniła sumę, co do której Pierce nie miał pojęcia, czy jest znikoma, czy pokaźna.

- Ale Kogucikowi.

- Komu?

- Wydawnictwu Kogucik. Obudź się. I posłuchaj, słuchaj. Chcą zrobić jedno wydanie w miękkiej oprawie i jedno kieszonkowe, więc nawet jeśli zaliczka nie jest wielka, ostatecznie książka może wiele zarobić, jeśli chwyci.

Cisza.

- Pierce. Chcesz o tym rozmawiać? Nie musisz się na to zgadzać. Możemy poszukać innego wydawcy. - W jej głos wkradła się niecierpliwość.

- Nie, hej, posłuchaj, pogadajmy, w tej chwili, ale zrobię to, co uważasz za najrozsądniejsze.

- Chcą mieć pewien nadzór redakcyjny.

- Co?

- To znaczy są zdania, że książka mogłaby świetnie się sprzedać, gdyby dało się ją nieco sformatować pod konkretnego czytelnika.

- Pomyleńcy.

- Zaraz, zaraz - zaśmiała się. - Wcale nie. Ale faktycznie wspomnieli o kilku tytułach, które były ostatnio wielkimi hitami. *Rydwan Faetona. Podzielone światy. Świt druidów.* Tego typu książki.

- Hm.

- Uważają, że twoja mogłaby być taka jak tamte.

- To znaczy być stekiem kłamstw?

- Daj spokój.

Może nie stekiem kłamstw, nie, ale prawie na pewno będzie musiała zostać nieznacznie zdegradowana, w taki sposób, w jaki

materiał przedstawiany studentom, choć uproszczony, usystematyzowany bądź mocno ubarwiony, nie musiał. Będzie zmuszony popełnić nie tylko *suppresio veri*, lecz również *suggestio falsi*. Z niespodziewaną jasnością ujrzał, jak książka, której napisanie zaproponował, będzie odbierana przez historyka (Barra?); jak będzie musiała zawierać strony, których treść będzie po prostu zmyślona, zmyślona w takim samym stopniu, w jakim zmyślone są strony owych powieści jednorazowego użytku, które stanowią zapisy zwyczajnych (choć całkowicie wyimaginowanych) konwersacji, doprawione prawdziwymi, nieznacznie zmienionymi nazwami własnymi. Dobrze. W porządku.

- Dobrze - powiedział. - W porządku. Porozmawiajmy.

- Jeszcze jedna rzecz - rzuciła. - Nie podoba im się twój tytuł.

- Nie?

- Uważają, że będzie mylący. I trudny do skatalogowania.

- Dobrze. W porządku. - Pierce poczuł się zwyczajnie postrzelony z broni palnej; trudno było wobec tego tak raptownie zmieniającego się krajobrazu zdecydować, czemu powinien się opierać, o ile w ogóle powinien to robić. - Musimy porozmawiać.

- Pomyślałam o kolacji - wyznała Julie łagodniejszym tonem niż ten, jakim przekazała mu swoje rewelacje. - Szampan. Och, Pierce. - Nastąpiło milczenie (Pierce czuł je przez słuchawkę, widział jej rozpromienioną twarz) brzemiennie jasnowidzeniem przeznaczenia. - Wiedziałam - stwierdziła. - Wiedziałam.

Postawszy przez dłuższy czas pod huczącym prysznicem, Pierce policzył pieniądze - znajdujące się na łóżku banknoty oraz sumę, którą wymieniła Julie, i dokonał kilku nierozstrzygających kalkulacji. Wsunął gotówkę do koperty, ściągnął pościel, a przywdziawszy koszulkę z krótkim rękawem oraz moherowy garnitur (wszystkie ubrania były brudne), upakował torbę na pranie.

- Dobry Boże - wypowiedział na głos, chowając swe rzeczy przed ciężkim światłem dnia. - Dobry Boże.

Stopy wsunął w gumowe sandały, wygrzebał trochę drobnych z popielniczki, wyszedł z mieszkania, na dole zatrzymał się przy swojej skrzynce na listy i wyjął z niej niewielki plik korespondencji.

Nie podobał się tytuł. Był to oczywiście jedyny tytuł, jaki można było nadać tej książce. Przypuszczał, że tymczasem można by wprowadzić jakiś tytuł zastępczy: może *Niewidzialne kolegium. Pneumatycy. Włamywacze.*

Król kotów.

Kiedy pranie poczęło kłębić się hipnotycznie w mydlanych odmętach za okrągłym okienkiem pralki, przejrzał korespondencję: jakiś list z Florydy, jakieś śmiecie, katalog księgarski, list z Faraway Hills napisany drobniutkim, lecz czytelnym charakterem pisma.

„Pierce” - pisał jego autor.

Dawno się nie odzywałeś. Pomyślałem, że skrobnę parę słów o tym, co tu słysząc Mamy cichy okres, który mój dziadek nazywał „czasem skrępowania”.

Wszystko jest schowane, związane, zabite gwoździami etc. na zimę. To będzie moja pierwsza cała zima w tej chacie. Zebrałem worek fasoli, worek ryżu, 50 funtów ziemniaków, butelkę brandy, mleko w proszku, lampy, dubeltówkę itd. - na wszelki wypadek. Owce mają się dobrze + przesyłają pozdrowienia. Przy okazji, słyszałem, że w Blackbury Jambs jest ładne mieszk., które będzie niedługo do wynajęcia. Ludzie, których znam, wyjeżdżają w lutym na wybrzeże. 1 piętro, ładny widok, weranda, lodówka i takie tam. Pomyślałem, że o tym wspomnę. Miło było gościć Cię tu.

Podpisano: „Wszystkiego dobrego, Spofford”. Było też postscriptum: „Państwo Mucho wnieśli sprawę”.

Pierce przeczytał całość dwukrotnie, po czym usiadł z listem na kolanach i trwał pogrążony w myślach, póki nie trzeba było przenieść ubrań z pralki do suszarki; wówczas, przyglądając się, jak jego puste spodnie i koszule machają doń gwałtownie miotane w kółko, uświadomił sobie, że dziś, tego właśnie dnia, są jego urodziny. Skończył trzydzieści cztery lata.

Pierce Moffett, nawet jeszcze za czasów, kiedy stał na swym dachu, na przyprawiającej o zawrót głowy krawędzi zgody na to, że w jakimś sensie kosmos stanowi opowieść - że wszechświat jest kosmosem -

wciąż jeszcze nie przypuszczał, że w jakimkolwiek konkretnie jest to jego opowieść, ani nie potrafiłby uwierzyć, że jego osobisty los może być dostrzeżony w harmoniach, jakie zaczął słyszeć, w geometriach, jakie zaczął widzieć. Szczerze powiedziawszy, ze zdumieniem skonstatował, że większość tych, którzy interesują się wróżbiarstwem, jasnowidztwem, prorocstwem astralnym, nie czyni tego w poszukiwaniu jakiegoś ogólnego oświecenia co do istoty życia, myśli i czasu, lecz w nadziei znalezienia w nich wskazówek co do działania, niczym szkolnego streszczenia fabuły ich życia. Julie Rosengarten, dla przykładu, zawsze odczytywała je w ten sposób. Ale Pierce - gdyby pewnego poranka podczas przechadzki po mieście spadła nań z góry szafa pancerna i przerwała jego opowieść bez żadnego zrozumiałego powodu, a przy tym bez najmniejszej zapowiedzi, nie poczułby się, jeśli można tak powiedzieć, tym urażony. Głębokie przekonanie, że jego los dalece bardziej podlega przypadkowi, omyłce i szczęściu niż jakiegokolwiek logice, kosmicznej bądź ziemskiej, przekonanie, które było znacznie dawniejsze niż jego studia okultystyczne, również z łatwością je przeżyło.

Z drugiej jednak strony, owe omeny potrafią niekiedy nawoływać tak wyraźnie, że nawet ktoś taki jak Pierce musi zwrócić na nie uwagę.

W tym właśnie dniu, dniu swoich urodzin (urodzin!) rzeczywiście złożył przysięgę, przysięgę, co do której nigdy nie przypuszczał, że jest zdolny ją złożyć, lecz złożył resztką sił, jaka mu jeszcze owego ranka pozostała; przysięgę wyrzeczenia się, które

stanowiło najmniejszą cenę, jaką mógł zaproponować w zamian za to, co spadło nań tak niespodziewanie. O to chodzi, o to chodzi, o to chodzi. Od tej chwili poświęci się wyłącznie powiększaniu własnych fortun i nie będzie trwonił w rozpaczliwych pogoniach za miłością owych darów najwyraźniej zarezerwowanych dla niego.

Tydzień później, przepełniony mściwością słodką i ożywiającą, której ożywienia dodawała nutka zabarwiającego ją strachu (nie wierzył bowiem, że jego przyszłość na długo pozostanie w zasięgu wzroku), zwrócił Earlowi Sacrobosco niepodpisaną umowę na semestr letni. Potrzebuje czasu do pracy nad specjalnym projektem, wyjaśnił, który będzie wymagał trudnych badań, stanowiących wszak prawą rękę pracy naukowej, podczas gdy uczenie jest lewą; a ponieważ urlopy naukowe nie przysługują pracownikom niezatrudnionym na etatach, z przykrością musi itd. I już.

Napisał do Spofforda w Faraways, podając styczeń jako okres, kiedy mógłby odbyć tam kolejną wycieczkę, i prosząc go, by zatelefonował, jeśli przy okazji znajdzie się w pobliżu aparatu - na koszt rozmówcy.

Zaś w dniu Bożego Narodzenia jak zwykle kupił małą butelkę ginu i jeszcze mniejszą wermutu, po czym ruszył czarnym mostem na Brooklyn, by odwiedzić swego ojca, Axela, i przekazać mu, o ile zdoła wymyślić sposób, za pomocą którego da się tego dokonać jasno i bezboleśnie, te wieści.

Dwadzieścia lat wcześniej Axel Moffett wygrał całkiem przyzwoitą sumkę pieniędzy w jednym z popularnych wówczas utracjuszowskich ze swej natury teleturniejów. Jego dziedziną była cywilizacja zachodnia, on zaś posiadał przewagę w postaci wiedzy i głębokiego zamiłowania do wszystkich tych przyprószonych siwizną anegdot i Wielkich Chwil, wymaginowanych Punktów Zwrotnych oraz romantycznych wydarzeń w rzekomym życiu rzekomych bohaterów tejże cywilizacji - od Aleksandra i Boudiki po Napoleona i Garibaldię. Pierce, uczony historii bardziej zdyscyplinowanej naukowo, nie poradziłby sobie tak dobrze. Nie było tematów do rozwinięcia, zaś Axel, choć słaby z dokładnych dat, potrafił bez mała przewidywać, której z owej stosunkowo niewielkiej liczby wielkich opowieści akurat wymagano. Acz niewykształconej publiczności jego wiedza musiała wydawać się niewyobrażalnie rozległą; szczerze mówiąc, taka właśnie wydawała się Pierce'owi, wówczas czternastolatkowi, który oglądał, jak jego czarno-biały, a przy tym osobliwie pomniejszony ojciec odpowiada pewnie, który Austriak krótko sprawował rządy jako cesarz Meksyku (Axel uwielbiał ten film, biedna, biedna Carlotta, a do tego łagodne i zrozpaczone oczy Briana Aherne). Wokół telewizora w Kentucky wszyscy wznosili owacyjne okrzyki, z wyjątkiem matki Pierce'a, która uśmiechając się,

kiwała jedynie głową, jak gdyby było to kolejne niezgłębione dziwactwo jej męża, jeszcze jedno, które należy wybaczyć i zapomnieć.

Doszedł mniej więcej do połowy piramidy oferowanej gotówki, nim został zatrzymany; producenci uznali, że to zbyt wielki dziwak, by pozwalać takiemu na zdobycie najwyższych nagród (mimo iż przez pewien czas bawił swą staromodną wytwornością oraz sposobem udzielania odpowiedzi z płonącymi oczyma i głośnym tonem niezachwianego przekonania, jak gdyby rzucono mu wyzwanie). Nie była to kwestia ustawienia uczestników - Axela nie dało się ustawić, i jeszcze długo po tych wydarzeniach potrafił odtworzyć swoje przerażenie i wstyd, jakie towarzyszyły odkryciu, że inni uczestnicy programu byli ustawieni; była to po prostu kwestia pytania, które dotyczyło faktu tak mało znanego, tak niezwiązanego z tematem, tak oderwanego od Wielkich Tematów, że i ekspert nie potrafiłby na nie odpowiedzieć (zadano je kilku z nich). Dla widzów, rzecz jasna, nie wydawało się ono bardziej wymagające niż którekolwiek z tych, na które Axel odpowiedział z łatwością bądź je wymęczył (Jaką pieśń śpiewały syreny? Jakie imię przybrał Achilles, kiedy ukrył się pośród kobiet?), lecz słysząc je, Axel stał oniemiały w swej szklanej kabinie, nie mając zielonego pojęcia, póki zegar nie wskazał, że czas dobiegł końca.

Niezwykłe w tym wszystkim było to, że Pierce znał wówczas odpowiedź na to pytanie.

Usłyszał je w świetlicy Akademii St. Guinefort, i słuchał, jak rozpoczyna się podkład muzyczny towarzyszący tykaniu zegara, który wyznaczał czas na udzielenie odpowiedzi, synkopowany dalekimi odgłosami meczu pingpongowego rozgrywanego gdzieś na szkolnym korytarzu. Z niedowierzaniem słyszał też, jak warta tysiące odpowiedzi rozwija się w jego myślach, podczas gdy Axel stoi jak urzeczony. Muzyka ustała; jeszcze dodatkowa chwila, ale nic mu już nie pomogła. Ze swej karteczki prowadzący przeczytał odpowiedź, tę samą, która rozwinęła się w myślach Pierce'a; publiczność w studio wydała westchnienie ubolewania, koledzy Pierce'a odwrócili się od ekranu i spojrzeli na niego, jedni z szyderstwem, inni z zaciekawieniem, jeszcze inni z pomrukiem żalu po przegranych pieniądzech. Pierce siedział w milczeniu. Wyraziwszy swoje współczucie, radosny gospodarz programu wyprowadził ze studia Axela, który, choć dotknięty klęską, głowę trzymał wysoko, a wyraz jego twarzy, którego Pierce nigdy nie miał zapomnieć, mówił: „Wszystko stracone, prócz honoru”. I nawet gdyby widział, jak prowadzą jego ojca na egzekucję, widok ten nie stałby się bardziej rozdzierającym serce wspomnieniem.

Nigdy nie przyznał się ojcu, że znał odpowiedź.

Suma, jaką wówczas wygrał Axel, jakkolwiek wydawała się ogromnym skarbem, z perspektywy czasu sprawiała wrażenie niemal banalnej, podobnie jak wiele cen z tamtej epoki, ale wystarczyła, by nabyć niebrzydki, choć sfatygowany budynek przy Park Slope, w którym Axel mieszkał i w którym Pierce przyszedł na świat. Tak więc

Axel został kamienicznikiem, do której to funkcji żywił głęboką nienawiść, ale budynek zapewniał mu niewymagające zbytniego wysiłku utrzymanie w latach niejednokrotnie złego zarządzania, a niekiedy i poważnych tarapatów, jakie miały dlań nadejść. Nawet obecnie, kiedy jego posiadający zagwarantowaną przez prawo wysokość czynszu lokatorzy z rzadka uiszczali podatki oraz najmniejsze z możliwych opłaty konserwacyjne, miał gdzie się podziąć. Tak właśnie przedstawił to Pierce'owi: - Przynajmniej - łązy często napływały mu do oczu - przynajmniej mam gdzie się podziąć.

Owego bożonarodzeniowego popołudnia Pierce zastał go stojącego przy wejściu do budynku, niczym bezdomnego włóczęgę, którzy znalazł tam sobie schronienie (porównanie pochodziło od Axela).

- Dzwonek jest zepsuty - oznajmił, manipulując kluczem - a Gravley pojechał do rodziny na wyspę. Nie chciałem, żebyś sterczał tu i dzwonił, myśląc, że gdzieś poszedłem, chociaż nie wiem, dokąd miałbym iść. - Gravley był dozorcą, czarnoskórym mężczyzną wielkiej dobroci, a nawet ujmującej uprzejmości, który mieszkał tam od czasów dzieciństwa Pierce'a; Axel darzył Gravleya głębokim szacunkiem, a on zwracał się doń „panie Moffett”; zgarbiony, powolny i mądry, był bez mała kimś w rodzaju postaci fikcyjnej, która trafiła do jego życia wprost z ulubionych starych filmów, a wszędzie indziej zniknęła z prawdziwej rzeczywistości, jak gdyby faktycznie nigdy jej nie zamieszkiwała. Pierce martwił się tym, co stanie się z Axelem po śmierci Gravleya.

- Dokąd miałbym iść, tego nie wiem - powtórzył Axel, kiedy wchodzili po schodach. - Dokąd miałbym iść - nie wiem. Ach, Pierce. Bezdomny w taką noc. Bezdomny człowiek w tę jedyną noc. W tę jedyną noc w roku.

Wuj Pierce'a, Sam, określił swego czasu Axela mianem „nieco teatralnego”. Dziewięcioletniemu Pierce'owi (który dopiero co przybył zamieszkać u niego) niewiele to mówiło, lecz rozważywszy kwestię, uznał, że być może Sam miał na myśli jego zwyczaj powtarzania, w kółko i jak gdyby do siebie, zwrotu, który na chwilę przychodził mu do głowy. Czynił to niczym aktor podczas próby, który szuka dla niego najodpowiedniejszej formy, wkładając weń emocje bądź beztroskę, póki nie wzbudzi śmiechu lub łez. Z czasem inne znaczenia opisu Sama w sposób bardziej oczywisty zaczęły wydawać się zamierzone, lecz mimo to Sam również miał rację, mówiąc, że nie podjąwszy kariery aktorskiej bądź duchownej ojciec Pierce'a minął się z powołaniem.

Gdy Axel otworzył drzwi swego mieszkania, zostali powitani ostrym wrzaskiem po łacinie: „De mortuis nil krrrra łiiii!” A po chwili: „Zamknij się, zamknij się”.

- Niesamowite - stwierdził Pierce ze śmiechem - jak wiele papug uczy się mówić „zamknij się”. Ciekawe czemu.

- K i e d y - rzucił Axel z wyrazem wyczerpanej cierpliwości na twarzy - zamierzasz zabrać ode mnie to stworzenie? Precz. Precz z mego życia.

- No cóż - mruknął Pierce - właściwie to poniekąd przyszedłem po to, żeby ci o tym powiedzieć. - Z rozmięklej od śniegu papierowej torby wyjął niewielkie butelki. Ze względu na swą przeszłość, Axel nie trzymał w domu mocniejszych trunków; pijał wyłącznie piwo oraz z rzadka wino w tawernach. Ale w urodziny oraz w dniu Bożego Narodzenia musiał wypić kieliszek martini, dwa kieliszki, by wspomnieć sobie bardziej biesiadne czasy i szczęśliwsze dni. Właśnie przygotowywał dzbanek, lód oraz patyczek do mieszania.

Teraz ludzie piją je z lodem - odezwał się. - Straszne, straszne. To nie martini. Acz sądzę, że nieco cytrynowej srebrzystości to dobry pomysł. Skrawek skórki. Skrawek cytrynowej skórki. Doprawdy, Pierce, należy zwrócić go dżungli. To nic przyjemnego. Wygląda bardzo marnie. Powinien fruwać po dżungli, po Amazonii. Niczym w zielonym cieniu dumanie zielone²⁵. Przez niego czuję się jak stara panna, wiktoriańska i zaniedbana. Z a n i e d b a n a. Kiedy, kiedy, kiedy masz zamiar go zabrać. - Śmiał się teraz. - U w o l n i j mnie od zniewolenia przez p t a k a. - Zamieszał. - Niczym w zielonym cieniu dumanie zielone. *Libera me domine*.

Pierce usiadł na wyblakłej kanapie, rozmyślając o swej papudze i swym dawnym domu. Pokryła go akselowa patyna, która usunęła to wszystko, co zostało w nim z czasów, kiedy mieszkał tu z matką, mimo iż bardzo niewiele się zmieniło. Ściany nie były czekoladowo-brązowe, kiedy był chłopcem, ale nie przypuszczał, by to Axel pomalował je w ten sposób; po prostu tak z czasem się zmieniły. Ta sofa, jak pamiętał, niegdyś była niebieska; oprawione w ramki sztychy

²⁵ Cytat z wiersza Andrew Marvella *Ogród* w przekładzie Stanisława Barańczaka.

katedr oraz fotografia Williama Morrisa autorstwa Cameron²⁶ - były dawniej obrazkami, w które długo się wpatrywał. Na dywanie znajdował się nawet zagubiony wzór, który należał do jego wspomnień. Wszystko to było tu pogrzebane niczym dawna Troja pod schludnym brudem, nabytkami z wyprzedazy rzeczy używanych i ulicznych wystawek, wonią starca.

- *Libera me domine* - powtórzył Axel, przynosząc dzbanek i dwa kieliszki. Pierce musiał obrać cytrynę ze skórki - pulchne, białe, zwięzające się palce Axela nie nadawały się do tego typu zadań, „pozbawione czucia”, jak mawiał - przetrzeć nią kieliszki, a następnie nalać i podać. Było to niczym pośpieszny rytuał picia herbaty. Axel czerpał z tego niewymowną radość.

- Popatrz na te kieliszki - odezwał się. Były smukłe i trawione, o żłobkowanych nóżkach. - Weneckie. No, niezupełnie, ale takie jak weneckie. Wiktoriańskie kopie, jak sądzę, może, chyba. - Pierce'owi wydały się tanią masową produkcją, ale niewiele wiedział o tego typu rzeczach. - Oczywiście trefne. Chłopaki mi je przynieśli. Trzymaj, Axel, ty lubisz takie badziewie, łyknij i te, bo inaczej wytłuczemy je w cholerę. Widzisz, oni to rozumieją. Sami nie cenią czegoś takiego, ale wiedzą, że istnieją pewne rzeczy, które są poza ich zasięgiem. Piękno. Książki; wiecznie przynoszą mi książki. Hej, Axel, co to jest? Znalazłem to. A to był Rabelais w oryginale, niewielki tom kwarto, tylko jeden z serii, a ja na to, tak, Teddy, to jest wielka klasyka - uprzejmie, poważnie, mając na względzie uboższą wrażliwość - a do

²⁶ Chodzi o Julię Margaret Cameron, słynną XIX-wieczną artystkę fotografikę, znaną ze swych portretów najznamienitszych osobistości epoki.

tego po francusku, bardzo staromodna... Czytasz takie rzeczy? - spytał, a ja mu na to, tak, potrafię sobie z tym poradzić, znam język... No cóż, podpuszczają mnie, to po prostu zwyczajne, proste dzieciaki. Wesołych Świąt, wiesz, jak wiele dla mnie znaczy, że tu przychodzisz, Pierce. To wiele znaczy. - Westchnął. - Po prostu dobre, zwyczajne, proste chłopaki. Łobuziaki. Łobuziaki. - Zaśmiał się na jakieś osobiste wspomnienie.

- Zarabiacie jakieś pieniądze? - spytał Pierce.

Zawsze czuł się jak gbur, wtrącając się w entuzjazm ojca z podobnymi pytaniami, ale najwidoczniej nie potrafił się powstrzymać. Nie miał zaufania do owej działalności mającej na celu zabezpieczenie mienia, w jaką zaangażował się Axel, gangu Brookliniarzy, którzy po pracy oraz w weekendy w ramach umowy z ludźmi od rozbiórki ogałali porzucone domy i kamienice z miedzianych i ołowianych rur oraz wszystkiego, co wpadło im w ręce, a posiadało jakąś wartość. Mieli swoją siedzibę w starej remizie, którą wynajmowali od władz miejskich, miejscu, do którego można było uciec od żony i pić na umór piwo; byli oddani sobie nawzajem oraz starszemu mężczyźnie, którego nazywali Szefem, niegdysiejszemu inżynierowi w marynarce, jak wywnioskował Pierce, zawiadującym całą operacją - tak przynajmniej wynikało z opowieści Axela - w sposób przywodzący na myśl na poły obóz skautowski, na poły zaś szajkę złodziei Villona, choć Axel upierał się, że ich działalność nie nosi znamion przestępstwa. Axel zatrzymywał sobie owe książki; w ilu z takich zabawach brał udział, tego do końca nie wyjawiał.

- Pieniądze, cóż, pieniądze - odparł. - Żeby je zarobić, trzeba je wyłożyć. - Nagle poczuł się urażony. - Pieniądze! Czemuż rozmawiamy o pieniądzach w takim dniu. W tym jedynym dniu w roku!

- Krrra hiii! - odezwała się papuga. Pierce wielokrotnie zauważał, że niespodziewane podniesienie poziomu hałasu sprawia, iż papugi zaczynają mówić. Axel uniósł się ciężko z kieliszkiem w dłoni; ptak podszedł chyłkiem wzdłuż swej żerdzi w jego stronę, co rusz zwracając ku niemu swoje obwisłe oczy. Na twarzy Axela malowało się zacięcie, toteż Pierce jął się zastanawiać, czy ojciec przypadkiem nie zamierza udusić ptaka. Ale stanął tylko przed nim, a po chwili zaczął w roztargnieniu głaskać go wierzchem palca wskazującego pod dziobem.

- Dostałem kartkę od Winnie - oznajmił.

- Tak? - spytał Pierce. - Ja też. Wygląda na to, że u niej wszystko w porządku.

Axel potężnie westchnął.

- Poszedłem w nocy na pasterkę. Do św. Barbary. Pamiętasz, że zawsze chodziliśmy. Winnie śpiewała. Tak czysto. - Oparł się o gzyms kominka, opuszczona głowa, opadłe ramiona. - Modliłem się za was. Za moją żonę. I mojego syna.

Pierce również spuścił na chwilę wzrok.

- Ciągłe chodzisz, co? Wciąż tyle ludzi?

- Msza anielska - powiedział Axel. Zdołał połączyć elementarny ateizm z pewną ilością emocjonalnej liturgiczności oraz szczególnego

oddania Najświętszej Dziewicy. - Ta muzyka. *Gloria in excelsis Deo*. Winnie zawsze potrafiła wydobyć wysokie tony, więc, więc... wydobyć.

- No cóż, wygląda na to, że ma się dobrze - powiedział Pierce. - Jest wypoczęta. Dobrze tam wypoczywa. Acz kartka była dość dziwna. Pewnie to Dora ją wybrała.

- Modliłem się za was oboje - powtórzył Axel. - Modliłem się. Naprawdę. Jesteś teraz wszystkim, co mam, Pierce. Wszystkim, co mam.

Pierce obrócił w dłoni wenecki kieliszek. Wyznanie Axela nie powstrzymało ciągu reminiscencji obarczonych winą i stratą, które napłynęły wraz ze skończeniem pierwszego martini i rozpoczęciem drugiego; ale nie spodziewał się tego. Tu była to o tyle część Bożego Narodzenia, o ile posępna przepowiednia słabnących mocy oraz głębokie pragnienie Uczynienia Jeszcze Czegoś Dobrego były częścią urodzin, które Axel również traktował z wielką powagą; podobnie jak swoją przysięgę małżeńską, swoje ojcostwo oraz porażkę w obu z nich, bądź to, co brał za porażkę. Pierce nigdy nie był w stanie dodać mu otuchy; niełatwo było mu wyjaśnić, zważywszy na głębię uczuć Axela, żeby się tym nie przejmował, że nie ma to większego znaczenia, bądź przypomnieć mu, gdy z poważną galanterią wspominał żonę, że Winnie (Pierce nie miał co do tego wątpliwości) tak czy inaczej nieczęsto roztrząsała tę kwestię. To Sam (a obecnie, po jego śmierci, Dora) zawsze pamiętał o Axelu, pamiętał, żeby wysłać

mu kartki, pamiętał, że miał swój udział w wychowaniu Pierce'a oraz obowiązki w stosunku do niego. Winnie głównie chciała odpoczywać.

Zdolność jego matki do wypoczynku była niebywała - we wspomnieniach Pierce'a rzadko zajmowała się czymś innym niż tylko spokojnym siedzeniem z łagodnym, nieobecny obliczem i luźno złożonymi na kolanach dłońmi - ale jej nigdy to nie wystarczało. Nerwowość, w każdym sensie, była dla niej niczym jedna z owych tajemniczych wiktoriańskich dolegliwości, które dawały niewiele objawów, lecz którym zapobieganie bądź uśmierzanie ich to wysiłek na całe życie. Pierce wiedział jedynie o kilku przypadkach, w których choroba dała o sobie znać: prawdopodobnie kiedy matka wyszła za Axela, być może wtedy, kiedy opuściła go i wyjechała zamieszkać u swojego brata, Sama, kiedy ten owdowiał, oraz po śmierci Sama, kiedy dolegliwość zawładnęła nią na tyle mocno, że zmuszona była wyjechać do domu pogodnej jesieni życia, by odzyskać spokój.

Poznała tam Dorę, kobietę, która przez lata opiekowała się owdowiałym bratem (co, jak przypuszczała, czyniła i Winnie, choć w jej przypadku było zupełnie odwrotnie); pogrążonego w demencji odwiedzała niemal codziennie w domu spokojnej starości. Jego śmierć sprawiła, że Dora popadła w beczynność, stan, którego obawiała się tak dalece, jak dalece Winnie pragnęła wypoczynku; toteż zajęła się życiem Winnie wraz z jego fascynującymi opowieściami oraz krewnymi w linii bocznej, których zdawało się zawierać, włączając Pierce'a oraz Axela, obecnie zaś zarządzała nim oraz Winnie z sieci bungalowów, które nabyła na Florydzie z własnych oraz należących

do Winnie, a pochodzących z ubezpieczenia środków finansowych. Tam, jak się zdawało, Winnie nareszcie osiągnęła spokój.

- Pisanello - powiedział Axel, biorąc kartę, którą obaj dostali z Florydy, i wyciągając ją ku Pierce'owi. - *Quattrocento*, tak? Chociaż uważam, że nie powinni imitować złotego liścia tą złotą posypką. Sprawia na mnie wrażenie czegoś w bardzo złym guście. Nie mogą tego zostawić tak jak jest? Muszą pozłacać lilię?

- Pomalować lilię²⁷ - poprawił go Pierce.

- Pomalować lilię i pozłocić szczerę złoto? Pozłocić szczerę złoto i pomalować lilię? Wobec tego nalej jeszcze Pierce, dobrze? Proszę.

Nim wyszli na pokrytą rozmokłym śniegiem ulicę i ruszyli ku starej i słynnej (a obecnie w oczach Pierce'a niestety i podupadającej) brooklyńskiej restauracji, w której dawno temu rodzina Moffettów obchodziła szczególne okazje, a która obecnie serwowała Axelowi i Pierce'owi ich bożonarodzeniowy obiad, nastąpiła wymiana prezentów: dla Axela, jak co roku, jakiś odzieżowy drobiazg bądź ozdoba uszlachetniona sławnym nazwiskiem z któregoś z wykładanych boazerią sklepów na Madison Avenue, angielskim znakiem firmowym bądź królewskim herbem; dla Pierce'a, ostatnio, coś z nielegalnego źródła. W tym roku - książka.

- Pamiętasz ją oczywiście - stwierdził Axel, gdy Pierce wciąż jeszcze zdierał opakowanie. - Ach, pamiętam, jak ją uwielbiałeś.

²⁷ Por. William Shakespeare, *Życie i śmierć króla Jana*, Akt IV, scena II. Cały fragment stanowi nie tylko odniesienie do sztuki Shakespeare'a, ale również grę słowną; w j. angielskim zarówno wyrażenie „gild the lily” (pozłocić lilię), jak i „paint the lily” (pomalować lilię) może oznaczać niepotrzebne upiększanie czegoś, co jest piękne samo z siebie; czasami tłumaczy się je również jako „przedobrzyć”.

Prosiłeś, żeby pokazać ci obrazki, te piękne obrazki... - Axel odegrał rozwartoogie zdumienie dziecka.

- Aha - mruknął Pierce. - Hm.

- Nie jest to pierwsze wydanie - przyznał Axel.

- Nie szkodzi - odparł Pierce.

- Czytałem ci ją.

Była to wersja legend arturiańskich pióra Sidneya Laniera w starym luksusowym wydaniu Scribnera z ilustracjami N. C. Wyetha, ultramarynowe nieboskłony oraz białe i srebrne zbroje. Rzeczywiście ją pamiętał. Miał lśniące wydanie w miękkiej oprawie, fakt, ale nie przypominał sobie, żeby darzył tę książkę jakimś szczególnym uwielbieniem, jak inne, otwierając zaś to stęchłe wydanie w twardej oprawie, nie poczuł żadnego skurczu; ilustracje oraz tekst wskazywały na coś odległego, obojętnego i wzbudzającego obojętność, czystego, lecz nienależącego do niego: wszystko, o czym Pierce myślał, dla Axela zawierało się w słowie „czysty”, którego używał po swojemu, by wyrazić coś, co jego wzruszyło głęboko, zaś Pierce zgoła wcale.

- Dziękuję - powiedział. - Oczywiście, pamiętam. - Nie chciał, żeby ich spojrzenia się spotkały, obawiając się, że oczy Axela mogą być pełne łez. Potrafił sobie doskonale wyobrazić czasy, kiedy był dzieckiem, zaś Axel czytywał mu te opowieści; błędnie wziął milczenie Pierce'a oraz jego zdumienie wobec głębokiego wzruszenia ojca za jego własne głębokie wzruszenie; lecz tym, co Pierce naprawdę zapamiętał z ogromną wyrazistością ze swoich bajek do poduszki, nie byli w żadnym razie owi rycerze, ale odgrywanie przez

Axela, w najdrobniejszych szczegółach, odcinków serialu o Flashu Gordonie. Bezlitosny Ming, Błotni Ludzie z Marsa, wszystko, powtarzane w nieskończoność najlepsze fragmenty dialogów, okraszane śmiechem samozachwytu Axela, oraz radość Pierce'a; oczy ojca lśniły teatralnie, jego pucułowata twarz przechodziła od bohaterskiej determinacji w zagrożoną czystość, a następnie w demoniczną złośliwość i z powrotem. To właśnie Pierce zapamiętał.

A mimo to (przerzucił strony do ostatniej ilustracji: kryjąca tajemnicę jaśniejąca kaplica) przypomniał sobie wieczór, kiedy ta właśnie książka stanowiła lekturę do poduszki. Przypomniał to sobie, choć było możliwe, że Axel, przekonany, iż pamięta każdy szczegół okresu, kiedy Pierce z nim mieszkał, o tym zapomniał. Było to w wieczór poprzedzający dzień wyjazdu Pierce'a i Winnie do Kentucky.

Pierce w piżamie - umyte zęby, zmówiony paciorek - leżał przykryty kołdrą po samą brodę w kącie utworzonym przez dwie ściany, pomiędzy które wciśnięte było jego łóżeczko (im bliżej, tym lepiej, zapobiegało to bowiem wydobywaniu się tego, co mogło znajdować się pod nim). Axel, wyjątkowo poważny i łagodny - był taki przez cały dzień, ścisnął tylko dłoń Pierce'a i odwracał się, by chlipnąć od czasu do czasu podczas przechadzek i niespodzianek, jakie urządzili sobie tego dnia (Winnie została sama, żeby zająć się pakowaniem) - wziął z półki *Króla Artura*.

- Ta książka - powiedział - chcesz posłuchać opowieści z tej książki? Książki o rycerzach?

Pierce skinął głową, zrobi wszystko, co mu każą, byle tylko przetrzymać jakoś rytuał owych dni dziwnych i podniosłych niczym pasterka. Tak, ta książka.

Axel potarł czoło - czuć było od niego nieco alkoholem oraz odświeżaczem do ust - i otworzył książkę.

- A więc oto opowieść - zaczął. - Opowieść o małym chłopcu zupełnie takim jak ty. - Zabrzmiało to niczym głucho jęknięcie. - Takim jak ty. Był dobrym chłopcem, tak jak ty. Miał na imię Percival.

Odchrząknął mokrym kaszlnięciem i zaczął czytać

- Ojcem pana Percivala był król zwany Pellinor, który starł się w straszliwej bitwie z królem Arturem. Artur ścigał go z miasta do miasta, z miejsca do miejsca, aż nareszcie Pellinor niczym dziki zwierz został przegnany z ludzkich siedzib do borów. A był to wielki ciężar dla jego żony, królowej, jako i wielkie niebezpieczeństwo dla ich małego synka, Percivala.

- Był on dzieckiem wyjątkowej urody a jego matka kochała go bardziej niż wszystkich swych pozostałych synów. Z tego też powodu bała się, by malec nie zmarł wskutek tych niewygód.

- Toteż pewnego dnia król Pellinor rzekł: „Miła ma, żadną miarą nie jestem teraz zdolny, by bronić ciebie oraz tego malca”. - Axel urwał po tych słowach, przetykając ślinę i trwając przez chwilę z zawieszonym spojrzeniem; Pierce, znieruchomiały w poczuciu zdumienia, jedynie czekał. Wreszcie Axel zaczął czytać dalej: - „Dlatego też na czas jakiś odeślę cię stąd, byś mogła pozostać w

ukryciu, do czasu aż malec urośnie, zmężnieje i będzie mógł bronić się sam”.

- „Teraz ze wszystkich mych dawnych posiadłości zostały mi tylko dwie. Jedna to samotny zamek pośród boru (do którego właśnie wyruszam), druga zaś to odludna wieża, daleko stąd, w bezludnej krainie, w której znajduje się wiele gór. Do tego właśnie miejsca was wyślę”.

- „A jeśli chłopak dorośnie w tej samotni i stanie się mężczyzną, lecz będzie wątpliwy na ciele i bojaźliwy w duszy, uczynisz go mężem duchownym. Jeśli jednak dorósłszy wykaże się siłą i krzepką posturą, i zapragnie dokonywać czynów rycerskich, tedy go nie powstrzymuj, lecz pozwól mu odejść w świat i czynić wedle własnego rozumu”.

Axel urwał i zacisnął powieki, by powstrzymać łzy.

- Będiesz dobrym chłopcem, prawda? - powiedział. - Będiesz dobrym chłopcem, zaopiekujesz się mamą jak dobry rycerz.

Pierce w swym kąciku skinął głową.

- I tak też się stało - podjął Axel, nie bez trudu znalazłszy miejsce, w którym przerwał czytanie. - Król Pellinor wyruszył do owego samotnego zamku, w którym odnalazł go król Artur i toczył z nim boje, zaś matka Percivala ruszyła ku górskiej siedzibie, o której powiedział jej mąż. A była to samotna wieża, która sięgała nieba niczym kamienny palec. Tam też mieszkała wraz z Percivalem przez szesnaście lat, a przez cały ten czas chłopak nie wiedział niczego o świecie ani o tym, jaki jest, lecz wyrósł dziko i był całkowicie niewinny jako mała dziecina.

- Ach, synku. - Axel pochylił się nad Pierce'em jak gdyby chciał złożyć swą głowę na synowskich kolanach, acz tego nie zrobił; chwycił się dłońmi za czoło. - Urośniesz i będziesz silny, prawda? Męski i niewinny, a jeśli zechcesz dokonywać czynów rycerskich, nie pozwól im się zatrzymać. Nie pozwól.

Wyrzucił z siebie swoje cierpienie.

- Nie pozwól, żebyś przez nich mnie znienawidził - powiedział. - Swojego ojca. Nie pozwól, żebyś przez nich znienawidził ojca. - Historyczna podniosłość, owa staranna powaga, pierzchła; Pierce, przepełniony lękiem, ujrzał dorosłego człowieka pogrążonego w żalu niczym dziecko. - I wrócisz - szlochał. - Wrócisz, prawda? Pewnego dnia wrócisz. - Pierce milczał. Nie miał pojęcia, czy dom w Kentucky to rzeczywiście kamienny palec trwający samotnie pośród gór ani czy kiedykolwiek powróci do owego opuszczonego zamku, ale wiedział, że nie został tam wysłany. Wiedział, że zabiera go tam jego matka, ucieka tam z nim, a on ani trochę nie jest piękny.

Ostatecznie jednak wrócił. Lecz teraz znów miał wyjechać.

Przy obiedzie przedstawił ojcu swoje plany, zaczynając od wieści o sprzedaniu praw do swojej książki za sumę, którą nieco zawyżył. Axel zareagował pełnymi podziwu gratulacjami; w jego mniemaniu nie istniało wyższe powołanie niż pisarstwo; on sam, pomimo całej swej szerokiej, choć niezdiscyplinowanej edukacji, napotykał ogromne trudności, pragnąc wyrazić się na papierze bądź ułożyć choćby list. Potem Pierce wyjawiał mu swoje postanowienie o

odejściu z Barnabas. Wywołało to mieszane uczucia; w hierarchii Axela uczenie stało zaledwie odrobinę niżej od pisarstwa. Pierce zapewnił go, że gdyby kiedykolwiek musiał wrócić, Barnabas przyjmie go z powrotem z otwartymi ramionami i że przecież są inne szkoły, gdzie indziej.

- Gdzie indziej - westchnął Axel. - No cóż. Gdzie indziej, tak.

Decyzja o wyjeździe z Nowego Jorku okazała się ciężkim ciosem. Axel był zszokowany i przerażony, jego gumowa twarz wykrzywiła się szpetnie. Naprzód wolał uznać to jedynie za dziwną spekulację, synowski szalony pomysł, który pod wpływem subtelного zlekceważenia przejdzie; jeśli Pierce zamierzał rozpocząć pracę nad książką, niedorzecznością było rezygnować z największych bibliotek, galerii, archiwów W całej Ameryce i marnieć w jakiejś zapadłej dziurze (w tym miejscu Axel sparodiował obraz wsi, zaczerpnięty zapewne z filmów z Marjorie Main, owych kmiotków o capich bródkach, zdumionych książkową uczonością). Ale Pierce równie subtelnie pozostał przy swoim. Toteż wreszcie Axel zamilkł.

- Przecież i tak nieczęsto cię widuję - stwierdził. - Teraz w ogóle cię nie będzie.

- Nic podobnego - odparł Pierce. - Do licha, dojazd tam nie sprawia więcej kłopotu niż stąd na Manhattan. Tyle samo czasu i wysiłku. Będę wracał. Często. Żeby skorzystać z bibliotek. Będziemy w kontakcie. Axel pozostał niepocieszony.

- O nie, Pierce, nie. Och, gdzie ten kelner, Moselblumchen. Jutro, ku rzeńskim polom i pastwiskom młodym²⁸. Nalej, nalej.

²⁸ Por. John Milton, *Lycidas*

Istnieje możliwość, że nawet najbardziej zaabsorbowani sobą ekscentrycy potrafią pojąć, iż są ekscentrykami, zrozumieć, że zespół ich powszednich powiązań ze światem jest utrudniony bądź nigdy nie powstał. Axel zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że jego kanały komunikacyjne są przytłumione i zablokowane przez zakłócenia, toteż bolał nad swoim odosobnieniem. Powrót jego dorosłego syna do miasta i fakt, że uznał on Axela za człowieka ciekawego i wesołego, nie zaś za dziecko, które było zdziwione i skrępowane jego obecnością, stanowił dlań nieoczekiwany dar, nieoczekiwany i cenny. Wykorzystał to z całych sił, dręcząc Pierce'a długimi, ciągnącymi się rozmowami telefonicznymi, nalegając na wspólne popołudniowe wyjścia do muzeów oraz na recitale organowe, nie zniechęcając się przy tym niekończącymi się odmowami. Pierce wiele dlań znaczył, często to powtarzał: w mniejszym stopniu jako syn - mimo powagi tej roli przekonał się bowiem, że nie potrafi wytrwać w ojcowskiej postawie zbyt długo - niż wyrozumiały, a przynajmniej cierpliwy przyjaciel.

Pierce starał się wykazywać cierpliwość. Usiłował znaleźć miejsce dla Axela w swoim życiu, do którego ojciec pasował z najwyższym trudem. Odkrył pewną irytującą fascynację w tym, że ów obcy mężczyzna - o całą głowę niższy od niego, baryłkowaty, o szczupłych dłoniach i stopach, z których był dumny - jest jego ojcem; ani trochę nie zapamiętał go jako takiego właśnie człowieka z czasów, kiedy był dzieckiem. Kiedy się spotykali z okazji wycieczek takich jak ta, przywodziło mu to niekiedy na myśl owego łagodnego chłopczyka

oraz czarodzieja o owadzych skrzydełkach z cygarem w zębach, którzy dawniej towarzyszyli mu w historyjkach obrazkowych, jak on tam się nazywał? McFeeley, Gilhooly - wciąż zapominał spytać Axela. Na pewno będzie wiedział²⁹.

- Zabierz mnie ze sobą - poprosił Axel, w dużej mierze żartem. - Na plecach, jak starego Anchizesa.

- Możesz mnie odwiedzić. Na pewno będę miał wolny pokój. A przynajmniej werandę.

- Weranda! Weranda. A jak można dostać się tam i z powrotem? Przypuszczam, że są autobusy. Autobusy.

- Są autobusy. A ja pewnie w końcu kupię samochód.

- Samochód!

Jedyną próbą prozatorską Pierce'a w jego dorosłym życiu był portret ojca. Chciał nadać mu tytuł „Człowiek, który kochał cywilizację Zachodu” i przez jakiś czas nad nim pracował, ale transkrypcje konwersacji z Axelem trąciły fałszem, sprawiały, że Axel brzmiał jak nadęty samouk i pozer, brakowało w nich jego pasji i zaangażowania. Zaś drastyczne szczegóły z jego życia po spisaniu brzmiały niewiarygodnie, całkowicie książkowo - tak samo jak wówczas, gdy Axel, z czystym sercem i bez mała niezdolny do rozmyślnego fałszu, opowiadał je Pierce'owi.

Pierce musiał założyć, iż jest to rzeczywisty świat, w jakim żyje Axel, mimo że nie był to jego świat. Przez jakiś czas po przeprowadzce Pierce'a i Winnie do Kentucky, nim telewizyjna

²⁹ Chodzi tu o cykl historyjek obrazkowych autorstwa Crocketta Johnsona o chłopcu imieniem Barnaby i czarodzieju zwanym Mr O'Malley.

wygrana pozwoliła mu ponownie stanąć na jego małych nogach, nadeszły lata graniczące ze skrajną nędzą, życia na ulicy, po prośbie; od tamtej pory zdarzyło się również parokrotnie, że Axel pobłażliwie odwiedził bądź niefortunnie wśliznął się na trochę z powrotem do półświatka zaludnionego przez twardych, lecz dobrotliwych byłych mechaników okrętowych, pięćdziesięcioletnie aktorki broadwayowskie dogasające pośród swych pamiątek w szemranych hotelikach, uczonych Żydów z zakurzonych księgarni, którzy pod złąchaną odzieżą Axela dostrzegali jego prawdziwe przymioty, pracujących księży, których podziwiał, męskich i czystych, wazeliniarskich hipokrytów z Armii Zbawienia, na których serdeczne miłosierdzie³⁰(słowa Axela) został swego czasu narażony.

- Serdeczne miłosierdzie - powtarzał Axel szyderczym tonem Minga. - Serdeczne miłosierdzie.

Z tego co Pierce wiedział, wszyscy oni, a także fabuły, jakie odgrywali, byli dokładnie tacy, jakimi Axel ich opisał. Na tyle, na ile się orientował, mężczyźni przeprowadzający owe operacje ratowania mienia, w które obecnie zaangażował się Axel, rzeczywiście przejeżdżali dłonią po włosach i nieśmiało powłóczyli nogami, tak jak opisywał to Axel; być może też faktycznie mawiali rzeczy w stylu: „Jak kumpel jest w dołku, potrzebuje przyjaciela, który go z niego wyciągnie” i na ogół zachowywali się jak postacie z Miasta chłopców - czyli niezbyt dojrzałe. Dość, że był znacznie mniej niewinny w stosunku do swego miasta niż niekiedy wskazywały na to owe marzycielskie scenariusze, jakie snuł na głos; pod pewnymi

³⁰ Por. Kol 3,12.

względami mniej niewinny niż Pierce. Wciąż potrafił zaszokować syna tym, co działo się po godzinach na zapleczach robotniczych barów uczęszczanych przez gliniarzy i strażaków. W ciągu kilku minionych lat Pierce sporo nauczył się od Axela, i to nie tylko w przestrzeni ich wspólnego zainteresowania, czyli cywilizacji Zachodu, lecz również tego co poza nią.

I tak, choć długie i żarliwe zabieganie o jego względy często bywało dla Pierce'a irytujące i choć na ogół odbywanie prawdziwej rozmowy z kimś, czyj strumień świadomości podmywał brzegi i wylewał się z koryt jakichkolwiek tymczasowych tematów, i choć wszyscy przyjaciele i wszystkie kochanki Pierce'a w zasadzie uznawali Axela za człowieka, w towarzystwie którego można wytrzymać co najwyżej krótką wizytę, Axel wciąż absorbował uwagę Pierce'a. W zasadzie naprawdę lubił ojca, co niekiedy uznawał za rzecz najbardziej zdumiewającą. A kiedy późną nocą, „w uniesieniu”, jak mawiał Axel, za sprawą wina, szedł zataczając się ulicami Brooklynu, które znał i kochał, Axel zaś słodkim czystym tenorem wyśpiewywał pieśni Thomasa Moore'a, nawet go kochał.

- Jutro - oznajmił Axel w owo przepełnione wątpliwościami Boże Narodzenie - jutro ku rześkim polom i pastwiskom młodym.

- Rześkim lasom - poprawił go Pierce. - Tam są rześkie lasy.

- Jutro ku rześkim lasom. I pastwiskom młodym.

Po obiedzie udali się obaj, ramię w ramię, na nabrzeże Brooklyn Heights, by popatrzeć na panoramę Manhattanu - końcowy punkt ich niedawno utartego bożonarodzeniowego rytuału, którego każdy

element z miejsca stał się dla Axela drogocenny. Tu zwykle przyglądali się mieszkaniu nieszczęsnego Harta Crane'a, znajdującemu się obecnie, ku corocznemu oburzeniu Axela, w posiadaniu Świadców Jehowy; Axel zazwyczaj rozwodził się nad odległym śródmieściem, oszpeconym, jego zdaniem, przez dwa gigantyczne kartony papierosów³¹, które co roku na nowo go raziły. Tego wieczoru zdawał się ich nie dostrzegać; wypił więcej niż zwykle, Pierce nie potrafił odmówić mu drugiej butelki.

- Och, Pierce. Musisz mi obiecać. Że mnie nie porzucisz.

- Daj spokój, Axel.

- Nie wolno ci mnie porzucić - jęknął przejmującym głuchym tonem. Po czym złagodził go wymuszoną niefrasobliwością: - Twojego starego tatki. - Znow wziął Pierce'a pod ramię. - Nie porzucisz swojego starego tatki, prawda? Prawda? Jesteśmy kumplami, prawda, Pierce?

- Jasne, że tak. Oczywiście. Mówię ci, to nie jest daleko.

- I tak młodzieniec powstał - rzekł Axel, wykonując szeroki gest ręką - chwycił swój płaszcz błękitny jak wody. - Zaśmiał się i powtórzył swój teatralny gest. - C h w y c i ł swój płaszcz błękitny jak wody. Jutro ku rzeńskim lasom i pastwiskom młodym. Odprowadź mnie do domu, Pierce, odprowadź, to niedaleko. Proszę cię.

Naprawdę kochał ojca; Axel był mu ciężarem, ale Pierce nieczęsto czuł się prawdziwie przezeń zawstydzony bądź znużony; a mimo to, jadąc taksówką z powrotem na drugą stronę rzeki, na

³¹ Chodzi o nieistniejące już wieże World Trade Center, oddane do użytku w 1973 roku, a więc na kilka lat przed przedstawionymi tu wydarzeniami.

Manhattan, paczek wieżowców zdarty papier³², zastanawiał się, jak wiele to, że Axel jest jego ojcem, miało wspólnego z owym przyrzeczeniem, jakie poczuł się zmuszony złożyć w noc swoich urodzin; rozmyślał nad tym (zmarznięte dłonie głęboko wciśnięte w kieszenie dwurzędowej kurtki o marynarskim kroju, zimne serce na chwilę przepełniło się pustką), jak bardzo następstwa owej dziwnej nieuleczalnej rany, której jakimś sposobem Axel nabawił się dawno temu, zostały mu przekazane, i jak wiele mogła mieć wspólnego z ową raną, którą Pierce zaczął postrzegać w samym sobie jako otwartą i nieuleczalną.

No cóż. Jutro ku rzeńskim lasom i pastwiskom młodym.

I tak wiosną Spofford przyjechał z Faraway Hills swoją starą ciężarówką i obaj załadowali ją zawartością mieszkania Pierce'a, z wyjątkiem trzech tuzinów tekturowych pudeł wysłanych oddzielnie. Jako że ciężarówka Spofforda to pickup z otwartą częścią bagażową, podczas załadunku z niepokojem spoglądali ku niebu, lecz ładna pogoda się nie popsuła. W windzie zawiesili brązowe dywany, których użycia domagał się dozorca, i w tej szpitalnej celi, dwóch zapracowanych szaleńców, wznosili się i opadali w towarzystwie należących do Pierce'a biurka, maszyny do pisania, łóżka, naczyń, obrazów, bibelotów oraz szerokiego ozdobnego lustra, ciężkiego niczym kamień nagrobny, a wszystko to wyglądało nie na miejscu, jak gdyby pretensjonalnie wystawione na promienie wiosennego słońca.

³² Cytat z wiersza Harta Crane'a *Do Mostu Brooklyńskiego* w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Pierce odbył wszystkie pożegnania, z których kolacja poprzedniego wieczoru ze Sfinks należała do najbardziej szczodrych. Oznajmiła, że znalazła sobie maleńkie mieszkanie w starym budownictwie, jedno z niewielu, jakie wciąż jeszcze zostały w eleganckiej północnej części miasta, gdzie mieszkało kilku jej dawnych klientów; nie stać jej jeszcze na elektryczność, prowadzi życie przy świecach i jada na mieście, a telefonu nie potrzebuje. Zaczęła zarabiać na życie, kręcąc się po sklepach z używanymi rzeczami i wyprzedażach, skupując bibeloty, pamiątkowe szaliki z napisami i ręcznie malowane krawaty, sztuczną biżuterię, kolekcjonerskie efemerydy, „art deco”, stwierdziła, śmiejąc się i zapalając kolejnego papierosa. Ceny odstępne owych przedmiotów były zawyżane, by odzwierciedlić pewność jej gustu oraz zręczność w polowaniach; sprzedawała je znajomym, często owym dawnym klientom, mieli bowiem silne pragnienie posiadania podobnych przedmiotów, a przy tym pełne portfele. Objazdowy sklep z antykami.

Być może (powiedział pod koniec owego krótkiego wieczoru, wyczerpany z jakiegoś powodu, lecz zmuszony, by ciągnąć to dalej - bez wątpienia z tego samego powodu) mógłby zobaczyć to maleńkie oświetlone świecami mieszkanie. W jego lokum jest dziś wieczór taki nieład...

Nie, jej zdaniem nie był to dobry pomysł. To prawdziwy śmietnik. Może jak wszystko doprowadzi do ładu.

- Już mnie nie będzie.

- Wrócisz. A ja pojedę cię odwiedzić.

Ujrzawszy w wyobraźni jej wysokie obcasy na chodniku przed jego domem, jej woń w pobliżu Blackbury, Pierce uznał to za mało prawdopodobne. A jednak nie było to chyba mniej prawdopodobne niż to, co on sam powinien był uczynić - czy też od czego dzieliło go ledwie kilka kroków - i co miał wkrótce uczynić: miał mianowicie wyjechać. Któregoś z minionych, przepelnionych wiosennymi woniami wieczorów wyszedł na spacer na University Place i wokół Gramercy Park, przyglądając się zamkniętemu na klucz parkowi, w którym zieleń się trawa, a tulipany rozchylały swoje kielichy. Obszedł go dokoła, spoglądając w wysokie okna otaczających go przestronnych apartamentów, pokrytych boazerią mieszkań, których zawsze zazdrościł. Może gdybym miał takie mieszkanie jak to, pomyślał, albo to, klucz do parku, wystarczające dochody - wówczas zapewne nie wyjeżdżałbym. Pomimo urzędującej gdzieś na północy Sfinks. Zaproponuj mi coś, zwrócił się do miasta. Ale niczego mu nie zaproponowało, podobnie jak Sfinks, pocałowała go tylko papierosowym pocałunkiem, bez łez, i powiedziała, żeby napisał.

A w tej chwili był już spakowany i wyjeżdżał.

I tak nigdy mi się tu nie podobało, pomyślał, rozglądając się po pustym mieszkaniu, które, wobec usunięcia zeń życia Pierce'a, nabrało ponurego wyglądu; prostokątne widma jego obrazów na ścianach, kilka dobrych i wiele dziwnych rzeczy, jakie mu się zdarzyły, zostało już to wymiecione wraz z innymi pozostałościami, już to spakowane do zabrania. Po raz ostatni zamknął drzwi, zbiegł klatką schodową na dół, dudniąc swymi nowymi kozakami, niosąc ostatni przedmiot ze

swego dobytku - wysokie czerwone krzesło kuchenne. Ukoronowało ono stertę na ciężarówce i wkrótce z chyboczącym się niepewnie na szczycie krzesłem obaj ze Spoffordem z łoskotem wyjechali z miasta. Pewnie wyglądali jak mieszkańcy Oklahomy uciekający przed suszą. A nazajutrz rano, z rękami wepchniętymi w kieszenie swetra i niewymuszonym uśmiechem na twarzy, Pierce stał już na swojej werandzie, przypatrując się, jak ciemne srebrzyste refleksy pojawiają się i znikają na wodach znajdującej się w oddali rzeki Blackbury.

W porządku, powiedział nie całkiem na głos, zwracając się do wszelkich mocy, jakie mogłyby przynieść jego trzy życzenia. Przybądźcie w tej chwili, bo jestem teraz panem swego losu, ocaliłem siebie, od dziś mogę nim kierować. Przybądźcie w tej chwili, żebym mógł was odtrącić.

- Przybądźcie teraz - wypowiedział głośno. - W tej chwili. - Nie wiedział bowiem, jak długo owa chwila bądź siła będzie trwała.

Mniej więcej o tej samej godzinie Beau Brachman z naprzeciwka wyszedł na swój balkon, na słońce, pierwsze poranne słońce, które grzało na tyle mocno, by skusić go do wyjścia na zewnątrz; a na niewielkiej platformie, jaką tam zbudował, położył dywanik modlitewny. Poruszając się ze skupieniem i ostrożnością, lecz w duchu czując niejaką radość z podróży, w którą wyruszał po długim odosobnieniu, wspiął się na ową platformę i usiadł ze złożonymi nogami. Dłonie oparł na kolanach niczym na poręczach tarasu bądź relingu statku. Spojrzał na świat, ponad dachy miasteczka oraz skrzące się nurty rzeki.

Uznał, iż uda się wyłącznie na krótką wycieczkę, jako że wyszedł z wprawy; uda się na zewnątrz tylko po to, żeby zobaczyć - niczym świszcz, który również właśnie znalazł się poza domem, niczym powracające sokoły - co też się stało ze światem od czasu, kiedy po raz ostatni dobrze mu się przyjrzał.

Upłynęło dwadzieścia minut, dwadzieścia minut odmierzone przez zegar znajdujący się w brzuchu czajnika do herbaty, który stał na kuchennej półce w Ustronnej Chatce Val, dwadzieścia minut na należącym do Boney'ego Rasmussena nakręcanym automatycznie longinesie z paskiem z jaszczurczej skóry.

Obracając się ostrożnie na swoim nieco niestabilnym dywaniku modlitewnym, Beau spojrział z góry na swe porzucone ciało, które siedziało nieruchomo na balkonie. Wówczas odwrócił się ku północno-zachodnim górą, których z wychodzącego na rzekę balkonu nie mógł dostrzec: odziana w brzozowy las góra Merrow, na wierzchołku opasana zamkiem góra Whirligig, góra Randa, najważniejsza z nich wszystkich. Zwracając się nieco bardziej w tym kierunku, Beau ujrzał znajdujący się na jej szczycie Monument, niczym róg jednorożca.

W górę. Doliny Faraways, pozszywane nitkami dróg i rzek, blade w wiosennym słońcu, drogi wciąż przysypane brudnym zimowym piaskiem i solą oraz fioletowo-brązowe i pozbawione życia łąki. Kilka sztuk bydła na powietrzu: tam, spostrzegł bez zdumienia, ogromne kombi, „bizon” Rosie Mucho, które gramoli się ku miasteczku na spotkanie z prawnikiem czy też sędzią, tam, coś nieco bardziej niezwykłego, garbus Val, krąży po okolicy, niemal spotykając się z Rosie na moście w Fair Prospect. Wznosząc się ku górze, widać kilkanaście innych samochodów osobowych i ciężarówek, małego czerwonego kabrioleta, rozklekotaną półciężarówkę. Beau uniósł spojrzenie ku wzgórzom.

Tu, w górze, powietrze było czystsze, środek firmamentu ciemniał, przechodząc w kobalt niczym przejrzyste niebo nad pustynią, zaś tworzące siatkę pasma gór wydawały mu się ostro ścięte i przejrzyste. Góra Merrow, gdzie na stromych zboczach w szklanych domach mieszkali bogacze, patrząc na zewnątrz; wyższa góra

Whirligig³³, obecnie znajdująca się w ruchu - dla Beau stało się to wyraźne, kiedy się zbliżył - niczym nakręcana zabawka. Zamek na jej wierzchołku pojawiał się i znikał, jak gdyby był dwuwymiarowy, niewidzialny z boku, widzialny z przodu - jest i nie ma go. Dwuwymiarowy czy nie, skrywał w swym wnętrzu jakiś mrok, zaś Beau wyczuł coś w rodzaju naporu, jaki miał tam miejsce, naporu roślinnej cebulki, jak gdyby łączono tam w bólach w mroku płód, jedna kończyła po drugiej. Beau odczuł gwałtowny wstręt. Co to takiego? Z tej odległości nad ziemią Beau nie tyle odbierał widoki, co sensory, znaczenia, symetrie i niezgodności, a odbierał je tym silniej, im bardziej się oddalał i im ciemniejsze stawało się powietrze: jak gdyby stopniowo tracił wzrok, zaś znaczenie, niczym smak, stawało się znacznie mocniejsze dla jego zmysłów.

Dalej góra Randa, jej łyse czoło i poprzecinana zmarszczkami twarz porośnięta zarostem drzewostanów, które cierpliwie czekają na pierwsze listki. Wokół tych urwistych policzków we wzburzonych prądach powietrza sokoły wykonywały niespokojnie wiraże. Na zboczach góry Beau dostrzegł wspinającego się stromą ścieżką - przypominającą jakieś dawne rozdarcie - pielgrzyma, zdumionego znużeniem i przepełnionego pragnieniem dotarcia na szczyt, ku któremu w tej chwili sam Beau opadł leniwie, podczas gdy sokoły zeszły poniżej toru jego lotu. Szczyt. A gdy wzgórza zwróciły ku niemu swe spojrzenia, a niebo go dostrzegło, Beau pomknął ku Monumentowi.

³³ Whirligig (ang.) - bączek (zabawka), karuzela.

Był to, czy też zdawał się być, gdy Beau się doń zbliżył, kamienny fronton gęsto zapełniony wyrytymi literami. Na nim kamienny słoń, pozbawiony wdzięku i krzepki, który wzniosł swą trąbę i wygiął masywny kark, by łypnąć na zbliżającego się Beau; na grzbiecie słonia pokryty hieroglifami obelisk - ptaki, zwierzęta i tym podobne. Silne słonisko! Kiedy Beau okrążał go, obelisk zakołysał się pod nim, wskazówka, gnomon; unosił się tam, póki Monument nie stanął nieruchomo, a wówczas, z rozkosznym zawrotem głowy, poczuł, jak on sam spada ze swego dywanika.

Jego pewne, bose, wyciągnięte stopy dotknęły czubka obelisku, kolana ugięły się i z całej siły wystrzelił do góry, słoń wraz z obeliskiem poruszył się i ugiął pod naciskiem, niemal się wywracając, do czego jednak nie doszło. Beau pokonał ogromną odległość w głąb ciemniejącego nieba.

Było widać gwiazdy. On zaś był widzialny dla nich.

Jego skok rozpędził go do prędkości ucieczki, toteż w tej chwili podróżował z niezmienną szybkością; nie było jednak, bądź tak się zdawało, nieskończoności, którą można by przemierzać. Ogrom wszechświata rozłożył się w zachodzące jedna na drugą sfery, niczym skrzydła i kurtyny jakichś staromodnych dekoracji, ogarniając i krępując jego lot. Były tam sfery powietrza i ognia; za nimi sfery siedmiu Archontów, które zbliżają się i oddalają na podobieństwo mechanicznych koni wyścigowych na swoich torach. Za nimi, jedna przy drugiej, obok siebie, niczym papierowa wycinanka, dwanaście ogromnych postaci otacza bezkresne i bezdenne niebiosy - Eony -

sześć poniżej horyzontu, sześć zaś powyżej, te sześć, które widziały jego skok. Właściwie to w tej chwili spoglądały nań z góry - a ich spojrzenie nie należało do przyjemnych.

Heimarmene. Świszczące mechanizmy niebios. Beau wiedział, że niebo nie kończy się na nich, że poza nimi znajdują się sfery, o których one same nie słyszały i nie potrafiły ich sobie wyobrazić, a każda z nich miała szerokość całego życia, zawierała w sobie doczesności pracy, przygód błędnego rycerza, śmiechu i łez, które należało pokonać, nim można było osiągnąć kolejną. Przekraczając je, Beau umieszczał każdą z nich w sobie, stając się coraz większy, rozrastając się do nieskończoności, póki w końcu nie napotkał jej, jak zbliża się, by się z nim spotkać.

Lecz na razie nie dotarł jeszcze nawet do pierwszej sfery ognia, gdzie sam nie wiedział, co na niego czeka. Zwolnił swój pęd na zewnątrz i jedynie dryfował. Poczuł zawroty głowy i niespodziewaną ciężkość.

Strach? Strach też.

Każda z owych mocy, które musiał pokonać, posiadała nazwę, zaś sfery, jakie tworzyły, Eony, jakie stanowiły, cierpienie, jakie powodowały, wszystko to było jednym; kiedy Beau przypomni sobie nazwę pierwszej i będzie w stanie ją wypowiedzieć, wówczas zacznie je przekraczać.

Ale nie teraz. Już bowiem opadał, ciężar jego serca szarpał nim, stukając o jego stalowe żebra.

Stukanie. Nie, wcale nie było to jego serce. Beau spadł z przestworzy do tyłu, ponad górą, obok obelisku i szczerzącego w uśmiechu kły słonia, do góry nogami opadł na swój modlitewny dywanik i balkon przy Mapel Street. Ktoś pukał do drzwi.

- Beau?

Wszedł do mieszkania, by zobaczyć się z Rosie Mucho, która zerkała przez szparę w drzwiach; komiczna mina nieśmiałego najścia.

- Beau? Nie śpisz?

- Wejdz, Rosie.

- Rany, Beau, przepraszam, czy ty, ty...

- O co chodzi, Rosie? Chcesz zostawić Sam, zgadza się? Mimo że to nie jej godziny.

Pewnego dnia, pomyślał, pewnego dnia wzniesie się i już nie wróci. Ten bowiem, kto wydostanie się poza granicę, nigdy już nie będzie musiał powracać; będzie mógł natomiast przejść dalej. Sfera po sferze, na zawsze, a każda z nich jest inna.

- To coś w rodzaju nagłego wypadku - wyjaśniła Rosie. Weszła do środka, a za nią weszła Sam z zarumienionymi od biegania na powietrzu policzkami, trzymając się matczynej nogawki.

- W porządku - powiedział Beau. - Uspokój się. Napijesz się herbaty?

- Nie mogę - odparła i odciągnęła go poza zasięg słuchu Sam, która zatrzymała się, by kucnąć przed zwiniętym na dywanie nieufnym kotem tygrysim. - Sprawa jest taka. Muszę jechać do sądu w Cascadii. Razem z Mikiem. Uwierzysz, co za bezczelność? To przez

niego musimy iść do sądu, a dosłownie godzinę temu dzwoni i mówi, że nie może, bo nie ma samochodu. Muszę go podwieźć. - Na jej twarzy malowało się ogromne niedowierzanie. - Uwierzysz?

- Spokojnie, tylko spokojnie. Jeszcze trochę, a wyjdiesz z siebie. Wszystko będzie dobrze.

Zamknęła oczy, dłońmi chwyciła się za łokcie; odetchnęła głęboko, otworzyła oczy, budząc się jakby z długiego snu i jak gdyby w zmienionym świecie - wszystko to, żeby się uspokoić.

- W porządku - rzuciła. - To trochę zwariowana historia.

Swoim dotykiem Beau uwolnił ją z zamkniętych ramion i sam wziął ją w ramiona, przyciskając sobie mocno do piersi. Do oczu, co za idiotyzm, napłynęły jej łzy, pojawiając się jakby odruchowo wskutek objęcia Beau.

- Już dobrze?

- Dobrze - odparła, zawstydzona i wdzięczna. - Na razie.

Kędzierzawa główka Sam, maleńka stacja nasłuchowa, obróciła się, by śledzić głowę matki, jak odrywa się od Beau, schyla, by ją pocałować, i z powrotem się podnosi.

- Niedługo wracam, Sam. Bądź grzeczna. - Wówczas z oczu dziewczynki popłynęły łzy, które wzbierały i znikwały od pewnego czasu, ale Rosie zdążyła już zejść ze schodów.

Zabrała Mike'a spod „Pączkowej Dziurki”, trąbiąc nań klaksonem, by zwrócić jego uwagę. Od czasu, kiedy Rosie widziała go po raz ostatni (w sądzie), zdążył zgolić wąsy. Zdecydowała się nie zwracać na to uwagi. Wsiadł do samochodu i zatrzasnął ogromne

drzwi; przywitał się z Rosie, jednocześnie zawstydzony i zadowolony z siebie.

- Kot, który zjadł kanarka - mruknęła.

- Nigdy nie rozumiałem - stwierdził, wciąż uśmiechając się złośliwie - co to wyrażenie ma niby komunikować.

- Przede wszystkim muszę przyznać - odezwała się Rosie - że jestem za to na ciebie bardzo zła. - Wymanewrowała autem tak, by skierować się ku autostradzie i Cascadii. - Po prostu mam wrażenie, że zrobiłeś to celowo.

- Mam w tym pewien cel - przyznał Mike, nabierając powagi. - Rzeczywiście mam cel. Przypuszczam, że nie jest to coś, co masz na myśli. Ale mogłabyś przypisać mi jakiś bardziej wyrafinowany motyw niż wyłącznie chęć złośczenia cię.

Odkąd ugoda w sprawie separacji została zawarta (dość prosty dokument, którego istnienie mimo wszystko napawało Rosie głębokim zażenowaniem), Mike zabrał się za dłubanie w niej, zmieniając i wzbogacając jej treść. Poddawał drobiazgowej analizie klauzule i warunki, po czym (nierzadko późno w nocy) wydzwaniał do Rosie i chciał o tym rozmawiać; długie, bezładne i nieprzyjazne telefony o małżeństwie, sprawiedliwości oraz jego uczuciach. Kiedy Rosie odmówiła wdawania się z nim w dyskusje, nakłonił swoją adwokat, żeby zadzwoniła do jej adwokata - reprezentująca go prawniczka była kobietą nieco chuderławą, szarooką, o wymalowanej na twarzy zawziętości, której widok sprawiał, że Rosie wzdrygała się, a która najwyraźniej miała ochotę jątrzyć w jego imieniu niekończące

się spory; toteż koniec końców owo szukanie dziury w całym spotęgowało się do tego stopnia, że obecnie dokument wymagał ponownego rozpatrzenia przez sąd.

- Dla mnie to było ważne - oświadczył Mike - a w tej sytuacji ja również jestem osobą, Rosie, co...

- Nie będę o tym rozmawiać, Michael. Allan nakazał mi nie rozmawiać z tobą o żadnych sprawach, a ja zamierzam tego przestrzegać.

Samochód skręcił z Jambs i wjechał na biegnącą na południe nie autostrady, włączając się do ruchu zmierzającego w kierunku Cascadii, w której mieści się siedziba sądu okręgowego.

Mimo wszystko niewykluczone, że to prawda, pomyślała Rosie, może faktycznie nie zrobił tego, żeby ją zezłościć. Wszak był w to zaangażowany w znacznie większym stopniu niż ona; jego własne potrzeby, to, co uważał za sprawiedliwe dla siebie, pochłaniały znaczną część jego uwagi. Allan Butterman oświadczył jej, że ze swej strony powinna wykazać co najmniej tyle samo, ale nie uczyniła tego. Dla Rosie sam fakt, że musiała negocjować w sprawie rozmaitych rzeczy, pieniędzy, praw, sprawiał, że w jej oczach były one niewarte posiadania; im twardsze negocjacje, tym mniej warto mieć to wszystko. Rezygnacja z rzeczy wymaga mniej negocjowania niż walka, by je zatrzymać, toteż gdyby Allan nie wspierał jej swą obecnością, zapewne zrzekłaby się wszystkiego i jakoś by sobie z tym poradziła.

- No cóż, co wobec tego u ciebie słyhać, w sensie ogólnym? - spytał Mike. - O ile nie przeszkadza ci, że poruszam tę kwestię.

- W porządku - odparła czujnie.

- Robisz coś? - Nie patrzył na nią, ale wyglądał przez okno, jak gdyby wypatrywał czegoś, w taki sposób, w jaki czynią to aktorzy telewizyjni w samochodach, żeby wypełnić czas podczas wygłaszania swoich kwestii.

- Wiesz, że pracuję dla Boney'ego. W Fundacji. W pełnym wymiarze godzin.

- Nie to miałem na myśli - stwierdził Mike. - Kiedy byłaś ze mną, zawsze miałaś wiele różnych pomysłów. Malowałaś.

- Nieprawda.

- Coś takiego. Może teraz brakuje ci czasu.

Zaczęło się pasmo moteli i restauracji Cascadii, bezkształtne geometrie ich sztyldów i dachów. „Jadłodajnia”. „Objęcia Morfeusza”. „Wulkan”.

- Właściwie - zaczęła Rosie - to planuję namalować obraz.

- Tak?

- Duży. Kawał roboty.

- Tak?

- To obraz walkirii - mówiła dalej, improwizując. - Tak się je nazywa, te kobiety wojowniczk, które odprowadzają poległych żołnierzy?

- Hm, tak, walkirie.

- No właśnie. Ale nie podczas bitwy. Po niej. Walkirie, które rozbrajają się. Siedzą pod koniec dnia. Zdejmują swój rynsztunek.

Mike uśmiechał się szeroko z zainteresowaniem, popatrując na nią z ukosa.

- Wielkie kobiety - ciągnęła Rosie. - Ale nie pozujące. Nie w sytuacji dramatycznej. W zwyczajnej: może trochę cierpią; schylają się, odwiązują to, jak mu tam, na goleniach. Wokół piętrzą się zbroje, jak strój futbolistów.

- Szatnia dla dziewcząt.

- Coś takiego. Ale nie dla żartu. Po prostu - obraz realistyczny. - Właściwie to nigdy dotąd nie myślała o tym temacie, przyszedł jej właśnie do głowy, lecz teraz ujrzała go z wielką wyrazistością: przytłumiony blask rembrandtowskich barw, mroczne, nierozpoznawalne miejsce, wielkie, lśniące ciała zwyczajnych kobiet, które rozmawiają, leniwie oglądają swoje siniaki, ich oblicza przypominają twarze na robionych z ukrycia fotografiach - przepełnione intymnymi myślami. Kim były?

- Podoba mi się - stwierdził Mike. - Rzut oka na przebieralnię dla dziewcząt. Zawsze mnie to pociągało.

- Nie o to chodzi - odparła Rosie. - To nie to, co myślisz.

- Nie? Więc co one robią?

- Po prostu są - wyjaśniła Rosie. - Są zmęczone. Mike nie przestawał szczerzyć zębów w uśmiechu, mając przed oczyma własny obraz. Rosie odczuła niewielką, znajomą irytację, zniecierpliwienie

opacznym zrozumieniem, zwłaszcza spowodowanym nienasyconym pobudzeniem Mike'a.

- A co u ciebie? - spytała, odwracając role. - Jak tam Wampira?

- Rosie.

- No więc zamierzacie się pobrać, jak to wszystko się skończy?

- To naprawdę nie jest temat do dyskusji. - Z powrotem zajął się wyglądaniem przez okno, głaszcząc się po miejscu, które do niedawna porastały wąsy. Biedak, pomyślała Rosie, rzucając mu ukradkowe spojrzenie; schwytany w sidła miłości.

Mike wyznał jej niegdyś, że kiedy po raz pierwszy zaczął uczęszczać na zajęcia z psychologii, wciąż mówiono o „okresie latencji” u chłopców, zaś Mike nie bardzo to rozumiał, ponieważ sam nigdy go nie przechodził. Nie było takiego okresu, stwierdził, żeby nie miał ochoty wchodzić w bliższe kontakty z dziewczynami lub nie chciał, żeby one wchodziły w bliższe kontakty z nim; całe dzieciństwo spędził, próbując to osiągnąć.

Osobliwe jak na psychologa, pomyślała Rosie, owa bezrefleksyjna projekcja swoich pragnień na świat, do której Mike był zdolny. Jego pragnienia zaś były niekiedy - właściwie to często - przepełnione frustracją i sprawiały mu ból (zaś radzenie sobie z bólem było czymś, co Mike nazywał Rozwojem i Dojrzałością); czasami nawet mawiał, że czuje się tak, jakby był na łasce swoich pragnień, i lepiej by mu było bez nich; mimo to jednak brał je za proste pewniki, a zarazem wartość nadawaną temu, czego pragnął. Nigdy nie brał pod

uwagę tego, że pragnienie może sprawić, iż opacznie zrozumie jego przedmiot. Niekiedy twierdził, że bierze to pod uwagę, ale nie brał.

Był to jeden z powodów owego głupiego trójkąta, do którego Mike ją nakłonił, ją oraz pewną terapeutkę z „Lasu”, która go urzekła: prosta niekwestionowana wartość, jaką Mike temu nadał, jego upojna noc, której nie sposób było odmówić, tak jak nie sposób odmówić gorliwemu dziecku, które ma ochotę odśnieżyć czyjś chodnik bądź zagrabić liście.

- Może się okazać, że tak naprawdę nic dobrego dla ciebie z tego nie wyniknie - stwierdziła, nieoczekiwanie sądząc tak naprawdę. - To znaczy wiem, że jest w twoim typie, te ciemne, śniade dziewczyny...

- Właściwie to jest bardzo bystra - stwierdził Mike. Uniósł podbródek, szybki ruch, by wyswobodzić szyję z kołnierzyka koszuli - sygnał, który oznaczał, że mówi poważnie o sobie oraz swych przedsięwzięciach. - Przeprowadza dla mnie badania na bazie Metody. To znaczy Klimakteriów. Stosując parametry do nieco losowo wybieranych osób. Trafiała na kilka interesujących rzeczy. Ma sporo zapału.

Był to, rzecz jasna, ów drugi powód: Rose, jej zapał, jej pełna roztargnienia łagodna uległość. Mike wziął to za pasję, ponieważ pragnął, aby była to pasja. Ale było to coś obłąkanego.

Jej oczy jak gdyby spoglądały gdzie indziej, nie na to, co znajdowało się przed nią.

Tamta noc obecnie nic dla Rosie nie znaczyła, bądź wydawała się nic nie znaczyć, dziwiło ją tylko, jak łatwo poszła, i jak nikły

niesmak zostawiła po sobie. Lecz w trakcie jej trwania zrzuciła coś z siebie - teraz do niej to dotarło. Odeszła. Odwróciła się i zaczęła się oddalać. I choć niewykluczone, że z początku miała jedynie zamiar odejść od Mike'a oraz jego potrzeb, od swojego małżeństwa, ze Stonykill, w pewnym sensie od tamtego momentu wciąż szła przed siebie, być może dalej, niż kiedykolwiek zdawała sobie z tego sprawę - zawsze od, nigdy do.

Owładnął ją potężny, niedający się poskromić dreszcz, i podrzucił jej ramionami.

- Co? - spytał Mike.

- Nic - odparła. - Ciarki przeszły mi po plecach.

„Bizon” osiągnął krawędź ostatniego niskiego wzniesienia Faraways, a wiodący ku Cascadii handlowo-rozrywkowy pas rozwinął się poprzez dolinę, stacje benzynowe, maleńkie restauracje, przepełnione samochodami parkingi niczym sterta jasnokolorowych zabawek; droga, która je rozdzielała, przebijała się naprzód i niknęła w starym, szarym mieście, stąd jawiącym się bez mała jak szesnastowieczny obrazek: zatłoczone kwartały i pociemniałe iglice, kopuła sądu okręgowego.

Rosie doszła do wniosku, że gdyby kiedykolwiek chciała prowadzić twarde negocjacje, gdyby została do tego zmuszona, mogłaby rozegrać to wszystko za jego plecami. Wezwać Rose na świadka, skłonić Allana, żeby wymusił na niej zeznanie dotyczące tego, co ona i Mike razem robili. Ponieważ sama Rosie była Modelową Samotną Matką, była dobra, właściwie nie bardzo ją to

pociągało. Potrafiła obejść się bez tego od czasu owej nocy zeszłego lata, zabawy nad rzeką, Balu Pełni Księżyca, kiedy to Spofford wepchnął ją do budki z hot dogami o zamkniętych okiennicach i położył ją na starym brązowym kocu we wzory Indian Navajo, gdy tymczasem na zewnątrz trwał nieustający szum zabawy.

Podczas swych stawiennictw w sądzie u boku Allana Buttermana oraz arbitraży Rosie zrozumiała, dlaczego Allan zawsze sprawiał wrażenie obciążonego trzymanymi na wodzy silnymi emocjami. W podobnych okolicznościach Rosie sama czuła się oblewana błyskawicznie zmieniającymi się uczuciami, niezdolna ich uniknąć bądź uśmierzyć: wściekłości, kiedy Mike kłamał, triumfu, gdy Allan udzielał przekonujących odpowiedzi, winy, zażenowania, odrazy, których nie lubiła doznawać. Owe przesłuchania ani trochę nie sprawiały na niej wrażenia negocjacji, lecz bardziej jawiły jej się jako swego rodzaju straszny, mroczny rytuał w więzieniu Piranesi'ego, kara, bez której nie zostanie uwolniona; będziesz mogła odejść, jeśli to wytrzymasz, zdołasz przejść po rozpalonych węglach, wykąpiesz się w gorącej byczej krwi. Allan, który bez wątpienia sam nie doznawał podobnych uczuć, przesiąkał nimi zapewne ze strony klientów oraz tych, z którymi pracował, wypuszczając nadmiar w postaci pary.

- Nie rozumiem, w jaki sposób sędziowie potrafią orzec - powiedziała do niego podczas przerwy (Mike tulił się do swojej prawniczki w rogu naprzeciwko). - Skąd wiedzą, że to, co orzekają, jest słuszne?

- Nie wiedzą - oświadczył Allan, wyciągając nogi i krzyżując swe małe, obute w czerń stopy. - Pewien znajomy sędzia wyznał mi pewnego razu, że naprawdę go to dręczy, fakt, że nie wie. Szczerze mówiąc, nie byłem tym szczególnie zaskoczony. Powiedział, że ma głęboką świadomość tego, iż wszystko, co wie, to wyłącznie to, co mu przedstawiono. Mąż i żona zachowują się nienagannie, dziecko w niedzielnym ubranku. Gdyby był ich bliskim sąsiadem, posiadałby zapewne lepszą perspektywę. Ale musi podejmować swoje decyzje na podstawie tego, co faktycznie wie, nawet jeśli owa wiedza nie jest pełna lub wręcz całkowicie mija się z prawdą, a nawet wtedy, jeśli jego decyzja będzie miała wpływ na dalsze życie wszystkich stron sporu.

Ogarnęło ją nagłe nader nieprzyjemne doznanie, niczym podmuch zimnego wiatru. Być może błyskawicznie podjęta decyzja, by zabrać Sam, była błędna. Gdy tymczasem możliwe jest, że tak naprawdę w ostatecznym rozrachunku, i pomimo wszystko, Mike kocha ją bardziej. Zdawało się, iż na chwilę rozstąpiła się w niej jakaś przepaść, spoza której nie sposób było dosłyszeć Allana.

- Jedyna rzecz, jaka przyniosła mu ulgę - ciągnął Allan - to spora pewność, że jeśli podjął błędną decyzję, koniec końców wszyscy oni staną przed nim ponownie. I jeszcze raz. Póki cała prawda ostatecznie nie wyjdzie na jaw. - Zerknął na Rosie. - Pożyjemy, zobaczymy - mruknął.

Usiłowała wymóc, by Mike wrócił do domu ze swoją prawniczką, ale zaczął uparcie dowodzić (czy jego to nigdy nie męczy?), że być może musiałby czekać kilka godzin, póki nie pozałatwia ona swoich rozmaitych sądowych spraw, a wydaje się, że to bez sensu, by nie udać się wspólnie w podróż powrotną kombi, które do niedawna należało do niego.

Może ostatecznie był zmęczony. Usiadł na tylnym siedzeniu, odsuwając podarte książeczki do kolorowania, kalosze, mapy oraz kubeczki po lodach, puste puszkę po oleju, i wyciągnął się. Należał do ludzi, którzy zapadają w sen pod wpływem łagodnego poruszania się do przodu i pomruku silnika. Nie obudził się nawet wówczas, kiedy Rosie skręciła w Malowniczy Punkt Widokowy i zatrzymała się, pozostawiając wóz na biegu jałowym.

Mój zamek, pomyślała.

Z tej odległości prezentował się bezkształtnie i komicznie, niczym kiść przypadkowych kominów, a przy tym był sfatygowany i pobladły po zimie, jak cały świat dokoła. Butterman. Rzecz jasna, tak naprawdę nie należał do niej, bez względu na to, jak długo trwał w jej duszy jako zamek alegoryczny, symbolizujący wszystko to, co do niej należało.

Wszystko, co do niej należało.

Gdyby w tej chwili wyśliznęła się na zewnątrz, otworzywszy drzwi tak, by nie obudzić Mike'a, mogłaby przeskoczyć znajdującą się tam niską barykadę i zbiec w dół, do brzegu rzeki. Mogłaby znaleźć tam łódź, pozostawioną przez przypadek wiosłówkę, wywróconą na

brzegu z leżącymi obok wiosłami; i wyruszyć nią w podróż przez pomarszczone niczym szary jedwab wody, dotrzeć do skał Buttermana. A potem...

Bzdura, pomyślała - jak gdyby ów gmach znajdował się na tyle daleko, by pędzić doń i skryć się w nim. Wszak rychło by ją znaleźli, sprowadzili z powrotem i zmusili, by dalej trwała w życiu, jakie dotąd wiodła bądź udawała, że wiedzie.

Właściwie to od dawna niczego nie namalowała, choć z pewnością nie było prawdą, że powodem tego był nadmiar zajęć. Problem tkwił w tym, że w jakimś sensie straciła wiarę w swoje siły jako malarki; niekoniecznie kwestionując swój talent czy warsztat, a jedynie motywację do malowania, nie mając pewności, dlaczego ona bądź ktokolwiek inny je uprawia. Moja sztuka, moje malarstwo.

Przypominało to ten właśnie samochód kombi, obligacje oraz raty kredytu, które Mike chciał negocjować: trzeba było wiedzieć, po co się to robi, żeby to osiągnąć bądź zdobyć dla siebie.

Mike wiedział. Wiedział, co do niego należy, czego chce i co kocha; a skoro Rosie była pewna, że to, co Mike kocha, to głównie on sam - że po prostu wciąż popełnia pewien prosty błąd, niczym uderzające w swe lustrzane odbicie kociątko - cóż, być może tym jest właśnie miłość, iluzją, lecz taką, bez której życie byłoby nie do zniesienia, podobnie jak bez widzenia w kolorze bądź w trzech wymiarach, Mike to posiadał, ona zaś utraciła.

Nie, to niemożliwe.

Tak być nie może; mimo to oładnął nią niepokój - ręce trzymała na kierownicy auta, Mike oddychał rytmicznie za jej plecami.

Mój obraz. Spojrzała w głąb siebie, by doświadczyć ciepła, jakie zesłała na nią owa osobliwa wizja walkirii, lecz zdawało się, że już zniknęła. Sam, nie, nie Sam. Wobec tego moja praca. Mój samochód. Zdawało się, iż jest tam jedynie pustka, w której wymieniała te rzeczy, jakieś przepełnione smutkiem i strachem pozbawione przedmiotu pragnienie, zupełna nicość, nicość, która rozsiadła się koło niej i pochłonęła wszystko, co umieściła pomiędzy sobą a nią. Mój pies Nicość.

Wrzuciła bieg, a oddech Mike'a zmienił się wraz ze zmianą odgłosu silnika; poniosła go śpiącego ku autostradzie i włączyła się do strumienia aut, kierując się ku domowi w Faraways, jak gdyby nic się nie stało. Kiedy jechała pod górę, w bocznym lusterku mignął jej przelotnie zamek Buttermana, który przesuwiał się prędko na południe i niknął wraz z odległością.

III

FRATRES

1

W srebrzysto-zielonym, dżdżystym kwietniu wyruszyli długimi, prostymi traktami ku Glastonbury - pan Talbot na pożyczonej szkapie o zapadniętym grzbiecie, doktor Dee na swej nakrapianej klaczce, mając na ramionach impregnowaną opończę z kozłej skóry, podobny do chłopskiego pleciony kapelusz, za plecami zaś swego syna, Artura. Napłynęły łagodne chmury, po czym na powrót rozpierzchły się; słaby deszczyk był świeży i niemal ciepły. Po drodze doktor Dee wskazał krzemienny mur, niezwykle stary kościół; pokazał im, jak biegły rzymskie drogi, proste i wyraźne, a także to, któredy ciągnęła się inna droga, znacznie starsza niż ta, przez miasteczka, stojące na rynku krzyże i cmentarze parafialne, obecnie ukryta i utracona, lecz prostsza niż którekolwiek z tych, jakie zbudowali Rzymianie. Wzdłuż owej zielonej Anglii i pod nią rozciągała się inna kraina, stworzona z czasu, tak stara, jak młoda była owa wiosna: czasu pofałdowanego niczym wzgórza, sięgającego bez mała Potopu, gdy mieszkający tu ludzie nie znali rzemiosł ani mowy, nie nosili też ubrań, a jedynie skóry.

„Tysiąc lat po Potopie” - oznajmił doktor Dee - „i dwadzieścia czy trzydzieści po upadku Troi zjawił się tu, na tej północnej wyspie, Brutus Albański”.

„Czy był to Brut Trojański?” - spytał pan Talbot.

„W rzeczy samej. Zaś ów Brut, który ocalił Troję przed Grekami (choć podbili ją później), zastał naszych przodków w ciemnocie, lecz mimo to całkiem skorych do nauki i mających sporo rezonu. On zaś, Brutus, został ich królem, pierwszym, jaki kiedykolwiek pojawił się na całej tej wyspie”.

„Zaś Artur pochodził z jego rodu” - dodał Artur Dee, który znał tę opowieść oraz własny w niej udział.

„Nie inaczej. Widać to w jego herbie: trzy złote korony na błękitnym polu, był to herb pierwszego królestwa Artura, Logres; podzielone w czterech polach wraz z symbolami Troi, o których można przeczytać u Wergiliusza. I tak to właśnie jest”.

„A Saksończycy?” - zapytał pan Talbot.

„Nie. Ci przybyli z Germanii. Artur był im solą w oku. Był Brytyjczykiem, spadkobiercą Brutusa. A ta ziemia, jego ziemia, nie może być dobrze władana przez Saksończyków, Duńczyków ani Francuzów, póki nie powróci Artur: póki Walijczyk, człek z naszej krwi, znów nie zasiądzie na tronie”.

„I tak też się stało” - wtrącił Artur.

„Tak też się stało, kiedy Harry Tudor sięgnął po koronę. A teraz na tronie zasiada jego wnuczka; gdyby Artur mógłby być kobietą, ona by nim była”.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

„Są tacy” - odezwał się doktor Dee - „którzy zaprzeczają, jakoby Artur w ogóle istniał”.

„Niech próbują” - stwierdził Artur; jego policzek przywarł do ojcowskich pleców, chowając się pod jego kapelusz.

„Niech zajrzą do świętego Hieronima” - odparł jego ojciec - „który pochwalił twierdzenie Ethicusa, że wyspy Albionu, ta wyspa oraz Irlandia, powinno zwać się wyspami *Bruttanicæ*, nie zaś *Brittanicæ*. A stary Trithemius powiada, że imperium Artura obejmowało dwadzieścia królestw”.

„Ale w owych czasach królestwa nie były tak rozległe” - dodał pan Talbot.

„W rzeczy samej, nie były. Niemniej jednak siłą podbił ów Artur wyspy Islandię, Grenlandię i Estotilandię. Które właściwie powinny teraz należeć do naszej królowej, wszystkie te, które znajdują się na *mari Brittanico* pomiędzy Brytanią a Atlantydą, a nawet Biegunem Północnym”.

Artur Dee zaśmiał się głośno.

„Tak też rzekłem panu Hakluytowi. I przekonywałem Jej Wysokość”.

Artur Dee ponownie się zaśmiał, triumfalnie, i mocniej przywarł do ojca, co sprawiło, że doktor również się zaśmiał, i tak wszyscy trzej jechali, śmiejąc się w twarz słońcu, które wówczas właśnie wychynęło, by po chwili na powrót się skryć.

Nim zapadł zmierzch, minęli stojący przy drodze dom i stojącą w drzwiach pod jego opadającym nisko okapem kobietę z dłońmi pod fartuchem. W jej ogródku rosły żonkile oraz pierwiosnki; po ścianie

pięło się dzikie wino, kwiaty zaś wyłaniały się nawet spod spleśniałej strzechy niczym z łąki. Uśmiechnęła się do podróżnych.

„Dzień dobry, Gammer - pozdrowił ją doktor Dee, wychylając się w ukłonie z siodła. - Jak tam ci się powodzi?”

„Lepiej, gdy wasza wielmożność ma wolę pytać”.

„Widzę, że do słupka przytroczyłaś nową kitę”.

„Nic nie ujdzie wzroku waszej wielmożności”.

„Przenocujesz trzech podróżnych i dasz im kolację? Jeden z nich to jeszcze pacholę”.

„Mogę to uczynić” - odparła. - „Mogę dać im białego i czarnego chleba, sera i świeżego piwa; i łożę, całe dla nich”.

„Z Upton-on-Severn do Glastonbury biegnie prosta linia” - rzekł pan Talbot.

„Zaiste” - odparł doktor Dee.

Pojedyncze łuczywo dogorywało przy łożu. Artur spał. Doktor Dee oraz jego krystalomanta siedzieli na jego brzegu; rozmawiali szeptem, żeby nie obudzić chłopca.

„Linia prosta” - powtórzył pan Talbot - „którą widać tylko z wysokości. Przez pewien czas będzie ją wyznaczać droga, potem żywopłot; przetnie ją kościół, czy też stojący na rynku krzyż; a potem droga znów będzie biegła po swojemu. Ale można ją ujrzeć jedynie z wysokości, prostą, jakby ją kto wyrysował na ziemi”.

„Tak”.

„Wydawało się” - ciągnął pan Talbot - „że uniósł mnie do góry. Myślałem, że zemdleję. Ujrzałem tę linię z wysokości”.

„Sen” - stwierdził doktor Dee.

„To nie było jak sen. Podźwignął mnie na grzbiet. Miał postać... miał postać podobną psu albo wilkowi; kosmaty łeb i łapy o brązowych pazurach. Ale nie widziałem dobrze, jakiego jest kształtu, wydawał się bowiem odziany w szatę z jakiegoś ciężkiego sukna, podobną do mnisiego habitu. Trzymałem się go, kiedy wzleciał do góry”.

Wpatrując się w oblicze doktora Dee, pan Talbot dostrzegł zamyślenie.

„Nie wiem, czy był to dobry duch, czy nie” - rzekł. - „Od dawna jest przy mnie, nie zawsze w tej postaci. Nie przywoływałem go. Wiem, że to on w różnych postaciach, ponieważ jego oblicze jest zawsze łagodne”.

Doktor Dee milczał.

„Poprowadziła nas owa linia”- ciągnął pan Talbot. - „Jak gdyby był to rynsztok, którym można potoczyć kamień, albo tor, po którym biegnie chart. Prosta linia. Pędził wzdłuż niej z taką prędkością, że jego brązowy habit trzepotał za nim jako proporzec. A potem zdało mi się, że czuję woń morza”.

Zielone nadmorskie wrzosowiska Somerset, zmienne i przepelnione światłem południa, przesuwały się pod nim (Czy był to sen? Doprawdy? Dotknął swego kamiennego słoika, który skrywał pod płaszczem), a po nich, kiedy zaczęli schodzić niżej, ku ziemi -

poczuł, jak serce nieprzyjemnie podchodzi mu do gardła - poczęło zbliżać się niskie, nagie wzgórze, wieża, opactwo i ruiny kościoła. Ten, którego się trzymał, wyciągnął przed siebie swą kosmatą rękę, jak gdyby wskazywał to tu, to tam, na południe, wschód, zachód, a wówczas dały się dostrzec wznoszące się sponad ładu figury. Figury, które rozciągały się na ziemi, z niej utworzone, powstałe z wzniesień i spadków wzgórz, załamania zapadniętych dróg, konturów dawnych murów, rzek i strumieni: okrąg olbrzymich istot, człowieka, zwierzęcia, przedmiotu, lasy były im włosami, a lśniące wypiętrzenia skał oczyma bądź zębami; każdą skierowaną ku zachodowi figurę łączył przylegający do nich okrąg. Na chwilę któraś zniknęła, zmieniając się na powrót w gospodarstwa i pola, po czym ponownie się pojawiała: jagnię, lew, snop pszenicy.

„Tak” - odezwał się doktor Dee. - „Jagnię. Lew. Snop pszenicy. A inne?”.

„Nie wiem. Ryby. Król. Nie widziałem”.

Schodząc powolną spiralą w dół niczym polujący jastrząb, ten, który go niósł, opadł ku kościołowi przy opactwie. Jedna po drugiej owe ogromne postacie zapadły się w ziemię niczym w sen i stały się niewidoczne.

„Wtedy mi pokazał. W tym starym opactwie. Miejsce, w którym miałem kopać”.

„I wówczas zacząłeś kopać?”.

Pan Talbot potarł brew, jak gdyby chciał przywołać to wspomnienie.

„Chyba nie. On... Straciłem przytomność. Niczego nie pamiętam. Zabrał mnie stamtąd, a ja obudziłem się z powrotem w domu”.

„Lub obudziłeś się, nigdy go nie opuściwszy” - stwierdził doktor Dee.

Pan Talbot zerknął ku Arturowi, po czym nachylił się doktorowi do ucha, by pilnie powiedzieć swoje.

„Jeśli był to sen, to był on prawdziwy. Pokonałem bowiem potem tę samą drogę pieszo. I był tam kościół, tak jak mi pokazano. Tam znajdowało się owo miejsce, w którym miałem kopać, tam, gdzie stały dwie piramidy. Ale dla pracujących tam kamieniarzy było tak samo, wszystko tak samo. Czekałem, aż zapadnie noc. Kopałem przy księżycu. Znalazłem komnatę, a w niej księgę”.

Doktor Dee milczał, nie patrzył też na pana Talbota. Wpatrywał się ze skupieniem we własne złożone na kolanach dłonie. Po chwili wstał i przygasił światło.

„Więcej dowiemy się jutro” - rzekł. - „Dotrzemy do opactwa przed południem”.

Sporo po północy pan Talbot obudził się, nie pamiętając, gdzie się znajduje, wciąż idąc nad brzegiem Tamizy ze swoją książką pod pachą, czując, że jest ścigany w burzliwą noc i widząc ciemną łódź oraz przewoźnika, sunącego ku niemu ponad powierzchnią wody. Leżał z otwartymi oczyma, wspominając. Tuż obok niego znajdowała się twarz Artura, jego długorzęse oczy zdawały się na wpół otwarte, lecz duch był daleko stąd; pan Talbot potrafił stwierdzić to na

podstawie jego oddechu, tak regularnego, jak gdyby należał do kogoś innego. Po jego drugiej stronie, owinięty swym długim płaszczem, spał doktor Dee, wydając głębokie dudnienie.

Przez niski, niewielki róg okna sączyło się nikłe światło. Z okapu ściekała woda. Pan Talbot rozmyślał o Walii, do której zbiegł jako chłopiec, żeby się ukryć. Myślał o tym, jak zaszył się w górach i żył sam przez wiele długich miesięcy; jak zbudował sobie szałas ze skór i gałęzi, niczym dziki człowiek sprzed wieków, i siedział w nim, słuchając, jak deszcz skapuje z liści. Po dłuższym namyśle wykopał otwór w ziemi; ulepił naczynie z gliny i wypalił je w ogniu z drewna i węgla. Wiedział, co ma dalej robić.

Wówczas po raz drugi zbudził się i leżał rozbudzony aż do świtu, czując się w środku jasny i czysty dalece przenikliwiej niż kiedykolwiek przedtem, jak gdyby jego serce zamieniało się w złoto. Czy istotnie kiedykolwiek udał się do Walii? Pomyślał o tym, co tam widział i co robił, deszcz zacinał po kamiennych obliczach wzgórz, kopalniach, ogniu. Poczuł w swoim wnętrzu dwa czyste złoża, z których można czerpać, jedno ciemności, jedno światła: to i tamto, jedno i drugie; nie było takiej rzeczy, której nie można by stworzyć z tego połączenia.

Po likwidacji z czasów króla Harry'ego opactwo Glastonbury oraz jego domy mieszkalne z przyległościami, lasy, strumienie i pola zostały oddane w lenno różnym panom i szlachcom, przez nich sprzedane, odsprzedane. Kościół oraz budynki ogołococono ze

wszelkiego wartościowego mienia, jakie można było zabrać, ołowianych dachów i rynien, ozdób, szkła; książki i manuskrypty wyrzucono, spalono bądź sprzedano księgarzom albo papiernikom na wagę. Obecnie pozbawione dachu nawy porastał szczaw oraz mniszek; pośród zwalonego kamienia rosły fiołki; ogniska bezdomnych szukających schronienia w ruinach kaplicy oraz kapitułarza osmały ściany. Ogromna katedra służyła obecnym właścicielom jako kamieniołom; każdy, kto wniósł stosowną opłatę panu tych ziem, mógł zaopatrzyć się tu w ciosany kamień.

„Ci, którzy kupczą tym kamieniem, nie wiedzą, co czynią” - stwierdził doktor Dee, gdy jego niewielka drużyna stanęła na terenie opactwa. - „Nie wiedzą, co czynią”.

Wyciągnął dłoń, by dotknąć leżącego tam porośniętego dookoła jasną trawą kamiennego orła, trzymającego w szponach księgę.

„Tu wznosił się najstarszy kościół na tej wyspie” - oświadczył. - „Tu przybył święty mąż z Arymatei z Kielichem, którego od tamtych czasów nigdy już nie widziano. Tutaj, choć miejsce to zaginęło, pochowany jest Patryk, jako i inne szczątki wielkich mężów. Dunstana z Canterbury w grobie znanym tylko pochodzącym stąd mnichom, a teraz, jako że opuścili to miejsce, nieznanym już nikomu. I Edgara, króla miłującego pokój i przezornego”.

„I Artura” - dodał Artur.

„Znaleźli go w wielkim sarkofagu, nie z ołowiu czy kamienia, ale z dębu - w wydrążonym dębie; jego kość goleniowa był większa niż twoja goleń i udo razem wzięte. W tamtych czasach tę ziemię

zamieszkiwali olbrzymi. Jego żona wraz z nim; pukiel złotych włosów w grobowcu, kiedy go otworzyli, ale jeden z mnichów go dotknął, on zaś cały obrócił się w pył”.

„Guinevere” - wymówił Artur. Drżał w słabym deszczu, który siąpił przez całe rano.

„Czy to tutaj?” - spytał doktor Dee pana Talbota. - „Tu kopalesz?”.

Przy dawnej ścieżce prowadzącej przez opactwo Dod Lane stały dwa obeliski. Pan Talbot, tuląc się we własnych objęciach, obrócił się dokoła ogromnego cmentarza.

„Nie wiem” - przyznał. - „Teraz wygląda inaczej. Nie potrafię powiedzieć”.

„Rozejrzemy się” - zaproponował doktor.

I tak przez całe popołudnie przechadzali się ponad porośniętą trawą grobami i myszkowali między przewróconymi nagrobkami, schodzili do wypełnionych gruzem krypt i wypłoszyli borsuka z jego nory, podczas gdy pan Talbot, z palcem przy ustach i niepewnym spojrzeniem, usiłował odtworzyć swą podróż, czy też ponownie wyśnić ów sen, który niegdyś go tu sprowadził; wreszcie, przemoczeni i zmęczeni, schronili się w kaplicy Marii, pod nienaruszonym fragmentem dachu. Rozbili tam obozowisko, na kamiennej podłodze rozpalili ognisko i jedli chleb z serem, który przywieźli z zajazdu.

„Muszę wyjechać na jakiś czas” - oświadczył im doktor Dee. - „Na krótko. Jeśli nie wrócę przed zmrokiem lub tuż po jego

zapadnięciu, nie będzie mnie aż do rana. Potem będziemy szukać dalej”.

Wstał, pozbierał swoje rzeczy, wziął pleciony kapelusz; dopilnował, żeby płaszcz syna był suchy od spodu i żeby znalazło się dlań suche miejsce do spania przy ognisku oraz peleryna, w którą mógłby się owinać; udzielił chłopcu błogosławieństwa.

„Bądź ostrożny” - nakazał panu Talbotowi. - „Myśl z całych sił, gdzie mamy szukać”.

Kiedy oddalił się, stąpając uważnie pomiędzy mokrymi nagrobkami, pan Talbot usiadł wraz z Arturem przy ognisku. Chłopiec milczał, nieco onieśmielony nieobecnością ojca.

„Poszukamy?” - spytał pan Talbot.

„Nie”.

Siedzieli z dłońmi skrytymi w rękawy, wpatrując się w wątył ogień.

„Zdradzę ci tajemnicę” - oznajmił pan Talbot.

Artur rozwarł szerzej oczy.

„Nie nazywam się Talbot” - wyznał tamten.

„Wobec tego jak?”.

Pan Talbot nie powiedział już nic więcej. Włożył do ognia patyk; wilgotne drewno zaskwierczało i zadymiło.

„Wiem, o czym mówi ta księga” - wyznał. - „Mówi o tym, jak należy postępować przy tworzeniu złota. Wiem, o czym mówi, choć nie potrafię jej przeczytać”.

„Jak się robi złoto?” - spytał Artur.

„Złoto rośnie” - wyjaśnił pan Talbot. - „Głęboko, głęboko w górach, gdzie ziemia jest najstarsza, znajduje się złoto. Więc kopie się przepastne kopalnie, żeby je znaleźć. Ale nigdy nie wolno zabierać całego; nie wolno, ponieważ zabierze się zalążki, dzięki którym rośnie. Jak owoce, zbierasz te, które są dojrzałe, resztę zostawiasz, żeby dojrzała. I dojrzeje. Powoli, powoli, kamienie we wnętrzu góry, iły, dojrzewają i zmieniają się w złoto”.

„Naprawdę?”.

„W Walii” - ciągnął pan Talbot - „w Walii, kiedy poszedłem w góry, wiedziałem, że złoto rośnie wszędzie wokół mnie, w ziemi, głęboko pod powierzchnią. Zdawało się, że słyszę, jak rośnie”.

„Słysząc, jak rośnie?”.

„Pewnego dnia, za tysiąc lat, tysiąc tysięcy, wszystkie kamienie staną się złote”.

„Do tego czasu świat się już skończy” - stwierdził Artur.

„Może i się skończy. Ale możemy nauczyć złoto rosnać szybciej. Jeśli dowiemy się jak. Możemy pomóc, jak akuszerki, temu, co nosi w sobie złoto, urodzić je; możemy wydobyć je na świat”.

Artur nic na to nie powiedział. Deszcz osłabł, począł ustawać, chmury zaś raz jeszcze rozsunęły się i zmieniły; zaświeciło słońce. Glastonbury nie było złote, lecz srebrne.

- Pójdę się wysikać - oznajmił pan Talbot.

Oddalił się, przechodząc obok niewielkiego ogniska, wszedł w długą, zieloną aleję nawy głównej kaplicy, gdzie przez dłuższy czas pogrążony był w zamyśleniu. Zszedł w dół wzdłuż ściany ku

prezbiterium, zatrzymując się, by rozejrzeć się po kaplicach bocznych. Kiedy znalazł się w prezbiterium i w miejscu, w którym dawniej znajdował się ołtarz, obejrzał się za siebie; nie było już widać obozowego ogniska. Z zanadru płaszcza wydobył niewielki kamienny słoik, solidnie opieczętowany woskiem.

Poszukał miejsca. Dostrzegł wąskie schody, wiodące w dół pod rzeźbionym łukiem; kiedy zszedł po nich, odkrył, że droga zablokowana jest zwalonymi kamieniami, wyjątek stanowiła wąska szczelina na tyle pokaźna, by zdołał wsunąć się w nią do połowy, lecz nie wczołgać do środka. Zdawało mu się, że z wnętrza dobiega szum wody, jak gdyby znajdowała się tam studnia. Zamknął oczy; ujrzał psie oblicze śmiejącej się istoty; wrzucił słoik do znajdującego się tam otworu.

Jutro, wraz z doktorem Dee, znajdzie go tutaj, tak jak znalazł księgę; a historia będzie mogła rozwijać się dalej.

Na wierzchołku wysokiego, łysego wzgórza zwanego Glastonbury Tor na podobieństwo kamiennego palca wznosi się wieża - Wieża św. Michała. U podnóża góry, w dolinie, która rozciąga się pomiędzy Tor a wzgórzem na zachód od niego, Wzgórzem Kielicha, znajduje się studnia, Święta Studnia. Droga, która wiedzie ku wzgórzu Tor, przechodzi obok. Idąc pod górę, doktor Dee zatrzymał się przy niej. Wokół pobudowano komory z ciężkiego kamienia, na którym widać ślady narzędzi, jakimi go obrabiano. Doktor Dee przypuszczał, że

kamienie umieścili tu Rzymianie, albo nawet uczynili to przed nimi druidzi.

Byli oni wielkimi i mądrymi mężami, a przy tym wywodzili się z tej samej rasy co on, choć w swej pysze odrzucili Chrystusa i walczyli z Jego wyznawcami. Istniały opowieści o tym, jak umieścili kamienie, które stały w kręgu na równinie Salisbury, jak sprowadzili je tu z Irlandii w powietrzu, niczym stado ptaków, i rozmieścili na równinie. Doktor Dee wiedział, że gdy błogosławiony Patryk rozmawiał z nimi i spytał ich, kto stworzył świat, druidzi odparli: świat stworzyli druidzi.

Zszedł w dół ku omszałej drodze, które wiodła do komory studni. Przy ciemnych drzwiach wyciągnął dłoń ku kamieniowi, nasłuchując przez jakiś czas odgłosu wód; następnie wszedł do środka. Źródło, które napępniało tę studnię, znajdowało się gdzieś powyżej, na Wzgórzu Kielicha; powiadano, iż wypływa z miejsca, gdzie Józef z Arymatei zakopał kielich, z którego Pan Nasz pił podczas ostatniej wieczerzy. Kielich, *calix*, *crater*, od którego to wzgórze brało swą nazwę - o ile samo wzgórze nie było owym kielichem, odwróconym na ziemi naczyniem, z którego wylewa się tutaj jego wodno-winna zawartość. Doktor Dee spojrział w dół na kamienie, które obmywała woda - poprzecinane były czerwonymi żyłkami i tonęły w czerwieni. Studnia Krwi - tak inaczej nazywało się to miejsce.

Napił się z niej, pomodlił, po czym ruszył dalej. Droga wychodziła spod osłony pokrywających się zielenią drzew i biegła

dalej wokół Tor pnącą się pod górę spiralą. Niebo zaczęło się przejaśniać, a ostra bryza dotknęła policzków mędrca. Wchodząc wyżej, spostrzegł, iż niziny rozciągają się coraz dalej i dalej, sięgając aż do morza. Nad nimi wznosiło się Wzgórze Cadbury, Wzgórze Kielicha, Wzgórze Weary-all, niczym podnoszący grzbiet ponad powierzchnię wody wieloryb, oraz wzgórze, na które się wspinał. W zamierzchłych czasach, jak wiedział, wszystkie te wzniesienia były wyspami; niziny były bowiem zalane przez morze. Samo Glastonbury było wyspą - Avalon, wyspa jabłek. Na Tor można było dostać się łodzią; Weary-all było wyspą, gdzie pierwotnie Józef zszedł na ląd, a w jej ziemię wbił swoją laskę. Tam puścił swe pędy Cierń, Cierń, który rozkwita w Boże Narodzenie. Doktor Dee widział go, Święty Cierń, białe kwiecie w dniu narodzenia Chrystusa: wielokroć bowiem w przeszłości wspinał się na owe wzgórze, opisywał ich starożytność i dokonywał pomiarów okolicznych ziem. Chorografia była kolejną ze sztuk, jakie posiadał: mierzenie i opisywanie fragmentu lądu, jego zawartości i geometrii. Tyle tylko, że nie słyszał, by gdziekolwiek istniał jakiś inny fragment lądu taki jak ten, na którym obecnie stał.

Oddychając głęboko, a przy tym wbijając swą laskę w ziemię, piał się pod górę. Droga skręcała. Zbliżał się do szczytu; a gdy tak stąpał po owej znajdującej się wokół niego spiralnej ścieżce, niziny oraz wzgórze poczęły się budzić.

Lwa, którego ujrzał pan Talbot, nie dało się zobaczyć z Tor, leżał bowiem na zboczach wzgórza naprzeciw Somerton; ale w tej chwili uczony mógł dostrzec na wschodzie Pannę, której kontury

kreśliła czarnymi i srebrnymi pociągnięciami pióra rzeka Cary - Panna, jak jego królowa, z berłem i panierami sukni. Na wschód od niej leżał Skorpion, zwinięty nad rzeką Brue; wypiętrzenie z jasnego kamienia stanowiło kolec jadowy w ogonie.

Następnie obudził się Centaur, który był również Herkulesem, bohater i koń w jednym, utworzony ze Wzgórz Pennard bądź sam je tworzący, albo jedno i drugie; iglica kościoła w West Pennard była mu strzałą w łuku. Na północ od niego Koziorożec; dawne umocnienia, które zwano Ponter's Ball, były jego rogami. Doktor Dee szedł dalej wokół stożka Tor zgodnie z kierunkiem ruchu Słońca. Jedno po drugim pojawiła się cała Dwunastka, od Barana w Wilton i Street o grzbiecie pokrytym zbożami, które jeszcze zielone, staną się złotym runem, gdy nadejdzie pora żniw, aż po Ryby splecione ze sobą ogonami: jedną był ogromny wieloryb na Wzgórzcu Weary-all, druga leżała w wiosce Street, jej okrągłe oko to znajdujący się tam kolisty cmentarz. Ogromny horoskop, którego nikt, kto nie wiedział o jego istnieniu, nie był w stanie ujrzeć, nawet ze szczytu Tor, jakkolwiek mógł go dostrzec - było to możliwe ten, kto leciał w górze, szybował w powietrzu jak ów jastrząb i spoglądał w dół.

Jeśli nie był to sen, kto go uniósł?

Doktor Dee znalazł się przy wieży. Na jej szczycie huczał wiatr; orzeźwiający powiew, który szarpał jego brodę oraz rąbek płaszcza. Teraz cała ta kraina rozciągała się przed nim, on zaś stał pośrodku niczym w gnomonie i spoglądał na Logres.

Królestwa nie były wówczas tak rozległe: a mimo to, gdy morze ogarnęło niziny i przykryło piaski pomiędzy wyspami a wzniesieniami, które tworzyły owe figury, figury gwieździstego uniwersum nad nimi, wówczas Artur i jego rycerze znaleźli się w posiadaniu królestwa na królestwie, lądu na lądzie, w głąb którego można było wyruszyć. Albowiem jedno królestwo jest wszystkimi: wzgórze, droga, ciemny las; zamek, w którym można się schronić; niebezpieczny do przejścia most.

Kiedy ponieśli Artura, by umarł bądź zasnął, Avalon było wyspą: lecz ta sama wyspa była Camelotem, kiedy sprawował rządy. Zaś Avalon był również wyspą Percivala, należąca _do jego ojca króla Pellesa, który miał tam swoją siedzibę - tak powiadały niektóre dawne księgi. Było to miejsce, z którego Percival wyruszył w poszukiwaniu Graala: z owego Graala - niekiedy kielicha, niekiedy kamienia, niekiedy zaś naczynia, które nie różniło się od kielicha, jaki błogosławiony Józef przywiózł na ową północną wyspę - wciąż lała się cudowna woda: popłynęła również na dłonie doktora Dee tego właśnie dnia.

Usiadł przy Wieży Michała i otulił się swym płaszczem. Podnoszące się znad morza chmury niczym skrzydlate stworzenia ukazały mu białą smugę oraz szarą linię, która daleko na zachodzie była jego krajem, Walią - na zachodzie, ku któremu odeszli druidzi, niosąc z sobą przeszłość.

Nie istniał jeden Graal; było, będzie bądź jest nie jeden, lecz pięć Graali, które ma znaleźć pięciu Percivalów. Były Graale ziemi, wody,

ognia, powietrza: był kamień, kielich, puchar, czy też piec, a także misa niesiona przez Wodnika, który jest znakiem powietrza. I jeszcze jeden, Graal kwintesencji. O ile nie był on tak naprawdę siedmiopierściennym kielichem samych niebios, zawierającym wszystko, zawartym we wszystkim - kielichem, z którego, chcąc nie chcąc, musi napić się każda dusza.

Czy wszechświat stanowi jedność? - pomyślał. I czy cały zawiera się w każdej swej cząstce?

Wiele lat temu, wiele długich lat temu, odkrył coś, co mogło stanowić znak tego, że wszechświat jest jednością. Wyznaczył to za pomocą linijki i kompasu, i przez rok łamał sobie głowę nad tym, by dostrzec, czy zacznie on przyciągać do siebie jak magnes coraz więcej substancji, z której stworzony jest świat: ognia, powietrza, ziemi, wody; liczb, gwiazd, dusz. Im bardziej się temu przyglądał, tym bardziej tak się działo. Stało się to hieroglifem na podobieństwo świętych hieroglifów Egiptu, które zawierają wiedzę niewyrażalną w żaden inny sposób, słowa zbyt długie, by je wymówić. Niósł swój znak ze sobą tak, jak kobieta niesie dziecko, póki pewnego tygodnia w Antwerpii (był w owym tygodniu ogniem wiedzy, płonącym krzakiem) nie powierzył swego znaku pewnej księżeczce i nie wyrzucił z siebie wszystkiego, co o nim wiedział; pisał, nie wiedząc, co pisze, dopóki nie poczuł w sobie pustki.

Napisał to; dzieło złożono do druku i wydrukowano.

I wciąż może być tak, że znak, który stworzył, jest tym, który oznacza ową jedność, jaką jest wszechświat. Lecz teraz stanowił on

pieczęć tajemnic. Opuścił go, on zaś nie wiedział już, co przedstawia; nie rozumiał książki, którą napisał.

Być może na nowo dowie się i zrozumie. Być może, w tej chwili. *Żadna odpowiedź nie zostanie przed tobą ukryta.* Jastrząb, który zawisł w powietrzu, spoglądając w dół, począł opadać długą spiralą. Słońce skrywało się w morzu: doktor Dee niemal słyszał, jak syczy.

Okrażyć Logres, jak Słońce okrąży rok; zbadać krąg stworzenia i znaleźć się w zamku, który jest twoim własnym Graalem, od dawna poszukiwanym, od dawna pożądanym; który należy do ciebie. W Wielkiej Historii, którą doktor Dee czytał w dawnym języku, imię króla Percivala jest rozumiane jako *Par lui fet*: stworzony przez samego siebie.

Zaś kielich, którego poszukiwał ranny w zamku swego rannego ojca, czymże był, jeśli nie kielichem Wodnika, do którego doktor Dee zajrzał w gwiazdnej świątyni rozciągającej się poniżej, w Somersetshire?

I choć niewykluczone, że tylko tutaj podobne figury ziemi (teraz ciemniejące i zamykające swe wielkie oczy do snu) zostały stworzone rękoma czarowników, to gwiazdy świecą wszędzie; toteż musi tak być, że wszędzie znajduje się gwiazdna świątynia, odcisnięta na kręgach ziemi, wielkich lub małych. A wewnątrz każdej z nich musi kryć się Graal.

Doktor Dee uniósł oczy ku niebiosom, których gwiazdy były teraz zasnuwane chmurami. Powiedzcie mi, przemówił. Powiedzcie mi: Czy wszechświat stanowi jedność? Czy tak właśnie jest?

Widziały go anioły opiekujące się niebem, któremu postawił swe pytanie: widziały go, bowiem ten krąg ziemi stanowi miejsce, przy którym często się zatrzymują, by się weń wpatrywać, niczym w zwierciadło, bądź przezeń zaglądać, niczym przez dziurkę od klucza. Uśmiechnęły się, słysząc jego pytanie; a potem jeden po drugim odwróciły się, by spojrzeć przez ramię - zaniepokoił je jakiś dźwięk, jak gdyby odgłos stąpania odległy i nikły, stąpania kogoś, kto zbliżał się od drugiej strony.

Pewnego kwietniowego poranka Pierce Moffett wyszedł ze swego mieszkania i ruszył w dół Mapie Street ku miasteczku. Po drodze w ogródkach właściciele domów kopali, sadzili, uwalniali krzaki z resztek zimy, przysstrzygając ich zmierzwione czupryny. Niektórzy oglądali się za przechodzącym Pierce'em, a większość pozdrawiała go. „Dzień dobry!” - odpowiadał serdecznie, uśmiechając się w duchu szeroko na owe powitania, czuł się bowiem tak, jak gdyby niespodziewanie powrócił z jakiejś odległej planety na łono zwyczajnych ziemskich stosunków międzyludzkich - ci mili ludzie nie potrafili sobie wyobrazić, jakim osobliwym doznaniem było dlań słyszeć życzenia dobrego dnia od obcych na ulicy. Błogosławił ich, błogosławił ich sterczące pokaźne siedzenia, kiedy się pochylali nad swoimi doniczkami i bordiurami, błogosławił ich żywopłoty i cytrynowe kwiecie ich czarnych krzewów o wiosnie, a jak nazywa się ta roślina, bo zapomniałem, czy to forsycja?

Sporo trzeba było się nauczyć, czy też przypomnieć sobie: nazwy roślin i kwiatów, kolejność, w jakiej wschodzą, zwyczajowe pozdrowienia wymieniane przez mieszkańców i tradycyjne odpowiedzi na nie; ulice i aleje miasteczka, jego sklepy, zwyczaje, historię. Pierce westchnął głęboko. *Świat takim mnóstwem różności*

*nas dziwi, pomyślał, że wszyscyśmy winni być jak królowie szczęśliwi*³⁴.

Jak królowie szczęśliwi. Skręcił z Mapie Street w dół ku River Street (czy rodziny, które zakładały tę miejscowość, długo zastanawiały się, nim wybrały te proste i oczywiste nazwy, Mapie, River, Hill?³⁵) i dalej do miejsca, w którym River Street spotyka się z Bridges Street, a najważniejsze budynki miasteczka zwrócone są ku bystrej brązowej rzece i wiosennemu niebu. Tam, na rogu, wstąpił do niewielkiego sklepu, którego czerwono-biały blaszany szyld głosił: ROZMAITOŚCI. Poprosił o torebkę tego co zwykle taniego tytoniu i spostrzegł, że prócz cukierków, gum i papierosów mają tu również całkiem spory wybór rozmieszczonych na drewnianym stojaku czasopism, wśród nich zaś jedno czy dwa stanowiły dość ezoteryczne pisma, co do których Pierce przypuszczał, że będzie je musiał teraz zaprenumerować, ale okazało się, że nie. Dobrze. Przeszedł w głąb mętnie oświetlonego wnętrza sklepu. Znajdował się tam niewielki automat z napojami gazowanymi o prawdziwym marmurowym czubku oraz trzy czy cztery taborety; obrócił jeden z nich dłonią, przechodząc obok, taboret zaś, jak to zwykle bywa, wydał jęk. Przy stosie dzisiejszych gazet widniała notka informująca, że ci, którzy chcą otrzymać niedzielne wydanie „New York Timesa” muszą zapisać się na nie z góry.

No cóż.

³⁴ Robert Louis Stevenson, *A Child's Garden of Verses*.

³⁵ River (ang.) - rzeka.

Już dawno temu Pierce przestał zaopatrywać się w ów ogromny gazetowy plik; nabrał przekonania, że tym, co dla niego nadawało niedzielnemu wydaniu szczególnego charakteru, jaki zachowywało ono o każdej porze roku i przy każdej pogodzie - charakteru przyprawiającego o ból głowy, posępnego, marnotrawnego - nie był Jahwe, domagający się swego dnia i zatruwający go nawet niewierzącym, nie, chodziło zupełnie o coś innego, był to swego rodzaju gaz, wyciekający z każdego niedzielnego „Timesa”, narkotyzujący, napawający obrzydzeniem gaz o przenikliwej woni farby drukarskiej. I rzeczywiście owe symptomy, jak się zdawało, przynajmniej częściowo ustąpiły, kiedy zaczął odmawiać sobie kupna gazety. Lecz tutaj jej działanie mogło zostać zneutralizowane. Jak właściwie spędza się tu niedziele? Może będzie musiał zacząć chodzić do kościoła.

Jeszcze dalej w głębi sklepu (jego wnętrze okazało się dłuższe i bardziej obfitujące w rozmaite towary, niż się to zdawało od strony ulicy), znajdowały się lady z artykułami papierniczymi i przyborami szkolnymi, długopisami i ołówkami, taśmą klejącą, klejem oraz stojakami zawierającymi długie bloki, w tym samym żółtym kolorze co owe kwiaty, które widział. Była tam też taśma do maszyny do pisania oraz maleńka buteleczka białej farbki do korekt; były gumki, zarówno prostokątne, jak i okrągłe. Właściwie znajdowały się tam wszystkie narzędzia jego nowego fachu i wszystko zdawało się być najwyższej jakości, a przy tym dopiero co wydobyte z opakowania.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - spytała kobieta przy frontowej ladzie, której okulary o oprawkach w kształcie kocich oczu były zaopatrzone w łańcuszek z koralików, który zwisał jej za plecami i huśtał się, kiedy się odwracała.

- Och, tylko się rozglądam. - Z rządka ksiąg rachunkowych w różnych rozmiarach wyciągnął wysoką i cienką, o rogach i grzbiecie oprawionych w skórę, czy też jej imitację, o kasztanowej barwie, która na szarej bukramowej okładce miała wytłoczone smukłą ozdobną czcionką słowo REJESTR. Jakim cudem wciąż jeszcze produkuje się takie starodawne rodzaje ksiąg jak ta? Być może wyłącznie do prowadzenia rachunków podobnych sklepów. Brzegi jej kartek były marmurkowane, a przy tym okazała się zdumiewająco droga.

Postanowił ją kupić i zapisywać w niej swoje nowe życie na wsi. Nie był tak pewny swych zdolności prozatorskich, jak powinien właśnie teraz, kiedy jego utrzymanie miało od nich zależeć, a nierzadko słyszał, że prowadzenie pamiętnika stanowi sposób na utrzymanie wysokiej formy. A poza tym niewykluczone, że przyda mu się jakieś zajęcie w owe długie wieczory po tym, jak ulice Blackbury Jambs wyludnią się.

Znalazłszy się ponownie na zewnątrz w bladym słonecznym świetle, zmierzył spojrzeniem ulicę, popatrzył w jedną stronę, ku mostowi na rzece Shadow (wąskiemu, zbudowanemu z kamienia) i w drugą, ku mostowi na rzece Blackbury (szerokiemu, z czarnego żelaza). Szerokie pasmo wody w oddali skrzyło się i drgało;

Pierce'owi niemal wydało się, że gdyby przymknął oczy, zdołałby dojrzeć wody obu tych mieszających się z sobą rzek, zimne i przejrzyste, niespieszne i monotonne - iluzja, bez dwóch zdań. Gdy się odwrócił, tuż za nim znajdowała się biblioteka.

W porządku.

Był to swego rodzaju kryty gontem romański melanz, bez wątpienia styl najmniej efektywny, jaki kiedykolwiek przyjęto dla budynków publicznych; spora jego część miała podtrzymywać wielką i niefunkcjonalną kopułę. Na ścianie w holu widniał kawał miejscowego łupka z odciskiem liścia, a może nawet łapy jakiegoś zwierzęcia. Wewnątrz było chłodno i jasno, w gruncie rzeczy kopuła w dość przyjemny sposób wpuszczała słoneczne światło; kuriozalnie uformowane skrzydła i galerie posiadały swoje funkcje; było to przyjemne miejsce. Kolejna starsza kobieta w okularach na łańcuszku (będą one najwidoczniej pełnić ważną rolę w jego życiu tutaj; jedna z nich obsłużyła go już w banku) kierowała wszystkim przy głównej ladzie. Poprosi ją o kartę. Choćby po to, by zapewnić sobie osobliwą rozrywkę: tu bowiem, tuż przy drzwiach, dla tych, którzy nie mają ochoty bądź śmiałości zapuścić się głębiej, znajdował się stojak z obecnymi bestsellerami, kolorowymi klockami opakowanymi w plastik niczym pudełka czekoladek.

Jednym z nich był *Rydwan Faetona*, którego wielki sukces, jak uważała Julie, mógł zwiastować sukces jego książki. Pierce wyciągnął go. Papierowa naklejka pod plastikiem głosiła, że jest to KSIĄŻKA

NA JEDEN TYDZIEN, nie najmilsza to wieść dla autora, nawet jeśli to prawda.

Znał ją oczywiście, jej treści w większości zawierały się w notkach na obwolucie, jej tezy zaś były nie do uniknięcia podczas wszelkich talk-show. Kiedyś, dawno temu, wylądowały tu statki gwiazdne Skądinąd, a inteligentne obce istoty zamieszkały pośród nas; było one odpowiedzialne nie tylko za większość tytanicznych i niewytłumaczalnych dzieł na ziemi (Stonehenge etc), lecz pozostawiły również ślady swej wizyty w przestrzeni mitów całego świata, a nawet swoje portrety na ścianach jaskiń oraz grobowców. Dziwaczna odmiana euhemeryzmu. Starożytni bogowie nie byli w gruncie rzeczy bogami, nie, to bez sensu, tak naprawdę byli przybyszami z kosmosu.

Przy czym wielu jego studentom odpowiadało takie wytłumaczenie historii.

Otworzył książkę na środku. Widniała tam fotografia nagiego szczytu, na którym wznosiła się wieża. „*Latarnia morska*” w Glastonbury? pytano w podpisie. *Linie geomantyczne ze wszystkich stron Brytanii skupiają się w „Avalonie”* (s. 195). Pierce przerzucił kartki do tej strony.

„Fakt, iż dające się uchwycić na mapie linie proste o niebywalej długości przecinają całą powierzchnię Wysp Brytyjskich, łącząc kościoły, starożytne kamienie, szczyty gór oraz wszelkiego rodzaju »święte« miejsca, został po raz pierwszy ustalony przez badaczy w latach dwudziestych XX wieku”. Pierce'a zawsze bawiły w tego typu książkach wyrażenia pokroju „badacze” lub „uczeni”; czytelnik miał

sobie wyobrazić bezstronnego naukowca, niewykluczone, że w laboratoryjnym kitlu, a nie zbieraninę dziwaków i pomyleńców, którzy tak naprawdę opracowywali podobne „badania”. „Równocześnie w okolicach Glastonbury odkryto w ziemi gigantyczne figury astralne, tworzące okrąg o wielokilometrowej średnicy, które można dostrzec wyłącznie z wysokości. Czemu mogła służyć »Gwiezdna Świątynia z Glastonbury«? Czyżby stanowiła coś w rodzaju gwiazdnej mapy, wskazującej drogę przybyszom, którzy nie podróżowali lądem ani morzem...?”.

Dobry Boże, pomyślał Pierce, zatrzasnąwszy książkę i wpychając ją na swoje miejsce w rzędzie. Świątynie gwiazdne i linie geomantyczne, UFO i wolno stojące gigantyczne konstrukcje, czy nie dostrzegali tego, że tak naprawdę nieodmiennie zdumiewająca jest ludzka zdolność nieustannego wynajdowania podobnych rzeczy? Wystarczy każdemu szukającemu ich dać mapę Pensylwanii, New Jersey bądź Faraways, a znajdzie „linie geomantyczne”; wystarczy, by człowiek wystarczająco długo wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo, a dostrzeże spoglądające nań twarze. To jest zajmujący problem, oto, jest temat: nie to, skąd wzięły się owe linie, ale to, dlaczego ludzie je wynajdują; nie plany, jakie w stosunku do nas mieli obcy, ale to, dlaczego jesteśmy przekonani, że z jakichś przyczyn zawsze musi istnieć jakiś plan.

Julie zrozumiałaby to. Na pewno. Bez wątpienia.

Odwrócił się ku centralnemu atrium (zirytowany, podekscytowany, widząc w myślach zielone wzgórza i modre

strumienie jak gdyby z wysokości). Poukładane osobno - proza, biografie, nauka. Sens. Przyszło mu do głowy, że istnieje pięć podstawowych potrzeb ludzkich: jedzenia, schronienia, ubrania, o ile nie stanowiło go schronienie, seksu i miłości, o ile zachodzi między nimi różnica, oraz Sensu. Pozbawiony sensu człowiek usycha i obumiera z taką samą nieuchronnością jak wówczas, gdy pozbawiony jest pokarmu i wody.

Nie zwracając uwagi na to, dokąd idzie, zbliżył się do półek z prozą, omiatając spojrzeniem owe w większości niechciane tytuły, które w jakimś sensie zdawały się smutniejsze niż zaniedbany dział nauki czy myśli. Nieco dalej jakaś młoda kobieta wyciągnęła książkę, zajrzała do niej, uśmiechnęła się i zabrała ją ze sobą; ciekawe co, zastanawiał się. Norton. Norris. Nofzinger. *Odległy zakręt drogi* Helen Niblick. Mitchell, ta oczywiście, jakżeby inaczej, w wielu egzemplarzach. Mackenzie, Macauley, Macdonald. Ross Lockridge. Joseph Lincoln.

A co my tu mamy.

Kiedy - wyłącznie z ciekawości - udał się swego czasu do znajdującej się najbliżej jego miejsca zamieszkania filii biblioteki nowojorskiej, nie znalazł ani jednej. Tu zaś były dziesiątki, w każdym razie przynajmniej z dziesięć. *Dzieła Zebrane*. I co ty na to.

Były tu *Ogryzki jabłek*, czy to nie ta o Shakespearze? A także *Księga o stu rozdziałach*, która natchnęła go przestraczem i podziwem jako nastolatka. I cały rząd innych, których nie czytał bądź których lektury sobie nie przypominał. No więc czemu, zastanawiał się, taka

mała biblioteka jak ta posiada wszystkie te książki? Wszak Kraft nigdy nie był Shellabargerem ani Costainem. Dotknął jednego czy dwóch grzbietów, wyciągnął któryś z tomów, wspominając ów stan pełnego napięcia oczekiwania, w jaki wprawiało go przybycie jednej z nich, gdy pojawiała się w comiesięcznym pudle z biblioteki stanowej; przypominając sobie, jak wraz z mlekiem i kruchymi ciasteczkami zasiadał nad nią, niczym nad długim posiłkiem.

Niewykluczone, że również w nich, podobnie jak w książce o Brunie, natknął się na materie, które wykorzystał do stworzenia Ægiptu. Z pewnością się na nie natknął. Acz odczuwał silne przeświadczenie, że cokolwiek w nich znalazł, jedynie potwierdziło istnienie owej krainy, a jej odkrycie przez niego poprzedziło odkrycie twórczości Krafta. Był co do tego dość głęboko przekonany.

W jaki sposób właściwie odkrył Krafta?

Pewnego razu jedna z tych książek dostała się do pudełka, stanowiąc spełnienie prośby jego, Sama bądź Winnie, choć jego matka gustowała w ucieczkach innego rodzaju. Czy otrzymał Krafta dlatego, że zamówił „opowieści o historii”? Czy prosił o kolejne, czy po prostu trafiły doń za sprawą przypadku?

Włożył na miejsce tę, którą przed chwilą wyciągnął.

Jak już wyrobi sobie kartę.

Biblioteka dysponowała również innymi zasobami, które odkrył; ten budynek w kształcie okrągłego ciasta był nafaszerowany wartościowymi tytułami. *Słownik biograficzny. Historia Współczesna Cambridge. Encyklopedia katolicka*, stare dobre wydanie pełne

osobliwości, których późniejsze edycje wstydziły się bądź wołały nie zamieszczać; ciekawa dziedzina do zgłębiania. Znajdowało się tam również wiele ogromnych i przebogatych starych wydań folio książek i albumów, wielotomowe atlasy botaniczne oraz oprawne w skórę książki o ptakach - zamożni letnicy z dawnych czasów najpewniej zapisali wszystkie te tomy w testamencie swojej miejscowej bibliotece. Wysokie półki wokół czytelnicy były nimi przepelnione. Pierce stał w wejściu do owego przyjemnego pomieszczenia (stoły z jasnego drewna, zielone lampki, ciemne portrety), gdy kobieta, która od pewnego czasu klęczała przy gablotce na drugim końcu, podniosła się z okazałym folialem w dłoniach i odwróciła wprost ku niemu, a raczej odwróciła swoje ciemne oczy w jego stronę, nie zauważając go, po czym poszła usiąść z książką przy stoliku, na którym rozłożone już były inne woluminy i papiery.

Czy to możliwe? Oczywiście tamta noc była ciemna i szybka, a do tego miała miejsce wiele miesięcy temu. A przy tym byłoby to dziwne, gdyby praktycznie pierwsza osoba, na jaką się natknął w tym miasteczku, była jedną z dwóch czy trzech, jakie już tu znał. Acz wszystko wskazywało na to, że to ona. Przyglądał jej się przez jakiś czas, a kiedy znów rzuciła nań okiem, uśmiechnął się, lecz ona nie dała żadnego znaku, że go poznaje.

To na pewno ona.

Przemierzył pomieszczenie po obwodzie i zbliżył się do jej stolika. Prócz książki - był to słownik biograficzny otwarty na hasło o Emersonie - była wyposażona w papier milimetrowy i ołówki oraz

kalkulator; zdawało się, iż wytycza jakieś krzywe, przy czym jedna z osi oznaczona była latami.

- Witam - rzucił.

Uniosła nań wzrok; miała uprzejmy wyraz twarzy przeznaczony najprawdopodobniej dla natrętnych nieznajomych niezaprzeczalnie płci męskiej.

- Pani Mucho? - spytał.

Wyraz twarzy uległ zmianie.

- Nie - odparła.

- Mam na imię Pierce. Jestem pewny, że już się poznaliśmy.

- Nie sądzę - odparła

- Pani się nazywa...

- Nazywam się Ryder.

Wielkie nieba.

- Aha.

- Nie przypominam sobie pana.

- Przepraszam, przepraszam - wybąkał. - Właściwie jestem tu nowy. Bardzo pani przypomina kogoś, kogo znam.

- Przykro mi - powiedziała, a jej twarz teraz już zdecydowanie stężała, jak gdyby uznała, że ktoś zadrwił z niej, czy też wykonał jakiś ruch, a ona stwierdziła, że ma tego dosyć.

- No cóż - dodał Pierce. - Mój błąd.

- Aha.

Uklonił się na pożegnanie i energicznie wycofał, by nie sprawić wrażenia podrywacza. Pod pewnymi względami w ogóle nie była

podobna do siebie, czy też do zachowanego w jego pamięci swego obrazu, który minione miesiące bez wątpienia znacznie zmieniły. A mimo to ten ciemny sznur włosów na jej szyi, który na jego oczach wyżywała z rzecznej wody...

Załatwiając sprawę karty z panią za biurkiem, rzucił jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie w jej stronę i przyłapał ją, jak patrzy na niego. Wróciła wówczas, nie od razu, do swojej książki i do owego zajęcia, która ją pochłaniało.

Możliwe, rzecz jasna (pomyślał, idąc pod górę do domu), że owo na poły żartobliwe „pani Mucho”, którym ją przywitał, nie sprawiło na niej wrażenia ani trochę zabawnego, toteż postanowiła go wówczas zignorować. Ryder - takie nazwisko podała? - mogło być nazwiskiem panieńskim, którym chciała się obecnie posługiwać.

Możliwe też - była to myśl, jaka objawiała mu się już wcześniej, zazwyczaj wówczas, gdy właśnie nazwał jedną ze swoich kochanek imieniem innej, coś, co przytrafiało się jemu oraz wszystkim innym mężczyznom, a co nie przytrafiało się żadnej znanej mu kobiecie - możliwe, że na świecie istnieje wyłącznie jedna kobieta, która go pociąga, jedna jedyna kobieta dla niego, która objawia się w jego życiu w różnych formach, pod różnymi imionami, przebrana za siebie.

En ciel un dieu, en terre une déesse, i oto znów się objawiła.

Rzecz jasna, nie miało to większego znaczenia. Przysięga została złożona, a przy tym czekała go całoroczna praca. Kiedy dotarł pod numer 21, z niezgrabnej czekoladowo-brązowej furgonetki

wyładowywano kolejne pudła jego książek, których przewóz znacznie się opóźnił, ale wreszcie tu dotarły.

- Nie jesteś stąd - oznajmił Pierce'owi Beau Brachman.

- Nie?

- Nie. - Pierce stał wraz ze swym sąsiadem na jego zalanym słońcem trawniku; właśnie w tej chwili nabrał on miękkiej zielonej barwy, a z koniuszka każdej gałązki każdego klonu na Mapie Street wyłaniały się maleńkie żółtozielone listki. Kwestia tego, w jaki sposób owe małe, lecz idealne niczym klejnoty listki wyrastały na liście o identycznych kształtach, lecz znacznie większe, kwestia, której rozważanie Pierce odłożył pewnego kwietniowego dnia przed laty, znów powróciła. Pośród liści znajdowały się pęki owych rodzonych przez klon skrzydlatych nasionek, które można (jak pamiętał) nosić na lewej piersi jako skrzydła lotnika bądź delikatnie nadłamać i zacisnąć sobie na nosie. Albo w sumie jedno i drugie.

- Mimo, że o tym zapomniałeś - ciągnął Beau - naprawdę pochodzisz skądinąd. To nie jest twój świat, choć wydaje się, że jest. Ten kosmos. Przybywasz do niego, zjawiasz się z bardzo daleka; jak gdyby oszołomiony tą długą podróżą, w ogóle zapominasz, że ją odbyłeś. Wyruszasz jako ciało astralne, ale podczas podróży zostajesz ubrany w rzeczywistość materialną; w materię, jak w płaszcz. Wewnątrz wciąż znajduje się ciało astralne. Ale teraz jest skrępowane i pogrążone we śnie.

- Aha - mruknął Pierce. - A wobec tego skąd wyruszasz? Skąd przybywasz?

- Wiele okresów życia temu? - spytał Beau.

- Wiele okresów życia temu. Początkowo.

- No więc przypuśćmy - tłumaczył Beau - że my, dusze, przybyliśmy z kosmosu. Z gwiazd. Przypuśćmy, że zagubiliśmy drogę; utknęliśmy tutaj; przybraliśmy formę, która pasowałaby do niskiego poziomu ewolucji tej planety. I przypuśćmy, że żyjemy w ten sposób tak długo, iż z czasem o tym zapominamy.

- Hm. - Te gwiazdy, pomyślał Pierce, czy to te same, z jakich przybyli życzliwi obcy w Rydwanie Faetona, którzy nauczyli człowieka rzemiosł?

- Tam, na miejscu, pamiętają - mówił dalej Beau, sprawiając wrażenie, jakby improwizował. - Myślą o nas; czekają, aż sobie przypomnimy i zwrócimy się w stronę domu. Być może nawet przesyłają wiadomości, które słyszy ciało astralne.

- Pograżone we śnie.

- To właśnie stanowi wiadomość - oświadczył Beau. - Obudź się.

Nieduży sportowy samochód wyjechał zza rogu na końcu Mapie Street i zbliżał się do domu Beau.

- Ale poza wszystkimi tymi gwiazdami - ciągnął Beau - w tej historii jest Bóg. I nie ma znaczenia, jak daleko podróżujemy z powrotem, nie dotrzemy do domu, dopóki nie dotrzemy do Boga. Czyli miejsca, z którego wyruszyliśmy.

Samochód najpierw przemknął obok trawnika, na którym siedzieli Beau i Pierce, a po chwili zatrzymał się gwałtownie. Od strony pasażera wysiadło dwu-, trzyletnie dziecko, które podbiegło do Beau, już wyciągając ku niemu przywiezioną ze sobą lalkę i wołając go po imieniu. Słońce w złotych włosach dziewczynki, jasne oczy promieniujące szczęściem: zrobiła na Piersie wrażenie wyjątkowo ślicznej. Po niej, gramoląc się z anatomicznego fotela owego miniaturowego samochodziku, wynurzył się ciemny i korpulentny mężczyzna, który zawołał za dzieckiem:

- Sam!

- Cześć, Sam. Cześć, Mike - odezwał się łagodnym tonem Beau, decydując się nie wstawać z nasłonecznionego pieńka, na którym siedział.

- Cześć - mruknął ów ponurak, Mike, który zdawał się przybity myślą bądź troską. - Przyjedzie po nią matka. Hej, pa, pa, Sam. - Zabrzmiało to trochę jak wyrzut w stosunku do dziecka, które wdrapywało się z mozołem na kolana Beau. Dziewczynka na powrót zeszła na dół i posłusznie pobiegła do ojca po buziaka; kiedy go dostała, niepewne spojrzenie jej ojca spoczęło na Piersie, który obojętnie skinął głową.

- Pa, pa, Sam. Mama później przyjedzie po ciebie.

- Później - zawtórowała dziewczynka. Teraz z czerwonego auta wysiadła smukła kobieta o gęstych, ciemnych włosach; zabrała się za składanie jego płóciennego dachu. Pierwszy dość ciepły dzień roku.

Jej spojrzenie - również obojętne - na chwilę ogarnęło z ukosa trawnik, dziecko, Mike'a, Beau, Pierce'a.

Jej partner odwrócił się od małej i pospieszył ku miejscu, gdzie zmagala się z autem; ostatecznie może wcale nie był to kabriolet.

- Nazywa się - odważył się spytać Pierce - Mike Mucho?

- Aha - mruknął Beau.

Mike ostro zabrał się za ów niesforny dach, ona zaś ustąpiła mu. Jej spojrzenie ponownie przewędrowało po Piersie, nie okazując rozpoznania.

Niech mnie diabli wezmą, jeśli nie wygląda identycznie, jak tamta kobieta z biblioteki. Ryder? Ryder. To ona, żeby nie wiem co. Jego dezorientacja była zrozumiała, a nawet więcej, była bez mała konieczna.

- Nazywa się Rosie - powiedział do Beau, gdy zarzucając swymi ciemnymi włosami odwróciła się i wcisnęła zgrabnie na fotel kierowcy.

- Właściwie to Rose - odparł Beau.

Samochodzik, teraz odkryty, wyrwał z miejsca, ramię Mike'a Mucho zarzucone było władcym gestem wokół siedzenia żony. Najwidoczniej wciąż byli w dobrej komitywie.

- No więc nie jesteś stąd - podjął Beau, fachowym ruchem biorąc Sam na rękę. - Tylko ci się zdaje. Nigdy nie jesteś w stanie stwierdzić „To jest moje miejsce”. Możesz co najwyżej uznać „Jest podobne”. Ten dzień, to miejsce. To przypomina miejsce, z którego pochodzę.

Gdyby tak było (Pierce zaś ani trochę w to nie wierzył, wiedział, jakie herezje są tu wygłaszane, a teraz wiedział też, kim jest Beau), musiałby powiedzieć tak: „Jest podobne, b a r d z o, przypomina miejsce, z którego pochodzę”.

- Wejdz do środka - zaprosił go Beau. - Napijemy się herbaty.

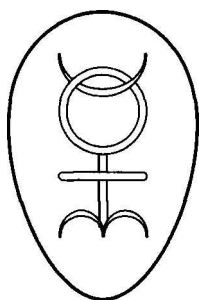
- Nie, dziękuję - odmówił Pierce. - Muszę wracać do książek. - Dziecko na ramionach Beau, niesione do domu, spojrzało za siebie, najpierw w lewo, a następnie w prawo, by ze szczerzej ciekawości rzucić okiem na Pierce'a. I skąd ona miała takie złote pukle?

Wyłożone razem na łóżku Pierce'a, ułożone równo w dwa rzędy po dwa, cztery tomy zebranych studiów historycznych Franka Walkera Barra ukazywały mu cały obraz, który został przecięty na cztery części i wykorzystany na okładkach. Acz co przedstawiał, można było jedynie zgadywać: tu jakiś mężczyzna przemawiał przed liktorami; tam odziany w szmaty żebrak zbliżył się do antycznej świątyni; ciemne miltonowskie istoty o skrzydłach nietoperzy odleciały; wzlot aniołów, a w każdym razie smukłych i nobliwych dam - spowite w zwiewne szaty i wyposażone w ciężkie skrzydła o barwie gołębiej szarości, pięły się *en masse* ku mrokowi centralnej części obrazu, w której stykały się cztery rogi tomów.

Wydawnictwo Kogucik. „Jego” wydawca. Miał nadzieję, że projektant, który dokonał tego dzieła, zechce wziąć pod uwagę i jego książkę, o ile kiedykolwiek zostanie ukończona i faktycznie doczeka się publikacji. Jeśli w ogóle.

Zebrał je, materię Czasu, i wepchnął na półkę, która biegła wzdłuż znajdującej się po jego lewej stronie ściany; postępując schylił się do kolejnego pełnego książek pudła i dużym składanym nożem przeciął taśmę, która je oklejała. Postępując, ponieważ plecy oraz kończyny wciąż miał obolałe od niecodziennego ćwiczenia, jakim było przesuwanie mebli, następnie wnoszenie po schodach pudeł, a dalej drewna na półki, jakie zamontował wzdłuż ścian głównego pokoju swojego mieszkania, który jednocześnie miał pełnić funkcję biblioteki, sypialni i pracowni. Liczył, że przy półkach pomoże mu Spofford, ale nie zdołał go złapać, toteż wykonał je sam, szybko, gniewnie i nieudolnie. A przy tym stało się jasne, że nie starczy na nich miejsca na wszystkie te woluminy.

Nabrał dwie wielkie garście, przyglądając się ich grzbietom. Jego książki trafiły do pudeł na podstawie rozmiarów, nie treści, a te wszystkie były małe, pośród nich książka kucharska w miękkiej oprawie, kilka starych kieszonkowych słowników, mszalik z czasów dzieciństwa (*Nasz mszał niedzielny*) oraz maleńka Biblia, kilka tomów Shakespeare'a w wydaniu Yale, a także *Monas hieroglyphica* Johna Dee. Wszystkie upchnął naprędce na półce, zostawiając jedynie Dee, żeby pasował do innych książek o podobnym charakterze na ścianie po lewej: mały, cienki, oprawiony na czerwono tomik z wytłoczonym na okładce znakiem monady, który pojawiał się raz jeszcze na karcie tytułowej, skopiowany w tym tanim wydaniu z pochodzącego z 1564 roku oryginału:



W swojej książce będzie musiał zrobić coś z tym znakiem - opisać, skąd się wziął, oraz wyjaśnić wielkie nadzieje, jakie wiązał z nim doktor Dee, a także jego późniejszą obecność w historii Egiptu. A przy tym będzie musiał spróbować objaśnić go oraz moc, jaką zdawał się ongiś reprezentować - geometryczne połączenie bądź uniwersalny pleciony pierścień, stworzony z kilku różnych znaków żywiołów, planet, symboli matematycznych; pieczęć milczenia lub obietnicę objawienia.

Aby tego dokonać, rzecz jasna, będzie musiał sam go zrozumieć i poczuć jego moc; a tego na razie nie potrafił. Nie był w tym odosobniony; uczone, który przełożył tę książeczkę, sam poczuł się zmuszony wprowadzić do hermetycznej i gnomicznej łaciny Dee pewne przypuszczenia co do jego znaczenia:

Wszyscy zmuszeni będą uznać to za [pewien] niezmiernie rzadki [przypadek], że [dla wiecznej ludzkiej pamięci] to [dzieło] jest zapieczętowane moją londyńską pieczęcią Hermesa, toteż nie może być w nim choćby jednej zbytecznej kropki, i że niejedna kropka może chcieć [w nim] wyrazić owe

rzeczy, któreśmy powiedzieli (jako i rzeczy nieporównanie większe).

Przewrócił stronę. Ostrzeżenie: niektórzy mogą zgubić się w „labiryncie” myśli Dee, „torturować swe umysły na niewiarygodne sposoby [i] zaniedbać swe codzienne sprawy”; inni „oszuści oraz zwykle ludzkie zjawy” będą nieroztropnie przeczyć zawartym tu prawdom. Hm.

Miło by było mieć w swojej książce podobną barokową kartę tytułową: rycinę portalu zarazem poważnego i groteskowego, o filarach, nadprożach i postumentach oznaczonych i emblematycznych, Ziemia, Powietrze, Ogień, Woda, cytatach po łacinie i grecku na wywijanych proporcach, z Merkurym o skrzydlatym kapeluszu i stopach, z palcem na ustach. Ponad dedykacją (cesarzowi Maksymilianowi) było motto:

Qui non intellegit, aut taceat aut discat

- Co właściwie oznacza, chwileczkę,

Niech ten, który nie rozumie [tego], zachowa milczenie [o tym], bądź się dowie.

No dobrze, a do której grupy on się zalicza? Niewykluczone, rzecz jasna, że mógł należeć do obu: zarówno głupiec, jak i oszust,

który niczego nie wie, niczego nie mówi. Zamknął *Monas hieroglyphica* i wsunął ją pomiędzy inne książki, z którymi miał tu obcować, jego Źródła Wtórne: z Brunem Krafta, z czterema opasłymi tomami Barra, z sześcioma jeszcze bardziej opasłymi woluminami Thorndike'a, starym podręcznikiem do astronomii Earla, słownikiem Lewisa i Shorta oraz słownikiem aniołów; z wieloma innymi, w których logice skojarzeń na półce po lewej w tej chwili jedynie Pierce potrafił się rozeznac. Niech inni się dowiedzą bądź milczą.

A czy on miał ją komu zadedykować? Nie miał, acz w owej chwili po raz pierwszy przyszło mu na myśl, jak unikalny dar stanowiła podobna dedykacja: tak dalece bogaty i pochlebny, tak niekosztowny.

Tym, co jego książka mogła by, posiadać (pomyślał, cofając się ze skrzyżowanymi ramionami, uważając na grzbiety swojego zbioru, którego niektóre pozycje znajdowały się do góry nogami), była jakaś nota odautorska.

Tak. NOTA ODAUTORSKA: *Znacznie bardziej niż większość książek, niniejsza książka, nie, Niniejsza książka, znacznie bardziej niż większość książek, skonstruowana jest z innych tekstów, jej twórca pragnie potwierdzić. Z których ogromnych i prawdziwych osiągnięć naukowych, z których śmiałych spekulacji, z których. Niniejsza fantazja z ich tematów.*

Może również przeprosiny z góry za to, do jakich celów zamierzał je wykorzystać, oraz towarzystwo, jakie miał zamiar im zapewnić.

Odwrócił się i otworzył kolejne pudło. To, pełne było wielkich tomisk: ogromny słownik i wielki album z zegarami, kilka tomów *Britanniki* z 1939 roku, którą odziedziczył po śmierci Sama, okazały Shakespeare i wielka Biblia.

Ta ostatnia (Douai), ciężka w dłoniach, wzbudziła w nim pokusę, by powróżyć.

Położył ją na łóżku, otworzył, schwycił większą ilość tekstu, po czym z zamkniętymi oczyma przerzucił strony. Zatrzymał się. Wciąż nie otwierając oczu, położył palec na tekście, po czym zerknął nań ostrożnie. Izajasz.

O tak, z weselem wyjdziecie i w pokoju was przyprowadzą. Góry i pagórki przed wami podniosą radosne okrzyki, a wszystkie drzewa polne klaskać będą w dłonie³⁶.

³⁶ Iz 55,12

Jak wszystkie książki Fellowesa Krafra, owa skromniutka autobiografia, którą Boney dał Rosie, posiadała motto. Pochodziło ze *Straconych zachodów miłości*:

Witaj gorzka czaro pomyślności!

Strapienie znów się kiedyś rozigra; a tymczasem

*Siadaj zdrów, smutku!*³⁷

Co, po namyśle, zdawało się swego rodzaju żartem; mogło być tak, pomyślała Rosie, że w większym stopniu samo źródło było bardziej istotne niż cytat, ponieważ wielkim tematem książki Krafra było poszukiwanie Ideału Przyjaciela, zaś owo poszukiwanie pociągało za sobą rozmaite rozczarowania, zdrady, wyparcia oraz potknięcia, choć wszystkie one przedstawione były z taką subtelnością, iż Rosie poczęła się zastanawiać, czy mógł być nieświadom kształtu swej natury, czy też istotnie niewinnie poszukiwał wyłącznie przyjaciela, a to jej chodziły po głowie sprośne myśli.

O ile zachowywał powściągliwość w kwestii owego Ideału Przyjaciela, o tyle otwarcie mówił o tantiemach oraz zawodowym

³⁷ William Shakespeare, *Stracone zachody miłości*, przełożył E. Porębowicz.

pisarstwie. Podawał cały wykaz tego, ile zarobił na każdej książce, co Rosie uznała za pouczające; najwyraźniej wystarczało, żeby przeżyć, ale nie, żeby żyć dostatnio. Były też jakieś pieniądze rodzinne, acz na ich temat Kraft zachował nieco większą powściągliwość; była też Fundacja. Bez wątpienia za pieniądze z tantiem nie zdołałby nabyć domu w Stonykill ani pozwolić sobie na podróże, jakie odnotował, nieodmiennie podejmowane z nadzieją, nieodmiennie dające natchnienie za sprawą sztuki bądź architektury, na jakie natknął się po drodze, nieodmiennie też pozostawiające gorzki posmak: zapewne za sprawą Przyjaciół, pomyślała Rosie: Nikosa, Antonia, Barona, Cyrila i Helmuta. W książce umieszczone były przymglone fotografie jednego czy dwóch z owych mężczyzn, w drukowanych ramkach, podpisane imieniem, miejscem i datą; w gruncie rzeczy - z wyjątkiem pewnej radosnej i dziecinnej kobiety sprzed lat, w wielkim kapeluszu i letniej sukience, jego matki - były to jedyne ilustracje.

Nie, była jeszcze jedna: Kraft oraz dwóch innych młodzieńców na czymś w rodzaju ciężarówce, z białym i niewyraźnym bajkowym zamkiem znajdującym się daleko za nimi w dolinie. Kraft oraz owi zagadkowi ludzie mieli na sobie grube ubrania: skórzane szorty oraz swetry. Podpis pod spodem głosił: *Podczas wyprawy w Góry Olbrzymie*³⁸, 1937, co Rosie uznała za coś nadzwyczajnego. Nie trafiła w tekście na żadną wzmiankę na temat owej wyprawy, nie miała przy tym pojęcia, gdzie znajdują się Góry Olbrzymie. Może w Krainie Baśni.

³⁸ Dawna nazwa Karkonoszy, używana do 1946 roku.

Nie czytała jednak książki w żadnym ustalonym porządku. Trzymała ją na biurku (a właściwie stoliku do kart, który rozstawiła w rogu gabinetu, by móc tam pracować) i sięgała po nią od czasu do czasu, kiedy odczuwała znudzenie bądź nie wiedziała, co ma robić dalej; lektura książki bądź przeglądanie jej zdawały się na tyle związane z jej pracą, by wypełnić luki w dniu roboczym. Czytała ją pewnego poranka pod koniec maja, siedząc w fotelu Boney'ego z obutymi w tenisówki stopami skrzyżowanymi na jego biurku, choć nie był to zwykły dzień pracy, lecz sobota. Sam Boney był na trawniku, pochylony nad piłką do krokieta, z młotkiem do gry w garści. Soczyście zielona trawa, duma wiekowych ogrodników, niebieska piłka w paski i młotek. Rosie widziała go, jak trenuje, ilekroć uniosła wzrok sponad tekstu.

„Jakkolwiek je upiększamy, nasze gniazda pozostają puste”, przeczytała; pomyślała przy tym, że wie, kogo Kraft miał na myśli. „Nieuchronnie pozostaniemy samotni niczym toczące się przez rozległy trawnik piłki, które co rusz uderzają w inne i same są przez nie uderzane. Musimy żywić zadowolenie z owego uderzania, nie tracić odwagi i pogody ducha i nie zapominać tych, których kochaliśmy - nie, i modlić się o to, by w zamian pamięć o nas znalazła miejsce w ich sercach, choćby i takie, które rzadko jest odwiedzane”.

Hm. Rosie przyszło na myśl, że w dzisiejszych czasach każdy - nie, nie każdy, acz sporo znanych jej osób - żyje tak, jak dawniej żyli mężczyźni o orientacji Krafta; pośród krótkotrwałych zderzeń, niespokojnie, wśród kochanków, których nie sposób było zatrzymać

na dłużej niż przez ową chwilę, w której trzymało się ich dłoń. A co potem? Potem pamiętało się o nich i utrzymywało znajomość: przyjaciele. Być może stanowiło to jakąś lekcję bądź sugestię: jak ostatecznie nie skończyć samotnie, jeśli człowiek nie potrafił żyć inaczej.

Pozwoliła, by kremowe kartki przefrunęły jej przez palce do kilku ostatnich. Na zewnątrz, na trawniku, Boney machnął elegancko przed sobą swym młotkiem, na podobieństwo wahadła, po czym wyprostował ugięte kolana. Sam pobiegła rozanielona trawnikiem i złapała toczącą się piłkę. Boney uniosł palec; dziewczynka z piłką w dłoni uniosła nań wzrok, by go wysłuchać, po czym i tak postanowiła zabrać piłkę, popiskując przy tym z uciechy.

„W Wenecji, w kościele San Pantalon, znajduje się jedno z najbardziej nadzwyczajnych znanych mi dzieł sztuki. Jest to barokowe malowidło na suficie, wykonane w mylącej oko perspektywie przez niejakiego Fumianiego, o którym nie słyszałem w żadnym innym kontekście. Jego dzieło pokrywa całe sklepienie wraz z kasetonami, jak gdyby stanowiło ono jeden wielki obraz sztalugowy; opowiada zapewne historię owego świętego, choć nigdy nie dane mi było jej poznać. Pomimo przekonującego skoku perspektywy malowidło nie posiada niknącej w oddali jasności Tiepola, lecz halucynacyjną ciemną przejrzystość; postacie są wyraźne i starannie wymodelowane, filary, schody, trony, trójnogi oraz dym kadzidła tak rzeczywiste, że ich ogromny rozmiar i błyskawiczne oddalanie się od oczu widza przyprawia o zawrót głowy. Najbardziej nadzwyczajne ze

wszystkiego, prócz znajdującego się na środku wlotu aniołów, jest to, że całość nie zawiera żadnych oczywistych religijnych nawiązań: nie ma Matki Boskiej, Chrystusa, Boga ani Gołębicy, nie ma krzyża, aureoli, niczego. Niczego prócz owych starożytnych postaci, bardziej kojarzących się z jakąś historią niż przedstawiających konkretną jej ilustrację; rozmyślających, osądzających, żywiących nadzieję, patrzących, samotnych. Wznoszące się do góry anioły nie wlatują ku Bogu, lecz ku pustemu, zasnutemu białymi obłokami środkowi nieboskłonu.

Podobno tuż przed ukończeniem swego monumentalnego dzieła Fumiani spadł z rusztowania i zginął. Niesamowite.

Po raz pierwszy ujrzałem sklepienie San Pantalon (święty Pantalon, kościół starego głupca³⁹?) w roku 1930, kiedy bawiłem w Europie, pisząc moją pierwszą książkę, Podróż Bruna. Od tamtej pory nieraz powracałem do Wenecji, zaś sklepienie Fumianiego należało do tych atrakcji, które mnie tam przyciągały. Gdybym mógł - gdybym nie czuł, że ów stary waterman, którego trzymam w dłoni, już się wyczerpuje - spróbowałbym napisać jeszcze jedną książkę, taką jak owo sklepienie; książkę złożoną z grup niejednoznacznych, lecz jasnych, wielkich samotności, które patrzą na siebie i odwracają od siebie wzrok; książkę poważną i tajemniczo pogodną, radosną w swej wymowie, tak jak radosne jest to sklepienie w owej wielkiej przewrotności swej perspektywy; książkę pustą i nieskończoną w swym wnętrzu. Książkę, która zamknęłaby krąg mego życia, tak jak Bruno go otworzył; książkę, której, umierając, nie ukończyłbym”.

³⁹ Chodzi o Pantalona, postać z komedii dell'arte

Włoski uniosły się Rosie na karku. Choć w zasadzie wiedziała, że owe wzniosłe myśli było nieco przedwczesne, jako że po niniejszych wspomnieniach napisał przynajmniej jeszcze jedną całą książkę. Czy była nią *Pod znakiem Saturna*? Czy *Ciemna równina*? Przeczytała ją i jakoś nie wydała jej się ewidentnie odmienna od pozostałych; ot, jeszcze jedna. Doszła do wniosku, że wspomnienia mogły zostać napisane bardziej pod wpływem początków starości niż w cieniu śmierci.

Najwidoczniej jednak nigdy nie zdołał znaleźć Idealnego Przyjaciela. Starania miłości zostały zatem stracone.

Odłożyła książkę i zdjęła nogi z biurka. Nie był to wprawdzie dzień roboczy, ale miała sporo rzeczy do zrobienia, był to bowiem pierwszy dzień letniego okolicznościowego turnieju krokieta, inauguracja sezonu, pierwszorzędne wydarzenie towarzyskie, które miało się odbywać tu, w Arkadii, na rozciągającym się za gabinetem trawniku.

Nie wszyscy najprzedniejsi zawodnicy przybędą; jedni należeli do letników, którzy nie pootwierali jeszcze swych domków, inni zajmowali się swoimi pomidorami. Przypuszczała, że zjawi się Beau i inni. Zaproszony został Allan Butterman. Miała nadzieję, że pojawi się również Spofford, którego oficjalnie nie widziała od jakiegoś czasu; miał pewien plan (wyjawił), o którym chciałby porozmawiać z nią i Boneyem

Plan. Zawiązała mocniej sznurowadła swoich tenisówek i, choć był przekonana, że w zasadzie nie jest to najwłaściwszy postępek,

otworzyła smukłe skrzydło okienne i przeszła przez parapet wprost na trawnik, wołając córkę na lunch.

Od swego przyjazdu Pierce również nie widywał zbyt często Spofforda, który o tej porze roku był zapracowany w swej posiadłości i nie miał zbyt wielu powodów, by przyjeżdżać do Jambs. Mimo to Pierce radził sobie sam, mając już świadomość faktu, że jako nowy członek lokalnej społeczności stanowi niejaki obiekt zainteresowania.

Był w dobrej komitywie z Beau oraz kobietami z jego domu, u niego zaś poznał między innymi Val; co więcej, zdawało się prawdopodobne, iż wkrótce w tym małym miasteczku posiadzie szerszy krąg znajomych niż ten, jaki posiadał w wielkim mieście, w którym ostatecznie stał się kimś w rodzaju odludka, a z którego i tak większość osób, na których mu zależało, uciekła jedna po drugiej, jak koniec końców on sam.

Jak on sam. W sobotę siedział w głębokim fotelu przy otwartym oknie, chłonąc zapach bzu (wielki stary krzak ciążył płotowi z patyków i drutu, który oddzielał jego ogródek od sąsiedzkich) i słysząc ptaki. Czekał, aż zjawi się tu Val: wybierał się bowiem z nią i Beau pograć w krokieta. I uzupełniał zapiski w swoim notatniku.

„Upór, z jakim trwa w tej okolicy myślenie magiczne, jest zdumiewający” - zapisał. „Mój sąsiad, Beau, wyjaśniał mi wczoraj wszystko na temat różnych planetarnych temperamentów, jakimi ludzie mogą dysponować: merkuryczny, jowialny, saturnowy,

marsowy itd⁴⁰. Oraz to, w jaki sposób można przyciągać pozytywne planetarne wpływy, by neutralizować negatywne. Talizmany. Pieczęcie. Nie czerpie tego wszystkiego z żadnych opracowań naukowych, z żadnych starodawnych ksiąg; po prostu jest mu to dane. Niemniej jednak są to te same receptury, jakie opracował dla siebie 500 lat temu Marsilio Ficino. Jak to możliwe?”.

Wziął ołówek w zęby niczym piracki sztylet i nie bez wysiłku podniósł się; podszedł do znajdującej się po lewej półki, pogrzebał pośród książek, znalazł tę, której szukał, i przekartkował ją, wracając z powrotem na fotel.

„Val” - zapisał - „jest naszym astrologiem, a przy tym najwyraźniej niezmiernie ważną tu osobistością, jak medyk astrolog bądź kobieta znachorka, jaką można było znaleźć w każdej elżbietańskiej wiosce. Któregoś dnia wyjaśniała w Pączkowej Dziurce cechy, czy też treści, dwunastu domów horoskopu. Spytałem ją, jak trafiła na opisy, którymi się posługuje; nie potrafiła tego wyjaśnić; studiowała, odparła, ale tym, co studiowała, wydają się głównie czasopisma; a ponadto myślała i czuła - to doświadczenie, twierdzi, w większym stopniu niż cokolwiek innego; warto jednak zwrócić uwagę, jak dalece jej opisy odpowiadają tym, jakie Robert Fludd podaje w swojej astrologii z około 1620 roku”.

Wsparł otwartą książkę na poręczu fotela, by móc z niej cytować.

⁴⁰ W oryginale są to: „mercurial, jovial, saturnine, martial”, słowa, które nie tylko odnoszą się w pisowni i wymowie do nazw planet, ale również posiadają realne znaczenie. I tak „mercurial” to „zmienny, nieprzewidywalny” lub „bystry, żywy”, „jovial” to, jak w polskim, „jowialny”, „saturnine” - „posepny, ponury”, „martial” - nie jak w polskim „marsowy”, lecz „wojskowy, żołnierski”.

„Według Val *Vita* to życie, psychologiczny i fizyczny charakter. Fludd pisze: życie, osobowość, wygląd i dzieciństwo. *Lucrum* to, w ujęciu Val, dobytek, pieniądze, praca; u Fludda dobra materialne, bogactwa i dom (ale Val dodaje, że to również początki; pierwsze kroki; to, co robi się z tym, co otrzymuje się w *Vita*). *Fratres*, zdaniem Val, to nie tylko bracia i siostry, dotyczy ono również związków rodzinnych i wszelkiego rodzaju komunikacji; co więcej, to również przyjaźń: twój rzeczywisty krąg. Fludd pisze” - zgubił odnośny fragment i musiał go odszukać - „bracia i siostry, przyjaźń, wiara i religia oraz wyjazdy”.

No cóż, może nie są tak identyczne, jak to sobie wyobrażał. Jakim sposobem wyjazdy trafiły do *Fratres*? Znajdujący się dalej na liście dziewiąty dom, *Pietas*, w opisie Fludda zawierał „podróż”. Czy istniała jakaś różnica między „wyjazdami” a „podróżami”? *Mors*, dom ósmy, wyjaśniła Val, to nie tylko śmierć, to osiągnięcie szerszej perspektywy na życie, perspektywy kosmicznej. Fludd pisał: „Śmierć, praca, smutek, odziedziczone choroby, ostatni rok”. Ogólnie rzecz biorąc, opisy Val w zasadzie ładniejsze niż te pochodzące od owego siedemnastowiecznego maga, bardziej melioratywne, zawsze ujmowały trudności i przeszkody jako rozwój i wysiłek na wyższej płaszczyźnie.

Ale czemu właściwie domy zawierały w sobie takie a nie inne cechy? I dlaczego w takiej właśnie kolejności? Val potrafiła wyjaśnić je jako pewien układ, postępujący rozwój od dzieciństwa oraz osobistych niepokojów poprzez przystosowanie do życia w

społeczeństwie i rodzinie ku świadomości kosmicznej, opowieść w dwunastu rozdziałach: ale tak naprawdę Pierce nie o to pytał. Każde dwanaście pojęć ułożone w dowolnej kolejności można by zapewne zinterpretować w sposób zadowalający, zwłaszcza tak ezoterycznie i anagogenicznie; ale to ich nie objaśniało. Przedstawił to Val w Pączkowej Dziurce w ten sposób: Czemu śmierć przychodzi na ósmym miejscu, a nie na ostatnim? Czemu na ósmym, a nie na siódmym albo dziewiątym? Czy rzeczywiście *Lucrum* zasługuje na swoje miejsce bezpośrednio po *Vita*? I czemu cała dwunastka kończy się nie najwspanialszym rozkwitem bądź najmroczniejszą ostatecznością, ale *Carcer*, więzieniem?

Beau Brachman siedział z nikłym uśmiechem rozbawienia, przysłuchując się ich dyskusji, jak gdyby wiedział swoje i zachowywał milczenie, podczas gdy Pierce zadawał pytania, a Val przedstawiała pojęcia, zaśmiewając się z własnej niezręczności w logicznym rozumowaniu.

- *Carcer* - oświadczyła - smutek, rozumiesz? A do tego strach i ograniczenie; ale to także jednostkowy los i dochodzenie do ujrzenia tego.

- Ujrzenia czego?

- Że twój jednostkowy los tym razem jest czymś, co musisz porzucić i z niego wyjść, w śmierci, i powrócić na łono wszechświata. To jest rozumienie, tego. - Łypnęła na Beau. - Zgadza się? - Tamten jednak nie odezwał się, a jedynie uśmiechał. Pierce począł nabierać przekonania, że ten uśmiech to po prostu kształt jego ust, łuk

zgrabnych warg satyra, lecz w najmniejszym stopniu nie ma go w oczach ani myślach.

A co mówił Fludd na temat ostatniego ze wszystkich domów? „Utajeni wrogowie, oszuści, osoby zazdrosne, nikczemne myśli, wielkie zwierzęta”.

Wielkie zwierzęta?

Pierce doznał nagłego olśnienia. Rozwarło się w jego umyśle niczym kwiatowy pąk i z miejsca poczęło rozchyłać płatki, otwierać się jak kwiat w fotografii poklatkowej filmu przyrodniczego, nawet wówczas, gdy szukał po omacku ołówka, który uprzednio odłożył.

„Uporządkować książkę według dwunastu domów - zapisał - każdy z nich jako jeden rozdział bądź segment. W którymś miejscu opowiedzieć historię tego, skąd wzięło się owo 12 domów, w jaki sposób wraz z upływem czasu zmieniały znaczenie, ale zachować to na później, pozwolić, by czytelnik zastanawiał się, *Vita? Lucrum?* O co tu chodzi, etc”.

Usłyszał, jak na dole otwierają się drzwi, jego drzwi frontowe.

„W *Vita* opowiedzieć, w jaki sposób rozpoczęłeś to dochodzenie. Barr. Dzieciństwo. I tak dalej”.

- Hej, przystojniaku - dobiegł od podnóża schodów chrapliwy głos Val.

- W porządku. Idę. - Ołówek zawisł nad stroną. *Lucrum*, hm. Ale *Fratres*, towarzystwo myślicieli, historyków, magów wówczas i teraz. I podróż Bruna.

Wstał, odkładając dziennik, lecz nadal pisząc.

Mors, trzy czwarte całości, to moment, w którym spłonie Bruno. Ale potem jego dziedzictwo - *Ægipt*, nieskończoność - rozrastające się przez *Pietas*, *Regnum*, *Benefacta*.

Carcer na końcu. *Carcer*. Dziewięć lat Bruna w celi wielkości Pierce'owej łazienki. Dziewięć lat na wyrzeczenie się swoich poglądów, czego nigdy nie uczynił.

Czemu u kresu wtrąceni jesteśmy do więzienia?

Ze stukotem pokonał kilka schodków, zawrócił, by złapać swój tytoń, zapalki, okulary przeciwsłoneczne, które kupił zeszłego lata w Fair Prospect. Wyszedł z mieszkania i ponownie ruszył w dół ku miejscu, w którym, wzięwszy się pod boki, czekała nań z udawaną niecierpliwością Val. Nie zamknął za sobą drzwi na klucz, nie robił tego, odkąd przybył do tego miasteczka; jakimś sposobem z miejsca zerwał z dziesięcioleciem miejskich nawyków, jak gdyby w ogóle tam nie mieszkał i nigdy nie miał już do nich powrócić.

Niektóre z partii letniego turnieju krokieta, rozgrywanego na północy na położonych na tyłach domów wiejskich boiskach, skalistych, pełnych pniaków i zgubionych zabawek, wytworzyły wyjątkowy charakter oraz własne zasady; coś w rodzaju Krokieta z Przeszkodami, w którym niektórzy gracze osiągnęli sporą zręczność, a pośród nich Spofford. Lecz na przypominającym stół bilardowy terenie Arkadii w krokieta grywano wedle surowszych geometrii; uczestnicy zazwyczaj rekrutowali się z osób starszych, zaś młodszy gracze byli nieco onieśmieleni za sprawą bieli, jaką przywdziała drużyna Boney'ego,

dzbanka lemoniady pani Pisky oraz srebrnej tacy z kruchymi ciasteczkami. Pierce, gramoląc się z garbusa Val i widząc, że za krzewami róży trwa już runda rozgrzewkowa, spodziewał się bez mała, że wręczą mu flaminga, którym toczyć będzie jeże przez bramki z wygiętych kart do gry⁴¹.

Rosie Rasmussen spostrzegła, jak wraz z Beau i Val idzie trawnikiem, wielki brzydki mężczyzna w trykotowej koszuli, z osobliwą subtelnością trzymający małe niedopałek papierosa. Wiedziała, kim jest, opisali go jej bowiem Spofford i Val, ale nie miała jeszcze okazji poznać go, owego nowego mężczyzny w okolicy.

Pierce zaś dostrzegł ją, jak ustawiła się w pozycji z młotkiem, dłonią wskazując jemu, Beau i Val otaczający ją trawnik, kwiaty i dzień; smukła, pogodna osoba o kręconej czuprynie rudych włosów, dość wyraźnych, bez mała końskich rysach, dzięki którym na długo zachowa całkiem ładny wygląd. Acz nie w jego typie. Zrzuciła sobie na ramię młotek i ruszyła trawnikiem ku niemu. Od strony ubranych w biel graczy przy słupku dobiegł nagły wybuch jęków zawodu i śmiechu; Val zaśmiała się wesoło; Rosie i Pierce uścisnęli sobie dłonie.

- Cześć, jestem Rosie Rasmussen.

- Pierce Moffett.

- Właśnie - dodała, jak gdyby poprawnie odgadł. - Witamy w Faraways.

⁴¹ Odniesienie do sceny gry w krokieta z *Alicji w Krainie Czarów* Lewisa Carrolla

Val wykrzyknęła powitanie tym, których znała, i poczęła prędko opowiadać szeptem ich historie znajdującemu się obok niej Beau. Rosie wskazała boisko do krokieta.

- Umiesz w to grać? - spytała.

- Nigdy nie próbowałem - przyznał Pierce. - No, raz czy dwa. Nie jestem nawet pewien zasad.

- Pokażę ci - zaproponowała Rosie. - Nic prostszego. - Ruszyli w tamtym kierunku. Pierce spojrzał ku szarym szczytom Arkadii, jej piernikowym głębokim okapom oraz szerokiej werandzie, z którą harmonizowały wiklinowe meble. Wiedział, że istnieje wiele starych domów podobnych rozmiarów i w przybliżonym wieku, osadzonych na wzgórzach i w dolinach Faraways, letniskowych posiadłości z przełomu wieków, skromnych wówczas, bajecznych dziś. Podczas jazdy zeszłego lata Spofford wskazał w którymś miejscu drogę wiodącą ku wielkiej posiadłości, której, jak wyjaśnił, właścicielem jest wuj Rosie. W którymś miejscu. Pierce przypuszczał, że w końcu miejscowa geografia zacznie mu się układać. w głowie jak należy, jej bramki i słupki oraz ścieżki, które pomiędzy nimi prowadzą.

- Czyli to Spofford nakłonił cię do przyjazdu tutaj, tak? - spytała Rosie.

- Poniekąd - odparł Pierce. - W dużym stopniu. I szczęście. Znasz Spofforda?

- Bardzo dobrze - przyznała, uśmiechając się i spuszczając wzrok na piłkę, którą wbijała na miejsce. - Jak ci się tu podoba?

Pierce, z majową aurą we włosach i na koszuli, a przy tym z widokiem na żółtawo-zielone wzgórza, zmieniające kształty chmury, zastanawiał się, jak odpowiedzieć.

- Coś ci powiem - zaczął. - Gdybym miał trzy życzenia, jakiegokolwiek, uznałbym, że jedno z nich zostało już spełnione przez fakt, że się tu znalazłem, że wyjechałem z miasta.

Rosie roześmiała się w odpowiedzi na ową zabawną ekstrawagancję.

- No cóż, zostają ci jeszcze dwa.

- Co do nich - wyjaśnił Pierce - wiem, jak je wykorzystać.

- Na pewno?

- Ależ oczywiście. - Pokrótce zarysował jej swoje teorie oraz wnioski w kwestii wypowiedzania życzeń, przygotowań, jakie poczynił, pułapek, jakie przewidział.

- Rany, wszystko obmyśliłeś - rzuciła z podziwem Rosie.

- Jasne - przyznał Pierce. - Trzeba być przygotowanym.

- A czemu uważasz, że trzeba być przygotowanym? To znaczy, co masz zamiar zrobić, żeby otrzymać te życzenia?

- Nie jestem pewien, czy cokolwiek trzeba robić - wyjaśnił Pierce. - Nie zasługuje się na nie. Po prostu się je otrzymuje. Kupujesz starą lampę na bazarowym straganie. Twoja wędka chwytła zaklętą rybę.

- Naprawdę?

- Jasne. To znaczy szanse są znikome, przyznaję, ale mimo wszystko, czemu nie zadać sobie trudu i nie przygotować się? Tak

samo jak w przypadku tych czasopism, do których ludzie wysyłają kupony z zakładami, mimo że prawdopodobieństwo wynosi jeden na milion.

- Nigdy ich nie wysyłam - stwierdziła Rosie.

- No cóż, właściwie to ja też nie - przyznał Pierce. Jego twarz wykrzywiła się w kilku miejscach w szerokim asymetrycznym uśmiechu. Rosie roześmiała się, zdumiona nieco jego zabawną niesamowitą powagą. Ile on może mieć lat, trzydzieści, czterdzieści? Duże dłonie, zauważyła; duże stopy.

- Dobra, zaczynasz od słupka - powiedziała, wskazując mu go. - Jakim kolorem chcesz grać?

- Bez różnicy.

- Spofford powiedział, że piszesz książkę.

- Mam zamiar spróbować.

- Płacą ci za to?

- Niedużo. Trochę.

- Ej, to w porządku. O czym?

Pierce prędko przewertował owe opisy, jakie trzymał w głowie w odpowiednich wersjach dla różnych słuchaczy.

- O magii i historii - zaczął. - O magii i historii, a przy tym o historii magii i o magach.

- Ojej, ciekawe. O jakim okresie?

- W zasadzie o Renesansie i czasach nieco późniejszych. O czasach Shakespeare'a.

- I o magach z tamtej epoki, co? - rzuciła Rosie. - Jak John Dee?

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Zgadza się - przyznał. - Między innymi. Jak to możliwe, że znasz to nazwisko?

- Czytałam o nim w jednej powieści. Jesteś historykiem?

- Prowadziłem zajęcia z historii - wyznał Pierce, nie mając ochoty określać się tak wielkim słowem. - Jaka to była powieść?

- Rzecz jasna historyczna - odparła Rosie, śmiejąc się z oczywistości tego faktu. - Autorstwa Fellowesa Krafra. Kiedyś mieszkał w tej okolicy i pisywał tego typu powieści.

Na twarzy Pierce'a począł objawiać się wyraz zrozumienia, głębokiego zrozumienia, głębszego niż jedynie jej znajomość źródła jej wiedzy na temat Johna Dee. Rosie raptem przypomniała sobie, że podczas ostatniej wizyty w bibliotece rzucił jej się w oczy ktoś podobny do niego.

- Tak, nasz miejscowy słynny pisarz. Jego dom znajduje się w Stonykill.

- I co ty na to... - mruknął Pierce.

- Słyszałeś o nim? Nie był jakoś szczególnie sławny.

- Zdaje się, że czytałem większość jego książek. Kiedyś, dawno temu.

- Naprawdę? - zdumiała się Rosie, spoglądając na Pierce'a i doświadczając uczucia, które bardzo przypominało to, jakie towarzyszy stworzeniu w wyobraźni obrazu: uczucie wielu rzeczy łączących się ze sobą, które okazują się możliwe do przekazania na

jednym płótnie. - Czy istnieje jakieś prawdopodobieństwo - spytała - że szukasz pracy? Mam na myśli coś tymczasowego na pół etatu?

- Ja... - bąknął Pierce.

- I naprawdę byłeś wykładowcą akademickim? Prowadziłeś zajęcia ze studentami?

Podał jej skrócony życiorys.

- Posłuchaj - powiedziała. - Zaczekaj tutaj, dobrze? Sekundkę.

Oświadczył, że donikąd się nie spieszy. Patrzył, jak Rosie powoli idzie zamyślona przez trawnik i niemal przystaje, jeszcze głębiej pogrążona w myślach; i wówczas, powziąwszy decyzję, zdążyła szybkim krokiem ku grupce ubranych na białą graczy.

Spróbował kilku uderzeń, żeby nabrać wprawy, po czym wsparł się na swoim młotku, pełen życia w środku dnia. Teraz owe żółte kwiaty, które dopiero co rozwijały się z pąków, kiedy przybył do Faraways, zniknęły; tam, przy podjeździe, krzak, na którym rosły, miał na sobie tylko liście, wokół pnia zaś cienką warstwę opadłych płatków. Następne w kolejności były kwiatki bzu, białe i fioletowe - one również opadały; zaś pąki róż były ciężkie. A wszystko to należało do niego, wszystko, owo kwitnienie, po raz pierwszy od wielu lat nie uchodziło jego uwadze, po raz pierwszy odkąd? Przynajmniej od czasów wychuchanych zabudowań i krużganków Noate.

Jego okolica, a przy tym Fellowesa Krafta: a jeśli stanowiło to jakiegoś rodzaju omen, musiał uznać go za dobry, choć nie przywykł jeszcze do postrzegania swojego życia w podobnych kategoriach.

Wszystkim, co jak dotąd odczuwał, było ciepło prostej radości, a wszystkim, czego był pewien, zdumienie.

Praca. Dostrzegł, że Rosie idzie z powrotem ku niemu szybkim krokiem i z promiennym obliczem.

- Boney uważa, że to naprawdę świetny pomysł - obwieściła, chwytając go za ramię - i na pewno będziesz z tego ogromnie zadowolony, więc chodź zapoznać się z nim.

- Boney?

- Boney Rasmussen. Do którego należy ten dom.

- Twój ojciec.

- Mój wuj.

- Aha. - Zamożni wujowie pewnie byli tu na porządku dziennym, jak w starej powieści. - A praca?

- Posłuchaj - powiedziała. - Chciałabym, żebyś najpierw wyświadczył mi pewną przysługę. W sprawie Fellowesa Krafta. Będzie się to wiązało z pracą, jestem pewna.

- Aha. - Poprowadziła go ku wążemu, przygarbionemu i jak się zdawało, bardzo staremu mężczyźnie, który odpoczywał wsparty na swoim młotku, popijając lemoniadę.

- Mówię ci, to naprawdę szczęście, żeśmy na ciebie trafili - stwierdziła Rosie.

- Doprawdy? - Znajdujący się w oddali starszy pan wznosił dłoń w geście pozdrowienia, Pierce zaś odpowiedział mu tym samym, podążając aksamitnym trawnikiem, a równocześnie czując, że przekracza próg niewidzialnego portalu: portalu, zza którego nie

będzie już powrotu. Nie wiedział dlaczego ani z jakiego powodu, lecz wiedział, że tak jest, albowiem było to uczucie, którego już wcześniej doznał.

Kiedy Rosie ujrzała go po raz pierwszy, w marcowym wietrze i deszczu, odstręczył ją; był niczym dom pustelnika bądź czarodzieja, samotnie wznosił się na zalesionym pagórku na końcu ziemnego podjazdu, bez mała drogi na grobli, która wiała się poprzez nagie i skaliste pola. A przy tym był to jeden z owych domów, które w oczach właściwego obserwatora, o właściwej wieczornej porze, zdawały się posiadać oblicze: przysłonięte oczy z pary okien o zamkniętych okiennicach po obu stronach nosa i ust, którymi były drzwi oraz znajdujące się nad nimi półkoliste okienko, podbródek z wygiętych schodów, wąsy ze zmięzwanego drzewa balsamowego. Rosie przyszedł na myśl wers z wiersza, „*Senne królestwo śmierci*”⁴², dla którego stanowił on portiernię czy też stróżówkę. A za nim poruszały się ciemne, niedostępne sosny, wzgórza zaś wznosiły się coraz wyżej.

Kiedy jednak po raz pierwszy zobaczył go Pierce, pogoda się zmieniła i był to jedynie mały domek imitujący styl Tudorów, stiuk, cegła i drewno, jakoś mało przekonujący; okapy były głębokie, zaokrąglone niczym strzecha, ale zrobione z pokrytego papą gontu. Kominy w kolorze czerwonych róż oraz wiele kominowych nasad, okna ze szprosami, różane treliáže, wszystko to pochodziło mniej

⁴² Por. T. S. Eliot, *Wydrążeni ludzie* (przekład Czesława Miłosza).

więcej z roku 1920, a nie z 1520. Lecz znajdujące się za nim sosny wciąż były ciemne, oczy zaś nadal niewidome.

Wraz z Rosie miał wejść do środka i zobaczyć to, co się da; dokonać ogólnej oceny, czy czegoś podobnego, nie była do końca pewna, acz nie miała wątpliwości co do tego, że nie jest osobą kompetentną ani nie ma ochoty zajmować się tym sama. Była to przysługa. Posortowanie tego, co znajdują, być może skatalogowanie, zdecydowanie, które książki i przedmioty można sprzedać, o ile są tego warte - tak miała wyglądać owa praca. O ile był nią zainteresowany.

- Póki jest jeszcze widno - stwierdziła Rosie. - Tylko się rozejrzeć.

I tak pod wieczór (po zakończonej partii krokieta; Pierce, gromko oklaskany, skończył niemal na szarym końcu) wgramolili się do „bizona” z kilkoma butelkami piwa podebranych spośród przyniesionych na piknik specjałów i ruszyli w drogę; Val zawołała za nimi z ironią, Rosie pomachała, psy na tylnym siedzeniu zaszczekały triumfalnie.

- Odkładałam to i odkładałam - oznajmiła Rosie, ściskając piwo między udami. - Na pewno nie miałeś żadnych planów?

- Żadnych - odparł Pierce. Jej wielkie auto toczyło się niesamowicie drogą w dół, przeważnie zajmując połowę jezdni przeznaczoną nie tylko dla niego. - Czy zazwyczaj - spytał - nie powinno się tu mieć lusterka do patrzenia w tył? - Wskazał na

przywierające do szyby resztki kleju w miejscu, w którym brakowało lusterka.

- Przyzwyczaisz się do tego, jak to u nas jest - wyjaśniła Rosie. Uśmiechnęła się do niego z ukosa. - Myślisz, że tu zostaniesz? Co? Osiedlisz się tutaj. Może się ożenisz.

- Ha, ha - zaśmiał się. - A ty jesteś zamężna?

- Nie - odparła, co nie do końca było prawdą.

Postanowiła, że nie będzie również już więcej wspominać o Spoffordzie. Nie dlatego, że poczuła się urażona tym, iż ostatecznie nie zjawił się na krokiecie ani nie zadzwonił z wyjaśnieniami. Nie. Po prostu postanowiła tego nie robić. Bez powodu. Bez planu.

- Zdaje mi się, że to trochę smutna historia - powiedziała, kiedy przejeżdżali przez miasteczko Stonykill. - Boney mówi, że pod koniec życia prawie całkiem ogłuchł. I popadł w biedę. Szykowny był z niego facet i poniekąd nigdy całkiem się nie załamał, ale przedstawienie straciło na atrakcyjności. Tak to sobie wyobrażam.

- Hm - mruknął Pierce, przyglądając się mijanej okolicy: robotnicze miasteczko niemal do cna wyludnione, zakład przemysłowy w ruinie - pozbawione dachu ściany poprzebijane łukowatymi oknami, które wraz z gotyckimi szczegółami komina oraz wieży zegarowej sugerowały zrujnowane opactwo, również nieprzekonujące.

- Miał w zwyczaju chodzić do miasteczka po zakupy - ciągnęła Rosie, wskazując sklep spożywczy - kupować pół litra i gazety. Ze Scottym.

- Scottym?

- Z psem. - Skręciła z głównej drogi i pojechała ostro pod górę. - Najsmutniejsze było to, kiedy pies mu umarł. Prawie go to zabiło. Sądzę, że było to największe nieszczęście, jakie kiedykolwiek go dotknęło. No, może poza śmiercią jego matki, och, ojej.

Gwałtownie przycisnęła pedał hamulca ze wspomaganie, rzucając Pierce'a na deskę rozdzielczą. Wyciągając szyję, by spojrzeć pomiędzy głowy psów, które również zwały się do przodu, cofnęła auto w mgiełce żwiru pod szeroką aluminiową bramę, która, przymocowana do starych kamiennych słupków, zagradzała podjazd.

- Przegapiłam ją - wyjaśniła Rosie - ale już jesteśmy na miejscu.

Ponieważ nie znalazła klucza do kłódki, udali się do domu zapyloną ścieżką. Lecące ku sosnom wrony krakały. Srebrzysty letni wieczór, czas letni, najwyraźniej przestał zapadać i mógłby tak trwać wiecznie.

- Chcesz zobaczyć grób Scotty'ego? - spytała. - Jest z tyłu.

- Myślałem, że nigdy tu nie byłaś.

- Przyjechałam raz. Zajrzałam przez okna. Nie odważyłam się wejść do środka.

Obeszli ów spokojny i czujny dom, udając się na tył, ponieważ Rosie miała klucz do drzwi kuchennych, łukowatych, o dzielonych poziomo skrzydłach.

- Wiesz co, jestem ci za to bardzo wdzięczna - powiedziała, zmagając się z opornym zamkiem.

- Żaden kłopot - odparł Pierce. - To ciekawe. A poza tym jestem pewien, że potrafię wymyślić coś, co mogłabyś dla mnie zrobić. W ramach rewanżu.

- W każdej chwili - zadeklarowała, a klucz zaskoczył.

- Lekcje jazdy. - Nie, nie jest w jego typie. Ale przynajmniej niezamężna; przynajmniej nie jest dziewczyną jego jedyne przyjaciela w okolicy.

- Jasne - zgodziła się. - Możesz poprowadzić z powrotem.

Pchnęła na oścież drzwi, po czym weszli do zimnej kuchni.

- W porządku - odezwała się Rosie, zamknąwszy za nimi. W tej martwocie odczuła potrzebę, aby wziąć Pierce'a za rękę dla bezpieczeństwa. - W porządku.

Ze względu na długi okres zamknięcia dom tchnął wonią stęchlizny samotniczej zwierzęcej nory, a nikłe światło, które sączyło się przez okna z szybami w ołowianych ramkach, nadawało mu w większym stopniu charakteru jaskini. Mieszkał tu kawaler, kawaler, który niegdyś zwracał pilną uwagę na ład i swoje otoczenie, lecz który stopniowo począł je zaniedbywać, przyzwyczajając się z czasem do bezużyteczności i w gruncie rzeczy już jej nie dostrzegając. Meble były solidne i dobrze dobrane, lecz brudne a nawet nieco wynędzniałe, lampa sklejona taśmą klejącą, stojak na parasole przewrócony, by podtrzymać popielniczkę przy ogromnym fotelu. Zwierzę zażywało tu odpoczynku i zwijało się na nim w kłębek, wciąż widać było jego kształt; owa wyblakła ścieżka na dywanie, która wiodła z fotela do

magnavoksu⁴³ i barku była wytarta przez jego obute w pantofle stopy. Pierce poczuł się skrepowany intymnością tego miejsca.

- Książki - rzuciła Rosie.

Były wszędzie, woluminy w smukłych gablotkach, piętrzące się w stosach po kątach, na krzesłach i obok nich; otwarte książki leżały jedne na drugich - atlasy, encyklopedie, powieści w jasnych okładkach, duże lśniące albumy o sztuce. Pierce ruszył szlakiem najmniejszego oporu, który Kraft przetarł pośród książkowych toni i wysp, ku zamkniętej na kluczyk przeszklonej gablotce, w której znajdowały się kolejne tomy.

Otworzył ją, przekręcając kluczyk, który tkwił w zamku.

- Sądzę, że powinniśmy zająć się tym planowo - stwierdził. - Bardziej systematycznie.

Kilka ze znajdujących się w gablotce pozycji było starannie zapakowanych w plastikowe torebki, w jakich przechowuje się rzadkie egzemplarze; jedna z nich zdawała się zawierać arkusze średniowiecznego manuskryptu. Na przyklejonej do niej etykietce widniał napis PICATRIX.

Onieśmielony z nagła Pierce zamknął drzwiczki. Jego najcenniejsze książki.

- No dobrze - mruknęła Rosie. Jej początkowy niepokój minął; zaczęła czuć się osobiwie swojsko w tym należącym do nieznanego człowieka domu i w towarzystwie nieznanego mężczyzny. Patrząc, jak Pierce dotyka książek w gablotce, pomyślała,

⁴³ Magnavox - popularna w USA marka sprzętu audiowizualnego; firma zasłynęła z wielu pionierskich wynalazków, między innymi pierwszej na świecie gry wideo.

że przedstawiła sobie dwóch ludzi, którzy nieodwołalnie musieli zostać przyjaciółmi. - Chcesz tu na dole pomyszkować? Ja idę na górę.

- W porządku.

Przez chwilę stał samotnie w salonie. Nie wiedzieć czemu, wzdłuż całego parapetu przy głębokim fotelu widać było powypalane papierosami ślady. Cały dom zdawał się zasnuty dymem, niczym szałas Indian Mohawk. Odwrócił się. Szlak prowadził tędy, przez asymetryczne i ekscentryczne rozplanowanie domu, które wedle oczekiwań architekta miało być malownicze, do małego, zdumiewająco małego pokoiku na tyłach, którego przeznaczenie było oczywiste, a na którego progu Pierce zatrzymał się, odczuwając jeszcze większe onieśmienie niż przedtem.

Pokoik był ciasny niczym kabina pilota i równie roztropnie wyposażony. Miejsca było w sam raz na biurko, a nawet nie biurko, lecz szeroki blat, wbudowany - niezbyt dokładnie zresztą - pod wielodzielnym oknem; kilka smukłych biblioteczek wciśniętych przy oknie oraz dwie szare stalowe szafki na akta oznaczone w sposób, którego Pierce nie potrafił zrozumieć. Był tam stary elektryczny grzejnik, popielniczka na stojaku, jaką widuje się w hotelowych holach, lampka biurowa o ruchomym ramieniu, które można było wyciągnąć tak, by oświetlała znajdującego się tam czarnego remingtona.

Tam siadywał; w ciągu dnia wyglądał przez te okna. Wkładał okulary, których przez próżność nie nosił poza domem, po czym

zapalał trzynastego papierosa tego dnia i kładł go na popielniczce. Wkręcał w maszynę kartkę papieru... kartkę tego papieru: obok, w zasięgu ręki, stało pudełko z ryzą owych żółtych maszynowych kartek, których używał do wczesnych szkiców. Sfinks. Pierce otworzył pudełko; pokrywka przywarła doń z siłą próżni, jaką wytworzyła próba zdjęcia jej; było niemal po brzegi wypełnione kartkami papieru i to nie czystymi.

Wszystkie pokryte były pismem maszynowym, strony nieponumerowane, ale najwyraźniej ułożone w kolejności - szkic powieściowy. Obiema dłońmi, niczym ciasto z pieca bądź dziecko z wózka, Pierce wydobył go i położył przed sobą na biurku. Na zewnątrz w mroku zmierzchu zaszczekał pies. Scotty?

Tekst nie posiadał strony tytułowej, choć na leżącej na wierzchu kartce widniało coś, co mogło stanowić motto.

Dowiaduję się, że jestem rycerzem Parsifalem. Parsifal dowiaduje się, że jego poszukiwania Graala stanowią poszukiwania Graala całej ludzkości. Właśnie wówczas powstaje Graal, zrodzony z mozolnego dzieła tworzenia równocześnie na całym świecie. Z ogromnym jęknięciem świat budzi się na chwilę jak gdyby z uśpienia, by wydać Graala niczym kamień. To kres; Parsifal zapomina, po co wyruszył, ja zapominam, że jestem Parsifalem, świat

ponownie obraca się i na powrót zapada w sen, a ja odchodzę.

Pod spodem ów tekst został przypisany (szybkim pociągnięciem ołówka, jak gdyby po namyśle bądź przypadkowym odgadnięciu) Novalisowi. Pierce zadumał się. Podniósł tę żółtą kartkę o ciemniejących już brzegach, która sprawiała wrażenie kruchej. Druga była podpisana u góry „PROLOG W NIEBIE”, a jej pierwsze słowa brzmiały tak:

W zwierciadle były anioły: dwa, cztery, sześć, wiele, wciskały się jeden obok drugiego, wciąż czyniąc miejsce dla kolejnych, brały się pod rękę bądź łączyły dłonie za plecami i kierowały swe spojrzenia ku górze, ku dwóm przyglądającym im się śmiertelnikom. Wszystkie odziane były w zieleń, a na swych rozpuszczonych włosach miały przepaski bądź wieńce z kwiecica i zielonego listowia; ich spojrzenia były osobliwie radosne, a imię każdego z nich zaczynało się na literę „A”.

Nad jego głową rozległ się odgłos zamykanych drzwi, Pierce zaś spojrział ku górze. Stopy Rosie przemierzyły w tę i z powrotem znajdującą się nad nim podłogę. Myszkuje tam. Przetasował jeszcze nieco ów miękki stos kartek; znalazł pierwszy rozdział. Niegdyś świat

nie był taki, jaki stał się później, posiadał inną historię oraz inną przyszłość, a przy tym prawa, które nim rządziły, również były inne.

U dołu strony widniały nazwisko oraz data, które znał.

Powróciła doń odległa chwila z jego dzieciństwa, czas, miejsce, ów rodzaj subtelnej fali bezimiennego zbioru wspomnień, jakie potrafią wywołać woń lub dźwięk. Przysunął krzesło Fellowesa Kraftha i usiadł na nim; łokcie oparł na biurku, policzek na dłoni, i zaczął czytać.

Niegdyś świat nie był taki, jaki stał się później. Dawniej funkcjonował inaczej niż obecnie; posiadał inną historię oraz inną przyszłość. Jego ciało i kości, prawa fizyczne, jakie nim rządziły, były odmienne od tych, jakie znamy.

Ilekcóż świat zmienia się z tego, jaki jest, w taki, jaki będzie, a tym samym zyskuje inną przeszłość oraz inną przyszłość, istnieje krótka chwila, kiedy wszelkie możliwe rodzaje wszechświata, wszelkie prawdopodobne rozwinięcia Bytu w przestrzeni i czasie, są w gotowości na krawędzi ziszczenia się, nim wszystkie, prócz jednego, ponownie pogrążą się w niebycie; a świat jest wówczas taki, jaki jest, a nie taki, jaki był, zaś każdy jego mieszkaniec zapomina, że kiedykolwiek mógł być lub był inny niż taki, jaki jest teraz.

A w owej chwili, kiedy świat przechodzi z takiego, jaki był, w taki, jaki będzie, a przez moment wszystkie możliwości pozostają rozświetlone, zaś jedna z nich nie została jeszcze wybrana, wówczas wszystkie pozostałe podobne rozszczepienia w czasie (jest ich bowiem kilka) mogą również stać się widoczne: jak serpentyna na wznoszącej się górskiej trasie, która niespodziewanie ukazuje się jadącemu dokładnie w chwili, gdy jego samochód przechyla się na wierzchołku zakrętu, on zaś widzi, skąd przyjechał: a przy tym daleko w dole dostrzega niebieskiego sedana, który również jedzie pod górę.

Oto opowieść o jednej z takich chwil oraz o owych mężczyznach i kobietach, i nie tylko, którzy ją rozpoznali. Obecnie wszyscy oni nie żyją bądź pogrążeni są we śnie, albo też nie figurują w historii, którą przyjął świat; zaś ich chwila wydaje nam się zupełnie inna, niż wydawała się im. Dziś sięgam po księgę, historię tamtych czasów, a to, o czym mi opowiada, nie zdumiewa mnie; niemniej jednak tamci ludzie błędnie rozumieli swój świat (i najwyraźniej było to lekkomyślne, zapełniali go bowiem bogami, potworami i nieistniejącymi lądami, posiadającymi wyimaginowane historie; metalami, roślinami i zwierzętami *ditto*, posiadającymi moce *ditto*), zaprawdę, zamieszkiwali oni ten sam świat, który i ja zamieszkuję: posiadał on znane mi zwierzęta i rośliny, to słońce i te gwiazdy, nie inne.

Mimo to jednak w szczelinach takiej historycznej księgi, pomiędzy jej kartami, dostrzegam cień innej opowieści oraz innego świata, symetrycznego w stosunku do tego pierwszego, lecz różnego odeń niczym śnienie od jawy.

Ten świat; ta opowieść.

W roku 1564 młody neapolitańczyk ze starożytnego miasta Nola, popełniając wielki życiowy błąd, wstąpił do klasztoru dominikanów w San Domenico Maggiore w Neapolu. Decyzja ta, rzecz jasna, nie została podjęta wyłącznie przez niego; jego ojciec był żołnierzem w stanie spoczynku, nie posiadał ziemi i nie był zamożny, chłopiec zaś okazał się wybitnie uzdolniony (tak ujął to proboszcz) i cokolwiek

niepokorny, toteż w gruncie rzeczy nie istniała dlań inna droga życiowa poza Kościołem. Mimo to dominikanie, jakkolwiek był to wielki i potężny zakon w Królestwie Neapolu, nie byli tym, do którego chłopiec powinien był wstępować. Niewykluczone, że gdyby trafił do jakiegoś mniejszego, mniej potężnego zakonu, pracujących w pocie czoła minorytów, wyrozumiałych benedyktynów albo nawet odciętego od świata klasztoru kapucynów, pozostawiono by go samemu sobie, by snuł swe marzenia. Gdyby zaś trafił do Towarzystwa Jezusowego, znaleźliby tam jakiś sposób na to, ażeby wykorzystać jego dumę oraz osobliwe talenty, a nawet jego niechęć do chrześcijaństwa, do własnych celów; Towarzystwo potrafiło dokonywać takich rzeczy.

Wszelako dominikanie, Zakon Kaznodziejski, którego samozwańczym powołaniem było utrzymywanie Kościoła oraz jego doktryn w czystości; dominikanie, którzy na zasadzie gry słów nazywali samych siebie Domini canes, rączymi psami Pańskimi, czarno-białymi ogarami żądnymi obalać herezję niczym ofiarę: nie byli zakonem, w którym należało więzić Filippa Bruna, któremu nadano imię Giordano, gdy przywdział czarno-biały habit. Zakon nie zachęcał bowiem do samodzielnego myślenia; nigdy nie wybaczą temu nolańskiemu chłopcu tego, że się odeń odwrócił i wyniósł swoje herezje w świat; na koniec zaś na zawsze posiadą go dla siebie, przywiązanego do stosu w Rzymie.

Tymczasem jednak znajduje się on w klasztorze San Domenico, przechadzając się z wolna znajdującą się po jego prawej stronie nawą

klasztornego kościoła, stroniąc od włóczęgów, typów spod ciemnej gwiazdy, i zakłócając schadzki. Zatrzymuje się w każdej z kaplic bocznych, przy każdej posągowej wnęcie, każdej jednostce architektonicznej, i trwa przed nią długo w zamyśleniu, nim przejdzie do kolejnej. Czym się zajmuje?

Zapamiętuje kościół San Domenico, kawałek po kawałku, by móc z niego korzystać jako z wewnętrznego magazynu, czy też szafki na akta, do zapamiętywania innych rzeczy.

Przed stu laty poczęto wytwarzać książki za pomocą nowej *ars artificialiter scribendi*, rzemiosła sztucznego pisania - druku. Wydrukowano już tysiące woluminów. Lecz w wielkich dominikańskich klasztorach epoka skrybów, era manuskryptów, wiek pamięci jeszcze nie przeminął. Pojawiają się drukowane podręczniki o tym, jak wygłaszać kazania; drukowane brewiarze oraz zbiory homilii i cytaty z Pisma do użytku księży, lecz Zakon Kaznodziejski wciąż wprowadza swych nowicjuszy w arkana starych jak sama myśl sztuk pamięci.

Wybierz jakąś dużą i złożoną przestrzeń publiczną - dla przykładu kościół - i utrwaj go w pamięci, każdy ołtarz boczny, kaplicę, wnękę posągową i łuk. W swej wyobraźni oznacz dłonią co piątą taką przestrzeń; co dziesiątą oznacz znakiem X. Teraz gmach twojej pamięci jest gotów. By zeń korzystać, powiedzmy, żeby zapamiętać treść kazania, jakie masz wygłosić, bądź manuskryptu prawa kanonicznego, albo podręcznika spowiednika zawierającego grzechy oraz przypisane im kary, musisz wytworzyć w wyobraźni

wyraziste obrazy, które będą odpowiadać różnym ideom, jakie pragniesz utrwalić w pamięci. Arystoteles jasno stwierdza, a św. Tomasz mu wtóruje, że podobieństwa fizyczne łatwiej pobudzają wyobraźnię niż same tylko nagie pojęcia. Jeśli zatem twoje kazanie dotyczy siedmiu grzechów głównych, wyobraź je sobie jako szpetne nikczemne postacie, ujawniające odpowiednie oznaki swoich cech (z ust Zazdrości zamiast języka sterczy odrażająca żmija; oczy Gniewu goreją czerwienią i jest on groźnie uzbrojony). Następnie ustaw swoje postacie na miejscu w odpowiedniej kolejności wokół kościoła, miejskiego placu bądź pałacu, jaki masz w pamięci, a kiedy będziesz mówić, każda z nich po kolei zacznie ci podpowiadać, teraz mów o mnie, teraz mów o mnie.

W ten właśnie sposób scholastycy rozwinęli i udoskonalili sztukę retoryczną, o której wspominają Cyncero i Kwintylianus; a w chwili, kiedy brat Giordano uczył się na pamięć kościoła San Domenico, nawet jego rozdzielające się w nieskończoność przestrzenie nie były wystarczające, by pomieścić to, co dano mu do zapamiętania. Patrystyka, teologia moralna, *summulae logicales*, hagiografia, zawartość kompendiów, encyklopedii i bestiariuszy, ta sama opowieść w tysiącach form - mnisi zamięłowanie do gromadzenia, analizowania, dzielenia i mnożenia pojęć przepełniało po brzegi katedry pamięci, które podobnie jak te wzniesione z kamienia pełne były gargulców, witraży, chrzcielnic, grobowców i sądów.

A wraz ze wzrostem ilości materiału do zapamiętania rozwijały się również, dzieliły i mnożyły sposoby utrwalania go w pamięci. Brat Giordano zapamiętywał nieskończone nowe zasady zapamiętywania. Wyuczył się na pamięć systemu utrwalania w pamięci nie tylko pojęć i idei, ale samych słów tekstu, zastępując je innymi słowami: i tak pamięciowy obraz miasta (*Roma*) przypomina mówcy, ażeby następnie wspomniał o miłości (*amor*). Co więcej: istniały zasady zapamiętywania nie słów, lecz liter, z których te się składały, a każdej przyporządkowany był obraz, jakieś fizyczne podobieństwo, toteż w umyśle nolańczyka słowo *Nola* składało się z łuku, kamienia młyńskiego, motyki oraz pary kompasów, zaś słowo *indivisibilitate* z całego poddasza rupieci. Giordano odkrył, iż potrafi dokonywać podobnych sztuk z łatwością; stworzył dla siebie ptasi alfabet, *anser*, gęś, to A, *bubo*, sowa, B, i tak dalej, i ćwiczył się w nim dopóty, dopóki nie udało mu się sprawić, by *In principio erat Verbum* trzepotało i sadowiło się na jego barkach niczym stado ptaków. Jedyne trudność, jaka mu doskwierała, leżała w usuwaniu tego, co raz już ustawił na miejscu, i oczyszczeniu kościoła San Domenico Maggiore ze swych ptaków, grac, szufli, drabin, alegorycznych postaci z węzami zamiast języków, gestykulujących kapitanów, kotwic, mieczy, świętych i stworów.

„Czy dozwolone jest zatem, kiedy nie zostało już ani trochę miejsca do wypełnienia, uczynić w wyobraźni dalsze miejsca połączone z tymi pierwszymi?”.

„Owszem, Frater Jordanus, o ile czynisz to poprawnie. Musisz wyobrazić sobie linię biegnącą z zachodu na wschód, na której umieścisz wyimaginowane wieże, które stanowić będą miejsca pamięci. Jest ich wiele, tyle, ile zapragniesz, przez to, że się zmieniają, obracają to w jedną, to w drugą stronę frontami *per sursum, deorsum, anteorsum, dextrorsum, sinistrorsum...*”. - Dłonie brata instruktora obróciły się i przekreśliły wyimaginowaną wieżę.

„Tak” - odezwał się Giordano. - „Tak”.

„A teraz” - ciągnął brat instruktor, unosząc palec - „będziesz używał tych wież tylko po to, żeby ćwiczyć i wzmacniać pamięć. Słyszysz? Nie do zapamiętywania. Słyszysz, Frater Jordanus?”.

Lecz ciąg wyimaginowanych wież już począł wyrastać, ciągnąc ku zachodowi od drzwi San Domenico: wież jako żywo przypominających te, które brat Giordano pamiętał ze swego dzieciństwa w Noli. Co roku w mieście ku czci swego patrona, Św. Paulina, w dniu jego święta różne cechy miejskie budowały i wystawiały smukłe wieże z drewna i płótna, zwane *guglie*: wielopoziomowe konstrukcje z balkonami i iglicami, przetykane małymi i dużymi oknami oraz otworami ukazującymi sceny z życia świętego, Męki Pańskiej, scenki z romansów bądź z życia Najświętszej Panny. W środku i na zewnątrz były pomalowane, inkrustowane cherubinami, różami, gwiazdami, zodiakami, godłami, wezwaniami, krzyżami i różańcami, kotami i psami. W dniu św. Paulina *guglie* były odsłaniane mieszkańcom miasta, a potem - co było najbardziej spektakularne - nie tylko każda z nich była

podnoszona przez trzydziestu krzepkich młodzieńców i niesiona przez ludne i strojne ulice, lecz, na placu pod kościołem, wszystkie ruszały w tany. Chłopcy, którzy je nieśli, pomrukując i pokrzykując sobie nawzajem słowa zachęty, sprawiali, że kłaniały się, przechylały i wirowały w rytm muzyki: tańcząc ze sobą pośród ludzi, którzy płąsali wokół nich, ich fantazyjne wnętrza pojawiały się w oknach i w drzwiach, po czym znikwały, gdy wieże obracały się i wirowały, w lewo, w prawo, ukłon, przechylając się, *per sursum, deorsum, dextrorsum, sinistrorsum*.

A jednak: dochodził do wniosku - wyglądając przez wąskie okienko swojej celi ku blademu pasowi zmierzchu z jedną tylko zapaloną gwiazdką - że nawet nieskończony ciąg *guglie* biegnących ze wschodu na zachód i obracanych w którąkolwiek stronę nie wystarczy, by pomieścić wszystko to, co widział i o czym rozmyślał w swym krótkim życiu, które jemu zdawało się tak nieskończenie długie, jak gdyby w ogóle nie miało początku. Każdy liść, którego cień go omiótł, każde winogrono, które rozgniótł na swym podniebieniu; każdy kamień, głos, gwiazda, pies, róża. Jedynie zapamiętując cały wszechświat i nakładając nań wszechświat obrazów można było zapamiętać wszystko, co w sobie zawiera.

„Czy dozwolone jest używanie przestworzy niebieskich, to znaczy zodiaku oraz jego domów, rezydencji księżyca, do celów zapamiętywania? I obrazów gwiazd dla rzeczy, które chce się zapamiętać?”.

„To dozwolone nie jest, Frater Jordanus”.

„Ale Cycero w swej Drugiej Retoryce powiada, że w czasach starożytnych....”

„Nie jest to dozwolone, Frater Jordanus. Rozciągać i ćwiczyć pamięć za pomocą sztuczek to rzecz dobra; szukanie pomocy w gwiazdach nie jest dla takich jak ty. Nie rozumiesz ani Cycerona, ani gwiazd. A za to nie czeka cię nic innego jak długi czas spędzony na klęczkach”.

Prócz nauki pisania w duchu za pomocą obrazów w sposób, z jakiego słynęli dominikanie, brat Giordano uczył się również pisać piórem i inkaustem; notować grubym, szybkim sekretarskim pismem, mnisią łaciną niezbrukaną *umanismo*, łaciną poznawaną z książek, jakie dostał do czytania. Zgłębiał Alberta Wielkiego i św. Tomasza, wielkich uczonych doktorów jego zakonu; w swej wewnętrznej katedrze umieszczał inną katedrę, podzieloną na apsydę, nawę i chór, części oraz części części, którą była *Summa theologica* Tomasza. Przez niego zaś dotarł do tego, którego Tomasz zwał po prostu Filozofem - Arystotelesa. Arystoteles: masa tłustych od ciągłego używania manuskryptów, wciąż na nowo kopiowanych, upiększanych i opatrywanych wstawkami, które stały się niewyraźne od nawarstwienia drobnych błędów.

Wszystkie rzeczy szukają swych właściwych sfer. To, co ciężkie, jak kamienie bądź ziemia, szuka środka wszechświata, który jest najcięższy; rzeczy lżejsze, jak powietrze i ogień, prą w górę ku swym sferom, które są lżejsze.

Położoną w samym środku i najcięższą sferą jest ziemia, a obok niej sfera jest wody, wznosząca się jako rosa, opadająca zaś jako deszcz. Dalej znajdują się sfery powietrza i ognia, a następnie sfera księżyca. Wszelka zmiana, wszelki rozpad i zepsucie, wszelkie narodziny i śmierci, odbywają się w sferach żywiołów, w świecie podksiężycowym; ponad księżycem znajdują się regiony niezmiennie. To, co nie ulega przemianie, doskonalsze jest od tego, co zmianom podlega; planety stanowią materię doskonałą, niepodobną do żadnej ze znanych nam, przymocowane do doskonałych kryształowych sfer, które obracając się, wyznaczają czas. Owe siedem sfer zawarte jest w ósmej, kryształowej sferze, w której rozmieszczone są gwiazdy. To wszystko zaś zawarte jest w sferze najwyższej ze wszystkich, sferze, która obracając się, wprawia w ruch pozostałe: *Primum Mobile*, samo obracane przez palec boży. Nic bowiem nie porusza się poza tym, co porusza się za sprawą poruszyciela.

Z policzkiem opartym na dłoni, w bibliotece pośród kiwających głowami konfratrów, brat Giordano wchłaniał arystotelesowskie niebiosa i ziemię niczym człowiek budujący statek w butelce. *Niektórzy twierdzą, że czas jest ruchem Sfery, to z tej przyczyny, że ruch mierzymy za pomocą czasu, lecz również czas za pomocą ruchu*⁴⁴. Co takiego? Znajdujący się wokół bracia pomrukiwali donośnie, zaczytani w swych księgach, tuzin głosów czytających tuzin tekstów, bzycających niczym głupie osy. *Stąd też potoczne powiedzenie, że sprawy ludzkie „toczą się kołem”, stosuje się również*

⁴⁴ Oba cytaty z *Fizyki* Arystotelesa w przekładzie Kazimierza Leśnika.

i do innych rzeczy mających ruch naturalny, do powstawania i ginięcia.

Westchnął, w duchu poczuł gorzki posmak niczym ze spalonego letniego dnia. Czemu niezmiennosc jest lepsza niż zmiana? Życie jest zmianą, a wszak życie lepsze jest od śmierci. Świat złożony z doskonałych sfer był podobny obrazom, jakie pokazywali malarze - obrazom, które udawały, że jakieś kilka mil nad górami znajduje się księżyc niby melon i gwiazdy niczym iskierki, a ponad nimi poprzez sfery pochyla się Bóg, by zajrzeć do środka. Taki wszechświat był za mały, stworzony ze zbyt małej ilości materii; pusty kufer, skrępowany żelaznymi klamrami.

Lecz istniały inne księgi.

Podobnie jak wiele mnisich bibliotek, zbiór San Domenico stanowił śmietnisko tysiąca lat pisania; nikt nie znał wszystkiego, co skrywał klasztor, ani nie wiedział, co stało się ze wszystkimi tekstami, jakie przez wieki mnisi skopiowali, nabyli, napisali, skomentowali, rozdali i zgromadzili. Stary bibliotekarz, brat Benedetto, miał w głowie długi katalog, który potrafił przechowywać w pamięci, jako że ułożył go w rymach, lecz istniały takie książki, których ów katalog nie obejmował, jako że się nie rymowały. Istniał Pałac Pamięci, w którym wszelkie kategorie książek oraz wszelkie sekcje posiadały swoje miejsce, acz już dawno temu został on przepełniony, zaryglowany i zapomniany. Istniał też katalog pisany, do którego wprowadzano każdą książkę, gdy tylko została nabyta, a jeśli wiedziało się, kiedy trafiła do biblioteki, można ją było w nim znaleźć - o ile tylko nie

została złączona z inną lub kilkoma innymi; zazwyczaj bowiem tylko incipit tej pierwszej zamieszczany był w katalogu. Inne ginęły.

Toteż w przestrzeni biblioteki, o której wiedzieli brat Benedetto, przeor i opat, wyrosła inna biblioteka, taka, której czytelnicy niczego nie katalogowali i katalogować nie chcieli. Brat Benedetto wiedział, że posiada *Summa theologiae* Alberta Wielkiego oraz jego dzieło *O śnieniu i czuwaniu*; nie wiedział, że ma w swych zbiorach Alberta *Księgę tajemnic* oraz jego traktat o alchemii. Lecz brat Giordano wiedział. Brat Benedetto był świadom, że posiada *O sferach* Sacrobosco, każda bowiem instytucja naukowa dysponowała tą pozycją, która stanowiła uniwersalny podręcznik arystotelesowskiej astronomii. Posiadał kilka jej egzemplarzy, a także jakieś teksty drukowane. Nie widział jednak, że do jednego z manuskryptów dołączony był Komentarz do *O sferach* pióra Cecca d'Ascoli, tego, którego przed dwustu laty Kościół spalił na stosie za herezję.

On tego nie wiedział, a brat Giordano tak. Zamknięty w wygodce czytał komentarz Cecca, chłonąc go niczym słodkie wino. Gwiazdy zmieniają cztery żywioły, a poprzez żywioły przemianie ulegają nasze ciała, poprzez nasze ciała nasze dusze: w gwiazdach znajdują się Przyczyny Świata, horoskop samego Jezusa został postawiony w dniu jego narodzin przez Boga, by mógł urzeczywistnić przeznaczenie, jakie urzeczywistnił. Przy pewnych konstelacjach i koniunkcjach rodzą się szczęśliwi boscy mężowie, Mojżesz, Szymon Mag, Merlin, Hermes Po Trzykroć Wielki (Giordano czytał ten zestaw imion z silnym dreszczem zdumienia, że można ich razem zestawiać

jako ludzi tego samego pokroju). Niezliczone dobre i złe duchy przepelniają niebiosa, znajdując się w stałym ruchu, przecinając zodiak; rodzą się z nich - ni mniej, ni więcej - twórcy nowych religii, z inkubów i sukubów, które mieszkają w kolurach, obręczach oddzielających przesilenie i równonoc.

Doskonałe te sfery miały zatem zawierać ruchliwą ciżbę.

W bibliotece brat Giordano zgłębiał książki, jakie znać musi doktor teologii; czytał Ojców, czytał Hieronima, Ambrożego, Augustyna i Akwinatę. Przeżuwał i połykał ich niczym jedząca papier koza, a następnie wydalał w *examenes* i *recitationes*.

W wygodce czytał Cecca. Czytał księgę Salomona o Cieniach Idei. Czytał *De vita coelitis comparanda* Marsilia Ficina o przywoływaniu życia niebieskiego za pomocą talizmanów oraz zaklęć. Wygodka stanowiła tajemną bibliotekę San Domenico; czytywano w niej książki, przekazywano je sobie z rąk do rąk; tam też były ukrywane; tam były wymieniane na inne. Giordano pełnił honory jej bibliotekarza. Znał i pamiętał każdą księgę - gdzie leżała w szafach brata Benedetto, kto o nią prosił i co zawierała. W jego przepastnym i stale rosnącym pałacu pamięci, w którym zawierały się całe niebiosa w miniaturze, wszystko to zajmowało li tylko znikomą przestrzeń.

Współbracia zdumiewali się pamięcią Giordana i szeptali między sobą o tym, w jaki sposób do tego doszedł. Giordano nie miał nic przeciwko tym poszeptom. Uzależnieni od plotek i kielbasek nigdy nie będą mieli dość śmiałości, by wykorzystać gwiazdy, lecz miał ją Giordano.

Tymczasem ogromne słońce paliło z bajecznie błękitnego nieba; przez zatokę prześlizgiwały się stateczki wycieczkowe oraz wiosłowe okręty wojenne, lazurowa laguna stroiła się srebrzystymi wierzchołkami fal. Odziany w czerń hiszpański wicekról (Królestwo Neapolu stanowiło bowiem własność korony hiszpańskiej) jeździł po mieście w swym maleńkim czarnym powozie; gdy napotkał niesioną ulicami dla chorego bądź umierającego hostię, przyklękał i przyłączał się do procesji, podążając za nią pokornie do miejsca jej przeznaczenia. Co roku w dniu jego święta przechowywana w katedrze zakrzepła krew św. Januarego topniała i stawała się płynna, jak gdyby właśnie została przelana, lud zaś, księża, kardynałowie oraz wicekról głośno płakali i zawodzili bądź wstrzymywali oddechy w nabożnej czci. W niektórych latach krew topniała wolno, zaś ściśnięta w katedrze ciżba niecierpliwiła się, a wówczas dochodziło do rozruchów.

Wybuchały nieustannie; biedoty wszak nigdy nie brakowało, stłoczonej w wysokich szeregowcach w portowych kwartałach, w wąskich alejkach pełnych piętrzących się odpadków, w których dzieci rosły niczym chwasty - pozbawione opieki, dziczałe i liczne. Zebrali uporczywie, umiejętnie okradali; śmiali się zarówno z *pulcinelle* w swych kramach wokół Piazza del Castello, jak i z przesadnych pożegnań bandyty, który miał zostać powieszony na Piazza del Mercato. Całymi dniami nadzy żebracy leżeli na nabrzeżach; nocami na płaskich dachach chat, które otaczały zatokę, rybaczki tańczyły w świetle księżycy tarantelę.

Księżyc wyciągał z ziemi wilgotne łązy, przyciągając je w górę mocą swej własnej wodnistej natury; również za jego sprawą w równinach błotnych ujść rzek oraz zbiornikach słonej wody powstawały żaby, kraby i ślimaki. Kiedy był w pełni, psy z całego miasta zwracały ku niemu swe pyski i wyły. A gdy ich własna gwiazda, Syriusz, wylaniała się w słońcu, dostawały szału, toteż wyruszali wówczas na łowy rakażce.

W drewnie martwych drzew, we wnętrznościach zdechłych psów powstawały robaki; z wnętrzności martwych lwów rodziły się pszczoły - tak powiadano, jakkolwiek niewielu widziało na oczy martwego lwa. Opadłe do koryt włosie końskie zmieniało się w węże, a co pewien czas można było ujrzeć, jak to się odbywa: jeden włos poczynał więc się jak węgorz pośród innych, które nieruchomo unosiły się na wodzie. Słońce świeciło, a heliotropy w ogrodach Pizzofalcone zwracały ku niemu swe oblicza, zaś żywe lwy z menażerii wicekróla ryczały w poczuciu siły i dumy. Księżyc przyciągał mgły, słońce heliotropy; magnesy przyciągały żelazo, a Saturn w ascendencie szarpał bezlitośnie mózg pogrążonego w melancholii człowieka.

Wszystko to żyło, wszystko było żywe, od morskiego dna poprzez powietrze aż po niebiosy, gwiazdy zmieniające cztery żywioły, żywioły zmieniające ciało, a ciało duszę. Brat Giordano odprawił swą pierwszą mszę w Campagna, w kościele San Bartolomeo, szepcząc *Hoc est enim corpus meum* nad okrągłym chlebem, który trzymał w swych namaszczonych palcach, a w ciepłe jego oddechu on również był żywy. Wprawdzie heretycy z północy

twierdzili, że nie jest, ale rzecz jasna mylili się; połknął go; chleb rozgrzał klatkę piersiową Giordana skromnym ogniem swego życia. Oczywiście, że był żywy: nie istniało bowiem nic, co by nie było.

I tak oto nolańczyk z chłopca wyrósł na mężczyznę, księdza, doktora; i tak oto gwiazdy obracały się wokół zmiennego świata; i tak oto pamięć, jaką stworzył, stała się pełna skarbów, zbyt bogata, by ją oszacować, lecz w całości należąca do niego. Brat Giordano zdumiewał swych współbraci, wypełniając wieczory po kolacji w kapitularku wyczynami, które zdawały się nadludzkie. Zachęcał ich, żeby czytali głośno wybrane na chybił trafił wersy Dantego, stąd, stamtąd, z dowolnej pieśni, a następnego wieczoru recytował je wszystkie w kolejności, w jakiej zostały mu przeczytane, wspan bądż zaczynając od środka. Prosił ich, żeby wymieniali najzwyklejsze przedmioty, owoce, narzędzia, zwierzęta, części ubioru; z upływem miesięcy i lat lista ich rozrastała się do setek pozycji, lecz on pamiętał ją w całości bądż w dowolnym fragmencie, w dowolnej kolejności i zaczynając w dowolnym miejscu: bracia (którzy mieli to wszystko spisane) śledzili uważnie ową listę, podczas gdy Giordano z dłońmi na kolanach i patrzącymi nieco na skos oczyma wypowiadał nazwę każdego przedmiotu, sprawiając takie wrażenie, jak gdyby bez mała smakował je, delectował się nimi, nawet wówczas, gdy brał ów przedmiot z ręki owego życzliwca, który wychylał się z okna swej wieży, by mu go ofiarować: graca, szufla, kompas, pies, róża, kamień.

Jego sława zataczała coraz szersze kręgi. Naprzód wśród dominikanów, którzy dumni byli z owej starożytnej sztuki, z jakiej

zachowania i praktykowania szeroko słynęli; lecz z czasem również na całym świecie. Giordanem zainteresowała się *Academia secretorum naturæ*, Szkoła Sekretów Natury, oraz wielki mag z Neapolu, który stał na jej czele: Giambattista della Porta.

Mając zaledwie piętnaście lat, ów Della Porta opublikował ogromną encyklopedię magii naturalnej; potem wynikły kłopoty z Kościołem, a ów młody mag znalazł się pod okiem Pawła IV, co mogło się dlań źle skończyć; ostatecznie jednak został uniewinniony, lecz obecnie stanowczo nie podnosił wzroku ponad sferę podksiężycową i uprawiał wyłącznie najbielszą z białych magii - a przy tym codziennie uczestniczył we mszy świętej, na wszelki wypadek.

Był szpetnym, psowatym, jajogłowym mężczyzną, ogorzałym, o bezwzględnym obliczu; na jego skroni pulsowała gruba żyła. Jak gdyby dla równowagi jego głos był za to łagodny i melodyjny, maniery zaś wykwintne. Z wielką uprzejmością poprowadził młodego zakonnika, ostrożnego i zeszywniałego z niepokoju, przez publiczne pomieszczenia akademii, ozdobione alegoriami nauk, ku ukrytej komnacie, w której, przy wieczerzy, jej członkowie leżeli na modłę antyczną, odziani w białe togi z liśćmi winorośli we włosach.

Nie chichotali, lecz wpatrywali się w niego z otwartymi ustami, kiedy wykonywał swoje sztuki, zastanawiali się, zadawali pytania i wystawiali go na ciężkie próby. Jeden z nich sporządził listę długich, nonsensownych, niemal identycznych, lecz nie całkiem, słów - *veriami*, *veriavi*, *vemivari*, *amiava* - trzydziestu albo i więcej.

Giordano rozbił ją na części, a dla każdej z nich znalazł jakiś klucz wizualny: ptaki (*avi*), kochankowie (*ami*), księga prawd (*veri*), pęk gałązek (*rami*). Następnie, z dłońmi złożonymi na kolanie, oczyma zaś pełnymi owego odległego skupienia (obserwowali bowiem, jak sceny, jakie utworzył z owych kluczy, przesuwają się przed jego wewnętrznym wzrokiem), wyrecytował je wszystkie, a potem od nowa, i na różne sposoby. Dziewczyna podarowała swemu kochankowi białego gołębia w klatce zbudowanej z patyczków, on sprzedał go za książkę. Zdarzyło się to na piazza przed kościołem w Noli pewnego pięknego sierpniowego dnia; widział wstydlive spojrzenie dziewczyny, czuł woń popękanej skóry książki, pod palcami wyczuwał szybkie bicie serca ptaka: wiele lat później owe postacie oraz ich dramaty śniły mu się niekiedy, dziewczyna, ptak, chłopiec, książka, patyczki.

Wykonał wszystko, o co go poprosili, a nawet to, o co nie prosili - uśmiechając się w końcu i pochylając do przodu, by ujrzeć ich zdumienie - a potem, gdy goście odeszli, a on siedział sam z owym szpetnym magiem przy winie, rozprawiał o tym, jak udało mu się tego dokonać.

„Miejsca i nałożone na nie obrazy, tak” - rzekł Della Porta, który sam napisał niewielką *Ars reminiscendi*, zawierającą wszystkie zwyczajowe zasady.

„Tak” - powtórzył brat Giordano. - „Kościół San Domenico Maggiore, krużganki i znajdujący się przed nim plac. Ale to nie wystarczy”.

„Można używać wyimaginowanych miejsc”.

„Istotnie. Używam ich”.

„Można też wykorzystać obrazy naszych malarzy. Michała Anioła. Rafaela. Te religijne. Obrazy dobra i zła, siły, cnoty, namiętności. Ożywiają one wyobraźnię”.

Brat Giordano nic nie powiedział, nie widział bowiem ich dzieł, jakkolwiek imiona te zdawały się tworzyć obrazy w jego myślach, on zaś znalazł ścianę, na której mógłby je zawiesić.

„Używam gwiazd” - wyznał. - „Dwunastu domów. Oraz ich mieszkańców. Dają potężne wsparcie”.

Della Porta zmrużył oczy.

„To chyba nie jest dozwolone” - rzekł ostrożnie.

„Ale tamte mi nie wystarczają” - wyjaśnił Giordano. - „Nawet teraz postacie niekiedy mi się mylą. Za mało ich do tak wielu zadań, do odgrywania tylu ról. Jak w komedii, w której jest za mało aktorów, a ci sami pojawiają się i znikają w różnych strojach i perukach”.

„Mógłbyś się posługiwać obrazami Egiptu” - podsunął Della Porta, chwytając się za kolano swymi kosmatymi dłońmi i wznosząc oczy ku górze. - „Hieroglifami”.

„Hieroglifami... „

„To jest dozwolone. Na tyle można sobie pozwolić”.

Zakonnik godził weń wzrokiem tak uporczywie, że Della Porta poczuł się zmuszony mówić dalej.

„Widzisz” - zaczął - „w swej mądrości Egipcjanie stworzyli wielopostaciowe wizerunki, człowieka z głową psa, pawiana ze

skrzydłami. Nie byli na tyle nieroztropni, by oddawać cześć podobnym szkaradzieństwom. Bynajmniej. W swoich wizerunkach zawarli prawdy, które mógł odkryć człek mądry. Pawian to Człowiek, Małpa Natury, która naśladuje naturalne zjawiska mocą imitacji, lecz której skrzydła niosą ją poza domenę materii, jako że jej umysł przebija się przez to, co powierzchowne”.

Zakonnik milczał, a tylko nadal się weń wpatrywał.

„Mucha” - ciągnął Della Porta - „oznacza Zuchwalstwo, ponieważ nie zważając na to, ile razy się ją odpędza, zawsze powraca. Pojmujesz? A z połączonych tych wizerunków stworzyli język. Nie taki, który składa się ze słów, lecz z fizycznych podobieństw. Takich jak obrazy twojej pamięci. Pojmujesz? W księdze Horapolla objaśniono ich siedem tuzinów. Hieroglifów”.

W bibliotece San Domenico nie było książki Horapolla, bądź też brat Giordano nie wiedział o niej. Poczul - czuł go od chwili, gdy Della Porta zaczął rozprawiać o hieroglifach - osobliwy głód w głębi swego jestestwa.

„Jakie inne księgi?” - zapytał.

Mag cofnął się nieco od zakonnika, który pochylał się nad nim z napięciem, jakiego Porta nie lubił.

„Poczytaj Hermesa” - oświadczył. - „Hermesa, który dał Ægiptowi jego prawa i pismo. Robi się późno, mój młody przyjacielu”.

„Marsilio Ficino” - powiedział Giordano - „przetłumaczył dzieła owego Hermesa”.

„Istotnie”.

„Marsilio znał też obrazy. Czy był uczniem Hermesa? Obrazy gwiazd, służące do przyciągania ich mocy”.

„To jest dozwolone” - rzekł mag, podnosząc się niespodziewanie.

„Tworzył je tylko w swoich myślach”.

„To nie jest dozwolone ani bezpieczne” - dodał tamten, podnosząc brata Giordana dłonią za ramię i popychając go ku drzwiom komnaty.

„Ale...” - bąknął Giordano.

„Twoja pamięć do dar boży” - stwierdził Della Porta, szepcząc bez mała do jego ucha, gdy idąc z nim ramię w ramię, odprowadzał go do drzwi wyjściowych. - „Twoja pamięć to dar boży, a ty wspaniale ją rozwinąłeś. W sposób naturalny. Bądź z tego kontent”.

„Ale gwiazdy” - przemówił Bruno. - „Cecco powiada...”.

Dwóch służących rozwarło na oścież dwuskrzydłowe drzwi wiodące na piazza. Della Porta wypchnął Giordana na zewnątrz.

„Spalili Cecca” - powiedział. - „Słyszysz, co mówię? Spalili Cecca. Dobranoc. Z Bogiem”.

Lecz dlaczego nie było dozwolone przeciskać się obok przypadków i docierać do przyczyn zjawisk? Kiedy raz umieści się Wenus w myślach, by oznaczała Miłość - Wenus z jej gołębicą i zieloną gałązką - Miłość rozпали się w nich swym własnym żarem, Wenus jest, bowiem Miłością; umieść ją w jej własnym znaku Panny, a Miłość

rozleje się poprzez wszystkie sfery, ciepła, żywa, ożywcza - tak wewnątrz, jak i na zewnątrz.

Magia naturalna, jak ta, którą uprawiał Della Porta, pozwalała dostrzec Wenus w tych elementach świata, które najbardziej odznaczały się jej atrybutami; jej szmaragdach, jej gołębicach, jej perfumach, ziołach, kolorach, dźwiękach. Wenus oraz „wenusowość” przenikały wszechświat, był to przymiot taki jak światło czy smak; doktorzy, mędracy i cudotwórcy wiedzieli, jak ją odnaleźć i wykorzystać, a to było dozwolone. Lecz wyrzeźbić - we własnym umyśle bądź w szmaradzie - wizerunek Wenus: gołębica, zielona gałązka, młode piersi; lub zaśpiewać, na jej własną lidyjską nutę, pieśń ku czci Wenus; albo spalić przed owym wizerunkiem garść jej rozmarynu - to było niebezpieczne. Ale dlaczego?

Dlaczego? - spytał Bruno pustkę, wzniesione szczere brwi, dłonie otwarte, rozsądny. A przecież wiedział dlaczego.

Stworzyć obraz bądź symbol; wypowiedzieć zaklęcie; nadać imię: nie stanowiło to zwykłej manipulacji, jakkolwiek mądrej, substancją ziemską. Było to zwracanie się do osoby, inteligencji; tylko osoba bowiem potrafiłaby pojąć podobne rzeczy. Było to przywoływanie istot spoza gwiazd, owych nieskończonych mądrych bytów wspomnianych przez Cecca, które się tam kryją. A przywołanie ich naraziłoby na śmiertelne niebezpieczeństwo tego, kto podjąłby podobną próbę.

A to dlatego, że Wenus za sprawą twych pieśni zwróci na ciebie uwagę, otworzy swe migdałowe oczy i uśmiechnie się, wówczas zaś

może cię pochłonąć. Kościół nie miał już pewności, czy owe potężne istoty, które przepelniają sfery, są bez wyjątku diabłami, jak to niegdyś uważał. Mogą to być anioły bądź demony, ani dobre, ani złe. Lecz pewne było, że proszenie ich o przysługi stanowi akt bałwochwalstwa, zaś próba wywołania i zaklinania ich jest czystym szaleństwem.

Taka była odpowiedź. Bruno wiedział o tym, lecz nic sobie z tego nie robił.

Począł teraz gromadzić wokół siebie grupkę młodszych, czy też bardziej niepokornych braci, luźne stowarzyszenie entuzjastów i pieczeniarzy, których wszyscy zwali jego giordanistami, jak gdyby Giordano był kimś w rodzaju herszta zbójckiej watahy. Siadywali wokół niego, rozprawiali rozentuzjasmowanymi głosami i wygłaszali ekstrawaganckie poglądy bądź w milczeniu przysłuchiwali się wywodom nolańczyka; załatwiali jego sprawy, wraz z nim pakowali się w kłopoty, rozślawiali jego imię. Kiedy Giordano rozwścieczył przeora, decydując się usunąć ze swej celi wszelkie obrazy, gipsowe posągi, różańce, Madonny, a zatrzymując jedynie krucyfiks, giordaniści uczynili - bądź mówili, że czynią - to samo. Przeor, nie potrafiąc tego zrozumieć, jął podejrzewać Giordana o herezje z północy, luteranismo, obrazoburstwo: lecz giordaniści śmiali się, wiedząc swoje. Giordano nakłaniał bibliotekarza - jak również swych zwolenników - do zakupu ksiąg Hermesa w przekładzie Marsilia Ficina, lecz Benedetto nie chciał nawet o tym słyszeć. Bałwochwalstwo. Pogaństwo. Ale czyż Tomasz Akwinata i

Laktancjusz nie chwalili Hermesa i nie głosili, że nauczał on o jedynym Bogu i przepowiedział wcielenie pańskie? Benedetto pozostawał głuchy.

Gdy jego zakonnicy udawali się w podróż, Giordano przekazywał im listę poszukiwanych przez siebie ksiąg, które niekiedy otrzymywał, pożyczone, kupione bądź skradzione: Horapolla o hieroglifach, Jamblicha o tajemnicach *Ægiptu*, *Złotego osła* Apulejusza. A pewnego zimowego dnia w wygodce młody braciszek, trzęsąc się ze strachu lub zimna, bądź jednego i drugiego jednocześnie, wyciągnął spod swej sutanny i wręczył Giordanowi gruby zszyty manuskrypt bez okładki ani oprawy, napisany zawiłym, szybkim, pełnym skrótów pismem.

„*Picatrix*” - rzekł chłopiec. - „To wielki grzech”.

„I spadnie on na mnie” - oświadczył Bruno. - „Daj mi to”.

Picatrix! Najczarniejsza z czarnych ksiąg wszech czasów, nie było przy tym wątpliwości co do intencji każdego, kto oddawał się studiowaniu jej, nie było też sposobu, by doktor teologii zdołał wybronić się tak, jak mógł się wybronić przyłapany na lekturze Horapolla albo nawet Apulejusza. Przechowywanie podobnej księgi było szaleństwem, ale Giordano nie przechowywał jej długo; każda zapamiętana strona została wydartą i wyrzuconą na zawsze.

Człowiek to miniatura świata, odbijająca w sobie ów wielki świat i niebiosa; z pomocą swego mens mędrzec może wznieść się ponad gwiazdy. Tak powiada Hermes Po Trzykroć Wielki.

Z pierwotnej materii, jaką jest Bóg, zstępuje duch i wchodzi w materię ziemską, którą zamieszkuje; różne formy, jakie przybiera materia, odzwierciedlają naturę owego *spiritus*, który ją przeniknął. Mag to zatem ten, kto sam potrafi uchwycić i poprowadzić napływ *spiritus*, a tym samym uczynić z materią to, czego pragnie. Jakim sposobem?

Sporządzając talizmany, jak sugeruje Marsilio: tylko tu znajdowały się dokładne wskazówki, jakich materiałów używać, jaka pora dnia jest najdogodniejsza, jaki dzień miesiąca, miesiąc kalendarza zodiakalnego; z jakich zaklęć, inkantacji, świateł należy korzystać, jakie wonności i pieśni najsilniej zwabią Przyczyny Świata, Semhamaphores, wszechumysł, który przepelnia wszechświat. Były tam długie listy obrazów, których należało użyć na talizmanach, a brat Giordano, który nie posiadał materiałów, aby je sporządzić, ani ołowiu dla Saturna, ani cyny dla Jowisza, mógł mimo to na stałe stworzyć je w duchu:

Obraz Saturna: Postać mężczyzny stojącego na smoku, odzianego w czerń i dzierżącego w swej prawej dłoni sierp, w lewej zaś włócznie.

Obraz Jowisza: Postać mężczyzny o lwim obliczu i ptasich stopach, dzierżącego w dłoni strzałę, pod nim siedmiogłowy smok.

Jeszcze lepsze, a przy tym potężniejsze, były długie listy wizerunków trzydziestu sześciu bogów czasu, bezimiennych, wyrazistych, o których Giordano czytał swego czasu u Orygenesusa i we wskazówkach Horapolla: byli to *horoscopi*, bogowie godzin, znani w *Ægipcie*, a potem zapomniani bądź ignorowani przez późniejsze wieki. Zwano ich również *dekanami*, jako, że każdy z nich rządził dziesięciostopniowym odcinkiem zodiaku, trzy *dekany* na każdy z dwunastu znaków. Wizerunki owych trzydziestu sześciu były opisane w *Picatrix*, zostały stworzone przez samego Hermesa, podobnie jak hieroglify języka *Ægiptu*; Giordano nie potrzebował właściwie ich zapamiętywać, zstąpiły bowiem z gęsto zapisanych stronic wprost do jego mózgu i zajęły tam swoje miejsca, które od dawna należały do nich, choć o tym nie widział:

Pierwszy *dekan* Barana: Wielki ciemny mężczyzna o gorejących oczach, trzyma miecz, a odziany jest w białe szaty.

Drugi *dekan*: Kobieta odziana w zieleń, nie ma jednej nogi.

Trzeci *dekan*: Mężczyzna trzymający złotą kulę, ubrany na czerwono...

Wchłonął to osobliwe zgromadzenie niczym jadło, niczym ognisty wywar, a niemal natychmiast, gdy w niego wstąpiło, począł

marzyć o nim oraz jego działaniach. Kim był ten, który je odkrył, ów Hermes?

Istnieją pośród Chaldejczyków wielce doskonali mistrzowie owej sztuki obrazów, a zapewniają oni, że pierwszym, który one obrazy utworzył, był Hermes, który też z ich pomocą potrafił regulować Nil wbrew ruchom Księżyca. Człowiek ten wznosił również świątynię Słońca i potrafił ukryć się przed innymi tak, że nikt go nie widział, choć on pozostawał w jej wnętrzu. On to również na wschodzie Egiptu wznosił Miasto długości dwunastu mil, w którym zbudował zamek o czterech bramach w każdej ze swych czterech stron. Przy bramie wschodniej umieścił postać Orła, przy bramie zachodniej postać Byka, przy południowej Lwa, zaś przy północnej Psa. W owe postacie tchnął duchy, które przemawiały głosami, toteż nikt nie mógł przekroczyć bram Miasta, jak tylko ten, który posiadał ich pozwolenie. Tam zasadził drzewa, pośród których było jedno wielkie, które dawało owoc całego pokolenia. Zamek zwieńczył wieżą wysoką na trzydzieści łokci, na której wierzchołku nakazał umieścić latarnię morską. Jej barwa zmieniała się co dnia aż po dzień siódmy, kiedy to powracała do

swego pierwotnego koloru; Miasto tedy mieniło się onymi kolorami. W jego pobliżu panował dostatek wód, które zamieszkiwała wielka mnogość rozmaitych ryb. Wokół obwodu umieścił grawerowane obrazy i ułożył je w taki sposób, żeby swą mocą uczyniły mieszkańców cnotliwymi i wyzutymi z wszelkiej niegodziwości i szkody.

Owo Miasto nazywało się Adocentyn.

Owo Miasto nazywało się Adocentyn.

Pierce odepchnął fotel na kółkach, w którym siedział, i wciąż trzymając kartkę w dłoni (Adocentyn!) wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił i odłożył ją. Znów wyszedł, zgubił się w zawilóściach domku, wszedł do drugiego salonu, przylegającego do pierwszego, i przez krótką chwilę pomyślał, że jedynie wyobraził sobie tę oszkloną biblioteczkę, jej kluczyk, jej zawartość, nigdzie bowiem nie mógł jej dostrzec; ogarnął się; wszedł do pierwszego salonu, otworzył biblioteczkę i wziął z niej plastikową kopertę z napisem PICATRIX.

Niedorzeczność, lecz serce biło mu mocno. Ale grube welinowe arkusze, które wyjął, od góry do dołu pokryte podwójnymi kolumnami manuskryptu, zawierały gęste, czarne, niezrozumiałe dlań pismo, lakoniczną mniszą łacinę bądź, na tyle, na ile się orientował, szyfr.

Zamknął go z powrotem i przeszedł przez dom do frontowego przedpokoju i schodów, nawołując Rosie.

- Na górze!

- Znalazłem coś - oświadczył, wspinając się po schodach. -
Rosie?

Znalazł się w korytarzu u szczytu schodów - korytarzu, którego ściany pokryte były oprawionymi w ramki akwafortami przedstawiającymi ludzi, miejsca i przedmioty, a było ich tak wiele, że z trudem dało się dostrzec wyblakłą tapetę za nimi. Skręcił przy drzwiach do sypialni.

Stała odwrócona do niego plecami w dusznym półmroku; zaciągnięte żaluzje zesłały noc do pokoju, czyjejś sypialni. Raptem Pierce poczuł, że utknął w zawłościach jakiejś okropnej gry słów, nieporozumienia, rebusu, palindromu. Rosie odwróciła się; jedyne światło, jakie pozostało jeszcze w pokoju, odbijało się w jej oczach.

- Atlasowa pościel - szepnęła, wskazując butelką ku wielkiemu łóżku. - Sam się przekonaj.

To jest powieść - obwieścił Pierce Boney'emu Rasmussenowi. - Najwyraźniej nieukończona. Wydaje się kończyć plikiem notatek i wskazówek na temat dalszych scen.

- Już pan ją całą przeczytał? - Deszczowy dzień za oknem biblioteki był tak dalece srebrzysty, zaś blask świeżej roślinności tak różnorodny, że spowijał wnętrza mglistą ciemnością, toteż trudno było dostrzec siedzącego za swym biurkiem Boney'ego.

- Nie - odparł Pierce. - Bynajmniej. Dopiero zacząłem. Ale nie chcieliśmy jej ruszać z miejsca. Jak *corpus delicti*. Więc przerwałem wczoraj lekturę, kiedy zrobiło się ciemno.

Boney siedział bez słowa.

- Rosie jest przekonana, że nie jest to wyłącznie szkic jednej z tych, które zostały już opublikowane. To coś całkiem nowego.

Boney nadal milczał.

- To jest - zaczął Pierce i urwał; nie miał pewności, czy powinien wysuwać podobne twierdzenie, czy też objawiać odkrycie, które zamierzał wysunąć bądź objawić, gdy został zaproszony do tego pokoju, lecz po chwili stwierdził: - To doprawdy bardzo dziwne i niezwykle odkrycie, a przy tym i nieprawdopodobny zbieg okoliczności. - Wówczas i on umilkł, toteż obaj siedzieli pośród tyknień i stuknień kropel deszczu na zewnątrz niczym urzeczeni,

Boney snuł myśli, jakich Pierce nie potrafił sobie wyobrazić, jego własny umysł zaś przepełniony był zdumieniem wobec tego, co mu się przydarzyło. Adocentyn.

- Ja też - odezwał się w końcu - pracuję w tej chwili nad książką.

- Rosie wspomniała mi o tym.

- No więc niezwykle jest w tym to - zaczął - że przedmioty i ludzie w tej książce są przedmiotami i ludźmi, o których rozmyślam i których od dawna badam, w zupełnie inny sposób. Na przykład doktor Dee, ten angielski matematyk. I Giordano Bruno.

- Pisał już o nich wcześniej.

- No, niezupełnie w ten sposób.

- Jaki sposób?

Pierce skrzyżował nogi i schwycił kolano swymi splecionymi palcami.

- Książka zaczyna się - wyjaśnił - od sceny rozmowy Johna Dee z aniołami. Otóż faktem jest, że Dee zostawił po sobie obszernie zapiski z seansów, jakie odbywał wraz z człowiekiem nazwiskiem Talbot bądź Kelly, który utrzymywał, że widzi anioły w czymś w rodzaju kryształowej kuli. W porządku. Tylko, że w tej książce Krafra on naprawdę je widzi i rozmawia z nimi.

Boney czekał niewzruszony, lecz Pierce wyczuwał, że jego uwaga w jakiś sposób się nasila.

- Dalej pojawia się rozdział o Brunie - ciągnął Pierce. - I wszystkie szczegóły biograficzne oraz sceneria się zgadzają, jak

sądzę; tyle tylko, że powody tych wydarzeń nie są takie, jakie podalibyśmy dzisiaj.

- Nie? - Nie.

- Jakie wobec tego są?

- To tak, jakby... - tłumaczył Pierce - jakby w tej książce były anioły, ale nie prawa fizyki; jak gdyby teurgia działała i wygrywała bitwy; modlitwa też. I magia.

- Magia - powtórzył Boney.

- Jest w niej Glastonbury - mówił dalej Pierce. - I Graal. Być może książka jest o nim, w jakiś sposób ukrytym w historii. - Gdy wertował kolejne kartki z tą samą nieznośną, acz skwapliwą fascynacją, jaką odczuwałby zapewne wówczas, gdyby pozwolono mu przewertować jego własne przyszłe życie, mignęło mu przed oczyma nazwisko Keplera i Brahe; dostrzegł królów, papieży i cesarzy, słynne bitwy, zamki, porty i traktaty; lecz ujrzał również Miasto Słońca i braci Róży; Czerwonego Człowieka i Zielonego Lwa; anioła Madimi, Śmierć Pocałunku, golema, różdżkę z *lignum vitae*, dwanaście minimów najwyższej próby złota na dnie *crater*.

- A pańska książka - odezwał się Boney - jest taka sama?

- Nie taka sama. Tamta to fikcja literacka. Moja nie.

- Ale odnosi się do tych samych spraw. Tego samego okresu.

- Tak.

A może wcale nie była tak dalece odmienna, nie, nie była. Ta stworzona przez Krafra miała być tylko mocnym, nierozcieńczonym winem: żadnych misternych zastrzeżeń, żadnych „czyż nie wydaje

się”, żadnych „kuszająca jest myśl, iż”, żadnych „jak gdyby”. Nic z tych rzeczy. Jedynie ów barwny zabawkowy teatr niehistorii.

- Zauważyłby pan zapewne - powiedział powoli Boney - czy jest w tej książce coś na temat pewnego eliksiru. Niezupełnie medykamentu, ale...

- Znam tę koncepcję - przyznał Pierce.

- Czy było tam coś na ten temat?

Pierce pokręcił przecząco głową.

- Jak dotąd nie.

Boney podniósł się z za biurka i wspierając się kłykciami o jego krawędź, podszedł do okna i stanął, wyglądając na zewnątrz.

- Sandy posiadał ogromną wiedzę - powiedział. - Wiecznie sobie żartował i nigdy nie było wiadomo, czy brać poważnie to, co mówi. Jego wiedza była tak rozległa, że miało się pewność, iż za każdym żartem kryje się coś, o czym wiedział. Ale nie chciał tego zdradzić. - Powiedział - często mawiał - „A co, jeśli dawno temu świat był jakimś innym miejscem niż to, jakie znamy? To znaczy cały świat, wszystko, trudno to wyrazić; w każdym razie funkcjonował w sposób, w jaki już nie funkcjonuje”.

Pierce wstrzymał oddech, ażeby usłyszeć nikły głos starca.

- „A co, jeśli - ciągnął Boney - gdzieś w tym nowym świecie, w jakim obecnie żyjemy, pozostały, jakimś cudem, w jakichś miejscach, pewne maleńkie fragmenty tego utraconego świata. Fragmenty, które zachowały coś ze swojej dawnej mocy, z czasów, kiedy wszystko było inne. Na przykład jakiś klejnot. Elixir”.

Odwrócił się ku Pierce'owi i uśmiechnął się. Bajkowy Stwór. Tak nazywała go Rosie.

- Czyż nie byłoby to czymś niesamowitym, mawiał. O ile to prawda. Czyż nie byłoby to czymś niesamowitym.

- Istnieją takie rzeczy - stwierdził Pierce. - Rogi jednoroźca. Magiczne klejnoty. Zmumifikowane syreny.

- Sandy powiedziałyby: o n e, nie oparły się przemianie. Ale gdzieś, gdzieś tam, coś takiego być może istnieje. Ale ukryte; albo i nie ukryte, po prostu przeoczone; ukryte na widoku. Kamień. Proszek. Elik sir życia. - Pozycja stojąca sprawiała - tak się przynajmniej wydawało Pierce'owi - że Boney garbił się nieznacznie, jak gdyby jego kręgosłup z wolna topniał. - Przypuszczam, że się droczył. Z pewnością. A jednak pewnego razu w Górach Olbrzymich...

Nie powiedział już nic więcej. Wreszcie odszedł od okna i z powrotem usiadł w swoim fotelu.

- Więc jest to dobra książka? - spytał.

- Dopiero co ją zacząłem. Pierwsze rozdziały. Bruno. John Dee w Glastonbury. Wydaje mi się, że Dee i Bruno w końcu się spotkają. Bardzo wątpię, czy faktycznie do tego doszło. Ale z pewnością istniała taka możliwość.

- Może powinien ją pan dokończyć - zaproponował Boney. - To znaczy napisać zakończenie.

- Ha, ha - zaśmiał się Pierce. - To nie moja dziedzina.

Boney pomyślał chwilę.

- Mógłby ją pan zredagować. Do ewentualnej publikacji.

- Z pewnością chciałbym ją przeczytać - zadeklarował Pierce. -
Przynajmniej.

- Ja też, ale obecnie to nieco ponad moje siły - przyznał Boney. -
Nie jestem przy tym pewien, czy rozpoznałbym ją, gdybym ją tam
zobaczył. Ale pan. Pan.

Właśnie wtedy przez otwarte drzwi wturlała się, podskakując,
gumowa piłka, wielka, pomalowana w czerwone i białe pasy, z
białymi gwiazdkami na niebieskim tle. Podskoczyła dwukrotnie,
potoczyła się i stanęła w miejscu, wyrazista na tle dywanu.

- Czy posiada ona - spytał Boney - jakiś tytuł?

- Nie ma strony tytułowej - wyjaśnił Pierce.

Ale pomyślał, że wie, jaki tytuł miała prawdopodobnie
otrzymać; ku jakiemu tytułowi on, jako redaktor, skłoniłby się
najchętniej. Istnieje nie tylko więcej niż jedna historia świata,
pomyślał, po jednej dla każdego z nas, który ją bada; dla każdego z
nas istnieje więcej niż jedna, jest ich tyle, ile chcemy bądź
potrzebujemy, tyle, ile nasze głowy oraz pragnące serca potrafią
stworzyć.

Rosie wetknęła głowę do pokoju.

- Gotowy? - rzuciła.

- Na razie nie wejść z tobą do środka - oznajmiła Pierce'owi, kiedy
jechali do Stonykill.

- Nie?

- Muszę się włamać do innego domu - wyznała. - Mam parę spraw. Podrzucę cię na miejsce i wrócę po ciebie.

W deszczu Stonykill nabrało wyglądu winowajcy, sprawiało wrażenie obnażonego i nieszczęśliwego. Ktoś stał przy dystrybutorze paliwa niewielkiego sklepiku, pod zwisającą markizą, wycierając krople deszczu z okularów.

- W każdym razie - mówiła dalej Rosie - ty wiesz, czego tam szukać. Ja nie.

- Może tak - mruknął Pierce. - A może nie.

Zjechali, żeby zatrzymać się przy okratowanym podejździe Krafta, i przez chwilę siedzieli w milczeniu, spoglądając przez cętkowane deszczem okna ku domowi o zamkniętych okiennicach i sosnom.

- Wiesz - odezwała się Rosie - w autobiografii Kraft stwierdził, że chciałby napisać swoją ostatnią książkę.

- Tak?

- Pisze: książkę, której, umierając, nie ukończyłbym.

- A kiedy umarł? - spytał Pierce.

- Och, jakieś sześć lat temu. Zdaje mi się. Około 1972 roku.

- Aha. Hm.

- Czemu pytasz?

- Nic takiego. Myślałem po prostu o tej książce, która miała powstać. Przypuszczam, że przez jakiś czas mógł nad nią pracować. A potem ją zarzucił. Po prostu się nad tym zastanawiałem.

Rosie wyciągnęła klucz do kuchni Krafta ze swojego kółka i wręczyła go Pierce'owi; otworzył ogromne drzwi auta i najpierw wystawił swój czarny parasol, który ubawił Rosie, gdy go z nim ujrzała; on z kolei uznał za śmieszny fakt, że ludzie nie znajdują tu zastosowania dla parasoli i biegają po deszczu z gołymi głowami. Kwestia dumy, jak się zdawało.

- Na razie.

- Niedługo będę z powrotem - obiecała Rosie.

Parasol otworzył się błyskawicznie.

- Automatyczny - wyjaśnił Pierce.

Patrzyła za nim, jak długim susem przekracza bramę i idzie podjazdem, omijając kałuże. Jego miejski przeciwdeszczowy płaszcz był wymięty i szary.

Mogła go posiąść, na atlasowej pościeli Fellowesa Krafta; tyle tylko, że wówczas zdawał się z jakiegoś powodu nazbyt oszołomiony, by się w to zaangażować. Rosie zaś nie nalegała.

Obejrzała się za siebie, starając się dostrzec jak najwięcej, następnie spojrzała przed siebie, po czym wykonała szeroki i niezgrabny manewr zawracania. Pa, Pierce.

A oto, co się wówczas zdarzyło: kiedy tak stała z nim w półmrocznej sypialni, w jednej chwili poczuła, że zapomina, czemu się to robi, uwodzi ludzi, zbliża z nimi. Po prostu zapomniała; umknęło jej to. Toteż zrezygnowała z tego.

Rzecz jasna, jeśli o niego chodzi, jeszcze nic straconego. Zamiast ciepła przeszył ją osobliwy chłód, kiedy o tym pomyślała; odkręciła nie ten kran.

Dom, w którym mieszkała z Mikiem, był usytuowany po drugiej stronie rozległego obszaru Stonykill, w najnowszej jego części: ciąg szerokich tarasów, niezalesionych i nieosłoniętych przed wiatrem, na których wzniesiono półtorapiętrowe domy, wszystkie identyczne, pomijając fakt, że niektóre stanowiły zwierciadlane odbicie innych, odwrócone lewą stroną do prawej, a niektóre przodem do tyłu, dla urozmaicenia. Sprawiało to, że robiły na Rosie wrażenie osobliwie przypadkowych, rozrzuconych na stoku ze swymi pełnymi nadziei, uwiązanych do trawników młodymi brzoźami. Jak gdyby nikt nie był świadom, że wokół budują się inni. Ulice, które wiły się pośród nich, nazywały się Spruce, Redbud i Holly⁴⁵, lecz całą tę okolicę zawsze nazywano - być może od jakiejś nieistniejącej już wioski - Labrador.

Powoli zbliżyła się do domu, gotowa zawracać, jeśli na podjeździe znajdowałyby się jeden bądź kilka samochodów.

Nie było żadnego. Rosie nabrała zwyczaju, za co robiła sobie wyrzuty, zagładania do domu, kiedy nie było w nim Mike'a, ażeby odszukać rzeczy, których potrzebowały ona bądź Sam, przedmioty, których nigdy nie odzyskała, a o których dostarczeniu bądź odkupieniu nie miała ochoty pertraktować z Mikiem. Z początku wierzyła, że żadna z nich nie jest ważna, ale co pewien czas w ciągu tych miesięcy przypominała sobie jedną bądź przekonywała się, że potrzebuje drugiej, a wówczas objawiał jej się obraz owego

⁴⁵ Spruce, redbud, holly (ang.): świerk, judaszowiec kanadyjski, ostrokrzew.

przedmiotu leżącego na swoim miejscu w domu w Stonykill; jechała więc tam i włamywała się do środka, by go zdobyć.

Tyle tylko, że tak naprawdę nie było to włamywanie się. Właśnie weszła na górę schodami z garażu; te drzwi nigdy nie były zamknięte na klucz.

Była ciekawa, czy Mike zauważył, że podbiera różne rzeczy. Nigdy o tym nie wspominał.

Zaparkowawszy przy Redbud Street, z kieszeni wydobyła swoją maleńką listę. W jej piersiach tkwił twardy kamień, ołowiane zimno, które trwało tam przez cały dzień; a właściwie przez całą wiosnę.

Lusterko wst.

Myszki/balon

Pelikan

P. a..

Przez dziewięć miesięcy radziła sobie bez lusterka wstecznego, lecz nadszedł czas kontroli pojazdu, a ona nie była pewna, czy auto przejdzie przez nią bez niego. Jej grafion marki Pelikan leżał (dostrzegła go) na parapecie werandy, za telewizorem; pisała nim listy pewnej letniej nocy zeszłego roku.

Wepchnęła listę z powrotem do kieszeni. Książka o mysiej rodzinie, która wyrusza w podróż balonem: sporo czasu zajęło jej rozwikłanie tego, co Sam miała na myśli, mówiąc „blon myszki”, póki nie przypomniała sobie owej od dawna zaległej i już zapłaconej

zgubionej książki z biblioteki. To z powodu jutrzejszego wiosennego festynu balonowego na Podniebnej Farmie oraz niepoważnej obietnicy złożonej Sam przez Mike'a; ostatnio był gotów obiecać jej wszystko. Przejazdźka „blonem”. W każdym razie musi mieć tę książkę. Żeby nie wiem co.

Pigułki antykoncepcyjne, trzymiesięczny zapas, jaki nabyła na dzień przed tym, jak opuściła ten dom i Mike'a, znajdowały się w szafeczce za sedesem, w której stała również zasypka dla niemowląt, dwanaście opakowań chusteczek higienicznych, które Mike podprowadził z „Lasu”, oraz różności ze sklepu z kosmetykami kąpielowymi w Jambs.

Nadal tam są, była tego pewna. Mike prowadził tu życie niczym wiewiórka albo jaskiniowiec, jakieś stworzenie niezdolne pomyśleć o tym, w jaki sposób mogłoby zmienić swoje warunki, by mu służyły. Nic się nie zmieniło od zeszłego lata; ostatnim razem, gdy się tu włamała, jej stara koszula nocna wciąż wisiała na wewnętrznej części drzwi szafy na ubrania. Pigułki nadal tam są. Odstawiła je miesiąc po wyprowadzce; teraz uznała, że powinna do nich wrócić, a owe maleńkie różowe kropeczki były cholernie drogie, ona zaś potrzebowałaby nowej recepty, gdyby nie odzyskała tych, za które już zapłaciła. Stojąc w wilgotnym, pachnącym betonem garażu nie potrafiła sobie przypomnieć, czemu właściwie chce je odzyskać.

W garażu znajdował się trzykołowy rowerek Sam, który niekiedy podróżował wraz z nią, niekiedy zaś zostawał na miejscu, a także dziesięciobiegowy rower Mike'a, nieużywany tak intensywnie

jak na równinach Indiany. Ciało cyklisty, jakim niegdyś dysponował, o twardych udach i okrągłych plecach, sprawiało większą przyjemność jemu niż jej. Zimny kamień pod jej mostkiem był ciężki. Jesienne grabie; letnia kosiarka do trawy; zimowa łopata do śniegu. Zapomniała, czemu było to takie ważne, by uciec od tego wszystkiego, czemu zadała sobie tyle trudu, żeby zerwać te więzi; zapomniała, tak jak zapomniała, czemu niegdyś z takim mozołem usiłowała je stworzyć.

Stracone zachody miłości.

Nie pamiętała dlaczego: jak gdyby usunięto z jej wnętrza serce, a wraz z nim całą wiedzę o podobnych problemach. Co sprawia, że ludzie się kochają? Czemu zadają sobie ten trud? Dlaczego dzieci kochały rodziców, a rodzice dzieci? Czemu mężowie kochali żony, a kobiety mężczyzn; co oznaczało, kiedy mawiali: doprowadza mnie do szału, ale mimo to Kocham go?

Kiedyś z pewnością to wiedziała. Miłość bowiem sprawiła, że robiła wiele różnych rzeczy, a przy tym wpakowała się w wiele kłopotów. Kiedyś to wiedziała, niemal pamiętała ten fakt; pamiętała, że dobrze jej się układało z Mikiem i Sam, zaś owa głęboka więź czerpała swą siłę z miłości; miłość bowiem była dla niej nieodzowna. Kiedyś to wiedziała, teraz już nie; a obecna niewiedza sprawiała, iż wydawało jej się, że ani ona, ani nikt inny tak naprawdę nie wie, że wszyscy tylko udają, wymuszają to, nawet Spofford, nawet Sam, więc czemu zadawali sobie ten trud. W miejscu, w którym wcześniej znajdowało się jej serce, tkwiła przestrzeń zimnej utraty wiedzy i

ciemnej ignorancji, i była wszystkim tym, co owe powszednie przedmioty, niewinne narzędzia i zabawki, przywoływały; jej pies Nicość, tak nazywał się ów kamień w jej piersiach.

Rzecz jasna, na dłuższą metę nie można było żyć w ten sposób. Nie można było egzystować w podobnej ignorancji. Od czasu do czasu będzie musiała sobie o tym przypomnieć. Bez wątplenia. Ponieważ wciąż miała przed sobą całe długie życie do pokonania, dorastanie Sam, śmierć Boney'ego i swojej matki, a w końcu i własną: a nie zdoła go pokonać, nie pamiętając, czemu człowiek zadaje sobie ten trud.

Przypomni sobie. Nie miała co do tego wątpliwości. Jasne, że sobie przypomnisz, powiedziała do siebie i poklepała się w pierś: jasne, że tak.

Zatrzymała się u podnóża schodów wiodących na górę do kuchni - ciągu otwartych, nagich drewnianych stopni o widocznych śladach obróbki stolarskiej - nie mając ochoty wspinać się po nich. Zdawało się bowiem pewne, iż na schodach przydarzy jej się wypadek, albo że drzwi na górze ostatecznie okażą się zamknięte na klucz. Przez dłuższą chwilę stała, patrząc ku nim, a w końcu wyszła z powrotem na zewnątrz w strugi ciepłego deszczu.

- No i jak idzie? - spytała Pierce'a w drzwiach pracowni Fellowesa Krafta, ścierając deszczówkę z policzków. - Jak tam Bruno?

- Wyrusza na spotkanie z papieżem - odparł Pierce.

Powóz wyruszył z Neapolu, trzęsąc się na wyboistej drodze. Dwóch odzianych w jasne stroje konnych jechało na przedzie, by rozpędzać ciżbę. Woźnice klęli na ich widok, a ciągnący wzdłuż drogi wieśniacy zdejmowali czapki i robili znak krzyża. Siedzący naprzeciwko Giordana zakonnik w czarnobiałym habicie objaśniał mu szeptem, łaciną z rzymskim akcentem, charakter i przebieg jego wizyty: jak długo będzie przebywał w obecności papieża - nazywał go *Sanctissimus*, jak gdyby było to imię ulubionego zwierzaka - co winien robić i mówić, z kim rozmawiać a przed kim zachować milczenie.

„*Sanctissimus* wyciągnie do ciebie dłoń z pierścieniem, ale wolno ci tylko zbliżyć doń usta, w żadnym razie nie całować. Z Pierścienia Rybaka zostałby tylko pył, gdyby każdy, kto składa wizytę Jego Świątobliwości, naprawdę dotykał go wargami. *Sanctissimus* spotka się z tobą po południu, pomiędzy noną a nieszporem, po spożyciu obiadu. Jego posiłek należy do najskromniejszych. Wstrzemięźliwość Jego Świątobliwości dorównuje jego pobożności. Mów jasno i wyraźnie, Jego słuch nie jest już bowiem taki jak niegdyś...”.

Powóz zatrzymywał się na postoje w dominikańskich klasztorach w Gaecie i Latinie, konie były spienione i wyczerpane;

Giordano długo nie mógł zasnąć w dusznym upale, usiłując prześledzić na nowo szlak dotychczasowej podróży, najdłuższej w jego życiu, połączyć nowo poznane miejsca, drogi, świątynie, kościoły i pałace ze swymi neapolitańskimi miejscami pamięci: nowe szprychy skonstruowanego przezeń ziemskiego koła, ze środkiem w kościele San Domenico. Ruszyli w dalszą drogę przed brzaskiem, aby wykorzystać chłodniejszą porę dnia, a także czas, kiedy rabusie jeszcze śpią - jak wyjaśnił towarzyszący mu zakonnik.

Sława Giordana zatoczyła najszersze wyobrażalne kręgi: w każdym razie najszersze, jakie potrafili sobie wyobrazić neapolitańscy mnisi. Kiedy opat przybył do jego celi, aby przekazać mu wiadomość, że o młodzieńcu obdarzonym zadziwiającą pamięcią usłyszał papież i życzy sobie dowiedzieć się o nim czegoś więcej, i że Jego Świątobliwość już wysłał po niego powóz z Rzymu, w jego głosie pobrzmiwało głębokie zdumienie i podniosłość.

Pierwsza myśl Giordana, zupełnie bez związku, dotyczyła Cecca d'Ascoli. Powiem Mu o Ceccu, pomyślał. Powiem Mu: jeżeli to, co Cecco głosił na temat gwiazd, jest prawdą, jeżeli wszechświat rzeczywiście wygląda tak, jak sądził, to czyż może to być herezją? Prawda nigdy nie jest herezją. Popełniono błąd, nic poza tym; to oczywiste, że został popełniony błąd.

Powóz pędził starą Via Appia. Głowa śpiącego zakonnika kiwała się bezwładnie, kiedy Giordano pożerał wzrokiem grobowce, ruiny, kościoły wznoszące się wzdłuż tej nad wyraz prostej tłuczniowej drogi. Przejechali przez Porta San Sebastiano, minęli gigantyczne

ruiny łaźni i cyrków i wjechali prosto w ludne serce Rzymu. Na moście przez Tybr zakonnik wskazał Castel Sant' Angelo, wybudowany jako grobowiec cesarza Hadriana, a obecnie pełniący funkcję donżonu i lochów papieżstwa. Na jego szczycie stał zbrojny w miecz anioł, poruszający się nieco w drżącym południowym powietrzu.

Powóz nie zatrzymał się nawet u bram Pałacu Watykańskiego, przejechał przez nie i znieruchomiał dopiero w ogrodzie pełnym złotego kamienia i zielonych topoli, fontann, galerii i ciszy.

„Chodź” - odezwał się zakonnik. - „Umyjesz się i odświeżysz. *Sanctissimus* właśnie spożywa posiłek”.

Od owego dnia ogród ten (był to Cortile del Belvedere, zbudowany przez Juliusza II) miał się stać dla Giordana Bruna Ogrodem. Tych kilka stopni oznaczać miało Schody. Owe *stanze*, do których teraz wchodził, lśniące ciemną barwą w rozpalonym świetle dnia, stawały się dlań dziedzińcami i komnatami umysłu - myślącego, pamiętającego umysłu.

„Oto *stanze* ozdobione freskami przez Rafaela. To Triumf Kościoła. Święty Piotr. Święty Stefan. Święty Tomasz z Akwinu, z naszego zgromadzenia. Chodźmy”.

„Kto to jest?”

„Filozofowie. Przyjrzyj się uważnie. Nie rozpoznajesz Platona z jego brodą, Arystotelesa, Pitagorasa? Chodźmy”.

Pociągnął Giordana za rękaw, ale owładnięty zdumieniem młody zakonnik ociągał się. Tłum namalowany na klatce schodowej tego

chłodnego gmachu poruszał się, mężowie w togach trzymający tabliczki zamrugali oczyma, spojrzeli w dół na Giordana, uśmiechnęli się, po czym wrócili do przerwanej rozmowy i bezruchu.

Zakonnik przywiódł go przed oblicze innych dominikanów, sekretarzy dominikańskich kardynałów z otoczenia papieża; ci oglądali Giordana ze wszystkich stron i zadawali mu pytania. On zaś zaczął pojmować, po co go tam sprowadzono.

Zazdrość i podejrzania, zdolne dzielić i zaogniać konflikty wśród najpracowitszych chrystusowych sług skupionych wokół Tronu Piotrowego, były obecnie wyjątkowo żywe, a Giordano miał odegrać rolę pionka, jednego małego pionka w grze o wpływy i prestiż toczonej pomiędzy *Domini canes* a Czarnym Towarzystwem Jezusowym. Jezuici słynęli ze stosowania tam, gdzie to tylko możliwe, Nowej Nauki, a także z wykorzystywania wszelkich jej nowinek i sukcesów dla celów Kościoła w swych kolegiach i akademiach. Dominikanie chcieli pochwalić się własną wiedzą, a także przypomnieć Piusowi, który sam był zresztą dominikaninem (choć nie zawsze wydawał się na tyle świadomy tego, na ile by mógł), że Jego czarno-białe ogary strzegą skarbu równie cennego jak jakakolwiek Nowa Nauka: Sztuki Pamięci, którą zakon tak dalece udoskonalił. *Sanctissimus* będzie rozbawiony, widząc, jak sprawnym uczyniła ona dominikański umysł. *Sanctissimus* odbierze również pewną lekcję.

Kardynał Rebiba osobiście odprowadził Giordana z powrotem do *stanz* Rafaela, kiedy ten już się umył i zaspokoił głód, i przedstawił

go małej, wysuszonej gruszczyce, jaką był Pius V, Namiestnik Chrystusa na Ziemi. Mieszkał w tych komnatach, pod tymi malowidłami, wśród krzątających się mnichów. Siedział na wysłanym poduszką krześle; był tak niski, że Jego białe satynowe kapcie nie sięgały podłogi, a jeden z mnichów pośpiesznie musiał podsuwać pod nie taboret.

Giordano zaprezentował swoje sztuczki. Wyrecytował psalm Fundamenta po hebrajsku po tym, jak odczytano go na głos tylko raz; wymienił grobowce przy Via Appia w kolejności, w jakiej je mijał. Spróbowano sztuczki *amiavi-amaveri-veravama*, ale *Sanctissimus* nie zrozumiał jej przebiegu, toteż musiała zostać szybko zakończona.

„Zgłębialiśmy tę sztukę, kiedy byliśmy młodzi” - rzekł papież do Rebiby, który skinął głową zachęcająco, po czym zwrócił się do Giordana: - „Teraz nie jest Nam już potrzebna. Jak widzisz, wszędzie dookoła mamy sekretarzy, którzy pamiętają za Nas wszystko to, o czym winniśmy pamiętać. Być może któregoś dnia zostaniesz jednym z nich”. - Następnie skinął głową z uśmiechem pełnym łagodności i rzekł: - „Kontynuujmy”.

W ogniu pytań Rebiby sztukmistrz pamięci (oszczędny w słowach wskutek tremy i nie pamiętając już całkiem o Ceccu) opisał swoje ćwiczenia oraz to, jak zbudował własne pałace i stworzył obrazy, które w nich wykorzystywał; nie wspomniał ani słowem o gwiazdach ani o *horoscopi*, ale opowiedział im o tym, jak można spożytkować hieroglify Egiptu, znaki stworzone przez Hermesa.

„Czy to ten Hermes” - zapytał papież - „który dał Ægipcjanom prawa i pismo?”.

„Ten sam, Wasza Świątobliwość” - odparł Giordano.

„A któż to w jego dziełach rozprawiał o Słowie Bożym, Synu Boga, przez którego świat został stworzony, choć żył on na wiele pokoleń przed naszym Zbawicielem?”.

„Nie studiowałem jego dzieł” - odparł Giordano.

„Podejź tu i spójrz” - rzekł Sanctissimus. - „Chodź”.

Wśród krzątający mnichów oraz Rebiby papież podszedł do największej ze *stanz*, *Stanza della Segnatura*, przy której zwykł zatwierdzać postanowienia trybunału kościelnego, i przystanął wraz z Giordanem pod malowidłami podparte filarami bazyliki, pod Platonem, słońcem, prawdą.

„Spójrz tam” - rzekł papież. - „Obok mężczyzny z diagramem, czyli Pitagorasa. Kim jest ten człowiek w bieli?”.

„Nie wiem” - odparł Giordano.

„Nikt tego nie wie” - przyznał ojciec święty. - „Tu jest Platon. Pitagoras. Epikur (który trafił do piekła) z wieńcem z liści winorośli we włosach. Czy to możliwe, że ten w bieli to Hermes?”

Giordano zadarł głowę i spojrział na wskazywaną przez papieża postać.

„Nie wiem” - powtórzył.

Papież wznowił wędrówkę po tłocznej komnacie - tłocznej wielkimi postaciami przeszłości - a Giordano szedł za nim.

„Ptolemeusz” - wyjaśnił papież, wskazując ręką. - „W koronie, król Ægiptu. Czy Hermes również nie był królem Ægiptu? I spójrz tam. Homer. I Wergiliusz. Ale kim są ci mężczyźni, ci w zbrojach?”

Kardynał Rebiba obserwował ich z gorzkim zdumieniem: niewysoki staruszek i mnich, którego umięśniony kark i pełen napięcia krok zdawały się należeć raczej do jakiegoś rzezimieszka czy zapaśnika niż do filozofa. Studiowali malowidła, nad których znaczeniem samemu kardynałowi nigdy nie zdarzyło się zastanawiać. Popołudnie chyliło się ku końcowi, a w dodatku przybrało niekorzystny obrót; neapolitańczyk, zamiast zdumiewać swoją sztuką, obnażył własną ignorancję.

„Mieszkamy w tych komnatach” - powiedział *Sanctissimus*. - „Tak samo jak wszyscy ci ludzie. A nie wiemy nawet, kim są ani co ich tu sprowadza. No cóż”.

Wyciągnął ku niemu dłoń z pierścieniem, a Giordano przyklęknął i, tak jak go pouczono, zbliżył usta, ale nie pocałował kamienia na Jego palcu, a wówczas papież cofnął rękę.

„Musimy już wracać do Naszych obowiązków. Czy jest coś, czego potrzebujesz? Proś”.

„Chciałbym” - poprosił Giordano - „przeczytać pisma tego Hermesa”.

„Czy jest to dozwolone?” - zapytał papież, po czy zwrócił się do Rebiby: - „Tak?”.

Czerwieniąc się, Rebiba wykonał wieloznaczny gest.

„Jeżeli jest to dozwolone” - świadczył ojciec święty - „możesz się z nimi zapoznać. Zejdź na dół. W Naszej bibliotece posiadamy tyle ksiąg, że sami nawet nie wiemy jak wiele. *Hermes et hoc genus omne*”.

Odwracając się ku wyjściu, podniósł dłoń, a Jego sekretarz natychmiast znalazł się przy Jego boku.

„*Index librorum prohibitorum*” - podyktował tamtemu - „wymaga zbadania. Powołamy congregatio Naszych kardynałów. Muszą się naradzić w tej sprawie. Została wysoce zaniedbana”.

Odszedł, zostawiając Giordana i innych na kolanach, a czerwonego na twarzy Rebibę w głębokim ukłonie.

„Możesz odejść” - zwrócił się do niego Rebiba. - „Biblioteka jest piętro niżej. Byłeś gorzej niż beznadziejny”.

Za wychodzącym kardynałem, jak gdyby trzymając się gniewnego szelestu jego satynowych sukni, odeszli inni księża, sekretarze, strażnicy i słudzy, którzy wypełniali komnatę. Pozostał tylko jeden człowiek, stojący w przeciwległym wejściu, młody i uśmiechnięty chłopak o jasnych włosach, z dłońmi złożonymi przed sobą, którego Giordano wcześniej nie dostrzegł. Bez słów skinął na Bruna, dając mu znak, aby ten udał się za nim. Sprawnie zszedł wąskimi schodami, które po dłuższym odcinku przechodziły w nieużywany ciąg komnat, ozdobionych malowidłami, pustych, zalanych światłem dnia.

„Spójrz na tamtą ścianę, pod zodiakiem” - odezwał się chłopak. - „Kto trzyma księgę? Hermes”.

Giordano zwrócił oczy ku malowidłu. Przedstawiająca niebiosą sferą armilarną zawisała tuż nad głową mężczyzny o miłym wyrazie twarzy, który pośród ogrodu przemawiał do innych, być może Egipcjan.

„Namalował to Pinturicchio” - poinformował chłopak. - „Chodź. Pokażę ci jeszcze jednego Hermesa w dalszej komnacie”.

Przeszli przez sąsiednie pomieszczenia, komnatę Apostołów, łatwo rozpoznawalnych za sprawą atrybutów: klucze u świętego Piotra, księga u Mateusza, krzyż u Andrzeja; i przez komnatę Sztuk - Astrologii, Medycyny, Geometrii i Gramatyki - z których wszystkie przedstawione były zupełnie tak, jakby zostały stworzone w komnatach pałacu pamięci, który nosił w sobie Giordano.

„Kogo tu widzisz?” - spytał chłopak, prowadząc go do ostatniej z komnat. - „Kogo widzisz na tej ścianie?”.

„Merkurego” - odparł Giordano.

„A zatem i Hermesa”.

Młody mężczyzna o tym samym miłym wyrazie twarzy co człowiek stojący pod sferą armilarną: zakrzywionym mieczem powala groteskową postać, której oczy osadzone są nie tylko w głowie, ale rozsiępane po całym ciele, na policzkach, ramionach, udach. Zza ich pleców wygląda łagodna krowa: Io. Przemieniona w krowę przez Junonę, miała być strzeżona przez stuokiego Argusa, lecz Argusa zgładził Merkury, Io zaś uciekła do Egiptu.

„Spójrz” - powiedział chłopak. - „Egipt”.

Wzdłuż granic wyznaczonych przez ściany, w całym pokoju, widać było piramidy, hieroglificzne byki, Izis, Ozyrysa.

„To Aleksander VI kazał zbudować te komnaty” - wyjaśnił młodzieniec. - „Jego znakiem był Byk; studiował magię; znał Marsyliusza i uwielbiał go. Uwielbiał również bogactwo. To był bardzo zły człowiek”.

Jego jasne, roześmiane oczy skierowały wzrok Giordana w stronę kolejnej ściany: siedząca królowa, acz nie Nasza Pani; brodaty prorok u jednego jej boku, u drugiego zaś ten sam silny mężczyzna o miłej powierzchowności, zadumany, nieznacznie uśmiechnięty.

„Królowa Izis” - poinformował chłopak. - „Która wcześniej była Io. I Merkury, który wyruszył do Ægiptu i dał Ægipcjanom prawa i alfabet. Ten drugi mężczyzna to Mojżesz, który również żył w tamtym okresie”.

„Tak” - przytaknął Giordano. Przeniósł wzrok z jasnych, rozmarzonych oczu Merkurego na malowidło na jasne, roześmiane oczy jasnowłosego chłopaka, a jego ciało przeszedł dziwny dreszcz.

„Chodźmy” - powiedział młodzieniec. - „Zejdziemy na dół”.

Weszli do małej, zaniedbanej kapliczki, a stamtąd krętymi schodami zeszli w dół wprost do komnaty, której woń Giordano rozpoznał bez namysłu. Księgi.

„Zwie się *Floreria*. Usiądź”.

Stał tam szeroki, obdrapany stół, na który z wysokiego okna padały promienie światła; przed nim zaś stała ławka. Giordano usiadł.

W późniejszym okresie życia nie będzie zbyt wyraźnie pamiętał owego przesiadywania tam, a nawet tego, ile spędził tam dni. Co pewien czas do stołu przynoszono mu jedzenie; w korytarzu, między stertami ksiąg czekających na oprawę, przygotowano mu posłanie, i tam niekiedy sypiał. A uśmiechnięty młodzieniec przychodził i znikał, kładł przed nim księgi i je zabierał, po czym dostarczał kolejne. On również przynosił posiłki, on ciągnął Giordana za włosy, kiedy ten zasypiał nad otwartymi stronicami.

Czy przebywali tam inni? Z pewnością, inni badacze, bibliotekarze, studenci, plądrujący skarb papieżstwa, lecz niewyrządzający mu szkody: niektóre z twarzy, jakie w wyobraźni Bruna już na zawsze nosić mieli uczestnicy dialogów Hermesa Po Trzykroć Wielkiego, zostały niechybnie zapożyczone od czytelników, których tam ujrzał: ale on sam ich nie pamiętał. Pamiętał jedynie to, co wyczytał w księgach.

Były to olbrzymie, bez mała stuletnie woluminy folio, łacińskie tłumaczenia z greckich oryginałów (które niegdyś pochodziły z egipskiego) autorstwa Marsilia Ficina: oprawne w złoto i biel, drukowane wyraźną, uśmiechniętą rzymską czcionką. *Pimander Hermetis Trasmegisti*. Zaczął od pełnych zachwyty komentarzy Ficina:

W onym czasie, kiedy na świat przyszedł Mojżesz, działał z wielkim powodzeniem Atlas astrolog, brat Prometeusza fizyka, a także po kądzieli wuj

starszego Merkurego, którego krewnym był Merkuriusz Trismegistus.

Czytał o tym, jak Pimander, Umysł Boga, przyszedł do Merkuriusza-Hermesa i wyjawiał mu sekret pochodzenia wszechświata: a była to opowieść zadziwiająca, podobna do tej mojżeszowej z księgi Genesis, ale też odmienna, bo Człowiek nie został w niej ulepiony z gliny, lecz jego istnienie poprzedzało stworzenie, był jednocześnie synem i bratem Boskiego Umysłu i dzielił Jego moc twórczą; dzielił z siedmioma Archontami - planetami - ich niebiańską naturę. Właściwie to człowiek sam był Bogiem, dopóki, zakochawszy się w Stworzeniu, które pomógł uformować, nie upadł; i połączył istotę własnego bytu z materią, z której stworzona była Natura; i stał się ziemski, uwięziony w miłości i śnie, i poddany *hemarmene* oraz Sferom.

Musi zatem z powrotem wspiąć się do góry, poprzez Sfery, odbierając od każdego z siedmiu Archontów moce, które utracił podczas upadku, i zostawiając za sobą kolejne warstwy materii, w którą był przyobleczony, aż w Ogdoadzie powróci do swej prawdziwej natury i zaśpiewa hymn pochwalny na cześć Ojca:

Święty jest Bóg, Ojciec wszelkiego stworzenia,
który istniał przed pierwszym początkiem;

Święty jest Bóg, który cel swój osiąga poprzez
swe Moce;

Świętością jesteś Ty, którego wizerunkiem jest cała natura...

Przyjmij czyste dary mowy płynącej z serca i duszy wzniesionej ku Tobie, Ty, którego nie wyrażą słowa, nie określi język, którego wypowiedzieć może li tylko milczenie...

O jakąż podróż chodziło, jak można ją odbyć, jak zdobyć siły, które uniosą człowieka lub jego ducha tak daleko? Giordano przeczytał słowa, jakie Pimander skierował do Hermesa:

Wszystkie byty trwają w Bogu, lecz nie tak, jakby były gdzieś umieszczone; nie bardziej, niżli są one umieszczone w niematerialnej zdolności przedstawienia. Sam o tym wiesz: Każ swojej duszy znaleźć się w Indiach, przebyć oceany, a stanie się to w mgnieniu oka. By wznieść się do nieba, dusza nie potrzebuje skrzydeł, nic nie zatrzyma jej na drodze do celu. A jeśli zapragniesz przebić sklepienie wszechświata i ujrzeć to, co znajduje się poza nim - o ile coś się tam znajduje - możesz tego dokonać.

Czy widzisz, jakie moce, jaka szybkość w tobie drzemie? Tak właśnie należy wyobrażać sobie Boga. Wszystko się w Nim zawiera - wszechświat, On sam i

wszystko inne - tak jak myśli zawarte są w umyśle. Jednakże dopóki nie uczynisz się podobnym Bogu, nie zdołasz Go poznać, albowiem by go zrozumieć, trzeba być Mu tożsamym.

A zatem uczyń siebie samego wielkim, wykrocz poza wszelkie miary; jednym susem uwolnij się od własnego ciała. Wzniesź się ponad Czas i stań się Wiecznością: wówczas zaczniesz pojmować Boga. Uwierz, że tak jak dla Boga, tak i dla ciebie wszystko jest możliwe; wyobraź sobie, że jesteś nieśmiertelny, zdolny zrozumieć wszystko, wszelkie sztuki, nauki, naturę każdej istoty żyjącej. Wdrap się ponad najwyższy szczyt; zejdz niżej niż najgłębsza otchłań. Wchłoń w siebie doznanie całego stworzenia, ognia i wody, tego, co wilgotne, i tego, co suche, zimne i gorące, wyobrażając sobie, że jesteś w każdym miejscu na ziemi i w morzu, w siedliskach zwierząt, że jesteś jeszcze nienarodzony, przebywasz w łonie matki, jesteś podlotkiem, starcem, umierasz, wykraczasz poza śmierć. Jeśli potrafisz objąć myślą wszystko w jednej chwili, wszystkie epoki, miejsca, substancje, jakości, ilości, wówczas być może zrozumiesz Boga.

Wszystko, wszystko zawarte w obrębie myślącej jaźni, tak jak wszystkie rzeczy, które Bruno kiedykolwiek zobaczył czy zrobił, wszystkie narzędzia, ptaki, ubrania, naczynia kuchenne z listy jego współpracowników w Neapolu, wszystko to zawierało się - osobne, odnajdywalne, odrębne - wewnątrz okrągłego pałacu pamięci w jego czasach. Wiedział. Wiedział.

Nigdy już nie mów, że Bóg jest niewidzialny; nigdy tego nie głoś, coż bowiem bardziej przejawia się w rzeczywistości niż Bóg? Wszystko zostało stworzone przez Boga po to, abyś mógł zobaczyć owo Wszystko w jego stworzeniu; cudowna potęga Boga polega na tym, że przejawia się On w każdej istocie. Nic nie jest niewidzialne, nawet istoty bezcielesne. Umysł uwidacznia się w akcie myślenia, podobnie jak Bóg uwidacznia się w akcie stworzenia.

Giordano czytał, jego serce biło wolno i mocno; czytał ze spokojną pewnością i głębokim zadowoleniem dziecka ssącego pokarm, które wie, że jest mu on potrzebny. Miał rację, miał rację od samego początku.

Hermes, po tym jak został kapłanem i królem, przekazał innym wiedzę, którą posiadał od Umysłu. Istniały dialogi między nim a jego synem, Tatem, oraz jedna długa rozmowa pomiędzy nim a jego uczniem Asklepiuszem, w której przekazywał mu wiedzę o w pełni

już ukształtowanej religii Egiptu i jej praktykach. Bóg obdarza życiem wszystkie istoty poprzez gwiazdy; stworzył też drugiego Boga, Słońce, pośrednika, przez którego boska światłość trafia do wszystkich. A następnie Horoskopy, o których Giordano już wcześniej czytał, *dekany* odpowiedzialne za trwałość, poprzez nieskończoną różnorodność i nieustającą zmienność, Przyczyny Świata: one same stale zmieniają swą formę niczym obrazy talizmanów Picatrix, lecz mimo to trwają. A imię głównego bóstwa wśród tych bogów to Pantomorf, czyli „wszechkształtny. „, Giordano roześmiał się w głos.

A prócz tego istnieją inni bogowie, których działania i moce są rozdzielane pomiędzy wszystkie istoty...

Księga Asklepiusza opowiadała o tym, jak kapłani Egiptu potrafili przywołać z gwiazd demony i kazać im zamieszkać w wykonanych przez siebie zoomorficznych posągach z kamienia; wówczas zaczynały one mówić, głosić przepowiednie, wyjawiać sekrety. Owi kapłani posiadali ogromną wiedzę o tym, w jaki sposób boskość przenika niższy świat, które zwierzęta i rośliny są we władzy jakiej gwiazdy, jakim zapachom, kamieniom, jakiej muzyce demony nie potrafią się oprzeć.

Cała ta utracona wiedza, wszechkształtne niebiosy i ziemia, przepadły; jak gdyby sfera armilarna, której Pinturicchio kazał unosić się nad głowami Hermesa i Egipcjan, została roztrzaskana, a jej

skorupy rozrzucone, toteż dzisiaj można się natknąć jedynie na jej szczątki i głowić się nad jej znaczeniem w owej drugiej epoce brązu; przetrwała jedynie w pogłoskach, zniekształconych opowieściach, zaklęciach, odłamkach. Picatrix.

Ale w jaki sposób została utracona, dlaczego?

Otóż przyjdzie czas, kiedy okaże się, że Ægipt na próżno, za sprawą swojej religijnej troskliwości, przechował w swoim pobożnym sercu boską świętość. A cała ta nabożna cześć okaże się jałowa i bezowocna. Opuszczony zostanie Ægipt i ta ziemia, która uprzednio była siedzibą kultu bożego, pozbawiona będzie obecności bogów. Obcy przybysze bowiem, którzy zaludnią ten kraj i całą ziemię, nie tylko zaniedbają praktyk religijnych, lecz do tego jeszcze wydadzą - a to jest znacznie gorsze - prawny zakaz pobożności, bogobojności i kultu bożego, pod groźbą kary. Wtedy to ta najświętsza ziemia, kraina świątyń i wyroczni, będzie pełna grobów i zmarłych. O Ægipczie! Ægipczie! po twojej dawnej religijności pozostaną jedynie legendy, niewiarygodne dla przyszłych pokoleń, i napisy wyryte w kamieniach, które będą opowiadać o twoich świętych dokonaniach⁴⁶.

⁴⁶ Ten oraz poniższe fragmenty dialogu *Asklepiusz, czyli rozmowa z Hermesem Trismegistosem* Pseudo-Apulejusza w przekładzie Kazimierza Pawłowskiego.

Czytał, a czytając, ronił łzy. Wiedział, w jaki sposób stara religia sięgnęła kresu; wiedział, co za nieznanymi mieli stać się nowym obiektem kultu. Kiedy starzy bogowie pierzchli, kiedy kobiety łkały, że Pan nie żyje. Kiedy Chrystus, którego barwy nosił na sobie Giordano - którego był rycerzem - wygnał ich wszystkich, wszystkich prócz Siebie, Swojego Ojca i emanacji ich obu, która dopełniała trójcy: pogmatwane potrójne bóstwo, zbyt zazdrosne, aby przyzwolić na jakiegokolwiek tajemnice poza własną.

Dlaczego płaczesz, Asklepiuszu? Wiedz, że nadejdą jeszcze gorsze od tych i większe nieszczęścia. [...] Ludzie z odrazą i wstrętem odwrócą się od świata i bynajmniej nie będzie on już w ich oczach godny najwyższego podziwu i czci. Tak oto ten dobry wszechświat, od którego nigdy ani nie było, ani nie ma, ani nigdy już nie będzie nic lepszego, co mogłyby oglądać oczy ludzkie, znajdzie się w niebezpieczeństwie i stanie się ciężarem dla ludzi. Przez to znajdzie się w pogardzie i bynajmniej nie będzie uwielbiany przez ludzi cały ten świat - to niepowtarzalne dzieło boga, pełna chwały budowla: dobro złożone z wielorakiej różnorodności obrazów [...]. A wówczas ludzie będą woleli ciemność od światła, a w śmierci będą dostrzegać więcej pożytku niż w życiu. Nikt już nie będzie spoglądał w niebo. [...]

Nastanie bolesne oddzielenie bogów od ludzi. Pozostają jedynie złe, szkodliwe anioły [...]. Wtedy ani ziemia nie będzie pewnie stała, ani po morzu nie będą płynąć okręty, ani niebo nie będzie właściwym miejscem dla ruchu gwiazd, ani ciała niebieskie nie utrzymają swoich torów. [...] Owoce ziemi zostaną zniszczone i ziemia przestanie rodzić, nawet powietrze zastygnie w posępnym odrętwieniu. Taka oto starość przyjdzie na świat.

Tak. Z oczyma zamglonymi przez łzy, pociągając nosem, z głową podpartą na dłoni Giordano odcyfrowywał słowo po słowie. Nie zostali wygnani; odeszli z własnej woli, odstręczeni zachowaniem parweniuszy, którzy szydzili i pogardzali ich wiedzą i mocami, darami ofiarowanymi człowiekowi, a teraz mu odebranymi.

Lecz skoro odeszli z własnej woli, to możliwe jest, że pewnego dnia powrócą; można ich do niego skłonić. Powrócą!

Takie oto są przyszłe losy świata: odnowa wszystkich rzeczy dobrych i przywrócenie samej naturze jej najświętszych i najczystszych postaci, wymuszone biegiem czasu, [wolą boga], która jest i pozostanie wieczna i bez początku.

Czytając, ujrzał ich powrót, ludzi jak bogów czy też bogów podobnych do ludzi, prawdziwych spadkobierców mających udział w boskiej mocy odnowy; ujrzał, jak rozstępuje się przed nimi wezbrane powietrze, nocne stworzenia pierzchają, nastaje brzask.

A skoro chwila ta miała nadejść wieki temu, czemu nie miałyby nadejść teraz, właśnie teraz - kiedy tę starożytną wiedzę ponownie ofiarowano człowiekowi, została ujęta w tę czcionkę, wydrukowana na tych stronicach? Dlaczegoż by nie teraz?

„Teraz” - powiedział miękki głos za jego plecami, a chłopak, który przyniósł mu księgę, usadowił się koło niego na ławie - „posłuchaj uważnie, ale nie wpadaj w popłoch”.

Bruno położył dłoń na stronicy, zaznaczając czytane miejsce, by zatrzymać na chwilę strumień wiedzy.

„O co chodzi?”

„Nadeszła wiadomość z Neapolu. Święte Oficjum rozpoczęło postępowanie przeciwko tobie. Nie odwracaj się”. „Skąd o tym wiesz?”

„Będziesz sądzony za herezję. Powiadomiono Święte Oficjum w Rzymie. Sto trzydzieści punktów oskarżenia”.

„Niczego nie zdołają udowodnić”.

„Czy kiedykolwiek” - spytał chłopak łagodnym tonem - „zostawiałeś księgi w wygodce?”

Giordano zaśmiał się.

„Znaleziono tam pisma” - wyjaśnił tamten. - „Erazma. Komentarze do świętego Hieronima”. „Erazma? Nic straszniejszego?”.

„Posłuchaj” - powiedział chłopak. - „Przygotowywali to długo i starannie. To będzie dla ciebie trudna przeprawa. Wszystko zostało ukartowane, przesłuchanie, świadkowie, dowody”.

„Są ludźmi” - odparł Bruno. - „Mają rozum. Wysłuchają mnie. Muszą wysłuchać”.

„Uwierz mi, bracie. Nie możesz tam wrócić”.

W chłodnym, wysokim pomieszczeniu nie było już nikogo poza Bninem i jasnowłosym młodzieńcem, który nadal się uśmiechał, siedząc z rękami złożonymi luźno na kolanach. W sercu Bruna jał tlić się ogień, aż zapłonęło gorąco i boleśnie.

„Papież” - powiedział. - „Pomówię z Nim. Powiedział, że ja..., że On, On... „

Twarz chłopaka nie zmieniła wyrazu, czekał tylko, aż Bruno da za wygraną, aż zająknie się, bezsilny. Wówczas powiedział:

„Zostań tu do zmroku. Potem wyjdź przez tamte drzwi, małe drzwiczki na przeciwległym krańcu sali. Idź korytarzem. Wejdź schodami w górę. Tam się spotkamy”.

Wstał.

„O zmierzchu” - powiedział i rzucił Giordanowi z góry uśmiech, jaki mogliby wymienić wspólnicy, jak gdyby na myśl o żarcie, w którego przygotowanie obaj byli wtajemniczeni; tyle tylko, że

Giordano nic o nim nie wiedział, toteż zjeżyły mu się włoski na karku, skurczyła moszna. Chłopak odwrócił się i odszedł.

Giordano spojrział na stronicę, na której spoczywała jego ręka. Długie promienie popołudniowego słońca już z niej znikwały.

Natomiast ci, którzy panują nad ziemią, zostaną przywrócenii światu i rozmieszczeni w mieście na samym skraju Egiptu, które zostanie założone gdzieś na zachodzie, i do którego lądem i morzem pospieszy wszelki rodzaj śmiertelny.

Czytał dopóty, dopóki nie przestał rozróżniać słów. Przeczytał wszystko, co dane mu było poznać, a wówczas zapadła noc. Wstał. Jutro wypada Święto Przemienienia Pańskiego, pomyślał, szósty sierpnia. Przeszedł przez długie, sklepione pomieszczenie, mijając stoły do nauki ustawione pod granatowymi w nocnym świetle oknami, i otworzył małe, ciężkie drzwiczki.

W ciemności jego stopy odnalazły strome schody; wspiął się w kierunku półpiętra, gdzie za zakrętem połyskiwało światło lampy. Jasnowłosy chłopak czekał na niego, siedząc na schodach. Na kolanach trzymał jakieś zawiniątko.

„Zdejmij habit” - nakazał cichym tonem. - „I włóż to”.

Bruno przeniósł wzrok z chłopaka na wyciągnięty w jego kierunku tobołek.

„Co?”.

„Szybko” - powiedział młodzieniec. - „Pospiesz się”.

Przez moment zdawało mu się, że masywne kamienie pod jego stopami poruszyły się, jak gdyby budynek miał runąć. Ściągnął biało-czarny habit i grubą bieliznę, drżąc z lekka. Zawiniątko zawierało owinięte w pelerynę rajtuzy, buty, kaftan, koszulę. Chłopak siedział o stopień wyżej z podbródkiem podpartym na rękę i obserwował, jak mnich trudzi się z nieznaną mu garderobą, usiłując trzęsącymi się dłońmi pozawiazywać koronki. Na końcu długa peleryna z kapturem. Do tego pasek z sakiewką i niewielki sztylet. Sakiewka była ciężka.

„Posłuchaj” - odezwał się chłopak, podnosząc się. - „Posłuchaj i zapamiętaj wszystko, co powiem”.

Mówił łagodnie i wyraźnie, stukając czasem jednym palcem wskazującym w drugi, kiedy wymieniał jakąś nazwę, lub podnosząc palec w ostrzegawczym geście. Nakreślił trasę, jaką miał przebyć Giordano, ulice, bramy i przedmieścia, drogi prowadzące na północ, mniejsze i większe miasta. Bruno, odziany w strój należący do kogoś innego, wszystko to słyszał i nie miał już tego zapomnieć.

„Tamtejszy medyk i jego rodzina” - mówił chłopak. - „Zwróć się do nich. Wiedzą o wszystkim. Pomogą”.

„Ale jak, jak... „

Młodzieniec uśmiechnął się i odparł:

„To także giordaniści. Na swój sposób”.

Zaśmiał się nieznacznie, patrząc na pozbawionego stroju duchownego Giordana, i pociągnął pelerynę, żeby ją wyprostować;

podniósł lampę i w jej świetle odnalazł drogę do krętych schodów prowadzących do kolejnego, wąskiego korytarza kończącego się dwuskrzydłowymi drzwiami.

„No dobrze” - powiedział.

Postawił na ziemi lampę; ujął okrągłe uchwyty, przekręcił je i pchnięciem rozwarł drzwi. Giordano Bruno wyjrzał na pusty brukowany plac; na środku szumiała fontanna; w odległej uliczce ktoś szedł z pochodniami, słychać było piskliwy śmiech. Na twarzy czuł nocne powietrze. Wolność. Stał, rozglądając się.

„Idź już” - nakazał chłopak.

„Ale... Ale... „

„Idź” - powtórzył tamten i wypchnął go na zewnątrz lekkim uderzeniem miękkiego buta w obleczonego w rajtuzy pośladek; drzwi zatrzasnęły się za plecami Giordana.

Świat nie był mały: był ogromny, a czyniły go takim nieskończenie małe kroczki piechura, czy też człowieka jadącego na mule, niesionego w lektyce, a nawet dosiadającego ręczego wierzchowca. Długa droga ciągnęła się w bezkres, niekiedy przechodząc w ledwie widoczną ścieżkę bądź niknąc bez mała pośród mokradeł lub gór, lecz zawsze w końcu wyłaniając się na nowo. Którędy do Viterbo? Do Sieny? Kolejna rzeka, przez którą trzeba się przeprawić, bór, przez który należy się przedrzeć (rozglądające się we wszystkie strony, szeroko otwarte oczy, palce zaciśnięte na rękojeści sztyletu), następne otoczone murami miasta: Siena, Vitello, Cecino, które strudzonemu wędrowcowi zdawały się jednym i tym samym miejscem powtórzonym w nieskończoność, niczym jeden maleńki drzeworyt, który w księgach geograficznych może oznacza zarówno Norymbergę, jak i Wittenbergę, Paryż i Kolonię: wieża, następna wieża, zamek, smuga dymu, brama, niepozorny podróżny, zdumiony i oszołomiony.

Najpierw udał się na północ, jak wszyscy włoscy heretycy; ostatnie ze swych rzymskich miejsc łączył z pierwszym z tokańskich, ostatnie z tokańskich z pierwszym z genueńskich. Trzymał się wskazówek, jakie otrzymał, przekazywany z jednego domostwa do drugiego, z jednego schronienia ku następnemu, nigdy nie

pozostawiany na łasce losu i nieszczególnie zdziwiony fortuną, która mu sprzyjała: nie miał pojęcia, jak wygląda świat poza Nolą i Neapolem, i nie zdziwił się, odkrywając, że zamieszkują go ludzie gotowi mu pomóc.

Przez wiele dni wędrował pieszo, aby nie naruszyć zawartości sakiewki, a nowe rajtuzy, które miał na sobie, ocierały mu uda, tak że niemal płakał z bólu i rozdrażnienia. Jedyne, co mnisi kiedykolwiek zrobili dla ludzkości, to wynalezienie rozsądnego stroju dla człowieka, a i tak nikt poza nimi go nie nosił.

Dopiero kiedy dotarł do nowego miasta Livorno, ośmielił się wsiąść na statek pod czujnym okiem urzędników portowych: Livorno było wolnym portem, toteż wszystkie narody i religie mogły korzystać tam z pełnej swobody. Giordano zszedł ulicami miasta prosto do portu, rozglądając się na boki, podziwiając malowane fasady domów, przedstawiające zwycięstwa świętego Stefana nad Turkami, których sceny rozdzielono pomiędzy kolejne fasady.

Wolne miasto. Wolność. Żydzi w sklepikach i składach kupieckich prowadzili interesy bez przymusu noszenia żółtych oznaczeń; w południe z maleńkiego minaretu wychylał się mężczyzna w turbanie i intonował długą modlitwę w niezrozumiałym języku: nawet Turkom bowiem wolno było zbudować meczet dla swego ludu. Na rynku zbierali się marynarze najróżniejszych narodowości, aby kłócić się o galerników wystawionych tam na sprzedaż, jako że Livorno było również dla świata chrześcijańskiego wielkim centrum handlu niewolnikami, a wielu Maurów, Turków, Greków, niczym w

tyglu ludzkości, niektórzy śpiący, inni roniący łzy w kajdanach, zmieniało właściciela na oczach przechodzącego Bruna. Idąc za wewnętrzną mapą, którą otrzymał od jasnowłosego chłopaka z Watykanu, odnalazł właściwą przystań, wymówił właściwe imię i, ledwie mogąc opanować okrzyk zdziwienia, radości, ale też strachu, został umieszczony w długiej, wąskiej feluce, która miała właśnie odbijać od brzegu: *Avanti, signor. Avanti.*

Feluka pomknęła wzdłuż wybrzeża, zawijając często do jakiegoś portu, ażeby rozładować czy załadować nieskończoną chyba różnorodność towarów, beczek oliwy bądź wina, mebli, bel tkanin, pakietów listów, pasażerów, a także klatkę z gruchającymi gołębiami. (W późniejszych latach, już w więzieniu, zdarzy mu się kilkakrotnie próbować odtworzyć pełną ich listę, wszystkie te beczułki, skrzynie, ludzi, porty). Burkliwi wioślarze, oślepieni ostrym słońcem, wydawali się oszołomieni swoim własnym rytmem; w południe łódź zawinęła do jakiejś bezimiennej przystani, oni zaś posnęli na swoich miejscach, w cieniu łańskich żagli; ich ciała, o kilku różnych kolorach, błyszcząły od potu.

Giordano Bruno, nolańczyk, leżał na swoim tobołku i nie spał.

Genua, miasto pałaców i kościołów, dumne i radosne. Giordano opuścił port, idąc uliczkami pełnymi pałaców - pałaców w budowie i w trakcie przebudowy, z których każdy był inny. Skręcał to w prawo, to w lewo, tak jak to miał zapisane w pamięci; odnalazł bramę prowadzącą do ogrodów jednego z pałaców, przeszedł przez geometryczny park i szpaler wystrzyżonych w roślinności ciemnych

stworzeń (Centaur, Sfinks) prosto do groty, w której woda sączyła się melodyjnie: tam odnalazł człowieka, do którego go przysłano, pana tych ogrodów, nadzorującego w grocie instalację fontanny.

Wypowiedział mu zdanie, które miał w pamięci: nic nieznaczące, ale nieco dziwaczne pozdrowienie. Twarz mężczyzny pozostała niezmienną, lecz wyciągnął do Bruna rękę.

„Tak” - powiedział. - „Tak, rozumiem. Witaj”.

Wciągnął Bruna w głąb wilgotnej, chłodnej groty, pełnej połyskujących kamyków, odłamków luster, muszelek, kryształków. Nad marmurową sadzawką ustawiono ołowiany posąg; robotnicy trudzili się nad rurami wychodzącymi z sadzawki i prowadzącymi do niej, ale bożek ze skrzyżowanymi nogami kozła nie zwracał na nich uwagi; spojrzął za to na Giordana spod łukowatych brwi, filuterny i mądry.

„Pan” - wyjaśnił ogrodnik.

„W rzeczy samej”.

„A dzięki wodzie, doprowadzonej rurami z dołu i krążącej tu, a potem tu, Pan zagra na swoich piszczałkach. Na syryndze”.

Spojrzał uważnie na Bruna oczyma o barwie popiołu, z rozpromienioną, opaloną w słońcu ogrodu twarzą.

„Magia naturalis” - oświadczył, uśmiechając się na podobieństwo swego Pana.

„Tak” - odparł Bruno.

Robotnicy otworzyli rury; w grocie rozległo się upiorne zawodzenie. Bruno zadrżał. Akwatekta ujął jego nadgarstek, a

Giordano spostrzegł na palcu jego silnej brązowej dłoni złoty sygnet, sygnet, w którym wygrawerowano jakiś osobliwy symbol.

„Chodźmy” - odezwał się. - „Chodźmy do mnie. Powiesz mi, czego ci trzeba”.

W Genui na kilka dni otrzymał wikt i opierunek; potem przekazano go rodzinie medyka w genueńskim mieście Noli i znaleziono dlań miejsce w niewielkiej, zaniedbanej akademii, w której nauczał wszystkich tych, którzy chcieli słuchać, *O sferach Sacrobosco*.

„Dużo podróżowałeś?” - spytał podczas obiadu doktor, który go przyjął.

„Nie”.

„Rozumiem”.

Medyk podał mu wino.

„Powinienem odpowiedzieć »tak«,” - wyznał Giordano. - „Odbyłem nieskończenie wiele podróży. W moim umyśle”.

Jego lekcje astronomii rozpoczęły się od kwestii najprostszych, od geometrii sferycznej, kolarów i równików. Giordano nie czuł się w tej materii najpewniej; potem zaczął mówić o Ceccu, a frekwencja się poprawiła. Jego sława rosła. Zaledwie po kilku miesiącach medyk przyszedł do jego pokoiku, aby oświadczyć, że najlepiej będzie, jeśli pojedzie dalej.

„Dlaczego?”.

„Podróże poszerzają horyzonty” - odparł tamten. - „Podróżuj też poza umysłem”.

„Ale...”

„Zwracasz na siebie uwagę” - wyjaśnił doktor. - „Nasze miasteczko nieczęsto staje się obiektem zainteresowania Świętego Oficjum. Ale ciebie dostrzegli”.

„Głosiłem jedynie prawdę” - odparł Giordano, wstając. - „Niczego poza nią”.

Doktor podniósł dłoń w pojednawczym geście.

„Najlepiej będzie, jak odjedziesz po zachodzie księżyca” - oświadczył. - „Przyjdę cię obudzić”.

Kolejny pogrążony we śnie dziedziniec, kolejne zawiniątko z chlebem, sakiewka z monetami, książka. Noc. Przekraczanie granicy. Świat pełen był niebezpieczeństw: na nie wszystkie narażony był nieprzyzwyczajony do bezczynności, wędrujący pieszo młody człowiek z mnisim habitem w tobołku i głową pełną idei.

Nie mógł udać się na południe. Na północy, w pozostającym pod hiszpańską zwierzchnością Królestwie Mediolanu, Inkwizycja nie próżnowała, a hiszpański żołnierz, *tercio* - szczerzący zęby i najpewniej pijany - zagroziłby każdą drogę, jaką mógłby obrać Giordano. Bruno znał *tercio* od zawsze, śmiał się z niego w komediach w swym rodzinnym mieście: *Capitano Sangre y Fuego*, *El Cocodrilo*, wieczny pyszałek, obdarty, porywczy i szalony, lojalny wyłącznie wobec hiszpańskiego honoru niezrozumiałego dla całej reszty świata, a także wobec Kościoła katolickiego, którego każde prawo moralne miał za nic. Mordy na heretykach - a także, jeżeli było to konieczne, na ich sługach i dzieciach, posiłek z ich wołów i gęsi -

taka była racja istnienia *tercio*; potem picie, sen, zabawianie się z kobietami. Mediolańskie dziewczęta zamykały okiennice i nie wychodziły z domu nawet po to, żeby pójść na mszę.

Tak więc signor Bruno (z nowym mieczem u boku) powędrował na zachód, omijając granice Mediolanu, i skierował się do Turynu, do królestwa sabaudzkiego, podobnie jak Mediolan pozostającego pod wpływem Habsburgów, ale przynajmniej pozbawionego obecności Hiszpanów, którzy ulegli Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu po tym, jak stary Karol podzielił swoje posiadłości na dwie połowy, z których jedna dostała się Filipowi Hiszpańskiemu, a druga Maksymilianowi Austriackiemu. W Turynie Giordano udzielał dzieciom lekcji łaciny dopóty, dopóki potrafił to zdzierżyć; niebawem spakował książki, dokumenty, habit i, o krok uprzedzając rodziców, którzy z góry zapłacili mu za nauczanie, znalazł miejsce na ładunku alpejskiego drewna płynącym w dół Padu. Rzeka kierowała się na wschód aż do Wenecji. I tam też skierował się Bruno.

W owych latach można było odnieść wrażenie, że pół świata znajduje się w ruchu, zmuszone do ucieczki przez tę drugą połowę. Z pola na pole przez całą szachownicę habsburskich ziem przemieszczali się to w jedną, to w drugą stronę *tercios*, kwaterując w domach w Neapolu i Mediolanie, plądrując w Antwerpii składy protestanckich kupców (którzy pakowali swe dobra do kufrów i uciekali do Amsterdamu i Genewy); wysyłani przez Armadę do Nowego Świata, wycinali Indian, którzy nie mają dusz, i poszukiwali El Dorado w Gwinei i

Brazylii; ścierali się z Turczyńcem w Transylwanii i na Krecie, trzymając otwarte wrota hiszpańskiego korytarza od Sycylii po Bałtyk i wypłaszając ludzi jak zające wszędzie tam, gdzie wiodła trasa ich przemarszu.

Lecz były też inne armie, które nie uznawały granic ani geograficznych, ani tych w ludzkim sercu; siły, które tak samo nie potrafiły znieść kompromisu, a nawet go sobie wyobrazić.

„Wyjeżdżają z Genewy z księgami ukrytymi w podwójnych dnach swoich kufrów” - stwierdził chudy podróżny, który dzielił z Giordanem drewniany bal. - „Zjawiają się w mieście i nigdy nie ujawniają swojej tożsamości. Są kupcami, agentami, złotnikami, drukarzami. Swoim potajemnym nauczaniem zaczynają przyciągać innych - ojciec rodziny wprowadza żonę, dzieci, sługi. W ten sposób powstaje wiele małych kongregacji, niczym komórki pszczelego plastra, połączone, ale nieposiadające dostępu jedna do drugiej; jeśli ktoś wdrze się do jednej, nie ma to znaczenia, inne bowiem pozostają nietknięte. Znają imiona wyłącznie tych, którzy należą do ich wspólnoty, toteż tortury nie są w stanie wycisnąć z nich imion innych. I tak tedy się rozwijają, w tajemnicy, jako robaki w mięszu owocu, póki pewnego dnia nie będzie ich wystarczająco wiele; ujawniają się, owoc pęka, by objawić kłębiącą się masę w środku, opanowują miasto. Właśnie tak to się odbywa”.

„Skąd wiesz o tym tak wiele?” - spytał go zirytowany Giordano.

„We Francji” - odparł chudzielec - „hugenoci (to tylko jeszcze jedna z ich nazw) debatują obecnie, czy wierni mają słuszne powody,

by zabijać monarchę, który ich ciemieży. Z a b i j a ć m o n a r c h ę. A czemuż by nie papieża. Czemuż i nie samego Jezusa Chrystusa po raz wtóry”.

„Hm” - mruknął Giordano.

Udawał, że śpi. Brzegi rzeki, tłoczne ludźmi i powozami, przesuwały się koło niego, czy też on przesuwał się koło nich. Później spostrzegł, jak chudzielec wydobywa spod szaty i otwiera czarną książkę, którą rozpoznał; jego usta poruszały się, kiedy czytał, a co pewien czas jego dłoń kreśliła znak krzyża na piersi.

Byli też żołnierze, podobnie jak on w drodze: Kompania Jezusowa, ludzie, którzy nie byli wierni żadnej koronie, żadnemu biskupowi, żadnemu terytorium. Podobnie jak genewczycy wierzyli, że Kościół Chrystusowy nie może być podzielny, a gdziekolwiek pojawiał się w nim jakikolwiek wyłom, od Szkocji po Macao, natychmiast zjawiali się na miejscu. Potrafili uderzyć w monarchę, Giordano nie miał co do tego wątpliwości. Bądź zlecić dokonanie podobnego czynu. Byli do tego zdolni. Już im się to bowiem zdarzało.

W Wenecji ponownie znalazł pomoc: imię, które znał, zawiodło go do innego imienia, a to z kolei do uczonego doktora, który dysponował wolnym pokojem; znalazła się też akademia, na której mógł prowadzić wykłady, i pieniądze na książki.

Nauczał o *Ars memoriae* i pozwalał, by szeptano o tym, że jest uciekinierem z dominikańskiego klasztoru: jego zakon bowiem od dawna cieszył się rozległą renomą tego, który dysponuje potężnymi sztukami pamięci. Przez swych studentów w akademii zaczął być

postrzegany - tak, jak od tamtej pory miał być postrzegany przez wielu innych - jako ktoś, kto posiada pewną tajemnicę, którą może przekazać; tajemnicę, której zdobycie okupił niemałym wysiłkiem - jeśli tylko zechcą usiąść i posłuchać. Przyciągał słuchaczy, choć nie wszyscy z nich byli życzliwi. W zamkniętej gondoli kołyszącej się na wodach Adriatyku stracił - wyrzucił, pozbył się go w przeciągu kilku wstrząsających chwil - swoje długoletnie dziewictwo.

Jego moce w dalszym ciągu rosły. Gdy podsuwano mu fałszywą monetę - nie srebrnego dukata, lecz odlaną ze szkła i posrebrzaną rtęcią - czuł pod palcami różnicę. Merkury⁴⁷, oszust i złodziej, mówca i kpiarz, jego własny Hermes, palił w dotyku: srebro, metal księżycowy, było chłodne i płynne. Jeśli przywołał Wenus, rozniecił ją w sobie niczym węgiel, stawał się wówczas panem innych mocy: kobiety oglądały się za nim, kiedy przechodził, ulegali mu mężczyźni, nie było w nim wahania, gdy trzeba było wyszeptać parę słów do małego różowego uszka, gdy maski - jej ozdobna i czarna, jego biała, z długim nosem - były odkładane na bok.

(Leżąc nieruchomo obok śpiącej kobiety i rumieniąc się, dokonawszy owego wyłudzenia, odkrywał, że coś w nim uległo rozluźnieniu; przez kilka chwil bądź parę godzin postrzegał wypełnione po brzegi treści swojej świadomości przenoszące się z miejsca na miejsce, płynące razem, jedna przy drugiej, rząd w rząd, niczym różne formacje jednej armii, konni i piesi, artyleria, pikinierzy, fizylierzy: a każda odziana w inne jasne mundury i czapki, wszystkie pod dowództwem różnych kapitanów, jakich im przydzielił,

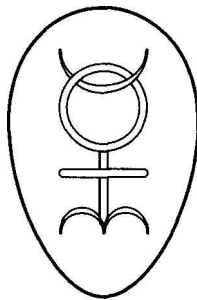
⁴⁷ W j. angielskim pisany małą literą „mercury” to rtęć.

Przyczyny Świata; ich generał zaś to bóg Omniform. Myślał wówczas: Istnieje tylko jedna rzecz we wszechświecie, a jest nią Stawanie Się. Nieskończone, wieczne, nieustanne Stawanie Się, nieskończone wytwarzanie odrywające się od idei w umyśle Boga i rzucające owe jasne, poruszające się cienie w jego duszy - a przy tym kolorowe, wszystkie w kolorach, jeśli bowiem cienie w jego duszy nie byłyby kolorowe, nic nie byłoby takie. W weneckim *bagnio* podczas ostatniej nocy święta Redentore leżał, wsłuchując się w cichy odgłos oddychania obok oraz odległy hałas hulaków, obserwując w sobie puls i wibrację Stawania Się, niczym srebrzyste wierzchołki maleńkich fal bez końca tworzących się na morzu).

Wenecja w deszczu żeglowała przez swe szerokie laguny niczym arka Noego (tak opisał to w sonecie), niosąc wszystkie gatunki, po dwie sztuki z każdego. Wenecja była pobłażliwa: można tu było mieszkać i snuć rozmyślania. Na straganach z książkami wokół placu św. Marka, pośród poplamionych almanachów i ksiąg z prorocत्वami, pamfletów i novelle, trafiał na książki, o których dawno już słyszał, lecz nigdy nie widział ich drukiem. Pisma Jamblicha o Tajemnicach. *De occulta philosophia* Agrippy. Były tu szalone hymny do słońca Orfeusza, śpiewane w młodości świata. Była *Ars magna* Rajmonda Lullusa, sztuka pamięci podobna tej, jaką się posługiwał, lecz nie taka sama: wpatrywał się w jej rozgałęziające się drzewo, wznoszące się stopnie i okręgi zawarte w okręgach.

Któż to na nowo publikował takie rzeczy? Skąd wiedzieli, że są mu potrzebne? Czemu widywał podobne księgi w prasach drukarskich

i gablotach owych doktorów i uczonych, którzy udzielali mu schronienia? Podniósł wzrok sponad karty, by przyjrzeć się opierającemu się o tylną część swego kufra z książkami sprzedawcy; z policzkami skrytymi w dłoniach uśmiechał się doń. Na palcu miał złoty pierścień, na którym wygrawerowano ten sam dziwny znak, jaki nosił ogrodnik w Genui:



Widząc zakłopotaną i niepewną minę Bruna, sprzedawca położył przed nim gruby niemiecki wolumin, zszyty, ale nieoprawiony, zaopatrzony w pergaminowe okładki. Otworzył go na karcie tytułowej.

„Kosmografia” - rzekł księgarz.

Wolumin nosił tytuł *O obrotach sfer niebieskich*, autorem zaś był Mikołaj Kopernik z Polski.

Copernico. Było to jeszcze jedno znane Giordanowi nazwisko, obiekt kpin w jego neapolitańskich klasach, człowiek, który by wyjaśnić ruchy sfer niebieskich, wprowadził nieruchomą Ziemię w obroty i wędrówkę wokół nich. Giordano miał go za postać bez mała wyimaginowaną, lecz oto teraz trzymał w dłoniach jego dzieło.

Norymberga. A. D. 1547. Dedykowana papieżowi. Przewrócił wielką kartę.

Saturn, pierwsza z wędrujących gwiazd, dokonuje pełnego obiegu w przeciągu 30 lat. Po nim jest Jowisz, poruszający się w obiegu dwunastoletnim. Następnie Mars, który obraca się co dwa lata. Czwarte miejsce w niniejszym porządku zajmuje roczny obrót (jak już powiedzieliśmy) Ziemi, niosącej ze sobą orbitalny krąg Księżyca jako epicykl.

Owładnęło nim bardzo dziwne uczucie. To tak, jakby czytając kopernikańskie rozmieszczenie planet, poczuł, że takie same planety w sferach niebieskich jego wnętrza (oraz ich opiekuńczy bogowie i duchy) otwierają oczy i przemieszczają się na swoje właściwe miejsca. A potem Ziemia, wraz ze wszystkim, co się na niej znajduje, również zaczyna się poruszać.

Na piątym miejscu znajduje się Wenus, która dokonuje swego obiegu w ciągu siedmiu i pół miesiąca. Szóste i ostatnie miejsce zajmuje Merkury, który obraca się w przeciągu 88 dni. Lecz w środku wszystkiego spoczywa Słońce.

Jak gdyby wszystkie *guglie* z jego systemu pamięci zostały na dany znak uniesione do góry i wprowadzone w ruch - ruch, do którego potencjalnie zawsze były zdolne, jednakże pozbawione go, pogrążone we śnie bądź nieruchome niczym zatrzymany zegar. Giordano zaśmiał się. Z połyskującego za arkadą placu wzleciało stado gołębi, jakby niespodziewanie poderwane wiatrem niczym proporzec: w jednej chwili widok placu rozpadł się na tysiąc lecących cząsteczek, łopoczące ciała pędziły przez sklepienia ciemnych arkad i wznosiły się ku światłu, podrywając do lotu inne.

Skrzydła. Zerwały się do lotu.

A co, jeśli tak jest? Co, jeśli to prawda?

„Powiada” - odezwał się księgarz niskim głosem - „powiada, że wiedza, którą odkrył, nie jest nowa. To starożytna mądrość, którą przywrócił. Pitagoras. Zoroaster. Ægipt. Tak powiada”.

A któż umieściłby lampę tej najwspanialszej ze świątyń gdzie indziej, któż znalazłby dla niej lepsze miejsce niż to, z którego może rozświetlać wszystko w tym samym czasie? Dlatego też niektórzy, a przy tym całkiem słusznie, nazwali ją Latarnią Świata, inni Umysłem, jeszcze inni Pilotem. Zaś Trismegistus zowie ją „Bogiem widzialnym”.

„Nie mam teraz pieniędzy” - przyznał. - „Ale... „

„Nie ma pieniędzy, nie ma Kosmografii”.

Giordano podał nazwisko oraz ulicę i dom, w którym mieszkał.

„Wyślij ją pod ten adres” - powiedział. - „Zapłacę ci. Obiecuję ci... „

Księgarz uśmiechnął się szeroko.

„Znam tego człowieka” - rzekł. - „Zanieś mu ją. Z ukłonami ode mnie. Zapiszę ją na rachunek, jaki u mnie posiada”.

Wypuścił księgę.

Cóż to za hieroglif nosił?

Giordano poniósł ze sobą przez skąpane w deszczu ulice owiniętego w swój płaszcz niczym niemowlę Kopernika.

Na wiosnę dotarła doń wieść, że wenecka Inkwizycja, tak niespieszna, w końcu zwróciła nań uwagę. Szpiedzy donieśli o jego wykładach i przechwałkach. Sprzedawca książek na piazza zamknął swój stragan. W tych okolicznościach dawny dominikański habit Giordana zapewniał lepsze przebranie niż szlacheckie rajtuzy i miecz; tak więc doktor obciął mu włosy, odprowadził go do schodów przy wodzie, z których Giordano wsiadł do jego gondoli, i życzył mu powodzenia.

Stąd na wschód byli już tylko Turcy. Frater Jordanus włożył dłonie w rękawy i ponownie wyruszył na zachód.

- Pierce - odezwała się Rosie. - Muszę iść.

Pierce - majaczący kształt w mikroskopijnej pracowni Kraftha - obrócił się na krześle, patrząc z pełnym poczuciem winy zaskoczeniem. - Już?

- Mam obowiązki domowe - Zerknął na nią przelotnie, choć pewnie nie dostrzegł, jak pochyła się tam w drzwiach z plikiem papierów Krafta dla Boney'ego do przejrzenia, listów sprzed wielu lat. Była ciekawa, czy to z taką właśnie miną podnosiła zazwyczaj głowę sponad książek, w które uciekała. Nieokiełznane, nieobecne, niewidzące spojrzenie. - W porządku?

- Proszę?

- Jeżeli jesteś blisko końca - powiedziała. - Wkrótce się zbieramy.

- Tak - bąknął. - Tak - po czym odwrócił się do maszynopisu. Niewielki plik kartek znajdował się po jego lewej stronie, duży po prawej. Wsparł podbródek na dłoniach i westchnął.

- Przestało padać - oznajmiła Rosie.

Podczas gdy Pierce pogrążony był w lekturze, jego dawny nauczyciel na Noate, Frank Walker Barr, stał przed swoimi studentami na seminarium z historii historii i, prowadząc wykład, zajęty był inną czynnością - otwierał okna sali wykładowej, bowiem deszcz, który ustępował z Faraways, odszedł również i stąd, a słońce grzało mocno.

- Cóż zatem nadaje znaczenie wydarzeniom historycznym? - spytał, po raz ostatni w tym semestrze. - Jaka jest różnica między historią a spisem faktów, imion i wydarzeń? - Z kąta wydobył długi dębowy drążek zakończony mosiężnym palcem; wkładało się go do przeznaczonych dlań mosiężnych otworów w ramie okna i opuszczało je. Wielu w tej sali pamiętało nauczycieli ze szkoły podstawowej,

którzy robili to samo w klasach z przeszłości, i przyglądali się Barrowi z zainteresowaniem.

- By podsumować te rozważania - ciągnął Barr - możemy spróbować pomyśleć o tym, jak rodzi się znaczenie w innych rodzajach relacji i opisów. - Palec zagłębił się w dziurce ostatniego wychodzącego na zachód okna. - Wydaje mi się, że tym, co nadaje znaczenie powiastkom ludowym i opowieściom o charakterze legend - przychodzi nam teraz na myśl coś na miarę *Nibelungenlied* albo *Mort D'Arthur* - jest nie tyle logiczny rozwój wydarzeń, ile powtórzenie tematyczne, te same idee bądź wydarzenia, a nawet te same przedmioty, powracające w różnych okolicznościach, albo różne przedmioty zawarte w podobnych okolicznościach.

Okno, z którym się zmagają, ustąpiło i rozwarło się, wpuszczając horde bryz, które nacierały na nie, by wedrzeć się do środka.

- Bohater wyrusza w podróż - powiedział Barr, nie odwracając się do swoich studentów, lecz stojąc twarzą ku skrzącemu się czworokątowi i powietrzu - by znaleźć skarb albo uwolnić swoją ukochaną, zdobyć zamek bądź odnaleźć ogród. Każde wydarzenie, każda przygoda, jaka mu się przytrafia podczas poszukiwań, jest skarbem, ukochaną, zamkiem albo ogrodem, powtórzonym w innych formach, jak komplet wkładanych jedno w drugie pudełek - acz każde z nich jest równie duże jak pozostałe, a w każdym razie nie mniejsze od nich. Wtrącone opowieści, których musi wysłuchać, przedstawiają mu jedynie jego własną historię w innej formie. Wzorzec ciągnie się dalej, póki nie zrodzi się coś w rodzaju pewności, satysfakcji z tego,

że historia opowiadana była na tyle często, iż w końcu naprawdę została przekazana. Nie jest rzadkością, że w dawnych romansach opowieść zostaje wówczas przerwana bądź zwraca się ku innym problemom.

- Fabuła, logiczny rozwój, przygotowane przez wstępy bądź nieodłączne w przestrzeni opowieści zakończenia - logiczne dopełnienie jako nośnik znaczenia - to wszystko przychodzi później, niekoniecznie później w czasie, ale należąc do późniejszej, bardziej wyrafinowanej literatury. Istnieje kilka stosunkowo interesujących rodzajów utworów, jak *The Faerie Queene*, które same dla siebie tworzą tytaniczne fabuły, bez mała matematyczną symetrię struktury, i nigdy ich nie kończą, ponieważ w swej istocie są dziełami starszego rodzaju, a wzór pojawił się już w nich w stopniu satysfakcjonującym, smak już się tam znajduje.

- Czy stanowi to zatem jakkolwiek pomoc w naszych rozważaniach? Czy znaczenie w historii podobne jest rozwiązaniu równania czy też powtarzanemu smakowi - czy ma być ono rozwiązywane, czy też smakowane?

Odwrócił się do nich twarzą.

- Czy jest to parabola? Czy po prostu powtórzyłem nasze seminarium w innej formie?

Powietrze w sali całkiem już zostało wyparte przez to z zewnątrz, brzemienne czerwcem czy też tym, czym dokładnie był ów ciężar, czymś cięższym niż ciepło, woń bądź opar. Był to ostatni dzień zajęć.

- Nié? - rzucił, wpatrując się w ich łagodne, już nieobecne, a także pozbawione zdziwienia oblicza. - Tak? Nie? Czy to możliwe?

Za Turynem trakty na zachód i północ prędko wznosiły się ku góróm, pnąc się ku przełęczom Małej św. Bernarda oraz Mont-Cenis; niekończący się sznur wozów, furmanek, mułów i ludzi ciągnących się od Piazza del Castello i w górę, niosących pocztę, wieści, klejnoty i gotówkę (dobrze schowane w karawanach zwierząt jucznych bądź zaszyte w podszewkach kupieckich płaszczy, o których słowem nie wspominało w gospodach i na granicach) oraz lewentyńskie i azjatyckie towary luksusowe na tyle cenne, że warte kosztów odbycia podróży drogą lądową - strusie pióra, leki, jedwab, naczynia. Banici, uciekinierzy i szpiedzy, zakonnicy oraz zwykli ludzie pokonywali Alpy pieszo; moźnych noszono w lektykach otoczonych przez pobrzękujących zbrojnych.

Trakt, którym podążali, wznosił się do góry ku wysokiej Sabaudii, przez bujne i mieniące się kwieciem łąki ku krainie ciemnych jodeł, w pobliżu rzek teraz rwących i niebezpiecznych, pomiędzy chylącymi się ścianami jarów, gdzie wciąż topniał śnieg. Śnieg: Giordano przycisnął garść białej materii do ust. Słyszał, jak ktoś opowiada o tym, że to od nieustannego picia pochodzącej ze śniegu wody tuziemcy - krzepcy, przysadziści mężczyźni i kobiety o długich ramionach, których chaty zwisają ze szczytów grani, a owce

pląsają z jednej stromizny na drugą - zostają tak często oszpeconi ohydnymi wolami.

Przypuszczał, iż to te same góry, które zamieszkiwane są przez czarownice, tak bezlitośnie prześladowane przez jego współbraci dominikanów; opowieści o polujących na nie chwatach oraz niebezpieczeństwach i tryumfach, jakich doświadczali, stanowiły tradycję zakonów dominikańskich. Możliwe, że żyły na dnie owych głębokich przełęczy, w tych czarnych paszczach jaskiń, tych niskich chatkach o dachach komicznie przywalonych grubymi warstwami śniegu i tchnieniach ciemnego dymu wydobywającego się z ich kominowych otworów. Doszedł do wniosku, że być może powinien je odszukać i z nimi zamieszkać. Wzniecić wichry i ulecieć. Właśnie wówczas zawiał wiatr, ostry i przenikliwy, a kilka płatków śniegu sypnęło wraz z nim niby popioły.

Tej nocy w zimnej celi gościnnej, która została mu przydzielona w dominikańskim hospicjum w Val Susa, leżał rozbudzony przed świtem, między jutrznią a prymą, wspominając Nolę.

Brat Teofilo powiedział mu ongiś, że Ziemia nie jest płaska jako talerz, ale okrągła niby pomarańcza; zdawało się słusznym, iż Teofilo o tym wiedział, sam bowiem wykazywał znaczną okrągłość. Giordano słuchał go; przyglądał się, jak zakonnik rysuje zwęglonym patykiem okrąg świata oraz zarys pokrywających go lądów, *mappamundi* - i rad był z tego, że weń wierzy. Teofilo nie wiedział, że ów okrągły świat, który Giordano natychmiast sobie wyobraził i który zaaprobował, gdy on rysował swój obrazek, stanowił pustą kulę i zawierał lądy i ludzi,

góry i rzeki, powietrze, tak jak pomarańcza zawiera swój miąższ; chłopiec uznał, że tym, co Teofilo narysował, była jego zewnętrzna powierzchnia, upstrzona plamami niczym jajo siewki, widok, jakim dysponował Bóg. Wewnątrz była Ziemia, jaką widzimy. Wzdłuż dolnej połówki leżały pola i winnice; góry wznosiły swe nierówne płaszczyzny; niebo stanowiło wewnętrzną płaszczyznę górnej pokrywy, na której umieszczone było słońce i gwiazdy.

Bruno zaśmiał się na to wspomnienie i splótł dłonie za głowę.

Kiedy Teofilo w końcu pojał, jakież to świat wyobraża sobie Giordano, rozgorzała walka. Świat Giordana był równie okrągły jak świat Teofila, a przy tym rozsądniejszy; dla niego było to kwestią tak oczywistą, że potrzebował sporo czasu, by w ogóle zrozumieć, z czego śmieje się Teofilo, a po chwili, o co się spiera. A kiedy już to zrozumiał, związane z tym trudności zdawały się przytłaczające. Co utrzymywało przy powierzchni powietrze i światło? Jak moglibyśmy żyć, wystając w nicość? Czemu ludy zamieszkujące antypody nie spadną, a ich spadanie nie trwa wiecznie? To absurd.

A potem, pewnego cudownego dnia, siedząc w zrujnowanym przez zimę ogrodzie i zajadając pomarańczę, przewrócił - w całym jego jestestwie wywołało to uczucie trzaskających kostek, czy też zezujących oczu - przewrócił okrągły świat na lewą stronę, niczym skórkę pomarańczy, którą obierał; a wszystkie góry i rzeki, winnice, zagrody i kościoły obróciły się wraz z nim. Słońce i gwiazdy powędrowały na zewnątrz, by wypełnić nicość, którą zamieszkiwał

Bóg. Świat znajdował się na zewnątrz samego siebie. Ów okrągły świat.

W całym hospicjum w Susa ozwał się łagodnie niskim tonem dzwonek wzywający na prymę.

Owo poczucie, że świat przewraca się na lewą stronę niczym skórka pomarańczy, było tym samym, jakiego doznał, stojąc w deszczu w Wenecji przy straganie handlarza książkami z tamtym osobliwym pierścieniem: właśnie to skłoniło go do śmiechu.

Gdyby wprawił środek wszechświata w ruch, co wówczas stałoby się z jego obwodem? Co by się stało ze sferami, gdyby te zewnętrzne umieścił wewnątrz? W środku starego wszechświata znajdowała się Ziemia, w środku Ziemi znajdował się on, w jego wnętrzu sfery niebios, które w sobie stworzył, w ich środku...

Jeśli przewrócił ten mały wszechświat w sobie na drugą stronę, co wobec tego stanie się z tym, który go otacza?

Usłyszał sandały postulanta, którego obowiązkiem było budzić zakonników na modlitwy. Zbliżyły się do jego drzwi, postulant zastukał w nie i poszedł dalej, wołając przy każdym: *Oremus, fratres*.

W wiosennej aurze wciąż prószył śnieg, gdy karawana, do której przyłączył się Giordano, przejeżdżała przez Novalese, kierując się do Mont-Cenis. Ze szczytu podróżni zjeżdżali na saniach, ciągnionych na przedzie przez silnego *marron* z pasem wokół klatki piersiowej, a drugiego mając z tyłu, z czekanem w charakterze steru; pojazdy mknęły po wyslizganej ścieżce, *marroni* zachowali stoicki spokój, na twarzach opatulonych w futra obcokrajowców malował się popłoch,

widoczny w ich szeroko otwartych oczach. Przez cały dzień z wysokości opadał ciężkimi, kłębiącymi się tumanami śnieg; niemogące ruszyć z miejsca furmanki zaczęły blokować szlak, wytrzymałe małe muły brnęły w zaspach po kolana. Giordano, przestraszony i uradowany, poczuł, że jego zmysły chłoną to wszystko.

Jego karawana wreszcie zarządziła postój w wiosce woźnicy w pobliżu Col; wieśniacy ze znajomością rzeczy zajęli się podróżnymi, rozlokowując ich po swoich domostwach, w każdy kąt można było upchnąć śpiącego; zwierzęta zostały pozamykane w zagrodach, wozy okryte. Giordano słono zapłacił za miskę mleka z chlebem oraz miejsce na trzeszczącym, wypchanym bukowym listowiem materacu, niedaleko od miejsca, w którym jarzył się ogień.

Trwała jeszcze noc, kiedy obudził się pośród chrapania. Gospoda stanowiła pozbawioną światła jaskinię. Giordano nie bez trudu wy dostał się spośród sterty ciał, w której był ulokowany, po czym wyciągnął za sobą futrzaną togę; owinał ją wokół swej mnisiej sutanny i - przechodząc nad śpiącymi na podłodze psami i dziećmi, omijając ich, a niekiedy stąpając po nich - znalazł drzwi wyjściowe.

Powietrze zapierało dech w piersiach, nieruchome niczym kryształ, napełniające bólem nos i płuca. Burza minęła, niebo zaś było bezchmurne, bardziej przejrzyste, niż zdawało mu się to możliwe: jak gdyby znajdował się wysoko w górze, daleko od Ziemi, w samej sferze eteru. Jego ciepły oddech zawisał przed nim obłokiem. Otulił się swą sutanną i futrem i wyszedł na podwórze; jego owinięte w

onuce stopy zostawiały czarne dziury na podobieństwo kałuż w skrzącym się w gwiazdnej poświacie śniegu.

Lecz czy istniała sfera eteru ponad Ziemią, jeśli Kopernik miał rację? Stara arystotelesowska Ziemia, czarna, gruba i twarda, umieszczona na dnie stworzenia, w przestrzeni lżejszych sfer wody, powietrza, ognia. Cokolwiek było lżejsze - iskry, dusze - wznosiło się do góry. Ale Kopernik stwierdził, że sama Ziemia, lżejsza od powietrza, wzniosła się i żeglowała; gdzie zatem znajduje się góra?

Jego serce przepełnione było doznaniem. Z bezksiężycowego nieba gwiazdy i planety spoglądały w dół bądź w dal i płonęły. Płonęły. Był tam tron Kasjopei. Lutnia. Smok. Stojąca na swym ogonie Niedźwiedzica, spoglądająca ku Gwieździe Polarnej, wokół której obracały się niebiosa. Tyle tylko, że w istocie nie obracały się. Ósma sfera gwiazd jedynie sprawiała wrażenie, że się porusza, ponieważ to Ziemia dokonywała obrotu raz dziennie, wirując na palcu niczym *arlecchino*.

A może nie ma żadnej ósmej sfery.

Z odgłosem nieistnienia, swego rodzaju dzwoniącym skrytym oddechem, ósma sfera odeszła. Gwiazdy, uwolnione, rozpierzchły się na zewnątrz i oddaliły od siebie; te mniejsze (umykając jeszcze szybciej) być może wcale nie były mniejsze, po prostu znajdowały się dalej. Właśnie! Mogły przy tym istnieć - musiały istnieć! - inne, zbyt odległe, by w ogóle je dostrzec.

Jego serce, przepełnione zimnym blaskiem gwiazd, gotowe było eksplodować. Droga Mleczna, podobny do śniegu proszek - może to

po prostu gwiazdy zbyt oddalone, by odróżnić jedną od drugiej, niczym błękitna mgiełka odległej winnicy, którą w rzeczywistości tworzą li tylko widziane w całości niezliczone kulki winogron w porze kwitnienia.

Jak bardzo oddalone?

Co mogłoby wyznaczyć kres? Jakież mogły mieć powód, by go sięgnąć?

Nieskończony, powiedział Lukrecjusz, który nie potrafił wymyślić żadnego powodu. Kuzańczyk rzekł: okrąg, którego środek jest wszędzie, a obwód nigdzie.

Nie. Kuzańczyk mówił tak jedynie o Bogu. To on, Giordano Bruno, mówił tak o bożym stworzeniu, cieniu Boga, którym jest wszechświat. Jeśli istniał kres dla gwiazd, wówczas Bóg nie był Bogiem.

Nie tylko było to dlań jasne, gdy spoglądał z zadartą ku górze głową, przejrzyste niczym to powietrze, zrozumiałe samo przez się; zdawało się, iż od zawsze to wiedział i po prostu nigdy nie wypowiedział tego na głos. Nieskończony. Poczul, jak jego nieskończoność szarpie go za serce i oczy, i poczul reakcję nieskończoności w sobie: jeśli bowiem był nieskończony na zewnątrz, to i wewnątrz również musiał taki być.

Nieskończony. Poruszył zmarzniętymi stopami w śniegu i odwrócił się z powrotem ku zajazdowi. Małe kucyki stąpały ciężko w swoich zagrodach, oddychając na biało; ich krzaczaste grzywy przyprószone były szronem.

W oknach zajazdu migotały świece, a z komina wydobywał się puszysty dym przepelniony iskrami; ktoś zaśmiał się w środku. Pobudka.

Z wioski do wierzchołka przełęczy było niedaleko. Niebo właśnie poczęło blednąć, a najbardziej niewyraźne gwiazdy - czy raczej te najodleglejsze - zniknęły, gdy karawana zaczęła piąć się z mozołem po ścieżce wiodącej na szczyt. Wielkie bezgwiazdne ciemności po bokach okazały się nie firmamentem, lecz górami, nieoczekiwanie nabierającymi wyrazistości, jak gdyby właśnie obudziły się ze snu i wstały. Na znajdującym się pomiędzy nimi lazurze rozzarzyły się poranne gwiazdy. Merkury. Wenus. Mokra od kolana od topniejącego śniegu Giordano wspinał się ku nim.

Ziemia była taką samą gwiazdą jak one; a inteligentne istoty, które je zamieszkiwały, spoglądając w tamtą stronę, widziały nie zimny kamień, lecz jeszcze jedną taką samą jak ich własna gwiazdę, gorejącą w słonecznym świetle. Pozdrowił je. Bracie. Siostrze. Jakiś osobliwy i bezdźwięczny pomruk zdawał się wypełniać jego uszy i całe jestestwo, jak gdyby sam brzask miał wydać odgłos swego wstawania, nieprzerwany i nieodwracalny. Gwiazda, na której podróżował, obracała się z zawrotną prędkością ku Słońcu z nimi wszystkimi na swym pokładzie, karłowatymi, flegmatycznymi woźnicami, krzesłami, zwierzętami i ludźmi; Bruno zaśmiał się, poczuwszy chęć, by rzucić się i schwycić tę pędzącą kulę rękoma i kolanami. Nieskończony.

Człowiek czynił sam siebie równego gwiazdom za sprawą wiedzy, że jego matka Ziemia również jest jedną z nich; wznosił się poprzez sfery, nie opuszczając Ziemi, lecz żeglując na niej: mając świadomość jej żeglugi.

Słoneczne światło uderzyło podnoszące się białe głowy turni, choć śnieg na przełęczy wciąż pozostawał niebieski. Giordano uczył się o tym, że na najwyższych górskich szczytach powietrze jest wiecznie nieruchome, lecz tu wiatry świtu przeszywały na wylot jego sutannę, ze szczytu zaś lśniące kłęby śniegu łopotały niczym chorągwie. Wszystkie szczyty posiadały nazwy, a sapiący ciężko woźnica, który wspinał się obok Giordana, wskazywał je, wymieniając owe nazwy. One również żeglowały.

Karawana zatoczyła się i prześlizgnęła przez zimne ryczące gardło Col, niewidoczna dla świtu, minięta przez wędrującą w przeciwnym kierunku cizbę - wszyscy potracali się nawzajem niczym w miejskiej alei. Wkrótce wyszli na pole roztrzaskanych kamieni i wiodącą w dół stromą ścieżkę. Przebyli krawędź. Niebo było ogromne i błękitne, lecz odległe krainy, których wypatrywał Bruno, wciąż były niewyraźne i pogrążone we śnie, góry złożone jedna na drugiej - reszta jego życia. Ścieżka w tę stronę - z trudem i trwogą był w stanie ją wypatrzeć - przecinała zbocza gór, wijąc się to w jedną, to w drugą stronę na podobieństwo bata; poniżej, hen, daleko, można było dostrzec zakręty, które trzeba będzie pokonać, oraz podróżnych, którzy mozolili się w marszu pod górę. Wzdłuż wąziutkiej,

srebrzystej ścieżki, która ciągnęła się wokół krawędzi urwiska, jakiś pasterz prowadził gęsiego swoje owce.

Ziemia obróciła się na podobieństwo triremy, prąc na wschód; a wówczas wzeszło słońce, gigantyczna iskra, Bóg widzialny, Bruno, znieruchomiały jak słup soli, z pomrukiem w uszach i sercem w gardle, poczuł na twarzy jego uśmiech

Hermes powiedział: uczynić się Bogiem. A Bruno, podobnie jak słońca, czuł także i jego uśmiech. Uczynić się Bogiem: Nieskończonym. On zaś był nieskończony nawet wówczas, kiedy czytał te słowa i pragnął je zrozumieć.

Ziemia poddała swe doliny słońcu. Objuczeni mężczyźni o rozgrzanych policzkach, śmiejąc się w poczuciu ulgi i zrozumienia, ruszyli w dół. Nastął dzień.

Nazajutrz o świcie Bruno dotarł do klasztoru dominikanów w Chambéry, we Francji: był bratem Teofilem, tropicielem czarownic z Neapolu. Gdy stał, tłumacząc się zdumionemu przeorowi w zalanym słońcem ogrodzie, ziemia przechyliła się gwałtownie na północ, a kamienie brukowe uniosły się do góry i zderzyły z jego ciemniejącym wzrokiem. Obudził się w izbie chorych, w której spędził cały Wielki Tydzień z owiniętymi opatrunkiem oczyma, pustką w głowie i sercu, nieruchomy i znużony, jak gdyby to on sam przesunął Słońce. Nie mógł przyjmować nic poza bulionem i hostią; sypiał długo, a kiedy spał, śnił o Ægipcie.

Wracali, tak jak to już wcześniej widział: wracali w tej chwili. Nowe słońce Kopernika było tego znakiem; Kopernik być może o tym nie wie, ale wie Giordano Bruno, a teraz wykrzyczy to na cały świat niczym kogut rasy bantam. Wschód słońca.

Gdy z powrotem znalazł się w drodze, do końca życia nie miał już właściwie ustać w ciągłym podróżowaniu: lecz nawet przemierzając stare drogi gruntowe bądź wielkie europejskie trakty, poruszał się również po Egipcie, jego malowanych świątyniach, blasku piasków, ciemnobłękitnych nieboskłonach. Śpiąc i śniąc, pracując i zabiegając o względy, zdążył ku miastu wzniesionemu na wschodzie bądź zachodzie Egiptu, w granicach wschodzącego bądź zachodzącego słońca; miastu, którego nazwę znał.

Ci, którzy gościli go pod swoim dachem - w Paryżu, Wittenberdze, Pradze - owi giordaniści, którzy wspierali go materialnie, ubierali, albo drukowali jego książki; którzy uzyskiwali dlań audiencje u możnych tego świata, którzy go karmili; którzy go ukrywali: często zdawali się też rozpoznawać go czy pamiętać z jakiegoś innego czasu i miejsca, wydawało się, iż kiedyś go znali, ale o nim zapomnieli, czy też nie pamiętali, że to właśnie on miał się zjawić, a nie kto inny: *Ach tak, rozumiem* (wyciągając doń wolno rękę, szukając wzrokiem), *tak, teraz już wiem, kim jesteś, zapraszam do środka.*

Opuścił dom w Chambery, gdy tylko wydobrzeł, znudzony do obłędu nieznośną mniszą tępotą, podobną modlitwie niekończącą się paplaniną i podobną paplaninie modlitwą. W roku 1579 dotarł do

Genewy; uzyskał tam protekcję neapolitańskiego szlachcica, markiza De Vico, który nakazał mu, by zrzucił z siebie, na miłość boską, tę czarno-białą sutannę, i kupił mu ubranie; lecz Bruno odrzucił z żartem kalwinizm markiza, dla którego tamten poświęcił wszystko, co posiadał. Zapisał się na uniwersytet jako Phillippus i zaczął zgłębiać dzieła Reformatorów Kościoła na poły z rozbawieniem, na poły zaś z pogardą. Cóż za nędzne wypociny. Stał w sali wykładowej pełnej tykających mechanizmów, zegarów planetarnych, machin księżycowych, i słuchał, jak jakiś człowiek marionetkowej postury rozprawia o tym, jak to usiłował zbudować maszynę, automat, który w jakiś sposób z wielką dokładnością oddawałby w swych geometriach działanie wszechświata tak, że gdy coś wydarzyłoby się w nim, spowodowałoby to identyczną reakcję w modelu, jakkolwiek objawiającą się inaczej: właściwie to jeszcze jeden wszechświat, lecz mniejszy, niczym zwierciadlane odbicie.

Ale Giordano wiedział, że taka maszyna, taki model, już istnieje. A zwała się ona Człowiekiem.

Mieszkańcy Genewy nie lubili go; nie bardziej niż on ich. Markiz wstawił się za nim, kiedy znieważył słynnego teologa Antoine'a de la Faye i został pozwany przed Radę Teologiczną, odzianych w czerń mężczyzn, którym zbędne były poglądy; nie został skazany, lecz wyrzucono go z miasta i z Rhone. Dość już miasta Kalwina.

Udał się do Lyonu, centrum handlu książką, lecz nie zdołał znaleźć tam utrzymania; zimny wiatr zdawał się przenikać świat

nauki, tak w każdym razie odczuł to Giordano. Strząśnijcie proch z nóg waszych⁴⁸. W Tuluzie powiodło mu się lepiej; został przyjęty w poczet wykładowców uniwersytetu (pokierowany przez dobrych doradców i właśnie na ową chwilę gotów mówić i czynić to, co mówić i czynić mu radzono), na którym przez półtora roku uczył filozofii oraz *O sferach*.

W spokojnych langwedockich miesiącach począł przedstawiać to, czego się dotąd nauczył, w formie bogów i bogiń; nie tylko owych wielkich bogów planetarnych oraz ich *horoscopi*, lecz również bogów pomniejszych, Pana, Wertumnusa i Janusa oraz tego, który pijany przechwala się swym osłem - Sylena. Na tych poślednich bogach - nieruchomych i bladych, kiedy rozstawił ich w swym wnętrzu niczym posągi wzdłuż drogi rzymskiej - praktykował magię ægipską: będzie karmił ich ze swych własnych składów, rumienił im policzki i sprawiał, by mówili. Czyż Heremes nie twierdził, że mnogość bogów przepelnia wszystko, co istnieje? A zatem przepelniali też i jego wewnętrzny wszechświat cienia, mali bogowie nieskończonego stawania się.

Tuluza była miastem hugenockim, a w owym roku armie Ligi Katolickiej posuwały się naprzód ku jego murom; w mieście wybuchły rozruchy, a na uniwersytecie skandale; Bruno ruszył dalej.

W 1582 zjawił się w Paryżu, największym mieście Europy, lecz nie na tyle wielkim, by nie zmieścić się w obrębie murów jego wewnętrznego miasta. Prowadził wykłady na uniwersytecie jako wykładowca nieetatowy, ścierając się z pedantami, zwolennikami

⁴⁸ Por. Mt 10,14.

Arystotelesa, Petrusa Ramusa; wreszcie opublikował swą ogromną księgę, Sztukę Pamięci, którą każdy, kto miał śmiałość do niej zajrzeć, natychmiast uznawał za dzieło magii absolutnej i straszliwie potężnej: nadał jej nawet tytuł zaczerpnięty z owej księgi Salomona, którą dawno temu ukrywał w wygodce: *De umbris idearum, O cieniach idei*.

Teraz jego wszechświat przesunął się, jako że wszechświat wokół niego uległ przesunięciu: stanowiły jedność. Toteż jeśli postanowił spowodować jakieś wydarzenie w swym świecie wewnętrznym, wówczas... Zaśmiał się, śmiał się i nie mógł przestać: czyż nie przesunął Słońca z jego sfery? Nie sposób było orzec, czego nie zdołałby dokonać, gdyby postanowił.

Wiść o nim dotarła do króla, toteż ten zaprosił go do Luwru, a na swych kolanach ze zdumieniem otworzył księgę Bruna; poczęstowano go kieliszkiem wina w towarzystwie królowej matki, ona zaś posadziła go przy swym astrologu i magu, który zwał się Notredame albo Nostradamus. Bruno uznał go za oszusta i głupca, lecz spytał: W jakim kraju zostaną pochowane moje kości? Zaś odpowiedź Nostradamusa brzmiała: W żadnym.

Spodobała mu się. Być może po prostu na zawsze będzie krążył po świecie, żeglując wokół Ziemi niczym statek, i nigdy nie umrze.

Pod koniec wiosny 1583 roku, w orszaku udającego się do Anglii nowego ambasadora Francji, wsiadł na statek w Calais ze swoją księgą, systemami i wiedzą; z sakiewką wypchaną *louis d'or*, z misją od króla wyrytą w jego nieskończonej pamięci. Angielski

ambasador w Paryżu napisał do Walsinghama: *Doktor Giordano Bruno z Noli, profesor filozofii, którego religii nie mogę rekomendować, zamierza dostać się do Anglii. Ale jakąż to religię niósł on ze sobą?*

Statek postawił żagle, Bruno wstąpił na pokład, mat zagwizdał, zwinięto cumy. Bruno po raz pierwszy stracił z oczu ląd, a widok ten sprawił, że poczuł, iż coś od niego odpada; coś, co już nigdy nie zostanie podniesione. Dokądkolwiek stąd się udaje, nigdy już nie zawróci. Eol śpiewał w takielunku, chłodna mgiełka uderzyła go w twarz; załoga znajdowała się wysoko w górze, kapitan spał na dole, jego brzuch unosił się i wydymał niczym żagle; stateczek parł z mozołem przez okrutne morza, pełen zwierząt, ludzi i dóbr, czerwona papuga meksykańska przeklinała z wściekłością w oknie kubryku.

„A na noku rei płonie ogień” - mówił pan Talbot. - „Ognie św. Elma, jeden płomień po prawej, jeden po lewej. Kastor i Polluks, Bliźnięta”.

„*Spes proxima*” - rzekł doktor Dee.

Anioł, który objawił im statek w kryształach (był roześmianym i niestałym dzieckiem, dziewczynką o imieniu Madimi), pochylił głowę krystalomanty bliżej zwierciadła, statku i owego trzymającego się mocno na dziobie mężczyzny.

„On” - rzekł pan Talbot.

„*To on*” - powiedział anioł. - „*To ten, o którym ci mówiłam*”.

„Czy ona może mówić jaśniej?” - zapytał doktor Dee. - „Spytaj ją”.

„Ten, o którym ci mówiłam” - powtórzyła anioł Madimi. - „Jonasz, którego wypluła ryba, głownia wyciągnięta z ognia⁴⁹, kamień odrzucony przez budujących, który stał się kamieniem węgielnym⁵⁰ domu, ostatniego domu, jaki się ostał. Naszym adorpem, naszym lecącym na zachodzie smokiem, naszym filozoficznym Merkurym. Naszym Graalem kwintesencji, naszą sal cranii humani, lecz jeśli sól utraci swój smak, czymże ją posolić⁵¹? Naszą piękną różą. Naszym brunatnym niedźwiedziem, śpiącym przez całą zimę w jaskini. Naszym panem Jordanem Brownem, którego religii nie mogę rekomendować. Skradł ogień z nieba, a są sfery, w których nie jest on kochany. Przybywa do tego domu, choć o tym nie wie; nie zawróci drogą, którą przyszedł; a teraz nic nigdy nie będzie już takie jak przedtem.”

⁴⁹ Por. Am 4: 11.

⁵⁰ Por. Mt 5: 13.

⁵¹ Por. Ps 118: 22, Mt 21: 42, Mk 12: 10, Łk 20: 17, Dz 4: 11.

Jedynym sposobem na to, by wziąć udział w odbywającym się co pół roku na znajdującej się wysoko na górze Merrow Podniebnej Farmie festiwalu sponsorowanym przez Towarzystwo Aerostaticzne Faraway, jest zerwać się przed świtem i udać się tam na tyle wcześnie, by ujrzeć wstawanie poranka: bowiem lot lżejszy od powietrza, w większości wypadków nieprawdopodobny, najbardziej możliwy jest o świcie oraz po południu, gdy powietrze jest chłodne i nieruchome.

Toteż dygoczący w chłodzie przedświtu Pierce Moffett siedział na swych frontowych schodkach, czekając, aż w domu naprzeciwko zapalą się światła i wyłoni się z niego Beau Brachman, mniej lub bardziej gotowy na przygodę, lecz głównie rozmyślając o szarym pudełku pożółkłych kartek, znajdującym się na biurku Fellowesa Krafra w odległym o wiele mil Stonykill. Zdawało się ono jarzyć blaskiem w jego myślach niczym skryte pod kapturem słońce.

Być może wyłącznie dlatego, że w ostatnich latach nie zdarzało mu się czytywać zbyt wiele prozy, nie czytał innej twórczości poza taką, która przynajmniej w teorii opisywała to, co faktycznie należało do rzeczy, toteż poczuł teraz w piersiach osobliwe ciepło, owo zadowolenie gdzieś w głębi swego jestestwa, jakiego nie doznał od bardzo dawna; wizja treści książki niczym gór o poranku, niknących

warstwa po warstwie w bladej dali - wszystkie nowe, wszystkie oczekujące na spenetrowanie, a jednak jakimś sposobem już znane.

Lecz w istocie jakież to prosty koncept, cóż za metafora, najbardziej objawicielska ze wszystkich: kiedyś, dawno temu, świat tak naprawdę był inny. Nie taki, jaki jest teraz.

Bruno zaś to prekursor, posłaniec do przyszłości, przekonany, że wiek, jaki nadejdzie, przyniesie więcej, nie zaś mniej magii - jak ci, którzy obwieszczali nową erę w czasach Pierce'a.

Bruno, z policzkiem podpartym dłonią przy stole Johna Dee, rysujący kawałkiem kredy kręgi następnego wszechświata, obroty sfer niebieskich. Dawniej tak nie było, ale teraz jest, i odtąd już tak pozostanie.

Tymczasem Dee... Dee wie swoje, ostrzeżony przez swoje anioły, same mające odejść w niebyt. W końcu odłoży swą różdżkę i (pusty) globus, domyślił się Pierce, zatopi swe księgi jak Prospero. Wszystko jest już skończone.

Potężny dreszcz - lecz skąd? - owładnął Pierce'em i sprawił, że uśmiechnął się szeroko.

A co, jeśli to w istocie prawda?

Olbrzymie ciało czasu raz na kilka wieków budzi się ze snu, przemieszcza swe masywne członki, różnie je rozmieszczając, postępując i na powrót zapadając w sen. Hm. A potem nic nie jest już takie jak przedtem.

Przypomniał sobie, jak pewnego razu w St. Guinefort miło spędzał czas w czytelni z tomem Encyklopedii Katolickiej i natknął

się na potępioną opinię Orygenesusa: że świat, który znamy, w którym Adam zgrzeszył, który Chrystus przyszedł zbawić, do którego powróci w chwale ostatniej bitwy - ten świat, po tym, jak zostanie zwinięty niczym zwój pergaminu, będzie zastąpiony przez następny, w którym żadne z tych wydarzeń nie będzie miało miejsca; a ów świat, gdy osiągnie swój kres, przez kolejny, i tak w nieskończoność - a czytając to, Pierce doznał przez chwilę najczystszej poczucia ulgi, porywu czegoś podobnego wolności, na myśl, że naprawdę tak może być.

Rzeczywiście, dosłownie, naprawdę może tak być.

Zaśmiał się. Największa tajemna historia ze wszystkich, która zawiera w sobie i wyjaśnia wszelkie możliwe tajemne historie, a przy tym to, dlaczego są tajemne. Skręcił papierosa i zapalił go, ostry smak o pozbawionym śniadania brzasku; i uchwycił następstwo tej myśli.

Jeśli wówczas nastąpił taki moment, teraz z pewnością dokonuje się kolejny.

Tak. Po to, by mógł pobawić się tym pojęciem, świat musi w tej chwili znów znaleźć się na krawędzi przeistoczenia: albowiem jedynie w owych chwilach przemiany - kiedy oczom ukazują się nie tylko wszelkie możliwe warianty przyszłości, lecz również wszelkie możliwe przeszłości - minione transformacje stają się widzialne, Czas budzi się i przeciera oczy, Ach, rozumiem, pamiętam. Czy w istocie nie o tym mówił Kraft - a raczej subtelnie dawał to czytelnikowi do zrozumienia? Wówczas nastąpił taki moment; teraz dokonuje się kolejny.

Teraz; biała dekada właśnie minęła; dzieci w ruchu, dni, kiedy zamknięty świat, jak ten stworzony przez Dantego, otworzył się, a nieruchoma Ziemia została wprawiona w ruch, zarówno wirowy, jak i obrotowy, Pierce zaś znalazł się niespodziewanie na rozdrożu - wzmagające się wichry świtu, gdy noc pobladła. A owa książka Krafta stawała się, jedna poóółkła kartka po drugiej, utworem nieporównywalnym z żadnym innym, jaki wcześniej napisał.

Przyszła mu na myśl Julie, siedząca na łóżku w jego dawnym mieszkaniu, nad zasłaną rupieciami podłogą, malująca sobie paznokcie w gwiazdki i mówiąca: *Jest w tym sporo sensu.*

W tej chwili niebo rozjaśniło się, a na frontowej części znajdującego się po drugiej stronie ulicy domu Beau widać było wydłużone prostokąty żółtego światła ulicznych lamp. Zaszczekał pies. Trzasnęły drzwi z moskitierą, Pierce zaś podniósł się ze swego chłodnego siedzenia. A co, jeśli tak jest.

Czy nie zwali to Julie z nóg, pomyślał, czy nie będzie zdumiona, jeśli książka, którą on pisze dla niej, zawierać będzie twierdzenie, że tak właśnie jest. Ostatecznie utwór Krafta to tylko powieść, metafora; a co, jeśli dzieło Pierce'a rzeczywiście mogłoby przytoczyć dowody na to, że tak jest. Boże. Świat bardziej zagubiony niż Atlantyda, na powrót dostrzeżony pod powierzchnią wód czasu, odzyskany, jego skarby zaś ujawnione. Nadejście jego własnej fortuny i fortuny Julie.

Znów zaśmiał się głośno. Zachowaj spokój, poradził sobie; bądź ostrożny. Wciąż śmiał się po cichu, gdy wkroczył na podwórko Beau,

a jego zaintrygowane sąsiadki uśmiechały się doń.

- Cześć, cześć - pozdrowił je i zabrał się za pakowanie piknikowych koszyków oraz dzieci do samochodu Beau, wielkiego, powgniatanego pythona, który niekiedy odmawiał posłuszeństwa.

- Gotowe? Jedziemy? - spytało go jedno z dzieci, nad wyraz podekscytowane.

- Jedziemy - odparł Pierce, gramoląc się do środka. Wydało mu się zabawne, że podczas gdy przebywał poza światem podróży samochodowych, natura starych gruchotów uległa zmianie. Nie był to garbaty nash podobny do tego, jakim jeździł Sam, ani stary skrzydlaty desoto; niniejszy python był jednym z owych lśniących drapieżnych aut z nieodległej w sumie przeszłości; samochód nowego typu, ale gdzie tam, już się zestarzał, już był starym gratem, przesiąkniętym owym zapachem spalonego oleju i wilgotnej tapicerki a do tego na tylne siedzenie zarzucony miał koc w szkocką kratę. Zabawne.

Przy Pączkowej Dziurce stały dwa czy trzy zaparkowane w żółtym świetle ulicznych latarni pickapy, ale poza tym miasteczko pogrążone było w bezruchu i, jak się zdawało, w osobliwym niebycie; świt i rzeka były wokół niego tak ogromne, tak rzeczywiste i wonne. Pojechali drogą nad rzeką Shadow, a dalej w górę: i nawet owo podekscytowane dziecko na kolanie Pierce'a ucichło za sprawą oddechu białej rzeki, upiornych sosen oraz wdzierającego się do auta mokrego wiatru.

Ale co, jeśli tak jest, nadal zastanawiał się Pierce, a może jedynie powtarzał sobie w duchu, co, jeśli tak jest: że świat mógłby być, a

niegdyś był, inny niż jest.

A im więcej o tym rozmyślał, czy też im więcej to roztrząsał, tym bardziej rozumiał - bez jakiegoś szczególnego zaskoczenia - iż w gruncie rzeczy od dawna przypuszczał, że to prawda. Od dawna domyślał się, że tak jest: tak, nigdy naprawdę nie dowierzał, że Historia leży przed nim w tym samym strumieniu czasu, w którym i on dryfuje, że wszyscy ci ludzie, miejsca i przedmioty kolorowe jak dziesięć cyfr faktycznie kiedykolwiek pojawili się w świecie, w którym i on się znajduje, w którym płynie woda i dojrzewają jabłka. Nigdy. Bez względu na to, co powtarzał sobie, swoim studentom bądź nauczycielom, to, czego w istocie poszukiwał w owych szczątkach przeszłości, po które sięgał i które badał z taką pieczołowitością i uwagą, było potwierdzeniem tego, co pragnął wiedzieć na pewno: że świat nie musi być taki, jaki jest.

Ostatnie życzenie: tak naprawdę jedyne. Żeby świat mógł być nie taki, jaki jest, lecz w zamian jakiś inny. W gruncie rzeczy nie lepszy, a przynajmniej nie we wszystkich swych aspektach: może trochę większy, bogatszy w to czy owo, ale w głównej mierze inny. Nowy. Żebym ja, Pierce Moffett, mógł wiedzieć, że niegdyś został przeobrażony, a tym samym może zostać przeobrażony ponownie, na nowo, całkowicie. Wówczas być może ten żal uszedłby w końcu z mojego serca.

- O, popatrz - odezwała się kobieta na przednim siedzeniu. - Popatrz, widać już jeden.

Mgła podniosła się, a niebo za nią było czyste; w powietrzu wisiał balon, niedaleko, w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą nie było go widać, zuchwały w swym nieprawdopodobieństwie - nierzeczywista błękitna kula z pomarańczowym paskiem, białą gwiazdą i pełnym podróźnych wiklinowym koszem. Python wziął szeroki zakręt, a wszystkie głowy jego pasażerów, z wyjątkiem kierowcy, obróciły się, by z powrotem przyglądać się balonowi, który zdawał się spoglądać boskim spojrzeniem w dół. Deus ex machina. Wyrósł w nim język ognia, wydając odgłos podobny długiemu wydechowi smoka, i balon wzleciał płynnie ku przejaśniającemu się niebu. Nastął dzień.

Podniebna Farma rzeczywiście była niegdyś gospodarstwem rolnym; następnie przez lata funkcjonowała jako letni kemping, obecnie zaś jest zamkniętym terenem rekreacyjnym. Jej centralny domek letniskowy otwierany jest teraz tylko z rzadka, na kolacje przy ognisku, festyn balonowy. Domek znajduje się na szczycie długiego, wielobarwnego pledu łąk, rozpostartego na kolanach góry Merrow, i daje widok na szeroką panoramę Faraways.

Kiedy nadjechała grupa z Jambs, parking już się wypełniał; Beau musiał zostawić pythona z dala od niewielkiego lotniska. Przechodząc pomiędzy autami, Pierce dostrzegł ciężarówkę Spofforda oraz małego czerwonego aspa, który dalece przypominał auto, z jakim swego czasu zmagali się Mike Mucho oraz jego była żona.

- Jest tu trochę znajomych - zwrócił się do Beau.

- O, tak - odparł Beau - Oczywiście.

Po zimnym poranku nastawał gorący dzień. Aeronauci - którzy spali tu przez całą noc w namiotach, przyczepach kempingowych bądź wciśnięci w swoje specjalne baloniarские ciężarówki - już się krzątali, popijając kawę przy budkach z jedzeniem, zapinając swoje kombinezony, sprawdzając osprzęt. Niektórzy byli już w górze; balony innych zaczynały wyrastać sponad trawy nabrzmiące i wolno wypełniające się powietrzem. Całe pole balonów komicznie podnosiło się, lżejsze od powietrza, a dziecko, które ciągnęło Pierce'a za rękę, podskoczyło do góry, naśladując je, i zaśmiało się radośnie. Pierce, nie mogąc się powstrzymać, również się zaśmiał w chwili, kiedy kolejny balon oderwał się od ziemi, nie gwałtownie bynajmniej, lecz spokojnie, i powoli odpływał coraz dalej w powietrzu ponad łąką.

- Czułem, że cię tu spotkam - odezwał się ktoś za jego plecami, kiedy przyglądał się temu z rozdziawionymi ustami.

- Spofford! - uradował się Pierce. - Widziałem twoją ciężarówkę. Gdzieś ty się podziewał?

- Tu i tam - odparł łagodnie Spofford.

- A niech to - rzucił Pierce. - Cholera. Mógłbyś czasem do mnie zajrzeć.

- I *vice versa* - zripostował Spofford. - Zwykle jestem na miejscu.

- Zapomniałeś, że nie mam prawa jazdy - przypomniał Pierce.

- Faktycznie - mruknął tamten, uśmiechając się jeszcze szerzej do Pierce'a, jak gdyby nadal rozkoszował się figlem, jaki mu swego

czasu splatał. Wyciągnął ku niemu książkę, którą trzymał za plecami.

- Przywiozłem ją - oświadczył - licząc, że może cię tu złapię.
Zostawiłeś ją w zeszłym roku.

Była to *Soledades* de Góngory, owe pokrętne sielanki, których Pierce nigdy nie odebrał z chaty Spofforda. Wziął od niego książkę. Począł się w nim wykuwać bogaty łańcuch minionych chwil, jedno ogniwo po drugim, a on przypomniał sobie, jak to się stało, że w tej chwili znajduje się w tym miejscu.

- Dzięki - rzucił.

- Zajrzałem do niej - wyznał Spofford. - Ciekawa, ale trudna.

- No cóż - mruknął Pierce. - Właściwie to nie są przeznaczone do czytania, to znaczy, mam na myśli...

- Jeden z tych pasterzy - ciągnął Spofford - był wcześniej żołnierzem.

- Naprawdę?

Spofford wziął od Pierce'a książkę i otworzył ją.

- *Gdy ja, dziś w przaśnej szacie, chadzałem w stal zakuty.*

Dobrze zgaduję?

- Chyba.

- Kiedyś brał udział w bitwie, na tym samym wzgórzu, przez które prowadzi tego rozbitka. Zgadza się? Kiedyś, dawno temu.
Posłuchaj:

Wokół nagich kamieni tych ponurych wzgórz

Teraz pnie się w żalu bluszcz:

*Czas, który wszelki smutek wygasza,
W zielonych ruinach czułym słowem obdarza.*

Zwrócił książkę.

- Ciekawa - powtórzył. Zmrużył oczy w promieniach słońca, spoglądając ku Faraways. - Pamiętam, jak szybko wróciła dżungla.

- Hm. - Pierce wcisnął sobie książkę pod pachę, nieco zawstydzony, zawstydzony tym, że jego dawny uczeń odnajduje prawdę w słowie pisanym, bez względu na to, jak dalece pisarz wolałby, żeby jej tam nie szukać.

Ruszyli obaj przez tłum po obwodzie pola, na którym w tej chwili większość balonów była przynajmniej rozpostarta i rozłożona, heraldyka szachownic, belek, jodełek i tarcz we wściekle jaskrawych kolorach, niczym rycerskie namioty ustawione na polu walki - jakkolwiek ogromne, łączące flagę na namiocie i rumaka bojowego w jednym.

- To zabawna rzecz - zauważył Pierce. Pomachał ciemnowłosemu mężczyźnie w szytych na miarę krótkich spodenkach, który odpowiedział mu tym samym gestem: był to, zdaje się, prawnik, poznany podczas gry w krokieta. - Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, obawiałem się, że nie trafi się zbyt wiele osób, które mógłbym poznać. Sądziłem, że będę regularnie jeździł do miasta, po, po...

- Poszaleć.

- Dla rozrywki. Ale nie jeżdżę. A teraz zapoznaję się z ludźmi, których naprawdę jest całkiem sporo. Porządnych ludzi. Ciekawych. Poznają ich coraz więcej. Zaskoczyło mnie to.

- Ano. - Spofford sam uniósł swą brązową dłoń i skinął komuś w geście pozdrowienia.

- Ale spójrz - ciągnął Pierce. - To pole wypełnia się ludźmi, których już znam albo przynajmniej widziałem. Tymi samymi. Zostałem przedstawiony jakiejś jednej piątej z nich. Większość pozostałych znam z widzenia.

- Aha.

- Wkrótce możliwości się wyczerpią. Nie są nieskończeni, jak ci w mieście. Dobrnę do końca.

- Ha - rzucił Spofford. - Poczekaj, aż się ożenisz z jedną albo dwoma, dzieci będziesz miał z inną, a matka twoich dzieci będzie kochanką poprzedniego męża twojej byłej żony i tak dalej. W t e d y, dobrniesz do końca. I przyjdzie czas, żeby ruszać dalej.

- Czyżby?

- No cóż, po prostu nie zostawiają ci zbyt szerokiego pola manewru - wyjaśnił Spofford. - Sądzą, że wiedzą o tobie wszystko, a ty masz być tym, kim oni cię widzą. Małomiasteczkowość, rozumiesz?

Pierce przypuszczał, że rozumie. Dorastał w miasteczku pod wieloma względami znacznie mniejszym niż to, mniejszym, ponieważ bardziej odizolowanym w czasie i przestrzeni od Możliwości. Tam charakter człowieka istotnie stawał się jego przeznaczeniem.

Miejscowy pijaczyna, okrutny właściciel kopalni i jego zwyrodniały synalek, ksiądz hipokryta i dobrotliwy lekarz. A przy tym proste moralitety odgrywane w koło Macieju przez tę skromną obsadę, jak w filmie. Bezustanne przedstawienie.

Acz owego poranka w Faraways ów rodzaj małomiasteczkowego determinizmu nie wydał mu się czymś niefortunnym. To prawda, on wydobył się z niego do Wielkiego Świata tak szybko, jak tylko zdołał, poszukując przestrzeni życiowej do dorastania i powietrza do oddychania; ale tak naprawdę cierpiał w mieście, nie rosnąc, a z czasem kurcząc się do jakiejś kuriozalnej formy niewidzialności. Niemal nikt, kogo tam znał, nie miał z nim wspólnych znajomych, toteż w przypadku każdej nowej znajomości Pierce mógł zaprezentować osobny i cząstkowy charakter, osobowość *ad hoc* przygotowaną specjalnie dla tych okoliczności (baru, księgarni, Brooklynu), lecz zbyt wątłą, by utrzymać w bliskim zasięgu więcej niż jedną osobę - co najwyżej dwie. Swoista wolność - owo zmienne życie dandysa - lecz jakże dalece nikła.

Teraz wszystko będzie inaczej. Od dłuższego już czasu żył samotnie niczym bilard elektryczny, pomimo wszystkich tych zderzeń tak zwanej miłości, ale może teraz zaczną tworzyć się prawdziwe więzi. Może. Lecz jakiego rodzaju? Tego właściwie nie potrafił orzec, bowiem nie miały być one do końca jego dziełem. Kimkolwiek stanie się z czasem dla tych ludzi, bez względu na to, jakie *exemplum* potrzebne ich komedii mógłby ucieleśnić, będą mieli swój udział w podejmowaniu tej decyzji.

Rola do odegrania. Dobrze. W porządku.

- Tam - odezwał się do Spofforda - obok kosza balonu, stoi przykład tego, o czym mówię, zgadza się? Mike Mucho.

Spofford zerknął w tamtą stronę.

- Zgadza się - odparł.

- No więc, ściśle mówiąc, nie poznałem go osobiście, ale go znam. Jest stałym mieszkańcem. - A przy tym kimś, z kim Pierce był już związany w niejeden sposób. *Quod erat demonstrandum*. W jego piersi pojawiło się podejrzanie braterskie ciepło. - A obok niego jest jego żona, Rosie.

Głowa Spofforda wykonała szybki ruch, odwracając się od Pierce'a ku znajdującemu się w oddali czarnemu balonowi i z powrotem ku niemu.

- To nie jest jego żona - oświadczył.

- Nie?

- Nie.

- Wobec tego to pewnie ta druga - stwierdził Pierce. - W każdym razie jest bardzo podobna do niej.

- Nie jest - zaprzeczył Spofford. - Ani trochę.

No cóż, znajdowała się w sporej odległości, a do tego, uznał Pierce, trzeba brać poprawkę na zaślepione miłością oczy. Jemu wydawała się podobna do Rosie Mucho.

- Nazywa się Ryder - wyjaśnił Spofford. - Rose Ryder.

Ryder też ma na imię Rose? Popularne imię w tych stronach; wobec tego zna już trzy kobiety o tym imieniu. Róże rosły obficie na

tej ziemi.

- Jej i mnie - zaczął Spofford - przydarzył się krótki epizod jakiś czas temu. Całkiem spory czas temu. A teraz popatrz.

Rose Ryder z pomocą Mike'a wsiadała do kosza.

- Rozumiesz, co mam na myśli? - spytał Spofford, łącząc dłonie za plecami i odwracając się. - Rozumiesz, co mam na myśli.

Możliwe, pomyślał Pierce, że Mike Mucho jest podobny do niego: istnieje dlań tylko jedna dziewczyna, ta sama w różnych przebraniach, o różnych imionach - a w jego przypadku niemal o tym samym.

- O, proszę - odezwał się, pokazując w innym kierunku, w dół łąki. - Kolejny przykład.

- Ano - mruknął Spofford.

- Ta kobieta to moja nowa przełożona - oznajmił Pierce. - I też ma na imię Rosie.

- Rosalind - doprecyzował Spofford. - Słyszałem o tym. Pracujesz dla Fundacji.

- Słyszałeś? - Rosie Rasmussen pomachała im; szła za dwu- lub trzyletnim dzieckiem, które zdawało się nadzwyczajnie spieszyć. - Pewnie ją znasz.

- Owszem - przytaknął Spofford. - Przedstawiłem was sobie. Zgadza się? A może nie do końca. - Począł zwracać głowę ku czarnemu balonowi na płycie lotniska za jego plecami, ale po chwili najwyraźniej zmienił zdanie. - Wiem, że ci o niej opowiadałem. O moich planach i w ogóle. Rosie. Rosie Mucho.

Ruszył łąką ku miejscu, w którym złotowłose dziecko z mozołem wspinało się pod górkę. Pierce nie poszedł za nim. On również obrócił głowę ku owej Rose za jego plecami, Ryder; a potem zmienił zdanie i odwrócił się ku znajdującej się przed nim Rosie.

- Jest trochę zwariowana - powiedziała do Spofforda Rosie.

Oboje trzymali za rękę Sam, która, potknąwszy się w sięgających jej po kolana pazernych chwastach, popadła w rozpacz.

- Tato nie poleci bez ciebie, niuniu - wyjaśniła jej Rosie. - Nie martw się.

Spofford z szerokim uśmiechem wziął popłakującą Sam na ramię, z którego wciąż teatralnie wyciągała rękę ku swemu odległemu ojcu.

- Przelecisz się balonem, co, Sam? - spytał Spofford.

- Dla mnie to coś niesamowitego - stwierdziła Rosie. - Ona nie chce słyszeć o niczym innym. A ja bym się bała jak cholera.

Spofford zaśmiał się głośno, a huk tego śmiechu unieruchomił Sam na jego ramieniu.

- Wiesz co - odezwał się po chwili. - Przepraszam za krockieta.

- No cóż. - Na zboczu Pierce Moffett z poważną miną uniósł ku niej dłoń. - No więc o co chodzi z tym wielkim planem? - spytała. - Mówiłeś, że masz jakiś plan.

- Chodzi o owce - odparł Spofford. - Później ci powiem. Rozmawiałem już z Boney'em. Jest za.

Pierce - kiedy się doń zbliżyła, dłonie trzymał już w kieszeniach - przypatrując się jej jakoś tak dziwnie, wyglądał na jeszcze bardziej osłupiałego niż poprzednim razem.

- Cześć - rzuciła. - Nie miałeś okazji poznać mojej córki, Sam, prawda? Samantha. Przywitaj się, ojej, nie zaczynaj znowu płakać.

Pierce uniósł wzrok na siedzącą na Spoffordzie Sam. Być może osłupienie stanowiło jego zwyczajowy wyraz twarzy bądź nastrój: wyglądał tak, jakby właśnie obudził się w nie swoim łóżku i zastanawiał się, skąd się w nim wziął. Przyjemne łóżko, obcy pokój. Do pewnego stopnia było to nawet atrakcyjne.

- No więc - rzuciła - jutro jedziemy z powrotem? Do starego domu Krafta?

Pierce jedynie szedł dalej i bacznie jej się przyglądał, jakby był głuchy; wreszcie powiedział:

- Tak. Tak. Jeśli mogę.

- Rozmawiałam jeszcze z Boney'em - wyznała Rosie. - Wiesz, bardzo interesuje go twój... To, czym się zajmujesz.

- Takie sprawił wrażenie - przyznał Pierce.

- Prosił mnie, żebym ci przekazała, że powinieneś ubiegać się o stypendium. W Fundacji Rasmussenów. - Naraz poczuła się absurdalnie, jak postać telewizyjna zmieniająca czyjeś niewinne życie.

- Powiedział, żeby nie pozwolić ci uciec.

- Naprawdę?

- Jasne. Fundacja ma pieniądze.

W tej chwili z niespokojnego balonu na zboczu Mike, szarpiąc za cumę, krzyknął do Rosie. Spofford już niósł ku niemu Sam.

- No więc posłuchaj - odezwał się Pierce, gdy zostali trochę w tyle. - Czy mogę cię o coś spytać?

- W porządku. - Pierce zdawał się mieć ochotę trzymać się na uboczu, spoglądając ku stokowi z czymś w rodzaju zdumienia.

- Ten mężczyzna w balonie to twój były mąż?

- Tak. - Właściwie to od dziś; od dziś.

- A ta kobieta w balonie razem z nim to jego obecna żona?

- Rose? Nie. Tylko przyjaciółka.

- Aha.

- Jestem jego jedyną i jedyką. Jak na razie.

Wielki czarny balon, znacznie większy, kiedy patrzyło się w górę, ku jego pustemu wnętrzu, wygiął się pod wpływem podmuchu bryzy niczym miękki nadmuchiwany klaun; optymalna pogoda do lotów już przeminęła. Spofford przekazał Mike'owi córkę; w tej chwili, ściskając kurczowo ojca rękami i nogami, zdawała się mniej pewna swych chęci niż przedtem.

- Dobra, dobra - krzyknął szyper, opalony i wymizerowany; na rękach niczym starodawny maszynista miał wielkie rękawice. Zorganizował widzów, w tym roślących Pierce'a i Spofforda, w personel naziemny, który miał mocno chwycić kosz i trzymać go przy ziemi, póki nie wyda komendy.

- Michael - odezwała się Rosie. - Otrzymałeś dziś zawiadomienie?

- Owszem.
- Ja swoje też. Dopiero dziś.
- W porządku, Rosie, w porządku.

Odzianą w rękawiczkę dłonią baloniarz pociągnął linkę swojego palnika niczym rączkę gwizdka parowego bądź tramwajowego dzwonka, lecz powstały odgłos był wstrząsający jak uderzenie. Kosz, lżejszy od powietrza, uniósł się do góry, obracając się, zaś obrót przesunął ową kobietę, Rose, do miejsca, w którym stał Pierce, gotów chwytać mocno linę.

- Cześć. - Mimo wczesnej pory trzymała w ręku butelkę piwa.
- Witaj - odparł Pierce. - Rose.

- Przypominam sobie ciebie - stwierdziła. - Wreszcie. - Znów dał się słyszeć ów okropny hałas, balon uniósł się, Pierce chwycił cumę; dziewczyna, Rose, zamknęła oczy i usta, jak gdyby została objęta od tyłu, i otworzyła je ponownie, kiedy hałas ustał. - Bal nad rzeką - powiedziała. - Łódka.

- Tak.

- Piersiówka.

- Zgadza się. - Nazwa balonu nadrukowana była na przyszytej do brzegu płótna kosza przywieszce: „Kruk”. - Zgadza się.

- Miałeś zająć się hodowlą owiec. - Owo lodowe skrzeczenie znów pojawiło się w jej oczach: nie pozostawiało to żadnych wątpliwości. - Mieszkaś tu teraz?

- W Blackbury Jambs. - Kosz zaczął przesuwać się przez pole. Pierce wraz z pozostałymi popędzili za nim.

- Może się tam zobaczymy - stwierdziła. - Będę często w bibliotece.

- Ja też - przyznał Pierce.

- Tak, naprawdę?

Biegł teraz, ażeby dotrzymać tempa „Krukowi”; Rose spoglądała nań w dół i śmiała się.

- W porządku - rzuciła.

- Pa! - krzyknęła Rosie Rasmussen. - Pa. Pa. Trzymaj się mocno.

Jeden po drugim członkowie personelu naziemnego puszczali kosz, niscy najpierw, a po nich wyżsi; z jakiegoś powodu nadal biegli za wznoszącym się balonem. Zaryczał palnik.

Prawa fizyki, niczym żart, uniosły ów wielki naprężony worek poza zasięg.

- Dobra - jęknęła Rosie, nie mogąc złapać tchu.

Spojrzała na Pierce'a, a po chwili na Spofforda; Pierce dostrzegł w jej twarzy coś, co przypominało porzucenie, cień panicznego przed nim strachu, bądź tak mu się tylko zdawało.

- Chyba pójde poszukać kawy - oznajmił.

- Pewna rzecz, którą zauważyłem - powiedział do Rosie Spofford, gdy oboje stali, przyglądając się, jak balon staje się coraz mniejszy. - Pewna rzecz, jaką zauważyłem, to taka, że kobieta, która kocha mężczyznę, często zwraca się do niego jego pełnym imieniem.

- Że co?

- Każdy inny człowiek na świecie może nazywać faceta Bob albo Dave, ale kobieta, która go kocha, zwraca się do niego Robert. David. Michael. - Nie przestawał patrzeć ku górze.

- Co to niby ma znaczyć?

- Jak nie wiesz - odezwał się Spofford - to najprawdopodobniej nic.

- Hm. - Skrzyżowała przed nim ramiona.

Widziała, że Samantha w wiklinowym koszyku nie podniesie twarzy sponad zagięcia szyi swego ojca; śmiejąc się, Mike pociągał jej pukle.

- Co to za list dostaliście oboje? - spytał Spofford. - Czy to...

- Z sądu - odparła Rosie. - Rozwód. Wynika z niego, że jest już odnotowany, a my otrzymaliśmy orzeczenie *nisi*.

- Aha. - Spofford postąpił krok ku niej i splótł ręce za plecami; wpatrywał się w niebo. - Aha.

- Ano. - „Nowy początek”, oznajmił Allan w miłym i uprzejmym liście, który przesłał wraz z zawiadomieniem, ale Rosie nie miała pojęcia, czego miałby to być początek. Nie zakończenie, ale początek, czy też Początek, jak w *Ogryzkach jabłek*: POCZĄTEK, zamieszczone prowokacyjnie na dole ostatniej strony, reszta jej życia.

Dla niej nie było to takie złe, będzie mogła nadal jakoś funkcjonować, uznała, Okręt Ziemi Jałowej, niewiedzący, dokąd podąży. Ale dla swej córki, nad którą tak bezmyślnie przejęła opiekę, potrafiła jedynie snuć ponurą i pozbawioną miłości wyimaginowaną przyszłość; przyszłość córki, będącej pod opieką, czy raczej

doglądanej przez kobietę, która zapomniała, o ile kiedykolwiek w ogóle wiedziała, czym jest miłość, czego ludzie pragną bądź potrzebują od życia; jakaś obca istota, Matka z Innego Świata.

A może stanie się tak, że umrze. Zanim wszyscy się o tym dowiedzą, Spofford, Boney. Sam mogłaby wówczas zachować wspomnienia o niej, pamiętać dobre czasy, nigdy nie odkrywając jej tajemnicy.

- Orzeczenie *nisi* - powtórzył Spofford, jak gdyby smakując to wyrażenie. - A czy to jest coś w rodzaju ostatecznego werdyktu?

- Niezupełnie. - Balon znajdował się już w sporej odległości, niknąc stopniowo, choć zdawał się nieruchomy. - To orzeczenie *nisi*. *Nisi* z łacińska. Oznacza „pod warunkiem”.

- Pod jakim warunkiem?

- Pod wieloma. A właściwie pod żadnym. To po prostu formalność. Trzeba tylko odczekać sześć miesięcy, żeby otrzymać ten końcowy świstek. Tyle.

- Przypomina mi jedną historię, którą gdzieś czytałem - stwierdził Spofford. Nadal obserwował nieboskłon, ale tak, jakby niczego tam nie widział. - No więc wygląda na to, że jednemu gościowi król chce ściąć głowę. Został przyłapany na zabawianiu się z królową. I mówi: „Chwileczkę. Jeśli darujesz mi życie na sześć miesięcy, przez ten czas nauczę twojego konia mówić. Zaręczam”.

Może powinni wsiąść do samochodu, pomyślała Rosie, i ruszyć za balonem. Może gdzieś zaginie, wpadnie do Blackbury. Nigdy nie wróci.

- A król na to: „Czemu nie? Masz sześć miesięcy”. I zamyka faceta w stajni razem z koniem. Właściwie to bardzo stara opowieść. No więc idzie do niego królowa i pyta: „Co ci strzeliło do głowy, żeby składać taką zwariowaną obietnicę? Przecież tego nie potrafisz, prawda?”. A facet odpowiada: „No wiesz, wiele rzeczy może się wydarzyć przez te sześć miesięcy. Król może zachorować i umrzeć. Może zmienić zdanie. Koń może zdechnąć. Ja mogę umrzeć. A może koń... „.

- O, Chryste - jęknęła Rosie i chwyciła Spofforda za ramię. Wskutek jakiegoś zawirowania w powietrzu balon niespodziewanie opadł gwałtownie, nim palnik na powrót go poderwał. Rosie poczuła ponury napływ złości na nich, na niebezpieczeństwo, w jakim się znaleźli, na odległość, jaka ich dzieliła. - Przepraszam - zwróciła się do Spofforda, uświadamiając sobie raptem jego cierpliwe wyczekiwanie, aż na powrót zwróci ku niemu swoją uwagę. - I co było dalej?

- Nieważne - odparł, uśmiechając się do niej.

- Przepraszam - powtórzyła, a w gardle boleśnie zebrały jej się łzy. Chciała mu powiedzieć, że jest jej przykro, że tak naprawdę nie pragnie niczego innego, jak zawrócić tą drogą, którą przyszła, ale drogi wstecz już nie było. Cokolwiek leżało po drugiej stronie, a ona nie potrafiła nawet stwierdzić, czy cokolwiek tam leżało, był to jedyny kierunek, w jakim mogła podążać, a do tego samotnie.

Jak głęboko można wejść w las? Stara zagadka z podstawówki. Odpowiedź brzmi: do połowy. Od połowy bowiem zaczyna się z

niego wychodzić. Ale skąd miałyby wiedzieć, że przebyła już połowę drogi? Póki tego nie wie, każdy krok jest jedynie krokiem w głąb, każdy stanowi początek.

- Przepraszam - powtórzyła, poklepała go po jego wielkim ramieniu, po czym odwróciła się.

Właściwie to w ten sposób jest prościej, uznał Pierce; bez zbędnego mnożenia bytów. Lecz mimo to długo potem nadal będzie doznawał obecności jeszcze jednej, przynajmniej jednej osoby, która nie była żadną z nich, ani obiema, bądź jedną lub drugą o innej historii. Żadne przywołanie faktów nigdy nie było w stanie do końca jej usunąć.

Żona Mike'a i dziewczyna Spofforda - to jedna. Dziewczyna Mike'a i towarzyska z łodzi Pierce'a - to druga. Wszystkie inne stanowiły wyłącznie rozmaite aspekty jednej bądź drugiej, poranna i wieczorna gwiazda, pełnia księżycy i półksiężyc.

Z pewnością się pomylił, doszedł do wniosku, sądząc, że otrzymał sygnał ze strony Rosie, Rosie Rasmussen, Rosie Mucho, w sypialni Fellowesa Krafta, że on, że on i ona. Nie. Pomyłka. Była to jedynie jego własna, coraz bardziej niespokojna męska natura; ślepy mężczyzna, do korygowania błędnych spostrzeżeń którego Pierce będzie musiał przywyknąć.

A co, jeśli, wbrew swemu pragnieniu, faktycznie go otrzymał? Kobieta Spofforda (zgadza się? zgadza) też. Odczuł gorący gwałtowny napływ komicznego wstydu, winy dwakroć mimowolnie unikniętej, i niespodziewanie zaśmiał się w głos. Jeśli ci ludzie,

pośród których miał mieszkać - owi rozsądni i szczęśliwi ludzie, łagodni jak ten dzień i ta łąka - mieli podpuszczać go w ten sposób, transformiści, to bez wątpienia pomylił się, mówiąc Spoffordowi, że wkrótce wyczerpie możliwości.

Dzień był już w pełnej krasie. Pierce znalazł kawę i usiadł z nią pod pasiastą parasolką przy znajdującym się obok barku stoliku, po czym otworzył egzemplarz *Soledades*, który zwrócił mu Spofford.

Samotność pierwsza. Słodka, kwietna pora. Zaczyna się od rozbicia statku, a kończy małżeństwem: jak wiele dobrych romansów, stwierdził Pierce, jak niejeden dramat Shakespeare'a.

Ale nie ten.

Gdzieś w swojej głębi odczuł coś w rodzaju podmuchu budzącego lęk zdumienia, że w istocie tak może być. Że tak jest. Powoli, ostrożnie skrzyżował nogi i pozwolił, by kartki tomiku *Samotnie* złożyły się niczym wachlarz.

Wszak celibat - nawet ów bardziej rygorystyczny celibat serca oraz intencji, jaki Pierce sobie nakazywał - nie oznaczał konieczności abstynencji seksualnej. Zapewne nie, pomyślał, o ile nie brać pod uwagę wyścigu kumotrów, najprawdopodobniej wciąż odbywającego się tu w tajemnicy wszędzie wokół niego⁵². Wzniósł oczy ku górze. Całe lotnisko - a w każdym razie flota, jaka się tu znajdowała - zdawało się być teraz wysoko w górze; balony wisiały w powietrzu w różnych odległościach od niego, wielkie i małe kule, niczym lekcja o

⁵² Wyrażenie „wyścig kumotrów” czy też „kumoterski wyścig” (ang. „caucus race”) stanowi Odniesienie do III rozdziału Alicji w Krainie Czarów Lewisa Carrolla, jest również idiomem oznaczającym próżny, bezsensowny wysiłek.

trzecim wymiarze. Tam, pełna postaci zbyt małych, by je dostrzec, znajdowała się i ta czarna, „Kruk”.

Będzie musiał zachować wyjątkową ostrożność, to wszystko; znając siebie, wiedząc, jaki jest.

Istnieją jednak inne opowieści, pomyślał. A była pośród nich i ta o rozbitku, nagim i ubogim, który musi radzić sobie z pomocą swej mądrości i sprawności (być może również i swych magicznych pomocników), a po licznych przygodach zostaje królem trwającej w bezkrólewiu krainy, do której trafił.

Aż w końcu po jakimś czasie znów wyrusza w drogę.

Z góry, z przestrzeni ponad nim, z pokładu „Kruka”, rzeczy i ludzie poniżej również nabrali obrazkowego wyglądu: owego czystego i zabawkowego charakteru, jaki posiadają, kiedy widziane są z samolotu; poruszające się bezgłośnie miniaturowe samochody, trawniki i schludne domki o makietowym wyglądzie. Względność. Rose Ryder spoglądała w dół, z rękoma spoczywającymi niefrasobliwie na pokrytej płótnem wiklinie; stopy równie niefrasobliwie spoczywały na owej nikłości pomiędzy nią a ziemią.

Zauważyła, jak Pierce oddala się od miejsca, na którym wciąż stali razem Rosie Mucho i Spofford, ale nie dostrzegła, dokąd poszedł. Uznała, że mogłaby pomachać, gdyby widziała, że spogląda do góry. Nie, nie pomachałaby.

Pierce Moffett, zabawne imię i nazwisko, ostre i miękkie zarazem.

Ilekcioć uruchamiano palnik balonu, Sam płakała głośnie, pohukując w zagięciu szyi ojca; poza tym była tylko zeszywniała, a Mike nie potrafił jej nakłonić, żeby podniosła głowę i popatrzyła.

- Widzisz Centrum? - spytał. - Widzisz, gdzie tatuś pracuje? Oj, Sam.

Gdyby kiedykolwiek zdecydowała się na dziecko, gdyby kiedykolwiek odkryła, że jest w ciąży, Rose postanowiła, że nigdy nie powiedziałaby o tym jego ojcu. Nigdy nie zobaczyłby go, urodzonego przez nią w tajemnicy; nigdy nie dowiedziałby się o jego istnieniu. Rose wyobrażała sobie rozmowę z nim po latach, z ojcem swego dziecka, na przykład przy kawiarnianym stoliku: gawędzą leniwie o przeszłości; a dziecko gdzie indziej bawi się, dorastając. Potajemnie.

Stojący obok niej aeronauta ponownie uruchomił palnik; jego hałas uderzył Rose niczym podmuch, powodując jakąś współgrającą z nim głęboką wibrację w jej wnętrzu. Ziemia oddaliła się jeszcze bardziej. Według teorii Klimakteriów, której metodykę Rose zastosowała do własnego życia, ten błękitny dzień był pierwszym dniem jej Roku Przejściowego Wznoszenia, kierującego się ku stabilności dwudziestego ósmego roku życia: a wbrew napomnieniom Mike'a, że Klimakteria to nie wróżbiarstwo, żywiła jak najgłębszą pewność, że będzie to dla niej dobry rok. Zmiana na lepsze. Czuliła to, niczym wstrząsającą pewność huku palnika, w samym jądrze swojego jestestwa.

- Popatrz, Sam. Rose się nie boi. Rosie chce popatrzeć. Widzisz?

Centrum „Las” skryło się za załomem góry i zniknęło. Żółtawozielone Faraways, zszyte nicią srebrzystej Blackbury, przesunęły się na zachód i południe, zwróciły się do Rose Ryder rześkim świtem niczym splecione palce dłoni pacjenta złożone na torsie ogromnej Ziemi.

Był to ostatni dzień wiosny według rachuby Faraways, a tydzień później Spofford zapędził swoje stadko bocznymi i nieregularnymi drogami do Arkadii. „Transhumancja”, to właśnie słowo przyszło mu do głowy podczas marszu, słowo, którego nauczył się od Pierce'a, słowo, które oznaczało przemieszczanie się ludów pasterskich z zimowych na letnie obszary pastwisk; to bowiem, poniekąd, było czymś, co we własnym mniemaniu czynił.

Plan posiadał liczne korzyści zarówno dla niego, jak i dla Boney'ego Rasmussena; korzyści, które Spofford w znacznym stopniu podkreślił, przedkładając go Boney'emu. Jego ziemie, zagrożone ponownym zalesieniem wskutek nazbyt uszczuplonego budżetu ostatnich lat, będą utrzymywane jak trawnik (nie wspominając o nawożeniu, a do tego nieodpłatnym: „złote kopytka, panie Rasmussen”, stwierdził Spofford, ilustrując dwoma wyginającymi się palcami wskazującymi ów pożyteczny sposób, w jaki owce wdeptują swoje bobki w ziemię). Dochodził do tego aspekt krajobrazowy. A przy tym udział w produkcie końcowym, starannie zawinięty w papier

od rzeźnika, zapakowany w suchy lód w rzeźniach Cascadii. Wszelkie ciało to jakby trawa⁵³.

Owa transakcja miała przynieść Spoffordowi, jak stwierdził, przede wszystkim rozleglejsze i obfitsze pastwiska; a także stodołę w dobrym stanie, bowiem jego prowizoryczną oborę trzeba będzie zburzyć i postawić na nowo, by pomieściła kolejne jagnięta; oraz (sporadyczną) pomoc ze strony Rosie, co do której Spofford był przekonany, że zechce zażyć trochę ruchu na świeżym powietrzu, a przy tym dać szansę tresury obu swoim psom, zanim zbyt zestarzeją się i zgnuśnią, żeby nauczyć się zarabiać na życie.

- No cóż, oczywiście w tym względzie będzie musiał ją pan spytać osobiście - odparł Boney.

- A jakże, mam taki zamiar - przyznał Spofford. - Mam taki zamiar.

Tymczasem usłyszawszy o niniejszym planie Rosie nie wykazała większego zachwytu, a z pewnością nie taki jak Sam; dała do zrozumienia, że ma sporo rzeczy do zrobienia, przy czym nie odpowiada jej to, by przedkładano jej propozycje partnerstwa, o które nie prosiła. Lecz dla Spofforda nie była to niespodzianka. Wziął to nawet pod uwagę, obmyślając swój plan pewnej bezsennej majowej nocy, pierwszej nocy, podczas której zostawił otwarte okno aż do świtu.

Tak więc pomaszerował wokół znajdujących się na tyłach Arkadii trawników i trafił na mury z czerwonego piaskowca, kruszące się wprawdzie w niektórych miejscach, ale w całości odporne na

⁵³ Por. Iz 40, 6, 1 P 1, 24

owce, po czym domknął okną, jaki został mu przydzielony, za pomocą niepozornego przewodu elektrycznego; a pewnego zielonego poranka zapędził doń swoje zdumione i uskarżające się stadko przez wielką, rzeźbioną (w winogrona i twarze) bramę, z której nikt już nie korzystał. Spofford dostał pracę w górnej części stanu - była nią stolarka w szeregu domów letniskowych ciągnących się na skraj Jeziora Niklowego - toteż będzie mijał podjazd Boney'ego każdego ranka i wieczoru; żaden kłopot zajrzeć i sprawdzić.

Wkrótce owce uspokoiły się. Pod dębami Arkadii trawa była słodka, a każde z drzew stanowiło ponadto oazę spokoju w swojej sferze cienia: były jak grupa patriarchalnych dostojników stojących w pełnych szacunku odstępach. Spofford zadarł szyję ku ich koronom.

Nie będziesz prawdziwym klasycznym pasterzem, oświadczył mu któregoś razu Pierce, póki nie zaczniesz jeść żołądzi i nie zakochasz się.

- A właściwie chleba z żołądzi - dodał Pierce. - Raczej nie samych owoców dębu.

- Aha - mruknął Spofford, przekonany, że Pierce go nabiera. Żołądzie.

Owce szły przed siebie, nieśmiali goście na wielkim trawnikowym bankiecie, a on podążał za nimi. Oczom ich ukazał się dom, brązowy i wielokątny, skryty pośród cisów i rododendronów; jego puste wieże pokryte były różowymi i niebieskimi ząbkowanymi dachówkami. Był to ów typ budynku, który jego matka z jakiegoś powodu zawsze nazywała Domem śpiącej Królowny.

Natomiast dom, który on budował, na górze, w jasnych górskich sadach, będzie inny, to żadna tajemnica; prosty i taki, o którym wie się wszystko na pierwszy rzut oka. To lato będzie mu fundamentem, czystym, spójnym, szczelnym. Długie, jasne popołudnia do pracy.

O kochaniu istotnie nie miał pojęcia; zawsze wprawiało go w zakłopotanie i drażniło to, co ludzie rozumieli przez „zakochany”. Zdawało się, że chodzi im o rzucanie się na głęboką wodę. Wedle jego wiedzy było ono czymś innym, czymś, co mogło odbywać się wyłącznie stopniowo, *quid pro quo*; nie stawiało się kroku naprzód, jeśli nie było po temu wystarczająco wiele miejsca na drodze, acz bez względu na to, jak niewielki skrawek owej drogi objawiał się, szło się przed siebie. To wszystko.

Wybrał przyjemne drzewo, dające widok na dom, usiadł pod nim i skrzyżował swoje tenisówki za kostkę. Z kieszeni wydobył starą harmonijkę i zdmuchnął z niej pył, nasłuchując w myślach jakiejś melodii.

Właśnie wówczas, gdy słońce na swej wiekowej drodze przekraczało punkt południa, Pierce Moffett w domu Fellowesa Krafta w Stonykill odłożył tekstem do dołu ostatnią stronę Kraftowego dzieła na znajdującą się po jego lewej stronie stertę i rozparł się w twardym krześle (jakim sposobem Kraft spędzał w nim tyle godzin?) przy biurku.

Zapalił papierosa, lecz tylko siedział bez ruchu, trzymając go w dłoni, dym zaś unosił się ciągłymi, przeplatającymi się wstęgami, niczym wzbierające w nim od lędźwi ku klatce piersiowej ciepło.

Teraz już widział, że całe jego życie aż do tej chwili, religia, w jakiej przyszedł na świat, opowieści, jakich się nauczył, jakie stworzył i snuł, edukacja, jaką otrzymał i jakiej uniknął, książki, które jakimś sposobem zostały wybrane dlań do przeczytania, jego upodobanie do historii i kolorowe daty, z pomocą których ją pochłaniał, narkotyki, jakich zażywał, myśli, jakie snuł, wszystko to przygotowało go bynajmniej nie do napisania, jak przypuszczał, ale do przeczytania książki. Właśnie tej. Była to bowiem książka, jakiej niegdyś wyczekiwał, ilekroć otwierał jakikolwiek tom, żywiąc nadzieję, że okaże się on tym, którego pragnął, jego własną książką.

Ponieważ niniejszy utwór nie był zasadniczo odmienny od jego książki, również nieukończonej (ba, nawet nierozpoczętej); w tym wypadku jego życie zdawało się takie samo, nienapisana, niemożliwa do napisania księga jego całego przeżytego dotąd losu, tylko w innym wydaniu, a także o tym samym tytule. Mylący, jak stwierdziła Julie, i trudny do skatalogowania.

Przyjrzał się ułożonej stercie kartek - wszystkie drukiem do dołu - przeczytanej, lecz nieukończonej. Dla jakiego czytelnika, zastanawiał się, Kraft w swoim mniemaniu pisał, kto jego zdaniem chciałby przeczytać coś takiego? Zapewne nikt, dlatego też tekst wciąż znajdował się na biurku, niedokończony, nieopublikowany, wyczekujący na swego jednego idealnego czytelnika.

Nie była to bowiem w żadnym razie książka *d o b r a*, uznał Pierce, jeśli rozpatrywało się ją jako utwór literacki, powieść; był to romans filozoficzny, nieprzystępny i ekstrawagancki, nieposiadający

intensywnego smaku życia, jaki faktycznie, bez wątpienia, istniał w rzeczywistości - jaki rzeczywiście istniał, o ile miało się na myśli tę, rzeczywistość, wyłącznie tę, w której, odstawiając na bok metafory, wszyscy naprawdę i niepodważalnie żyjemy. Postacie były głodnymi duchami, pozbawionymi pogodnej realistycznej krągłości, jaką Pierce pamiętał z innych ksiązek Krafra, takich jak *Ogryzki jabłek* albo ta o Wallensteinie. Dziesiątki postaci historycznych - żadne, zdaniem Pierce'a, nie licząc pomniejszych, nie były wymyślone - autentyczne wydarzenia wielkie i małe, w których owe postacie rzeczywiście uczestniczyły, a wszystko to zredukowane do zimowej opowieści, w której siła napędowa ich działań przedstawiona była jako: skurcze porodu i spazmy śmierci światowików, agonie wielkich magów, dzieło demonów, łez Chrystusa, rządzących gwiazd.

Nie, nie, nie, powiedział do Julie, nie, ci różokrzyżowcy chroniący swą tajemnicę, przekazujący ją poprzez wieki zakodowaną w tajemnych księgach, których znaczenie jest odwrotne niż to, co z nich wynika, działający, by odmieniać życie imperiów, czający się za tronami królów i papieży - daj spokój: tajne stowarzyszenia, *masoni*, *illuminati*, nie posiadały rzeczywistej władzy w historii. Nie widzisz, mówił, że prawda jest znacznie bardziej interesująca: tajne stowarzyszenia nie posiadały władzy w historii, natomiast posiada ją samo pojęcie, że tajne stowarzyszenia dysponują nią. A jednak. A jednak.

Skończyć ją, ha. W przeciwieństwie do historii, opowieści potrzebują zakończeń; kartki z notatkami na końcu manuskryptu

Krafta zawierały jedynie dalszy ciąg opowieści, gromadząc jeszcze więcej lat, ksiąg i postaci, wystarczająco wiele (wydało się przeglądającemu je Pierce'owi), by zapełnić jeszcze ze dwa kolejne tomy i nie dotrzeć do zakończenia.

Lecz Pierce potrafił je sobie wyobrazić - owszem. Potrafił wyobrazić sobie, jak po przetoczeniu się wielkiej przemiany - potopu Noego, burzy dyferencji, która wymiata cały ten stary świat, burzy składającej się z wojny trzydziestoletniej, *terdos*, Wallensteina, ognia i miecza; z Rozumu, Descartesa, Piotra Ramusa, Bacona, a także Nierozumu, czarownic płonących na swych szubienicach - kiedy wszystko to zostało na powrót zmiecione do stanu nieprzywracalności, umykający bracia różokrzyżowcy, Kamień, Kielich, Krzyż, Róża, wszystko zdmuchnięte niczym liście - potrafił wyobrazić sobie, że pod okopconym i osmolonym niebem (ma nadzieję świt, lecz gdzie indziej i kiedy indziej niż tam i o tamtej porze) zbiorą się bohaterowie owego wieku, który wówczas już będzie stawał się domeną wyobraźni, zgromadzeni jeden po drugim przez starca z białą jak mleko brodą i gwiazdą na czole. Zgromadzeni. Chodźcie już, bowiem nasz czas przeminął. Jeden po drugim, z warsztatów i jaskiń w Pradze, ogrodów filozoficznych w Heidelbergu, z cel i pałaców Rzymu, Paryża i Londynu. Zewsząd. A wówczas dokąd się udadzą? Wiatr wzmaga się wraz z nastaniem świtu; wstępują na pokład niespokojnego statku na kotwicy, którego żagle z wymalowanym na nich znakiem Raka już się wydymają. Udają się w

jakieś inne miejsce, do białego miasta na najdalszym Wschodzie, krainy raz jeszcze bezimiennej. W drogę.

Z nagłą, przejmującą pewnością Pierce poczuł, że się rozplacze.

Dobry Boże, pomyślał, kiedy uczucie to ogarnęło go i ustąpiło, dobry Boże, skąd się w nim to wzięło, wyszarpane niespodziewanie, jak gdyby za sprawą czyjejś dłoni. Wylał oczy w rękaw koszuli, z lewej, z prawej, po czym wyjrzał przez wielodzielne okno; piersi wciąż przeszywało mu drzenie. Na zewnątrz Rosie Rasmussen i jej córka zajmowały się zaniedbanym ogrodem Krafta. Sam też płakała.

Czemu muszę żyć w dwóch światach, zapytał Pierce, czemu? Czy my wszyscy, czy tylko niektórzy, żyjemy zawsze w dwóch światach, tym wokół nas, który jest rzeczywisty, acz dziwny, i tym wewnętrznym, który posiada sens i dobywa z nas łzy aprobaty, kiedy doń wchodzimy.

Wstał. Wyrównał plik papierów, jakie pozostawił nieżyjący Kraft, i na powrót umieścił je w pudełku.

To nieprawda. Oczywiście, że nie. Jeśli bowiem ta chwila była tą, w której mogło się to ziścić, była to również chwila, która szybko przemija; a kiedy przeminie, cała opowieść Krafta nie tylko nie będzie już możliwa, okaże się również, że nigdy możliwa nie była. Jeśli świat obracał się, nie istniał sposób, by ocalić te wchodzące jedna w drugą opowieści; znów jedna po drugiej zapadały się do świata fikcji - fałszywy *Ægipt* Hermesa i fałszywy *Hermes* Bruna; fałszywy *Bruno* Krafta; fałszywa historia świata Pierce'a; drzwi, które niegdyś

otworzyły się jedne po drugich, na powrót jedne po drugich zamykały się w korytarzu wiodącym ku kolorowym wiekom.

Szczelina domykała się; ten rok może być ostatnim, w którym da się to w ogóle odczuć, ten miesiąc ostatnim miesiącem; *a kiedy się już domknie, nie zjawi się stamtąd posłaniec, któremu można by dać wiarę, ja sam uszedłem, by ci o tym donieść*⁵⁴, posłaniec bowiem także będzie fikcją, szaloną ideą, pojęciem.

Sama chwila przemiany, chwila Pierce'a, nie miała przetrwać, to wszystko. Wycofała się wraz ze wszystkimi innymi do zwykłego, jedyne, autentycznego świata, który teraz miał w nieskończoność wydawać je wstecz, jednolite, takie same.

Tak.

Tyle tylko, że odtąd, niezbyt często, ale raz na jakiś czas, ci, którzy przeżyli ten moment, będą być może doświadczać dojmującego poczucia, że ich życie rozbite jest na dwie połówki i że ich dzieciństwo, na drugim końcu, leży nie tylko w przeszłości, lecz również w innym świecie: melancholijna pewność, nie sposób bowiem przytoczyć jakiegokolwiek dowodu ani nawet wyobrazić sobie, że zawarte w niej przedmioty, napój pomarańczowy Nehi, brudne tenisówki, śpiewana msza, książka do geografii i komiks, miasta i miasteczka, psy, gwiazdy, kamienie i róże są spokrewnione z tymi, jakie zawiera świat teraźniejszy.

Pierce wyszedł z pracowni i ruszył przez ciemny dom ku światłu południa. Nieprzerwanie, niezauważalnie, z prędkością sekundy na sekundę, świat zmieniał się z tego, jaki był, w taki, jaki miał się stać.

⁵⁴ Por. Hi 1, 16.

Rosie podniosła swój kapelusz słoneczny, by popatrzeć, jak Pierce wyłania się z domu, a Sam przestała płakać; w Arkadii Spofford uniósł trzymany w dłoni instrument, by zagrać.

- Koniec - oznajmił Pierce. - Skończyłem wszystko.

- My też - odparła Rosie i wyciągnęła ku niemu to, co złupiły z ogrodu Krafca, wielkie pęki kwiecica, które w przeciwnym razie opadłoby niezauważone, bujne polne maki i róże, jastruny, lilie i modry łubin.